

JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

NA KRÓLEWSKIM DWORZE

CZASY WŁADYSŁAWA

WYDAWNICTWO M. ARCT

NA KRÓLEWSKIM DWORZE

DRUKIEM PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 41.

NA KRÓLEWSKIM DWORZE

(CZASY WŁADYSŁAWA IV)

przez

J. I. Kraszewskiego

TOM I.

WARSZAWA
NAKŁADEM M. ARCTA.
1913.





DO CZYTELNIKA.

Nie piszemy zwykle przedmów, znajdując je co najmniej zbytecznemi. Książka albo się sama tłumaczy i usprawiedliwia, albo, mimo obrony, pozostanie, czem jest — chybioną. Nie idzie też nam o żadne zalecenie jej formy i treści, ale o wyjaśnienie źródeł.

Nadzwyczajnem szczęściem dostał się nam niewydany i nieznany ułamek dziennika sekretarza królowej Maryi Ludwiki, p. Desnoyers, tego samego, którego późniejsze listy zostały wydane. Z niego wzięliśmy najdrobniejsze szczegóły przybycia, pobytu i pożycia królowej, nie potrzebując nic a nic fantazyą wypełniać, bo materyału mieliśmy aż nadto. Więc, jakkolwiek się to komu zdawać może, co tu piszemy, wszystko jest prawdziwem. Często tylko zbyt jaskrawy szczegół wypadło złagodzić.

Oprócz tego dziennika do opisu Warszawy za Władysława IV, użyliśmy nieoszacowanego Jarzemskiego. Nie tych obłamków, które wydrukował Niemcewicz, w swoich Pamiętnikach, ale całego owego, nadzwyczaj rzadkiego Gościńca.

Jeden jedyny dostępny i wiadomy egzemplarz znajduje się w bibliotece Kórnickiej, która go nam łaskawą była użyczyć, za co składamy jej dzięki. Notatka na nim dowodzi, że Niemcewicz dostał go w podarunku od ks. Aloizego Osińskiego, a sam potem ofiarował hr. Działyńskiemu.

Egzemplarz dotąd jedyny znany (o drugim Estreicher mówi w Szczorsach), jest niestety niecały. W środku brak mu czterech stronic, a w końcu, Bóg wie, ilu. Ostatnia kartka jest p i s a n a, coby dowodziło, że istniał jeszcze jakiś egzemplarz, z którego ją dopełniono.

Jarzemski wierszem pisze od siedmiu boleści, jest nieuki nie klei mu się nic, ale niemniej skarb w nim nieoszacowany do ówczesnych dziejów obyczaju i miasta.

Skorzystaliśmy z niego tylko tyle, ile nam warunki opowiadania dozwalały. Tak Jarzemskiego, gdyby się znalazł cały, jak dziennik (po francusku) p. Desnoyers, należałoby wydać w całości. Ale tyle mamy do czynienia!!

Magdeburg,

d. 3 kwietnia 1885.

I.

Ze wszystkich gościńców, wiodących do nowej stolicy, Warszawy, najwięcej z pewnością ożywionym był ten, który prowadził do Litwy i Brześcia. Handel i ludzie tędy najczęściej płynęli do starego mazowieckiego grodu, niedawno uczynionego rezydencyą królewską.

Spełniło się to za Zygmunta III, ale za Augusta już dawało się nieledwie przeczuwać. Warszawa dogodniejszą była dla Litwy, leżąc w pośrodku ziem Rzeczypospolitej. Poczęto tu naprzód odprawiać sejmy, obierać królów, a naostatek, po spaleniu zamku na Wawelu i król z rodziną wywędrował nad Wisłę, choć na tutejszym zamku nie miał królewskiego pomieszczenia.

I tak owi Mazurowie, z których wymowy i ubóstwa chętnie się naśmiewano, dostąpili tego zaszczytu, że na ich ziemi tron postawiono. Zmieniły się też czasy i krakowscy możni panowie nie mieli tego wpływu i znaczenia, co dawniej; wolano też od ich nacisku i roszczeń stanąć trochę dalej.

Śmiertelny to był cios, zadany Krakowowi, a dla Warszawy hasło nadzwyczaj szybkiego wzrostu. Jak dawniej ku Wawelowi zbiegały się wszystkie większe drogi, płynęło życie, ruch się w nim ogniskował, tak teraz skierowało się to do Warszawy.

Most Zygmunta Augusta stawał się przepowiednią tej przyszłej wielkości.

Na gościńcu od Brześcia ciągnącym się przez lasy i mało zaludnione okolice, rzadko teraz bywało pusto, a na

przestrzeniach, którym brakło wiosek i osad dla spoczynku podróżnych, zaczęły się wznosić gospody, których naówczas niewiele jeszcze było w innych stronach. Po wsiach podróżni mniej ich potrzebowali, bo się obyczajem starym wpraszali do wieśniaków, dworu i probostw, ale na przestrzeni mil kilku, ogołoconej z osad, gospoda w wielu porach roku stawała się dobrodziejstwem, jakkolwiek nędzną była.

Nie sami naówczas Żydzi rzucili się na te szynki i zajazdy na pustkowiach; rozmaitego rodzaju ludzie brali je różnemi prawy od właścicieli ziemi, którzy często małemi się opłatami ograniczali. Niejeden z tych panów, siedzących pod wiechą w lesie, miał i duży gruntu kawał, który uprawiał, dobytek i konie. Jedni na gospodach dorabiali się bardzo prędko, drudzy wiedli żywot dosyć nędzny a pełen niepokoju.

W miejscu, o którem mówić mamy, na skraju ziemi, należącej do pana Leśniowolskiego, właśnie się był umieścił Żyd Boruch na nowej gospodzie, której żartobliwy pan nadał imię Zapiecka. A stało się to tylko na złość i przekorę karczemce pana Gostomskiego, nieopodal erygowanej, która niewiedzieć dlaczego i przez kogo nazwana była Purchawką.

Granice JMPP. Leśniowolskich i Gostomskich tu się zbiegały; gościniec przedzielał na znacznej przestrzeni lasy i zarośla pierwszych od drugich.

Naprzód się tu narodziła Purchawka, za której przykładem idąc, przyszedł na świat Zapiecek. Ten ostatni, o którym pan jego, śmiejąc się opowiadał, że mu to imię dał, bo w nim było podróżnym gdyby u Boga za piecem, jak na owe czasy był wcale wspaniałą gospodą. Wiadomo, jakie tabuny koni szły naówczas przy każdym znaczniejszym dworze, jak stajnia dla pomieszczenia ich była ważną rzeczą, i tu więc szopa w słupy, choć w części płotem tylko opasana, mogła sto kilkadziesiąt pomieścić.

Ludziom stosunkowo mniej wygód było potrzeba, niż ówczesnym woźnikom, dżanetom, rumakom i nieprzeliczonym cugom. Człowiek, co konia nie miał, a w podróży własnych nóg lub pożyczanego wozu używał, tem samem

plebejuszem się stawał, tak jak senator i pan, jeżeli kolebką jechał, mniej do niej nad sześć woźników nie mógł zaprządz dla godności swojej.

Mierzono naówczas człowieka liczbą koni, jakie miał i mógł prowadzić z sobą. Na jednym koniu jeździli tylko bojarowie z listy, uboga szlachta, słudzy i czeladź panów.

Zapiecek ze swemi ogromnemi stajniami naturalnie dla odpoczynku panów był przeznaczony; do Purchawki podjeżdżały wozy i ci, co na koniu jednym, bez towarzystwa podróżowali.

Purchawka też w szopce więcej nad kilkanaście koni i to z biedą ulokować nie mogła, ale, mimo tego pozoru skromnego, miał się siedzący na niej Skroba, prosty chłop, (jak mówiono), daleko lepiej od Borucha, i Zapiecek mu zazdrościł. Skroba bowiem miał do czynienia z ludem pokorniejszym, który jako tako, ale płacił za to, co brał i nie woził z sobą zapasów, więc suchy chleb i ladajaki napój brał, a i dla konia wiązki siana potrzebował. Tymczasem na Zapiecku, gdy zajechało pięćdziesiąt koni i tyluż ludzi, mieli na wozach najczęściej to, czego im było potrzeba, a potem płacili co łaska, lub niekiedy nabiwszy i złajawszy, nie dali nic.

Od strony Brześcia stała Purchawka pierwsza, nieco dalej Zapiecek, ale z obu gospód na gościniec wzrok daleko sięgał.

Pięknego dnia jesiennego w progu Zapiecka stał sam Boruch, a że pora była ciepła, miał na sobie tylko czarny kaftan bez rękawów, z pod którego widać było krótkie pludry i pończochy. Na czarnych włosach jarmułka siedziała na bakier i nadawała jego butnej fizyognomii wcale pański wyraz. Gładził długą, czarną brodę i ziewał przeraźliwie, a gdy się wyziewał, poczynał ręce wyciągać i używać rodzaju gimnastyki, dowodzącej, jak okrutnie się nudził.

Gospoda od dwu dni stała pusta, żeby do niej żywy duch zajrzał! A u Skroby ciągle ktoś gościł.

Boruch na ten rodzaj gości, jacy zajeżdżali do Purchawki, mało rachował, ale natenczas jużby i im był rad. Gdy więc nad wieczór na gościńcu od Litwy pokazał się

w dali jeździec na koniu, choć odległość nie dozwalała jeszcze ocenić go, a z konia i z rządziku wnieść co zacz był i co w mieszku miał, pan Boruch zawczasu znaki mu dawać począł, aby zaciągnął do niego.

Skroby w progu nie było.

Jeźdzcowi można było się lepiej przypatrzeć dopiero, gdy się na pół strzelenia z łuku przysunął. Ale była to jedna z tych zagadkowych postaci, o których zawyrokować trudno. Koń pod nim był niezgorszy, zmęczony widocznie długą drogą, siodło porządne, ale stare, rządzik rzemienny niczego, lecz też dobrze zużyty, spłukany i od pyłu zniszczony.

Za sobą miał troki niewielkie, a za całe uzbrojenie szablę, sahajdak na plecach w pokrowcu i strzelbę-ptasznicę. Domyślać się tylko godziło, że pod połami lub okryciem siodła gdzieś się może i pistolety znajdowały.

Twarz była ogorzała, długa, z wąsem szpakowatym, zawiesistym, obciągnięta skórą ruchomą i pofałdowaną. Na pierwsze wejrzenie nic na niej, oprócz obycia się z życiem nie można było wyczytać. Mówiła ona, że bywał na wozie i pod wozem, i że się teraz nie lękał niczego, ani też dobijał wielkich rzeczy.

Między nim a koniem była już taka zgoda myśli, że go wcale prowadzić nie potrzebował i mógł mu cugle na karku położyć. Koń brudno-kasztanowaty zdawał się drogą, okolicą i tem, co go otaczało, więcej niż pan zajęty i oglądał się ciekawie.

Jeździec zadumany, przygarbiony nieco z obojętnością znużonego wielce, myślami gdzieś wędrował, nie widział też znaków, dawanych mu przez Borucha, a brudnokasztanowaty skierował się ku Purchawce, zwolnił kroku i zrównawszy się z drzwiami jej, stanął.

Posłuszny mu pan zsiadł z niego powoli, poklepał po szyi i zajrzał naprzód do szopy. Tu nie było nikogo, mógł więc sobie dla kasztana obrać najlepszy żłób.

Wtem drzwi jakby skrzypnęły, i okrągły, nizkiego wzrostu, łysy, pyzaty a blady Skroba powitał podróżnego.

— Niech będzie pochwalony!

Spojrzeli na siebie.

Chociaż podróżny sukni nie miał zbyt pokaźnych, ale z całego ubioru i pozoru widać było statecznego człeka.

Weszli razem do stajni. Skropa począł od zaręczenia, iż wszystko w szopie można było bezpiecznie zostawić, dodając razem, że wódka, piwo, chleb, ser a choćby i gotowana polewka lub krupnik znajdzie się u niego.

Gość słuchał milczący. Sam naprzód podłożył rękę pod siodło, aby się przekonać, czy koń nie był nadto zgrzany, aby go od tego ciężaru uwolnić było można; zajął się nim, wiązkę siana zrzucił i oporządziwszy kasztana, sam z gospodarzem wszedł do izby.

Tu się znalazła i małżonka Skroby, w fartuchu, z warzęchą w ręku przy garnkach i chłopak bosy, jego syn, i blade dziewczę w koszuli jednej, uczące się około kądzieli.

Kury chodziły po izbie, czując się w domu. Pod jedną z ław leżał pies wilczej barwy; podniósł głowę nieco, i przekonawszy się, kto przybył, spał dalej, bo w nocy nie miał na to czasu; musiał domu pilnować.

Rozmowa, jeśli ją tak nazwać można, w urywanych wyrazach poczęła się i ciągle długiemi przestankami dzieliła.

Skroba pilno się przypatrywał podróżnemu, który ze swej strony najmniejszej nie okazywał ciekawości.

Boruch tymczasem, zawiedziony w nadziejach, stał, pocichu przeklinając wszystkich „gwiazdochwalców", gdy na tym samym gościńcu, jakby na pociechę jego, zjawił się jeździec drugi, ale zamajaczył mu tak daleko, iż nawet wcześniej dawane znaki na nicby się nie zdały, a zbliżał się tak powoli, jakby na żółwiu jechał.

I ten był sam jeden tylko, a nie wyglądał lepiej od pierwszego. Sterczał mu tak samo sahajdak, samopał i z tyłu nawiązane sakwy. Koń stąpał ciężko z głową spuszczoną. Miał też na sobie szarą opończę i tem się tylko różnił od poprzednika, iż w ręku trzymał nahajkę, którą bezmyślnie wywijał, oglądając się dokoła.

Zdawał się wyższego wzrostu i silniejszy, a w stosunku do konia był nawet za ciężki dla szkapy, która, choć

silnie zbudowana, choć gruba niewielkiej była miary. Kształty jej też nie odznaczały się pięknością, a łeb duży i szyja nieforemna dosyć śmiesznie wyglądały. Rząd na koniu był grubej jakiejś roboty a zużyty.

Twarz samą wąsy, broda i włos, na policzkach porastający, tak okrywały, że ledwie z nich wyglądał nos duży, garbaty i dwoje czarnych ogromnych oczu. Na głowie siedziała czapka staroświeckiego kształtu z czubem wyłysiałym.

Nieobiecująca to była postać, a jednak Boruch ją ku sobie przyzywał, gdy tymczasem koń instynktem zawrócił się do Purchawki, a jeździec mu się nie sprzeciwił. Stanąwszy pode drzwiami, huknął dziwnym głosem:

— Uhu!

I sam z siebie się rozśmiał, jakby się spostrzegł, że mimowolny ten wykrzyknik był nie w miejscu.

Skroba stał już w progu i gotów był prowadzić do szopy, ale zobaczywszy zarosłego gościa i spotkawszy wejrzenie drapieżnych jego oczów, na chwileczkę się zawahał.

Podróżny już zsiadł, a koń jego, nie czekając, sam poszedł żłobu sobie szukać, tak się cały strząsając, że zdawało się, iż terlicę i sakwy zrzuci z siebie. Miał bowiem nie siodło na grzbiecie, ale tylko starą terlicę, jako tako wymoszczoną.

Wszystko razem zdradzało ubóstwo i miało jakąś cechę pochodzenia od Wschodu. Można było poznać w nim wędrowca kędyś od kresów.

Wprędce po zabezpieczeniu konia drugi ten wędrowiec wszedł do izby. Zmierzyli się oczyma z pierwszym, kiwnęli głowami, zamruczeli: Czołem—i przybyły zajął miejsce dosyć daleko, jakby sobie życzył sam pozostać.

Wychylił kubek wódki a nie żądając więcej, z torebki dobył chleba, kawał słoniny, trochę soli i sparłszy się na stole, począł spokojnie spożywać.

Siadł tak na ustroniu, iż ani gospodarz, ani pierwszy gość nie śmieli się przybliżać, ani go zaczepiać. Nie przeszkadzało to wszystkim, nie wyjmując dziewczyny przy kądzieli, ani bosego chłopaka, ani nawet tłustej, osmolonej Skrobowej, przypatrywać mu się bardzo pilno.

Dla wszystkich miał on w sobie coś dzikiego, obcego, pobudzającego ciekawość. Opończa była krojem innym, buty różnym kształtem od tych, jakie pospolicie noszono, pas, odzież wyglądająca z pod okrycia, nie przypominały codzień tu widywanych. Nie śmiano jednak zbyt go prześladować wejrzeniami, bo gdy się kto spotkał z jego oczyma, wzrokiem odpychać i łajać się zdawał. Sam jednak równie ciekawie badał siedzącego dalej za stołem gościa pierwszego, jak ów jemu się przypatrywał.

Milczenie panowało długo.

Podano krupniku jednemu, i drugi go zażądał, ale głosem takim grobowym, zachrypłym, jakby z jakiejś głębiny wychodził z wysiłkiem wielkim, a nim mu misę postawiono, raz jeszcze napił się wódki.

Krupnik swój skończywszy, pierwszy podróżny do konia poszedł, bo czas było napoić kasztana i obrok mu zasypać. Przy tej zręczności zdala obejrzał dobrze szkapę i troki towarzysza, kiwając głową. Koń był wistocie tak szpetny, iż o jeźdźcu wielkiego wyobrażenia nie dawał, ale szlachcic okiem znawcy dopatrzył się razem, że bestya była żelazna i rozumna.

Ruszył ramionami z przyjemnością, zbliżając się do kasztana, który przy tamtym arystokratycznie się wydawał.

Do izby powróciwszy, zastał brodatego towarzysza już po krupniku, nad trzecią czarką wódki, zadumanego głęboko. Spojrzeli sobie w oczy raz i drugi. Widocznem było, że chcieli rozpocząć rozmowę, szło o to tylko, kto się pierwszy odezwie.

Ponieważ brodacz obrosły obcą miał fizyognomię, zdało się drugiemu, który bardziej się tu czuł w domu, iż powinien był pierwszy zagadać.

— Z dalekaście-to, miłościwy panie bracie? — zagadnął.

Ten głową potrząsł, rękę ku północy podniósłszy.

— Ho! ho! a co myślicie? zblizka?—Z kresów jadę, od dzikich pól.

Pytający głową też poruszył.

— Kawał drogi—rzekł.—Jam tam nie bywał nigdy,

choć na Podolu dawniej się kręciło. Cóżeście tam porabiali?

— Co?—mruknął spytany.—Człek głupi szczęścia szuka, gdy go nie ma, włócząc się, a to darmo. Tak i ja. Służyłem u Koniecpolskich... at! różnie bywało.

— Wracacie do swoich?—spytał pierwszy.

— Gdzie?—rozśmiał się brodaty,—ja tu nikogo nie mam!! Wracam, bo mi się zatęskniło... za czem? Albo ja wiem!

Oczy mu błysnęły dziko; wychylił czarkę prędko.

— A wy z których stron?—spytał towarzysza.

— Ja Mazur jestem—odparł pierwszy gość—ale my Mazurowie po całej Rzeczypospolitej się rozłazimy, bo u nas chleba omal, a gąb dużo. Jestem teraz przy dworze Radziwiłła, jadę też z jego polecenia do Warszawy. Wy też do niej?

— Trzebać ją zobaczyć—rozśmiał się brodacz.

— A siłaście lat nie widzieli?—rzucił drugi pytanie.

Tamten ręce podniósł do góry.

— Z okładem dwadzieścia lat!—zawołał—z okładem!

— Oho! oho! to jej chyba nie poznacie.

Tu, namyśliwszy się nieco, gość pierwszy uznał stosownem po imieniu i nazwisku się dać poznać.

— Szczepan Wijurski, podkoniuszy księcia pana.

Brodacz, którego to obowiązywało też do objawienia imienia, zawahał się nieco i mruknął:

— Lasota Płaza.

I rzekłszy to urwał nagle.

— Tytułu—dodał szydersko—nie mam żadnego teraz.

— Płazów ja i w Krakowskiem zdybywałem—rzekł Wijurski.

— Było ich dosyć—wtrącił Lasota—a w stanie duchownym nawet i do prelatur się podnieśli; ale jam braci nie miał, a o rodzinie cale nie wiem, ani się myślę dowiadywać.

Milczeli trochę, przypatrując się sobie i Płaza z kolei do konia poszedł, a gdy się za nim drzwi zamknęły, Skroba uczynił uwagę, że miał minę zbója.

Obu podróżnym chciało się ciągnąć dalej na nocleg, choć się już miało ku wieczorowi. Płaza pod okno podchodził i rozglądał się, mrucząc. Wijurski zapowiadał księżyc i rachował na noc jasną. Gospodarz był tego zdania, iż lepiej się było ichmościom zawczasu spać położyć, koniom dać wypocząć, a nazajutrz rano, po przekąsce ruszyć dalej.

Wahali się jeszcze, spoglądając po sobie, gdy Skroba, który był na próg wyszedł, powrócił do izby z oznajmieniem, że wielki dwór jakiś nadciąga. Podróżni, zamiast się przygotować do wyjazdu, poszli wyjrzeć na gościniec, co to było.

Na ganku Zapiecka stał już Boruch, ale w czarnym długim chałacie i pasem podpasany, sposobiąc się zapraszać przejeżdżających, choć nie było prawdopodobnem, aby się tu takie wielkie państwo mogło zatrzymać.

Płaza, powracający od kresów, gdzie więcej żołnierza i włóczęgów, niż pańskich dworów mógł widywać, stał zdziwiony, rękę trzymając nad oczyma, przyglądając się z ciekawością niezmierną zwolna zbliżającemu się orszakowi.

Tu w środku kraju nie był on żadną osobliwością, i Wijurski, nawykły do podobnych widoków, patrzał dosyć obojętnie, jakby tylko chciał poznać po barwie, kto to mógł być.

Łatwo się było domyśleć jednego z najwyższych dygnitarzy, otaczających króla, bo dwór otaczający kolebki nadzwyczaj był liczny i strojny. Jechało naprzód kilkunastu hajduków jednako ubranych i doskonale uzbrojonych, na koniach dzielnych; za nimi strojniejszy jeszcze koniuszy, czy marszałek dworu, którego wierzchowiec bardzo piękny, w sutym rzędzie, srebrem pozłocistym nabijanym, stąpał, jak z partesów, a on sam dumnie, pokręcając wąsa, oglądał się wkoło; dalej szły dwie kolebki, bardzo wykwintnie zbudowane, przyozdobione pozłacanemi balasami, firankami, gałkami u wierzchu, na których stopniach jechały stojąc pacholęta do usług. Oprócz tego

tuż przy powozach postępowała z boku straż. Firanki w części pozasuwane, osób w środku siedzących widzieć nie dozwalały.

Za kolebkami jechali znowu konni, z których kilku wiozło na rękach sokoły zakapturzone, przy innych szły psy, niektóre na sznurach wiedzione, inne wolno. Między niemi widać było charty ogromne, legawe, ogary i brytany. Dalej jeszcze postępowały kryte skórami wozy z kuchniami, namiotami, kobiercami i wszystkiem, czego państwo w podróży mogło potrzebować. Były to spiżarnie i piwnice, skarbiec i skrzynie przewoźne z sukniami. Na niektórych z tych wozów czeladź siedziała lub leżała uśpiona. Za temi w koczach pośledniejszych widać było fraucymer, a w jednej budce pozłocistą klatkę z papugą, którą dziewczyna na kolanach trzymała. Nakoniec postępowały prościejsze wozy z pośledniejszą czeladzią i podlejszym sprzętem, a tylną straż długo wyciągniętego sznura składało znowu kilkunastu jeźdźców zbrojnych, jak gdyby w czasie wojny. Wszystko to wszakże nagromadzone było nie dla bezpieczeństwa, ale dla okazałości i oznaczało wysoką godność podróżnego.

Płaza z natężoną uwagą ciągle się przeciągającym przypatrywał. Cały tabor, pomimo nizkich ukłonów Borucha, który z jarmułką w ręku wyszedł aż na środek gościńca, przeciągnął, nie zatrzymując się z czeladzi tylko niektórzy skoczyli z wozów do studni, aby się świeżą wodą ochłodzić.

Wijurski, rzuciwszy tylko okiem na pański ten dwór, powrócił do izby nazad, a za nim też wszedł Płaza, ale nierychło, bo doczekał, aż ostatni pachołek i ostatni wóz zniknął mu z oczów.

Wielkie jakieś państwo!—rzekł do Wijurskiego.

— Pewnie — odpowiedział pan Szczepan;—przecież to pan marszałek nadworny, choć nie książę żaden ani z dawnych magnatów, ale dziś on, z łaski króla, nikomu nie ustąpi, a w Warszawie jego pałac z królewskim narówni.

Płaza słuchał ciekawie pochylony.

— Marszałek nadworny? hę!—spytał—jak się zowie?

— Nie wiecie?—wtrącił Wijurski.

— Jakże chcecie? My tam na kresach o wszystkiem zapominamy. Spytajcie nas o hetmana Kozaków, albo carzyków perekopskich.

Dziwnie się począł uśmiechać i urwał nagle.

— Wiecie co—zawołał Wijurski,—namby najrozumniej było w ślad za taborem Kazanowskiego podążyć.

— A! Kazanowski się więc zowie!—mruknął Płaza—albożtu w lasach nie bezpieczno?

— Zbójów niema, ale natknąć się zdarzy na kupę jakich włóczęgów napiłych, co szukają przyczepki — odpowiedział Wijurski, zabierając się do drogi.

Po krótkim namyśle Płaza ruszył się też.

— Pozwolicie mi jechać z sobą?—zapytał.

— Czemu nie?—raźniej nam będzie we dwu — rzekł Wijurski.

Panu Szczepanowi na Wijurach Wijurskiemu podkoniuszemu księcia Radziwiłła, wcale nawet na rękę było żądanie Płazy. Trzeba było go znać, aby to sobie wytłumaczyć.

Jak niepozornym wcale i do mnóstwa szlachty tego rodzaju podobnym był Wijurski, tak, z tysiąca wybranym, wedle słów piosenki ludowej, nazwać go było można. Był to wcale osobliwy człowiek, skromny, cichy, niepokaźny, lecz szpakami karmiony — ciekawy i, choć jako podkoniuszy przy stajniach się liczył, więcej pono kwalifikował się do kancelaryi, niż do koni.

W Koronie i Litwie znał on ludzi od najwyższych dygnitarzy do najpośledniejszych podstarościch; nie obce mu były przygody, historye, stosunki skandaliczne, zabiegi dworskie i wszystko, co ówczesny świat zajmowało. Książę wiedział o tem, i gdy mu języka potrzeba było dostać, albo plotkę jaką sprawdzić, posługiwał się Wijurskim, zawsze pod pozorem, że mu coś tyczącego się koni i stajen polecał.

Pan Szczepan za młodu jeździł z jednym z Radziwiłłów zagranicę, jako dworskie pacholę, a otwartą mając głowę, skorzystał z tego i języków kilku nauczył się ze słuchania. Zaglądał też chętnie do książek. Dlaczego mu

te zdolności i nabyte wiadomostki nie wyrobiły lepszego i innego stanowiska na dworze, to sobie wytłumaczyć trudno. Ale naprzód Wijurski nie starał się o krescytywę, przedewszystkiem chciwy będąc nauki i wiadomości, powtóre pochlebiać i płaszczyć się nie umiał. Nie nadymał się, nie szukał zwad, okupywać lepszego bytu poddaniem się kaprysom pańskim nie umiał. Co do bytu własnego, małem się zaspokajał.

Na dworze księcia ba i dalej znano go jako bardzo bystrego człeka, radzono się go czasami, ale niezawsze Wijurski dawał się wyzyskać. Gdy mu fantazya przyszła, milczał.

Nazwaliśmy go ciekawym, gdyż ciekawość stanowiła może jeden z głównych rysów jego charakteru. Starał się ludzi poznawać i dowiedzieć o wszystkiem. Z równem zajęciem siadywał nad książkami i chodził za nowymi ludźmi, których nie rozumiał.

Na pierwsze wejrzenie Płaza mocno zaciekawił pana podkoniuszego; nie rozumiał go, coś w nim czuł podejrzanego, fałszem podszytego. Niespokojne wejrzenia, niejasne tłumaczenia się, sama postawa, strój, ruchy, mowa czyniły go zagadkowym.

Sam jeden jechał z kresów aż do Warszawy, dla tęsknoty, gdy tu rodziny ani znajomych nie miał?

— Coś w tem innego tkwi—mówił sobie Wijurski.— No, da się to widzieć.

Szczególniej mowa Płazy, akcent jej, mieszane ruskie wykrzykniki, zakrój jakiś w wyrażeniach dziwnemi mu się wydawały. Języka polskiego jakby się potrzebował na nowo uczyć i przypominać sobie, tak czasem mu było ciężko wyraz właściwy znaleźć.

Bystre oko p. Szczepana dostrzegło też, że ubogi napozór i jakby umyślnie odziany niepokaźnie, Płaza miał przy sobie na swój stan za kosztowne rzeczy. Pod opończą na kontuszu pas, umyślnie osłonięty, błyszczał bardzo bogatem i świeżem szyciem. Z kieszeni dobył przypadkowo chustę kosztowną, którą zaraz wetknął śpiesznie nazad. Sama powierzchowność sakiew przy koniu Lasoty kazała się w nich domyślać pakunku, o którego zachowa-

nie właścicielowi chodziło wielce. Wszystko to wreszcie możeby mniej uderzało, gdyby nie sam człowiek niespokojny jakiś, oglądający się, badający oczyma, trzymający się na baczności.

— Ten człek—mówi sobie podkoniuszy—dalipan niedarmo sunie do Warszawy, a że nie z własnej woli i ochoty, dałbym szyję.

Nic więcej nie mogło być dogodniejszem dla ciekawego Wijurskiego nad podróż wspólną z tym człowiekiem, bo w drodze najłatwiej się zapoznać, spoufalić i dobyć coś z towarzysza.

Nie uszło to oka pana Szczepana, że Płaza gorzałkę pił ochotnie i dużo na to więc także rachował, że ona mu gębę otworzy, choć dotąd kubki, u Skroby wypróżnione, najmniejszego nie wywarły skutku... ale i to wiedział Wijurski, że wódki podczas kilka kropel upoi, a gdy człowiek znużony, w ruchu, wcale mu ona do głowy nie idzie.

Rozpłaciwszy się z gospodarzem, podróżni nasi wyciągnęli w las, jadąc tuż obok siebie, co naprzód spowodowało zapoznanie się ich koni. Brzydka owa, niezgrabna bestya Płazy wyciągnęła łeb ku brudno-kasztanowatemu, powąchała go, wydała jakiś głos do kwiczenia podobny i nagle zwróciwszy się tyłem do kasztana, wierzgnęła z całych sił. Szczęściem, iż Wijurski w czas uskoczył i owe kopyta w powietrze tylko podniósłszy się, opadły na ziemię. Płaza batogiem dał naukę i epizod ten skończył się bez szwanku.

— Złą jakąś bestyę macie—rozśmiał się Wijurski,— ani się do niej przybliżyć! I niepiękna też jest, ale musi mieć swe przedmioty?

Płaza podniósł głowę.

— Ba!—zawołał—bez jedzenia może dwa dni iść, a strzecha przegniła, gdy nic innego niema, także jej smakuje. Bez wody cały dzień trwa, co trudniej koniowi, bo dla niego woda—obrok czasem zastępuje. Naostatek zielona pasza, byle jaka, nażre się, aż go osiodłać trudno i nic mu. Drugiegoby wzdęło i pęknąćby musiał. Skóra taka, że się nigdy nie zatrze, a spocony, czy nie, można go

poić, karmić i oskomy nie zna. Spojrzeć na niego, trzech groszy nie wart, a jabym za garść dukatów go nie oddał.

— No i to dobrze—dodał, śmiejąc się,—że złodziej na niego się nie połakomi.

Wijurski, słuchając tych pochwał, rozpatrywał się w koniu, zżymnął ramionami i rzekł:

— To kozacki koń!

Płaza spojrzał bystro i pod włosami wystąpiła mu czerwoność.

— I ja tak sądzę—rzekł,—choć go kupiłem od szlachcica... tatarski, albo kozacki być musi.

— Przy naszym teraźniejszym zbytku—dodał Wijurski,—gdyż zwłaszcza za teraźniejszego pana, który wszystko z cudzoziemska lubi widzieć,—dżianety, bachmaty najprzedniejszej krwi konie u nas po stajniach; z takim, jak wasz, pokazać się trudno. Ale ba! koń, jak żona,—piękna, czy nie, gdy poczciwa i wierna, to grunt!

—Uważaliście na konie pana Kazanowskiego?—mówił dalej p. Szczepan.—Ten, co go to prowadzili pod deką, na którym widać było pokrytą tarczę i sahajdak. Rumak to samego pana, od parady.

— Piękny i dzielny—odparł Płaza—ale co nam po takich! Do wojny się on nie zda, bo pieszczony, do podróży niewytrzymały. Od zimna go trzeba nakrywać, bo sierść na nim, jak aksamit lub atłas, nie zagrzeje; w gorąco cały w potach, ocieraj go. Trochę zażyjesz, ochwyci się; trochę zmęczysz, nie je. Pański koń!

Ruszył ramionami.

— Ale na oko choć malować—dodał Wijurski.

— Zbytki tu u was widzę we wszystkiem—dodał Płaza—prawda, żem zdawna w tym kraju nie bywał, a na kresach życie inne, obozowe, żołnierskie; ale mi się zda, że przed dwudziestu laty i tu inaczej wyglądało.

— Być może—odparł Wijurski,—nas to nie bije tak w oczy, bo się odmieniało powoli, a wyście nagle ujrzeli, snadniej różnicę widzicie. Za każdego panowania u nas odmiennie się układają dwór pański, a zatem i inne dwory.

Za Stefana Węgra było wszystko z węgierska a rycersko, przepychu nie znał, ale ład zaprowadzał; żołnierz był pierwszy... Za nieboszczyka Zygmunta, który wcale na wojownika się nie sposobił i więcej z różańcem, niż z szablą chodził, dwór się ubierał, mówił i szwargotał z niemiecka. Okazałości przybyło; nie wiem, czy siły...

Za teraźniejszego pana z cudzoziemska też dwór i panowie się noszą. Wielu nawet się poprzebierało, że w nich Polaków poznać trudno. Capella, Włochy, malarze flamscy, podczas i Francuza spotkasz, a Niemcy też nie rzadcy i wszystko się świecić musi a kapać od złota. Nabożeństwa teraz zwłaszcza po śmierci królowej, mniej, a no zabawy huczne i stoły suto zastawne, a piwnice pełne... Wesolo u nas bardzo!

Płaza słuchał z uwagą wielką.

— Dobrzeby to było—zamruczał jakby mimowoli—gdyby na granicy od Tatarów kożuchami i pieniędzmi pokoju nie trzeba okupywać.

I chwilę jechali milczący.

II.

Nazajutrz pod wieczór, jadąc wślad za taborem marszałka Kazanowskiego, który z łowów powracał, zbliżyli się dwaj podróżni ku Warszawie.

W ciągu podróży nie ustawała prawie rozmowa, ale dziwna rzecz, Wijurski, który się spodziewał coś dobyć z towarzysza, obrachowawszy sumienie, czuł, iż ten Płaza więcej daleko z niego wyciągnął, niż się sam wygadał. Tyle o nim teraz wiedział Wijurski, co wyjeżdżając od Skroby, ale postrzeżeń uczynił wiele i był pewien, że ów Płaza nie dla oddychania mazowieckiem powietrzem do Warszawy sunie.

Sama jego ciekawość pewnych stosunków, wyżej sięgających poza sferę, w której się obracał, podejrzaną była p. Szczepanowi. Zaspokajał on ją, bo tajemnic nie było w tem, co mówił, ale nabywał przekonania, że ten powra-

cający od kresów szlachcic miał zanadrą coś więcej, nic wacek pełny.

Nie popisywał się on z tem, że grosza miał poddostatkiem, lecz mimowoli się z tem wydawał. W pierwszem miasteczku, gdzie miodu i wina dostać było można, zaprosił Wijurskiego i sprawił mu bankiet prawdziwy. Kazał szczukę zgotować po żydowsku, pieczeń upiec, a napoju postawił, jak nie na dwu, ale i na dziesięciu. Prawda, że sam pił, pił i nie mógł ani ugasić pragnienia, ani mu szło do głowy i w mózgu mąciło. Potniał tylko, czerwieniał, oczy mu się coraz ogniściej paliły, głos trochę podnosił, lecz ni słówkiem się nie zdradził, ni go to zmęczyło.

Gdy mu się Wijurski od trunku wymawiał, dziwując, że on tak wiele go znosi, Płaza rzekł:

— Trzeba na kresy jechać, aby się pić nauczyć i to na gorzałce, bo tam krom kwasu i jej, mało co znaleźć. Życie się prowadzi takie, że czasem w gębę niema co wziąć i kropli wody nawet nie dostać. Dorwie się potem człek do strawy i napoju, musi za głód i pragnienie sobie odpłacić... i ot tak...

Ręką zamachnął.

— A waszmość—zapytał Wijurskiego nagle—kędy myślicie zajechać w mieście?

— Ja?—odparł podkoniuszy.—Jasna rzecz — do dworu książęcego. Teraz w Warszawie mało który z panów nie ma dworu, choć z drzewa, lub i murowanego pałacu. Przy każdym stajnie, kuchnie i pomieszczenie dla czeladzi a dworu.

— No, alećprzecież i gospody się znajdą dla tych, co jak ja, nie mają ani pana, do któregoby zajechali, ani własnej budy.

Wijurski się trochę namyślał z odpowiedzią.

— Juścić—odparł po przestanku—dach i gospodę, a wygodę znajdziecie łatwo, szczególniej przy Długiej ulicy, gdzie austeryi i gospód różnych siła jest, ale musicie się wprzódy z mieszkiem obrachować, aby starczył, bo gospodarze drą niemiłosiernie i za to, co dają, i czego nie dostarczają. Gdybyście posłem byli cudzoziemskim—

dodał, śmiejąc się pan Szczepan,—to jak w dym moglibyście do tego gmachu, który Giełdą nazywają.

Płaza się zmieszał widocznie, oczy spuścił.

— A piękny ze mnie poseł!—zamruczał, mocno poruszając ramionami i koniowi dawszy niepotrzebnie nahajką po bokach.

— No, kiedy się do Giełdy za darmo wprosić nie możecie, to do wyboru macie oprócz tego gospód różnych dostatkiem, od najpośledniejszych do najparadniejszych, która jest Giżowska. W tej, czego dusza zapragnie dostaniecie, nietylko piwa garwolskiego i wareckiego, nietylko siana i owsa, miodu i wina, ale i łaźnia osobna, i fontanna pańska, i ogródeczek, zasadzony ziółkami.

— Ach—przerwał Płaza,—chyba żartujecie sobie ze mnie, bom ja chudy pachoł, a tam dla panów gospodarz z wymysłami.

— Sąć i pośledniejsze, i tańsze—dodał Wijurski.— Po Giżowskiej idzie Kalina, ale ten drze. Długoszowska gospoda mierna, u Gąsiorka się mieszczą ci, co tanio chcą, a wygodnie. Karmi dobrze, tylko tam w wspólnej izbie spać będziecie musieli, bo osobnych niema, o które też i u innych trudno. Co najmniej we dwu, we trzech, albo i czterech zebrać się trzeba, aby sobie alkierzyk dostać.

Ja też tam niedaleko będę, bo mój książę podkomorzy ma tam właśnie dwór, którego jedne wrota na Długą ulicę wychodzą. Zobaczycie go łacno, bo choć to z drzewa, ale po pańsku wystawione, obszerne, a izba stołowa choć na stu ludzi. Niedarmo o Radziwille powiadają: Rad żywił. U nich gościnność we krwi i rodzie.

— Jakże zowiecie tego, co mi go zalecacie?—spytał Płaza.

— Kalina się zowie. Łatwo go znaleźć, bo i wiecha wywieszona, i znak jest, i około gospody zawsze ludzi, szczególniej przekupniów natrętnych, stoi dużo.

— Ale to tam ladajaka gawiedź musi zajeżdżać, a... —rzekł Płaza i urwał zadumany.

— Cóż chcecie? Panowie do gospód nie zwykli;— odparł Wijurski—oni albo mają własne dwory i dworki, lub do przyjaciół jadą. Wstydziłby się z nich każdy do gospo-

dy, jakby już ni brata, ni swata nie miał. Ale u Kaliny szlachta mazowiecka, ba i z dalszych stron, dworscy tych panów, co tu dworów nie mają... no... i wszelki człek obcy. Gwar, co prawda dzień i noc; za to się człek nie znudzi i przysłuchać jest czemu.

— Jabym najlepiej wolał—wtrącił Płaza—mieszczanina sobie znaleźć, coby mi izbę, nie izbę, komórkę bodaj wynajął i dla konia w stajni żłób. Kto wie, jak ja tu długo postoję. We wspólnej izbie spać, gdzie i nocą spokoju niema i kłótnie częste... i mieszka człek nie pewien..

Spojrzał ku Wijurskiemu.

— Mieszczan ci to ja znam wielu—rzekł podkoniuszy, — ale oni nieradzi na gospodę kogo przyjmują, zwłaszcza nieznajomego. Warszawscy mieszczanie też teraz urośli nie licząc już takich, jak Giże, jak Baryczkowie, co jeszcze za dawnych czasów prym tu wiedli, jak Strubiczowie, jak Drewnowie... nie policzyć bogatych i możnych,— a no do tych przystęp trudny. Zobacz w ulicy panienkę, albo jejmość którą Gzerską, Dzanottową, Kedrowską, Wolską, Kociszewską, gdy do kościoła, lub na przechadzkę wyjdą! Nie poznasz, że mieszczanka, tak klejnotami, atłasami, forbotami, fontazyami się to stroi, z góry patrzy na biednego człeka, a na paniczów zerka.

— Ba, po tych mi nic—szepnął Płaza—jam chudy pachoł, a choć chleba od nikogo, dzięki Bogu, nie potrzebuję, za starym już, abym szalał.

— Więc wam inaczej radzić nie umiem—odezwał się Wijurski — tylko do Kaliny, a że mnie w tę samą stronę droga, zaprowadzę was do niego i zalecić mogę. Rozpatrzycie się później, albo poznajomicie, a może się mieszczańska gospoda znajdzie.

Podkoniuszy rzucił okiem na ponuro zamyślonego towarzysza i dadał:

— Macie-li sprawy jakie w mieście, wedle tego się i gospodą trzeba mieścić, gdzie dogodniej a niedaleko, bo się Warszawa teraz rozrosła z Nowem Miastem i przedmieściami. Panowie coraz to mieszczańskie place, ogrody role wykupują, a ci dalej ustępują od środka. Panom yć bliżej zamku i swoich najlepiej przystało. Nigdy się

tak nie budowano, jak teraz. Cegielnie się mnożą na Skarzyszewie, na Pradze, na Nowem Mieście i w Ujazdowie, bo panowie się do murów rwą, a co najmniej z pruska napół cegłą budynki stawią, drudzy i marmur sobie sprowadzają, szczególniej na odrzwia i posadzki. Cieśle też do czynienia mają.

— Jeśli więc sprawy jakie do panów macie—dokończył Wijurski,—w Długiej ulicy wam będzie najdogodniej.

— Ja? ja?—podchwycił nagle Płaza z przymuszonym uśmiechem—ale ja tu żadnych spraw nie mam. Nikt mnie nie słał, nikogo nie znam. Z dawnych czasów nazwisk się w pamięci coś zostało, ale lat dwadzieścia,—wielki to przeciąg; z tych, co żyli niegdy, mało na świecie jest...

— Zawsze nie może być, byście kogo znajomego nie znaleźli—rzekł Wijurski.

Płaza obejrzał się niespokojnie dokoła, ramionami poruszył, wargi mu zadrgały, jakby coś mówić chciał i mruknął:

— Jam nigdy nie mieszkał w Warszawie.

— Długo tu myślicie pozostać?—zapytał podkoniuszy.

— Sam nie wiem—ociągając się, rzekł powoli Płaza,—jak trudno mi powiedzieć, pocom się tu przywlókł, tak i przeczuć niełatwo, co tu będę robił i czy wysiedzę.

Nastąpiło milczenie, a zmarszczone czoło Płazy świadczyło, że się zadumał głęboko i smutno. Nagle konia batogiem uderzył i przybliżył się z nim do Wijurskiego, patrząc mu ostro w oczy.

— Zdajecie mi się dobrym i szczerym człowiekiem— odezwał się,—powiem wam więc, czegobym przed ladakim się nie zwierzył. Dowiecie się prawdziwej przyczyny, dlaczegom ja naprzód kraj porzucił, a teraz do niego powracam.

Wijurski mu począł za zaufanie dziękować, ale pomyślał sobie:

— Ho! ho! chcesz mnie, ptaszku, w pole wywieść, abym cię nie posądzał i nie domyślał się, albo nie odgadł tego, co tobie nie po myśli.

Tknęło go, iż nagła ochota zwierzenia się nie czem innem była.

— Powiem to wam naprzód, że czy ja do tego nazwiska, które noszę, teraz prawo pełne mam, lub nie, to Bogu wiedzieć i mnie, ale o to nie chodzi. Dosyć, że z antenatów szlachcic jestem, jak lepszym być nie można. Listów na to królewskich nie mam, ale takie już szlachectwo, co się pergaminami, nie świadectwem całej ziemi wywodzi, licha warte... Rodzice wieś mieli w Krakowskiem... ale pod wielkiem miastem, dla mieszczan pokusa ziemian udawać, a ziemianom zachciewa się miejskich rozkoszy. I tak ojciec mój z kosterami, skomorochami i błazny miejskimi po całych tygodniach się weseląc, wioskę zaszargał, że gdy zmarł, opędzić się nie było można wierzycielom. Matka, mężna niewiasta, przecie i mnie wychowała, i ojcowiznę ocaliła. Panie, świeć nad jej duszą.

Jam naprzód w Wieliczce do szkoły przy kościele chodził, a potem mnie matka do Krakowa oddała do bursy. Jakem się uczył, najlepszy dowód, gdy dziś oprócz łaciny trocha, nie umiem zgoła nic... a rosłem, jak na drożdżach i we mnie ojcowska pono krew kipiała. W mieście na każdym kroku do grzechu okazya, a gdzie spojrzysz, przykład tego, że grzeszyć wolno, a no i bezkarnie.

Ledwiem dwadzieścia lat miał, gdy mnie Bietka, córka kupca, tak za serce wzięła, żem jej poprzysiągł się żenić, choć szlachcianką nie była, a w dodatku kupiec Szwabem śmierdział; ale dziewczę było tak piękne, że oczy porywało, a ludzie za nią gromadami chodzili, aby tylko zobaczyć. Jak się nie miała popsuć?

Matka na moje małżeństwo z mieszczką na żaden sposób pozwolić nie chciała, choć kochała mnie bardzo.

— Z chłopkąbym prędzej pozwoliła—rzekła—bo te pracują i pana Boga znają, a ta twoja Niemka i wiary nakszej, chodzi pono do zboru i płocha jest, a nieszczęścia naprowadzi.

Uwziąłem się ją prosić, padałem do nóg, alem przełamać nie mógł. W końcu mi rzekła:

— Żeń się, ale bez mojego błogosławieństwa.

Niemcy mnie namówili, żebym ślub wziął przed ich ministrem, a za matkę ręczyli, że ona później się na wszystko zgodzi.

Jam chętnie na to przystał, ale gdy po tygodniu wesela w mieście z żoną przybyłem na wieś, drzwi zastałem zamknięte. Matka powiedzieć mi kazała, iż znać mnie niechce. Powróciliśmy do miasta, gdziem tymczasem osiadł w kamienicy teścia z Bietką. Nie upłynęło pół roku, gdy matka strapiona, zachorowała ciężko i zmarła. Płakałem po niej, ale mi na rękę było na wieś z żoną jechać, bo w mieście z gładkiem liczkiem jejmości wielka była bieda.

Chmarami około niej kręciły się gachy, którym ja, zazdrosnym będąc, opędzać się musiałem. Nie liczę tego, ile guzów nabiłem i motylów [1]) nabrałem dla niej.

Płaza westchnął.

— Narodziła się nam wreszcie córeczka, a żona, zmuszona teraz jej pilnować i o swe zdrowie dbać, trochę się ustatkowała. Mnie się szczęście zdawało uśmiechać, choć na wiosce małej tak jak myśmy byli żyć nawykli, trudno było wydołać. Skarżyła się jejmość, jam czynił, co mógł.

Rychło po urodzeniu dziecka zatęskniła za swymi i zabrawszy je w odwiedziny, do Krakowa ruszyła. Miała powrócić, nie mieszkając. Jam na wsi gospodarował. Tymczasem minęło tygodni dwa i trzeci się napoczął, a jejmości nie było z powrotem. Nakazywała tylko—rychło wrócę,—abym się nie kłopotał.

Mnie bez niej tęskno było tak, że jednego wieczora wprost z pola pojechałem do miasta, i gdyby nie dobre znajomości, jużbym się nie dostał do niego, bo bramy były pozamykane, ale mnie viertelnicy furtą puścili.

Wprost, jakby mnie co tknęło, pobiegłem do domu rodziców żony, a tu konia do płota przywiązawszy, gdym przez szpary okiennicy światło w izbie żony zobaczył, podkradłem się... Zazdrość jakaś mnie pchała, coś mówiło, że nieszczęście mnie czeka.

Okno to było mi dawno znane, że przez nie z boku na izbę, mimo okiennicy, zajrzeć było można. Bietka leżała na łóżku, na skraju jego siedział Włch, kupczyk Czeryn, który i dawniej bardzo koło niej zabiegał... Śmia-

---

[1]) Sińców.

li się i całowali... W oczach mi się zrobiło ciemno, tylko żem nie padł trupem, ale złość i gniew siłę mi dał. Z ogródka drogę do izby znałem dobrze, i gdym do niej wpadł nagle, Czeryn nie miał czasu ratować się ucieczką... Położyłem go trupem w miejscu, tak, że w znak padł na łóżko żony mojej i całe je obroczył.

Kobieta się z krzykiem wyrwała, bo się obawiała takiego samego losu i dziecię z kolebki schwyciwszy, uciekła.

Mieszczanie byli u siebie w domu; pochwycono mnie zaraz i nawiązała się szpetna sprawa o mężobójstwo, gdzie ten zdrajca czystym się miał okazać, żona niewinną, a ja poprostu rozbójnikiem. Sprzysięgli się, abym gardło dał... Nikt do mnie dostąpić nie mógł, kajdany mi włożyli... jużem myślał, że życiem przypłacę, gdy zmieniono mi więzienie i postrzegłem, że z okna na lada sznurku spuścić bym się mógł i uciec. Straż piła i niezbyt ostro doglądała, mnie strach śmierci zuchwałym czynił, i o mało karku nie skręciwszy, potłuczony znalazłem się za murem miejskim a nazajutrz w lesie opodal, gdzie mnie już dognać i wyśledzić było trudno.

Głodu i wszelkiej biedy zażywszy, z pomocą jedynego druha, jakiegom w życiu miał, potrafiłem się odziać,uzbroić i szkapę kupić. Wioskę i co w niej było wierzyciele wnet pochwycili. O żonie tylem wiedział, iż z Krakowa i ze świata znikła, a i później o niej ani tu, ani gdziekolwiekbądź dowiedzieć się, ani dojść nie było podobna. Mówili jednak ci, co wiedzieć coś mogli, iż ona zmarła, a dziecko żyło i poszło na obce ręce. Druh, który zmarł lat temu kilka, o tem mi nakazywał, iż w Warszawie na jakiś ślad jej natrafił.

Jam przez cały ten czas puściwszy się na kresy, zapomnieć chcąc o wszystkiem, tam pozostał... Otóż mi się zatęskniło... a nuż dziecko moje odszukać potrafię...

Wijurski słuchał opowiadania tego, dosyć nieporządnego, poplątanego, a jak mu się zdawało, niezbyt do prawdy podobnego, z uwagą. Przygoda mogła być niekłamaną, ale w niej dużo ciemnego zostawało. Począł tedy pytać:

— A na czemże nadzieję opieracie, że córkę znaleźć

możecie? Pewnie i nazwisko zmieniła, a dziś, po dwudziestu leciech, kto wie, co się z nią dzieje? Prawda to, że i po cienkiej nitce do kłębuszka dojść można, ale ja bo nitki tu nie widzę.

Płaza westchnął.

— Mało mam i ja nadziei, ale wiem tu o ludziach, którzy o rodzicach żony i o niej powinniby coś wiedzieć. Prawda, iż czasu dosyć przeszło, ale próbować potrzeba... Nie byłbym tak na świecie, jak palec, gdybym dziecko przynajmniej odszukał, które może przeklinać mnie nauczyli.

Gdy to mówił, Wijurski zważał, że choć chwilami gniew z niego buchał, ale miłości dla dziecka i troski o nie nie okazywał bynajmniej, z czego wnosił, iż choćby historya prawdziwa była, nie ona tu Płazę prowadzić musiała.

Nie miał zresztą powodów podejrzewać go o nic... prosta tylko ciekawość skłaniała go do tego, aby z towarzyszem podróży nie zrywał. Razem tedy nad wieczór już, pominąwszy Skarzyszew z jego ratuszem i śpichrzami, i targowe place na Pradze, przeprawili się przez Wisłę i wjechali do miasta.

Płaza, który tu od bardzo dawna i krótko bywał, w samej istocie nie umiał się ani pokierować, ani mógł rozpoznać, tak się wszystko dziwnie właśnie pod te czasy odmieniło.

Miasto wyglądało wcale inaczej, niż dzisiejsze, gdyż każdy niemal dom i dwór miał ogród, plac obszerny, oparkaniony, przy niektórych stały stare, przy innych nowo pozasadzane drzewa. Gdzieniegdzie wznosiły się kamienice murowane pod dachówką i blachą, i pałace z oficynami,stajniami i kuchniami, ale większość dworów była drewniana, z pruskiego muru, lub otynkowana tylko, co właśnie we zwyczaj wchodziło.

Zamek od przodu staremi szopy i budowlami odwiecznemi zasłonięty, nieokazale się stawił, ale i tu już nowe mury widniały. Kościołów było dosyć starych i nowych, a z tych niektóre z wieżami. Ulice zato całe się niepocześnie ukazywały, zapuszczone, nie wszystkie prosto powy-

tykane, pełne śmiecia i błota. Mało gdzie bruk znaleźć było można.

Przy tem wszystkiem w pobliżu zamku, na Nowem Mieście, około pałacu na Ujazdowie, przy Cekhauzie i Giełdzie na Długiej ulicy, życia i ruchu było dosyć.

Po drodze Wijurski, który tu wszystko na palcach znał, właściciela każdego domku mógł wymienić, objaśniał Płazie, do kogo należały mury i pałace, zdala mu ukazując Kazanowskich, Ossolińskiego i inne przedniejsze gmachy.

— Niesłychane tu u nas się wzięły przepychy—rzekł— o których dawniej i na królewskich zamkach słychu nie było. Marmury na posadzkach, na ścianach, tramy na stropach pozłociste. Pan marszałek nadworny, gdy się znuży a zechce mu się z dołu na górę wnijść, siada sobie na krzesło i kunszt ma taki, czyli wagę, że go podnoszą. Z piwnicy wino wprost do jadalni do srebrnych beczek puszczają. Kunszty we wszystkiem takie, o jakich dawne wieki nie słyszały.

Cóż powiedzieć o obiciach na ścianach, z których niejedno zdałoby się na suknię od parady, o posągach lanych i z kamienia urabianych, które stoją, jak żywe, o drzewach pod szkłem, które rodzą owoce u nas niebywałe.

Płaza się rozśmiał.

— Piękneć to rzeczy są i pańskie—odezwał się, — ale ci, co ich zażywają, czy nie zniewieścieją od nich? Będą się-li oni bić, gdy Tatarzyn napadnie?

— Młodzież? Tej na animuszu nie zbywa—zawołał Wijurski,—a co do starych, ci już mówią, że swój dług za Batorego spłacili.

Ruszył ramionami.

— To prawda, że miękkości w obyczajach wiele przybyło—ciągnął dalej podkoniuszy,—sądzę jednak, iż, póty jej, dopóki pokoju. Gdyby na wojnę zatrąbiono, ruszyłoby się wszystko, nawet i sam król, choć okrutnie się roztył i ociężał, ale rycerski duch w nim żyje.

— Na kresach—z pewnem wachaniem, cicho i ostrożnie przebąknął Płaza—chodziły i chodzą wieści, jakoby król na Turka miał się siłą wielką sposobić.

Wijurski spojrzał nań.

— Zwyczajne to kresowe plotki—rzekł—bo tam czego się pragnie, o tem się roi... A no u nas szlachty na pobór i na ruszenie, na wojnę przeciwko pohańcom nakłonić nie potrafi najmędrszy! Król zaś sam ani wojny wydawać, ani jej prowadzić nie ma u nas prawa, i choćby popróbował, nie wiem, czy mu się to uda.

Milczał trochę Płaza.

— A król-że to sposobów niema — rzekł — szlachtę przymusić, żeby szła za wolą jego? Od czegóż królem jest?

— Jak to znać, że waszmość od kresów przyciągasz. Próbował-ci tego Stefan nieboszczyk, próbował Zygmunt, ale nie udało się im obu, a nasz pan bodaj nie ma żelaznej ręki pierwszego ani mądrości ojca swego i poparcia, jakie on miał w Rakuszaninie.

Płaza się zadumał, nie rzekł już nic, a oto zbliżali się przecznicą Miodową ku Długiej ulicy. Tu chociaż wieczór był, ludno było i gwarno, po domach przez okna światło biło, a około nich ludzie się zwijali z latarenkami i jak iskierki migały ich łojowe świeczki w szklanych i papierowych osłonkach.

Gospoda Kaliny, do której grzeczny Wijurski doprowadził towarzysza, szeroko się rozsiadała, a ogromne jej dotychczas otwarte wrota były jak czarna paszczęka... pełno tu było stojących ludzi, przekupniów i gawiedzi ciekawej. Wozów kilka stało u wjazdu. Cały rząd okien błyszczał ogniami rozpalonemi po izbach.

Kalina otyły i gruby człek, krzykiem i pięścią robił u wrót porządek, starając się, jak najwięcej gości pomieścić, choć ich już zdawało się w gospodzie pełno.

Znał go trochę Wijurski.

— Hej, mości Kalino—zawołał.—Jam tu wam gościa przyprowadził i poleciłem waszą gospodę jako lepszą od Giżowej; nie uczyńcież mi sromu, a niech niegłodny i spokojny będzie.

Kalina się obejrzał na Płazę, ale mu snać niebardzo wpadł w oko.

— Widzicie sami—rzekł, do Wijurskiego podchodząc, a rękami ukazując — tłok wszędzie, zjazd wielki. Sena-

torowie na radę, szlachta z prośbami do króla. Nietylko u mnie napchano, ale wszystkie austerye pełne. Wiązki słomy pod głowę dostać trudno.

— Ale zmiłujcież się—przerwał Wijurski.

— Bądźcie spokojni, u mnie zawsze kącik jest jakiś w zapasie... ale dla niewybrednych.

To mówiąc, despotycznie pochwycił za cugle konia Płazy i pociągnął go za sobą. Szlachcic tymczasem zsiadłszy, ostrożny naprzód się zabrał do odpinania trok, bo nie był pewnym, czy mu ich tu kto nie oderznie.

Konia potem z terlicą pachołkowi oddał bezpiecznie, worki sam na ramię zarzuciwszy, gdy Kalina drzwi otworzył i wszedł z nim do izby.

Tu wrzało, jak na targowicy. Na kominie gorzał ogień ogromny i izbę oświecał całą. Zastawiona była stołami i ławami tak, że pomiędzy niemi drogi tylko wązkie pozostawały. Wszystkie niemal miejsca na tych ławach były zajęte, a na stołach blaszane, szklane, drewniane naczynia, gliniane miski gęsto były ustawione na szarych, poplamionych obrusach. Towarzystwo liczne, z bardzo rozmaitych składało się żywiołów.

Nie było wprawdzie ludzi, którychby do chłopstwa zaliczyć można z wejrzenia, ale ręczyć za szlachectwo tego tłumu niktby się pewno nie ośmielił.

I suknie i twarze różne narodowości i plemiona zdawały się cechować; litewska śpiewna mowa, mazowiecki, wielkopolski, rusiński akcent się przebijał. Nie zbywało na Węgrach i na Wołochach, ani na Niemcach, ale ci się z mową nie popisywali.

Dostatnie i wyszarzane odzieże ocierały się o siebie.

Woń kwaśnego piwa górowała tu nad innemi wyziewami odzieży, kożuchów, dziegciem smarowanych butów, przyswarzonej tłustości i woni człowieka naostatek, który nie jest jej pozbawionym. Lecz Płaza przyzwyczajonym być musiał do tego wszystkiego, bo się ani skrzywił. Niósł na ramieniu sakwy i idąc za gospodarzem, oglądał się tylko, gdzieby bezpiecznie mógł swój ciężar złożyć.

Prowadzący go Kalina, tarł głowę, bo i on oczyma

miejsca szukał, a znaleźć go nie mógł. Ludzi, węzełków, worków, sakw różnych pełno było.

Przeszli tak pierwszą tę izbę i wstąpili na próg alkierza, który spokojniejszy się wydawał, ale i tu pełno było. Ogień przygasły w kominie nie dawał dobrze rozpoznać siedzących.

Płaza się już zatrzymać chciał, gdy Kalina mu dał znak i w kącie pod ścianą na ławie miejsce ukazał. Wprawdzie pod ławą ktoś już złożył swe rupiecie, lecz kawał twardej deski w samym rogu i dwie ściany, o które się zeprzeć było można, nie starczyłyż dla takiego podróżnego?

Gospodarz odezwał się cicho:

— Tymczasem znajdziemy... może i lepszego coś...

Płaza rzucił swe sakwy.

— No, a jadło?—zapytał—a wódka?

— Cierpliwości, wszystko się znajdzie — rzekł Kalina. — Gorzałki zaraz przyślę, a na krupnik i kluski trzeba poczekać, aż dla wszystkich będą gotowe.

— A gdzież ja tu będę jadł?—mruknął Płaza, oglądając się. Na kolanach jam nie zwykł.

Kalina rękę podniósł do góry i zawróciwszy się, odszedł bez odpowiedzi.

Mrucząc, a może przeklinając Wijurskiego, siadł pan Lasota przy swych węzełkach, ale tak mu mało miejsca zostało, że daleko wygodniej pono było na terlicy i na szkapie, niż tutaj.

Westchnął i ziewnął razem.

Upłynęła tak chwila, oczy mu się mimowolnie kleiły, w izbie mrok pokrywał wszystko, gdy z pierwszej gwarnej tej giełdy wszedł ogromnego wzrostu mężczyzna krokiem powolnym do alkierza, począł oczyma rzucać po kątach, zoczył Płazę, zbliżył się i podniósłszy rękę szeroką jak łopata, uderzył go nią po ramieniu.

Ten poufały gość, zbudowany, jak pachołki miejskie, na których dobierają siłaczów, z wąsami zachodzącemi mu za uszy, w stroju z kozacka, w czapce baraniej, długich juchtowych butach i pasie szerokim czerwonym, srogą miał i niemiłą twarz; ani dziw, że Płaza się żachnął.

Drab się pochylił, śmiejąc się, ku niemu i do ucha

coś szepnął. Płaza dał mu tylko znak milczenia. Przybyły obejrzał się wkoło z uwagą i począł półgłosem:

— Tylkoś wszedł na próg, tom cię poznał.

— A ja tu nikogo nie znam i znać nie chcę—odparł popędliwie Płaza. — Powinieneś to rozumieć...

Nastąpiło milczenie; kozakowaty drab skrzywił się.

— Niechaj i tak—rzekł,—a ja wam tyle powiem, że się beze mnie nie obejdziecie.

— Może być — mruknął Płaza.

Drab stał uparcie.

— Kto wam tu wskazał?—spytał.

— W drodze spotkałem jakiegoś szlachcica.

Poszeptali coś między sobą i pachoł wolnym krokiem się oddalił. Rozmowa ich niczyjego nie zwróciła oka. Sam Kalina przyszedł, niosąc flaszkę gorzałki, którą zalecał, bo miała być z pieprzem i jedyna po fatygach i niewczasach podróży. Płaza też wychylił jej naraz dwa kubki, a dobry kawał chleba z solą służył za zakąskę.

Do spożycia krupniku znalazł się kątek przy stole, ale następowała godzina spoczynku i Płaza napróżno się rozpatrywał po izbie, gdzie i jak się umieścić potrafi. Ci, którym pilniej było, ani na gwar, ani na ciasnotę nie zważając, mieścili się na podłodze, sami sobie kule słomy przynosząc.

Płaza mógł się przypatrzeć, jak szlacheckim obyczajem, każdy z gości zabierając się do spoczynku, po pacierzu szablę starannie u boku swego mieścił, tak, aby na wszelki wypadek mieć ją pod ręką.

Przysłowie stare uczyło:

Bez karabeli
Ani z pościeli.

Ogień powoli na kominach wygasał; trzeba było pomyśleć o sobie. Płaza miał już pójść po słomę, której mu dostarczyć nie myślano, gdy drab, co go tu wprzódy powitał, zjawił się we drzwiach z dwiema kulami na plecach, i jeden z nich rzucił mu pod nogi, a sam słowa nie mówiąc, do pierwszej izby zawrócił.

Tu jeszcze głośno rozprawiano, śpiewano, i choć na mieście wytrąbiono gaszenie ognia i spoczynek, w gospodzie bardzo powoli przychodziło uspokojenie. Niektórych sen nad stołem zmorzył i chrapali nad nim schyleni.

Nie rozdziewając się, Płaza pasa tylko trochę popuścił, trzos, który miał pod nim, zapiął na inną dziurkę, głowę obwinął opończą i kamiennym snem zasnął.

———

III.

Zaledwie dnieć poczynało, gdy się już u Kaliny ruszyli czeladź i goście. Właściwie rzekłszy nocy tam nie było, bo nim się jedni pokładli, drudzy już wstawali, a na kominach wieczorny ogień nie wygasł, gdy ranny rozpalono. Po izbach, wśród uśpionych snuły się ciągle jakieś rozespane postacie, potem niektórzy zaczęli wstawać, głośno odmawiając pacierze, w stajni około koni ruch się zrobił, i życie wczorajsze powoli na nowo się przędło.

Płaza spał, choć około niego ruszano się, chodzono i stukano. Pootwierano okna; niektórzy się sposobili do drogi i rachowali krzykliwie z gospodarzem, nowi nawet podróżni, co nocą pośpieszali, zjawiali się chłodem poranka przejęci.

U studni w podwórku widać było do pasa obnażonych ichmościów, którzy prosto z niewygodnego barłogu poszli się zimną wodą oblewać i pokrzepić.

Słowem, nim w ulicach miasta ludzie się snuć zaczęli, zaledwie po kościołach dzwoniono na ranne pacierze, już u Kaliny pito, zajadano i żwawo się obracano. Piwa grzanego, polewek i gorzałki ledwie mógł gospodarz nastarczyć.

Wstał nareszcie i Płaza, ale że się chciał całkiem przyodziać, odzież zmienić, troki swe rozwiązać, a tu miejsca nie było i dla ciekawych oczów nie chciało mu się karmi

dostarczać, burcząc, zażądał alkierza, gdzieby sam mógł chočby na krótki czas pozostać.

Dano mu wistocie napół ciemną spiżarnię pustą, w której strasznie stęchliznę i gnilec czuć było, a powietrze dreszczem przejmowało, ale człek był wytrzymały więc sobie nie przykrzył.

Gdy wyszedł potem z komory lepiej wyglądał, choć z sukien widać było, że długo nieużywane leżały. Z pasa, z szabli a nawet żupana lamowego wydawał się szlachcicem dostatnim, chociaż długi pobyt na kresach zapewne ruchy mu nadał jakieś gwałtowne i zamachy kozacze.

Z chmurą na czole, zadumany, naprzód do wódki się wziął, a potem do misy grzanego piwa ze śmietaną i serem, którą opróżnił i wąsy otarłszy, zabieral się wychodzić. Sakwy gospodarz pod klucz zabrał, a koń, którego straż parobkowi powierzył, miał się dobrze, więc mógł ruszyć na miasto.

W progu już napędził go ów drab wczorajszy w koszuli i bieliźnie tylko, bo się ledwie w stajni z pod żłobu, gdzie spał pono, pochwycił i poszeptali coś z sobą.

Płaza wyszedł wreszcie w ulicę.

Niedaleko od Kaliny stał ów dwór księcia podkomorzego Radziwiłła, do którego Wijurski miał zajechać. Spojrzawszy w tę stronę, Płaza po krótkim namyśle naprzód się tu zawrócił. Za nocleg wskazany dziękować nie było warto, ale Wijurski mu był potrzebny.

Parkanem mocnym ogrodzony dworzec Radziwiłłowski miał od Długiej jedną bramę z furtą do której zapukał Płaza. Wpuścił go stróż bez pytania.

W podwórzu ogromnem, o tej porze pustem jeszcze, bo dopiero konie poić miano i kilku parobków kręciło się kolo studni, w głębi stał dwór stary, niepokaźny, trochę już zwichnięty w ścianach, z wielkim herbem książęcym na szczycie, który od lat i słot całkiem był poczerniał. Dalej, gdzie do wału miejskiego plac przylegał, wznosiło się nowe domostwo pańskie, którego drzewo sosnowe jeszcze ściemnieć nie miało czasu. Duże okna o jasnych szybach, ganki, dach starannie ciesielską robotą były wykonane.

Tu drzwi pozamykane czekały widać na samego pana, dla którego gmach ten był przeznaczony.

Żywej duszy nie widząc przy nim, Płaza udał się, mijając ogromne stajnie, ku staremu budowaniu, bo tu czeladź się kręciła.

Chociaż pana w domu nie było, a godzina wczesna bardzo jeszcze się ludziom poodziewać nie dała, na tych, co się pokazywali, widać było dostatek pański. Opończe bramowane, kontusze jasne, czapki z futer pięknych, lica rumiane i wypasione; zawiesiste miny Litwinów znamionowały dwór magnata, butny i wesoły.

Na zapytanie o Wijurskiego, stojący w progu z rękami w boki mężczyzna szerokoramienny, z długim włosem jasnym, pochwycił przebiegającego właśnie chłopczyka za ramię i kazał gościowi mieszkanie jego ukazać.

— Sambyś waszmość nie trafił—rzekł, śmiejąc się,—bo tu u nas zakamarków przepaść, a korytarze ciemne i psów pełne.

Wistocie chłopak się, biegnąc, parę razy o rozłożone w sieniach ogary potykać musiał i raz w lewo, to w prawo skręcając po przybudówkach jakichś do drzwi napół otwartych doprowadził Płazę.

Stał w nich właśnie Wijurski.

— Czołem!

— Czołem! Przyszedłem za nocleg podziękować — odezwał sie Płaza,—choć niech go milion dyabłów weźmie z jego gospodą... ale biednemu człowiekowi się inaczej pomieścić nie można, tylko w takim ulu piekielnym.

Szczęście, że się w długiem życiu do wszystkiego nawykło—i do spania na terlicy i do oddychania w smrodzie.

Wijurski wprowadził go do swego alkierzyka, w którym też zbytków nie było. Tapczan z siennikiem, stół prosty, ławka, półka, kilka kołków w ścianie, zydelek z wiadrem u drzwi i misą.

— Widzicie—rzekł,—że i ja niepański też nocleg miałem, tyle tylko, żem sam był i pacierze spokojnie mogłem odmówić. Dałbym ci wam chętnie u siebie pomiesz-

kanie, ale takie u nas prawo w książęcym dworze, iż obcych wprowadzać się nam nie godzi.

Płaza przysiadł się nieco na ławie. Wijurski tymczasem, który już był ubrany, jak do miasta, szablę przypasywał, co oznaczało, iż się zabierał do wyjścia.

— A wy dokąd?—zapytał Płaza.

— Naprzód do kościoła, myślę, że do Dominikanów, gdzie zawsze mszę świętą znajdę—odparł Wijurski — a potem! Ha, no, poleceń i spraw mam dosyć! A wy?

Płaza pomilczał trochę.

Naprzód się no po mieście dziś rozpatrzę, śpieszyć nie mam co, a potem... (ruszył ramionami) sam nie wiem.

Wijurski się niedowierzająco uśmiechnął, ale nie powiedział nic.

— Jeszczeście tu nikogo nie widzieli?—zapytał po chwili Płaza.—Cóż tu słychać około dworu?

— Dziw!—odparł Wijurski—i wam się to pewno o uszy odbije, byleście się z ludźmi zetknęli. Wszyscy gadają o wojnie. Słyszę, większa część panów senatorów bardzo są jej przeciwni, nie wierzą w nią i gniewają się, gdy kto o tem prawi, ale około króla szczęk oręża ciągły. Ze swej kieszeni pono pan zaciągi jakieś robi, działa lać każe. Nie na kogo to być może, tylko na Turka. A po co go drażnić i budzić!—dodał Wijurski.

— Juścić my się kiedyś z poganinem rozprawić musimy a przegnać go z chrześcijańskiej ziemi—zamruczał Płaza.—Nie komu tego dokazać, tylko królowi polskiemu.

Wijurski westchnął.

— Pięknieby to było—rzekł,—ale się jakoś na to nie zanosi. Od tego czasu, gdy hetman Jazłowiecki buławę rzucał w Czarne morze, wołając: Tu granica Polski—od tego czasu daliśmy się Tatarom zająć i osiedlić na Budżaku, i w dzikich polach jużmy nie panami. Niedawnośmy jeszcze u tych zbójów kożuchami pokój okupowali, a tu nagle...

Wijurski głową pokręcił.

— I to niesforne Kozactwo na granicy—dodał,—gdzieby nam najlepszego żołnierza mieć na Niżu potrzeba!

Płaza drgnął.

— Oho!—zawołał—oho! Cóż wy sobie tak lekko szacujecie Kozactwo! Niesforne ono na pozór, ale tam siła jest; daj Boże, aby jej tyle u was tu było. Za łby się w koszu pobiorą, prawda, ale gdy razem iść trzeba na nieprzyjaciela, poborców tam uchwalać i sejmików zwoływać niema poco; zakrzyknie hetman, batko na mołojców i pójdą do ostatniego! A w domu z nich żaden ni żony, ani dziecka nie zostawi, więc się za życiem oglądać nie będzie.

Wijurski słuchał uważnie.

— Gorące—rzekł—Kozactwa bronicie.

Płaza się zarumienił i głowę na piersi spuścił.

— Bom się mu tu iowdzie na kresach przypatrzył—dodał i powstał z ławy.

Wijurski spojrzał nań bystro i po przestanku rzekł:

— Z nowin i ta druga, że się, słyszę, król nasz JMość ożenić pragnie.

To mówiąc, uśmiechnął się pan Szczepan.

— Hę! hę! w porę!

— A to dlaczego?—zapytał. Płaza,—niestary jest.

— Widzieliścież go?

Zamyślił się brodaty.

— Dwadzieścia lat temu!—zamruczał.

— Zobaczcież go teraz—rzekł pocichu Wijurski.—Z całym respektem, jaki majestatowi królewskiemu należy, aleć to nie ten piękny młodzian, któremu się ongi zagranicą dziwowano a malowano. Roztył się okrutnie, rozlał, a podagra mu w nogi wlazła, że się o kiju przechadzać musi; na konia mu ciężko, często po kilka dni w łóżku krzycząc, spędzać musi. Zobaczycie go zresztą sami.

Mówiąc tak, Wijurski powoli ruszył się i za czapkę wziął.

— A cóż? idziemy?

— Chodźmy—powtórzył zamyślony Płaza.

Przez ciemne przejścia wydobyli się na światło dzienne w podwórce, gdzie właśnie konie przeprowadzono pod dekami i koniuszy je mustrował.

Wijurski, zdala się przywitawszy ze stojącymi dworskimi urzędnikami, sam z Płazą wyszedł w ulicę i pożegnawszy go ku Dominikanom się zwrócił. Po chwili na-

mysłu brodaty skierował się ku Nowemu Światu, jak go już podówczas zwano, zwolna się między przecznicami oryentując i ludzi rozpytując.

Znałci niegdyś trochę Warszawę, ale teraz mnóstwo nowych budynków tak zmieniło jej wygląd, że ciężko się w niej obracał.

Ostatni przechodzień, którego Płaza nieśmiało zapytał o pałac wielkiego kanclerza Ossolińskiego, rozśmiał się głośno.

— A skądże u Boga idziecie?—zawołał—i jakeście to dawno tu nie byli, gdy o kanclerski pałac pytacie?

Wskazał ręką ku szerszej ulicy.

— Idźcieno, sam się on wam w oczy rzuci, bo po pałacu króla, po Kazanowskich toć to największe i najpiękniejsze w mieście budowanie a ozdoba nasza!

Zawstydzony nieco Płaza odszedł prędko. Wistocie nieopodal ogromny gmach, nader wspaniały, niemal królewsko wyglądający, zajmował znaczną przestrzeń ulicy, od której go oddzielała ozdobna brama z furtą. Poza nią widać było gmach, nad którego dachem okrytym górowały posągi kamienne i balasy. Z obu jego stron zalegały inne obszerne budowy a wśród nich zieleniało i nieco wierzchołków drzew z ogrodu.

Wszystko to wyglądało tak wspaniale, iż Płaza stał, patrzał i nierychło się odważył zbliżyć ku furcie. Wprzód, nim się ośmielił na to, obejrzał się pilno dokoła, lecz w ulicy oprócz przechodzącego żebraka i wozu wieśniaczego, który skrzypiąc przeciągał, nie widać było nikogo.

Zegar wieżowy zdala bił dziesiątą godzinę, tak dużo czasu zeszło od wyjścia z gospody.

Furta stała otworem, a w podwórzu trzymała straż piechota strojna z halabardami, ale ta mu dała przejść, nie pytając.

Teraz miał główny pałac na oku przed sobą i przypatrywał mu się ciekawie, mimowoli. Jako żyw, nic podobnego nie widział.

— Stroją teraz panowie domy swe, jak kościoły—rzekł w duchu.

Uderzały na czole gmachu naprzód cztery posągi królów polskich, pod któremi podpisów złocistych Płaza nie czytał. Nieco niżej nad samemi drzwiami obwiedzionemi marmurem czysto gładzonym, był wizerunek Polski. Niewiasta piękna i silna, u której stóp snop zboża położono, sparta na kopii, z sierpem w ręku. Z drugiej strony wyglądał pług i lemiesz. Rzeźbiarz, wedle pomysłu samego kanclerza w ten sposób dwoiste Rzeczypospolitej powołanie wyraził na straży zbrojną u granic chrześcijaństwa, a rolę swą, którą karmiła sąsiednie kraje, uprawiającą.

Płaza nawet, choć nieobyty z podobnemi dziełami, łatwo zrozumiał znaczenie posągu, który czterej królowie otaczali.

Oprócz tych statui po rogach gmachu stały dalej mnogie inne, a gdziekolwiek dach przeglądał z za balasów złocistych, wszędzie miedź na nim przy wieżyczkach, a na większych przestrzeniach dachówkę widać było.

Płaza, mało co od bramy odstąpiwszy, tak się wpatrzył w te dziwy, że jak wryty stał i cokolwiek się zapomniał. Byłby tak może na długo pozostał w tem zdumieniu, gdyby bardzo wytwornie ubrany z cudzoziemska młodzieniec, nie przystąpił do niego z pytaniem:

— Czego sobie waszmość życzycie?

Zawahawszy się nieco, Płaza rzekł:

— Z JMością panem kanclerzem widzieć się muszę.

Uśmiechnął się pytający.

— Nie może to być—rzekł,—dopóki kanclerz nie rozstrzygnie, czy wam posłuchanie dać zechce, a na to potrzeba, aby wiedział sprawę, która was tu sprowadziła, czas mu drogi.

Płaza skrzywiony podniósł wzrok swój przenikliwy ku mówiącemu i rzekł bez uniżoności, jakiej się może młodzian spodziewał.

— Są przecie sprawy, których się nie zwierza—rzekł—a takie tylko samemu panu do ucha należą. Właśnie też moja taką jest.

Namyślił się nieco.

— Jeśli to wasza rzecz rozstrzygać, lub kanclerzowi podawać wiadomość—dodał—chciejcie powiedzieć,

że ktoś przybył z listami od kresów, ale ich nikomu nie wręczy, tylko samemu JMości.

— Chodźcież za mną—odparł młodzian, poważniejąc.

W milczeniu pominęli pierwszy ów gmach od czoła, i zeszli ku ogrodowi, wśród którego stał drugi nie mniejszy ani mniej ozdobny, również marmurami okładany, posągami, balasami strojny. Wszędzie widać było nadzwyczajne staranie o to, aby się wszystko prezentowało pańsko i niepowszednio, bo nawet studnia u muru na sposób włoski była przyozdobioną i lwia paszczęka rozwarta wylewała z niej wodę do ogromnej konchy kamiennej.

Wszystko tu Płazę zdumiewało, aż do latarń u wnijścia pozłocistych, przy których stało znowu kilku pieszych żołnierzy z halabardami na straży; a żołnierz to był nie tyle od wojny, co od parady, cały w jaskrawych sukniach i obszyciach lśniących.

Młody przewodnik, jakby chciał zdziwionemu szlachcicowi dać jak największe wyobrażenie o wspaniałości pana swojego, szerokiemi wschodami marmurowemi wprowadził go na górę i pominąwszy antikamerę, przez drzwi, sadzone misternie drzewem zabarwianem i kością, wwiódł go do ogromnej sali.

Tu waszmość poczekaj na mnie—rzekł z uśmiechem, — czas mu się dłużyć nie będzie, bo jest się czemu przypatrywać.

Wistocie sala to była jedna z najwspanialszych w pałacu, na którą się ówczesny smak i kunszt wysadził, a kanclerz kosztu nie żałował. Ani na zamku, ani u Kazanowskich, którzy jedni mogli iść z Ossolińskim w zawody, nic piękniejszego widzieć nie było można.

Okna umieszczone w górze oświecały ją i czyniły wesołą. Strop i część ścian całe były gipsaturami złoconemi okryte, których linie, zwoje, floresy układały się wielce wdzięcznie. W górze pośród nich marmurowe popiersia cesarzów rzymskich, przywiezione z Rzymu, stanowiły wytworną ozdobę.

Począwszy od stropu, opasanego sztukateryą bogatą,

aż do posadzki, wysadzanej we wzory kunsztowne, wszystko było nadzwyczaj starannie wykończone. Wielki przepyszny komin z czarnego marmuru w pośrodku poprzecznej ściany monumentalnie się wznosił.

Ściany same prawie całe okryte były ogromnemi obrazami umyślnie z rozkazu kanclerza przez włoskich mistrzów malowanemi wedle wskazówek, danych przez niego. Przedmiotem ich były dzieje domu nowsze i dawniejsze, bo u Ossolińskich teraz i prastare tęczyńskie jednoczyły się tradycye.

Nad kominem samym wisiał obraz, przedstawiający króla Władysława IV na białym koniu, wśród pola bitwy. Obok obraz przypominał chorągwie (siedem) kopijników, które Ossolińscy na obronę kraju wystawiali; na prawo, Ossoliński w chwili gdy rokoszanie zetrzeć się mieli z wojskiem królewskiem, z niebezpieczeństwem życia rzucający się między szeregi bratnie, aby starcia bezbożnego nie dopuścić.

Wizerunki Ossolińskich, malowane przez ich dworskiego malarza Ammana, sceny z dziejów rodziny, bitwy różne, jedna, w której św. Anna patronka życie ocaliła przodkowi kanclerza, w złocistych ramach zajmowały całe ściany.

Sala poświęconą była tym wspomnnieniom chwały przodków, której kanclerz usiłował dać nową świetność. Znakomity mówca i dyplomata, potrafił zająć stanowisko przeważne i utrzymać się na niem do końca.

Płaza patrzał, patrzał i napatrzeć się nie mógł. Jedna ta sala dawała mu wyobrażenie potęgi domu i wielkości człowieka, który się tym blaskiem otaczał.

Jeden z wielkich obrazów, wystawiający koronacyę królowej przez biskupa Ossolińskiego, ściągnął uwagę Płazy. Rysy pięknej pani przypominały mu jakąś snać twarz, dawniej ukochaną i powieki jego zrosiły się łzami. Odwrócił oczy, aby wrażenie to rozprószyć, rozpatrując się w czarnych marmurowych odrzwiach i ozdobach, od których obicia jedwabne odbijały harmonijnie.

We drzwiach portyery z herbami Ossolińskich, które trzymali rycerze, jedwabne płotki osłaniające je u dołu,

które też do namiotów służyć mogły,—wszystko, aż do najmniejszych szczegółów miał czas rozpatrzeć Płaza i powrócił mimowolnie do obrazu koronacyi i do niewieściej twarzy, która go w inną epokę życia przeniosła, gdy jedna z portyer się podniosła i młody dworak niepostrzeżony zbliżył się do zadumanego.

— Chodźcie za mną—odezwał się—kanclerz chce przyjąć waszmości.

Drgnął nieco pochwycony tak niespodzianie brodacz i pośpiesznie ruszył za swym przewodnikiem.

Szli tedy dalej przez cały szereg pokojów, równie ozdobnie i zbytkownie urządzonych. Co chwila, co krok radby się był Płaza zatrzymywać, ale młodzian, poprzedzający go, szedł śpiesznie.

Cudów takich nigdy w życiu nie oglądał ani nawet miał o nich wyobrażenie; w prostocie ducha znajdował może nawet, iż taka świetność i zbytek przystał w świątyni Bożej, naostatek w zamku króla, ale nie w mieszkaniu magnata, urągającym tym przepychem i kościołom, i tronowi.

Olśniony znalazł się w pokoju pana, ale w pierwszej chwili nie widział nic, oprócz mężczyzny dziwnie pięknego i pańskiego, dumnego oblicza, ubranego w atłasowy kontusik wiśniowy, na którym miał lekkie, zielonym aksamitem okryte futerko.

Pan godnym był pałacu, tak od niego biła wypieszczona świetność starożytnego rodu, tak się różnił od pospolitych ludzi, z którymi Płaza nawykł był obcować.

Dla tego prostego i sprostaczałego szlachetki był to jakby innego świata zesłaniec, stworzony do rozkazywania. Oczy, usta, rysy twarzy składały się mimo wieku już dojrzałego na piękną i wielce szlachetną fizyognomię, która nic nie miała, coby ku niej pociągało, nie odznaczała się ani słodyczą, ani łagodnością, ale dumą i rozumem obudzała poszanowanie. Szczególniej oczy ciemne pełne były wyrazu.

Strój ani na kobiecie piękniej ułożonym być nie mógł, począwszy od miękko składających się bucików, tejże

co kontusz barwy, aż do szmaragdowej spinki pod szyją. Na białych rękach świeciły też kosztowne pierścienie.

Siedział, jak do malowania, oparty o stół, ze wzrokiem ciekawie ku drzwiom zwróconym. Przy nim na stole, okrytym bogatym kobiercem, leżał rozłożony arkusz papieru z wielką pieczęcią, a tuż widać było kosztowne rzeźbione, hebanowe, kością słoniową i bursztynem wysadzane szkatuły, srebrne kubki i sprzęt, którego przeznaczenia Płaza odgadnąć nie mógł.

Na głęboki ukłon przybyłego kanclerz odpowiedział tylko skinieniem ręki, nie podnosząc się ze swego krzesła. U drzwi stał jeszcze młodzian, co wprowadził Płazę, ale ten na dany znak na palcach oddalił się drugiemi drzwiami.

Ossoliński zdawał się czekać, aż szlachcic odezwie się pierwszy, ten zaś zakłopotany nie wiedział, od czego miał począć.

— Macie do mnie listy?—spytał nareszcie głosem, który zdradzał mówcę przywykłego do popisywania się z retoryką.

— Tak jest—odparł nareszcie szlachcic, który, czapkę pod rękę włożywszy, sięgnął zanadrę i dobył stamtąd w jedwabną turecką chustę starannie zawinięty pakiet, który troskliwie rozpowijać zaczął.

Kanclerz z uśmiechem przypatrywał się tureckiej chuście.

Ukazały się wreszcie papiery z pieczęciami.

— Mam polecenie do rąk własnych miłości waszej oddać to pisanie hetmana i starszyzny—rzekł,—ale usilnie proszę, aby nikt o tem nie wiedział, żem ja tu te listy wiózł.

To mówiąc, położył papiery na rogu stołu. Nie tknął ich tak prędko Ossoliński.

— Nie potrzebuję was ostrzegać—rzekł po przestanku, że o listach i o bytności u mnie też nikomu zwierzać się nie powinniście. Ponieważ wam zaufano, spodziewam się, że i ja mogę się spuścić.

Skłonił się Płaza; Ossoliński mu się pilno przypatrywał.

— A cóż was tam na Niż zapędziło?—zapytał.—Długo-li tam jesteście, bo, *ni fallor*, kozackiej w was krwi niema, ino polska.

Płaza westchnął ciężko.

— Zagnało mnie tam to, co i wielu innych na te ostrowy i kamysze gnało—nieszczęście! rozlana krew!...

Spuścił głowę.

— Nazwisko wasze, jeśli mi je zwierzyć chcecie?—rzekł kanclerz.

— Matka moja była Płazianka z domu—odezwał się szlachcic,—więc jam teraz wziął jej nazwisko, ale po ojcu zowię się Wierzbięta; szlachcic jestem.

— Dawnoście tam?

— O!—westchnął Płaza—dwadzieścia lat... skozaczyć było czas, a jednak...

— Siła tam takich?

— Któż policzy, a nawet i kto dopyta?—mówił Płaza powoli,—każdy się z tem kryje i wypiera. Wstyd! Dawniej pono więcej było i Wołoszy i Polaków i różnego narodu, ano z naszych który pobędzie tam, choć się niby przyswoi i przyrośnie, wkońcu prawie każdy zatęskni i powraca.

— A wy?—spytał Ossoliński.

Nic nie odpowiadając, Płaza ramionami dźwignął.

— Będzie-li z czem—muszę wrócić—odezwał się,—a żebym za Koszem tak zatęsknił, jakem w Koszu za Polską nudził, pewno to się nie okaże.

— Macie tu rodzinę?

— Nikogo!!—nikogo!—pośpieszył Płaza i suche oczy otarł.

Ossoliński teraz dopiero białą rękę wyciągnął jakby od niechcenia i zwolna papiery ku sobie przysunął; dosyć obojętnie napisy na nich odczytał, pieczęci nie ruszył i mówił znowu.

— Jakże tam pan hetman i jego mołojcy,—mają ochotę? gotowi są?

— Gdy tylko król rozkaże—rzekł Płaza,—ruszą, ale nie bez tego, aby im na drogę nie trzeba było dać, bo i prochów i ołowiu, i bark a czółen i wszelakiego zapasu potrzebować będą.

— O królu wara mówić—przerwał kanclerz,—na nas to trzeba złożyć, a majestatu nie tykać. Ludzi tam dosyć.

Płaza ręką poruszył.

— Jak mrowia! a ciężko ich utrzymać, bo się to rwie niecierpliwie—mówił posłany,—ale dotąd rozkazy szły od hetmanów i od senatorów, ażeby uchowaj Boże Turka nie zaczepiać i nie drażnić.

Ossoliński się uśmiechnął.

— Starszyzna wie, co to ma znaczyć —rzekł krótko.

— Wiemyż i my, że leniwej szlachcie wojny się z Turkiem nie chce—począł Płaza—a król JMość ma rycerskiego ducha i obronę chrześcijaństwa pragnie podjąć, co ze wszechmiar jest chwalebne.—Rozumie się, iż gdy szlachtę inaczej do wojny nie może skłonić, musi zażyć fortelu, Kozakom kazać Turków zaczepić i wywołać wypowiedzenie wojny. Naówczas stanie się zadość życzeniu J.K.Mości, a szlachta go obwiniać nie będzie mogła, Kozacy wszystkiemu będą winni!

Uśmiechnął się, gładząc bródkę, Ossoliński.

— Statysta z waszmości—rzekł,—ale toć właśnie tajemnica *status*.

— Myć w radzie hetmana siedzimy—odparł Płaza—a on musi znać sprawę.

Ossoliński począł dopytywać o liczbę, o uzbrojenie, o porządek na Niżu.

— Ja tu słyszę—odezwał się Płaza,—iż Kozactwo sobie lekko szacują, chłopstwem je ladajakiem i włóczęgami zowiąc. Może oni kiedy byli taką niesforną gromadą, ale dziś się to zmieniło. Do niczego to niepodobne, co gdzieindziej na świecie widać: ni klasztor, ni pułk, ni też luźne zbiegowisko. Porządek straszny, rygor okrutny, karność nielitośna. Za lada co pałkami, lub nahajkami w śmierć ubiją i na pal wsadzą, a gdy się bić trzeba, idą, jak wściekli, a posłuszeństwo ślepe, bo hetmanowi słowo rzec,—głowa zleci! Niemała to rzecz, że Rzeczpospolita Kozactwem włada. Uchowaj Boże mieć ich za nieprzyjacioły, poszliby do Moskwy, bo im cerkiewne dzwony milej brzmią niż kościelne, a ludby ukrainny poprowadzili za sobą.

— Zdaje się też, że na króla i Rzeczpospolitą skarżyć się nie mogą—dorzucił Ossoliński.

Zadumał się potem.

— Gospodę macie w mieście?—zapytał.

— Musiałem ją sobie wyszukać.

— U znajomych?

— Nie, na Długiej ulicy.

Skrzywił się kanclerz.

— Niepotrzeba, abyście byli na oku u ludzi—odezwał się;—ja też wziąć was tu nie mogę. Stąd baśń-by się jaka zrodziła, o którą u nas łatwo. Choć suknia nie kozacza, ale coś do was Niżowca przylgnęło. — Przyjdźcie tu jutro; dam wam przez Gurlewskiego, który was tu przyprowadził, wskazówkę, kędy gospodę zająć macie. Z tej się nie ruszajcie. O kozacczyźnie i o Niżu nie mówcie, ale o Podolu. Nikt tu o was wiedzieć nie powinien. Gdyby dziś się gospoda pewna znalazła, wolałbym was co rychlej wyciągnąć z Długiej ulicy. Nie zabierajcie znajomości... milczenia nikt nie żałował, a gadania niejeden.

Płaza ciągle ukłonami potakiwał; naostatek Ossoliński klasnął w ręce i bardzo prędko wszedł Gurlewski. Zrozumiał szlachcic, że ten go miał wyprowadzić, a radby się był lepiej pałacowi przypatrzył, ale kanclerz dał mu znak i Płaza wyszedł za przewodnikiem nie przez salę już, ale małemi wschodkami, które tuż około sypialni wiodły na dół do sionek, w ogródek i na podwórze.

— A!—rzekł do Gurlewskiego—jakby się to człowiek tym cudom przypatrzył!

— Drugim razem—rozśmiał się młodzieniec,—gdy ichmość państwa nie będzie, chętnie wam pałace okażę, bo takich drugich nietylko w Polsce, ale i w postronnych krajach nie zobaczyć. Na to potrzeba było nietylko skarbów naszego pana, ale i jego miłości tych pięknych rzeczy, których u nas się jeszcze panowie kochać nie nauczyli.

Przeszli tedy część ogródka, pięknie na kwatery podzielonego, który przyozdabiały altany zielonością okryte, z widokami na odległą okolicę i znaleźli się w podwórcu, gdzie kręciło się mnóstwo koni, jeźdźców, piechoty i czeladzi.

— Polecono wam tu przyjść?—zapytał Gurlewski.

— A jakże i do was się zgłosić—odparł Płaza.

— Pytajcie więc—rzekł, uśmiechając się, młody—o komornika i dworzanina Gurlewskiego; wskaże wam każdy.

I dosyć uprzejmie pożegnawszy Płazę, natychmiast się do innych dworzan zwrócił, którzy na rozkazy jego zdawali się oczekiwać.

Jak olśniony i upojony Płaza doszedł powoli do furty, ciągle jeszcze oczy pasąc tym przepychem pańskim, pominął halabardników, pyszniących się swemi strojami i znalazł w ulicy.

Jeszcze rozmyślał, dokąd ma iść, bo mu się miasto oglądać chciało, gdy przed sobą ujrzał stojącego tu jakby na czatach draba, który go wczoraj był u Kaliny zaczepił.

Skrzywił się, zobaczywszy go, jakby mu niezbyt rad był, gdy tamten uśmiechnął się butno.

— No, cóż batku?—rzekł,—zbyliście ciężaru?

— Jakiego?—zamruczał Płaza.—Co wam w głowie? ja tu powinowatych mam, bratanka,—i po wszystkiem.

— A juści! U was tu bratanków przepaść—po rusku począł drab—mnie nic do tego! Jabym wam tylko rad dopomódz; nie mam co robić, a już się w tem mieścisku obyłem.

— Nu, prawda—dodał wesoło,—z początku człek po tych uliczkach, między temi dworkami głowę traci i gubi się, a błądzi, ale my—oho! Kto w naszych kamyszach i ostrowach umie drogę wynaleźć i nie pobłądzić, temu i tu nie będzie trudno. Ja tu już jak w domu.

Płaza nie miał ochoty wdawać się z kozakiem w dłuższą rozmowę, ale jak się tu było od niego uwolnić? Przyszło mu nawet na myśl, że z Kosza go tu posyłając, może mu niedowierzali i stróża tego nad nim postawili, aby kroki jego śledził.

Czas jakiś szli milczący.

— Słuchaj, Parfen—odezwał się, stając, Płaza.—Chodź ty sobie za mną i patrzaj, kiedy chcesz, to mi wszystko jedno, ale ludzie nie powinni wiedzieć, żem ja tu z Niżu przysłany, a po tobie i mnie wytropią. Nie stanie ci

się nic, a ja przypłacę, gdy się wyda to, co powinno być zakryte.

Parfen słuchał zadumany.

— A to dobrze, żeście u Kaliny stanęli, gdzie tyle oczów na was patrzy i po zepsutej mowie, a nawet po opończy starej poznają, że wy od Niżu tu przybłąkaliście się!

—Ja też u Kaliny pozostać nie myślę—odparł Płaza—ani wam będę tail, że mi gospodę dać obiecano. Chcecie wiedzieć, gdzie będę, nie mam nic przeciwko temu; pilnujcie gdy dziś albo jutro z gospody będę wyciągał.

Parfen głową kiwnął.

— W gospodzie u Kaliny niezdrowo — rzekł; — wszelkiego ludu stek, lepiej z niej precz. Mnie wszystko jedno, bom ja jawno tu przybył i taić się nie potrzebuję.

To mówiąc Parfen, obejrzawszy się dokoła, po ramieniu poufale szlachcica uderzył.

— Bywajcie zdrowi—rzekł.—No, a gdybym ja wam na co był potrzebny, bo kto to wiedzieć może,—u Kaliny mnie szukać, ja już tam zostanę.

IV.

Zjadłszy, co mu Kalina przyniósł, bo wybrednym nie był, wareckiem popiwszy dobrze, Płaza wyszedł z zadusznej izby przed gospodę, aby popatrzeć w ulicę, gdy gospodarz go za rękę ujął.

— Waszmości mianują Płazą?—zapytał.

— Tak jest.

— A oto jegomość pan, bywszy wójt nasz, miłościwy Łukasz Bielecki, szafarz J. Kr. Mości, który się z wami rozmówić pragnie.

Zmieszany trochę tym niespodzianem zagadnieniem, obrócił się Płaza i ujrzał przed sobą całe poważną postać, która mu się uśmiechała.

Był to człowiek lat czterdziestu kilku, rumiany, wesołej twarzy, oczu ruchawych, ubrany kuso, przy szabelce, na swój wiek poruszający się trochę za młodo.

— Do usług waszych—Płaza,—bąknął szlachcic.

— Czołem!—odparł figlarnie Bielecki.—Jam tu przybył, aby was do mojego domu na Piwną ulicę zaprosić. Nie ujmuję Kalinie, gospodarz z niego czujny i troskliwy, ale po niewczasach podróży u mnie wam spokojniej będzie.

To mówiąc, schylił mu się do ucha.

— Z polecenia pana kanclerza... każcie konia wziąć i rzeczy, i chodźmy razem. Pachołek poprowadzi rumaka.

— O! rumaka!—uśmiechnął się Płaza—szkapa to jest!

Bielecki bardzo uprzejmie się gościem zajmował, ale niemniej ciekawie w nim rozpatrywał. Z twarzy można było czytać, że się czegoś więcej po gościu spodziewal a znajdował go bardzo niepoczesnym. Sam bowiem pan Bielecki, niegdy wójt miasta Warszawy, teraz szafarz J. Kr. Mości, człek zamożny, który już na szlachectwo patrzał i mianował się szlachcicem, choć nim nie był, ocierając się o dwór, żyjąc wśród wytworności i blasków, lubił też, aby i koło niego było *galanto*, jak wówczas z włoska się wyrażano, i nierad był domu lada kim ze szpecić.

A tu mu polecono tego Płazę, który wcale nie wyglądał pańsko,—gościć, karmić, poić, bawić i dbać o niego. Rad był w nim znaleźć poważnego statystę, albo wesołego towarzysza, a trafiał na skwaszonego i zdziczałego, a stetryczałego jegomości, bo takim mu się wydawał Płaza.

— Pono z dalekiej drogi?—spytał.

— Z Podola—odparł Płaza; — nie tak to wielki świat, jak strachem tatarszczyzny oddalona ziemia.

Wyprowadzono konia z terlicą, z którego Bielecki jeszcze gorsze powziął wyobrażenie o jego właścicielu. Koń dla najostatniejszego z czeladzi miejskiej by się nie przydał.

Lecz Płaza kilku słowami miał to wrażenie naprawić. Wiózł na biodrach trzos podróżny, dobrze naładowany, bo w nim zachowywały się oszczędności różnych spoliów i łupów, które do dwóch tysięcy czerwonych złotych wynosiły, ten mu już dobrze zaciężył.

—A! miłościwy panie wójcie—odezwał się—łaska to Boża, iż mnie z gospody salwujecie, a toby się rozchorować

przyszło. Mam trochę grosza podróżnego w trzosie, który mi boki piłuje; w gospodziem się nawet rozpasać nie śmiał, a u was choć na jaką godzinę będę od niego wolnym.

Bieleckiemu oczki się zaśmiały.

—U mnie—rzekł, prowadząc go—będziecie, jak w domu. Dzieci nie mam, cicho, spokojnie, jejmość opodal, a dla was alkierz od ulicy i rynku narożny, czyściuchny, ciepły, jak w uchu; spoczniecie bezpiecznie.

—Co się z tej Warszawy zrobiło—odezwał się Płaza,—ani poznać!

— Ja to mówię—rozśmiał się Bielecki,—wkrótce Kraków zakasujemy. Dawnoście tu nie bywali?

— O! nie pytajcie—rzekł Płaza rozochocony nieco, iż się wydobył od Kaliny, któremu nocleg i strawne dobrze opłacić musiał.—Lat dwadzieścia... i małom tu gościł.

— A no, nie dziw, że wam tu teraz bez przewodnika nie chodzić.

Idąc tedy, ukazywał Bielecki gościowi swemu dwory i domy, które niedawno jeszcze do mieszczan należały, a teraz biskupi je, książęta, senatorowie ponabywali, aby przy królu mieszkając, po cudzych się kątach nie tułać, co godności ich nie przystało. Więc choć za znaczne pieniądze i z wydatkiem wielkim musiał każdy dwór lub pałac postawić.

Wziął z tego asumpt pan Bielecki, aby Płazie się dać poznać lepiej, że chociaż w Warszawie wójtował i z bogatą mieszczanką się żenił, ale on z antenatów do plemienia szlacheckiego należał. Kłamał ci, ale byli inni Bieleccy szlachta, do których on się teraz czepiał.

Zaraz teraz, nim do rynku doszli przez Piwną ulicę, posłyszawszy nazwisko Płazy, szafarz począł po szlachecku popisywać się ze znajomością koligacyi i wyrwało mu się, iż w Krakowskiem wiedział dawniej o Płazównie, która była za Wierzbiętą.

Płaza, o którego matce była mowa, na razie oniemiał i nic nie rzekł, obiecując sobie później lepiej Bieleckiego wybadać.

Tymczasem się znaleźli w rynku, w którym na rogu

stała kamienica pana szafarza, a on na nią z dumą ukazywał, bo należała do najpiękniejszych. Jako się nigdy chudzi pachołkowie bezkarnie o panów nie ocierają, aby ich nie naśladowali, tak i Bielecki w swej mierze i wedle możności kamienicę stroił i wytworny pozór starał się jej nadać.

Lecz naprzód zwracał tu oczy ratusz, który mieszczaństwo sumptem wielkim przyozdobiło, korzystając właśnie z tego, iż Kazanowscy i Ossoliński różnych mistrzów z zagranicy do budowli sprowadzali. Wieża ratuszowa świeżo przebudowana i pomalowana, zakończona u góry dachem zielonym, którego kształt ówcześni ludzie do czapki czerkieskiej porównywali dosyć się foremnie oczom stawiła. Niżej trochę były kształtnie przyczepione cztery bastyoniki ze śpiczastemi daszkami. U góry otaczał ją ganek z balasami dla trębaczów, którzy stąd hejnały i hasła w pewnych godzinach wytrębywali. Tych miasto zawsze trzymało, a że muzykę i król, i panowie lubili, lada trębaczem miasto się też obejść nie mogło: musiał być mistrz w swej sztuce.

Ponad wieżą gałka złota utrzymywała powietrznik w kształcie syreny z mieczem i tarczą, a niżej był umieszczony zegar, także niemało miasto kosztujący, bo misterny był i żaden mu inny nie dorównał, a dzwonki miał tak nastrajone, iż sobie melodyjnie odpowiadały.

Ozdobą też zewnętrzną ratusza były malatury, któremi ściany okryto. I bez tego bowiem obejść się nie można było mieszczanom, gdy po pałacach zewnątrz i wewnątrz ściany malowano. Tu też figle różne i wizerunki monarchów wśród laurów i wieńców się ukazywały.

— No cóż, panie Płazo!—odezwał się, stając, Bielecki.—Co powiecie na ratusz nasz? nie strojny? nie galanto wygląda? A niech ja go wam którego dnia pokażę we środku, przekonacie się, iż Warszawiacy, choć młodsi, starym się zakasować nie dadzą.

Tak samo jak ratusz, kamienica Bieleckiego była bodaj tej samej ręki malowaniem przyozdobioną, a drzwi i ganek w górze, a u okien płotki nader misterną ślusarską robotą były ubrane.

— Co mnie to kosztowało!—mówił Bielecki—bo ci ichmość malarze, nie dosyć,że ich karmić, poić i wygody ich po pańsku opatrywać potrzeba, ale się na wagę złota opłacać każą. To jeszcze szczęście, że ich zawsze kilku na zamku, lub u pana Kazanowskiego znaleźć można i sprowadzać nie potrzeba. Kraków ma swój cech malarski; u nas się jeszcze na to nie zebrało, a panowie też swojskich kunsztmistrzów lekko szacują.

W kamienicy istotnie wzorem panów czysto było i wytwornie. Na pierwszem piętrze w narożniku, który nieco wystawał, a miał okna, jak w latarni, wesoły alkierz był dla Płazy przeznaczony.

Wyszła zaraz na powitanie jejmość, żona pana Bieleckiego, ale tak strojna od jedwabiów, forbotów, bramowania, w białych trzewiczkach z haftem złotym, a utrefiona tak kunsztownie, iż choć niezbyt młoda, wydała się i młodziuchną i wielce pańską, aż Płaza nie wiedział, jak się jej kłaniać.

Jejmość, zobaczywszy, że człek i niemłody i niepoczesny, zamruczała kilka słów i szła precz, a Płaza się do alkierza zaraz wprowadził i rozgościł.

Bielecki mu, nie mając nic lepszego do czynienia, czy z ciekawości, czy dla spoufalenia się, dnia tego dotrzymywał placu, bo już na stole wino i konfekty, a różne przekąski znaleźli.

Płazie-Wierzbięcie może to lepsze czasy przypominało; i on się też zwolna rozochocił, a po kilku kieliszkach wina, gdy znowu o Krakowie mowa była, przyznał się przed Bieleckim, że owa Płazówna z tejże rodziny pochodziła, co i on.

— A to musicie i tę straszną znać historyę—dodał Bielecki,—która się Wierzbięcie, z Płazównej urodzonemu, przygodziła.

— Jaką?—mruknął, spuszczając oczy, Płaza.

— Może was już podówczas w kraju nie było—dodał Bielecki.—Wierzbięta się w mieście ożenił z bardzo piękną i sławną naówczas na miasto i okolicę Bietką. Wynieśli się potem na wieś; zrazu małżeństwo było szczęśliwe, pan Bóg dał im córeczkę, aż Bietka zatęskniła za miastem

i pojechała do rodziców. Tu ją napadły gachy miejskie a zazdrosny mąż jednego z nich u niej zastawszy, na miejscu na śmierć ubił i musiał potem uchodzić.

Tej własnej historyi słuchając, Płaza nie okazał jednak po sobie, jak mu ona blizką była, a uradował się nawet, spodziewając się, że może o dziecku przez Bieleckiego coś się dowiedzieć potrafi.

Począł więc bełkotać, iż o tej historyi nie wiedział, bo go już tu nie było, gdy się ona przytrafiła,a razem dodal, że bardzoby rad dowiedzieć się o losie tej jejmości i jej dziecka, bo znał niegdy piękną Bietkę.

Bielecki nastroił twarz dziwnie, jakby i miał coś do powiedzenia i chciał mówić, a nie mógł. Milczał, kubkiem, który w ręku trzymał,okręcał,wina kosztował i naostatek rzekł:

— Tyle wiem tylko, że córka żyje.

— Gdzie?—bardzo gorąco i żywo zawołał Płaza, oczy podnosząc—gdzie?

—Są wielkie racye—odparł Bielecki, uśmiechając się,—dla których wszystko to do czasu się tajemnicą okrywa. Zresztą ja,—dodał—nie jestem tak zblizka świadom losów tej córki Wierzbięty; tylem tylko słyszał, że ją familja wzięła i wyhodowała, a urosła słyszę na taką piękną, jak matka, bodaj była szczęśliwszą!

Płazie, słuchając, serce biło; nie nalegał już na razie, Panu Bogu dziękując, iż się tak złożyło, że zaraz na wstępie pochwycił tak pożądanego języka. Miał nadzieję, iż ostrożnie powoli z Bieleckiego dobędzie więcej, nie odkrywając mu się z sobą.

Wójt powrócił do owej historyi i dorzucił, że Wierzbięta, który zabił gacha, umknął zaraz, dokąd—niewiadomo; a dobrze uczynił, gdyż mieszczanie na szlachcica rozjątrzeni, byliby go niechybnie na gardle ukarali, nie pytając, czy do ich jurysdykcyi należał, lub nie.

— Słyszeliście, co się z nim stało?—zapytał Płaza, znowu oczy spuściwszy.

— Kto go wie? Od nas zbiedz i skryć się bardzo łatwo—mówił Bielecki—pominąwszy to, że na Niżu Kozacy przyjmą otwartemi rękami, ale i do Siedmiogrodu, i na Wołoszczyznę, i na Śląsk pod cesarza, do Czech, na Mora-

wę drogi otwarte. Tam byle czlek był rycerski a postawny, łatwo sobie chleba kawałek znajdzie, a niejeden i więcej, niż chleba się dorobił.

Ochota do rozmowy z Płazą pochodzila i stąd, że poleconym był, jako posłaniec, o którym sam król wiedział i nim się zajmował, ale skąd i z czem—Bieleckiemu spełna nie powiedziano. Rad był więc z niego coś dobyć, lecz Płaza mu wręcz rzekł:

— Gębę mam zawiązaną. *Non licet.*

Ex-wójt nie nalegał.

— Poczynajże tu waszmość u mnie jak w domu— dodał Bielecki, kubkiem pełnym przepijając do niego— i prze-zdrowie wasze.

Zabawiając tedy gościa Bielecki o dworze króla JMości, do którego należał, rozpowiadać zaczął i rzekł zaraz, glos mało co zniżywszy, że król JMość żenić się chciał i napewno małżeństwo przyjdzie do skutku, bo mu się wszystkie poboczne miłostki naprzykrzyły.

—Król, prawda na podagrę ustawicznie cierpi i bardzo się roztył, ale gdyby mu się wojna powiodła i małżeństwo, wnetby odmłodniał i ozdrowiał.

— A jakże jedno z drugiem pogodzi?—zapytał Płaza.

— Jak nie można lepiej, bo królowa, jakąkolwiek weźmie, posag znaczny przynieść musi, a ten na wojnę już z góry przeznaczony. Ze szlachty dobyć poboru na wojnę będzie trudno, aż ona zaskoczy i zmusi ich do rozwiązania worka. Tymczasem posag na zaciągi przyjdzie w porę.

Śmiał się Bielecki.

— Jeśli się nie mylę—ciągnął dalej—króla do Francuzki zwabią, bo ma być tam pewna księżniczka, do domu panującego przynależąca, która i bogactwem i pięknością słynie. Tymczasem zaś ma się król czem zabawiać, bo mu ochotnych niewiast nie zabraknie. Ma ich na zamku różnego rodzaju dosyć, począwszy od tych, co w złotych forbotach chodzą, aż do skromniejszych, którym niciane starczą.

Nie musiały być te miłostki króla rzeczą bardzo tajemną, gdyż Bielecki nie drożył się z ich rozpowiadaniem.

— Dogodna to rzecz dla króla—rzekł,—iż synaczka ma, który się jeszcze bez kobiecej troskliwości i dworu obejść nie może, a tego odwiedzając, bo kocha go wielce, razem i mile twarzyczki przy nim postawione oglądać, a z niemi się zabawiać mu wolno, nie zwracając ludzkich oczu.

Tu ex-wójt rozpowiadać począł o małym królewiczu, jak to dziecko piękne i cudowne było, a westchnął, nieboszczkę pierwszą przypominając królowę.

— Królewicz Zygmunt—mówił dalej—wielu narodzeniem swem szyki i rachuby pomieszał, bo gdyby zszedł bezpotomnie, Jan Kazimierz miałby nadzieję korony po nim, albo-li Karol młodszy, a teraz już o tem nie myśleć. Królewicz, dzięki Bogu, zdrowo się chowa, kwitnie, jako wonny kwiatuszek, a Jan Kazimierz pono mniszą suknię wdziewa i pewnie purpurę kardynalską otrzymawszy, w Rzymie pozostanie.

—Nikt też—dorzucił, głos trochę zniżywszy Bielecki— nie będzie tu płakał po nim, krom jego faworytów karłów i kilku trefnisiów, co go zabawiali. On nas nie lubił i pluł na wszystko, co polskie, a szlachta też i panowie serca do niego nie mieli. W Rzymie mu lepiej będzie może, byle tylko wytrwał, ale król i wszyscy powiadają, iż naturę taką ma; nigdy z tego nie rad, co trzyma, a gdy dostał, czego pragnął, wnet się zniechęci.

— No, ale kaptura mniszego, gdy go raz wdzieje, nie zrzuci—rzekł Płaza.

— Dlaczego? — zawołał Bielecki — ani mnie, ani wam z za klauzury się wyzwolićby nie dali, ale królewiczowi czego nie pozwolą? Ani mnie, ani wam siostry po siostrze zaślubiaćby nie dozwolono, bo to się kazirodztwem zwie, a nieboszczykowi królowi dopuszczono jedną po drugiej siostry wziąć, choć niemało z tego frasunku doznał.

Tak aż do późnego wieczora przegwarzywszy u stołu, Płaza do swojego alkierza odprowadzony, gdy się po tylu niewczasach pierwszy raz położył, rozebrawszy do

koszuli, zdało mu się to łoże rajem, i u Panny Maryi już nazajutrz na wotywę dzwoniono, gdy się przebudził, a tu mu wnet chłopak przyniósł winnej polewki z grzankami, która też niezepsutej gębie ambrozyą się wydała.

Wyjrzał potem z okna na miasto i ochota go wzięła pójść Ossolińskiemu podziękować. Winien też był Wijurskiemu się opowiedzieć. Nic lepszego do czynienia nie miał; odział się więc, szablę przypasał i trzos swój pod zamkiem umieściwszy, ruszył na miasto.

Wychodzącemu już piękna pani Bielecka, jeszcze strojniejsza, niż wczora, a z twarzyczką świeżo pomalowaną, zastąpiła grzecznie drogę, spytała, czy spał dobrze, oznajmując, że obiad o południu na niego czeka.

— A nie będęż ja waszym miłościom ciężarem?— zapytał Płaza.

— Nie szacuj nas waćpan za mieszczan—odparła pani—którzy się z lada kromką chleba rachują; mój mąż szlachcic jest i gościnność lubi a praktytuje, ja też rada jestem gościowi.

Ruszył Płaza naprzód wprost ku zamkowi, ale tu nigdzie sam sobie radzić nie umiał. Postanowił więc, czasu nie tracąc, naprzód Ossolińskiemu się pokłonić.

Trafiło się tak szczęśliwie, iż o Gurlewskiego nawet pytać nie potrzebował, gdyż znalazł go w bramie stojącego.

— Masz waszmość pomieszczenie?— zapytał go dworzanin.

— Przyszedłem podziękować za nie—rzekł Płaza, kłaniając się.

— To chyba innym razem—odpowiedział Gurlewski; —kanclerz jest na zamku u N. Pana, jejmość w kościele, więc, jeżeliś łaskaw, korzystaj z czasu, ja waszmości pałace pokażę.

— Niech Bóg płaci. Jakżebym ja nie miał być ciekawym takich rzeczy, których, świat zszedłszy nie ujrzę.

— Pocznijmyż od pierwszego budynku—odezwał się Gurlewski, prowadząc do gmachu, na którym stali czterej królowie i Polska z pługiem a kopią.

— Tu—rzekł, drzwi otwierając do wspaniałej antikamery—jedną ukażę waszmości tylko jadalnię od tych dni, w których u nas gości, posłów cudzoziemskich, lub senatorów siła bywa.

Poczynając od drzwi, które całe były nabijane wzorzysto i złocistemi opatrzone zamkami i klamkami, wszystko w sali biło w oczy przepychem wielkim, ale Płaza pamiętał wczoraj widzianą, obrazami przyozdobioną, a ta jej zrównać nie mogła. Miała też odrzwi marmurowe, posadzki polerowane i pięknie wykładane drzewem rozmaitem, obicia jedwabne ze złotem, posągi marmurowe dokoła przy ścianach, między oknami poustawiane, w pośrodku złotą koronę, w której był pomieszczony świecznik. Wspaniałą była, lecz nie zachwycała jak ta, którą wizerunki Ossolińskich przyozdabiały.

Nad jednemi drzwiami brązowy Kupido strzelający z łuku, z minką figlarną, zapewne obrzęd jakiś weselny przypominał.

Inne pokoje i alkierze gmachu tego więcej dla wygody i jako do jadalni służyły, niż dla okazu i przyjęcia. Wyszli więc stąd rychło do drugiego pałacu, w którym był wczoraj Płaza, a tu go wprost Gurlewski do pańskiej sypialni bocznemi schodkami wwiódł, aby się jej teraz lepiej przypatrzył. A było tu do zobaczenia wiele, bo i łoża tak wspaniałego, jak ołtarz, jedwabnemi firanki dokoła obwieszonego, szlachcic nigdy w życiu nie oglądał, i obić przedziwnych z figurami, które obrazy zastąpić mogły, ani nawet pieca w kształcie baszty, przy którym niemniej kunsztowny kominek, z pozłocistemi wilkami, wyobrażającemi dwa smoki.

Szlachcic wyraził żal swój i podziwienie, że tu w kominie wilki niemal piękniejsze były, jak lichtarze na niejednym ołtarzu, czem Gurlewskiego do śmiechu pobudził.

Ukazał mu tedy młodzik obraz bardzo piękny, żywemi nader barwami malowany, i spytał go, jakby myślał, z czegoby on był i w jaki sposób uczyniony? Na to Płaza odparł, że widział malarzy, malujących na deskach, blachach i płótnach, ale nie odgadł, gdyż obraz był mozaiką, której przypatrzywszy się, szlachcic zamruczał:—co to na niego poszło czasu i sedenteryi!

Przyszła potem kolej na figury odlewane z kamienia, z kryształu i z bronzów, których też było niemało w izbie tej nagromadzonych dla rekreacyi oka i umysłu pańskiego.

Tu także stała ogromna szafa, kuta srebrem ze złotemi na szufladach napisami: Holandya, Cesarstwo, Państwo papieskie, Francya, Hiszpania, a Gurlewski wytłumaczył mu, że w nich były przechowywane listy i korespondencye, od których klucz miał sam tylko Ossoliński.

Naostatek drzwiczki uchyliwszy do ciemnej jakby szafy, śmiejąc się, pokazał Płazie krzesło w niej stojące i wytłumaczył mu, że na niem usiadłszy, za danym znakiem na górne piętro bez fatygi się podnieść było można.

Ponieważ kanclerzynej też nie było w pałacu, Gurlewski powiódł dalej do pokojów jej i otworzył naprzód bardzo ładną chociaż szczupłą kaplicę domową samej pani, w której z dozwolenia papieskiego msza święta mogła się odprawiać, na co przywilej z Rzymu był dany.

Ołtarz po bokach cały był ostawiony różnego kształtu relikwiami kryształowemi, srebrnemi i złotemi skrzyneczkami, oplatanemi łańcuchami, posążkami, w których z Rzymu przywiezione kości zachowane były.

Obrazów też tak pięknie malowanych, jakie w tym ołtarzu w pośrodku i po bokach dobrane były, woskowych postaci i twarzy świętych foremnie bardzo poustawianych, kwiatkami umajonych, Płaza nigdy nie oglądał. A że kapliczka samej pani była, więc też roboty jej rąk, antepedyum na złotem tle i aparaty kościelne, a sam klęcznik jejmości pewnie wart był tyle, co gdzieindziej kościołek drewniany na wsi.

Ten sam przepych i wytworność, które szlachcic podziwiał w mieszkaniu kanclerza, tu tylko jeszcze do niewieściego smaku więcej zastosowane wszędzie mógł postrzegać.

— Życie—pomyślał sobie—może tu płynąć, jak w raju.

Z okien nawet na ogródek i wirydarze, czysto bardzo utrzymywane, miło wejrzeć było! Sadzono w nich drzewa

nieznane i posągów różnych poustawiano wiele w ich cieniu.

A że szlachcic wszystkiego ciekaw był, a Gurlewski wszystko pokazywać gotów, obeszli z kolei kuchnie, stajnie, wozownie i gdzie jaki kąt był, aż do piwnic, w których ich kieliszkiem wina utraktowano. Dopiero się Płaza, pięknie podziękowawszy, mógł stąd wydobyć, pełną jeszcze głowę mając tych mirabiliów, które tu oglądał.

Jakie one w nim uczucie obudziły, po kielichu sporym mocnego wina, objawiło się dopiero, gdy go Parfen znowu w ulicy złapał.

— No, a co laszku ty mój?—odezwał się do niego.— Tobie aż serce rośnie, patrząc, jakie to tu pany, jaka złota moc, jakie suknie, kolebki, domy... a wiesz ty co ja na to? Ja też cieszę się, ale dlatego, że to wszystko im na pohybel! Oni w tym zbytku, jak sól w wodzie rozmiękną i rozpuszczą się, i my ich kiedyś garściami brać będziemy! Myślisz ty, że zbytek taki i rozpusta człowiekowi na zdrowie?

I mnie się tak widzi, Parfen — rzekł Płaza,— że to nie dobre znaki. Przy panach miękną sługi, żołnierz patrzy na wodza, a gdy ten się z pierzyną wozi i jemu na gołej ziemi wylegać się nie chce. Nie moja rzecz o tem sądzić, ale oni tak w pychę i dumę urośli, a tak w dostatkach opływają, jakby ich niedługo używać mieli, bo pysznych Pan Bóg upokarza.

Parfen mruczał.

— Mieszkanie wasze nowe ja już wiem. Dali wam szafarza królewskiego, o którym ludzie powiadają, że nie do samej śpiżarni dostarczał białego mięsa! Głodni nie będziecie!

Przypomniał sobie nagle Płaza, iż jejmości na obiad powracać obiecał, i ruszył ku rynkowi Starego miasta, z Parfenem się pożegnawszy.

Na ratuszowym półzegarzu biło południe, gdy Płaza już na wschody wstępował, a w kilka minut później Bielecki przyszedł po niego, zapraszać na obiad. Tu się też można było spodziewać, choć u mieszczanina, pewnego występu nad jego miarę, i wistocie obrusami szytemi, cy-

nowem naczyniem, szkłem i kubkami srebrnemi mogła się jejmość pochlubić.

Zbytek już i tu się zakradał.[1] Bez wina nie siadano do stołu.

W izbie jadalnej nikogo jeszcze nie było, gdy weszli, ale wprędce otworzyły się drzwi i weszła pani Bielecka; ale nie sama.

Towarzyszyła jej strojna wielce i z bardzo starannie utrefionemi włosami młoda dzieweczka, z wianuszkiem na głowie, od której, spojrzawszy na nią, Płaza już oczów oderwać nie mógł.

Z pierwszego wejrzenia poznać było można w niej kobietę z fraucymeru dworskiego, nawykłą do strojenia się i zalotów. Nawet starego Płazę obdarzyła uśmiechem i minką, która, niestety, boleśnie mu jego żonę, Bietkę, przypomniała. Lecz czyż mogło być w tem co dziwnego, że dwie malowane, zalotne dworki podobne do siebie były?

Tyle lat kobiet nie widując i nie obcując prawie z niemi, Płaza teraz i na obrazach i w żywych widział ciągle przypomnienia własnej przeszłości, a tu bo i głos i twarz, i ruchy dziwnie mu uprzytomniały te dawne, szczęśliwe i najnieszczęśliwsze czasy. Ale sam trochę urągał się z siebie przeto, że na obrazie u kanclerza a tu w żywej za stołem ciągle niewierną żonę, której dawno powinien był zabyć, upatrywał. Przeżegnał się nieznacznie, biorąc to za sprawę złego ducha.

Bielecki półgłosem szepnął mu na ucho, iż dzieweczka, którą widział przed sobą, mogła mieć piękne nadzieje wyposażenia, gdyż królowi się bardzo podobała, a ten dla kobiet hojnym bywał.

— Prawda i to—dodał Bielecki,—że ich teraz, gdy nowa pani nam przybędzie, wielu się pozbywać będzie potrzeba. No, taką Amandę wyda król za panka i da mu urząd wysoki, ale innym pieniędzy będzie trzeba, a tu u nas wszystko teraz na działa i muszkiety się topi.

Kobiety im szeptać po cichu nie dopuściły. Śmiałe obie, równie Bielecka, jak jej towarzyszka zaczepiały do rozmowy, która była bardzo swobodną.

Dworka rozpowiadała o królu, o śpiewakach, o komedyi, o małym królewiczu Zygmuncie, a najbardziej o tych panach, co się swatali do Amandy, która przy królewiczu wrzekomo się liczyła, ale król bez niej raz wraz tęsknił.

— Byle nam z Francyi—odezwała się dworka—nie przywieźli takiej mniszki, jak była pierwsza królowa i nieboszczka stara macocha króla JMci. Teraz u nas na dworze wesoło. Capella doskonała, śpiewacy Włochy cuda sprawują, a na teatrum, gdy Dafnis grają i ona się cudownie w drzewo odmienia, niema człowieka coby nie wołał, że to czarodziejstwo jest.

— Prawdę rzekłszy—dodała dworka,—wszyscy się dziwują, że król żenić się chce. Na radzie senatorskiej jeden z panów mu w oczy powiedział, że za otyły już jest. Zaczęli się śmiać wszyscy, ale król się na niego obraził.

— Jeśli na wojnę chce jeszcze siadać na koń—przerwał Bielecki,—to i do ołtarza ma też prawo.

— Tymczasem w łóżku leży i krzyczy, aż go w trzeciej izbie słychać—odparła dworka.—Lekarz siedzi i nogi mu okładają, a kanclerz i marszałek nie odstępują.

— Tak rad jeden, że drugiemu przeszkadza—szepnął Bielecki,—bo się nie lubili nigdy, a choć król Ossolińskim się posługuje, nigdy on z serca jego Kazanowskiego nie wyruguje.

Panna ze dworu utrzymywała potem, że król sobie robi choroby polowaniem, a nie potrzebuje go, mając taki zwierzyniec na Ujazdowie, gdzie zawsze, choćby w krześle siedząc, uciechę tę mieć może.

Płaza więcej słuchał, niż się wtrącał do rozmowy, oczyma z ciekawością pożerając dziewczę, które naprzeciw niego siedziało. Im dłużej i pilniej mu się przypatrywał, tem więcej mu się wydawała podobną do jego Bietki, a co najdziwniejsza, miała jak ona małe czarne znamię na białej szyi z lewej strony.

Odważył się do niej wkońcu przemówić.

—Z waszej wymowy wnosząc, sądziłbym, że od Krakowa być musicie?

— Ja?—odparło dziewczę, ramionami ruszając.—Może to być! Alem ja sierota i własnego pochodzenia nie znam.

Dzieckiem będąc, wychowywałam się w Krakowie, potem w Warszawie, a teraz czym Małopolanka, czy Mazurka— sama nie wiem!

I śmiać się poczęła.

— A rodzinę waćpanna masz?—badał Płaza.

— Żadnej, nie wiem przynajmniej o nikim—obojętnie mówiło dziewczę.

— Pójdzie za mąż—wtrąciła żona Bieleckiego—to się i rodzina znajdzie.

Dziewczę podniosło główkę.

— Nie mam ochoty iść w jarzmo i niewolę—rzekła.— Szczęśliwych małżeństw mało. Pókim wolna, to mi wszyscy nadskakują, a potem... Lepiej tak, jak jest!—dokończyła.

— No, a na starość?—zapytała Bielecka.

— Myślę, że do klasztorów przyjmują,—rozśmiało się dziewczę.

Za nią śmiechem parsknęła Bielecka, bijąc w ręce, bo piękne pierścienie na nich pokazać chciała.

—Prosto z dworu do klasztoru, to tak, jak w łaźni, gdy z gorącej pary pod zimną strugę śmielsi idą.

Jak ptaszek, poruszając główką zalotnie, butno i śmiało, dziewczyna się rzuciła na krzesło.

— O jutrze myśleć nie trzeba—rzekła,—co nam tam!

V.

Król JM. Władysław IV z pierwszej żony Zygmunta III Anny narodzony, w roku tym, gdy o nowem małżeństwie zamyślał był już na drugiej połowie żywota, w której sił nie przybywa, zwłaszcza, gdy pierwszą szafowało się hojnie. Z bardzo urodziwego niegdy młodziana usposobienie chorobliwe, sposób życia uczyniły go teraz ociężałym, otyłym z obrzękłemi od podagry nogami, z twarzą rozlaną i bez wyrazu, mężczyzną starszym na pozór, niż był wistocie. Często się już bez laski poruszać nie mógł

a całemi tygodniami w łóżku leżeć i na rady senatorskie z łożem się musiał kazać nosić.

Nie zbywało mu na świetnych przymiotach, a szczególniej na tej miłości sławy, którą już dawne wojny, dosyć szczęśliwe, mile połechtały.

Zapóźno teraz budziło się w nim gorące pragnienie zapisania imienia swego na kartach dziejów, nietylko Polski, ale całego chrześcijańskiego świata. Zdawało mu się, że potrafi stanąć na czele ligi przeciw nieprzyjaciołom krzyża i precz ich wyganiając z Europy, zagarnąć część znaczną spadku po nich.

Władysław, *nomen omen*, byłby pomścił Warneńczyka.

Tymczasem szlachecka Polska ani chciała słyszeć o wojnie z Turkiem, o wyprawie na niego. Wszyscy się jej obawiali. Król też nie objawiał głośno myśli swych, które tylko najpoufalsi jego powiernicy znali. Przygotowania czyniły się potajemne.

Jak Stefan Batory, jak Zygmunt III,—Władysław IV pochlebiał sobie, iż szlachtę i panów potrafi okiełznać, a przynajmniej podejść i zmusić do działania po swej myśli. Pomagali mu do tego Ossoliński i cały zastęp osobistych jego przyjaciół. Nie stanowili oni jednak tak silnego obozu, aby wstępnym bojem na sejmie mogli się spodziewać odnieść zwycięstwo.

Na wszelki wypadek królowi doradzono fortel, o którym jużeśmy wspominali—mógł się Kozakami posłużyć. Na tajemny rozkaz króla niżowcy mieli wpaść na Turków i zmusić ich do wypowiedzenia Polsce wojny.

Naówczas król z pomocą Wenecyan i posiłkiem papieża, w zmowie będąc z Grekami i Bulgarami, miał się rzucić na Ottomanów. Obiecywano mu naczelne dowództwo nad połączonemi siłami chrześcijaństwa. Zwycięstwo zdawało się pewnem.

Wszystkie złudzenia pomocy obcej, które Warneńczyka na plac boju wywiodły, powracały tu, grożąc nowym zawodem i klęską. Ale król pragnął sławy, a pochlebcy mu ją rokowali.

Przy tej zręczności, sam nieznośny ów organizm rze-

czypospolitej, który króla czynił zależnym od niesfornej szlachty, od prywatą kierujących się magnatów, czasu wojny łatwo mógł prysnąć przy wojennej dyktaturze.

Władysław, jak ojciec jarzmo tej podległości prawu znosząc boleśnie, radby je był zrzucić z siebie i następców.

Marzenia te w młodym i energicznym monarsze miałyby były może pewne widoki powodzenia; patrzącym na Władysława musiały się wydać dziwacznemi. Podagra, kamień, zastarzałe defekta ledwie mu niekiedy dawały folgę, jęczał po nocach, a bohaterstwa mu się zachciewało, które wszech sił człowieka wymaga.

Lekarze obiecywali uzdrowienie, pochlebcy uważali wojnę za lekarstwo, król ukochanemu Zygmusiowi wielkie państwo dziedziczne chciał po sobie przekazać.

Tymczasem pieniędzy w skarbie nie było, a prywatną szkatułę królewską wyczerpały fantazye mnogie. Wybrały go jego ulubieńcy i ulubienice, dwór sam okazały, capella, teatr, stajnie, służba, mnogie budowy kosztowne pochłaniały tysiące. Naostatek i bracia, szczególniej niespokojny Jan Kazimierz, niemiłosiernie go darli. Świetnie posłom cudzoziemskim przedstawiał się ów dwór króla JM. polskiego i szwedzkiego, ale szafarze upewniali, że czasem na kuchnię nie było za co kupić mąki i soli.

Któż wie, czy to projektowane ożenienie, któremu rzeczpospolita się nie sprzeciwiała, nie było osnute dla podsycenia prywatnego skarbu na wojnę przeciwko Turkom. Przyszła królowa uchodziła za bardzo bogatą, jedną z najlepiej wyposażonych księżniczek Europy.

Wahano się długo pomiędzy Rakuszanką a Francuzką — ostatnia zwyciężyła. Wstręt w narodzie przeciwko domowi cesarskiemu trwał zawsze. Podejrzywano go o knowanie przeciw swobodom rzeczypospolitej, a im mniej ich używać miano, tem one droższe się stawały.

Władysław IV, dzięki zręczności Ossolińskiego, którego nie lubił, ale potrzebował, miał się za polityka i wiele sobie obiecywał z nowego aliansu.

W polityce wewnętrznej taż sama myśl, którą Zygmunt III przypłacił tylu ofiarami spokoju i godności osobistej, myśl zręcznego wyłudzenia władzy, której prawo dawało tak niewiele, rządziła królem, a Ossoliński ją popierał.

Nie miano siły na zamach, któryby zmienił stosunki panującego do narodu i władzę mu nadał większą; próbowano więc ją wykraść, wyrobić, opanować, może czasu wojny. Do tej zmiany systemu pomocą miało być ustanowienie rycerstwa nowego, zakonu Niepokalanego Poczęcia P. Maryi, którego statuty potwierdzono w Rzymie, ale go rzeczpospolita znać nie chciała; ku temu wiodły tytuły zagranicą wyjednywane, mające oddzielić magnatów od tłumu szlachty, aby ich postawić na straży tronu absolutnego monarchy. Wojna z pogany, wojska zaciężne obce, dla niej wprowadzone, ułatwiały czasową dyktaturę, mogącą się zmienić w trwałą, a podporą jej miały być te pułki cudzoziemskie, które przeciwko szlacheckiemu ruszeniu i siłom domowym zwrócić było łatwo.

Do tych planów, połączonych z nadzieją roszerzeniem granic kosztem pogan, wygnanych z krajów przez Słowian i Greków zasiedlonych, nie przyznawano się głośno, może nawet w najciaśniejszem kółku zaufanych; za chorągiew służyła obrona chrześcijaństwa, wielka do zdobycia sława i rozszerzenie granic.

Ale tak Władysławowi IV, jak ojcu jego, jak potem Janowi Kazimierzowi przemoc szlachecka, nadzór sejmów i ich wszechmocność cięzyły jarzmem nieznośnem, z którego się ciągle otrząsnąć usiłowali.

Nie było po temu siły, zażywano więc przebiegłości, a król się nie przyznawał do knowań o *absolutum dominium*, chociaż obawy szlachty o zaprowadzenie go niezupełnie były płonne. Król go pragnął ostrożnie i podstępnie czynił kroki do pozyskania... ale nawet najzupełniej mu oddani słudzy nie przypuszczali, aby starania powodzenie uwieńczyło.

. . . .

Jesteśmy w królewskiej sypialni... Na przepysznem łożu, którego jedwabne osłony podniesiono pomimo spóźnionej godziny dnia, król spoczywa jeszcze tak, jak był

zwykł, gdy tylko mógł, leżąc do obiadu, obiad spożywając leżący i nie powstając aż po nim. Największą ofiarą, jaką czynił było, gdy wcześniej podnieść się go zmuszono.

Sypialnia królewska jest zarazem obrazem największej wykwintności, przepychu i pewnego nieładu. Czuć w niej sybarytę, który zachciankom chwili gotów poświęcać wszystko, który pod ręką mieć musi natychmiast, czego zapragnie i nie patrzy czy na pergaminach dyplomów najważniejszych nie postawią czarki z polewką.

Samo łoże, misternie wysłane, ostawione poduszkami, okryte kołdrami miękkiemi, opatrzone w ułatwiające poruszenia i wstanie, dla rąk podpory i pasy zręczne do ujęcia, niecierpliwemi ruchy zburzone już, świeci najwytworniejszemi oponami i najmiększemi wezgłowiami, o których przystrojeniu, równie, jak o dogodności nie zapomniano.

Z pewnym rodzajem królewskiego lekceważenia rozrzucone są dokoła na ziemi najdrogocenniejsze futra, podeptane i zgniecione. Wszystko, co otacza króla, świeci przepychem i wytwornością się odznacza. Wcale już tu rycerskiego pana, do obozowania nawykłego, nie widać, ale zmęczonego życiem pieszczocha, który walczy jeszcze z nienasyconemi pragnieniami, już złamany niemocą i przykuty do łoża boleścią.

Pomimo rozlania rysów niegdyś pięknych, które chorobliwe nabrzęknięcie do niepoznania wykrzywiło, na twarzy napiętnowana duma pańska, poczucie wielkości, majestat z góry mierzący świat i lekceważący go nieco. Ale na czole troska napiętnowała się fałdami; zdrowie, dla którego król odbywał podróże, którego powrót obiecują mu lekarze, nie przychodzi, młodość nie wraca, a marzenia nienasycone niepokoją.

Sypialnia, w której król zwykł przyjmować tylko swych najlepszych przyjaciół i wierną służbę, jest jak wygodnie usłane gniazdko, którego puchy wszystkim fantazyom króla i chorego a zniecierpliwionego człowieka dogodzić powinny. Ani ręka ani oko nie spotyka nic, coby je razić mogło, dłoń spoczywa na miękkich podkładkach,

oko na wzorzystych makatach, na pozłocistych naczyniach, na sprzętach kunsztownie przyozdobionych.

U głów pana na stoliku widać wielką szkatułę hebanową, wysadzaną złotem i kością słoniową, bursztynem i drogiemi kamieniami; jest to schówka, do której się rzucają papiery nie dla wszystkich oczów przystępne. Kubek do napoju jest z jednej sztuki kamienia, oprawny w złoto; dzban z wodą z kryształu i złota. Obok nich zrzucone z rąk napuchłych pierścienie, łańcuch orderu Niepokalanego Poczęcia, zegarek rubinami ozdobny.

Biała ręka króla spoczywa pod głową, która mu ciężyć się zdaje... oddycha ciężko. Naprzeciwko niego w bardzo wytwornym cudzoziemskim stroju, wsparty poufale na krześle, z twarzą pańską, znudzoną i wyniszczoną życiem, siedzi mężczyzna lat rówieśnych z królem, któregoby z postawy i sposobu obejścia z nim za brata chyba wziąć można lub najbliższego z rodziny.

A nie jest on ani bratem, ani żadnym pokrewnym, ani książęciem i wielkiego rodu potomkiem, ale prostym szlachcicem panem Kazanowskim, który tak Władysława zawojować umiał, iż stał mu się druhem najbliższym serca, jego połową drugą. Król dla Kazanowskiego, a on dla pana niema ofiary, którejby nie uczynił, nie mają też myśli, którejby nie zwierzyli sobie.

Naprożno niegdyś usiłowano zerwać ten stosunek, osłabić ten związek; im silniej targano te węzły, tem mocniej się one zaciągały. Obcowanie z sobą w ciągu lat długich, od dzieciństwa, wywarło też ten wpływ na obu nierozłącznych Oresta i Pylada, że wzajem od siebie przejęli nietylko myśli, ale ruchy, powierzchowne cechy, wyraz twarzy.

Przy obcych Kazanowski jest z poszanowaniem wielkiem dla króla, ale gdy tak we dwu siedzą w sypialni zamknięci, są to dwaj bracia serdeczni, z których nawet ten, coby posłusznym być powinien, najczęściej rozkazuje. Myśli i wola są w nich tak zresztą zgodne, iż nie kosztuje to króla, a zleniwieniu dogadza.

Chwila, w której ich znajdujemy na cichej, poufałej rozmowie, już dobiegającej do końca, jest jakby smutnem

jakiemś rozpamiętywaniem przeszłości. Ten rachunek z niej powlókł lica królewskie smutkiem. I on miał w życiu chwile tryumfu i ziszczenia nadziei, ale jakże one trwały krótko i dziwnie potem pełzły na niczem!!

Kazanowski ma weselsze oblicze z obowiązku; on musi przynosić pociechę i do nieustająco powracających goryczy dolewać osłody a wróżyć zawsze jutro jaśniejsze.

Czy sam on w nie wierzy, zgadnąć to trudno, lecz dla króla musi przynosić tę wiarę, a w niej go umacniać.

Zawody, doznane w stosunkach z Francyą, z dworem rakuskim, z książęty niemieckimi, ze Szwecyą, ciężka walka z oporną szlachtą, nie odjęły ani królowi, ani Kazanowskiemu ufności w to, że potrafią kraj zmusić do wojny, sprzymierzeńców do posiłkowania jej, a nieprzyjazną fortunę do uwieńczenia skroni laurami.

Król milczał, głowę spuściwszy i oczy wlepiając bezmyślnie w kubek, który stał przed nim nawpół opróżniony; Kazanowski patrzał na niego, czekał i szanował milczenie. Tchnął wreszcie ciężko Władysław i odezwał się z cicha, głosem stłumionym, który z szerokich piersi z trudnością zdał się dobywać.

— Nie traćmy, mój Adasiu, nadziei; wszystko się jeszcze może złożyć po mojej myśli; mam wenetów z sobą, mam cara moskiewskiego, którego prawie jestem pewnym, mam papieża, mam Francyę...

— Ale nie masz tej nieszczęsnej szlachty naszej—wtrącił Kazanowski — z którą sprawa trudniejsza, niż z wenetami i Moskwą, tak się ona obawia z Turcyą wojny i tak jej jest przeciwną.

Król podniósł głowę.

— Nie będę ich bronił—rzekł,—są to uparte warchoły, którzy ojcu memu życie zatruli i mnieby też na pasku wodzić chcieli, ale ja się im nie dam! nie! Ojciec nadto był łagodny, dobrym do zbytku. Szlachta jednak lęka się, bo nic nie wie, bo ani moich związków z Grekami, ani przymierza z Wenetami nie zna. Objawić im o nich nie można, boby mi wyrzucali samowolę, a tymczasem i czekać na ich łaskawe zezwolenie niepodobna. Sposobić się należy, choć własnym kosztem i na wszelki wypadek. Opierać się będzie szlachta... wiesz, jaki na to jest sposób.

Król z pewnem zadowoleniem polityką swoją począł się uśmiechać i wąsa drżącą ręką poprawił.

— Sposób ten wiem—rzekł Kazanowski;—myśl dobra, chociaż, królu mój, potajemny stosunek z tem chłopstwem dzikiem jest mi wstrętliwy.

— Ach!—śmiejąc się, dodał Władysław.—Wiem, że ich czuć dziegciem i gorzałką, ale w sprzymierzeńcu woń jego trzeba poszanować, jeśli ona siłę cechuje. W tem kozactwie jest męstwo, awanturniczość, chciwość łupów, jakich nam potrzeba, a znają Turków i ich sposoby wojowania, jak nikt. Ja na nich rachuję wiele.

— Cóż oni piszą w tych listach, które ci oddano?— zapytał marszałek.

— Oświadczają się z gotowością na rozkazy moje— ciągnął, zniżając głos, król,— ale piosnka zawsze jedna, której zwrotkę odgadnąć łatwo.

Tu Władysław rękami drżącemi pokazał, jakby liczył pieniądze na dłoni. Westchnęli oba.

— To nasza słaba strona—szepnął marszałek.— Wyczerpałeś wszelkie zasoby.

Król frasobliwie głową potrząsał.

— Kazimierz ze swemi fantazyami nieskończonemi mnie rujnuje—począł ponuro.—Ten nieszczęśliwy dziwak nigdy długo niczem się nie może zaspokoić. Chciał być mnichem, został kardynałem, zrzuca suknię, którą mu odradzałem. Na nowo go wyposażać potrzeba, a jutro ze chce się żenić, pojutrze rozwodzić i kto wie? znowu za kapturzyć?

Ruszył ramionami.

— O ochotę do ożenienia się nie obawiam—wtrącił Kazanowski, bo nadto mu wszystkie kobiety smakują, aby mu się jednej wyłącznie zachciało. W każdej z nich upatruje jakiś wdzięk, ale w żadnej nie znajdzie wszystkiego, czego szuka.

— A! gdyby był mnichem pozostał i we Włoszech zamieszkał—dodał Władysław.—Z powrotem do Polski, której cierpieć nie może, będzie dla mnie nieustannem utra-

pieniem. Kto wie, czego jeszcze zapragnąć może. Reszta braci wszyscy razem wzięci nie kosztowali tyle trosk, co on jeden.

To mówiąc, Władysław zapatrzył się w stojący przed nim na stoliku bogato w brylanty oprawny wizerunek Maryi Ludwiki i z tą lekkością umysłu, z którą zwykł był od przedmiotu jednego do drugiego przechodzić w rozmowie, zwłaszcza, gdy ona nieprzyjemnego mu czegoś dotknęła, odezwał się:

— Lękam się, aby malarz jej nie upięknił.

Kazanowski głową potrząsnął.

— Ja się boję, aby nie za młodą ją uczynił. Posądzam obrazek o to, że nie teraz był malowany; wygląda mi nazbyt świeżuchną.

Zmarszczył się Władysław.

— Wszyscy twierdzą, że tak wygląda—ujął się.— Dönhoff pisze...

Kazanowski spuścił oczy i zamilkł.

— Boję się zawodu; dlategobym wolał, ażebyś ją sobie zawczasu wyobraził dojrzalszą.

Władysław nieco się zżymnął.

— Straszysz mnie niepotrzebnie—zamruczał.

— Masz może słuszność—rzekł marszałek.—Królowa niekoniecznie potrzebuje być pączkiem nierozwiniętym; fantazye młodziuchnych zaspokoją inne...

Król się zadumał.

— Dla mnie na teraz nie młodość i wdzięk jej, ale nadewszystko posag, pieniądze i przymierze z Francyą potrzebne—rzekł cicho.

— A król francuski, jako pierwszy zadatek tego aliansu nic daje nic a wymaga, aby mu zaciągi u nas robić było wolno! Zaciągi w chwili, gdy ty ludzi na tę wojnę z Turcyą potrzebować będziesz!

— Zaciągi! — przerwał Władysław cicho—możemy mu dać na nie zezwolenie, ale nie wyślemy pomocy. To nic za sobą nie pociąga.

I na chwilę zatrzymawszy się, król dodał:

— Sądzę, że przyszła królowa zgodzi się dać mi posag swój na moje pilne potrzeby.

— Nie wątpię—odparł Kazanowski—ale też musisz dać jej pewną hipotekę, zabezpieczenie.

— Będzie to pożyczka wenetów nie moja jak wiesz— rzekł król żywo. — Wymawiają mi się, że nię mają pieniędzy; ja im dostarczę ich, ale dlatego, abym sam wziął. Inaczej przygotowania dalsze niemożliwe.

Marszałek zbliżył się nieco ku łożu królewskiemu.

— Ja bo nie wiem—dodał,—czy my je dłużej tak jawnie będziemy mogli przedłużać.

— Dlaczego? dlaczego?—przerwał król niecierpliwie.

— Mówiłem ci!—ciągnął dalej Kazanowski—umysły są silnie już zaniepokojone. Niepodobna ukryć tych ściąganych ludzi, formujących się nowych pułków, lanych dział, gromadzonych prochów i kul. Bije to w oczy. Szlachta niespokojnie pyta, przeciw komu to wszystko wymierzone. Wietrzą już w tem wojnę z Turcyą bez ich zezwolenia, a drudzy, co jest jeszcze gorzej, widzą tego wiecznie powstającego z grobu upiora, *absolutum dominium!*

Król westchnął.

— Ale prędzej, czy później—rzekł do niego—do tego absolutu przyjść muszą! Inaczej ani tu królować, ani się ostać przed nieprzyjaciółmi będzie można. Oskarżali Batorego, mego ojca, będą mnie obwiniać, żem pożądał władzy monarchicznej. Nie mylą się, wszyscy jej pożądaliśmy, bo ona właśnie jest potrzebą tu, gdzie jeden zapaleniec może mi odmówić poboru na wojnę, gdy kraju bronić muszę. Gorzej, bo gdybym z własnej kieszeni, jak ja teraz czynię, pułki na obronę wystawiał, krzykną, iż je przeciwko szlachcie sztyftuje i na ich swobody zamach czynię.

— Mój Boże—przerwał Kazanowski—komuż ty to mówisz? Ja przecież boleję nad tem, jak ty, ale jaka rada?

— Wojna! wojna!—żywo począł, zrzucając z siebie ciepłe okrycia król, który się coraz mocniej ożywiał.— Wojna każda jest dyktaturą. Hetman jest absolutnym panem, przeciągająca się wojna, uczy karności i nałamuje do niej. Pozbędziemy się i tych sejmów utrapionych, których wrzawa i rozprawy burzą umysły.

Ze spuszczoną głową słuchał tych dla siebie zapewne

nienowych rzeczy marszałek, wystrzępując koniec szarfy, którą wziął w ręce.

— Ty wiesz—odezwał się wkońcu, —iż myśli nasze są zgodne; ja tylko doradzam ostrożność, aby zbyt wcześnie nie obudzić podejrzeń. Już się one wykluwają.

— Wstrzymywać nie mogę, co zaczęte—przerwał Władysław.—Wytłumaczymy się na sejmie w jakikolwiekbądź sposób, a w ostatnim razie niech i wojna wyjdzie na stół. Trzeba ich z tą myślą oswoić. Jest nieuniknioną. Będziemy mieć większość za sobą.

— Nie wiem—odparł sucho Kazanowski.

— Ty zawsze niedowiarkiem jesteś i mnie odbierasz tak potrzebną ufność w siebie.

— Boję się zawodów.

— Ja ich nie przypuszczam—rzekł król żywo.—Duch rycerski żyje w narodzie.

— Osłabł bardzo.

— Tem potrzebniejsza wojna, aby go odżywiła—rzekł król;—sposóbmy się do niej. Ja nią żyję tylko.

— Jeżeli szlachta opór mi stawiać będzie—dodał,—mam Kozaków, którzy ją zmuszą do chwycenia za oręż. Kozaków jestem pewny.

— Ja także—szepnął Kazanowski,—chociaż narzędzie to niebezpieczne. Poruszyć ich, dać im siłę, swobodę pewną... Wiesz, że i tak niezbyt przyjaznem okiem patrzą na Polaków, którzy się tam rozsiedli.

— Tem lepiej!—zamruczał król;—będę w nich miał oręż dzielny przeciwko szlachcie.

Marszałek zaczął głową potrząsać.

— Lepiej nie mówmy o tem—szepnął.

Władysław począł się, mrużąc oczy, uśmiechać.

— Mój Adasiu—rzekł—polityka jest polityką. Znasz Włochy, czytałeś ich rozumnych mistrzów. Trzeba się posługiwać takiemi środkami, jakie są najdzielniejsze, inaczej nie dojdzie się do niczego, oprócz tych zawodów, których ty się lękasz. *Audaces fortuna juvat*, chcę być zuchwałym, inaczej... smutna rola. Zygmuntkowi nie mogę zostawić takiego państwa rozkielznanego, chwiejącego

się na niepewnych podwalinach, jakie ja wziąłem po dobrym, ale nadto łagodnym ojcu.

— Wiesz—wtrącił Kazanowski—już cię oskarżają, że syna twego chcesz za życia uczynić swym następcą.

— Dlaczegóżby nie? Wszak Zygmunt August został nim za żywota ojca?

— A! to była dynastya—wtrącił Kazanowski.

— Alboż elekcya nie może się odbyć za mojego życia?—począł król, ożywiając się.—Powiesz mi, że prawo się temu sprzeciwia, ale prawo zmienić się może i musi. Ujmiemy tych, co wpłynąć mogą.

— Marzenia!—cichutko rzekł Kazanowski—przyklaskuję im, ale się ich boję. Spróbujemy naprzód z tą wojną, której oni się tak opierają, jeżeli przełamiemy...

— Musimy! powinniśmy!

— Lękam się oporu nawet w senatorach.

— W nich?—rzekł król pośpiesznie.—Na to są wakujące krzesła, buławy i laski, na to starostwa i dzierżawy.

Władysław uczuł się wkońcu szybkiem mówieniem zmęczonym; chustą, leżącą na stole otarł twarz i usta, pochylił się na wezgłowia, obie ręce złożył pod głowę i patrzał na Kazanowskiego.

— Jakże dziś nogi twoje?—zapytał, zmieniając rozmowę, marszałek.

— Nie pytaj—westchnął król, poruszając niemi zlekka.—W nocy męczyłem się tak, żem krzykiem całą służbę pobudził, a ci doktorowie wszyscy są nieuki, żaden z nich ulgi nawet przynieść nie umie. Zrana jest zawsze lepiej trochę, pod noc... ty wiesz. Dziś, choćbym bardzo pragnął, wątpię, ażebym mógł wstać. Każę się chyba z krzesłem zanieść do Amandy, boby mi w tej sypialni samemu z tymi, co mnie nachodzić będą, nudno było wkońcu.

Spojrzał na zegarek.

— Staraj się mój Adasiu, uwolnić mnie od gości natrętnych, których zawsze jest nad miarę.

— Wielu z nich, jak wiesz—rzekł Kazanowski—przybywa umyślnie zdaleka pokłonić się majestatowi.

Rozśmiał się król.

— Pokłonić!? Jeszcze mi się nie trafiło spotkać z ukłonem bez prośby i z odwiedzinami bez interesu.

— Trzeba sobie ujmować ludzi—przerwał marszałek—sam to wiesz, więc się też poświęcić musisz i nie wszystkich od drzwi odprawiać.

Król ziewnął za całą odpowiedź, popatrzył znowu na zegarek, umoczył usta w kubku i począł poruszać się niespokojnie.

Milczenie trwało chwilę krótką. Wtem zasłonę uchylono zlekka i za nią ukazała się postać przystojnego młodego mężczyzny, z dworackim uśmiechem na ustach. Król postrzegłszy go, uśmiechnął mu się także mile, a po twarzy Kazanowskiego przebiegło jakby drgnienie niespokojne.

Był to młody syn wojewody trockiego, Pac, dworzanin króla, dość mu już naówczas ulubiony, o którego Adam Kazanowski zaczynał być zazdrosnym.

Pac miał twarzyczkę więcej krasą i świeżością młodości, niż rysami się odznaczającą. Oczy i usta miały w sobie wyraz zmysłowej namiętności, pomawiano też wojewodzica już naówczas, że i sam biegał za kobietami do zbytku i królowi usługiwał w jego ciągle się mieniających miłostkach.

Dogadzanie tej słabości, które dawało u króla łaski i wpływ, zniechęcało Kazanowskiego do młodego Paca. Marszałek sam za młodszych lat odgrywał przy królu tęż samą rolę, do której dziś już był za ciężkim i za starym; wiedział więc najlepiej jak Władysław wdzięcznym być umiał tym, co jego lenistwu i ociężałości oszczędzali zachodów.

Młody Pac nadzwyczaj szybko rosnął w łaskach u króla, który się już bez niego z trudnością mógł obchodzić. Parę razy marszałek próbował przestrzegać króla, budząc w nim nieufność do Paca, którego obwiniał o to, że sprawując królewskie interesy, o swoich nie zapominał i zyskiwał sobie też same jejmościanki, o które król miał prawo być zazdrosnym.

Władysław słuchał obwinień, ale dworzanina bronił. Kazanowski spostrzegł nawet, iż chmurnem milczeniem

zaczynał przyjmować przestrogi, a że był nadto pewien serca przyjaciela, musiał zamilknąć. Nie pokochał przeto wojewodzica, w którym upatrywał ambicyę wielką, przebiegłość i wszystko, co go niebezpiecznym czynić mogło.

Ukazanie się Paca było dla marszałka jakby hasłem do poruszenia się z miejsca i pożegnania. Król wyciągnął do niego rękę podaną zatrzymał długo i cicho coś szeptać zaczął, poczem Kazanowski z powagą, krokiem powolnym wysunął się w milczeniu, pozdrowiwszy w progu Paca, który z kolei wszedł do sypialni.

— Mówiłem z nią—szepnął pocichu, opierając się na stole i pochylając do króla, na którego twarz wystąpił wyraz wesela i pobudzonej żywo ciekawości.

— Rozumie się—ciągnął dalej,—iż dotąd tylko w mojem imieniu staram się rozpoznać charakter i usposobienie.

— Jakże ją sądzisz?—zamruczał król, wpatrując się w niego bacznie.

—N. Panie—począł, szepcząc Pac—niełatwa to rzecz osądzić kobietę, którą się zna od niedawna. One się tak przedziwnie umieją maskować, że prawie zawsze pierwszemu wrażeniu nietylko wierzyć nie można, ale spodziewać się natury wręcz przeciwnej, które one okazać się starają.

— Wiesz—przerwał król—jest to spostrzeżenie, jak na takiego, jak ty młodzika, bardzo trafne. To prawda, największe zalotnice starają się okazać skromnemi, trochę zalotności przybierają. — Ale jakże ją znajdujesz?

Pac się zadumał trochę.

— Bardzo dziwaczną, żywą, kapryśną a śmiałą — rzekł po krótkim namyśle.

— Wiesz co o jej przeszłości?—badał król.

— Bardzo mało—mówił Pac powoli;—to tylko pewne, że jest najzupełniejszą sierotą, ani ojca, ani matki nie znała, niewiele wie o nich. Wychowywali ją krewni dalecy jacyś. O rodzicach wie tylko, że matkę straciła wcześnie, a los ojca jest jej nieznany.

— Twarzyczka, spojrzenie, oczy szczególniej uderzyły mnie bardzo—począł król.—Staraj się tylko ty, co

masz pewne zachowanie u Amandy, ażeby ją przy sobie zatrzymała.

— Gdybym ja tego zażądał — dodał z uśmiechem, byłoby to najlepszym sposobem do oddalenia. Ja nawet, gdy tam jestem, a ona się pokaże, unikam spojrzenia na nią. Staraj się, aby Zygmuś ją polubił; będzie to środkiem do zatrzymania jej dla niego.

— Królewicz, chociaż taki młodziuchny—śmiejąc się, dodał Pac,—lubi już wdzięczne twarzyczki, a starych i pomarszczonych nieznosi. Podobała mu się, ale czy zechce fantazyom jego ulegać i bawić go?

— Wmów jej to—szepnął król i dorzucił.—Cóż więcej? Strój lubi?

— Bardzo i bawić się też—ciągnął Pac.

— Szepnijcie Bieleckiej—dodał Władysław,—aby była wam pomocą i zaprzyjaźniła się z tą dzieweczką; ona będzie najlepszym sprzymierzeńcem.

— Tak, jeśli zechce—przerwał Pac—i jeśli się jej nie ulęknie.

— O! o! dla siebie się ona dawno już obawiać przestała—rzekł król otwarcie;—nie może nawet mieć pretensyi, abym dla niej miał co więcej, nad dobrą pamięć o bardzo krótkich stosunkach... a...

Pac, nie mówiąc, milczeniem dał coś do zrozumienia królowi, który zamilczał też.

— Nie rozumiem — odezwał się po pewnym przestanku—jak się to dzieje, że ja jej daleko wcześniej nie spostrzegłem i że mi nie wpadła w oko. Ona podobno jest we dworze dość już dawno?

— Tak, ale ją zapewne trzymano na uboczu, przewidując, że się podobać może.

— Słyszałeś co o jakich jej miłostkach? — spytał król. —Ja o przeszłość niebardzo jestem zazdrosny.

— A!—odezwał się Pac,—kochają się w niej na zabój oddawna wszyscy, co ją widują, ale dumne dziewczę odprawuje szydersko i nielitościwie. Tak przynajmniej zgodnie świadczą wszyscy, a z jej obejścia się ze mną wnoszę, że wistocie niełatwą będzie.

— Ale ty jesteś bardzo zręcznym pomimo młodości—

dodał król. — Tylko pamiętaj, niech to idzie na własny twój rachunek... Na mnie już za wiele cięży. Nie chcę, aby o tej fantazyi wiedziano. Rozumiesz!

Pac nizko się ugiął, rękę na piersiach położył. Wtem szmer u drzwi zmusił przerwać rozmowę i pokojowy dworzanin szybko ku nim pośpieszył.

VI.

Lasota siedział pod wieczór w swej izdebce schludnej i miłej w rogu Piwnej ulicy sam jeden i spoglądał zadumany przez okno na ludność, która się dosyć żywo poruszała, płynąc z rynku ku zamkowi.

W duszy tego człowieka, który przez lata długie żył i obracał się w zupełnie odmiennej atmosferze, ten powrót do świata młodych wspomnień czynił wrażenie, jakiego nigdy odrętwiały, ostygły, zestarzały spodziewać się nie mógł.

Nie poznawał sam siebie a napełniało go to troską i niepokojem. Zdawało mu się, wybierając z powrotem do kraju na czas krótki, iż z taką go obojętnością zobaczy i powita, jakby w nim skozaczenie nic już ze starego nie pozostawiło człowieka. Jechał tu z tym wstrętem dla lackiego społeczeństwa całego, z tą wzgardą dla rozmiękłych i zepsutych panków, którą go obcowanie z Kozakami napoiło i przejęło. Był pewien, że to uczucie nietylko się zmienić nie może, ale wzrośnie na widok ludzi i obyczaju, zupełnie mu obcego i obrzydzonego.

Tymczasem w duszy swej spotykał się z nieprzezwyciężonemi sympatyami do tego, co chciał nienawidzieć. Napróżno sobie wmawiał niechęć do lachów,—ciągnęła go ku nim krew, a raczej wspomnienia młodości, które nigdy żywszemi, jak teraz nie były.

Niepojętych doznawał wrażeń. Zrana dzwonek kościelny budził go z sercem bijącem. Zdawało mu się, że chłopięciem jeszcze na mszę ranną woła go ten głos modlitwy ku niebu.

Z dawnej wiary, dla której zobojętniał tak, że do cerkwi tylko czasem zaglądał, zostały mu zaniedbane pacierze, umiane niegdyś na pamięć, nieodmawiane przez czas długi, które znalazły się teraz na ustach mimo jego woli i Lasota zdumiał się niezmiernie, gdy począwszy je szeptać, powtórzył całe. Leżały więc na dnie duszy, jak skarb w wodzie, nieuszkodzone, nietknięte.

Pierwszego dnia zaraz zajrzał do kościoła i wyszedł z niego rozmarzony jakiś, przejęty.

Oprócz tego, język, którego zdało mu się, że się wiele oduczył i zapomniał, powracał łatwo, dziwnie, a obcowanie z lachami odżywiało go cudownie. Niekiedy tylko klątwa jaka, lub wykrzyknik nałogowy, jak owe: Uhu! przed gospodą wyrywały mu się mimowolnie.

Słuchał w ulicy rozmów i brzmiały mu one nie wstrętliwie, jak się spodziewał, ale miło i swojsko. W ludziach też nawet to, co mu się wydawało dziwacznem i śmiesznem, pociągało go jako stare, znane i zakryte tylko, a zatarte.

Sam do siebie w myślach nawykł był mówić po kozacku, tu się już chwytał na polskich wyrazach. Poruszał ramionami i litował się nad sobą.

Nie rozumiał, co to miało znaczyć. Dziwnym też fenomenem, który się przytrafia tym, co po długiem wygnaniu pomiędzy swoich powracają, mnóstwo twarzy, fizyognomii, głosów, ludzi znajdował podobnemi do dawniej znanych, iż gotów był witać, jak starych znajomych.

Bielecki przywodził mu żywo na pamięć krakowskiego kupca jakiegoś, dworska panienka poznana wczoraj, własną żonę, Gurlecki dworzanina królewskiego, z którym był w przyjaźni. Mnóstwo takich typów zapomnianych spotykał w ulicy i nie mógł utaić przed sobą, że one na nim czyniły wrażenie przyjemne.

Jest to przymiotem przeszłości miłej, czy bolesnej, że raz umarłą—stroi się dla nas w uroki, jakich nie miała będąc żywą, tak, jak umierający zwykle zyskują na twarzy wyraz błogiego upojenia, choćby konali w boleści. Gdy teraz przychodziło mu znowu na myśl życie kozacze

w Siczy, które we snach się szczególniej przypominało codzień, budził się z jakimś wstrętem i obawą.

Zaczynał rozważać, co to będzie, gdy przyjdzie powracać nazad z listami, bo do tego był obowiązany. Tę myśl nieuchronnego powrotu do Siczy oddalał, odkładał, wmawiał w siebie, że to tak prędko nastąpić nie może, chociaż powinien był właśnie naglić, aby jak najrychlej listy otrzymać.

Ale nie mógłże ich powierzyć komu, nie miałże tu tego Parfena, którego za szpiega poczytywał, z powierzonym mu nad sobą nadzorem?

Drab ten niecierpliwił go. Powierzono mu listy,—dowodziło to zaufania atamana i koszowych, a jednak postawiono kogoś na straży, a ten ktoś był tak przebiegły, tak obyty z ludźmi, iż istotnie obawiać się było można, aby myśli nie odgadnął w głowie.

Zdradzić ich nie myślał przecie, ani tu na wieki pozostać. Nic go nie wiązało z tą ziemią lacką, ale tak mu się teraz zachciewało dobiedz do starego swego Krakowa!

Kraków odpychał go wspomnieniem popełnionego morderstwa, a jednak... Tamby się może mógł coś dowiedzieć o losie żony, a nadewszystko o losie dziecka swojego.

Nigdy dawniej, gdy spędzał noce bezsenne na czatach w Siczy pod niebem gwiaździstem z myślami tylko natrętnemi, nie odezwało się doń wspomnienie tego dziecka i troska o los jego. Teraz mąciła mu ona spokój, poruszała go do głębi; koniecznie zapragnął coś wiedzieć, czegoś się dowiedzieć. Ale samo dopytywanie było trudne.

Męczył się tak ciągle. Wstawał nierad z siebie, starając odpędzić te zmory; świstał ukraińską pieśń kozacką — marła mu na ustach i nagle odzywało się wczoraj słyszane u drzwi kościoła: Święty Boże!

Pieśń ta kościelna ciągnęła za sobą cały szereg uczuć nierozwikłanych, obcych jakichś, nieznanych mu nawet. Skąd się one brały? czy wszystkie zawarte były w pieśni? nie przywiózł ich przecież z sobą? nie narzucono mu tutaj?

Bieleccy oboje, zwłaszcza, gdy się przekonali, że

zamożnym był, bo pan Łukasz widział na swe oczy trzos odjęty, byli dlań bardzo uprzejmi, ale z niemi obcował jeszcze tak mało, iż od nich nic przejąć nie mógł.

Zdało mu się, że zbierał gdzieś przyległe do ścian, zaschłe te myśli, co mu się teraz roiły, jedna związana z drugą nieprzerwanym szeregiem.

— A to tu oszaleć przyjdzie!—mówił do siebie.

A że nawykły był do gorzałki i flaszkę jej już był sobie pod łóżkiem przysposobił, szedł z kubkiem do niej, aby go orzeźwiła. Wistocie po jednym, drugim kubku kozacze myśli powracały, ale lada co je rozpędzało: okrzyk z ulicy, dźwięk dzwonu zdaleka, nawet głos zegaru na ratuszowej wieży i hejnały wygrywane na niej wieczorem i rano. Podobne niegdyś odzywały się z wieży Panny Maryi w rynku krakowskim. Jednego z nich słuchając, rozpłakał się, sam nie wiedząc jak i gdy dopiero łzy poczuł, machinalnie ręką potarł po twarzy.

— Człowiek jest, jak ta trzcina na Dnieprowych kamyszach—mówił w sobie;—lada wiatr nim ugina. Sądzi, że mocen, a twardy bardzo... a tu co? nie złamie się, jakby powinien, a pokłoni posłuszny!

Tego wieczora Bielecki, który na zamku miał coś ustawicznie do czynienia, jako szafarz spiżarni królewskich, powrócił dosyć późno i gdy wszedłszy do domu, od żony się dowiedział, że gość jego prawie na miasto nie wychodząc, znaczniejszą część dnia przesiedział zamknięty, zastukał do niego, zapraszając na czarkę wina, nimby spać poszli.

Znalazł go tak smutnym, a jak się jemu wydało, znudzonym, iż mu się go żal zrobiło.

— Widać to—rzekł,—żeście jeszcze sobie znajomości na mieście nie mieli czasu zrobić; siedzicie więc jak pustelnik, nie wiedząc, kędy się obrócić. Na to ja chyba jutro trochę zaradzę, okazując wam zamek królewski. Jest i tam co widzieć, choć niedawno się dopiero rozszerzył i wystroił za nieboszczyka starego pana. Dawniej stał tylko stary zamek, który teraz poprawiono, a zresztą więcej było drzewa, jak muru. Za naszego zaś pana wszystko się muruje i *galanto* musi wyglądać. Nigdy, jako żywo u nas

tak nie edyfikowano wiele i wspaniale i nikt nie widział tylu malowań, co teraz. Na zamkach, po pałacach, po domach całe ściany w obrazach ogromnych, bo król się w tem kocha, a za nim też Kazanowski, Ossoliński, Opaliński i nasi księża biskupi. No i my też mieszczanie ratusz musieliśmy malować dla gustu pańskiego.

U pp. Kazanowskich, u Ossolińskiego Niemcy i flamscy robotnicy raz wraz coś konterfektują na deskach, na płótnach i na szczerych ścianach. Nasi też cechowi malarze krakowscy naśladują ich, ale ci więcej świątobliwe obrazy do kościołów robią i nie zrównają majstrom zagranicznym, którzy srogie pieniądze biorą za te kunszty, a samo utrzymanie ich więcej, niż lada posła kosztuje!

— Z zamku wracacie?—spytał Lasota.—A cóż tam, nowiny są jakie?

— Innych niema, oprócz że król jeszcze leży, a mało co na krzesło wstaje i z niem się nosić każe, bo chodzić mu trudno. Przeto jednak nie próżnuje, bo cały dzień się u niego pp. senatorowie mieniają.

— A cóż doktorzy mówią na tę chorobę?—zapytał Lasota.

— Obiecują polepszenie—dźwigając ramionami, rzekł Bielecki—ale z nich najrozumniejsi niewiele znają. Król już oddawna ma to choróbsko w nogach, a roztył się i rozlał ogromnie. Przytem mu się żenić zachciało—dodał Bielecki.—Zacny a dobry pan, bohater wielki, rozumu Pan Bóg mu nie poskąpił, mógłby światu panować, — a jak Salomon słabym jest dla płci białej.

Bielecki nie widział potrzeby czynić z tego tajemnicy; cała Warszawa znała te miłostki pańskie, które za Cecylii Renaty cokolwiek się na czas pohamowały, a teraz rosły znowu, jak za pierwszych czasów młodości.

— Co najgorzej—mówił dalej szafarz królewski,— iż mu coraz świeżej potrzeba; niestateczny jest.

Wiozą nam już z Francyi nową królową, której konterfekt widziałem; cudna jest, a tu dotąd miejsce dla niej nieopróżnione... ano! I na dworze wróżą jeszcze, czy z kró-

lową żyć bardzo będzie, czy nie, bo są tu tacy, co z jego słabości korzystają. Nieradzi gratkę puszczą.

Zmilczał chwilę dosyć gadatliwy Bielecki, ale że mu gościa czemś zabawić było potrzeba, uśmiechając się ciągnął dalej:

— Przy królewiczu Zygmuntku jest Niemka, śliczności, przyjaciółka nieboszczki królowej, Amanda. U tej król po całych dniach teraz siedzi, a czasem późno w noc; wszyscy wiedzą, że ją miłuje bardzo, obdarza i bez niej żyć prawie nie może. Ale to filut Niemka, bo takie stroi miny, jakby tylko Zygmusiowi służyła: do góry główkę zadziera. Z tą bodaj kniazia jakiego ożenią... stara się ich tam dosyć, bo król wyposaży i ona u niego potem wyrobi, co zechce. Gdybyż z tą Amandą tylko było bałamuctwo, ale aby się we dworze dzióbek młody pokazał, król musi go zobaczyć, a podoba mu się...

Nie dokończył Bielecki, aż potem dodał:

— Powiadają, że strach, ile pieniędzy idzie na wojsko nowe, na armaty i prochy, ale też i na fartuszki i na pałace, i na wszystkie te wspaniałości, bez których u nas teraz żyć nie umieją panowie. Starzy powiadają, że nigdy tak nie bywało u nas. Począwszy od biskupów budują pałace, a marmurami, zwierciadłami, złoceniami, obiciami je drogiemi przyozdabiają. Spytajcie, co kosztował pałac Kazanowskiego albo Ossolińskiego, że już innych nie wspomnę.

A i w sukniach i we zbroi luksus wielki; niedosyć u szlachty, my też, co po miastach siedzimy, za nimi w trop. Samem Włocha kupca w Krakowie baczył, co kolebką sześcią woźnikami białemi wozić się kazał. Ten, gdy wojewodę krakowskiego w ulicy spotkał a pokłonił mu się, senator mu pięść pokazał. I chcieli wydawać i powydawali prawa przeciw luksusowi temu. Zabroniono mieszczanom, aż Włochy pergaminy ukazały, że są szlachcicami weneckimi i innymi tam, a zatem ich to nie tyczy. Drudzy zaś do szlacheckich naszych herbów się poprzyszywali.

— Zobaczycie jutro zamek—mówił dalej Bielecki,—a jeśli wam szczęście posłuży, możecie zobaczyć królewicza małego i Amandę, bo Karola, brata królewskiego,

chociaż na zamku też rezyduje, teraz tu niema. Posłano go naprzeciwko królowej.

Bielecki, popijając, rozgadywał się.

— Zdaje mi się—rzekł,—jeżeli z tych chodów młodego Paca, wojewodzica, królewskiego pokojowego, zaufanego, wnosić, że ta panienka, coście ją tu widzieli u nas, także królowi w oko wpadła.

Niewiedzieć dlaczego Lasota, usłyszawszy to, doznał przykrego uczucia i namarszczył się.

— Szkodaby było dziewczęcia—westchnął.

— A co się jej za krzywda przez to stanie!—odparł szafarz. — I owszem, znajdzie się zaraz siła, co się z nią żenić zechcą, ale z nią ani nawet król do końca nie trafi—rozśmiał się Bielecki.

— Dlaczego?—spytał Płaza.

— Moja żona ją bardzo dobrze zna — ciągnął dalej gospodarz;—jest to takie dzikie jakieś stworzenie! Patrzeć na nią, mówić z nią, żartować, zdaje się to płoche, a ugłaskane i obyczaj ma dworski. Słowo ją nie spłoszy, odpowie raźnie, ale niechże kto posunie się śmielej od rączki, do pyszczka, albo ją wpół zechce objąć, jak to u nas dworaki zwykli, gotowa nawet wojewodziców policzkować. Ani przystąpić do niej!

— Ho! dziewczyna ma rozum—rzekł uradowany Płaza.

— Patrzmy—no końca—dodał szafarz;—ja już takie widywałem, co odpychały wielkich panów, a potem ją lada pacholik ugłaskał. Mówi ciągle: sierota jestem, nie mam nikogo, muszę sama siebie pilnować.

Z uwagą wielką przysłuchiwał się Lasota; dziewczę go zajmowało.

— Jeżeli prawda, że się Pac koło niej kręci — rzekł Bielecki,—to nie dla siebie... królowi się podobała, tego nie ujdzie...

Płaza poruszył ramionami.

— Dziwne u was obyczaje—rzekł;—król się ożenił, żony mu nie przywieźli jeszcze, tu już jedną miłośnicę ma, a innych mu szukają.

Mieszczanin śmiał się.

— Salomona naśladują—rzekł.—Przecież to najrozumniejszy z ludzi był, a żon i miłośnic chował tyle. Nam prostaczkom byłoby to grzechem, im rozrywką niewinną.

Po tej rozmowie, gdy na zegarze godzina wybiła późna, wstał Bielecki żegnać się z gościem, radząc mu iść rychło spać.

— Jutro, jeśli nie macie nic lepszego do robienia — dodał,—a ciekawi jesteście rano idę na zamek i mogę was zabrać z sobą, aby pokazać rezydencyę pańską. Piękniejszej nie zobaczycie w życiu.

— I owszem, i owszem—pośpieszył Płaza—wdzięczen wam będę... któżby ciekawym nie był? Długi czas okrom trzcin, traw i krzaków a skał mało co oczy moje widziały, chyba stare dwory drewniane i zameczki z kołów i gliny lepione... a Krakowam zapomniał.

— Warszawa go przejdzie wkrótce—odparł dumnie Bielecki.—Już się bogatsi kupcy stamtąd do nas wynoszą.

Nazajutrz rano, dotrzymując słowa szafarz przyszedł po gościa, który, ubrawszy się, czekał na niego.

Szli tedy razem ku zamkowi nowemu, który w miejscu starych budynków drewnianych na przedzie się wznosił i okazale dosyć patrzył na miasto. Na dole otaczały go galerye sklepione, nad któremi biegły dwa rzędy okien.

Po rogach jego wznosiły się cztery kształtne wieżyczki, kryte miedzią, a w pośrodku górowała zegarowa wieża z gankami. Na szczycie jej pozłocona gałka utrzymywała wietrznik z orłem. Mury te nowe jeszcze i czyste wcale pańsko się prezentowały, chociaż zbyt obszerne nie były.

Bielecki, który tu znał wszystkich kluczników i odźwiernych, wprost naprzód do izb i sal wielkich poprowadził, w których się odbywały sejmy i znaczniejsze uroczystości. Z tych jedna szczególniej, wykładana marmurem różnokolorowym, z kominem w kształcie wodotrysku, z bronzu odlewanym, ozdobnym, z posadzką wzorzystą, podobała się bardzo Płazie. Większą ona była od tej, którą widział w pałacu Ossolińskiego, ale tamta wspaniałością ją przechodziła.

Druga po niej na ścianach tak samo, jak u kanclerza

cała była okryta ogromnemi obrazami, zwycięstwa i pochody wojenne Władysława IV wystawującemi.

Pomiędzy temi widokami bitw i miast obleganych, wielkie i piękne wizerunki króla nieboszczyka i obu żon jego w koronacyjnych szatach, doskonale malowane, zajmowały tak miejsca wszystkie, iż ścian samych prawie widać nie było.

Kilka tych sal teraz pustych ze swemi ławami, stołami i sprzętem, pościąganym na kupy, mimo wspaniałości, dość smutne czyniły wrażenie.

Bieleckiemu jednak nadewszystko pono o to szło, aby się najkosztowniejszą i tą, której budowa najwięcej kunsztu wymagała, pochwalił, bo podobnej tej na północy nigdzie widzieć nie było można.

Wszedłszy tu jednak w mroku się nierychło rozpatrzeć mógł Płaza. Gmach był bardzo obszerny, napół kolumnami przedzielony, w którym z jednej strony stały siedzenia wygodne dla gości, a oddzielnie dla króla i jego rodziny. Poza kolumnami zaś i zasłoną, która teraz podniesioną była, w górę, aż do dachu, w dół, aż do piwnic schodziły dziwnie poustawiane wschody, windy, drabiny, rzeźbione i malowane drzewa, ganki, galerye różne. Ponad głowami na sznurach zawieszone były obłoki. Mnóstwo niezrozumiałych różnych przyrządów teraz w nieładzie zapełniało scenę.

— Trupa tu tylko oglądacie — odezwał się ożywiony Bielecki,—bo to teatrum jest, które widzieć potrzeba, gdy je tysiąc świec i lamp światłem obleje, gdy muzyka na galeryi stanie, a włoscy śpiewacy wystąpią, którzy razem i gardły i nogami się popisują, a około nich na rozkazanie noc i dzień, burza i pogoda, i prawe cuda się dzieją. Gdy grają „Dafne, w drzewo przemieniona”, widzieć potrzeba, jak się ona śpiewająca—nagle obraca w laur...

Ale któż to opowie! Capellę samą słuchać, chyba aniołowie w niebiosach śpiewać tak mogą. Jam tu oglądał i piekło, i morze burzliwe z syreny pływającemi a śpiewającemi, z okręty żeglującemi, i obłoki, piorunami ziejące.

Płaza stał, patrzał, choć tu niewiele mógł zrozumieć, a Bielecki mu opisywał, jako mógł, co to za cuda i wspania-

łości są, gdy teatrum grają, gdy śpiewacy postrojeni na scenę wynijdą, gdy wszystko w ruch się wprawi, a capella, aktorowie, kunszty, ognie na jeden obraz się złożą.

Wielki miłośnik teatru, szafarz unosił się, mówiąc o nim, a przysięgał, iż na całym świecie drugiego pewnie podobnego nie było.

Płazie wyrwało się tylko:

— Cóż to kosztować musi?

— O tem wie jeden Pan Bóg i pan podskarbi—rzekł Bielecki;—a może mylę się, bo król ze swej szkatuły musi łożyć, a z tą się on nie liczy. Włochy za gardła płacić każą tak, iż żaden kaznodzieja nie bierze tyle jurgieltu co oni. Capella też z cudzoziemców złożona, małoco swoich; malatury obcych rękami robione; naostatek i komedya nie po naszemu, ale po włosku, *galanto*.

— U nas tak—dołożył szafarz, wygadując się;—król pono najlepiej lubi po niemiecku, bo go Meyerin uczyła, kochając go jak matka; włoski mu też do smaku, francuskim nie gardzi, a polski, choć zna dobrze i mówi nim gładko, ale to powszedni chleb dla pospolitych ludzi. I poeta nadworny, co go mamy, to Niemiec,—zwie się Opicz.

Bieleckiemu z tą salą cudów niełatwo się było rozstać, chciał obudzić entuzyazm ku niej w towarzyszu, ale ten, szkielety widząc tylko, głową potrząsał i milczał.

Przeszli potem jeszcze cały szereg sal i komnat różnych, wszędzie prawie pustkę znajdując, bo podczas zjazdu żadnego nie było. Gdzieniegdzie tylko krzątano się zwolna około przygotowań na przyjęcie królowej, wcale jednak nie okazując pośpiechu.

Wschodami potem sprowadził Bielecki gościa w dziedziniec wewnętrzny brukowany, który dokoła mury i budynki, kuchnie i oficyny otaczały. Od strony Wisły ogromna gruba ściana z kamieni wznosiła się dla powstrzymania wylewu wody, która tu wiosną nadchodziła.

Na tych to fundamentach stał nowy dwór murowany królewicza Karola, w którym on przemieszkiwał. Nie szli tu, i Bielecki wskazał tylko na górze salę wielką, oknami dużemi opatrzoną, z której „prospekt” być miał na okolicę, jak on się wyrażał, bardzo cudny.

Z boku podwórca stało stare zamczysko odnowione, zamieszkane, ale na oko zaraz swój wiek zdradzające. Tu się dworscy, czeladź i służba różna mieściła. Stąd też ganki odnowione, kryte dozwalały wprost przejść do kościoła Ś. Jana.

Bielecki nic nie przeoczył, cokolwiek mogło obudzić podziwienie i było widzenia warte, tak, że nawet starą łaźnię królewską, w której teraz dla pożytku państwa zbudowano wielką cynową sadzawkę dla kąpieli, kazał Płazie oglądać.

Wreszcie już, oprócz ogrodu w dole dosyć schludnie i pięknie zasadzonego, kwiatków i krzewów, a wody, którą stąd, kołem obracając, na górne piętra prowadzono rurami, nic do widzenia nie zostawało, bo mieszkalne pokoje króla przystępne nie były.

Szafarz miał nieopodal od kuchen na starym zamku izb parę dla siebie, w których przyjmował też gości i interesy swoje sprawował.

— Zajdźże waszmość do mnie, a spocznij—rzekł, prowadząc go ku staremu zamkowi.

Szli tedy ciągle pomijając dworzan pańskich, czeladź i mnóstwo kobiet, które się tu tak licznie ukazywały, jak gdyby już królowa była na zamku.

Nie uszło to oka Płazy, że większa ich część była młodych i bardzo postrojonych, wesoło z dworzany po drodze rozmawiających i śmiejących się wesoło.

Tu, gdy powoli korytarzem szli, Bielecki potrącił łokciem towarzysza, nieopodal mu wskazując przystojnego i strojnego młodzieńca, który pannę tę, co ją Płaza poznał, zatrzymawszy w przejściu, wesołą z nią prowadził rozmowę.

— Przypatrz się waszmość temu młodemu—szepnął—*ni fallor*, jeśli pożyje, to go wielkie łaski pańskie czekają. Tak poczynali Kazanowscy. Nie dla siebie on panienkę korumpuje!

— Brzydkie rzemiosło—zamruczał Płaza—nie przystało zacnemu panu.

Szafarz machnął ręką.

— My na to inaczej patrzymy—rzekł.—U króla serce sobie pozyska, spoufali się z nim, a potem będzie z nim czynił, co zechce. Wszystkim wiadomo, że Kazanowscy nie mieli nic, gdy się na dwór za towarzyszów królewiczowi dostali. Król teraz nie ma nic, a oni są bogatsi od niego. Sławnać to historya tego pierścienia po matce, pamiątki ostatniej, którą król Adamowi darował. Pan to szczodrobliwy nad miarę.

Westchnął Bielecki.

— Ale mu surowych słów prawdy nie mówić, bo ich nie lubi, goryczy nie trawi.

Mijali właśnie piękną dworkę, która wcale widokiem ich nie była strwożona, ani zmieszana. Pozdrowił ją Płaza, oddała mu ukłon, a Bieleckiemu rzuciła:

— Kłaniaj się waszmość żonie swej, a powiedz, że ją wkrótce znów odwiedzę.

Gdy się to działo, młody Pac nie odszedł i chciał snać przeczekać, aż znowu sam z dziewczęciem zostanie.

Płaza się kilka razy obejrzał poza siebie; dziewczę stało w boki się ująwszy, śmiało patrząc w oczy pięknemu dworzaninowi, ale zdawało się chcieć żarty stroić z niego.

Wtem od ganków, które do kościoła prowadziły, ruch się dał słyszeć i Bielecki o gościu nie zapominając, razem z nim za słup w murze się skrył, szepcąc:

— Macie szczęście... Oto idzie panna Amanda, a z nią królewicz Zygmunt...

Zoczywszy ją zdaleka, dworka, która tak swobodnie z Pacem rozmawiała, pierzchnęła, śmiejąc się, a wojewodzic, krótką się chwilę zatrzymawszy tylko, postąpił na spotkanie panny Amandy i królewicza.

Śliczny chłopaczek, który się starszym wydawał, niż był, szedł z wielką butą, przy szabelce, po polsku ubrany, a kto na niego spojrzał, uśmiechał mu się i on się też kłaniał i uśmiechał wszystkim. Znać w nim było pieszczonego, królewskiego jedynaka—ale jakże tej laleczki nie było pieścić?

Panna Amanda, która mu towarzyszyła, słuszna i bardzo piękna brunetka, twarzy poważnej i nad miarę skromnie ułożonej, postępowała majestatycznie, jak królowa, wiodąc za rękę i przytrzymując niecierpliwego królewicza. Z każdego jej ruchu widać było przejęcie się obowiązkami i wysoką dostojnością, jaką piastowała, zastępowała bowiem matkę przy małym królewiczu, który ją czasem nawet, chcąc się przypodobać, tem imieniem nazywał. Wnieść stąd było łatwo, jak panna Amanda i jej dwór złem okiem widziały nowe królewskie ożenienie, jak je tu królowi odradzano, jak starano się przeciw nowej pani uprzedzić i od niej odstręczyć.

Panna Amanda Eckenberg miała swe stronnictwo sprzymierzeńców, przyjaciół, posiłkujących, a do nich należeli ci wszyscy, którzy z położenia, w jakiem się król od owdowienia znajdował, korzystali. Naprzeciw tej partyi stała druga, silniejsza i nadewszystko poważniejsza, która wolała mieć królowę, jej dwór i widzieć króla mniej płochym w tych latach, gdy już pół wieku przeszedłszy, nie godzi się młodzieńczych dopuszczać wybryków.

Na nieszczęście król był nawykłym dawniej do tego życia swobodnego, do którego ci sami mu dopomagali, co teraz wstrzymywać chcieli od niego.

Małżeństwo, w którem i polityka i finansowe położenie wielki udział miało, przychodziło do skutku. Powiadano, że królowi przed pierwszem ożenieniem już przywieziony portret Maryi Ludwiki podobał się był bardzo, że się w niej na niewidziane kochał, ale gdy małżeństwo przez posły zostało zawarte, gdy królowa już się w podróż do Polski puścić miała, uważano ostygnięcie, zniechęcenie i powrót do dawnych obyczajów. Wnoszono z tego, że młoda królowa nie potrafi ujarzmić króla i zajmie stanowisko na tronie, a nie w sercu.

Co się działo w tem sercu pańskiem, trudno było odgadnąć. Miękkie ono było, ale niestałe, a wiek czynił je przystępniejszem innym uczuciom, niż spóźnionym miłostkom.

W pochodzie ku zamkowi z królewiczem panna Amanda odbierała po drodze oznaki największego uszanowania, ale że one równie się do królewicza Zygmunta,

idącego z nią, jak do niej odnosić mogły, wolno je było, jak chcąc sobie tłumaczyć.

Pac, pozostawszy sam, usunął się z drogi, ale królewicz skinął na niego, a panna Amanda spojrzała dosyć łaskawie i czekał, aby im towarzyszyć. Dwór, który z wielkiem zawsze zajęciem ścigał oczyma młodego przyszłego domniemanego dziedzica tronu, i teraz stał, póki nie przeszedł orszak mu towarzyszący i Zygmunt nie zniknął pod krużgankami zamkowemi.

Bielecki wprowadził gościa do swojej, jak ją zwał, kancelaryi i tłumaczył mu, co widzieli.

— Królewicza naszego, jedyne oko w głowie—rzekł,— widzieliście. Niech mu Bóg daje żywot i zdrowie, niech rośnie na pociechę rodzica i Rzeczypospolitej. To dopiero będzie taki pan, jakiego nam potrzeba. Dziś to już dzieciak cudowny.

Królowę jejmość, która przybywa, wątpię, aby pan Bóg obdarzył potomstwem; boimy się, aby po macoszemu nie obchodziła się z naszym ulubieńcem, ale pilnować jej będziemy.

— Już to—mówił, porządkując swe papiery i klucze, Bielecki — gotuje się życie nie do zazdrości dla przyszłej pani naszej... trudno jej będzie serca sobie pozyskać.

Płaza słuchał i rozglądał się dosyć obojętnie, a że szafarzowi przerywano ciągle i miał wiele do czynienia, nie chcąc mu przeszkadzać, wypiwszy kubek wina, cofnął się, sam nie wiedząc, dokąd się uda... Miał tyle w mieście do widzenia a tak go teraz pociągało wszystko, iż rad znalazł się swobodniejszym.

Około zamku w tej godzinie dnia ruch był znaczny, zmieniały się straże, przywożono zapasy różne, oznajmywali się goście, przybywali urzędnicy dworu. Gwaru i popychania było dosyć, tak że Płaza, który nie wyglądał zbyt pokaźnie, musiał sobie drogę torować pracowicie, i rad był, gdy się znalazł za wrotami na placu.

Ale tu ledwie miał czas się obejrzeć, aby obmyśleć, kędy pójdzie, gdy ów wszędzie, jak cień za nim chodzący drab, Parfen, już go, szydersko się śmiejąc, pozdrowił.

Płazie to prześladowanie dokuczało i przykre zrobiło wrażenie, czuł się niewolnikiem.

— Na pięty mi następujecie—zamruczał, niechętnie oddając ukłon Parfenowi.

— Tylko, aby wam posłużyć—odparł Kozak.—Wy tu obcy, a lachy nie mają czasu kozackiego posła przyjmować.

— Ale wiesz to przecie—syknął Płaza,—iż mnie tu nikt, jako posła, nie powinien znać, a wy, włócząc się za mną, zdradzacie mnie.

— Nie bójcie się!—rzekł kozak.—Ja nie jestem taki głupi, jak się wam wydaję. Lachy nie są podejrzliwi i ani się lękają, ani szpiegują. Im pod nosem można dokazywać, co się komu podoba: nie będą widzieli, albo rozumieli. Tem mniej, gdy o Kozactwo chodzi, które oni za grube chłopstwo mają!

Parfen począł się śmiać.

— Juści my, grube chłopy!—rzekł.—Ani my w jedwabiach chodzimy, ani obce języki rozumiemy, ani nam tych łakoci i cacek potrzeba, co panom lachom, ale nas niewola nauczyła wiele. My bijemy pokłony, a pięści zaciskamy, a kiedy najniżej czołem,—to najhardziej duszą.

Spojrzał na milczącego Płazę.

— Coś wy, batku—dodał—chodzicie po Warszawie taki kwaśny, jakby wam doprawdy żal było Kosza i waszego Kurenia? Co wam jest? Czy poszło co na opak?

— Nie—rzekł Płaza, który, spojrzawszy na Kozaka, zmiarkował, że się go strzedz powinien,—nie, nie stało się nic, ale człowiek tu obcy, niewiele rozumie, przeto się frasuje.

— Za czem?—odparł Kozak.—Co wam sobie łamać głowy? Listy oddaliście, odpowiedź odbierzecie, i po wszystkiem! Więcej od was nie będzie ataman wymagał. Byle tylko znowu nie odprawili z obiecanką, cacanką, a bez groszy, bo nam ich potrzeba. Chcą, byśmy królowi usłużyli— czemu nie? ale zapłacić za służbę muszą. Powiedzą, że pieniędzy nie mają...

Parfen głową pokiwał i rękę do góry podniósłszy,

na wieżyczki zamkowe, blachą pobite, z gałkami pozłacanemi ukazał.

— A jak mają grosze być, kiedy dachy pozłacają, a z miedzi gonty kują?

Płaza tymczasem, głową skinąwszy, uszedł na stronę...

VII.

Rok się kończył a zima rozpoczynała; wpołożeniu potajemnego posła kozaków nic się nie zmieniło na oko; on sam tylko, chociaż się z tem starał ukrywać, znacznie się czuł innym. Pobyt wśród tego dworu, w atmosferze wcale różnej od tej, którą lat wiele nawykł był oddychać, odżywił w nim jakiegoś starego człowieka, a raczej nowego stworzył, bo wiek mu nie dopuszczał być tym, jak niegdyś zbiegł na Niż, aby o Polsce zapomnieć.

W osobliwszem się czuł położeniu, ciągle prawie kłamstwem żyć zmuszony. Z obowiązku bowiem upominał się o odprawę i listy, chcąc niby powracać do Siczy, gdy wistocie wcale mu się tego nie chciało. Naglił o to Parfen, chodzący za nim ciągle zdala, choć Płaza starał mu się zręcznie wywijać.

Z Bieleckim, który ani umiał, ani chciał mu głęboko w duszę zaglądać i z jego żoną, dosyć mu przyjazną, bo ujętą małemi podarkami i grzecznością gościa, żył na bardzo poufałej, przyjacielskiej stopie. Zresztą niewiele zrobił nowych znajomości bliższych, chociaż przez Bieleckiego poznał ludzi i ich stosunki na dworze.

Zapraszano go wszędzie, pokumał się ze wszystkimi niemal, z którymi Bielecki był znajomym: z kapellą, muzykantami, służbą zamkową, dworzanami, koniuszymi, ale nie zdradzał się z sobą, kim był i podawał się za człowieka, który po latach długich na kresach spędzonych, szukał sobie na starość kąta jakiegoś i zajęcia.

A że przez Bieleckich wiedziano, iż bez grosza nie był, on też dosyć chętnie częstował, nikomu w drogę nie

wchodził, w żaden się spór nie mieszał, ze wszystkimi starał się być dobrze; lubiono go powszechnie, ale zbyt nie szanowano.

Kosztowało niemało Płazę, który gwałtownego swego temperamentu nie pozbył się z wiekiem, poskramiać się i trzymać na wodzy, lecz musiał to czynić przez obawę, aby się nie wwikłać w złą sprawę.

Z powrotem na Niż niebardzo mu się chciało, nie naglił też zbytecznie o listy, które odkładano pod pozorem, iż król jeszcze niepewien był, jak i kiedy Kozaków zażyje.

Płaza chciał z tem ustnem tłumaczeniem odprawić Parfena, aby go nie mieć ciągle na karku, jako nadzorcę, ale Kozak potrząsał głową i nie dał się słać.

— Trzeba dać znać,—no to nakażcie mi, ja znajdę takiego, co to zaniesie atamanowi i koszowym, a ja stąd nie ruszę, póki mnie oni nie powołają.

— Ono to tak wygląda—śmiejąc się, rzekł raz Płaza—jakby mnie nie wierzono spełna a was na straży postawiono. A na cóż było listy mi dawać, kiedy wiary nie dajecie?

— Uchowaj Boże!—zaprotestował Parfen.—Wam się wierzy, ale możecie potrzebować pomocy, od tego ja tu jestem.

— A gdyby zresztą i chciano patrzeć w wasze karty —dodał Kozak, — alboby się temu dziwować? Alboście wy nie lach? Choć lat tyle między Kozakami, krew nigdy się nie mieni w człowieku! Listy wam dali, bo do nich Kozaka takiego, jak potrzeba nie było! Niech wam się nie skuczy, że ja chodzę za wami. Jak nie macie co taić — co wam to szkodzi...?

Płaza nie miał nic więcej nad to do utajenia, że w nim wistocie lach odżył, a przyczyniła się do tego zmartwychpowstania piękna dworka, którą poznał u Bieleckich, a która straszliwie mu nieboszczkę żonę przypominała.

Zręczne dziewczę korzystało z tej słabości starego, aby go, niewiadomo w jakim celu, całkiem sobie pozyskać.

Uroił on sobie, iż mogła być tą właśnie zagubioną córką jego, a że dotąd nic z tego, co o niej wiedział, przypuszczeniu się temu nie sprzeciwiało, utwierdził się w swem prze-

konaniu. Nie przyznał się do tego pięknej Bietce, ale nadzwyczaj się nią żywo zajmował, służył, opiekował i nie tail z tem, tak że Bielecka go posądzała, jakoby o małżeństwie z nią myślał.

Chociaż wieki wcale niestosowne były, tyle się podobnych kojarzyło związków, iż i ten mógł się wydawać możliwym. Zagadnięty wszakże żartobliwie przez Bielecką, która gotową się oświadczyła pomagać mu nawet, Płaza ramionami dźwignął.

— Pani moja miłościwa—zawołał,—a toby mnie do czubków wsadzić trzeba, gdybym o tem pomyślał! Jac co najmniej ojcem jej mógłbym być. Gdzież tu do mojego kożucha przypiąć taki kwiatek?

— A! a!—wołała trzpiotowata Bielecka,—no, a król nasz się żeni... starzy na najlepszych mężów wychodzą, a waszmość nie jesteś, tylko się czynisz starym.

— Ja o żadnem ożenieniu nie myślę—dorzucił Płaza—ale Bietkę-bym rychlej za dziecko sobie przybrał, bo mi przypomina nieboszczkę, którą, choć nie była tego wartą, zawsze jeszcze potrosze miłuję.

Bielecka brała tu w obronę nieboszczkę i wmawiała w Płazę, że mężczyźni ze swą głupią zazdrością nigdy nie mają słuszności... przywiduje się im zawsze.

Z jednej więc strony dziewczę to przywiązywało Płazę do miejsca, z drugiej, osobliwsze zaprawdę spotkanie, które on krył przed ludźmi.

Włócząc się po mieście, co mu się często trafiało, gdy albo nie miał co czynić, lub Parfena, sznurkującego za sobą, umyślnie na złość chciał w błąd wprowadzić, zaszedł raz na Nowem Mieście do kościołka Św. Brunona.

Przy nim znajdowała się naówczas szkółka ubogich chłopiąt, sierot, pauprów z miłosierdzia utrzymywana. Pauprów tych biednych znało miasto całe, bo z piosenkami, z gwiazdką, z jasełkami chodzili za jałmużną i było im to dozwolone.

Tuż przy kościołku znajdowała się dosyć duża izba, którą nazywano szkołą. Nic biedniejszego nad nią wymyśleć nie było podobna. Zimą opalano ją przez miłosierdzie

ofiarowanemi polanami i trzaskami; stołki, ławki, stół pochodziły z żebraniny i znać na nich było dobrze to pochodzenie, w oknach, którym połowy błon brakło, papier i cienko wystrugane deszczułki sosnowe zastępowały wybite szyby, a o czystość i porządek same sieroty starać się musiały, więc zmiatano śmiecie do kąta i na tem się kończyło wszystko.

Płaza, który przypadkiem już także zaszedł był do kościoła, szpitala i szkółki przy Ś. Duchu, gdzie również miejskie dzieci uczono potrosze, choć i tam parady wielkiej nie było, gdy porównał ową biedotę Ś. Brunona ze szkołą przy szpitalu Św. Ducha, aż mu się serce ścisnęło.—Pociągnęło go ku tym pauprom i wspomnienie krakowskich.

Gdy się im z litością przypatrywał, więcej jeszcze nad nich uderzyła go twarz blada, bardzo dziwnych rysów, ubogo i nędznie odzianego klechy, czy księdza, który właśnie nad pauprami miał jakby dozór i zwierzchność. Twarzy takiej kwadratowej, z niezmiernie szerokiemi ustami, z głęboko pod czaszką osadzonemi oczkami malemi, z kośćmi czoła, wystającemi ostro, z uszami ogromnemi, jakby z pergaminu wykrojonemi, drugiej chyba na szerokim świecie szukać było i nie znaleźć.

Tymczasem Płaza takuteńką drugą, tylko młodszą, gdzieś sobie przypominał! Gdzie? naturalnie, że w Krakowie, ale do kogo ta osobliwa maska i śmieszna i sympatyczne obudzająca uczucie należała, tego sobie Płaza w żaden sposób nie umiał przypomnieć.

Przysiągłby był, że go kędyś, gdzieś znał, widywał.

Tak go to poruszyło, jak teraz wszelkie wspomnienia przeszłości, i nie mógł się od tego wstrzymać, aby nie podejść do ubożuchnego księżyny, i niby dla rozpytania o pauprów, zawiązał z nim rozmowę.

Głos tego człowieka cichy, łagodny, miękki, uśmiech jego jeszcze żywiej mu na pamięć przywiodły kogoś... ale kogo, nie mógł się jeszcze rozgarnąć.

— Wielu tu tych pauprów macie?—zapytał.

— Jest ich kilkunastu, a byłoby daleko więcej — dodał ksiądz,—gdyby ich szkoła czem przywabić mogła, oprócz tej jałmużny, którą wyuczonemi w niej piosenka-

ni mogą sobie zarobić. Ale jak się temu biedactwu inny kawałeczek chleba nastręczy trochę czem posmarowany a lżejszy, co za dziw, że głodne pójdą za nim?

Zimą, jak jest trochę drewek i w piecu się pali, to obdartuszki przychodzą się tu ogrzać, a ja z tego korzystam, aby ich katechizmu poduczyć, niektórych do alfabetu zaprządz, innych obietnicą lepszego bytu do nauki zachęcić.

Westchnął ksiądz. Rozmowa przeciągnęłaby się dłużej pewnie, gdyby w tej chwili wychodzący z proboszczowskiego budynku poważny zakrystyan nie zawołał na głos tonem dosyć nakazującym:

— Ksiądz Stoczek do dobrodzieja... a żywo!

Ruszył natychmiast ksiądz Stoczek w wyszarzanej sutannie na zawołanie, a Płaza po nazwisku sobie przypomniał, że gdy w Krakowie do szkoły chodził, miał tego Stoczka, jako służkę, towarzysza i przyjaciela przy sobie. Trwał ten stosunek lat kilka. Zniknął mu potem pauper z oczów, bo Stoczek pauprem był i pozostał nim po dziś dzień, choć cudem jakimś do sukni duchownej się dobił, co dla ubogiego, nieznanego pochodzenia sieroty i nieszlachcica trudnem było, z wyjątkiem zakonów żebraczych, gdzie niewiele pytając ludzi przyjmowano.

Stoczka sobie teraz żywo bardzo przypomniał Płaza, a może go za dawnych czasów nigdy tak nie umiał ocenić, jak teraz, gdy przeszłość rozpamiętywał.

Był ów Jacuś Stoczek niezmiernie bystrego pojęcia, uczył się łatwo, pamięć miał osobliwą, a przytem charakter łagodności niewyczerpanej, wszelkie próby wytrzymującej. Młodzież go, jako bezbronną istotę, często z tem okrucieństwem młodych, które krwi nie serca złego jest dziełem, brała na tortury, prześladowała, znęcała się nad nim,—nigdy się nawet nie zniecierpliwił! Rozbrajał tą anielską dobrocią.

Stoczek tak mocno zajął teraz Płazę, iż nazajutrz powrócił do Św. Brunona na Nowe Miasto i pod pozorem ofiarowania jałmużny dla pauprów, znowu z nim zawiązał wczoraj przerwaną rozmowę.

— Nie prawda mój ojcze—zagadnął go,—wam musi być imię Jacek?

— A skądże wy o tem wiecie?—spytał zdumiony księżyna.

— Mój Boże, tyle lat temu! Ani wy mnie, ani ja bym was może nie poznał teraz, gdybym wczoraj przypadkiem nazwiska nie posłyszał.

Stoczek z jakiemś rozrzewnieniem się w starego znajomego wpatrywał długo.

— Otóż—zawołał, jakby głęboko w siebie wszedłszy—otóż ja wam powiem, że albo wy jesteście Lasotą Wierzbiętą, albo... nie wiem!

Nie było w podwórku przy szkole nikogo i stary mu się rzucił na szyję.

— Jam jest—rzekł—ale cicho, Jacusiu! bo mnie, jak sobie przypomnisz (jeśliś o tem wiedział), wielkie nieszczęście spotkało. Lat wiele nie byłem tu, ale na wygnaniu srogiem, dalekiem, na pokucie. Powracam stary, z innem nazwiskiem... zwij mnie Płazą po matce.

Stoczkowi łzy się na powiekach zalśniły. Była to godzina właśnie, gdy chłopięta ze szkoły szły na miasto z garnuszkami i miseczkami drewnianemi, miał więc ks. Stoczek czas.

— Mój miłościwy panie — rzekł z dawną pokorą, pokłon czyniąc Płazie,—jeżeli moją ubogą izbą nie pogardzicie, zajdźcie do mnie. Nie gorszcie się tem, że ja w takim, mogę powiedzieć, chlewku mieszkam; jestem kapłanem, sługą tego Boga, co się na sianku w stajence narodził, więc mi się ani godzi, ani potrzeba pałaców i izb strojnych; byle celka i twarde wezgłowie.

— Chodźmy!—rzekł Płaza uradowany, iż znalazł jednego człowieka, z którym mógł być otwartym; z Jacusiem bowiem tak bezpiecznym był, że taić przed nim nie potrzebował nic, a dusza potrzebowała wylania się i porady.

Nie przesadził wiele Stoczek, mówiąc, iż w chlewku mieszkał, izba bowiem, którą otworzył, a wchodziło się do niej wprost z podwórza, o jednem małem oknie, tak była biedną i ogołoconą, jak celka najuboższego mnicha.

Ledwie się w niej obrócić było gdzie, tak maleńkie miała rozmiary; pułap nizki, ściany lepione gliną, zamiast podłogi tok z gliny ubity, a za sprzęt cały stoliczek, klęcznik z sosnowych tarcic, tapczanik i stołek.

Gości też tu nie przyjmował biedny kapelan, ale dla niego starczył ten kątek, prawdziwe schronienie anachorety. Wszystko tu aż do krzyża i godeł religijnych, do kropielnicy prostej glinianej u drzwi takie było nędzne i ubogie.

Stoczek jedyny stołek zasłał dla gościa opończą, a sam wskazał na tapczanik, iż na nim przysiąść może.

Poczęli tedy rozpamiętywać stare dzieje, przyczem Płazie nieustannie dobywały się z oczów łzy, których się wstydził i ocierał je skwapliwie; Stoczek zaś płakał, ale łzom dawał płynąć aż na starą sutannę i nie zdawał się czuć ich nawet.

Żywot biednego był bardzo prosty. Dobił się kapłaństwa, bo tego jednego, jako najwyższego dostojeństwa i największego szczęścia, pragnął, ale nigdzie sobie pomieszczenia znaleźć nie mógł. Posługiwano się nim, brano do pomocy, a że nie miał ani powabnej powierzchowności, ani talentu przypochlebiania, a ascetyzmem swoim drugich sybarytów kłuł w oczy, więc się go pozbywano potem rychło. I tak z Krakowa dostał się do Sandomierza, stamtąd do Piotrkowa, później do wiejskiej plebanii, naostatek do Św. Brunona, gdzie mu jakby z łaski kąt dano.

Z czego i jak żył—Bóg jeden wiedział. Czasem ulitowała się przekupka, podarowała chleb, zaprosił go mieszczanin do miski. Zresztą pościł tak wiele dni, a tak mało jeść potrzebował!

U Ś. Brunona dla tych dzieci i szkółki trzymał się, chociaż proboszcza miał niechętnego i wikaryusz usiłował go stąd wypędzić, obawiając się, aby mu miejsca nie zajął. Starał się, kłaniając, posłusznym będąc, wyręczając, pozyskać sobie łaski, ale mu z trudnością przychodziło utrzymać się tu. Wszyscy się go lękali.

Ubóstwo, które otaczało biednego kapelana, Płazie mniej się wydawało może strasznem dlatego, że on sam na Niżu długo żył w najostrzejszych w świecie warun-

kach, tyle tylko, że wódka stała za pociechę. Jednakże zdumiał się, rozglądając.

— A! ojcze Jacusiu—zawołał.—Jakże tu koło ciebie chudo i biedno.

— Zmiłuj się!—odparł Stoczek.—Ja więcej nie potrzebuję! duchownemu nawet nie godzi się mieć ani pożądać zbytku, ubóstwo jest kondycyą naszą. Byleby mnie tu w tej izdebce do końca żywota spokojnie pozostawili, ja się niczego nie dobijam.

Zaczęły się tedy pytania i odpowiedzi obustronne; Płaza był szczęśliwy, że się mógł zwierzyć otwarcie, bo Jacusia tak pewnym był, jak samego siebie. Księżyna słuchał, dając oznaki podziwienia i politowania. Nie mógł wkońcu zrozumieć tego na żaden sposób, jak polski szlachcic mógł tak skozaczeć, ażeby go aż w poselstwie poufnem wyprawiano, ani tego, że Płaza, raz tu powróciwszy, znowu miał dobrowolnie na Niż jechać.

On sam, o sobie mówiąc, za wszystko Panu Bogu dziękował i cały przebieg życia ubożuchnego i nędznego uważał za szereg cudów łaski Bożej nad sobą.

— Patrzajże, mój miłościwy Lasoto—kończył,—co to za szczęście! dostać się tu, gdzie tyle tych sierotek, duszyczek niewinnych mogę Bogu zachować, oświecić i pokierować temi biednemi. Czym ja się kiedy mógł tak dostojnego powołania spodziewać!

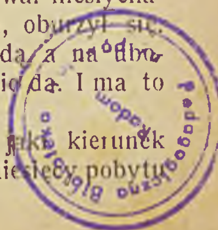
— Ależeś ty wart stokroć lepszego! — wołał Plaza — i tylko niepoczciwość ludzka może tobą tak poniewierać. Trzeba się starać wyjść z tej dziury!

Stoczek oświadczył stanowczo, że o tem ani myśli, i że dla niego oderwanie się od szkółki byłoby największem nieszczęściem, a jedno, czego pragnął, to żeby szkółkę można podźwignąć i dzieciom pomoc jakąś zapewnić.

Płaza, który się co krok tu przypatrywał niesłychanym wspaniałościom, tysiące kosztującym, oburzył się.

— Na pałace i zbytki toż tu krocie idą, a na ubogich i uczynki chrześcijańskie grosza nikt nie da. I ma to Pan Bóg błogosławić?

Z tych słów można już zmiarkować, jaki kierunek przybrał umysł Płazy w ciągu tych kilku miesięcy pobytu



w Warszawie. Odezwała się w nim miłość dla kraju i obyczaju; ale zarazem oburzenie przeciwko zepsuciu, jakie widział na każdym kroku. Umysł jego mężniał widział coraz dalej.

Do Kozaków, z którymi żył, miał teraz wstręt, ale więcej jeszcze obawy, aby te kupy dzikich ludzi, karne, spójne, niepotrzebujące do życia nic nad niezbędnie konieczne, nie wzięły kiedy góry nad szlachtą rozmiękłą, zniewieściałą, niesłychanie gadatliwą i wszystką siłę szafującą na słowa.

Znalezienie Stoczka, z którym mógł spędzać długie godziny na poufnych rozmowach, prawdziwem dla niego było błogosławieństwem, a ksiądz najlepszy na niego wpływ wywierał. Nie mogło jednak to obcowanie z księżyną ujść baczności Parfena i Kozak w końcu spytał Płazę, co on tam robi u Św. Brunona z tym odartym klechą.

Otwarcie mu powiedział Lasota:

— Był moim szkolnym towarzyszem i służką, poczciwy człowiek, lubię go... a ten przecie nikomu być strasznym nie może.

Parfen pomyślał, że lach zdziecinniał. Z trudnością przyszło Płazie uprosić i namówić Stoczka, aby czasami go odwiedzał. Ksiądz chwili wolnej nie miał. Zastępował proboszcza i wikarego u wszystkich ubogich chorych, umierających, na pogrzebach i chrzcinach, pilnował swej szkółki, a potem modlił się i znajdował, że na modlitwę zawsze czasu pozostawało za mało.

Jednakże kiedy niekiedy, po kilka dni nie widując czasami Płazy, Stoczek przybiegal niespokojny dowiadywać się o niego.

Z Wijurskim, z którym razem do Warszawy, przywędrował Płaza, w pierwszych tygodniach widywali się czasami; postrzegł jednak, że ten Radziwiłłowski służka nadto ciekawy był, posądzał go o jakieś tajemnice i dobyć ich z niego próbował, więc począł go unikać.

W powietrzu chodziły wówczas jakieś głuche domysły spisków. Wznowiło się na inny sposób to, co się działo przez czas bardzo długi za panowania Zygmunta III: posądzano króla i jego towarzyszów o frymarki koroną, o zamachy stanu. Teraz znowu Władysławowi IV przypi-

sywano knowania jakieś na własną rękę, bez wiedzy rzeczypospolitej.

Było w tem coś z burzliwego ducha szlacheckiego, lecz przyznać też trzeba, że w obu tych razach podejrzenia niezupełnie były bez obawy. Zygmunt w początkach panowania istotnie chciał się zrzec korony na arcyksięcia Ernesta, a Władysław IV sięgał ambicyą aż do cesarskiej korony, a w ostatku przynajmniej chciał być pogromcą pogan i wygnać ich z Europy, a część spadku po nich zagarnąć.

Musieli się poufni druhowie królewscy zdradzać, lub sam król niedosyć był ostrożnym, a naostatek zbyt było widoczne krzątanie się jakieś, które myśl króla zdradzało. Szlachta szemrała a nawet panowie senatorowie, przed których znaczniejszą częścią król się tail, domyślali się i gotowali stawić opór.

Wtajemniczonych było niewielu, oprócz Ossolińskiego. Kazanowskiemu nie było to tajemnicą, bo król nie mógł się przed nim taić z niczem, ale on do spraw politycznych niechętnie się mieszal. W duszy byl przeciwny wszystkiemu, co spokojne, pańskie, wspaniałe i wygodne życie mogło zamącić. Wyrzucał przyjacielowi-królowi tę ambicyę nienasyconą.

Lecz w królu było dwóch ludzi: jeden, który się godził doskonale z sybarytą Adasiem, drugi, który potrzebował chwały, wielkości, blasku.

Królowa jechała już do Polski. Przychodziły ciągłe wiadomości o niej i o pani posłowej, marszałkowej de Guibriant, która dodaną była od króla Maryi Ludwice i towarzyszyła jej do Warszawy. Wszędzie po drodze przyjmowano ją z należnemi honorami i w Polsce też sposobiono się na wspaniałe powitanie.

Niektórzy z panów, wedle tradycyi już gotowali pułki całe, oddziały, seciny i półsetki ludzi różnych broni, strojnych i zbrojnych przepysznie dla wystąpienia z nimi. Jedni pod drodze, inni w Warszawie mieli ją spotykać.

Król w początkach miał wyjechać na spotkanie do Gdańska; czyniono ku temu przygotowania, ale podagra

trzymała go w łóżku, a przynajmniej o dłuższej podróży zimą myśleć nie dozwalała.

Niecierpliwy też w początkach widzenia zaślubionej, Władysław zwolna, dzięki zabiegom, aby go rozrywać w domu, ostygał.

Zawsze jednak jeszcze utrzymywało się to, iż wyjechać miał koniecznie na spotkanie, a książę Karol, brat-królewski, mu towarzyszyć. Choć niebardzo ochotnie, posłusznym być musiał Władysławowi.

Z przyrodnych braci króla był on jednym z najznośniejszych mu, jeśli nie z najulubieńszych. Z Janem Kazimierzem, dziwacznym, zmiennym, w postanowieniach niestałym, w obejściu się niemiłym, król się nie mógł nigdy ani zrozumieć, ni zbliżyć do niego. Przekonał się po wielu próbach niefortunnych, że z niego trudno będzie uczynić statecznego człowieka; sądził go umysłowo ograniczonym i dziecinnym.

Karol był całkiem innym. Z powierzchowności niewiele przyjemniejszy od Jana Kazimierza, chudy, żółty, niezręcznych ruchów, milczący, niekiedy wybuchający gwałtownym gniewem, skąpy, książę-biskup zamykał się ze swym kapelanem w ogródku, pracował około uprawy kwiatków, modlił się, pisał rachunki, grosza oszczędzał i wiódł życie zamknięte i surowe. Nie można mu było odmówić jednak pewnego ciągu i ładu w prowadzeniu się, powagi i nieskazitelnych obyczajów. Nie umiał sobie pozyskiwać przyjaciół i miał ich niewielu, ale nie narażał się też nikomu.

Z Władysławem byli zgodni, ale na zimno; charaktery, temperamenty, sposób życia dzieliły ich. Rój ten kobiet, który wszędzie otaczał króla, dla niesłychanie surowego biskupa, rumieniącego się na sam widok kobiety był nieznośnym.

Prześladowano go zawczasu tem, że gdy od króla będzie przodem wysłany na spotkanie Maryi Ludwiki, wedle mody francuskiej zmuszony zostanie w twarz ją pocałować. Biskup z furyą oświadczał, że choćby się nie wiedzieć na co miał narazić, nigdy w życiu tego nie uczyni.

Oprócz obawy, aby nie był zmuszony dać lub odebrać

pocałunku, książę biskup gryzł się i tem, że na przyjęcie wystąpić będzie musiał kosztownie, a każdy wydatek był dla niego nieszczęściem. Skarżył się, że mu jego biskupstwo nic nie przynosiło.

Taki był stan umysłów na dworze, który wogóle na przybycie nowej pani niezbyt chętnem okiem poglądał, gdy jednego dnia, było to jakoś wprędce po Nowym Roku, Płaza, powracający do domu (stał zawsze u Bieleckich w rogu Piwnej ulicy), spotkał się z malowaną twarzyczką swojej gospodyni, która biegała po izbach, wyglądając męża bardzo niespokojnie i była rozdrażnioną, jak nigdy.

— Nie widziałeś waćpan męża mojego?—zawołała, napadając na wchodzącego.

— Nie.

— Skądże idziesz?

— Z miasta.

— Nie słyszałeś nic?

— Ja?—odparł spokojnie Płaza.—Dziś żadnej nowiny tak dalece godnej powtórzenia nie pochwyciłem na mieście. Stało się co?

Bielecka była cała w ogniu. Tupała nóżkami, rzucała się, ciekawość jej była do najwyższego stopnia rozgorączkowaną. Ręce szeroko rozkładając, krzyknęła za całą odpowiedź:

— Na zamku... u króla, przyszła jakaś wiadomość... tajemnica... ale wszystko do góry nogami wywrócone... Coś okropnego! niespodziewanego się przygodziło... Wiem tylko, że kuryerem z listami jakiemiś nadbiegł Francuz, że królowi je do własnych rąk oddał, a potem... zawrzało i zagotowało się jak w kotle...

Godzina była obiadowa, pan Bielecki nie nadchodził. Jejmość wpadała w coraz niebezpieczniejsze rozdrażnienie; nic w świecie ją nie mogło mocniej rozgorączkować nad tajemnicę jakąś, którąby dla niej była niedostępna!

Nawykła była natychmiast i pierwsza wiedzieć, co się działo na zamku.

Opóźnienie p. Łukasza miało swe znaczenie; potwierdzało ono wiadomość o czemś tajemniczem, co go mogło zatrzymać. Wprawdzie i wiele innych kłopotów miał te-

raz na głowie Bielecki, gdyż mu nie dawano pieniędzy na kuchnię i próżno się ich domagał, tak, że o kredyt się starać musiał, ale to były sprawy powszednie, dla których opóźniać się nie potrzebował.

Południe już dawno minęło i otrąbiono je na wieży ratuszowej, gdy nareszcie nadbiegł Bielecki. Żona go już na wschodach witała gradem wymówek.

— Gadajże co się stało na zamku?—poczęła sypać.— Król odebrał jakieś listy, powiadają, że musiało być w nich coś nadzwyczaj ważnego...

Bielecki palec położył na ustach.

— Kobieto!—zawołał—milczże, kiedy chcesz być cała... cicho... Nikomu o tem mówić nie wolno. Nikt nie wie, co to jest!

Bielecki wszedł z tem do izby, w której oczekiwał Płaza, ale ten zbytniej nie okazywał ciekawości. Jejmość rwała męża za rękaw od sukni.

— Mówże, co wiesz.

Szafarz obejrzał się, zniżył głos i zaczął z miną tajemniczą:

— Przyjechał jakiś Francuz z listami wprost do króla —rzekł—Bóg wie od kogo, ale domagał się, aby je do własnych rąk pańskich mógł oddać, tak, że go wkońcu do sypialni wprowadzono, bo król swoim zwyczajem dotąd w łóżku.

— No i cóż? Co?—wołała Bielecka.

— Oddał listy; król je, słyszę, Pacowi kazał rozpieczętować, a co potem się stało, żywa dusza nie wie,— ani od kogo one były, ani co zawierały.

Król po przeczytaniu blady miał być, jak ściana i trząsł się z gniewu. Posłano natychmiast po Kazanowskiego. Zamknął się z nim na parę godzin, nie kazawszy puszczać nikogo.

Kazanowski wyjechał, jak zbity... Pac chodzi zasępiony, od nikogo się nic dowiedzieć nie można. Królowi zaraz od tego wzruszenia gorzej być poczęło. Przywołano doktora, obiadu jeść nie chciał.

— Ale cóż to może być?—Co?—zawołała Bielecka.— Ja natychmiast po obiedzie biegnę do Bietki, bo do Amandy wątpię, żeby się można docisnąć. One coś wiedzieć muszą.

— Nikt nic nie wie!—przerwał p. Łukasz—nikt, a ci, co wiedzą, milczą, jakby im usta zamurowano.

— Przecież na zawsze to tajemnicą pozostać nie może poczęła żywo gospodyni.—Jeżeli to króla tak dotknęło, wiadomość musi być ważna, toć się nie utai... ale co to może być? Co to może być?

— Już to samo, że Francuz listy przywiózł i to, słyszę wprost z Francyi, a z takim pośpiechem—rzekł Bielecki, — dowodzi, że się to tyczy królowej, a nam wiadomo, że ona już być musi blizko Gdańska.

— Więc to nie od niej listy?—zapytała Bielecka.

— Niewiadomo nic, niewiadomo—dokończył gospodarz.

— Ta jedna rzecz pewna—wtrąciła jejmość,—że rzecz się tyczy królowej, a druga, że ten posłaniec nic dobrego nie przyniósł, bo z dobrem się niema co taić.

Bielecki się zadumał. Niedostatek pieniędzy w skarbie myśli jego inny nadawał kierunek.

— Najprędzej poseł przywiózł, że za królową posagu nie dadzą, a my tu, jak kania dżdżu, tego złota czekamy. Mówili o dwóch, o trzechkroćstutysiącach talarów... Kto wie,—może oprócz klejnotów nic nie wiezie.

Bielecka potrząsnęła głową.

— A!—zawołała—u ciebie tylko pieniądze na myśli. Nie, król się musiał co do posagu zawczasu zabezpieczyć, to coś innego...

Bielecki usiadł do stołu, bo krupnik ostygał.

— Nie odgadniemy—rzekł.

Jejmość tak prawie, jak nic jadła. Ciekawość ją paliła okrutna, ale pocieszała się tem, że zaraz od stołu wstawszy pobieży na zamek i choćby z pod ziemi zakopaną, tajemnicę tę dobędzie.

Przyśpieszono więc obiad; gospodyni pierwsza wstała od stołu i nie zważając na porę przykrą, pobiegła natychmiast na zamek.

Płaza nie wychodził tego dnia z domu, Bielecki także. Doczekali się więc późnym wieczorem powrotu pani,

ale weszła do nich z twarzą taką sfałdowaną i zmienioną, milcząca, zła, że mąż jej pytać o nic nie śmiał. Po chwili dopiero Płaza szepnął, czy się o czem nie dowiedziała.

— Tyle tylko wiem—rzekła, że to rzecz niemałej wagi, ale z sypialni króla nikt nic nie wyniósł. Pac się zaklina, że nie wie nic. Chodzą wszyscy, jakby największe nieszczęście jakieś ich spotkało. Kazanowski, gdy od króla wyjeżdżał, nikogo nie widział, do nikogo się nie odezwał. Francuza, który listy przywiózł, natychmiast zabrano i odprawiono precz, tak, że od niego się nie mógł nikt dowiedzieć, co i od kogo tu przynosił.

Bielecka ruszyła ramionami.

— Wszystko to nic—dodała,—bo, żeby nie wiedzieć jak taić chcieli, szydła w worku nie schowają... tylko złość bierze czekać i nie módz nic odgadnąć.

Król wieczorem kazał do siebie przywołać księdza Pstrokońskiego; z tym też siedział zamknięty, ale szeptali po cichu.

Można sobie wystawić z jaką niecierpliwością Bielecka wyglądała dnia następnego, w którym spodziewała się odwiedzin Bietki, a ta jej coś przynieść mogła. Nadeszla ona wistocie, ale zaraz od progu oświadczyła, że nie wie nic.

Król przez całą noc na podagrę tak cierpiał, że krzyki jego słychać było na zamku. Mówiono, że niepodobieństwem jest, aby naprzeciw królowej mógł wyjechać i że pewnie wyśle tylko brata i kanclerza Radziwiłła, a może i innych panów. Mówiono o Dönhoffie, wojewodzie pomorskim.

Bielecki także z zamku przyniósł potwierdzenie tego, co Bietka opowiadała. Dodawał, że nader przykre jakieś usposobienie panowało w kole, otaczającem króla najbliżej. Kazanowski siedział długo sam na sam z nim.

Pac wszystkim powtarzał, że on nie jest wtajemniczony, ale że się domyśla, iż przywiezione listy tyczyły się królowej.

Bielecka nadaremnie sobie głowę łamała. Ani trzeciego, ani czwartego dnia z zamku nie wyszło nic, coby się domyślać dozwalało treści tych listów, które takie uczyniły wrażenie, a wprędce takiem milczeniem i tajemnicą pogrzebione zostały.

Płaza wnosił, że musiała być rzecz wielkiej wagi niepomyślna, gdy tak się z nią ukrywano.

Tymczasem zaś, ponieważ król zdawał się tem więcej potrzebować rozrywki, Pac biegał za Bietką, która i jego i króla, igrając sobie z nimi i śmiejąc się, wodziła, napróżno im czyniąc nadzieje.

Dziewczę przed Bielecką nie taiło tych zabiegów, jakie wojewodzic czynił, przenikało doskonale ich cel i nie okazywało najmniejszej ochoty paść ofiarą fantazyi chwilowej pana.

Z drugiej strony panna Amanda, która czyniła niejakie nadzieje starającemu się o nią Czartoryskiemu, iż za niego wyjdzie, znowu zmieniła usposobienie, jak gdyby miała nadzieję nietylko się na swem stanowisku utrzymać, ale nawet zdobyć jeszcze ważniejsze.

Pac powiadał, że przed przyjazdem królowej i rozpatrzeniem się w tem, jak król z nią żyć będzie, nic się na dworze nie zmieni.

Lekko sobie jakoś szacowano nową panią.

VIII.

Listy, które tak wielkie na zamku uczyniły wrażenie, iż w kilka dni potem jeszcze się ono zatrzeć nie mogło, pomimo wszelkich usiłowań ciekawych i interesowanych dworaków, pozostawały dotąd tajemnicą. Domyślano się najdziwniejszych rzeczy, zmyślano na rachunek ich historye osobliwe, nikt jednak właściwie nie wiedział nic, oprócz może Kazanowskiego i ks. Pstrokońskiego.

Król chmurniejszy niż kiedy, niespokojny, chwilami niecierpliwiący się, leżał ciągle chory, prawie przez cały dzień nie ruszając się z łóżka, czasem tylko do syna i Amandy rozkazując się nieść z krzesłem przez pokoje. Ale i piękna ulubienica króla, która miała nad nim pewną władzę dawniej, teraz go rozweselić nie mogła.

Spostrzeżono też, że o podróży królowej, o przyjęciu jej król teraz mówił niechętnie i zdawał się więcej niepokoić niż cieszyć zapowiedzianym przyjazdem, składając chorobą swą, która mu ruszyć się nie dozwalała. Mówił o tem nawet niechętnie.

Pac, który najmniejszą rzecz miał na uwadze i wnioski wyciągał z drobnostek, pocichu zawiadomił pannę Amandę, którą i pozyskać sobie starał się i zdradzał razem, że wizerunek przyszłej królowej, który zawsze stał na stoliku przy łóżku, odwrócony znalazł i odsunięty.

Ani na chwilę teraz nie widziano króla rozwesolonego, choć wszyscy go znali, że rozrywki potrzebował i dawniej w najcięższych życia swego momentach jej szukał. Pac napróżno przynosił plotki i powtarzał koncepty dworaków,—król ich nie słuchał.

Pogrążonym był w sobie i przybitym. Jedno tylko jeszcze ożywiało go chwilowo, to gdy z ceghauzu starszy, lub z nowozaciężnych wojsk cudzoziemiec jaki mu przychodził zdawać sprawę z postępu, jaki formowanie pułków czyniło. Niestety i ta pociecha goryczą była zaprawna, gdyż do ostatniego grosza niemal wyczerpały się osobiste zasoby króla, kredyt nawet na te kosztowne werbunki, a każdy prawie z dowódców przybywał z żądaniem żołdu i pieniędzy na dalsze zaciągi.

Parę razy przypuszczony do króla poseł wenecki Tiepolo, Włoch, bardzo giętki, zręczny, wymowny, umiejący się przypochlebić, obiecywał wprawdzie złote góry, prawił o potędze i bogactwie swej Rzeczypospolitej, ale gdy szło o pieniądze, inaczej ich nie obiecywał, jak żądając pewnych rękojmi i formalności takich, iż wiele czasu na nie trzeba było wyszafować.

Tymczasem i narady z Włochem, i sprawy ceghauzu, pułków nowych, broni, prochów, niepokoiły już ludzi. Z trwogą sobie szeptano:

— Król się sposobi do wojny.

Wśród tego niepokoju i zachmurzenia na dworze, nie mające nic do czynienia niewiasty, poczynając od panny Amandy, a kończąc na pięknej, żwawej, śmiejącej się i roztrzpiotanej Bietce, wysilały się na rozwiązanie zagadki, co zawierały i od kogo były te listy, które na królu tak ogromne uczyniły wrażenie?

Do najciekawszych i najniespokojniejszych należała pani Bielecka, która niegdyś na dworze sama zajmowała miejsce faworyty, i choć je straciła, zawsze królem i jego serdecznemi sprawami żywo się bardzo zaprzątała.

Nie mogąc nic dojść, sama dawała skazówki Bietce, udzielała jej rad, a dziewczę, bawiąc się tą tajemnicą, biegało nieustannie z zamku na Piwną ulicę i odwrotnie.

Płaza, który z dziewczęcia oka nie spuszczał, uroiwszy sobie, że ono jego zgubioną córką być musi, w czem go podobieństwo rysów, głosu, charakteru i owo znamię, jak ziarnko pieprzu, utwierdzało, prawie się nie oddalał z domu, czatując każdym razem na Bietkę, niespokojny.

Wspomnieliśmy już, że to jego zajęcie się Bietką pani Bielecka sobie tłumaczyła jako skutek wcale innego uczucia, którego się Płaza wstydził może, lub je chciał do czasu ukryć.

Bietka zaś tak dobrze bawiła się Płazą, jak Pacem, Platenbergiem, koniuszym króla, gładkim też chłopcem, który koło niej się kręcił i wielu innymi dworzanami.

Rozrywało ją też szpiegowanie nawspół i pod kierunkiem Bieleckiej. Po kilka razy na dzień przylatywało dziewczę z doniesieniami:

— Król to powiedział... Kazanowski się z tem dał słyszeć... Przygotowania do drogi do Gdańska zwolniały... Królewicz Karol ma się podobno wybrać przed królem i t. p.

Bielecka potem wszystkie te plotki i posłuchy ucierała razem w swej główce niespokojnej, jak przyprawy w moździerzu i udzielała dalszych instrukcyi Bietce.

Ile razy dziewczę przybiegło na Piwną ulicę, nigdy Płaza nie chybił, żeby choć nie przywitać jej, nie zaczepić, nie zagadać. A że często do tego łączyły się małe podarki, to złotem szyte trzewiczki, to turecka lub perska chusteczka, to łańcuszek wenecki, to pudełko słodyczy, które Biet-

ka lubiła, choć stary gach (jak go zwała), był jej obojętnym, nie uciekała od niego, drażniła, rozmawiała.

Teraz Płaza po kilka razy na dzień ją chwytał, nim Bielecka mogła z kuchni wyjść do niej, albo ją do siebie zaprosić.

Znajomość stawała się coraz poufalszą, bo Bietka miała naturę ciekawą ludzi i niepłochliwą. Czuła w sobie siłę i nie obawiała się ich wcale.

Płazy wkońcu żal się jej zaczynało robić. Zmagał się na podarki, stawał coraz czulszym, nie zrażało go nic. Bietka więc postanowiła przy pierwszej zręczności rozmówić się z nim otwarcie, aby sobie próżnych nie roił nadziei. Była pewną, że się z nią chce żenić, a choć Bielecka zapewniała, że bogaty być musiał i twierdziła, że stary a majętny mąż najlepszy, nie dawała się nawrócić na jej wiarę.

Dnia tego, gdy nadeszła Bietka, Bielecka jeszcze się malowała, przy tem zaś wielkiem dziele nawet przyjaciółkom wstęp do niej był wzbroniony i Bietka musiała czekać. Natomiast wybiegł naprzeciw niej Płaza.

— A, że też wy!—rozśmiała się, widząc go—czatujecie na mnie, jak myśliwi na słomkę.

— Nie mylisz się, moja śliczna panienko—odparł Płaza.—Gdy jeden dzień was nie widzę, tęskno mi za wami.

— A no, mój poczciwy stary—odparło dziewczę swawolnie—przejrzyjże się też w lustrze i powiedz, do czego to podobne, żebyś ty szalał za mną? Ja ci to dawno chciałam powiedzieć, że gdybyś nie wiem jakie krocie miał, nie pójdę za ciebie, tak jak nie pójdę za nikogo, jeśli go nie pokocham.

— Albożja kiedy wam mówiłem—przerwał Płaza,—że się żenić chcę? Wistocie szalonym bym był, gdybym myślał o tem.

— No, więc gorzej jeszcze—zaśmiała się Bietka, bo chcesz mnie chyba uwieść i kupić, a mnie ani nawet król ze swemi skarbami, ni nikt w świecie nie zbałamuci. Nie, nie.

— Ja też wcale o tem nie myślę—począł spokojnie Płaza;—sto razy wam mówiłem, dlaczego się tak do was przywiązałem. Przysiągłbym niemal, że jesteś moją córką.

Bietka się tak śmiać poczęła, iż się za boki brała i padła na krzesło, chichocząc.

— Chcesz, bym temu wierzyła! — wołała.—A, stary bałamucie, niezręczna to sztuka.

— Posłuchajcież mnie choć raz spokojnie—odparł Płaza—a potem będziecie sobie myśleli, co chcecie. Macie wiek mojej zagubionej córeczki, mówicie, że wasza matka była z Krakowa, że mąż jej, popełniwszy jakąś straszną zbrodnię, uszedł i gdzieś zginął; naostatek jesteś podobna do matki twej, jak dwie krople wody i masz toż samo znamię, co ona miała na szyi. Dlaczego mi nie chcesz powiedzieć swojego prawdziwego nazwiska?

— Bo sama go nie znam—rzekła Bietka;—krewni Helmowie wzięli mnie na wychowanie; nie mieli dzieci, więc zwali mnie Helmówną, ale córką ich nie byłam. Potem, gdy zmarli, dostałam się na dwór do królowej Anny na służbę.

— Wszystko więc się zgadza—zawołał Płaza—musicie być córką moją...

— A! a! gdyby tak i było—poczęła żywo Bietka—cóż z tego?—Ja się dlatego ode dworu wziąć nie dam i zamknąć gdzieś albo na wsi, albo w jakiej ciemnej i smutnej dziurze. Nie! nie, ja potrzebuję powietrza, światła, życia...

Spojrzała na niego; Płaza miał oblicze posępne.

— Tak! tak! — dodał.—Jak ćma-nocnica lecicie na światło, aby w niem popalić skrzydła.

— Nie bójcie się o nie — rozśmiała się Bietka;—gdy dotąd są całe, a ja wyrostkiem głupim będąc, nie popaliłam ich, teraz już się nie masz co obawiać o nie.

Dziewczę na chwileczkę jakoś spoważniało, co mu się trafiało rzadko i po zadumie podniosło główkę, patrząc na posępnie siedzącego naprzeciw Płazę, który poczynał, mrucząc:

— Nie może to być, aby ci Helmowie, którzy was wychowywali, gdy uczciwymi ludźmi byli, nie zatrzymali dla was na pamiątkę coś po rodzicach, po matce. Miała ona

klejnotów i fraszek dosyć, bom ja na to nie żałował, a ona lubiła aż nadto; po takiej lada fraszce, gdyby się znalazła, jabym zaraz pewność miał, a wam ojca znaleźć...

Nie dokończył, gdyż Bietce oczki się zaświeciły. Uderzyła w ręce białe.

— A! prawda, mam trzy pierścionki—zawołała—Helmowa mi mówiła, że należały do matki. Jeden jest obrączką.

— Czekaj—przerwał Płaza, powstając niespokojny—na obrączce stoi napis: Serce moje i twoje.

Bietka krzyknęła.

— A... złącz je Boże.

Płaza się rzucił ku niej.

— Rok stoi potem.

Bietka patrzyła, jakby przestraszona, zbladła.

— Ja wam powiem, jakie mogą być pierścionki inne—dodał, drżąc cały.—Jeden może z okiem czerwonem z rubinu, dokoła perełki.

Dziewczę milczało.

— Drugi z wężem, co się kąsa za ogon, a oczy ma z brylancików, albo...

Bietka spuściła głowę... nastąpiło milczenie długie.

Nie chciała jeszcze przyznać, ale serce jej biło, gdyż się przekonywała, że w istocie znalazła ojca w tym nieznajomym, a dosyć dotąd wstrętliwym sobie człowieku.

Wiedziała, jakie prawa daje ojcostwo i lękała się, aby ten starzec nie zmusił ją opuścić dwór, jechać za sobą, porzucić wszystko, do czego była nawykłą. Serce nie ciągnęło jej wcale do niego, a jednak coś powiadało, że wyrzec się rodzica było grzechem, że powinna się poddać losowi.

Płaza czekał na słowo od niej, a spostrzegł tylko, że się jej łzy z oczów polały.

— Dziecko moje,—zawołał—czegóż ty płaczesz? Nie miałaś na całym świecie nikogo, byłaś sierotą, Pan Bóg ci daje cudem odzyskać ojca, bo to cud jest łaski Jego, a ty płaczesz? Byłaś na łasce ludzi, teraz możesz jej nie potrzebować. Ojciec twój ma tyle, że cię i wyposażyć może i przyszłość zapewnić.

Co się działo w duszy dziewczęcia, Bóg jeden wie; siedziała długo, jak marmurowa, tylko łzy kroplami jej z oczów padały, potem powoli, z obawą jakąś wyciągnęła rączkę, pochwyciła namuloną dłoń Płazy i do ust ją przycisnęła, nie mówiąc nic.

Stary pochwycił ją za główkę i rozpłakał się też, całując.

W tej chwili właśnie wpadła jeszcze włosy poprawując Bielecka, i zobaczywszy ich, całujących się, aż krzyknęła, bijąc w dłonie:

— Winszuję! winszuję!

Odwrócił się Płaza poważnie.

— Bóg zapłać—odparł cichym głosem—córkę odzyskałem!

— A! tak! tak! niema wątpliwości—zawołała, rzucając się na szyję Bieleckiej Bietka,—jest moim ojcem.

— Jakżeście wy doszli tego? — przerwała zdumiona jejmość.—To znowu coś osobliwego!

Bietka jej szybko rozmowę swą z Płazą powtarzać zaczęła.

Przez czas jakiś Bielecką ogarnęło takie zdumienie, że nawet o zamkowej sprawie zapomniała; naostatek jednak, powinszowawszy obojgu, wróciła do tego, co tu Bietkę sprowadziło.

— A na zamku co?—spytała.

— Głowę straciłam—zawołało dziewczę—nie pytaj mnie dzisiaj. Niema tak dalece nic, król troszynę lepiej ale o podróży do Gdańska już ani myśli. Mówią, że wyśle Radziwiłła i księcia Karola, pojedzie Dönhoff, a on sam, kto wie, czy dalej się wybierze, jak do Falent.

Uśmiechnęła się dziwnie.

— Gotowo później skończyć się na Ujazdowie—wtrąciła Bielecka z przekąsem.

Rozmowa dalsza nie szła; wypadek, który dawał ojca, sierocie zbyt był ważny i zmieniał tak położenie, Bielecka miała teraz tyle pytań do zadawania, tyle rzeczy, któremi się żywo zajęła, iż o królu trochę zapomniała.

Chciała wiedzieć, czy Bietka pozostanie u dworu? co ojciec z nią uczynić zamierza? czego ona sobie życzyła i t. p. Tymczasem dziewczę wszystkie te natrętne badania odparło jednem.

— Dajcie się mi opamiętać. Ja jakbym się na nowo na świat narodziła. Patrzę, patrzę na tego ojca i strach mnie ogarnia. Sama nie wiem, czego pragnąć. A! ja tak do tego życia od dzieciństwa nawykłam.

— Uspokój się—rzekł Płaza.— Pan Bóg, który tak osobliwy cud uczynił, że nas z sobą połączył, nie dopuści, aby to na złe wyszło. Będziemy o tem mówili, radzili, rozważali...

Pocałował ją w głowę.

— Tymczasem nie szczebiocz o tem na zamku—dodał.—Rób, jak chcesz, ale się rozmyśl, co lepiej.

— A! mnie się także w głupiej głowie zawraca—odparła, przychodząc zwolna do siebie, Bietka.—Tymczasem ja na zamek, do służby powrócić muszę.

— No, to trudno, abyś tam przyszedłszy, tajemnicę zachowała—dodała Bielecka.—Rozniesie się to natychmiast i po zamku, i po mieście, a ręczę, że jutro na Skarzyszewie i w Ujazdowie o tem przekupki i pachołkowie opowiadać będą, bo tu u nas w Warszawie, aby kto piórko osmalił, pójdzie dym aż na przedmieścia!

Bietka zabrała się do wyjścia, a Płaza ją przeprowadził aż w ulicę, poczem co prędzej się przewdziawszy, najpilniej mu było biedz do przyjaciela ks. Stoczka.

Tym razem zastał go z paupranii zajętego nad abecadłem i katechizmem, od których się niczem odrywać nie dał; poszedł więc do kościołka, bo go tknęło, iż Bogu powinien dziękować.

Tu go też zastał ks. Stoczek, gdy chłopców swych rozpuściwszy, wolnym był na chwilę.

— Cud się stał—rzekł poważnie Płaza, ściskając go z przejęciem—dziękowałem Bogu! Cud... odzyskałem dziecko zgubione, nie jestem już sierotą...

I łzy mu się polały znowu. Poszli razem do izdebki Stoczka, a tu Płaza opowiedział wszystko.

Stoczek o domysłach i przeczuciach wprzódy już wiedział, uradował się więc niezmiernie wypadkami.

— Tak—rzekł—Bogu za to dziękować, bo i dziewczę z tej Gomorrhy możesz wyrwać i ocalić i sam też przez to innym stać się człowiekiem. Nie powracać ci już teraz do Kozaków!

Płaza głową zaczął potrząsać.

— Tak to ci łacno powiedzieć—westchnął,—ale kto ich zna, kto z nimi żył, ten nie może zbyć lada czem tej trudności, a to wielka, straszna trudność! Żyłem z nimi lat wiele, zwierzyli mi sprawę ważną, posłali z listami. Gdybym się im teraz pod ziemię skrył, dobędą mnie z pod niej. Chodzi tu za mną jeden jawnie krok w krok, a nie wiem, ilu potajemnie. Mają swoich wszędzie, bodaj w kancelaryi króla. Umieją, gdzie potrzeba stosunki zawiązać. Gruby naród, chłopstwo, mówicie, ale chytrzejszego nad nich narodu niema na świecie. Gdybym chciał tak wszystko porzucić, żywotabym nie był pewien; gdyby mnie ino posądzali, że mogę zdradzić, zabiją. A wyrzec się tak listów i wszelkiej z nimi drużby, to tyle znaczy u nich, co zdradzić.

— Przecieżeście im się nie wpisali w poddaństwo— odparł ks. Stoczek—a opiekę tu, jako szlachcic polski znajdziecie.

— Jako żywo—rzekł Płaza,—bo mnie za morderstwo na banicyę sądzono, a banicya nie zdjęta i może mi łeb uciąć, kto zechce, jeśli naprzód glejtu a potem łaski od króla nie dostanie.

Westchnął Płaza.

— Dalej—rzekł—co tu z tem dzieckiem robić, które, prawda, piękne jest, serce ku sobie pociąga, ale na dworze czego to się nauczyło, do czego nawykło? Wziąć ją gdzieś na wieś, to z tęsknoty zamrze. Możeście o tem słyszeli, com ja na sobie sam doświadczył. Gdy człowiek zmęczony wśród wrzawy i hałasu uśnie,—uciszy się-li hałas, to się przebudzi. Tak z tą dziewczyną, do wrzawy nawykłą: spokój jej dać i cichy żywot, nie wytrwa w nim.

Troska ojcowska już go ogarniała.

— Bóg z tobą—rzekł Stoczek, pocieszając.—Z tego, coście mi mówili, wnoszę, że dziewczę roztrzpiotane jest,

ale nie jest zepsute. Mogło już do tego czasu siła nabroić, gdy ją ze wszech stron kuszono, przecież mówisz to ty i drudzy, że została uczciwą... niema więc czego rozpaczać.

— Ale niepokoju będzie dosyć—dodał Płaza.—Teraz wam i do tego się już przyznać muszę, żem w podróż ruszając, całego mojego mienia nie zabrał z sobą. Pozostało w pewnem miejscu zakopanych na Chortycy dosyć złota i klejnotów, które z podziału łupów na mnie przyszły. Nie wiem sam, na ile to szacować, ale pewno nie mniej nad kilka tysięcy złotych. Muszę więc na Niż, choćby dla tego skarbu powracać, a jak się stamtąd wydobędę? Ciągle mnie podejrzewali, że chcę od nich odstać, nie spuszczą z oka.

— A na czas, gdy mi na Niż jechać przyjdzie, komu dziecko powierzyć? Jednych Bieleckich znam, ale, prawdą a Bogiem, jejmość dawna królewska faworyta, płocha niewiasta; dziewczęcia jej powierzyć nie można, bo cnoty nie ma za nic.

Płaza się ujął za włosy i począł je targać.

— Więc—dodał,—jak z jednej strony jest za co dziękować Bogu, tak z drugiej troski niemało.

— Módl się i Bogu ufaj tylko—dorzucił Stoczek.—Nic nie nagli, masz czas się rozmyśleć.

—Jednej rzeczy się lękam—rzekł Płaza.—Baby języka utrzymać nie umieją, a Bietka nie jest wyjątkiem, paple też rada. Pójdzie zaraz ta pogłoska, że we mnie ojca znalazła, Parfen Kozak, który za mną chodzi, będzie ją miał, bo co się mnie tyczy, na to on łasy i chwyta. Padnie na mnie podejrzenie, ruszyć się krokiem będzie trudno.

Stoczek posmutniał.

— Prawda—rzekł,—że się składają te sprawy twoje niełatwo dla ciebie, ale od czegóż łaska Boża. Myślisz, że Bogu trudno ciebie wydźwignąć z tej toni, gdy już dał znak, że się opiekuje tobą?

Płaza zaczerpnął trochę odwagi i otuchy od Stoczka, który nigdy nie rozpaczał, ale wyszedł od św. Brunona pomimo to jak pijany i musiał wstąpić do pierwszego szynku na gorzałkę, do której był nawykłym, aby nią się otrzeźwić wedle kozackiego obyczaju.

Zaraz mu też po dwu kubkach jaśniej się i weselej zrobiło, bo miał nałóg do wódki i bez niej teraz żyć nie mógł.

— Wyszedł z szynku na ulicę, pasa poprawiając, patrząc na świat inaczej, wesół nawet był. Myślał tylko o tem, że dziecko miał, że nie sam był, że przestał być sierotą.

Kroczył tak z Nowego Miasta na Stare, gdy zdala ujrzał idącego naprzeciwko siebie Parfena.

Kozak wiedział, iż on do Św. Brunona codzień niemal chodził, a że Płaza go unikał i starał mu się wyślizgać, Parfen tem usilniej zabiegał, aby się z nim spotykać.

— No, batku—odezwał się, zbliżając,—wam dziś dobrze z oczów patrzy, jak już dawno nie bywało. Czyby się nareszcie rozmyślili na Niż was odpuścić z odpowiedzią?

— Nie słychać o tem—rzekł Płaza.

— Jam się też dziwował—dodał Parfen,—bo ja też wącham, kiedy temu czekaniu będzie koniec. Mnie się tu już strasznie skuczy—westchnął—a i wam pewnie. Co tu za życie! Mnie te mury same ogromne, na które patrzę, już duszą. Spać w izbie codzień, na koniu się nie módz wyhasać, głośno krzyknąć i za łby się wziąć, też nie lza... Co to za życie, pies-by nie wytrzymał!

— A cóż ciebie tu wiąże?—odparł Płaza.—Niechże ja—muszę na listy czekać, a oni pono na pieniądze czekają, bo próżne pisma, wiedzą, że nie poskutkują... A no wam tu niema czego się wędzić.

— Jakbyście wy nie znali—rozśmiał się Kozak,—że ja tu po prykazu siedzę? Gdyby mnie atamańska wola nie trzymała na uwięzi, he! he! dawnoby mnie tu nie było! Hasałbym ja po stepie, albo czółnem między ostrowy pławił.

— A tam!—dodał, ciężko wzdychając,—a tam, moje mołojcy może z czajkami poszli na morze, na szerokie sine morze, albo na carzyków tatarskich w dzikich polach łowy sprawiają, a mnie tam niema! A! Bóg jeden wie, co to kosztuje taką pańszczyznę sprawiać.

Płaza się uśmiechnął.

—Twoja pańszczyzna w dodatku—rzekł—nadaremna, bo ty mnie pilnujesz, a ja dozoru nie potrzebuję. Juścić was nie zdradzę i z listy powrócę, wy to sami wiecie.

— Pewnie—mruknął Kozak,—a zawsze bezpieczniej, gdzie dwu patrzy, niż jeden. Kto wie, co się wam przygodzić może. Broń Boże nieszczęścia, jam tu na to, aby choć huknąć do swoich. Ja waszym lachom nigdy nie wierzę... Król nas potrzebuje, dlatego taki dobry i buławy złocone i chorągwie nam posyłać gotów i bębny; a no, król tu nie gospodarz tylko... ledwie włodarz. Co oniby się jego mieli bać,—on się ich boi, co onby nimi miał rządzić, oni rządzą nim.—Śmiał się Parfen.

— Kogo on tu oszukuje—mówił dalej—tego ja nie wiem. Wszakci w biały boży dzień działa i prochy, i saletry do młynów wożą, Wołochów, Węgrów, Ślązaków ściągają; wszyscy na to patrzą i nikt nie spyta, za jakie to pieniądze? Poboru niema uchwalonego, wojny żadnej nie widać, z moskiewskim napewno traktaty zawrą, choćby mu Trubczesk oddać przyszło... to się wie; z Turkiem niby pokój, nigdzie nic nie grozi, oprócz tych rozbójników Tatarów, na których dosyć kwarcianych, a tu na gwałt wszystko się zbroi. Szlachta patrzy, patrzy, jak kozioł na wodę, a no się wkońcu spyta, co to jest? Będzie król musiał, jak niepyszny, tłumaczyć się, a może rozbrajać.

Rzucił ramionami Parfen.

— Króla bo wy za nic nie macie—przerwał Płaza;—rozumny to pan i da on sobie radę ze szlachtą i z panami. Panów ma w kieszeni, a szlachta jak się wykrzyczy, rozjedzie się do domów i cicho będzie. Król zaciągów nie rozpuści.

— A! a! jać to wszystko wiem potrosze—dodał Parfen—ale wy tego nie słuchacie, co ja po mieście. Szlachta mu wojny nie pozwoli.

— A jak mu ją wypowiedzą?—wtrącił Płaza.

— Myślicie, że Turek głupi i też nic nie wie!—rzekł Kozak.—Widzą i słyszą, że tu poseł wenecki siedzi, że z carem na nich zmowa, i będą wojnę poczynać? Nielepiejże poczekać, a siąść Lachom na kark, gdy sami będą?

Płaza nie miał ochoty dalej rozprawiać z Parfenem. Zbliżali się też ku jego kwaterze, pożegnał więc Kozaka:

— Z Bogiem.

Ten, okiem go nieufnem zmierzywszy, odszedł powoli.

W domu Bielecki na progu witał go już powinszowaniem, bo o córce się od żony dowiedział.

— Widzicie—rzekł,—to wam mój dom tak szczęśliwie posłużył. Nigdybyście bez niego dziecka nie odzyskali.

— Ja też wam z duszy wdzięczen jestem—rzekł, ściskając go, Płaza.

Wtem i sama jejmość nadbiegła z twarzą jak zawsze ożywioną a wesołą.

— Poczekajcie! poczekajcie!—wtrąciła—niżeli sobie winszować będziecie. Dziecko prawda, bardzo miłe i ładne, ale będziecie z niem utrapienie mieli, bo samowolne i kapryśne. Niełatwo jej się będzie poddać władzy ojcowskiej, bo ona tam na dworze już nawykła była nie słuchać nikogo, a umiała się tak ludźmi posługiwać, że jeden ją zawsze bronił od drugich, ona zaś nikomu zawojować się nie dała.

Płaza się uśmiechnął.

— Nie obawiam się—rzekł;—sprzeciwiać się jej nie będę, bo nie spodziewam się, ażeby złego chciała. Samiście to poświadczyli, że dziewczę stateczne.

Bielecka się rozśmiała.

— Stateczna,—zawołała—nikt nie przeczy! ale tak sobie poczyna czasami jakby za niestateczną uchodzić chciała. Z mężczyznami śmiała do zbytku i nic się ich nie obawia.

Zamilkła jejmość i po chwili dodała:

— Dla niej to szczęście wielkie, że was znalazła, ale dla was frasunku będzie dosyć. Myślicie ją zostawić u dworu?

—Albo ja wiem—rzekł cicho zadumany Płaza—wszystko to jeszcze tak świeże, iż się człowiek nie opamiętał.

—Jabym ją ode dworu wzięła—mówiła dalej Bielecka.—Prędzej, później—zawsze tam wszystkie źle kończą. Począwszy od króla, mężczyźni na dziewczęta polują bezwstydnie i nie zważają na nic. Za Bietką biega ich mnóstwo, począwszy od Paca. Panna Amanda niebardzo ją lubi, bo jej świeżego buziaczka zazdrości, i choć sama może od niej piękniejsza, ale wie to dobrze, że młodość ma urok, którego i piękność nie daje.

— Gdybym ją ze dworu chciał zaraz wziąć—rzekł Płaza—dokądże z nią? Nie mam jeszcze ani domu, ani łomu, albo się trzeba okupić tu w Warszawie, lub na wsi... tymczasem, nim się dach znajdzie, nie mam się gdzie z nią podziać.

Wreszcie, ja wam to powiedzieć mogę, iż na stały pobyt teraz zostać mi niewolno; muszę wprzód na kresy powracać, gdzie się jeszcze moich węzełków trochę zostało... i jam niewolny. Dziewczyny z sobą zabierać ani myśleć.

Potarł się po głowie.

— Rozmówię się z nią — dokończył trochę frasobliwie,—bo tylko co jej nie widać; przyjdzie pewnie.

Po obiedzie nad wieczór nadbiegła wistocie Bietka zarumieniona, roztrzepana, niespokojna. Przyniosła ze sobą pierścionki matki, nad któremi Płaza zapłakał. Usta się jej nie zamykały, była jak upojona i w gorączce. Na dworze wszyscy już o tem wiedzieli, że znalazła ojca, ale nie każdy się temu radował. Sierotą była swobodniejszą, teraz się trzeba było na pana rodzica oglądać.

Jedna może panna Amanda radowała się wiadomości, przewidując, że Bietkę ze dworu wezmą, bo jej pod bokiem mieć nie chciała. Obie się nie lubiły oddawna.

Bieleccy oboje pozostawili ojca z córką na swobodnej rozmowie, którą też stary niebawem rozpoczął od tego, że wyraził swe życzenie, aby ze dworu ją odebrać.

— Nie mam cię dokąd wziąć—dodał,—ale obmyśleć muszę i znajdę uczciwą rodzinę, u której będziesz mogła przemieszkać, dopóki ja nie powrócę, bo ja muszę jechać na kresy, aby się stamtąd nazawsze już tu przesiedlić.

— A nie mogęż ja przez ten czas na dworze pozostać? zapytała Bietka. — Nie grozi mi tam przecie więcej nad to, co dotąd? Po co szukać przytułku? Nie wypędzi mnie panna Amanda, choćby chciała.

— A pocóż masz tam być, gdzie z nieprzyjaciółką codzień będziesz się musiała ucierać?—spytal Płaza.— Panna Amanda nie lubi cię, ty jej.

— Nienawidzę przewrotnej!—wtrąciła namiętnie Bietka,—ale właśnie dlatego chcę obok niej pozostać... solą

w oku. Oczekują nowej królowej... Chyba Bóg byłby nie łaskaw, gdybym się ja do jej dworu i służby nie wśliznęła. Nowa pani przywiezie z sobą same Francuzice, które się tu nie będą umiały obrócić; potrzebują kogoś, ja się nastręczę, przypochlebię, a pannie Amandzie wywdzięczę.

Zapaliły się jej oczki. Płaza posmutniał.

— Na co ci się to wszystko zdało?—odezwał się.— Do królowej Francuzki ty nie znajdziesz przystępu, bo do tego język potrzebny.

Rozśmiała się Bietka, szczerząc ząbki i ukłoniła ojcu.

— Nie sądźcie tatku, żeby dziecko wasze tak było głupiuchne i wszystkiego zawczasu nie obrachowało— odezwała się.—Jak tylko posłyszałam, że królowa Francuzka jedzie, poczęłam się uczyć języka u starego muzyka przy capelli, Francuza. Nie mówię ci ja ani ładnie ani bardzo doskonale, a no lepiej niż panna Amanda, która tylko po niemiecku szwargocze wdzięcznie. Taiłam się i taję z moją francuzczyzną, ale ją mam, a nim królowa przyjedzie, co pewno nie nastąpi aż w marcu lub kwietniu, ja jeszcze postąpię. Starego Francuza karmię od gęby sobie odejmując, kradnę dla niego wino, ale musi codzień dobrze się ze mną wymęczyć.

Zatarła rączki zwycięsko i spojrzała na ojca, którego ta wiadomość niebardzo ucieszyła.

—Wszystko to dobrze—odezwał się,—ale i mnie o sobie daj pomyśleć. Mnie dwór nowej królowej tak jest wstrętliwy, jak teraźniejszy. Francuzów ja się za młodu napatrzyłem, lud płochy bardzo. A nuż mnie stąd przyjdzie lada moment ruszyć, nim nowej królowej się doczekamy? Za niebym cię u dworu zostawić nie chciał! Z jednej strony prześladowanie tej Niemki, z drugiej zbyt wielkie łaski paniczów—oboje mi nie do smaku.

Począł głową potrząsać.

— A, nie! nie! Co innego trzeba obmyśleć.

Bietka przysiadła obok ojca i zamyśliła się także, a po chwili milczenia szepnęła mu do ucha:

— U Bieleckich mnie zostawić nie zechcesz?

Płaza milcząco dał znak głową przeczący.

— No, to mam jeszcze jeden sposób,—zamruczała po cichu.—Jest u pani marszałkowej staruszka, Litwinka, starsza nad jej fraucymerem, bo tam panien wiele trzymają dla haftu, który jejmość lubi, siebie nim okrywając i po kościołach rozdając. Stara się zowie Mingajłowa, a dają jej tytuł ciwunowej. Poważna i stateczna niewiasta. Ta mnie jak własne dziecko kocha, i mówi, że jej córkę zmarłą przypominam. Byłem poprosiła, weźmie mnie na czas do pani marszałkowej, która nie patrzy na to, ile panien chleb jej je. Jest go tam dosyć!

— Alećbym Mingajłową poznać musiał i z nią pomówić—rzekł Płaza,—bo choć tobie rad wierzę, aleś ty młoda, trzpiot, a ja stare mam oczy.

Pocałowała go Bietka.

— Chcecie? Jutro, pojutrze zaprowadzę was do pałacu Kazanowskich—odezwała się.—Przecież kiedy Bielecki pokazywał wam zamek królewski, to pałac marszałka pewnie niemniej godzien widzenia. Zamek może większy jest i izby ma szersze, i tron w nim stoi, i teatr wart widzenia, ale u Kazanowskich przepych i wspaniałość królewskiej równa, a wymysłów więcej jeszcze. Zgoda?

Płaza głową dał znak przyzwolenia.

— Bądź co bądź—odezwał się,—wolę już dwór marszałka z Mingajłową, niż królewski z panną Amandą, która, ciebie nie lubiąc, na zgubę czyhać może.

— Oddawna—potwierdziła Bietka spokojnie,—ale ja się jej nie dam. Sama nie wiem, Pan Bóg musi dawać małym ptaszętom to przeczucie, gdy nad niemi jastrząb krąży—i nam głupim dzieweczkom, gdy źli ludzie się zasadzają, ale ja się i nie dawałam, i nie daję, i nie dam. Na wylot tych młokosów znam!

Zajrzała wtem przeze drzwi Bielecka i chciała się cofnąć, ale Bietka naprzeciwko niej pobiegła.

— Rozmowa nasza skończona—zawołała;—chodźcie. Trzeba mojego tatka rozweselić, bo mi się coś namarszczył, a ja nie chcę, aby się dla mnie frasował... wolałabym mu pociechę przynieść z sobą.

Gospodyni ściskać ją i całować zaczęła.

— A któżby się nie cieszył takiem drogiem cackiem, jak ty.

IX.

Stało się wedle woli i życzenia pięknej Bietki, która, gdy raz czego zapragnęła, umiała to przyprowadzić do skutku.

Uprzedziła ona zaraz Mingajłową, że ojca znalazła i że ją chce z nim odwiedzić, a razem pałac włoski pana marszałka mu pokazać. Tegoż dnia otrzymała odpowiedź, iż wszystko się jak najlepiej składa, bo marszałkowa była w odwiedzinach u bratowej, a marszałek na łowach, pałac więc cały stał pusty do obejrzenia.

Przez starego muzykusa, który ją potajemnie po francusku uczył, Bietka powołała za przewodnika do pałacu dawnego sługę Kazanowskich, który z nimi po Włoszech podróże odbywał, budowniczego ich i muzyka królewskiego Jarzemskiego, który Warszawę całą doskonale znał, bo właśnie zabierał się wierszem ją polskim opiewać, o czem wszystkim, wszędzie i zawsze rozpowiadać lubił.

Ów Jarzemski był to dworak ze krwi i temperamentu, lizun, pochlebca, ale człek zręczny, i choć się wszyscy z niego i jego wierszydeł śmiali, on wszystkich umiał wyzyskiwać i na swą korzyść każdą rzecz obrócić.

Pracowity, ruchawy, niezmordowany, jednego dnia grał w kapeli, z dworakami i przybyłymi panami jadł i pił, plany dworów rysował, wiersze składał, kobietom pieśni śpiewał i dworował, a zręcznie się przymawiał do podarków każdemu z senatorów i magnatów, którego tylko napotkał. Znał on ich wszystkich, choć nie wszyscy oni go znali, a tak się wśliznąć umiał do każdego, iż pozbyć się go nie było podobna.

Oprócz tego u duchowieństwa, po klasztorach, gdzie w poście najlepszy stokfisz podawano, gdzie starym częstowano miodem, Jarzemski muzyki urządzał i do stołu zasiadał.

Bietka, która pięknością swą jednała sobie przyjaciół na dworze, nie mogła być dla Jarzemskiego obojętną, bo i nią się posługiwał.

Na ten raz ona go zamówiła sobie wzajem do posługi, na co Jarzemski się zgodził ochotnie.

— Przeprowadzę! pokażę!—zawołał. — Nikt w świecie, nawet sam pan marszałek nie zna swojego pałacu lepiej nademnie, za to ręczyć mogę. Panienka to wiesz, że ja go szumnemi wierszami opisałem... ale jak! Potomność się równie pałacowi, jak moim wierszom dziwować będzie! Nie pominąłem nic, a jutro też dostojnemu rodzicowi waszemu pokażę wszystko, nic nie zapomnę.

Gdy zrana około dziesiątej Płaza przyszedł do zamku, ustroiwszy się nie dla siebie, ale dla córki, aby się go nie wstydziła, znalazł już ją i Jarzemskiego, który oczekiwał, zabawiając Bietkę rozmową, ale że miał zwyczaj najwięcej mówić o sobie samym, i „ja" nieustannie mu na usta powracało, nie była ona bardzo zabawną.

Znajomość z panem Płazą została łatwo zawartą, przyczem Jarzemski zaraz przedstawił się mu jako budowniczy, szczególniej w Ujazdowie od króla mający zlecone sobie nowe gmachy, jako muzyk niepoślednie miejsce zajmujący w kapeli, i jako poeta, który wiersze składał, jakby orzechy gryzł.

Wszystko to milczącem podziwieniem przyjmował Lasota, kłaniając się temu mnogolicemu mężowi, któremu tymczasem usta się nie zamykały.

Tuż obok kościoła i klasztoru Bernardynów, wznosił się na pierwsze wejrzenie wielce wspaniały pałac marszałka cały miedzią pokryty, z gałkami złoconemi i wietrznikami herbowemi z herbem Grzymała, na który wskazując Jarzemski, asumpt z niego wziął do przypomnienia, jako jeden Kazanowski króla Kazimierza pod Chojnicami ratował, jako drugi, imieniem Henryk, lat dwadzieścia w Turcyi siedział w niewoli, z której powrócił razem z onym Turkiem, co go za swego miał, i Turek potem u niego aż do śmierci pozostał.

Więcej też o rodzinie trudno było powiedzieć, bo o niej

mało przed teraźniejszymi pany Kazanowskimi, którzy nagle urośli łaską królewską, słyszano.

Zewnątrz tedy ukazawszy i owe cztery wieżyce po rogach, które zamkową powagę pałacowi dawały, i błyszczące okrycia dachów wysokich, JMPan Jarzemski zaprowadził do altany nad Wisłę, która w lecie wistocie, zielenią rozmarynów w naczyniach pięknych tu ustawionych okryta, mogła być zachwycającą i widok z niej na okolicę roztaczał się wspaniały i rozległy, ale teraz, zimą,— balasy kamienne, wschodlki, ozdoby dachu, rzeźby, wszystko śnieg i lód okrywał. Na wiarę więc tylko przewodnika Płaza się zachwycać musiał...

Wisła stała mrozem zdjęta, a poza nią śnieżne równiny, obielone lasy niewiele miały rozmaitości i wdzięku.

Ponieważ tuż z boku stał ceghauz, chciał Jarzemski prowadził też do niego Płazę na oględziny, aby armaty, muszkiety, zbroje, namioty, tureckie łupy, kopie złocone, dzidy, działka polne, hakownice, śmigownice, rydle, motyki i lwie skóry rozpostarte szczegółowo ukazywać, ale Lasota, nie sądząc, aby to Bietkę zabawiać mogło, wymówił się od rozpatrywania zbrojowni.

— Pamiętajcie ino—rzekł, za rękę go chwytając, Jarzemski, któremu szło o to wielce, aby potęgę Kazanowskich okazał w świetle jasnem—że ceghauzu w Warszawie tu niema nikt, tylko król jegomość, a pan marszałek drugi.

— Choćby naprzykład Ossoliński swoją zbrojownię tak chciał nazwać, nie można jej do naszej porównać— paplał dalej Jarzemski—a zowię ją naszą, bo choć jestem *ante omnia* królewskim sługą, ale panów Kazanowskich też być nie przestałem.

Ponieważ obok ceghauzu stała kuchnia, i tej nie chciał przeoczyć, a pominąć Jarzemski, gdyż, zdaniem jego, nawet kuchnia Kazanowskich godną była oglądania, dla osobliwych naczyń, które ją napełniały, i dla takiego urządzenia jej, że stąd panny kuchenne nakryte misy wprost wschodkami przenosiły do jadalni. A że, zdaniem Bietki do pokojów ochmistrzyni Mingajłowej przez te wschody było na drugie piętro najbliżej, a od staruszki począć na-

leżało, mógł więc sumienny Jarzemski i kuchnię marszałkowską w całej jej okazałości Płazie przedstawić, bo chociaż obojga państwa podówczas nie było w Warszawie, dwór ich liczny tak wykwintnie musiał być karmiony, jak państwo sami.

Stara Mingajłowa czekała już na Bietkę przy pokojach, w których się mieścił fraucymer. Była to bardzo miła, łagodnie uśmiechnięta, srebrnowłosa staruszeczka, której dobroć z pomarszczonej, ale jeszcze pięknej twarzy patrzyła. Zaprosiła ona gości do swojego pokoju na mały spoczynek i przekąskę, którą już zastali, a Jarzemski, nawykły nigdy chlebem i napojem nie pogardzać, wziął się zaraz do gospodarowania.

Płaza więcej zajął się samą gospodynią, która, winszując mu znalezionego dziecięcia, o jego własne dzieje ciekawie rozpytywała. Z tych naturalnie Lasota tyle tylko jej odkrył, ile mógł, ile mu przystało.

Gdy Płaza i Bietka zabawiali rozmową Mingajłową a Jarzemski potrosze się do niej wtrącając tylko pilno około szkła chodził i misek, ponieważ czasu dosyć upłynęło, a zdaniem jego, wiele bardzo do oglądania w pałacu pozostało, musieli się ze staruszką pożegnać i iść za przewodnikiem.

Mingajłowa na stronę trochę wzięła dziewczę.

—A pocóżeś ty, dziecko moje—odezwała się pocichu—zabrała z sobą z zamku tego gadułę i nudziarza? Nie da wam spokoju. Na ten raz musi już tak być, ale w drugie odwiedziny z ojcem tylko proszę.

Z pokojów panien Jarzemski zwycięsko wprowadził ich do drugiej i wspaniale wistocie przedstawiającej się galeryi, obrazami zawieszonej od stropu do posadzki.

Na tem stary Lasota wcale się nie poznał, ale zdumieć musiał blaskowi, jaki ścianom nadawały te płótna, wystawujące bitwy, tryumfy, a naostatek i wizerunki *ad vivum* naturalnej wielkości, króla, nieboszczki królowej, małego Zygmunta, dalej rodziny Kazanowskich i kilku jej przyjaciół i powinowatych.

Oprócz obrazów, we wnękach stały tu marmurowe posągi, ale nie świętych. Nagość ich nieco raziła Płazę, lecz

Jarzemski się śmiał, zaręczając, że i w królewskich pałacach, i wszędzie teraz podobne kamienne osoby wystawiano.

Na stole w pośrodku galeryi, stały wielkie globusy, leżały zwitki różne, a Jarzemski ukazał w rogu na wałkach nieporozwijane płótna, które na miejsce i ramy oczekiwały. Wszystko to starego Płazę przenosiło w świat dla niego tak dalece obcy i nowy, że z usty zamkniętemi podziwieniem słuchać tylko musiał, co Jarzemski głosił, a sam odzywać się nie śmiał.

Bietka zaś głośno i raźnie wielki swój zachwyt nad pięknością obrazów objawiała. Dla niej nie były one rzeczą tak nową i mogła nawet o treści niektórych coś ojcu powiedzieć.

Pierwsza to naówczas i po wsze czasy była w Polsce ta galerya Kazanowskich, o której pamięć pozostała. Wojny szwedzkie zniszczyły ją i rozproszyły, tak jak niezmierną ilość dzieł sztuki, które dwa panowania ostatnie wprowadziły do Polski.

Zygmunt III, sam malarz dyletant, Władysław IV, którego w młodych latach malował Rubens, Kazanowscy, wreszcie znawca i miłośnik sztuki, Jerzy Ossoliński, poczęli szczepić zamiłowanie jej u nas, gdy wkrótce potem nieszczęsne zawichrzenia, wojny szwedzkie i kozackie wszystko to w zarodku rozniosły.

Z galeryi, którą przez chwilę oglądali, długo w niej pozostać im nie dając, Jarzemski poprowadził znowu na dół aż do drugiej altany, z mało co różnym widokiem na Wisłę, również galeryami i marmurowemi wschodkami, balasami i posadzką przyozdobionej. Z tej wprost przeszli do wspaniałej sali jadalnej, o której zawczasu cuda im prawił Jarzemski.

— Macie wiedzieć—za rękę przytrzymując Płazę, mówił mu z przyciskiem wielkim, że w tej sali, którą oglądać będziecie, królestwo ichmość oboje nie jeden raz, ale wielekroć razy państwo marszałkostwo ugaszczali i przyjmowali. Oprócz tego, co było posłów—nie minęło Warszawy, aby ich tu nie karmiono i nie pojono; posłowie cesarza JMo-

ści, króla hiszpańskiego, wielki poseł turecki,francuski,moskiewski, perski,—wszystkich my tu widzieliśmy, nie licząc senatorów, dygnitarzy, cudzoziemców podróżujących i najdostojniejszych panów.

Drzwi się tedy otwarły i weszli do sali, która wistocie może najwspanialszą była ze wszystkich w tym zbytkownym pałacu faworyta królewskiego. Niezmiernie jasna, wedle wyrażenia Jarzemskiego, do latarni podobna, dwoma rzędami okien oświecona, na pierwszy rzut oka olśniewała, szczególniej złotem tłem obić ściany okrywających, które umyślnie były we Flandryi robione do budowy tej i kosztowały więcej, niż niejeden cały dwór w Warszawie.

W pośrodku od stropu lichtarz w kształcie korony, złocony, spuszczał się ponad stoły. Przy jednej ze ścian balkon kamienny przeznaczony był dla muzyki, która wejście do niego miała z piętra wyższego.

Wszystko tu zbytkiem i misternością wyrobu godziło się z sobą na całość istotnie królewskiego przepychu: krzesła dokoła stołów złocone, skórą wyciskaną okryte, stoły z rzeźbionemi podstawami, gęsto miały porozsiewane herby rodziny Kazanowskich i Służków.

Przy oknach ukazał Jarzemski, tam, gdzie obicie nie dochodziło, malowanie udatne, zajmujące przestrzeń tak, że nigdzie ściany widać nie było. Piec nawet, ogrzewający salę, przywieziony był z zagranicy i cały barwami żywemi okryty. Poza nim znajdowały się winociągi prowadzące z piwnic wprost do srebrnej baryły ogromnej na kołach, którą napełniwszy, około stołów toczono. Misterne było i to dzieło sztuki niemieckich złotników, na którem Bachus srebrny z czarą w ręku, z wieńcem na skroni, z usty uśmiechniętemi królował.

Oprócz tej najpoważniejszej, przy wspaniałym kredensie w rogu sali, stał cały rząd srebrnych baryłek pomniejszych z różnego rodzaju i pochodzenia winami. Naostatek i fontanna srebrna w środku kredensu wyrzucała wysoko w górę strumień wina, a całym rzędem koło niej rozstawione były konewki, nalewki, bechery, kubki, puhary najwytworniejszych kształtów srebrne, złocone, z kamieni drogich, szklane weneckie i t. p.

Tu już i Płaza, dosyć zresztą obojętnie spoglądający na przepychy te, które mu się szaleństwy jakiemiś wydawały, wykrzyknąć musiał zdumiony samą myślą, jakim kosztem musiało się to wszystko gromadzić, budować i urządzać w kraju, w którym podobnych kunsztów nie znano nigdy, przy dawnej prostocie obyczajów, nawet u największych magnatów.

— A! panie mój—zawołał, zwracając się do Jarzemskiego—mieliście słuszność mówić, że i w królewskim zamku nic równego temu niema, lecz odkryjcie mi tajemnicę tę, jako pan Kazanowski przyjść mógł do takiej majętności, która mu na to starczyć dozwoliła?

Jarzemski głowę nizko skłonił.

— Tajemnicą to nie jest—rzekł;—sam pan marszałek powtarza głośno, iż wszystko winien jest łasce pana swojego, którego serce umiał sobie pozyskać. Ale też wiedzieć należy, iż gdyby dziś król, jak niegdy książę, zapotrzebował wszystkiego tego mienia od pana marszałka,—oddałby mu, co ma, do ostatniej koszuli.

Bietka się uśmiechnęła trefniel

— A! byle się to nie zimą przygodziło—zawołała,—bo pan marszałek chłodu nie znosi.

Potem Jarzemski począł ukazywać Płazie mnóstwo drobnych osobliwości, zwłaszcza między naczyniem do picia; były tu bowiem puhary w kształcie zwierząt i ptaków, drogiemi kamieniami i perłami sadzone, z jednego kamienia żłobione i takie, z których, aby się napić a nie rozlać, wiedzieć trzeba było, jak się obchodzić z niemi.

Muzyk, poeta i budowniczy był też we wszech kunsztach tak obyty i obeznany z niemi, iż dla niego nie było tu tajemnic.

Czas jednak na tem oglądaniu tak szybko upływał, iż Bietka zaczęła przyśpieszać oglądanie reszty, ale Jarzemski nie dał się już przełamać.

— Żądaliście ode mnie, ażebym pałac pokazal, panieneczko moja—rzekł,—bądź-że cierpliwą, bo inaczej ojciec jej fałszywe poweźmie wyobrażenie, a ja to mieć będę na

sumieniu.—Zatem zejdziemy teraz aż ku bramie ze wzwodem i przekopem od miasta, która też godną jest wejrzenia.

Wistocie na wypadek wojny rozpaczliwa obrona mogła czas jakiś zatrzymać tu napastnika.

Sama brama ogromna, murowana, mieściła straż, piechotę pańską i kuźnie. A że się właśnie nadało tak, iż wyprowadzano konie i brodaty kawalkator Grek dosiadał młodego dżaneta, a inne pod wspaniałemi dekami perskiemi masztalerze wyprowadzali, obeszło się tym sposobem od zaglądania do stajen, do którychby Jarzemski niechybnie ich zaprowadził, choćby dla okazania, że jego i z nim idących puszczano wszędzie.

W tej stronie, jak gdyby pałac z atynencyami nie dość był jeszcze obszerny, miano wznosić nowe mury nad stajniami. Wykwintna łaźnia pańska parowa i wanny szczęściem, były zamknięte, ale muzyk opisał je Płazie, jako nadzwyczaj kunsztownie urządzone, tak że się kąpać a patrzyć chciało po dniach całych w tych delicyach.

Przy łaźni zajrzeli do izby ogrodniczej, w której zimą hodowano na stół pański sałaty i inne ogrodowiny, co było w owym czasie nowością i wykwintem niesłychanym. Ale tu co krok miał przewodnik do ukazania coś osobliwego: izbę, w której wychowywano młode niedźwiadki, wzięte w gnieździe, budę, w której stare do szczwania trzymano na łańcuchach, komórki, gdzie inne dzikie zwierzęta zamykano.

Tak obszedłszy część podwórza, gdy już od drugiej kuchni Bietka się wymawiała, bo do Mingajłowej powracać chcieli, Jarzemski wprowadził ich do górnej sali wielkiej z altanami, która tylko na lato służyła i nie miała pokrycia; ale pomimo to ściany jej były obiciem bardzo wytwornem okryte, posadzki i drzwi miała też bardzo piękne. Jarzemski ukazał z tej strony, jako raritas, schody w kształcie ślimaka kręcone, wiodące na górę i nad drzwiami jednemi posąg Władysława IV, pod którym tablica marmurowa ze złotym napisem była dowodem wdzięczności dla pana.

Umyślnie skierowawszy do tego urzędowego wnijścia

na pokoje, przy którem stała piechota z berdyszami i kordelasami u boku, dobrany lud olbrzymi i silny, Jarzemski otworzył podwoje i z tryumfem wiódł dalej, bo, jak on mówił, to, co widzieli, było dopiero początkiem.

Wistocie rozpoczął się cały szereg pokojów, ale oprócz obrazów na ścianach, z których jedne przedstawiały rośliny warzywne, owoce i kuchenne przybory, drugie widoki morskie, krajobrazy i t. p. nie było tu nic tak dalece nadzwyczajnego. Jarzemski tu izbę muzyków, instrumenta ich, pomieszczenie kapeli, do której i on niegdy należał, zmusił oglądać i do dwu czy trzech jeszcze izb uchyliwszy portyerę, jako do przybytku, wwiódł do komnaty samego pana marszałka.

Zniżył głos, wchodząc na próg, chociaż nikogo tu nie było, oprócz faworytów: kotka morskiego na łańcuszku, białej papugi, obracającej się w kole i mnóstwa ptasząt świergocących w klatkach, tak, że mowę głuszyły.

Rozumie się, że i tu obicia były jak najkosztowniejsze, obrazy (*nature morte*) wielce wdzięczne, posadzki marmurowe, stoły mozaikowe, a w jednym rogu w niszy, rodzaj okna dozwalał słuchać mszy świętej, w kaplicy pałacowej odprawianej, do której z pokojów pani, z izb zajętych przez fraucymer okna były także dla pobożnych.

Jarzemski ciągle zwracał uwagę na obrazy, które Płazie wcale się nie podobały, bo mu się wydawały zbyt obnażonemi; nawet Adam i Ewa, których muzyk, jako arcydzieło, zachwalał i zachwycał się niemi, nie znalazły u niego łaski. Do takich dzieł sztuki szlachcic nie był wcale przywykły.

— Panie Adamie—szepnęła mu do ucha Bietka—Mingajłowa na nas czeka... przejdźmy prędzej!

— Nie godzi się—odparł Jarzemski— drugi raz w życiu tych rzeczy widzieć nie będzie... Tu najmniejsza godna refleksyi.

Wtem muzyk pochwycił wpół Płazę i gwałtem go posadził na ławce pięknej, niedaleko wspaniałego łoża stojącej.

— Wiesz waćpan na czem siedzisz?—zawołał, śmiejąc się do rozpuku.—Sądzisz, że na prostej ławie? Tak?...

otóż w jedno oka mgnienie rozkłada się ona i czyni z niej najwygodniejsze też łoże!

— Proszę—dodał—nie spuszczać oka ze ścian dla obrazów.

W tym punkcie peregrynacyi strojny bardzo młody dworzanin zaszedł im drogę i przyłączył się do nich. Były to pokoje dla obcych zupełnie niedostępne, a coraz wykwintniej poprzystrajane.

Kolumny i kominy z marmuru i bronzu, świeczniki srebrne, trzymane przez aniołów, zwierciadła w ramach srebrnych, obrazy w rzeźbionych cudnie okładzinach, odrzwia z marmurów włoskich, a wszędzie wielkie i piękne płótna włoskich i flamandzkich szkół ściągały oczy, tylko już myślał sobie Płaza, wszystkiego tego nadto było.

Przeszli tak, między innemi, i bardzo wytwornie urządzoną bibliotekę, czyli libraryą, w której razem na stole w pośrodku, okrytym kobiercem, był zbiór osobliwości różnych i kosztowności: jandziary drogiemi kamieniami sadzone, noże w pochwach z turkusami, czary złote i kryształowe, puzdra i szkatuły, misternie wysadzane.

Za libraryą tuż, wązkim korytarzem przedzielone od niej, zaczynały się pokoje marszałkowej, w których naturalnie zbywać nie mogło na najwykwintniejszych wymysłach, które podróżujący po Europie Służkowie i Kazanowscy tak chciwie chwytali.

Między innemi Jarzemski z respektem wielkim oglądać kazał całe pudła z żółwiów morskich złotem nabijane, całe skrzynki z kamieni różnobarwnych.

Na straży tych skarbów siedziała przy krosienkach panienka, którą Bietka pozdrowiła, jako dobrą swą przyjaciółkę i znajomą. Szyła ona jedwabiami i złotem cudny ornat, który pani marszałkowa ofiarowała się do jednego z kościołów dostarczyć.

Dalej były sypialnie pańskie, całe od złotogłowów i jedwabnych opon wschodnich, a przy nich znowu zwierciadła w srebrnych oprawach, znowu tysiączne fraszki drogie, między innemi zegar złoty, który co minuta wyrzucał gałkę, a chłopię, stojące pod nim, nazad ją ciskało.

Tu mieniały się tylko obicia ze złotogłowów coraz

innej barwy jedne zielone, drugie szkarłatne z takiemiż sznurami, frendzlami i bogatemi kutasami.

Piękny bardzo wizerunek poważnej matrony w sobolowej szubie, z różańcem i książką w ręku, matkę pani marszałkowej wystawiał a naprzeciw w delii paliowej i zbroi, z ręką w bok na szabli stał ojciec. Jarzemski ciągle im kazał patrzeć pod nogi na wzorzyste to drewniane, to marmurowe posadzki, ale Płazę więcej w podziwienie wprawiały hodowane zwierzątka, których i tu było znowu pełno. Między niemi hodowały się ulubione pani synogarlice, do których nawet osobna była sługa, co je dozorowała. Miały one w jednym z pokojów gniazda i tu się całemi rodzinami mieściły.

Zdawało się tedy wszystko już wyczerpanem, zwłaszcza, że się do mieszkania Mingajłowej zbliżali; Jarzemski przecież, dozwoliwszy Bietce, aby na nich czekała u starej ochmistrzyni, pod rękę ujął Płazę i zszedł z nim na dół.

— Niechże wie, mościpanie—rzekł—jakich to my panów mamy.

— Teraz—dodał—zejdziemy do skarbnicy, o tyle, o ile ją nam widzieć dozwolą.

Prowadzący szepnął coś klucznikowi i otwarto im do sklepu pierwszego. Płazie trochę się lice rozjaśniło. Całe tu ściany były zawieszone najpiękniejszą bronią, strzelbami, ptasznicami, janczarkami, szrotownicami, karabinami, muszkietami, pistoletami włoskiemi, bronią srebrem i złotem bogato przyozdobioną.

Z tego jednak wszystkiego przewodnika najwięcej zachwycała wiatrówka, z której, jak zaręczał, można było kulą zabić człowieka, jednego tylko do tego zażywając powietrza.

Na stołach, na ławach, na wieszadłach leżały tuzinami perskie i tureckie kobierce, któremi w potrzebie izby wyściełano, lub zabierano je do podróży. W skrzyniach widać było całe pęki i stosy nieoprawnych głowni multanów dla piechoty.

Za temi drugie drzwi prowadziły do prawdziwego już skarbca, gdzie rzędy, broń, pochwy, szable, koncerze, pałasze wszystkie były oprawne w złoto, srebro i sadzone

kamieniami. Takież same siodła z blachami i strzemionami złotemi, czapraki sztywne od złotych szyć, uprzęże, siedzenia w niezmiernej liczbie, sobolowe szuby i błamy, naostatek las i kupy naczyń ogromnych już w puzdrach, już bez nich, mis, nalewek i miednic, kubków, dzbanów.

Jarzemski, oprócz tych skarbów, od których Płazie w oczach się ćmiło i w głowie zawracało, ukazał ogromną skorupę żółwią, którą do karaceny porównywał, i z Indyi przyniesioną skórę olbrzymiego węża.

Stąd dalej jeszcze ciągnęły się sklepy różne i przejścia ciemne, ale tych już nie mogli oglądać. Z okna tylko przy wyjściu ze skarbca ukazał Jarzemski mury i baszty opasujące od Wisły ogród pałacowy, w którym sadzono z za morza przywożone drzewa i rośliny.

W ogrodzie na sposób włoski wystawiony Belvedere, dozwalał marszałkowi po łaźni odpoczywać, zabawiając się widokiem rzeki i rozległej okolicy.

— Ano idźmyż do pani Mingajłowej — odezwał się Płaza.

— Jam gotów—rzekł filuternie Jarzemski, do którego się zbliżył mężczyzna poważny w długim kontuszu—byleby nas puszczono. A-no ten pan szanowny, który ma klucze od winnic pańskich, powiada, iż moglibyście na kresy zawieźć to przekonanie, że my tu, jak gęsi, wodą żyjemy. Musimy tedy choć okiem rzucić na piwnice.

Jakoż otwierano im już drzwi i znaleźli się wśród szeregiem ustawionych beczek, których ani było policzyć. Jedna i druga piwnica pełna ich była. Płaza, który kieliszkiem nie gardził, chociaż gorzalicę nad wino przekładał, pomyślał sobie:

— Gdyby się domyślili pragnienie nasze ugasić.

Stało się jak życzył, gdyż piwniczy nie jednego, ale stopniowo czterech im win coraz dojrzalszych dał kosztować, i to sporemi kubkami, tak, że dobrze się niemi pokrzepili.

Chciano ich dalej wieść do piwnic miodowych i piw różnych, mianowicie gdańskich, onych czarnych i gęstych, ale się sam już Jarzemski tłumaczył, iż czasu nie mieli.

Puszczono ich wreszcie.

Tu około piwnic, w nieosobliwszej izbie, Jarzemski

ukazał, łokciem potrącając Płazę, „pludrów", jak ich zwał „Olandrów", którzy obrazy malowali. Ci od roboty głów nawet nie podnieśli, a Płaza nie był ciekawym widzieć, co ich zajmowało.

W tych dolnych napół izbach, napół sklepach, mieściły się oprócz tego składy sreber stołowych powszedniego użycia i izby białozorów, sokołów, a dalej psów legawych, ogarów, przyborów myśliwskich, sieci, strzelb i t. p.

Tu ich też powitał pan Jan Nadworski, wielki łowczy Kazanowskiego, z olbrzymiemi wąsami, ramion i pleców szerokich, mąż jakby z miedzi odlany, bo też i twarz miał tej barwy.

Sławnym on był tego czasu, jako umiejący ptaki do łowów nosić, która to sztuka już się zatracać zaczynała, ale ją panowie jeszcze wielce pielęgnowali, jako rycerską zabawkę i pamiątkę przeszłości.

Tu mógł dopiero Płaza odetchnąć, bo z wielu kątów i komór, które miały zawierać osobliwości i różne dostatki, godzina spóźniona nakazywała kwitować.

W podwórcu tylko przytrzymał idącego Płazę muzyk i kazał mu się przypatrywać przechodzącym tatarskim jeńcom, których tu do najcięższych robót zażywano.

Płazie, jak do starych znajomych, oczy się zaśmiały. Tyle on razy strzały ich z siebie wyciągał, a szablą ich po karkach płażył. Jakaś fantazya dziwna poruszyła nim po winie i do przechodzących przemówił pozdrowieniem po tatarsku.

Trzeba było widzieć, jak spuszczone łby jeńców nagle się podniosły, jak się im zaiskrzyły oczy, rozwarły usta... Jarzemski stał zdumiony.

Mało było w kozaczyźnie naówczas ludzi, którzyby choć cokolwiek tatarskiego nie rozumieli języka, znał go też nieco Płaza. Poczciwe uczucie litości zdjęło go i spytawszy ich z pod którego carzyka byli, jak się do niewoli dostali, rzucił im małą jałmużną.

— Zbóje są—rzekł, idąc do Jarzemskiego—ale wszelako ludzkie stworzenia... litość mieć potrzeba.

Na górę do Mingajłowej powróciwszy, Jarzemski natychmiast pożegnał ją, Bietkę i Płazę.

— Nie macie mi za co dziękować—rzekł do niego;—jam zawsze rad oglądać te przepychy, gdyż potomności opis ich dać zamierzam. Nigdy w Polsce nic podobnego nie widziano, ale też naszemu panu Kazanowskiemu równego nie było.

Staruszka westchnęła, słuchając.

— Wszystko to warte widzenia—rzekła,—ale szczęścia im nie daje. Świeci to i błyszczy i sławę ich po świecie roznosi, ale ani marszałek, ani moja dobra pani niewiele już w tem smakują, bo co tylko świat dać może, mieli i kosztowali.

— Ja—odparł w prostocie ducha Płaza—anim sobie wyobrażał, aby dzieła rąk ludzkich do tej doskonałości mogły dosięgnąć. Ileż to łożyć było potrzeba, aby te skarby zebrać.

Mingajłowa poczęła opowiadać o Kazanowskich i życiu ich, potem o swem do Bietki przywiązaniu i radości, jaką miała z tego, że ona opiekuna i rodzica odzyskała, którego się nawet w myśli nigdy nie spodziewała znaleźć na świecie, bo się mniemała sierotą.

— A! czcigodna pani—odezwał się wkońcu, ośmielając się, Płaza—dla mnie też to szczęście wielkie i mogę powiedzieć, że nowe rozpoczynam życie, ale nim się ono ułoży, nim ja gniazdo dla tej ptaszyny mojej uścielę, — co z nią począć?

Przerwała mu córka.

— Niechże pani ciwunowa poświadczy mi—rzekła,—że mnie na dworze nie grozi niebezpieczeństwo. Wychowałam się prawie na nim, znam go i wszystkie jego szkopuły.

Mingajłowa milczała, nie biorąc strony Bietki.

— I jabym przecież wolała widzieć cię gdzieindziej—odezwała się,—zwłaszcza pod ten czas, gdy przybycie nowej pani, napływ nowych ludzi pobyt utrudni i nieuprzyjemni go.

Bietka pochwyciła ją za rękę i pocałowała.

— Gdy królowa nadjedzie—rzekła stanowczo, —ja muszę się do jej dworu dostać; dawno to sobie postanowiłam i do tego się przygotowuję. Tymczasem zaś, gdyby

ojciec był zmuszony się oddalić, nie dla mnie, bo ja się nikogo i niczego nie boję, ale dla niego... pani ciwunowa mi może da schronienie.

Płaza przyklęknął, ręce składając.

— A! pani ciwunowo dobrodziejko!—zawołał.

Staruszka się z krzesła poruszyła.

— Najchętniej, z duszy — odezwała się, ale ja też tu sługą jestem, więc naprzód u marszałkowej o pozwolenie prosić muszę, to pewnie otrzymam... potem.... potem...

Nie dokończyła staruszka.

— Spodziewam się, tuszę—dodała,—że to się wszystko ułoży.

Widać było, że nie domówiła wszystkiego, co miała na myśli.

— Poszłoby to gładziutko — szepnęła po namyśle; — tylko mam obawę, że ci, którym Bietka bardzo jest miłą, wszyscy ichmość dworacy będą zabiegali, aby jej panna Amanda nie puściła od siebie.

—Ale ja ojcem jestem—wtrącił Płaza—mam więc największe prawo dzieckiem mojem rozporządzać.

Bietka się poruszała niespokojnie.

— Jeżeli tylko droga pani ciwunowa kątek mi u siebie zapewni do przybycia królowej, resztę się zrobi łatwo. Pani marszałkowa potrzebuje pośpieszyć z szyciem ornana, panna Kosterzanka nie starczy, mnieby w pomoc mogła przez męża sobie uprosić.

— Tak, czy inaczej, jeżeli to wam potrzebnem jest, a bezpieczniejszem się wydaje—przerwała staruszka—będziemy zabiegali z całym kunsztem, jakiegośmy się około dworu chodząc nauczyli.

Uśmiech przebiegł po jej bladych ustach i pocałowała Bietkę w główkę.

— Ale poco tobie chce się do tego dworu młodej pani?—rzekła.—Nikt jej tu jeszcze nie zna. Chwalą niektórzy, lęka się wielu. Mieliśmy Niemkę jedną, która swój obyczaj przyniosła, ta też nie omieszka przybyć z nowym, a gdyby chciała, nierychło się do naszego nałamie.

— O! o!—rozśmiała się Bietka,—my tu jeszcze niejedną komedyę ujrzymy, choć nie na teatrum! Grali nam

i śpiewali o jakiejś Dafnie w drzewo przemienionej, a w co to się teraźniejsze nasze obrócą boginie? W zwiędłe kwiatki, czy w łzy, wyciskające cebule?

Mingajłowa pogroziła szczebiotce.

— Jaka bo ty jesteś złośliwa!—zawołała.—Pamiętaj o sobie, abyś wyszła cało! .

Spóźniona godzina zmusiła Płazę pożegnać staruszkę, ale sobie wyprosił, aby mu wolno było przyjść i swą rodzicielską troskę z dobrą panią ciwunową podzielić.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

I.

Bielecki, powracający z zamku, w parę dni potem przyniósł dla p. Lasoty niespodziewaną i niezbyt miłą wiadomość, że kanclerz się z nim widzieć potrzebował.

— Oho!—rzekł w duchu do siebie Płaza—ani chybi, że mnie stąd chcą wyprawić, a z Bietką jeszcze ani wiem, co pocznę!

Dzień i noc dręczył się tem, zmieniony do niepoznania. Życie wprzód było mu dość obojętnem, bo epilog jego odgrywał tylko się jeszcze. Z pewną ciekawością, nawpół rozbudzoną, przybył do Warszawy między tych, których niegdyś swymi nazywał. Tu naprzód począł się w nim dawny człowiek odradzać i odmładzać, potem przyszło znalezienie dziecięcia i zdawało mu się, że na nowo żyć musi, zapominając o swej kozaczej przeszłości. Tymczasem ona, jak każdy grzech czy cnota ludzkiego żywota, ciążyła na nim. Wymazać jej nie mógł z rachunku, wkładała mu ona pęta na ręce.

Nie szczędziłby ofiar pewnie, aby się wyswobodzić i całkiem dziecku poświęcić, ale tu innej nie starczyło, tylko całkowitego oddania siebie samego.

Był koszowym bratem i sługą, a kozactwo, jak często wybranego atamanem batka, gdy odmawiał przyjęcia urzędu, zabijało na miejscu, tak każdego, co się wkupił do tego ich zakonu, prześladowało jako zdrajcę, gdy chciał się wyrwać na swobodę. A, jak Parfen powiadał, kozacy mieli długie ręce.

Jechać znowu na Niż Płaza potrzebował koniecznie sam dla siebie, powrócić stamtąd było największą trudnością. Czy go zechcą wysłać powtórnie, za to ręczyć nie mógł. Parfen, dozorujący zdaleka, niezbyt był kontent z niego! Wprawdzie ukrywał dobrze kozactwo swe i poselstwo, ale nadto się zżył z Lachami i Parfen widywał go wchodzącym często do księdza i kościoła.

— Lach taki zawsze lachem—mówił sobie;—ze swej skóry się nie wywlecze, to darmo.

Posłuchanie u kanclerza naznaczone było na ranek następny, miał więc Płaza czas przysposobić się do niego i poszedł naprzód do przyjaciela Stoczka, bo przed nim jednym tylko mógł się całkiem szczerze wyspowiadać i poradzić, co dalej robić?

Ks. Stoczek nie zawsze mu dał radę taką, za którą było można pójść otwarcie, ale wskazywał drogę, uspokajał sumienie. Teraz zaś ksiądz mu był nieodzownie potrzebnym. Po wielu namysłach postanowił jemu powierzyć zwierzchnią opiekę nad córką i pieniądze, jakie przywiózł, złożyć u niego na wypadek wszelki dla Bietki. Nie łudził się bowiem—podróż była długa, niebardzo bezpieczna, powrót wątpliwy... Samo odkopywanie skarbu i wyprowadzenie go z Siczy tak, aby tego nie dostrzeżono i nie powzięto podejrzeń, dosyć było trudnem.

Płaza przebiegłym bardzo nie był, a często gwałtowny; choć już przytępiony wiekiem, temperament go zdradzał. W Siczy miał-ci przyjaciół, ale daleko więcej zazdrosnych i niechętnych. Było więc o czem rozmyślać.

Powołanie do kanclerza nie mogło nic innego oznaczać nad odprawę.

Tegoż dnia, idąc na zamek do córki, z którą się chciał widzieć co najprędzej, spotkał Parfena, czatującego około Bernardynów.

— A co, batku? Niema tam nic nowego dla nas?—zapytał go Kozak.

— Owszem—rzekł Płaza;—jutro mi kazano być u kanclerza, a że jemum listy oddawał, nie chybi, że mi przysposobili odpowiedź, z którą zaraz napowrót pojadę.

Z rodzajem niedowierzania i zdumienia popatrzał na niego Parfen.

— He! he!—rzekł.—Pojedziecie napowrót do Siczy? A! jak ja wam zazdroszczę! Ja tu już usycham i ginę. Prawda, u księcia Ostrogskiego kozaczyzny jest dosyć, ale to nie nasza! Niema do kogo słowa huknąć, trzeba się oglądać, aby kto nie podsłuchał. Wolnego kozaka tu, oprócz was i mnie, niema więcej. A mnie tu jak przykutego trzymają.

Posmutniał Parfen.

— Z czemże oni was nazad odprawią? — dodał.—Ze świstkiem papieru, którym chyba nabój przybić w rusznicy, bo hroszy niema.

Rozrzucił ręce szeroko i śmiał się.

— Bóg z nami—dodał cicho.—Gdyby obliczyć nasz skarb i ich, pokazałoby się, że u nas groszy więcej, niż u nich... Ale też jak oni tu je garściami rzucają za okna, Boże zlituj się! Wszystek pieniądz zagranicę wędruje. Wina siła piją, bo im ani kwas, ani piwo nie smakuje, ani nawet gorzałka, choć gorzałkę mają lepszą, jak nasza, co kotłem śmierdzi. Za wino muszą płacić, niema na nich kawałka sukna, ani jedwabiu, ani złotogłowiu, ani szkarłatu, żeby go z za morza gdzieś nie sprowadzili, opłacając drogo; skórkę na buty ciągną od obcych, pieprz płacą na wagę złota. Kamień nawet na posadzki kupować muszą. Wkońcu i płacić nie będzie czem, bo ziemia u nas nie rodzi złota.

Westchnął kozak.

— A no, co nam do tego!—dodał.—Tatarów to tam kożuchami zbędą i lada kiesą, ale nam hroszy trzeba dużo dać, bo my bez nich nie pójdziemy. Rozsierdzi się Turek, na nas pierwszych złość skrupi.

Płaza słuchał zimno. Kozak westchnął.

— O! o! Jak ja wam zazdroszczę—szepnął.—Wiosna za pasem, a co ona tu warta w tych murach?

Tu jak zimy nie było widać, tak i wiosny człowiek nie poczuje, zawsze jednako miasto śmierdzi...

Pożegnał go Płaza, bo mu do córki pilno było.

Na zamku już się umiał obracać; wywołano z fraucymeru Bietkę, ojciec blady stał przed nią.

— Dziecko moje—rzekł głosem stłumionym,—przyj-

dzie mi pono jechać, jak dawno przewidywałem. Jutro kazano być u kanclerza niedarmo... Na grzane piwo-by mnie nie prosił...

Podparł głowę zafrasowany.

— Gdy mi listy oddadzą—ciągnął dalej,—natychmiast wyjeżdżać muszę. Cóż z tobą będzie?

Dziewczę raźno podniosło główkę.

— Muszę znaleźć sposób, aby się do Mingajłowej dostać—rzekła,—kiedy taka wola wasza, ale bądźcie spokojni o mnie, nie dam się im zjeść.

— Mingajłowa—mówił dalej Płaza—poczciwa babka, ale stara, a ty samowolna i płocha. Na Bieleckich się zdać nie mogę bo choć dobrze życzą, ale chodzić nie umieją, ino tak, jak się na dworze nauczyli... Ciebie też inaczej nie poprowadzą. Dam ci więc opiekuna jeszcze jednego, takiego człowieka, że przed nim klękać i do niego się modlić.

— Wiem, mówiliście mi już o księdzu Stoczku—przerwało dziewczę,—ale to ksiądz! On ze swą suknią nie wszędzie wejdzie i wiele rzeczy dworskich zrozumieć mu będzie trudno.

Na co on mnie się przyda—rozśmiała się, — chyba, gdybym już do klasztoru szła, to mnie odprowadzi, ale ja za kratę nie myślę! nie! nie!

— Stoczek—przerwał Płaza—prawda, że nawet sutanny nowej nie ma, żeby na świat wyjść, a sprawić sobie nie da, ale on i w podartej gotów choć przed króla. Pieniędzy z sobą przywiozłem, nazad ich zabierać nie myślę, bo to posag twój; zostawić ich Bieleckim nie mogę, bo nie utrzymają, oddam księdzu. Gdybyś potrzebowała, u Św. Brunona przy szkole dowiedz się do niego.

Bietka ramionami poruszyła.

— Nie—rzekła—ja pieniędzy nie będę potrzebowała. A one mnie na co? Klejnocików nakupiliście mi dosyć, i gdybym je przyjmować chciała, daliby mi drugie tyle moje gachy. Sukni jest tymczasem dostatek. Stoczek mi się chyba zda...

Nie dokończyła swej myśli.

— Prędkoż wy powrócicie?—spytala ojca.

— Toć mój frasunek—jęknął Płaza.—Albo ja wiedzieć mogę, kiedy jadę i jak powrócę?—Sługą jeszcze jestem i z tych kajdan rozkuć się muszę, byleś ty mi całą i zdrową była.

Bietka zadumana nic nie odpowiedziała.

— Nie wiem, co się stało—szepnęła po małym przestanku.—Dawniej się tu mocno nową królową zajmowali, teraz o niej milczą. Zobojętnieli... albo kto ich zrozumie? Amanda głowę do góry podnosi i weselej się uśmiecha a królowi przypodobać usiłuje... Co to będzie... co będzie?

— Przyjdź do Bieleckich, jak najprędzej ci pozwolą, bo szerzej pomówić musimy swobodnie.

— O pozwolenie się pytać nie będę—uśmiechnęło się dziewczę.—Przyjdę...

Z zamku wprost pośpieszył Płaza do szkółki przy Św. Brunonie na Nowe Miasto. Stoczek siedział tu w porzniętej przez pauprów kozikami katedrze i mozolnie wykładał abecadło, owo odwieczne a, b, c, chleba chcę, a kołacza nie porzucę, bo się dobrze uczę.

Gromadka obdartusów krzykliwemi głosami odpowiadała, powtarzała, swawoliła.

Po bladej twarzy Płazy poznał ksiądz, że nie darmo do niego w odwiedziny przychodził. Starszego więc jednego z rózgą w ręku posadził do nadzoru, a sam poszedł z przyjacielem do izdebki. Po drodze już wiedział, o co chodzi i zafrasował się.

— Jechać muszę—rzekł Płaza,—nic nie pomoże; choćbym skarbu zakopanego na Chortycy się wyrzekł, nie dadzą mi tu pozostać, ani oni, co mnie wypuścili, ani kanclerz, co mnie odprawia do nich. Z trwogą w duszy pojadę.

— Bietka—dodał—wie, mój ojcze, że opiekuna w was znajdzie; ja pieniądze wam moje złożę, bo ich z sobą nie mogę wozić.

— Zamkniemy je w zakrystyi bezpiecznie—odparł Stoczek, ale połóżcie pieczęcie i napiszcie czyj depozyt, bośmy śmiertelni. Ja po szpitalach i po domach się włóczę, gdzie biedna ludność wymiera, mogę chorobę przynieść z sobą i z niej nie powstać. Dla mnie to będzie łaska Boża, ale dla was...

— A! zakrzyknął Płaza—niech Bóg was uchowa! Ja

na was rachuję. Jechać muszę, ale i powrócić do dziecka też, choćby gardło stawić przyszło. Jarym ja tu człowiekiem przywlokłem się, a wcale innym powracam. Kozacze życie dla mnie smaku nie ma... dziecko na myśli... losu dla niej szukać muszę, a potem,—co będzie, o to nie dbam. Żyłem i nażyłem się do syta.

Uścisnął Stoczka ze łzami w oczach.

— A! ojcze—westchnął,—gdy o sobie myślę, muszę cuda Boże na ziemi uwielbiać, bo je widzę na sobie. Odbyłem pokutę na Niżu, jak cięższej sobie wyobrazić trudno. Zdawało się, żem się z lacha na Kozaka przerobił tak, iż żyłki we mnie starej nie zostało... A no wszystko wróciło dawne, dziecko odzyskałem, zaprządz się trzeba dla niego...

— Śmiało tylko i z ufnością w Bogu—dodał ks. Stoczek.—Powracajcie jak najrychlej, powracajcie... ze skarbem, czy choć bez niego, dla dziecka rodzic to skarb największy.

— Bietkę zostawiam na dworze—mówił Płaza,—alem dla niej wyprosił przytułek przy starej ochmistrzyni u marszalkostwa Kazanowskich, która poważną jest niewiastą. Tam się ona pewnie do przyjazdu królowej przeniesie, a potem chce gwałtem na dwór nowej pani. Jeżeli więc o dziecko moje dowiedzieć się zechcecie, pytajcie o nie u Kazanowskich.

— Wysokie progi na moje nogi!—westchnął księżyna, ukradkiem spoglądając na poplamioną woskiem i zszarzaną sutannę.—Do Kazanowskich kanonicy tylko i prałaci chodzą, albo z mnichów który, bo Bernardynów pod bokiem mają, ale że ja z nimi dobrze jestem, trafię może...

Płaza nie mógł się wstrzymać, aby przed przyjacielem nie wyspowiadał się z tego wrażenia, jakie na nim pałac Kazanowskich uczynił.

— *Vanitas vanitatum*—przerwał mu ks. Stoczek;—nie chcą tego wiedzieć ludzie, że zbytek i miękkość ich psuje, ani pomną, że gdziekolwiek się one zakradły, tam z niemi przyszła zgnilizna. Padło tak rzymskie państwo, gdy złote pałace Neronowie pobudowali. Dziś i nas nie poznać pod grubą pozłotą, a co po niej? Lepsi byli starzy,

co w grubych chadzali opończach. A no, mówią, że prostota obyczaju—to dzikość.

I zamilkł księżyna.

— Wynurzywszy się z tego, co miał na duszy, Płaza niespokojny wrócił do Bieleckich; przez cały wieczór trapił się myślami, a nazajutrz rano z tym samym, co wprzód, przewodnikiem do gabinetu kanclerza przez cały szereg pokojów wędrował.

Zastał Ossolińskiego przy tym samym stole, zarzuconym papierami, z dosyć frasobliwą twarzą, choć się ona wyjaśnić usiłowała.

— Odprawę wam gotuję—rzekł mu powoli kanclerz, a radbym, abyście się z nią pośpieszyli, bo odpowiedź mi potrzebna.

— Jabym też rad bardzo ją przywieźć miłości waszej—odezwał się Płaza—bo, wyznać muszę, kozakiem tu przyjechałem, a starym szlachcicem, jakom niegdyś był, na Niż powracam. Córkę tu znalazłem i już mi Sicz nie smakuje.

Ossoliński słuchał go roztargniony.

— To są osobiste sprawy wasze—odezwał się. — Pośpieszajcie z listami do starszyzny, naglijcie o odpowiedź. Wasza rzecz postarać się, aby wam ją powierzono. Gdybym ja na to nalegał, rychlejby zaszkodziło, niż pomogło.

— Niech mi wolno będzie tylko to dodać — rzekł Płaza,—iż z naszymi mołojcami na słowa i obietnice rachować wiele nie można. Żądni są grosza, spodziewają się go dostać.

— Będą go mieli—przerwał kanclerz,—ale teraz nie pora płacić, gdy jeszcze nic nie uradzono, kędy i jak nam, to jest królowi, służyć mają. My i sił nie znamy, i ludzi, co tam rej wiodą.

— Atamany i starszyzna się zmienia—rzekł Płaza—bo nieufni są, a o swobody swe zazdrośni bardzo. Nikt ich lepiej wszystkich nie zna nade mnie, com prawie dwa lat dziesiątki wpośród nich spędził. Ufam też, że królowi JMci i rzeczypospolitej-bym się zdał, gdybym powrócić mógł i tu pozostać.

Ossoliński podumał.

— A więcej jeszcze, gdybyś wasze królowi służył, na miejscu tam pozostając—odparł kanclerz.

— O tem wątpię—przerwał Płaza—bo we mnie oni zawsze lacha widzieć będą i nie zaufają mi nigdy.

— A przecież was tu wysłali?—zagadnął kanclerz.

— Lacha do lachów—odparł Lasota—to nie dziw; ale w Koszu mi oni władzy, ani wpływu nie dopuszczą, a choć mnie do rady i głosowania wezwą, tajemnic swych największych nie powierzą.

— Waszmość je powinieneś zbadać, nie pytając — rzekł Ossoliński;—ale to są sprawy późniejsze. Tymczasem jutro listy dla was gotowe będą, zabierajcie je i pośpieszajcie z niemi, a nastawajcie na to, aby mi ataman rychło dał stanowczą odpowiedź. Wyślą-li was, rad będę, wolę mieć do czynienia ze znajomym; ale na to w piśmie nie mogę nalegać.

To mówiąc kanclerz, nieco zadumany i jakby niepewny, co ma uczynić, rękę zanurzył w otwartej szufladzie stolika, cofnął ją, popatrzył na Płazę, na strop, na podłogę, głową potrząsnął i odwracając się ku stojącemu jeszcze, rzekł cicho:

— Król JMość chciałby wam łaskę swą okazać. Na drogę dostaniecie wiatyk jutro.

Skłonił się Płaza.

— Nie gardzę—rzekł—łaską pańską, alem grosza nie żądny.

— Toś waszmość szczęśliwy—uśmiechnął się Ossoliński i skinął głową na pożegnanie; odchodzącego już przywołał raz jeszcze.

— Jutro—dodał—zgłosicie się tylko do tego, który was tu przywiódł. On wam pisma i wiatyk wręczy, a gdy je mieć będziecie, radbym, ażebyście nie opóźniali się ani godziny, bo sprawa jest pilna. Raz i dwa może posyłać przyjdzie, jeśli nikomu pełnej mocy nie dadzą, a tu czas może naglić do roboty, nie do pisania.

Z tą odprawą wyszedł Płaza, i jak się nieochybnie spodziewał, ledwie bramę pominął a w ulicy zwrócił się ku dworowi ks. Szyszkowskiego, biskupa warmińskiego, gdy Parfen go powitał.

— Sława Bohu!

Spojrzeli sobie w oczy.

— No, kiedy w drogę?—zapytał kozak, uśmiechając się.—Listy macie?

— Jeszcze nie, ale jutro mi je wręczyć mają—odezwał się Płaza—i naglą, ażebym pośpieszał z niemi.

Parfen głową poruszył.

— Koń wasz silny, zdrów i wypoczęty—odezwał się;—wyście także czas mieli się w pierzynach wylegać, tylko źle, że zima idzie i obiecuje się sroga. Czy mrozy ścisną, to na konnego bieda, aby nóg nie poodmrażał, czy roztopy przyjdą, ślizgawica lub grzęzawica. No! podróż będzie nie do zazdrości!

Parfen pomyślał.

— Jabym na waszem miejscu—rzekł—prosto do Kijowa jechał. Tam do naszej gospody się zgłosił, może dalej nie będzie potrzeba.

Płaza głową potrząsnął.

— Ja muszę w Siczy być—rzekł,—bo nie jednego głowa rozstrzygać będzie, ale starszyzna cała radzić musi.

Kozak, nic już nie mówiąc na to, rękami liczenie pieniędzy pokazał.

— A hroszy?—zapytał.

— Tylem tylko o nich słyszał, że mi na drogę coś dać myślą.

Ręką rzucił, a Parfen się skrzywił.

— Co po tem?—zamruczał.—Ale u nich w skarbie, jak w wyłowionym stawie, ani płotki pono niema. Czekają na młodą królowę, aby im francuskich pieniędzy przywiozła. Kiedyż ona przyjedzie? —dodał,—na żółwiu ją wiozą! Król chory i nie o weselu mu pono myśleć, a tu żonkę gwałtem dają... Sam-ci jej chciał, a kto się teraz z nią będzie pieścił...

Wtem Parfen nagle urwał, głowę skłonił i szybko uszedł na stronę, a Płaza, widząc się sam, na zamek zawrócił.

Bietkę zastał w kożuszku zimowym, z chustą na główce, gotową do wyjścia.

— Szłam do was—rzekła smutnie—jestem niespokojna. Nie miałam jeszcze czasu się do was przywiązać, a już

czuję, że tęsknić będę. Zawsze opieka męska siłę jakąś daje. Jam się bez niej obchodzić nawykła była, a teraz...

Szli więc razem na róg ulicy Piwnej, gdzie nikogo nie zastali, bo Bielecka po kumoszkach i po sklepach biegała, a szafarz biedował ze śpiżarnią pańską, w której zawsze czegoś brakło, najwięcej zaś pieniędzy.

— Z tą nową królową—poczęła Bietka — już zaprawdę nie wiem, co oni myślą. Chcieli z początku jej przybycie przyśpieszyć, król na gwałt już do Gdańska się wybierał, nagle teraz po tych listach, których treści nikt nie wie, ostygło wszystko. Królowę chcą powoli wieść i dać jej spoczywać. Sami nie wiedzą, kogo jej na marszałka wyznaczą. Nikt się nie napiera... Widzę po twarzy panny Amandy, że poweselała i coś sobie lepszego tuszy niż przedtem. Król się już chciał jej pozbyć ze dworu, za ubogie książątko wydając; teraz ona się krzywi i zamąż nie chce niby... tak bardzo królewicza kocha, tak się gotowa cała dla niego poświęcić...

Bietka rozśmiała się.

— Tej biednej królowej przyszłej — mówiła dalej— coś się pewno stało niepomyślnego. Ktoś jej tu stołka przystawił, nim jeszcze przybyła. Król, słyszę, na wizerunek jej, który ustawicznie chciał mieć przed oczyma, ani patrzy, nie mówi o niej wcale, Pac znowu się krząta, aby go rozerwać, a nasza teraźniejsza królowa spodziewa odzyskać...

A! ta Niemkini! — mówiła dalej Bietka — jakie to przewrotne, jakie dumne! Wiemy przecież przez stare sługi nieboszczki, z którą tu Amanda przybyła, że z prostych ludzi pochodzi, a dzieckiem ją dla piękności wzięto za towarzyszkę do cesarzównej. Teraz się tak nosi, jakby sama arcyksiężną była. Kto wie, o czem marzyła i marzy? Był czas, że król bez niej wytrwać nie mógł, teraz ostygł bardzo... Już mu czegoś świeżego potrzeba, i jak u nich wszystko cudzoziemskie najsmaczniejsze, tak i faworytkę muszą mu z zagranicy chyba sprowadzać. Z naszych dziewcząt podstawki tylko, gdy już nic innego niema.

Złośliwie tak i swobodnie paplała Bietka, ale czuć było, że gorzko jej przychodziło teraz ojca się pozbyć, samej

zostać i czekać na tę nową królowę, na którą rachowała zawczasu.

— Długo wy możecie pozostać w tej podróży?—spytała wkońcu ojca.

— Radbym i ja to wiedział—odezwał się Płaza, wzdychając.—Mówiłem ci, że mam tam jeszcze trochę grosza przychowanego, ale to nie tak, jak u nas, co się do klasztoru albo kościoła powierzy... musiałem zakopać w ziemię, bo ta jedna nie zdradzi. Teraz trzeba tak dobyć, aby nikt nie podpatrzył, bo dla pieniędzy zabić mogą; trzeba zabrać to z sobą i aż tu doprowadzić.

Bietka się za głowę pochwyciła.

— Aż mi strach myśleć—zawołała.—Ale gdyby się wam najszczęśliwiej powiodło, ile na to czasu trzeba?

Zadumał się Płaza licząc... a no podróż nie dawała się obliczyć... Dosyć było kaprysu końskiego, aby ją przeciągnąć. Wprawdzie ta brzydka i niepozorna szkapa, na której się tu dostał, żelazną była, ale i żelazo się kruszy.

Płaza odpowiedzieć nie umiał.

— Toć pewna—rzekł po długiem dumaniu,—że ja i godziny nie zaśpię.

Na tę poufną rozmowę wpadła powracająca z miasta Bielecka, cała jeszcze rozgorączkowana czynnie spędzonym porankiem.

— Cóż tam z zamku przynosisz?—zagadnęła Bietkę.

— Jak z próżnemi rękami przychodzę — odpowiedziało dziewczę.—Król chory... i po wszystkiem.

— Gdybym ja była na miejscu waszem—z wyrzutem poczęła pani Łukaszowa—jużbym tej tajemnicy pewnie dobyła, bo mi tego nikt nie wmówi, żeby jej król nie miał zwierzyć nikomu, oprócz Kazanowskiego i Pstrokońskiego. Młody Pac, który dla was moja panno, dałby się obwiesić, wie napewno, albo się domyśla. Dosyćby jednego całusa, aby dobyć z niego...

Płaza się wzdrygnął.

— Alež pani moja—rzekł—wiecie, jak to idzie, od całusa się poczyna...

— I co dalej? — przerwała rezolutna mieszczka; —

niekoniecznie zatem idzie, aby się więcej nad całus dawać miało... A rozum od czego?

Bietka pokręciła głową.

— Całusa—rzekła z minką poważną—cała sztuka zawsze niby przyrzekać, a nigdy go nie dać... ale z Pacem... Któż go wie? Wczoraj był jak wosk miękki, a dziś już u panny Amandy w usługach, bo powiał wiatr inny...

— Co?—zawołała Bielecka—król-by miał do niej powrócić?

Bietka dała znak potakujący.

— Na jak długo nie wiem, ale od tych listów znowu do niej przystał. Kazał się z krzesłem nieść do niej wieczorem i pozostał tam na wieczerzę, gdy już Zygmuś dawno spał, choć to się zowie, że król tam synaczka odwiedza... Ale tak on go kocha, jak Amandę, jak nieboszczkę królowę i wszystkich! Nie wiem, czy kogo miłował kiedy... Fantazye ma tylko. Królowej Cecylii życie z nim było gorzkie, opłakała je nieraz... pokochał ją dopiero, gdy utracił, a gdy ją miał, mało co szanował. Naówczas już panna Amanda chciała Urszulę Meyerin udawać, ale głowa nie po temu. Piękna jest, to prawda, ale i ten wdzięk już przekwita. Teraz ona książątka nie chce i droży się, a potem jej i chłop nie zechce. Dosyć, aby królowa z sobą piękną jaką Francuzicę przywiozła, pójdzie panna Amanda w kątek...

— Ależ królowa sama—dorzucił Płaza—piękną jest i potrafi sobie pewnie pozyskać serce daleko starszego małżonka.

Dziewczę nad swój wiek rzeźko przerwało ojcu:

— Zapominacie, że żoną jego będzie! Żony długo kochać nie potrafi, bo ją zawsze u boku swego mieć może, a jedna potrawa się przejada...

Bielecka śmiać się poczęła i ściskać Bietkę, ale ojciec zmarszczył się.

— Nadto ty masz rozumu na twoje lata—szepnął.

— Rozumu? nie!——odparła śmiało córka,—ale doświadczenia mam dosyć. Oni wszyscy tacy. Owoc zakazany najsmaczniejszy zawsze.

Płazę to szczebiotanie wkońcu rozchmurzyło. —

— Dziecko ty moje—rzekł,—jeżeli biblii wierzyć, owoc zakazany nie nam, a wam niewiastom najpokuśniejszy. Adam-by go nie zrywał, gdyby nie jejmość.

Śmieli się wszyscy. Wtem wszedł Bielecki poważny i zasępiony. Nie nowina go było takim widzieć, gdy z zamku powracał, bo się z kucharzami nagryźć musiał zawsze dużo.

— Czołem!—rzekł do Płazy.—A co, jedziecie?

— Zdaje się—rzekł gość, skłaniając się—a was też od załogi naprzykrzonej uwolnię.

— A! nie naprzykrzyliście się nam—przerwała Bielecka,—teraz w domu będzie się wydawać pusto. Wracajcie ino rychło.

— Bylem mógł—szepnął Płaza, który na córkę patrzał.

Bielecki się dokoła obejrzał.

— Nic-ci ja nowego nie wiem—szepnął—a przecież więcej może, niż wy... Marszałek Kazanowski zwierzył się z czegoś żonie, jejmość mówiła księdzu, ksiądz bratu... i ot... zaczyna się coś wykluwać...

Porwała się Bielecka.

— A mówże, człowiecze! — krzyknęła.—Tyś na kata stworzony!

— Tyle wiem—dodał Bielecki—że listy owe, które króla tak zgryzły, wprost z Francyi przyszły i to od nieprzyjaciół królowej. Potwarz na nią słyszę rzucają, iż kochanków miała, o których wiedzieli wszyscy...

— A król nie miał kochanek?—oburzyła się pani Bielecka.

— Z tem wszystkiem nie wiadomo jeszcze, na czem się to skończy—ciągnął dalej Bielecki;—król prawdę, czy potwarz tak pono wziął do serca, że z początku Kazanowskiemu powiedział, iż ją nazad odeśle do Francyi. Ledwie go marszałek opamiętał, że w listach złość i zemsta jawna, którym tak ślepo wiary dawać nie można... Ale burza się nad nieszczęśliwą panią zbiera, wprzódy jeszcze, nim przybyła. Kazanowski tem króla nieco pohamował, iż mu rzekł:

— Mężczyzna, czy kobieta, która w tak podły spo-

sób zdradza i donosi, czy może na wiarę zasługiwać? Pójdzie więc wszystko swym porządkiem do przyjazdu królowej, do wyjaśnienia tu na miejscu, ale co za małżeństwo może być z tego, gdy się ono od takiego kwasu zaczyna?

Bietka się też wtrąciła.

— Któż wie? Ta niegodziwa Niemkini Amanda może jest albo sprawcą, lub pomocnicą, bo ona zawsze jeszcze się spodziewa, że króla znowu opanuje i już go nie puści nigdy. U nas to wszystko być może. Niemka gotowa była listy wymyślić, aby króla do żony zrazić i pozostać przy nim.

Królowi też Pac i drudzy wmówią, że z Amandą, gdy ona pozostanie, nie będzie potrzebował się rachować, bo ona go nie spyta, czy się z kim zabawiał na uboczu, czy nie? A królowa będzie zazdrosna. Życie teraźniejsze wygodniejsze dla niego i dla tych, co korzystają.

— Nie domyślajcie się nadaremnie—wtrącił Bielecki,—bo odgadnąć nikt nie potrafi, a wkrótce wszystko musi wyjść na wierzch, jak oliwa. Panna Amanda się utrzyma czas jakiś, a no — przed żoną ustąpić musi. Kazanowski, Ossoliński, duchowieństwo, co jest poważnych ludzi, wezmą stronę królowej, sam król zechce-li od niej posag na wojnę dostać, musi przecie się zbliżyć. Francuzka też pewno rozum ma i tak się, jak nieboszczka, zawojować nie da.

— Tymczasem ludzie wodę mącą—dodała Bietka— i ryby w niej łowić będą.

Płaza zwrócił potem rozmowę na córkę, polecając ją Bieleckim.

— Ja otwarcie mówię—dodał,—losu dla niej nadzwyczajnego nie żądam, byle uczciwego męża znalazła, choćby sobie ubogim szlachetką był, mnie dosyć. Myślę, że i ona ma rozum, i wysoko się wdzierać nie będzie.

— A ja, ja—odezwała się Bietka—na teraz o żadnym zgoła mężu nie myślę. Naprzód tę niegodziwą Niemkę muszę stąd precz wypędzić z całym jej dworem, potem dopiero o sobie pomyślę. Zobaczym, jaką nam królowę przywiozą.

— Konterfekty jej widzieć łatwo, bo ich z Paryża przywieźli siła, rozdają i sprzedają—rzekł Bielecki;— na nich ona piękna, ale kto wie, jaka żywa jest? To pewna, że już niebardzo młodziuchna.

— I to pewna—dodała Bietka, że miała już wielkie małżeństwo obiecywane, bo jakieś księstwo z sobą w posagu przynosi, ale podobno księstwa się teraz zrzekła za pieniądze, aby królewską koronę pozyskać.

— Lada dzień—rzekł Bielecki—dowiemy się więcej, bo z tych, co we Francyi byli, poczną powracać niektórzy, a królowa od Gdańska bardzo będzie jechać pomału i odpoczywać. Mówią, że w jednem miejscu nawet parę tygodni zabawi dla lekarstw jakichś, które ma brać. Król także chory, do ślubu-by o swej mocy nie stanął. Dobry jeszcze kwartał upłynie, nim my ją tu ujrzymy.

— Ja temu najbardziej rad będę—odezwał się Płaza,—bo we trzy miesiące i ja też tu powrócić mogę, jeżeli Pan Bóg mi wrócić dozwoli.

Przez cały wieczór tak rozprawiano o sprawach bieżących, aż do odejścia Bietki.

Płaza przyrzekł, iż choćby mu nazajutrz listy oddano, nie wyruszy aż pojutrze.

— Sanna się ściele—dodała, śmiejąc się Bielecka,— więc my kuligiem was odprowadzimy choć na Pragę do kaplicy loretańskiej, a tam pomodliwszy się, ruszycie już w imię Boże.

Stawił się Lasota do kanclerskiego pałacu na godzinę naznaczoną. Tu czekał już na niego młody komornik Ossolińskiego.

Listy były gotowe, które Płaza z poszanowaniem w jedwabną chustkę paradną kozacką zawinął i dobrze zanadrą umieścił. Wręczono mu też złotych sto niedobrą monetą na Śląsku fałszowaną, na drogę, za które pokłonić się musiał. Zaczem młodzieniec dobrej drogi życzył i z pałacu odprawił, winem uczęstowawszy.

Nie było już więc co czynić, tylko konia na nowo podkuć, sakwy związać, co potrzeba, na drogę przysposobić przez ten dzień, a następnego, jak się rzekło, wyruszyć.

Ks. Stoczek, dowiedziawszy się, że go Bieleccy z cór-

ką do kaplicy loretańskiej odprowadzać mieli, ofiarował się też tam znaleźć i litanię dla nich odśpiewać, na intencyę szczęśliwej podróży.

Dopiero teraz, wobec tej nieuniknionej konieczności porzucenia dziecka, puszczenia się w niebezpieczną drogę, serce staremu boleśnie się bardzo ścisnęło. Zdawało mu się, że nigdy chyba napowrót się tu dostać nie potrafi, i gdy Bietka przyszła, rozpłakał się jak bóbr. Ona też, choć do łez nieskłonna, zapłakała i strwożyła się; tylko Bieleccy, którzy nie przewidywali niebezpieczeństw żadnych, ducha i męstwa dodawali.

Szafarz radził konia wierzchowego do sanek przywiązać, albo nawet zaprządz i zamiast konno na terlicy, sankami się w podróż puścić dla pośpiechu. Rada wcale złą nie była, a gdy się jeszcze znalazł mieszczanin, który do Brześcia jechał i Płazę z sobą zabrać się ofiarował, złożyło się tak, iż kozak konia mógł puścić luzem. Pośpieszając, dnia tego Parfenowi musiał się jeszcze opowiedzieć, który zrazu ofiarował się towarzyszyć Płazie przez część drogi, potem namyślił się i pozostał.

Dodnia o naznaczonym terminie wszyscy tedy naprzód na Pragę zrana do kaplicy loretańskiej podążyli. Była ona zbudowana tuż przy kościele księży Bernardynów, na wzór znajdującej się w Lorecie, ozdobnie i kosztownie, bo się do niej królewska rodzina przyczyniała; ołtarz zwłaszcza wielki, w którym obraz Matki Boskiej, według Łukasza świętego, oprawiono, jaśniał ofiarami bogatemi. Naprzeciwko widać było wizerunek Chrystusa na krzyżu.

Za ołtarzem pobożni mogli oglądać wszystek ten sprzęt prosty, a ubogi, który wedle tradycyi w domu Rodziny świętej miał się znajdować, okienko Pozdrowienia anielskiego, stoliczek, ławeczki, kuchenkę, garnuszeczki i sławne dzwonki loretańskie.

Przed ołtarzem tym Matki Boskiej ukląkłszy, ks. Stoczek zanucił litanię, którą wszyscy za nim pobożnie odśpiewali, a przed kapliczką u muru, który ją od ulicy dzielił, nastąpiło pożegnanie.

Tu dopiero i Bietka się rozpłakała nadobre, ojcu na szyję się rzuciła, zaczęła wołać, aby powracał—i Płaza, zmiękłszy bardzo od tych łez, puścił się w drogę.

Parfen, który ani do kaplicy nie chciał iść, ani się pokazywać, dopiero dobrze za Skarzyszewem na gościńcu czekał na Płazę, i konno przy saniach jadąc, towarzyszył mu spory kawał drogi.

Gdy mu wkońcu nazad do miasta zawrócić przyszło, kozaczysko aż kląć począł swą dolę, która go tu przykutym trzymała, zazdroszcząc Płazie, iż do Kosza powracał.

Potem nagle, nie żegnając go, konia szarpnął, nawrócił w miejscu i jak szalony popędził do Warszawy.

Płaza do wieczora pogrążony w dumaniu, ani się ruszył, ani zagadał, ani dał znaku życia. Dopiero, gdy na noc stanęli, czarkę gorzałki wychyliwszy, odetchnął i oczy na świat zdawały mu się otwierać.

II.

Tegoż wieczora, król się jakoś lepiej czując, bo mu boleści owe wielkie w nogach ulżyły, odprawiwszy kilku obcych pułkowódców, z którymi o zaciągach się naradzał, o zmroku się kazał nieść z krzesłem do syna.

Mały Zygmunt miał na temże piętrze pomieszkanie wraz z panną Amandą i całym swym kobiecym i męskim dworem. Przeważali tu cudzoziemcy, jak wszędzie, chociaż chłopak chętnie po polsku mówił i chadzał w stroju, który mu był bardzo do twarzy.

Dziecię prawdziwie pańskiej krwi, ślicznego, szlachetnego oblicza, śmiałego wejrzenia, żywe, wesołe, obiecywało wiele. Wszyscy je i nienadaremnie podziwiali. Uczył się łatwo, pamiętał doskonale, a nadewszystko ochotę miał do ćwiczeń rycerskich, co ojca radowało.

Sześcioletni na koniku już w podwórcu, piaskiem grubo wysypanym, toczył tak zręcznie, jakby się z tą umiejętnością narodził; małą kopią, którą dla niego umyślnie zrobiono, wywijał, godząc do tarczy na podziw staremu

nauczycielowi, szabelką robić się uczył... i najmilszą zabawą było rycerza udawać.

Niecierpliwił się, że powoli rósł, dźwigał, jak mógł, na palce, wyciągał i dowodził, że bardzo prędko wyrosnąć musi, bo chce tego!

Śmiali się ci, co tego argumentu słuchali, ale chłopak w siłę jego wierzył.

Dumne było chłopię, szczodre bardzo, ale razem miłe i serdeczne, i gdy się przypodobać chciało, nie było człowieka, coby się w nim nie kochał. Ciężyła mu opieka panny Amandy, którą szanować i słuchać jej musiał, nie czem innem, jak tem, że kobiecą była i dzieckiem go czyniła. Obcował też chętnie z dworzany, którzy zawczasu sobie łaski jego skarbili.

Jak zazwyczaj, gdy króla oznajmiono wieczorem, zapalały się świece we wszystkich świecznikach, przywoływano Zygmusia ustrojonego, wychodziła panna Amanda poważnie, ale zalotnie ubrana, czasem jeszcze któraś z kobiet stawała u progu, paziowie za drzwiami i hajducy wnosili króla z wielkiem krzesłem do pokoju, w którym na kominie ogromny ogień płonął.

Zastawiano tu przekąskę i łakocie wieczorne, których czasem król pokosztował, najczęściej jednak kubkiem lekkiego wina, albo winem z wodą i cukrem się ograniczał, rozmowę prowadząc naprzód z synem, potem, gdy ten odchodził na zabawę, z panną Amandą.

Z tą król mówił po niemiecku, bo choć kilku językami z łatwością władał i wyrażał się swobodnie, niemiecki mu macierzystym był, tym pierwszym, którego się w kolebce nauczył jeszcze.

Do polskiego był przywykłym bardzo, ale była to mowa wyuczona już potem, która mu nigdy do zamiany myśli z rodziną nie służyła. Matka mówiła z dziećmi po niemiecku, ciotka i macocha nigdy się nawet po polsku nie uczyła i nie kryła się ze wstrętem do Polaków i ich języka. Opiekunka, zastępująca mu matkę, dobra, serdeczna Urszula Meyerin, Niemką też była do szpiku kości.

Cały ów dwór szwedzki Zygmunta III, skutkiem małżeństw, daleko bardziej był niemieckim, niż szwedzkim. Inne języki: włoski i francuski, europejski i dworskie po-

wszechne, nieobce były Władysławowi, ale mowa niemiecka im wszystkim przodowała.

Od dawnego już czasu król nosił życie, jak brzemię— znudzony był, obojętny i jedna jeszcze tylko niezerwana struna w duszy jego brzmiała: marzenie wielkości, sławy, potęgi... Najdziwniejszemi kombinacyami politycznemi chciał zdobyć tę wielkość upragnioną... Dwie już korony stoczyły się bezpowrotnie z jego skroni, chwilę nawet Francya łudziła go cesarską: teraz pogrom pogan, wygnanie ich z Europy, zagarnięcie po nich spuścizny było już jedynem marzeniem, do którego urzeczywistnienia z gorączkową niecierpliwością rwał się Władysław.

Nie chciał tego dojrzeć, ani zrozumieć, że jako elekcyjny król rzeczypospolitej, do takiej wojny, jaką chciał rozpocząć, był w najniepomyślniejszych warunkach, związany, zależny, dozorowany, niewolny.

Namiętność zawsze człowieka czyni ślepym, a w królu wojenne plany te stały się namiętnością i oślepiały go. Zdawało mu się, że pokona opór w kraju, że szlachtę pociągnie, że ją nakłoni do wojny, a w ostateczności rachował na Kozaków, aby zmusili Turcyę do kroków zaczepnych, a kraj do obrony...

Kazanowski się nie mieszał do polityki króla; zleniwiały, rozpieszczony, w duchu jej był pewnie przeciwnym, ale królowi nigdy i w niczem nie zwykł był oponować.

Prawą ręką, człowiekiem, na którego zręczności i talentach leżało wszystko, był istotnie przebiegły, rozumny, wymowny, energiczny a ambitny Jerzy Ossoliński.

Król go nie lubił, ale potrzebował. On był powiernikiem jego tajemnic i najposłuszniejszem narzędziem polityki we wszystkich jej zwrotach. Pochlebiał zręcznie, a w potrzebie umiał wmówić to, co uznawał koniecznem. Władysław IV naostatek uwierzył w jego rozum i oddał mu się cały.

Nikt oprócz Ossolińskiego nie był tak panem najtajniejszych myśli króla. Zazdrościli mu Kazanowscy, obawiali się go, ale nie porywali się do próżnej walki.

Kanclerz tworzył te awanturnicze plany, w których

spełnienie może sam nie wierzył, ale miał talent czynić króla ich twórcą, więc i odpowiedzialnym za nie.

Nie powiodło się Ossolińskiemu wprowadzenie orderu i zakonu Niepokalanego Poczęcia, który miał ze szlachty wydzielić arystokratyczną podporę tronu, musiał on sam zrzec się książęcego tytułu, ale ani król, ani on nie przestawali marzyć, iż demokratyczną Rzeczpospolitą przerobić potrafią. Środkiem ku temu była teraz ta wojna, wojna, na którą szła pod wodzą Władysława Wenecya, Moskwa, Papież, Francya, któż wie, ilu jeszcze sojuszników?

Mogliż przypuścić, że garstka ubogiej, biednej szlachty szaraczkowej olbrzymim tym marzeniom oswobodzenia chrześcijaństwa stanie na przeszkodzie?

Nie było tajemnicą dla nikogo to pragnienie króla, a ktokolwiek mu się przypodobać pragnął, ten fantazyi tej przyklaskiwał. Znała ją też dobrze panna Amanda, i gdy dnia tego król się wnieść kazał do niej, zastał Zygmusia nad wielkim arkuszem papieru, na którym jaskrawemi barwami pomalowany wizerunek króla wyobrażał go gniotącego nogami tłumy Turków i podnoszącego w ręce, laurami opasaną, chorągiew chrześcijaństwa.

Rysunek był dziełem jakiegoś skromnego miłośnika, a zabarwienie go wykonał królewicz.

Gdy króla z krzesłem przysunięto do stołu i mógł rzucić okiem na leżący obrazek, uśmiechnął się.

Piękna Amanda odpowiedziała mu uśmiechem.

— N. Panie—szepnęła.—Sam królewicz żądał, aby mu to wyrysowano, i dziś cały dzień niemal farbami to malował. Dzieci mają przeczucia!

Król Zygmuntka po główce pogłaskał. Westchnął.

— Radbym—rzekł półgłosem—łatwiejsze mu rządy pozostawić po sobie, rozwiązane ręce, szerokie państwo!

— I wszystko się to stać musi—dodała Niemka, przypochlebiając się i wdzięcząc.—Chwila nadchodzi...

Król słuchał, lecz jakby roztargniony. Zadumał się, popatrzył na syna, ujął za rączkę Amandę i uścisnął ją.

— Tyle mam trosk na głowie!—westchnął.—Wy znacie moje życie, wiecie, że ja się pracy nie wzdrygam; od rana mnie nachodzą, daję posłuchania przez dzień cały, ale nie mam szczęścia do ludzi i szczęścia wogóle.

— A! N. Panie—przerwała Niemka gorąco—godziż się to mówić, po tylu tryumfach nieśmiertelnych, po tylu bohaterskich bojach...

— Z których, oprócz sławy, nic mi nie pozostało—rzekł król.—Ostatni teraz czynię wysiłek.

Zamilkł, spuszczając głowę.

Zygmunt patrzał na ojca, zdając się go słuchać, ale ani dosłyszeć, ani zrozumieć nie mogąc.

— Jak wyrosnę—zawołał—pójdziemy na Turka!!

— Gdy ty wyrośniesz—przerwał król—Turków już być nie powinno w Europie! Da-li Bóg, stać się to musi.

Zygmunt słuchał, ale nagle król rozmowę umyślnie przerwał i zwrócił.

— Gdzie Pac?—zapytał.

Jakby tylko czekał na to, aby go zawołano, wojewodzic stanął w progu. Było to dziełem przypadku, a mogło się wydać obrachowanem.

— Nic nowego?—zagadnął król.—Listów żadnych?

Niemka wtrąciła:

— Wieczorem nie powinno być listów. Zdrowie N. Pana—to najdroższy nasz skarb. Niepokoić się przed snem, gdy odpoczywać potrzeba...

Paź potwierdził, że listów nie było.

— Do Radziwiłła wysłaliście?

— Jeszcze rano wyjechał posłaniec.

— Trzeba, ażeby mi codzień dawano znać o podróży—szepnął król chmurno.—Słyszę, że pani posłowa, ciągle o swą godność troskliwa, nudzi kwestyami etykiety. Cóż to będzie, gdy Karol tam przyjedzie?

Radziwiłł ma wiele doświadczenia, taktu, powagi, i sądzę, że załatwi wszystkie te trudności, o które wasza miłość wcale się nie powinniście troszczyć.

— Wogóle o nic—przerwała Niemka.—Cóż tak strasznego, że się jedna stara Francuzka nadąsa.

Nastąpiło krótkie milczenie. Królewicz Zygmunt niespokojnie się zakręcił, jakby kogoś szukał, spytał u drzwi

paziów i wybiegł z nimi. Z tej chwili król skorzystał, aby, wcale nie zważając na Paca, pogładzić Amandę po twarzy, poklepać ją po ramionach i poszeptać jej coś, przyjętego rumieńcem.

Nagle Zygmunt powrócił, mocno poruszony, podbiegł do ojca, stanął przed nim, wziął się w boki i zapytał go:

— Nieprawdaż? Ty jesteś królem i panem?

— Tak jest!—odparł Władysław.

— Możesz rozkazać i wszyscy cię słuchać powinni?— mówił Zygmunt.

— Wszyscy, nawet ty—dodał, śmiejąc się, król.

— Rozkażże mi natychmiast, aby ta niegodziwa Bietka, która się gdzieś ukryła, przyszła tu i bawiła się ze mną. Ja ją lubię!

Uśmiechnął się król.

— Gust masz niezły — rzekł.—Gdzież jest ta Bietka?

Amanda zmarszczyła brwi i zacisnęła usta. Pac, nie chcąc snać odpowiadać, cofnął się w tył... nastąpiło milczenie. Królewicz Zygmunt tupał niecierpliwie nóżkami.

— Cóż się z nią stało?—żartobliwie powtórzył Władysław, zwracając się do Amandy, której twarz wyrażała gniew i oburzenie.

— N. Panie! — odezwała się wreszcie, wybuchając i zapominając o dziecku, które słuchało.—To jest całkiem zepsute, zdziczałe, nieposłuszne, nie do prowadzenia dziewczę. Oddawna chciałam się go pozbyć.

— O! ja na to nie pozwolę!—wtrącił królewicz;— ona się doskonale umie bawić ze mną i opowiada mi historye, które ja lubię.

Król się też niecierpliwić zaczynał, i widząc, że ze strony Amandy na długi wywód się zanosiło, spojrzał na Paca; ale ten, milczący, nie miał jakoś ochoty wyręczyć faworyty i cofnął się krokiem, a Niemka mówiła coraz żywiej:

— Sprzykrzyło się jej widać na dworze; mówią, że jakiś awanturnik przyznał ją za córkę. Nie wiem... ale to pewna, że od rana jej niema, że bez mojej wiedzy wyniesiono jej rzeczy i ona sama znikła...

— Jak to być może! — zawołał król mocno oburzony tem, zwracając się do Paca.—Cóż to za porządek, a raczej nieład u mnie, ażeby służba mogła samowolnie...

Pac milczał, wskazując na Amandę, która się rzucała z gniewu, próżno tłumiąc go w sobie.

— Straty nie poniesiemy, gdy sobie pójdzie precz — dodała;—ja dawno chciałam ją wypędzić... Zuchwałą była i nieposłuszną nad wyraz wszelki, nad wiarę; ja byłam cierpliwą nadto długo.

Królewicz Zygmunt, słuchający z uwagą wielką, wmieszał się.

— Amanda się z nią obchodziła, jak z prostą sługą, a to była dobra moja przyjaciółka.

Król nie mógł się od śmiechu wstrzymać, widząc, z jaką powagą Zygmuś się ujmował za tą swą przyjaciółką.

Panna Amanda spojrzała na chłopca piorunującym wzrokiem, Pac zagryzł usta i pokręcał wąsa, a król, którego ten spór już nudził, potrząsał głową.

— Cóż się z nią stało?—zapytał.

— Nie wiem, dokąd uszła—odezwała się Niemka.— Bywała bardzo często u szafarza Bieleckiego, posyłałam tam po nią. Zaklina się jejmość, jej dobra przyjaciółka, że o niej nic nie wie.

Zygmunt nogą uderzył o posadzkę.

— Ty jesteś król — zawołał, podnosząc rękę i wyciągniętą ukazując na podłogę — rozkaż, niech natychmiast powraca, niech Amanda jej nie prześladuje i niech bawi się ze mną. Ja starej Lipczycowej nie lubię, ona ma wąsy.

Oprócz Amandy, której gniew rósł, rozśmiali się wszyscy. Władysław się obrócił do Paca.

— Niepodobieństwem jest — rzekł, — ażeby się tu w mieście skryć miała!... Kazać jej szukać i przyprowadzić.

I pomyślawszy nieco, król dodał:

— Mówiliście o ojcu... któż jest i skąd się wziął ten ojciec?

— O tem zapewne wojewodzic lepiej W. król. Mość objaśnić potrafi—wtrąciła Niemka, której król zadał py-

tanie.—Ja nie wiem. Bietka ta miała szczęście i wojewodzicowi się podobać...

— I memu synowi—dodał król żartobliwie, bo go zazdrosne gniewy Niemki bawić zaczynały—cóż chcecie, nawet mnie!

Amanda odskoczyła w głąb komnaty.

— Słuchaj, Pac!—zawołał Władysław—mówże. Jesteś pewnie lepiej świadomym, niż wszyscy... co się z nią stało?

Wojewodzic się ociągał z odpowiedzią.

— Przyznał się do niej, jako ojciec, na mocy jakichś poszlaków—począł nareszcie—szlachcic, który, jak mi mówiono, świeżo z kresów, z Podola, czy też z Niżu powrócił. Być może, iż on nią rozporządził.

— Bez mej wiedzy?—zawołał król.

— Nie raczyli mi też wcale się opowiedzieć—zamruczała Amanda.

— Szlachcic, który z Niżu powrócił!—odezwał się zadumany król i poruszył ramionami.

Pac milczał.

— Więcej nie wiem nic—dodał.—Dziewczę dosyć wistocie samowolne i kapryśne, a ładne... Któż wie, co jej do głowy przyjść mogło?

— Niepodobna pozwolić na to—przerwał król,—spoglądając na syna—aby służba sobie tak poczynała, jakby dwór królewski był zajezdną gospodą, do której zajeżdża kto chce i precz jedzie, nie żegnając gospodarza. Z miasta się pewno nie wyniosła; każcie jej szukać, ja sam się z nią rozmówię. Widzicie, że Zygmunt tęskni za nią.

— Bo ona jedna z tych kobiet umie się bawić ze mną—rzekł chłopak.

Tym sposobem wieczór u panny Amandy został dla niej zatruty. Cofnęła się w kąt przyciemniony nadąsana, a król, widząc ją tak usposobioną, ziewnął i ręką tylko pożegnawszy, kazał się odnieść nazad do swej sypialni, Pacowi szepnąwszy, aby szedł za nim.

Zygmuś, który już znał swą ochmistrzynię i wiedział, co go czeka po odejściu ojca, natychmiast swym paziom oświadczył, że idzie do łóżka.

Gdy w sypialni króla król z Pacem zostali sami, Władysław się zwrócił do niego, spodziewając szerszych objaśnień.

— N. Panie—odezwał się Pac—to są babskie sprawy... mówić o tem niewarto... panna Amanda nie lubiła tego dziewczęcia... powiedzmy prawdę: postrzegła może, iż nie królewiczowi, ale samemu królowi Bietka wpadła w oko... stała się zazdrosną i opryskliwą...

Uśmiechnął się król.

— Domyśliłem się tego—szepnął.

Pac żywo dokończył:

— Dziewczę musi się znaląźć, a panna Amanda pogodzić z niem. Spodziewam się, że to wszystko ułoży się łatwo...

Tu uśmiechnął się dwuznacznie.

— I królewicz Zygmunt odzyska swoją przyjaciółkę — dokończył.

— Nie wątpię i ja—rzekł król,—że gdy się ty w to wdasz, przyprowadzisz to do porządku. Umiesz sobie radzić z temi babami, które za tobą przepadają.

Pac zaprotestował, ale król nakazał mu milczenie.

— Proszę cię, ażeby Bietka powróciła—rzekł.—Ze wszystkich dziewcząt, które są przy Amandzie, ta najładniejsza i najroztropniejsza. Niechże choć spojrzeć mam na kogo bez wstrętu.

I po krótkiej pauzie wtrącił:

— Mówiliście, zdaje mi się, że ojciec szlachcic? Szlachcianka więc?

— Tak słyszałem—rzekł Pac,—ale cała ta historya odszukanego ojca wydaje mi się podejrzaną. O ile mogłem się dow'edzieć, szlachcic świeżo tu przybył od Kozaków z Niżu.

— A czy nie ten, który list do kanclerza przywiózł od atamana i starszyzny?—podchwycił król, trochę się marszcząc.

— Tak się zdaje, bo mieszkał u szafarza Bieleckiego, który mi mówił, że od kanclerza miał go poleconym sobie.

— Co za plątanina!—przerwał król z niechęcią jakąś. W tem wszystkiem trzeba, żebyś lepszych zasięgnął wia-

domości... ja nie chcę się mieszać, rozumiesz! Dziewczę powinno powrócić!

Dnia tego skończyło się na wydanym rozkazie, a że Pac wszystkich oszczędzał, nikogo sobie nie chcąc narażać, od króla poszedł zapukać do panny Amandy, która już napół rozebrana, narzuciwszy na siebie szeroką suknię ranną, przyjęła go jeszcze nieuspokojona i gniewna.

Pac cicho powtórzył jej rozkaz, jaki od króla odebrał. Niemka gniewała się na niego.

— Niegodziwe to dziewczę i starego nawet potrafiło ująć sobie—rzekła,—ja nie chcę jej mieć tutaj. Pamiętaj o tem!

— Nie masz się o co obawiać—począł wojewodzic, gdy zostali sami, poufale bardzo obchodząc się z faworytą.

Nie zważając na jej dąsanie się i zły humor, usiadł w krześle wygodnie, wyciągnął nogi, ręce założył na głowę i słuchał jej narzekań, które szybko, niewyraźnie z pięknych ustek się sypały.

— Doprawdy nie rozumiem cię—rzekł wkońcu. — Znasz doskonale króla... u niego to nie trwa nigdy długo, on potrzebuje spokojnego nałogowego przywiązania, któreby mu nie przeszkadzało do niczego. Pozostanie wam wiernym, ale mu fantazye podobne przebaczyć potrzeba. Zresztą co do Bietki, powinnaś i z tego względu niewiele dbać o nią, że ona pewnie ani królowi, ani tu nikomu nie będzie powolną!

— O! o!—zakrzyknęła gniewnie Niemka.—Cóż znowu za cnota!

— Cnota?... ja nię wiem—odezwał się Pac,—może rachuba tylko, ale że tak jest, jak mówię, za to ręczę.

— Dlatego, że wam była oporną!—rozśmiała się pogardliwie Amanda.—Ale to nic nie dowodzi... nic a nic, bo ja wiem, że się godzinami zamykała z muzykantami od kapeli króla...

Pac się zerwał z siedzenia zarumieniony i zdradził z tem, jak go Bietka obchodziła.

— O! to być nie może—krzyknął,—ktoś wam splótł tę bajkę. To do niej niepodobne.

Niemka dumnie spojrzała na niego.

— Co mówię, tego jestem pewną—dodała.—Nie wspominałam o tem wprzódy, bo cóż mnie obchodzi taka jakaś służanka!

Pac się opamiętał, iż nadto okazał zajęcia Bietką, udał więc obojętność, siadł znowu w krześle i rzekł, śmiejąc się kwaśno:

— Może się uczyła muzyki... ale nie widzę pomiędzy śpiewakami i wirtuozami J. Kr. Mości nikogo, coby wybrednej dziewczynie mógł się podobać.

Złośliwa Niemka zwróciła się z przekąsem ku niemu.

— Są różne upodobania dziwaczne—zasyczała,—ostatnia waćpana ulubienica zdradzała go przecież dla tego pomarszczonego, jak jabłko, karła nieboszczki królowej.

— Moja ulubienica!—wtrącił, ramionami ruszając, Pac i zaśmiał się wesoło.—Widzę, że dziś, droga Amando, nie potrafimy ani się zrozumieć, ni pogodzić; odłóżmy więc to do jutra... i dobranoc...

Pac chciał ją, zapewne, na mocy dawnych przywilejów pocałować, ale Niemka się dumnie cofnęła i zdala mu dała znak, aby wyszedł, co też wojewodzic, ziewając w progu, spełnił.

Nazajutrz rano nie on jeden, ale wszyscy, których Bietka ująć sobie potrafiła, a na dworze liczba ich była znaczna, puścili się, poszukując, śledząc, dopytując, co się z nią stać mogło.

Nie było to tak bardzo trudnem do wyszperania, i wojewodzic dowiedział się, że Bietka schroniła się do Mingajłowej, ochmistrzyni Kazanowskich. Miał on tam stosunki, chociaż u marszałka łaski nie pozyskał, bo był o niego zazdrosnym.

Pewien tego, gdzie Bietki ma szukać, Pac natychmiast się do starej ochmistrzyni opowiedzieć kazał, nie wątpiąc, że przyjmie go, odgadując, co go tam sprowadzało.

Mingajłowa, spytawszy naprzód Bietkę, co ma czynić, kazała prosić wojewodzica, który wszedł do jej pokoju z wesołą twarzą i zastał w nim nietylko staruszkę, ale dziewczę, które się ukrywać wcale nie myślało.

Pozdrowił naprzód ciwunową, którą wszyscy szanowali.

— Domyślicie się łatwo—rzekł,— co mnie tu sprowadza, bo ja czasu mam niestety, mało, a służba królewska ani tchnąć mi nie daje, ale właśnie po tej służbie ja tu przychodzę. Sam król JMość, królewicz Zygmunt, nie licząc nas, wszyscy się o uwiedzioną przez panią ciwunową pannę Bietkę upominają.

— I panna Amanda?—wtrąciła żartobliwie obżałowana.

Pac się rozśmiał.

— Ta najmocniej—rzekł—to się rozumie. Lecz żart na stronę... Król się gniewa wistocie, a królewicz wczoraj tak wystąpił ze skargą do ojca, jakby nie siódmy, ale siedemnasty rok życia liczył.

— O biedne moje chłopię!—westchnęła Bietka.

— Ja—dodał Pac, żywo kończąc, aby nie tracić czasu—ręczę pannie Bietce za bezkarność, za przebaczenie; choć król się dąsa, ale powrócić potrzeba.

— Ani myślę—odparła zimno dziewczyna, główkę podnosząc.—Ja nie z własnej woli się tu przeniosłam, ale z rozkazu ojca. Ojciec mój wyjechał. On mnie oddał pani ciwunowej, jestem posłuszną tylko.

Pani Mingajłowa, na którą Pac spojrzał, potwierdziła nietylko poruszeniem, ale słowem.

— Tak jest, tak jest wistocie—odezwała się;—ojciec jejmościanki życzył sobie tego, prosił, nie mogłam mu odmówić. Pani marszałkowa się zgodziła na to, aby tymczasowo u nas pozostała.

— Zaczęłam już szyć w krosnach—dodała Bietka,—nie mogę porzucić. Ichmość nie wiecie tego, iż niema dla nas kobiet gorszego znaku i przepowiedni, jak gdy robotę rozpoczętą przerywamy, nie doprowadziwszy jej do końca. Dowiedziona rzecz, że to znaczy, iż nigdy się na kobiercu nie stanie.

— Niech panna Bietka nie żartuje—odpowiedział Pac. Król wistocie silnie o to nalega, aby ją mieć na dworze; choćby dla Zygmunta, który się o przyjaciółkę dopomina

despotycznie. Na mnie złożono całą winę niedozoru, chociaż ja ochmistrzynią dotąd mianowany nie jestem.

— Król—powtórzył Pac z naciskiem.

— Król?—przerwała Bietka.—Czy pan wojewodzic sądzisz, że ja się obawiam króla? Nic a nic... król jest daleko lepszy, niż wy go opowiadacie. Jam gotowa sama stawić się przed nim i tłómaczyć... ale wara! jeśli mi się wymknie jakie słowo dla Niemki lub dla kogoś tam niemiłe.

Pac się zasępił. Przybliżył się do Biety i szepnął, nie chcąc, aby ciwunowa posłyszała.

— Cóż znowu za historya z muzykami J. Kr. Mości?

Dziewczę myślało chwilę, twarzyczka jej poczęła się rozjaśniać, jakby się na śmiech zbierało i spoważniała znowu.

— Z muzykami?... uczyłam się trochę muzyki—dodała,—ale zdaje mi się, że ja do niej nie mam zdolności. Nauczyciel mi ciągle powtarzał, że nie mam ucha, chociaż mu ich dwoje pokazywałam.

I figlarnie zwróciła twarzyczkę ku Pacowi tak, aby jedno a potem drugie uszko jej z bardzo pięknemi kolczykami mógł oglądać.

— Panna Bieta żartuje!—odezwał się—a sprawa jest bardzo seryo. Cóż gdy król gwardyę swoją naśle na pałac Kazanowskich i gwałtem zbiega odprowadzić każe?

— Zbiega? zbiega?—odparło dziewczę—ale ja jestem szlachcianka i wolna.

— Tak—rzekł wojewodzic,—jednakże byłaś przy dworze; nie porzuca się go tak bez opowiedzenia.

Bietka pogardliwie krzywiła usta.

— Koniec końcem—rzekła—panią ciwunową nie męczcie; mnie nie namówicie do powrotu, a ja każdej chwili gotowam się stawić przed królem i tłumaczyć. Życzę jednak pamiętać, że ja dużo mówię i nikogo oszczędzać nie myślę, broniąc siebie. A gdybyście mnie szlachciankę, słyszycie, chcieli porwać przeciwko woli ojca, i o tem życzę myśleć, że szlachta robi rokosze!... a jak ja pochwycę rokoszową chorągiew...

Pac mimowoli śmiać się zaczął.

— Wistocie—zawołał—za takim chorążym i jabym

gotów ruszyć... ale nie żartujmy,—król się gniewa, Zygmuś niecierpliwi.

— A ja wam słowo daję, że na dwór nie powrócę—odparła Bietka—przynajmniej teraz, przynajmniej póty, póki nowa pani nie przyjedzie, bo królowej Amandy ja nie uznaję.

— Tst!—kładąc palec na ustach, zawołał Pac—wy wistocie rokosz podnosicie!

— Tak, ale jeśli się królowi JMci podoba, gotowam... rozśmiała się—jak się to nazywa, co szlachta podaje, gdy się skarży?

— Grawamina—wtrącił Pac.

— No, ja moje grawaminy—dokończyła—gotowam przed króla wytoczyć... N. Pan nie zechce pewnie, ażebym ja ojcu memu stała się nieposłuszną?

Pac próbował jeszcze skłonić Bietkę do powrotu i do jakiegoś pojednania z Amandą, ale uparte dziewczę oświadczyło, że winno naprzód ojcu posłuszeństwo i że to jest w dziesięciorgu Bożych przykazań zapisanem.

— I bez żartu—dodała —jeżeli król zechce, ja z panią ciwunową dobrodziejką pójdę na zamek, a sama się wytłumaczę.

— Niech pan wojewodzic nie nalega—odezwała się stara Mingajłowa.—Ja istotnie poświadczyć mogę i zaręczam za to, że ojciec wymagał, aby się ze dworu usunęła. Dziecka do nieposłuszeństwa nawet król JM. nakłonić nie może. Nie jest to fantazya jej główki, ale rozkaz rodzica.

Bieta ciągle głową potwierdzała. Pac nakoniec musiał poprzestać nalegania, zamilkł, ale widać było, że odchodził zakłopotany.

— Wszystko to—rzekł do Bietki, oddalając się—spadnie na mnie... Król nie zechce wierzyć, a nie lubi, gdy się nie spełnia jego rozkazów.

Powróciwszy na zamek, wojewodzic czekał, aż król sam pozostał i po odejściu mnogich senatorów i urzędników wsunął się do sypialni, gdy już obiad podawać miano.

— Widziałem się ze zbiegłą Bietką—rzekł, przystępując do łóżka, gdyż król, jak zawsze, na obiad czekał, nie podnosząc się z niego.

— Gdzież ona jest?—pytał król ciekawie.

— Doskonałą sobie twierdzę wybrała—rzekł Pac.—Umieścił ją ojciec, jak świadczy ciwunowa Mingajłowa, ochmistrzyni pani marszałkowej Kazanowskiej, u niej i pod jej opieką, aż do swojego powrotu.

Skrzywił się król, słuchając.

— Ojciec więc?—wyjąknął kwaśno—nie ona...

— Zdaje się, że i ona sobie tego życzyła—dodał Pac,—bo z panną Amandą były ciągłe spory.

Zmarszczony, kwaśny król spojrzał na wojewodzica, ziewnął, ręką poruszył.

— Bez mojej wiedzy z mojej służby i dworu—zamruczał.

— Dziewczyna gotową jest, jak mówi sama się stawić i tłumaczyć—dodał Pac,—ale będzie Amandę obwiniać... i to do niczego nie doprowadzi.

— A! niech zostanie, gdzie jest—odparł król z widoczną niechęcią i zniecierpliwieniem,—ja się w te sprawy kobiece wdawać nie myślę. Fraucymer prowadzi panna Amanda i ona za niego odpowiada. Jej wina, jeśli go utrzymać nie umie. Nie róbmy z tego dziecińśtwa kwestyi tak ważnej. Nie życzę sobie, aby marszałkowa Kazanowska wiedziała o tem, że ja się w to wdaję, chociaż czynię to dla dziecka...

— Biedny Zygmunt przyjaciółki się wyrzec będzie musiał—dorzucił król nawpół szydersko.

Pac zmilczał. Rzecz zdawała się już załatwioną, gdy król po namyśle kazał się wojewodzicowi zbliżyć do łóżka. Wysunął szufladę stolika, w której zadźwięczały pieniądze. Pac szedł opornie.

— N. Panie—rzekł,—jeżeli myślicie o podarku dla Bietki, ona pieniędzy nie przyjmie, a ja będę narażony.

— Nie zostaniesz na nic narażony—rzekł król sucho.—Masz oto tych kilkanaście talarów, bo więcej nawet dać nie mogę, kup kolczyki lub noszenie na szyję i oddaj jej ode mnie. Od króla się to przyjmuje przecie bez obrazy.

Skłonił się Pac w milczeniu.

— Lub lepiej jeszcze—poprawił się Władysław—oddaj jej to od Zygmunta.

Pac, wielce uradowany, bo wszystko się spokojnie kończyło, a on sam spodziewał się zarówno w łaskach Amandy i panny Bietki utrzymać, natychmiast spełnił rozkaz króla, i, jak się to jemu i bogatszym dworzanom trafiało bardzo często, do podarku od królewicza, który mu się wydał za skromnym, dołożył coś z własnej kieszeni. W ten sposób noszenie na szyję, nie będąc wspaniałe, mogło przynajmniej być ozdobne i chwilowo ucieszyć dziewczę, lubiące się stroić.

W parę dni powrócił z nim do pałacu Kazanowskich i udał się do pani ciwunowej.

Bietka siedziała z towarzyszką swą panną Filipiną nad krosienkami i zastał samą tylko staruszkę.

Nastraszyła się, zobaczywszy go.

— Cóż nam pan wojewodzic przynosi?—spytała trochę trwożliwie,—pokój czy wojnę?

— Na teraz, chwała Bogu, przychodzę z pokojem—rzekł Pac.—Król bardzo żałuje, że przy synu mieć nie będzie wesołej i ulubionej mu Bietki, ale wchodzi w jej położenie i ojca woli sprzeciwiać się nie chce. A na dowód, iż gniewny nie jest, polecono mi nawet w imieniu królewicza oddać pannie Biecie tę małą pamiąteczkę.

Uradowana staruszka przywołała zaraz dziewczę, które od krosien przybiegło, całe obwieszone jedwabiami. Postrzegłszy Paca, zachmurzyła się i cofnąć chciała, ale ciwunowa ją kilku słowami uspokoiła.

Bietka odetchnęła.

— Proszę królewiczowi podziękować—rzekła, przypatrując się kanaczkowi, który w rękach trzymając, na różne strony obracała do światła.—Da Bóg, że może mu się odwdzięczę, gdy z pod panowania Niemkini go wyzwolę, o co nie omieszkam się starać, choć zdaleka.

Wojewodzic się uśmiechnął z tej przechwałki.

— Zdaleka będzie to trudniej, niż zblizka; a nie udało się przecie, gdyś panienka była z nami, dajmy więc pokój królowej Amandzie, bo ona i tak dosyć jest nieszczęśliwa. Gryzie się zawczasu przybyciem królowej.

— Niechżeby była swoje książątko zachowała na złą godzinę—dorzuciła złośliwa Bietka.

To mówiąc i nie chcąc przedłużać rozmowy, Płazianka zdala etykietalnym ukłonem pożegnała wojewodzica, uśmiechnęła się szydersko i tryumfująca pobiegła się chwalić kanakiem przed Filipiną.

Ale jakże to wspaniałej rzeczy potrzeba było w pałacu Kazanowskich, aby się ona piękną wydała!

III.

Wiadomość o tem, co przyniosły owe tajemnicze listy z Francyi, nierychło, ale się jednak rozchodziła w kołach bliższych dworu znajomych.

Pani Kazanowska dowiedziała się najdokładniej o tem od męża, a że oni tu oboje nie lubili panny Amandy, a z rachub ich wypadło być dobrze z przyszłą królową, pani marszałkowa mocno nad tem ubolewała, że spotwarzona pani przybędzie do małżonka rozgniewanego na nią zawczasu, zniechęconego, nieprzygotowana do obrony, nie obmyśliwszy środków, jakimi-by się oczyścić mogła.

Marszałkowa, jako kobieta, brała na ślepo stronę królowej, w tak niegodziwy sposób przez nikczemnego człowieka mściwie prześladowanej. Wiedziała ona, że Francuz, co z listem tym oskarżającym wyprzedził przybycie Maryi Ludwiki, mścił się na niej za to, iż ją posądzał o przeszkodzenie mu do świetnego małżeństwa z jedną z tych pań, które jej towarzyszyły do Polski. Było to oburzającem. Wszystkie panie, jak najgoręcej ujmowały się za królową i gotowe było z nią razem przysięgać, że jest niewinną. Kazanowska, żywego temperamentu, wiedząca najlepiej, jak często kobieta podać się może niesłusznie w podejrzenie, łamała sobie nad tem głowę, jakby królowę uprzedzić, oznajmić jej o tem, co ją tu czekało, pomódz do zwycięstwa, o którem nie wątpiła.

I ona i marszałek Kazanowski znali nadto króla,

słabość jego charakteru, przy całym despotyzmie, jaki wywierał na otaczających, dbałość o sławę domu, konieczność pojednania się z królową i przyjęcia jej choćby na pozór z oznakami przywiązania. Z Francyi donoszono im o energicznym charakterze i świetnych przymiotach Maryi Ludwiki, tem więcej przekonani byli, że ona nad słabym, chorym i zużytym Władysławem weźmie górę.

Zdrową więc polityką było zawczasu sobie fawory pani zapewnić i okazać jej życzliwość teraz, gdy nikogo tu jeszcze nie miała.

Marszałek sam czynnie się nie chciał mieszać w tę sprawę, ale żonie wcale przeszkadzać nie myślał i owszem, gotów był dopomódz nieznacznie.

Zdaniem obojga państwa marszałkostwa niezmiernie wiele zależało na tem, ażeby królowa jak najprędzej dowiedziała się o tej zdradzie zrozumiała zmianę nagłą w postępowaniu męża, który teraz zamiast żądać przyśpieszenia jej przyjazdu, wysłał rozkazy, aby podróż i przybycie do Warszawy, o ile można, zwlekano.

Za tłumaczenie służyła choroba, która króla trapiła, lecz wistocie sam on nie wiedział, co pocznie. Walczył z sobą, czasami idąc tak daleko, że szukać chciał środków pozbyc'a się poślubionej już przez prokurę pani!

Wszystko to, co się tu działo w Warszawie, było tajemnicą dla młodej pani, przyjeżdżającej z najlepszem nadziejami, łudzącej się miłością króla dla jej wizerunku, o której szeroko rozpowiadano, gdy tymczasem Władysław kazał Pacowi zasunąć gdzieś ten konterfekt, aby na niego nie patrzeć.

Wiedząc, co ją tu czekało, przebiegła, zręczna, za jaką ją miano, Marya Ludwika mogła się przysposobić do walki i naradzić się o nią z panią posłową, marszałkową de Guebriant, o której rozumie, takcie, powadze i znaczeniu wiele już mówiono.

W ciągu przedłużonej podróży do Warszawy królowa, świadoma tego, co się około króla działo, miałaby czas wysłanych naprzeciw nich dygnitarzy i urzędników pozyskać sobie i uczynić z nich swych stronników. Lecz do tego wszystkiego pierwszym najważniejszym krokiem —

królowę ostrzedz co najprędzej. Potrzeba było posłać kogoś.

Zachodziła w tem jednak niezmierna trudność, bo oczy były zwrócone, o ruchu każdej znaczniejszej osobistości wiedziano, stronnictwo królowej Amandy stało na czatach, donoszono królowi.

Pani Kazanowska tak mocno coś na to poradzić pragnęła, że się aż staruszce ciwunowej zwierzyła. Mingajłowa zaś gadatl wa, mówiła o tem ze swoją Filipinką i Bietką.

Za drugim czy trzecim razem, gdy się o tem rozmowa wznowiła, Bietka, która się paliła żądzą pomszczenia na Amandzie i pomieszania jej szyków, odezwała się ze swą otwartością dziecinną:

— Proszę pani ciwunowej, czy może być co łatwiejszego nad to, by królowę ostrzedz? Ja się oddawna gotowałam do tego, żeby królowej Francuzce służyć, umyślniem się nauczyła po francusku. Gotowa jestem jutro, lada z kim ruszyć do Gdańska, a tam... o ho! ręczę, że sobie radę dam i do królowej się dostanę.

Myśl ta wydała się tak dziką, zuchwałą i śmieszną, że Bietka za pierwszym razem, gdy się z nią odezwała, wyśmiana, rozgniewała się i rozpłakała. Ona to brała zupełnie za rzecz możliwą!

Zabawiając nazajutrz panią marszałkową, ciwunowa ze śmiechem jej opowiedziała, jak się to odważnie ta Bietka ofiarowała ruszać do Gdańska! Kazanowską to mocno zaintrygowało.

— Pokażże mi ty tego rycerza w spódniczce—odezwała się,—który gotów w pomoc uciśnionej pani z motyką na księżyc!

Skutkiem tego żądania śmiała dziewczyna stawiła się nazajutrz przed majestatem pani marszałkowej Kazanowskiej. Był to wistocie majestat, pani bardzo piękna, wypieszczona, bogata, żona Adama, przyjaciela króla, wielbiona, czczona na kolanach! Nosiła się ona tak wysoko, że zaledwie tron nad sobą widziała.

Temu bóstwu taka biedna Bietka, dziewczę nieznane, robaczkiem się wydać musiała, ale miała ona zuchwa-

łość i odwagę, śmiałość słowa, gorące uczucie, które nietylko na mężczyznach czyniło wrażenie.

Marszałkowa, która sądziła, że ją ośmielać będzie potrzebowała, zdziwiła się, widząc taką butną i odważną, iż nieraz na usta zdumionej pani wywołała uśmiech sympatyczny.

Bietka poczęła od tego, iż z wielką fantazyą odmalowała życie swe na dworze i panowanie na nim królowej Amandy, dla której była nielitościwą. Tłumaczyła swą niechęć dla niej nie osobistemi doznanemi przykrościami i upokorzeniami, ale pogardą dla fałszywego charakteru i niegodnych intryg, jakiemi zaślepionego króla otaczała.

Opowiedziała potem o postanowieniu swem dostania się na dwór francuski, o potajemnej nauce języka. Wyspowiadała się z cudownego wynalezienia ojca, które przyszło jej tak w porę... a gdy Kazanowska potrosze się wyśmiewać zaczęła z dziwacznego projektu dostania się do Gdańska, Bietka odparła żywo:

— Zapewne, że mnie tak samej jednej się tam dobić bardzo trudno, ale gdybym tylko poważną jaką towarzyszkę znalazła!

Napróżno marszałkowa starała się żartobliwie odmalować jej wszystkie trudności tego szalonego wybryku, Bietka miała na wszystko odpowiedź, a im więcej mówiła o tem, tem się mocniej rozgrzewała.

— Proszę pani marszałkowej — mówiła — królowej trzeba koniecznie oznajmić, co ją tu czeka; a tego nie potrafi nikt zrobić nieznacznie, tylko kobieta... No, a jak ma być kobieta, czemużby nie ja? Drugaby to zrobiła z polecenia, z rozkazu, a ja uczynię z własnego popędu, z przywiązania do królewicza i do króla. Prawda, że się może wydaję młodą, że mi może i zaufać trudno, alem ja się wychowała na dworze... wszystkiego, co trzeba, nauczyło mnie to, com na nim wycierpiała.

Rozmowa z Bietką, która miała być rozrywką dla pani Kazanowskiej, wkońcu ją mocno obeszła i tegoż dnia opowiedziała o niej mężowi.

Kazanowski do niczego się mieszać nie chciał, powtarzał to ciągle, ale radby był widzieć kogoś przychodzącego w pomoc królowej.

Od nas to wychodzić nie powinno—rzekł do żony,— lecz gdyby kto mógł dostać się istotnie do Gdańska i zanieść tam ostrzeżenie, dlaczegoby i tego środka nie próbować? Litość wprost zmusza tę biedną cudzoziemkę, przybywającą tu z najpiękniejszemi nadziejami, ostr edz, aby się nie łudziła. Król znowu dziś wyprawił list do księcia Karola, aby się nie śpieszono... pisał o tem do księcia Albrechta Radziwiłła, kazał oznajmić Donhoffowi, podrażniony jest, gniewny... i burza zbliża się straszna. Obwinia wszystkich, że go oszukal', nie szczędząc francuskiego dworu. Zdaje mi się, że gdyby nie kilkakroć sto tysięcy talarów, któremi już rozporządził, nim przybyły, małżeństwo zostałoby zerwane.

— A my zostalibyśmy pod przyjemnem panowaniem tej Niemkini, którejby się wkońcu kłaniać potrzeba.

Kazanowskiego twarz wyraziła pogardę i obrzydzenie.

— Nie mieszaj się do tego sama, nie mów z nią nawet więcej o tem, ale gdyby ciwunowa i inne jej znane jejmoście dziewczę szukające służby u nowej pani wspomogły, cóżby w tem było dziwnego? Że się stara dostać do królowej, jest to rzecz naturalna, a bardzo być może, iż pożądaną będzie jej, jeżeli choć cokolwiek zna język.

— Mówi źle, rozumie dobrze—odparła marszałkowa— ale to taki temperament szalony, taka wola silna, że ani wątpię, iż się wprędce i z językiem i z dworem oswoi, i będzie wśród niego, jak w domu.

Wszystko to z początku snuło się jak bardzo nieprawdopodobne marzenie. Sama Bietka nie sądziła, ażeby jej podróż mogła przyjść do skutku. Nie domyślała się tego, że zręczna i ostrożna pani Kazanowska, umyślnie unikając widzenia się z nią, ciwunowej potajemnie wydawała rozkazy i popierała śmiałą wycieczkę.

— Jeżeli się jej tak bardzo chce, niechaj jedzie, owszem... ty jej pomóż, moja ciwunowo, ale ja o tem, ani marszałek nie powinniśmy wiedzieć. Moja dobra Mingajłowo, jeżeli znajdziesz kogo do towarzystwa tej dziewczynie...

Nikt dotąd nie pomyślał o kosztach, oprócz Bietki, która na seryo już w podróż się wybierała. Wyprosiła się na mszę świętą do Św. Brunona.

— Ale pocóż do św. Brunona, kiedy Bernardyni pod bokiem?—spytała ciwunowa.

— Bo ja się muszę widzieć z księdzem Stoczkiem, przyjacielem ojca.

Dobrawszy sobie służankę, nazajutrz już biegła do św. Brunona, wpadła do kościoła, do szkółki, wyszukała księdza i z gorączką mu zaczęła opowiadać, co zamierzała.

Ksiądz zrazu ofuknął ją łagodnie.

— A co ci się mieszać w cudze sprawy? Czy to do ciebie należy? ani wiek, ani rozum, ani nic do tego nie upoważnia! Poczciwe wścibstwo, ale ja na to nie pozwolę.

Bietka porwała się bronić swej sprawy.

— Jakto, proszę księdza dobrodzieja, to my będziemy na to patrzyli, jak na naszą panią zasadzkę czynią, aby ją zgubić, i będziemy złym pomagali milczeniem, ze strachu? Pewno, że wygodniej siedzieć za piecem, niż się dać podrapać i zabłocić, ale Pan Bóg przykazał bliźnim służyć.

Stoczek poczynał się śmiać; było to dobrym znakiem.

— O, to z jejmościanki rycerz?—zawołał—ale ja jestem *quasi* opiekun.

— Mnie się nic nie stanie, głowy mi za to nie zdejmą—mówiła Bietka.—Ja bądźcobądź pojadę do Gdańska. Towarzyszkę, staruszkę jaką poważną znajdę, a jak mi jegomość z pieniędzy ojcowskich nie dasz, sprzedam do ostatniego pierścionka, pójdę bodaj piechotą.

— Byłoby to bardzo pięknem — odezwał się ks. Stoczek,— gdyby ta twoja cnota wielka i miłość bliźniego nie miały źródła w paskudnem uczuciu zemsty. Ty tego sama nie czujesz może, ale ja to widzę.

Bietka spuściła oczy.

— Może to być—odpowiedziała cicho,—a niemniej ja złego nic nie zamierzam i nie mam na sumieniu.

Ks. Stoczek badał, pytał, uspokajał, nawracał i skończył na tem, że sam przyjdzie się rozmówić z panią ciwunową.

— Czy mam sprzedawać moje klejnoty?—zapytała go szydersko.

— Nie śpiesz się—rzekł ksiądz.—Zamiast myśleć o tem, pomódl się, pomódl, wezwij w pomoc Ducha świętego, a nie puszczaj sobie cugli tak bardzo. Niewieście to nie przystało.

— Ojcze mój—całując go w rękę, odezwała się Bietka.—Byłam sierotą, sama musiałam myśleć o sobie, dlatego dziś wydaję się wam zuchwałą. Gdybym mniej odwagi miała, kto wie, coby dziś już działo się ze mną.

Ksiądz nad głową jej krzyżyk zakreślił.

— Ot to mnie ten Wierzbięta obarczył opieką!— i westchnął. — To szalona dziewczyna.

Po rozmowie z ciwunową jednakże Stoczek spokojniej się zaczął zapatrywać na całą tę sprawę, nie obwiniał tak bardzo Bietki, zawsze jednak wolałby był, żeby, spokojnie siedząc, tu na powrót ojca czekała.

— Proszę pani ciwunowej dobrodziejki—mówił do niej,—a nuż powróci ten Wierzbięta, chcę mówić Płaza, i spyta mnie, gdzie córka, którą ci powierzyłem? Co ja mu odpowiem?

— On ją przecież i mnie powierzył—odpowiedziała staruszka—i wierz mi, ojcze, że ja niemniej się o nią troszczę; ale nic jej nie zagraża, a dobry uczynek spełni się przez nią.

— Jakże ona to potrafi? roztrzepana taka!—wzdychał Stoczek.

— O! o! — mówiła, uspokajając, staruszka. — Ona mi się też taką wydawała w początkach, ale gdy potrzeba, tak się umie miarkować...

Sama potem Mingajłowa dla siebie, przez dworzan Kazanowskiego, poczęła szukać okazyi do Gdańska

Wprawdzie stosunki między stolicą a miastem portowem, najważniejszem w Rzeczypospolitej, tą potęgą handlową i ogniskiem wielkiego życia, były niezmiernie ożywione; ale w tej porze właśnie, gdy zima trzymała jeszcze, lądem nie szły tam karawany, i mało kto się wybie-

rał. Ze szlachty jechało dosyć na spotkanie uroczyste w różnych miejscach królowej, o ile można było przewidzieć kierunek podróży, lecz to więcej zastraszało, niż ułatwiało dostanie się do Gdańska. Panowie zbierali poczty, aby z nimi witać przyszłą panią swoją, zresztą z Warszawy tylko gońcy z listami od króla przesuwali się po gościńcach.

Ciwunowa miała dosyć trudności, nim w końcu napytała żonę kupca gdańskiego, Rebisza, która od familii do męża powracała. Jejmość jechała z dwojgiem dzieci, było jej więc na rękę mieć przy nich dziewczę do pomocy. Była to kobieta spokojna, niebardzo zdrowa, bojaźliwa, skarżąca się ciągle, której towarzystwo śmiałej i rezolutnej Bietki dobrze posłużyć mogło. Zgodziła się więc chętnie na zabranie jej z sobą pod niezbyt ciężkiemi warunkami.

Bietka mało nie oszalała z radości. Natychmiast począł się wybór w tę drogę, która wydawała się dziewczęciu jakby urzeczywistnieniem snu jakiegoś.

Nie pomyślała o tem nawet, jak przybywszy do Gdańska, potrafi się dostać do królowej;—zdawało się jej to najłatwiejszem. Dotąd tak się powodziło, iż nabrała wiary w siebie, choć i tak jej na niej nie zbywało. Z Warszawy nie mogła mieć polecenia od nikogo, obawiano się go dać.

Uściskawszy ze łzami razem i śmiechem starą Mingajłową, jednego zimowego ranka siadła Bietka do sani z panią Rebiszową i jej dziećmi, młodsze z nich wziąwszy na kolana, i w imię Boże puściła się w tę podróż awanturniczą, dumna tem, że ona biedna, nieznaczna dziewczynina jedzie ratować królowę!

Ks. Stoczek błogosławił zadumany, opierać się nie mogąc, ale do końca przeciwny i smutny.

Dziewczęciu teraz o nic już nie szło, tylko o pośpiech, aby co prędzej dostać się do królowej. Ale podróż zależała od śniegu, mrozu, gościńców i koni, ciągnęła się więc dłużej, niż rachowano; Bietka miała więc czas bliżej zapoznać się z Rebiszową i przyjaźniąc się z jej dziećmi, pozyskać sobie, tak, że po dniach kilku były już na stopie

poufałej i serdecznej. Kupcowa jednak nie wiedziała nic więcej nad to, że wiozła dziewczę, które w służbę królowej dostać się pragnęło.

Byli już tylko o półtora dnia od Gdańska, wedle rachunku Rebiszowej, gdy dnia jednego nad wieczór, podczas przebywania lasu, wzięła się zadymka śnieżna, która wśród gęstych drzew mało się im czuć dawała. Dopiero, gdy w pole później wyjechali, woźnica znalazł drogę tak zawianą, a śnieg coraz gęstszy tak sypał miotany wichrem, że wkrótce stało się prawie niepodobieństwem jechać dalej, a i do lasu zawrócić, aby tam się gdzieś schronić, nie było można, bo o trzy kroki nic dostrzedz nie mogło oko.

Konie zmęczone dosyć ciężkiemi saniami zapadły w kupę śniegu, noc nadchodziła i położenie stało się rozpaczliwem. Woźnica stracił głowę, a Rebiszowa, bojaźliwa, trwożna więcej o dzieci, niż o siebie, płakała, krzyczała i coraz co innego rozkazywała.

Ruszyć się z miejsca było niepodobna, a śnieg gęsty coraz jeszcze więcej przysypywał sanie i konie. Woźnicy przyszło w dodatku na pamięć, że to była właśnie pora, gdy wilcy się stadami zwykli włóczyć i wygłodzone napadać na ludzi. Tuż gdzieś niedaleko oczom teraz zakryty był las.

Nawet odważna Bietka zamilkła, widząc rzeczywiście położenie straszliwem. Na wypadek napaści wilków żadnej woźnica nie miał z sobą broni. Jedyną nadzieją coraz głębiej zasypywanych śniegiem było, że Pan Bóg jakimś cudem sprowadzi im kogoś na pomoc.

Noc przebyć w zaspie śnieżnej tem trudniej było, że i mróz wzmagał się coraz silniejszy.

Woźnica próbował hukać, składając ręce i dobywając głosu, lecz wicher szalony o kilka kroków nic słyszeć nie dawał.

Płacz i rozpacz nieszczęśliwej Rebiszowej, nawpół obłąkanej, tulącej dzieci do siebie, przejmował Bietkę, której także życia żal było. Śmierć zdawała się nieuniknioną. Wkrótce ani koni, ani sań już z pod śniegu

dojrzećby nie mogli podróżni, gdyby się jeszcze jacy trafili.

Mrok padał coraz gęstszy. Bietka po namyśle zaczęła namawiać woźnicę, aby i ich i siebie w ten sposób ratować próbował, by jednego konia wyprzągłszy i odkopawszy, puścił się szukać przytułku lub ludzi.

Wprawdzie powrót do sań był bardzo wątpliwym, ale nic już nie mając do stracenia, najmniej nawet obiecujących środków ratunku chwytać się było potrzeba. Woźnica nie miał wielkiej ochoty puszczać się naoślep i ginąć gdzieś osobno... zwlekał więc, a w końcu położył się na saniach i nie słuchał.

Mróz i zmęczenie tak znużyły wkońcu wszystkich, iż jedna jeszcze Bietka, wydobywszy się na wierzch sani, stała i wyglądała ponad kupę śniegu. Rebiszowa, woźnica, konie leżały już przysypane.

Wtem coś ciemnego zdało się przesuwać niedaleko. Bietka rozpoznała kopiące się w śniegu konie i z całych sił poczęła wołać o pomoc. Szczęściem, wiatr niósł głos jej w tę stronę, z której jeździcy się pokazali. Zbudziło to i odrętwiałego już woźnicę.

Wśród białych ciemności coraz wyraźniej zarysowywały się postacie koni po brzuchy w śniegu zatopionych i zwolna się ku saniom zbliżającym. Byli to jeźdzcy w liczbie kilkunastu, a na ich czele młody, słusznego wzrostu, wąsaty mężczyzna, który się do sani przedzierał. Twarzy jego rozpoznać nie było można, ani on też podróżnych, mógł rozeznać, lecz litość go prowadziła na ratunek. Im więcej ludzi razem skupić się mogło, tem łatwiej jakiś sposób przetrwania żywym wśród tej zawiei straszliwej obmyśleć było można.

Gdy jadący przodem mężczyzna znalazł się o parę już kroków od sani, Bietka poczęła wołać o ratunek tak rozpaczliwym głosem, iż natychmiast rzucił się z konia ku nim.

Na szczęście poznało w nim dziewczę widywanego w Warszawie dworzanina ks. Albr. Radziwiłła, niejakiego Izydora Nietykszę, który razem z wielu innymi szalenie się był w niej rozmiłował.

Prowadził on do Gdańska ludzi i wozy swego pana i tak samo utknął wśród śnieżycy na polu jak Rebiszowa, a szukając drogi, natrafił na sanie. Miał on z sobą kilku towarzyszów, resztę ich przy zagrzęzłych wozach pozostawiwszy. Zabrali się zaraz wszyscy do odkopywania sani; woźnica zrozpaczony przyszedł do siebie, odżyła kupcowa, nadzieja wstąpiła w serca, a i Pan Bóg się ulitował nad nimi, bo wiatr zaczął ustawać, śnieg padał coraz mniejszy i można się było spodziewać wypogodzenia.

Ów Nietyksza, który poznał Bietkę, chociaż nie mógł pojąć, co ona tu zabłąkana na gościńcu robić mogła i skąd się tu wzięła, niezmiernie był spotkaniem uszczęśliwiony i tak gorąco się zajął saniami Rebiszowej, nią, dziećmi, nie mówiąc już o dziewczęciu, że w godzinę potem, chociaż woźnica postradał jednego konia, z resztą się jakoś przy pomocy ludzi Radziwiłłowskich wydobyli na gościniec, który był niedaleko; zawierucha jednak rozpoznać go wprzódy nie dozwalała.

Bardzo już późną nocą zmarzli, zbiedzeni, wszyscy razem, Nietyksza, jego wozy, ludzie i Rebiszowa dostali się do wioski tak zasypanej śniegiem, że kominy tylko i żórawie studni gdzieniegdzie sterczały. Tu musieli przez cały dzień spoczywać i dla kobiet i dla koni też, a tymczasem po drogach cokolwiek się przetarło i odwilż śnieg przygniotła.

Nietyksza, żwawy, ochoczy, wytrwały niezmiernie, a humoru nigdy niczem niezamąconego, Litwin poczciwy, dopełniwszy swojego obowiązku około wozów książęcych, cały się oddał na posługi Bietce. Spotkanie z nią, zbliżenie się do niej wydawało mu się takiem szczęściem, że szalał prawie.

Bietka, która go zawsze lubiła, bardzo rada była, iż Nietykszy, a nie komu innemu ocalenie była winną. Rzecz naturalna, ofiarował się on już prowadzić kobiety aż do Gdańska, a tymczasem we wsi tej przez cały dzień tak się niemi dobrze opiekował, że im na niczem nie zbywało i nawet Rebiszowa, z przestrachu ochłonąwszy, uśmiechać się zaczynała.

Przyznawała ona ocalenie swoje Bietce, która najdłużej na nogach się trzymała i ją ponad saniami stojącą postrzegł Nietyksza. Gdyby nie ona, byłby nieochybnie zasypane całkiem sanie i konie pominął.

Po dniu wypoczynku w nędznej chacie, która się pałacem wydała po tem, co podróżni przebyli, chociaż kapryśne śniegi mocno tajać zaczynały, puścili się saniami do niebardzo już oddalonego Gdańska i drugiego dnia przejechali wrota miejskie, przyczem Rebiszowa pierwsza postrzegła, że tu panował ruch nadzwyczajny.

Miasto, rynek, ulice pełne były pocztów rycerskich, straży miejskich, kolebek, sań, jezdnych i pieszych, a naostatek mieszczan, którzy zdawali się tracić głowy.

— Spodziewano się co chwila przybycia królowej — objaśnił zaraz Rebisz, który żonę i dzieci przyjął na progu domu, dziękując Opatrzności, że je cało doprowadziła.

Pomimo tak uroczystej chwili powrotu rodziny, kupiec, który zarazem był radnym miasta, nie mógł w domu pozostać. Znaleźli go wystrojonym, szedł bowiem na ratusz do rady, gdzie się niezmiernej wagi kwestye rozstrzygać miały.

Ks. Radziwiłł, wysłany przez króla, miał polecenie urządzić królowej wspaniały wjazd. Tymczasem mieszczanie, troskliwi o swoją niezależność, bojaźliwi do zbytku, uroili sobie, że z wjazdu tego chciał król skorzystać, aby zamach na opanowanie miasta dokonać. Opierali się więc wpuszczeniu rycerskich pocztów, otwarciu bram, oddaniu kluczów, i do ostatka bronili przeciw wymaganiom Radziwiłła, który napróżno im poprzysięgał, że najmniejszej krzywdy nikt im czynić nie myśli, ani się król chce targnąć na ich samorząd i niezależność wewnątrz miasta. Potrzeba było nadzwyczajnych z jego strony wysilków, poręczeń, ażeby wymódz swobodne otwarcie wrót, wpuszczenie wojska, a potem wreszcie należne dla królowej honory i podarki.

Bramy wprawdzie tryumfalne, obrazami poprzyozdabiane, były gotowe, ale miasto w początku niemi się wykupić chciało od innych ceremonii przyjęcia, które niebezpiecznemi mu się wydawały. Trafili właśnie, gdy

na ratuszu panowie radni z Radziwiłłem, nastraszeni niełaską króla, ostatecznie się, radzi nieradzi, układali z księciem. Rebisz więc musiał być na swem urzędowem stanowisku.

Tymczasowy przytułek Bietka znalazła u kupcowej, która się tak do niej przywiązała, że gotowa ją była jak do rodziny należącą zatrzymać przy sobie. Ale o tem mowy być nie mogło.

Umiejąca korzystać ze wszystkiego, Bietka opanowała Nietykszę. Wiedziała, że Radziwiłł był wysłany dla przyjmowania królowej, mógł więc łatwo jej dopomódz, gdyby tylko chciał.

W części zwierzyła się Nietykszy, jak jej wielce szło o to, aby się dostała co najprędzej na dwór pani. Nauczyła go, co miał i mógł powiedzieć o niej księciu. Litwin poprzysiągł na wszystko, co mu najdroższem było na świecie, iż ułatwi Bietce przystęp do królowej. Resztę ona, ufna w siebie, sama już miała dokonać.

Nietyksza, odprowadziwszy kobiety na Długi Rynek, gdzie stała kamienica Rebiszów, sam natychmiast udał się do Radziwiłłowskiej gospody, którą mu wskazano. Ale tu księcia pana nie znalazł, gdyż właśnie się z mieszczanami targował o to przyjęcie, o klucze miejskie, których z rąk puścić nie chcieli, o zawieranie bram w nocy i o tysiące drobnych szczegółów, które ojców miasta nabawiały paniką.

Nie można im było jej brać za złe, ale śmieszną się wydawać musiała i Radziwiłłowi i Dönhoffowi, wojewodzie pomorskiemu, i księciu Karolowi, gdyż nikt nie miał myśli najmniejszej czyhać na swobody miasta.

Cały ten dzień jednak roztrząsano wszystko, obradowano nad ceremoniami, a panowie mieszczanie potrosze mieli i koszta na względzie, bo wszystko razem wzięte, z podarkami w złocie, z ucztami dla rycerstwa, z bramami wzniesionemi i z prochem, który z dział miano wystrzelać, kilkanaście tysięcy czerwonych złotych wynosić mogło.

Miłość własna panów mieszczan walczyła z oszczędnością dobrych gospodarzy i ostatnią pokonała, bo z Francyi przybywającej nowej pani nie chciał się Gdańsk ubogo

i ladajako ukazać, zwłaszcza gdy posłyszano, jak wszędzie po drodze miasta, nawet obce, książęta, panowie, uroczyście i wspaniale podejmowali królowę.

Królowa, jak się później dowiedziała Bietka, pierwszą wiadomość, która jej do myślenia dać mogła, odebrała przez komornika królewskiego, który spotkał ją w Stolpe (7 lutego). Powitał on ją ustnie i oświadczył, że Władysław był mocno chory i że nie spodziewal się, aby królowa tak pośpieszyła... Oczekiwano jej tu dopiero na środopoście.

Zdziwić to musiało Maryę Ludwikę, że jej radzono zwlec przybycie do Warszawy, a nawet do Gdańska. Komornik króla plątał się tak ze swem poselstwem, powitaniem, radami, zresztą, tak się zimno znajdował. tak mało okazywal radości z oglądania królowej, iż nietylko ona, ale wszyscy, co ją otaczali, czuli się niemal tem obrażonymi.

O kilka mil od Stolpe drugi posłaniec z listami trochę naprawił, co popsuł pierwszy, lecz zawsze jeszcze nietylko nie naglono o przybycie, ale przeciwnie, widocznie zwlec je usiłowano. Przed samą granicą Rzeczypospolitej naostatek zjawił się wy.łany i naznaczony marszałkiem królowej Donhoff, wojewoda pomorski z dwoma oddziałami jazdy, niebieskim i szkarłatnym, ze dworem dosyć pokaźnym. Ten przeprowadzał do granicy, na której czekal namiot zielony królewski, cały wewnątrz wybity aksamitem szkarłatnym, wysłany kobiercami, gdyż śniegi leżały wszędzie tak, że drożyny nawet musiano okrywać suknem.

Tu oczekiwał na Maryę Ludwikę biskup kujawski, podkanclerzy Sapieha, Gembicki, naznaczony kanclerzem królowej i bardzo wielu innych panów, którzy się z dobrej woli przyłączyli do orszaku przez króla wyznaczonych posłów.

W tym namiocie rozpoczęły się te nieskończone mowy, na które odpowiadać musiał ktoś. w imieniu królowej, i nieskończone komplementa, w których szczerość trudno było uwierzyć. Mnóstwo ciekawych pań i panów tłumnie się znalazło po drodze do Oliwy, spotykając ciągle Maryę Ludwikę.

W Sobótce ks. Karol, brat królewski, w jego imieniu powitał ją, prowadząc za sobą gromadę szlachty i sześćset koni, po większej części pułków tatarskich, które nową barwą przystroić musiano.

Opowiadano tu wiele o przyjęciu w Oliwie, a Bietka dowiedziała się, co ją wielce zmartwiło, że tu pięć panien i dwie służebne z Warszawy królowej dodano. Zlękła się więc, iż może trudno jej będzie dostać się do niej; mogła nawet być jej niepotrzebną!

Ze drżeniem więc oczekiwała przyjazdu do Gdańska, a przygotowania do przyjęcia same pozwalały wnosić, iż ono będzie bardzo wspaniałem. Dla dziewczęcia jednak okazałości te wszystkie zatruła obawa, niepokój i teraz dopiero widoczne niezmierne trudności przystąpienia do przybywającej pani, około której gromadziły się tłumy pań polskich, panów, senatorów, szlachty, duchowieństwa, tak, że jej chwili spoczynku nie dawano.

Na wszystko to musiał radzić pan Izydor Nietyksza i dowiódł tego, że miłość cudów dokazuje.

Jemu tylko wiadomem było, jakich użył środków, czyjego pośrednictwa, aby u księcia Albrechta Radziwiłła wyprosić zalecenie Bietki jednej z pań Francuzek, znajdujących się przy boku królowej, pannie Langeron. Ta miała za przybyciem do Gdańska, jednego z tych dni, które na spoczynek przeznaczone były, ułatwić Bietce przystęp do Maryi Ludwiki.

Ona sama jednak, widząc, jak wielka ilość osób coraz nowych przybywała, zaczynała powątpiewać, czy ją kto z przestrogą nie uprzedzi.

Niepodobieństwem prawie było przypuścić, aby wśród takiego natłoku nie znalazł się ktoś uwiadomiony o tem, co się na dworze działo i pragnący oddać usługę królowej.

A naówczas, jeśli Bietka spóźnić się miała, gdy już służbę polską król zawczasu dla żony obmyślił i przysłał ją na granicę, nie mogła się ona spodziewać ani przyjęcia, ani wdzięczności, ani pomieszczenia na dworze.

Zdala to, co się tu dziać miało, było niewiadomem,

i Bietka nie mogła się nawet domyślać, co ją spotka w Gdańsku.

Z bardzo więc małą nadzieją, aby się jej tu mogło poszczęścić, odebrała od Nietykszy ów bilecik do pani Langeron, który miał jej posłużyć jako polecenie i otworzyć drzwi do Maryi Ludwiki.

Z bijącem sercem czekała tedy przybycia, a własna sprawa tak ją gorąco obchodziła, że widok wspaniałego wjazdu, który jej Rebiszowie ułatwili, przesunął się przed oczyma jak mgła jakaś, pstremi zabarwiona farbami. Myślała o jutrze.

IV.

Chociaż pora wcale nie sprzyjała okazałemu pod gołem niebem wystąpieniu, Gdańszczanie zrobili, co tylko mogli w krótkim stosunkowo czasie, aby się nie powstydzili przed potomnością. A że król sam widzieć nie mógł, co dla małżonki jego przygotowano, postarali się, aby drukiem i sztychem uwiecznić pamiątkę tych dni; same zaś obrazy, umyślnie dla przyozdobienia bram tryumfalnych malowane przez doskonałych artystów, jakich Gdańsk miał naówczas, odesłano później w oryginale do Warszawy.

Nawiasem to powtórzyć potrzeba, o czem już wspomnieliśmy, iż dzięki zamiłowaniu w sztuce Kazanowskich i Ossolińskiego, chwila ta była może w Polsce jedną z najświetniejszych dla niej. Mnóstwo najcelniejszych artystów pracowało dla polskich magnatów. Gdańsk miał D. Szulca i niezrównanego Falck'a, Wilno Danckertsa, sztychował sprowadzony tu Hondius, malowali inni, dziś zapomniani mistrzowie, w których dziełach pozostał ślad, iż kraj poznali i malowniczą jego stronę pochwycili żywo.

Na drodze już z Oliwy do Gdańska, w przeciągu milki jednej, na którą pięć godzin czasu straciła królowa, poczęły się powitania. Na pół drogi stały gwardye królewskie w sześciu oddziałach, w barwie niebieskiej, podbitej żółtą, za niemi piesi pachołkowie króla, halabardnicy, dragoni, Kozacy, ustawieni szeregami, całą prawie drogę, aż do bram miasta zajmowali.

W bramach poczęły się ukazywać kompanie mieszczan, na których czele szedł cech rzeźników, cały naturalnie w krwawych szkarłatach, za nimi mieszczanie w aksamitach czarnych, z łańcuchami złotemi na szyi, z piórami na kapeluszach czarnemi i białemi, kupcy czarno i poważnie ubrani i niezliczone oddziały panów polskich jedne wspanialsze od drugich.

Królowa jechała w złocistej kolebce, zaprzężonej sześciu śnieżnej białości woźnikami, w których grzywy i ogony ówczesną modą różowe wstęgi powplatane były.

Tryumfalne wrota odznaczały się bardzo pięknemi malowaniami i rzeźbami, wśród których jaśniały złotem stosowne napisy.

Po raz pierwszy Bietka spostrzegła królowę jadącą w powozie, która widocznie siliła się na okazanie twarzy wdzięcznej i wesołej, ale wydawała się jej zmęczoną i prawie smutną.

Za wjazdem miały następować uczty po ucztach, lecz zaraz nazajutrz dowiedziało się dziewczę, że królowa sobie wyprasza spoczynek, którego po podróży potrzebowała. A że nie było wiadomem, jak długo zabawi w Gdańsku, bo Dönhoff na nią z nowem przyjęciem oczekiwał na starem, wspaniałem zamczysku krzyżackiem, Marienburgu, Bietka postanowiła przyśpieszyć swój krok śmiały, dłużej nie mogąc już wytrwać w niepewności dręczącej.

Ubrana bardzo skromnie i czarno, powierzyła się opiece Nietykszy, który ofiarował się doprowadzić ją do pani Langeron, ułatwić przyjęcie, a nawet oczekiwać na powracającą.

Godzina ranna była, gdy z bijącem sercem, mimo całej swej odwagi, którą się i w ciągu podróży i tu na miejscu zbroiła, Bietka przestąpiła próg pokojów królowej i znalazła wobec jaśniejącej pięknością w pełnym rozkwicie, z oczyma czarnemi, ognistemi, przenikającemi, wzrokiem ostrym, pannę Langeron.

Chwilę trwała cicha, z początku nieśmiała, potem co-

raz odważniej już prowadzona rozmowa Bietki z panią dworu królowej.

Panna Langeron kazała jej tu chwilę poczekać, a sama weszła do pokojów pani, i nie zabawiwszy długo, wróciła, aby Bietkę wprowadzić.

Podniosła się i zapadła w oczach Nietykszy portyera, dziewczę mu znikło...i rozstrzygały się jego losy, na które już wpłynąć nikt nie mógł, oprócz Boga i jej samej.

Nietyksza, który ciągle wśród nowych przybywających odchodzących, napraszających się,odprawianych mnóstwa osób w niewielkiej antykamerze nie znajdował pobytu zbyt zabawnym, wysunął się na szeroki ganek, który dom od ulicy oddzielał i tu się spodziewał swobodnie obracać, ale ganek był również przepełniony, a w ulicy nawet przecisnąć się było coraz trudniej. Chociaż królowa wcale się tłumowi pokazywać nie miała, stał on uparcie w nadziei, że ją może zobaczy lub przybywającym do niej ciągle pańskim rydwanom i kolebkom się przypatrzy.

Nie przewidywał wcale, ażeby Bietka długo u królowej mogła pozostać, bo mnóstwo osób dopraszało się posłuchania, a godziny były policzone. Tymczasem na wieży w Artushof biła już godzina, która świadczyła, że Nietyksza stał na straży około pięciu kwadransów. Według jego rozumowania, było to dobrym znakiem.

Upłynęło półtorej godziny, a Bietka nie powracała. Nietyksza zaczynał już się niepokoić, gdy pokazała się w ganku z twarzyczką tak nadzwyczajnie rozpromienioną i wesołą, że Litwin pytać jej nie potrzebował i miał tylko sobie za obowiązek doprowadzić nazad do domu Rebiszów przez niespokojną gawiedź, zapełniającą znowu rynki i ulice.

Bietka szła tak w myślach zatopiona, że nawet mu nie podziękowała i dopiero w pobliżu kamienicy przypomniała sobie poczciwego Litwina, który w milczeniu za nią kroczył. Obróciła się do niego nagle i chwyciła go za rękę.

— Panie Izydorze — odezwała się głosem wzruszo-

nym—nie myśl, żem niewdzięczną. Oddałeś mi przysługę, której ja nigdy, nigdy dopóki żyć będę nie zapomnę.

— Powiodło się?—ośmielił się spytać Nietyksza.

— A! nadzwyczaj szczęśliwie! pomyślniej niż się mogłam spodziewać. Przybyłam w porę. Bóg łaskaw. Dziś jeszcze wieczorem przenoszę się do dworu pani, która mnie przyjęła.

Oczki jej zaświeciły radością.

— Królowa?—spytał Litwin ciekawie.

— Królowa—odparła Bietka, śpiesząc dalej—wydała mi się śliczną i nadzwyczaj miłą panią, ale niebardzo szczęśliwą. Nie potrzebujemy się jednak lękać o nią. Ma dosyć woli i rozumu, aby podołać temu, co ją tu czeka. Widziałam ją wprawdzie płaczącą, ale prędko i rezolutnie łzy otarła, odzyskała męstwo i nie da się tak spętać, jak się może spodziewają.

Mówiłam długo, opisałam jej i opowiedziałam wszystko, bo dotąd wiedziała tylko to, o czem ją urzędownie zawiadomić chciano. Ja nic przed nią nie potrzebowałam taić. Powinna wiedzieć wszystko, aby umieć postąpić, jak należy.

Stali już w ganku kamienicy Rebiszów; uprzejmym uśmiechem Bietka pożegnała Nietykszę, śpieszno jej było.

— Będziesz waszmość pewnie naszemu marszałkowi, ks. Radziwiłłowi, towarzyszył w podróży, a on nam, bo ja teraz już do orszaku królowej się liczę; zobaczymy się więc... i do zobaczenia!

A ten uśmieszek i wejrzenie, jakim go pożegnała! Litwin byłby za nie krwi nie pożałował.

Wieczorem już Bietka przeniosła się do domu, zajmowanego przez królowę, pożegnawszy Rebiszową, która łzawo się z nią rozstawała.

Spełniło się, czego pragnęła tak gorąco.

Wszyscy, którzy dotąd towarzyszyli królowej od granicy, i ci, co jechali z nią z Francyi, widzieli ją ciągle dosyć smutną i zatęsknioną po kraju, który opuściła. Jechała jednak dosyć mężna i krzepiąc się, aby nie okazać, ile ją to męstwo kosztowało.

Dopiero w Gdańsku, gdy po odprawieniu Bietki wyjść była zmuszoną na przyjęcie Dönhoffa i Radziwiłła, obaj oni poznali po jej świeżo umytych oczach, że płakała. Lecz ślady ich pozostały w wejrzeniu, chociaż usta dumniej i śmielej się uśmiechały, niż kiedy. Coś gorączkowego, niecierpliwego miała w ruchach i mowie. Co chwila, jakby mimowoli ściągały się jej brwi i surowym wyrazem namaszczały usta.

Dönhoff parę razy musiał powtórzyć pytania zadane, których nie dosłyszała, tak była w sobie zatopioną. Panna Langeron pierwsza szepnęła chorej towarzyszce, pani des Essarts, iż królowa jakieś ważne ale niepomyślne otrzymać musiała wiadomości. Nikomu się z nich jednak nie zwierzyła.

Tymczasem Gdańszczanie raz ochłonąwszy ze strachu i widząc, że Polacy miasta ani bram opanowywać nie myślą, wysadzali się na grzeczności i na dowody gościnności, które razem były objawem dostatków handlowego miasta. Panowie polscy, których większa część bankietować lubiła, ich dwory bardzo rade sposobności do rozrywki, nawet część francuskiego dworu królowej zabawiali się ochoczo. Dla Francuzów wszystko tu było nowem, szczególniej zaś uderzający kontrast niezmiernej okazałości panów i niezmiernego ubóstwa ludu, opuszczenia wiosek, zaniedbania budowli na prowincyi.

Od chwili wprowadzenia się swojego na dwór królowej, w nowej całkiem atmosferze Bietka była zmuszoną zmienić sposób obejścia się, ruchy, mowę, poskromić swą żywość i ułożyć się na wzór tych pań, które miała przed sobą.

Jej biedna francuczczyzna w początkach obudzała uśmiechy, ale dziewczę z nadzwyczajną łatwością korzystało ze słuchania i obcowania. Królowa wzięła ją w opiekę od pierwszego dnia.

Ponieważ rozmowa, od której się poczęła znajomość, nie starczyła na objaśnienie Maryi Ludwiki, powołała, mając trochę wolnego czasu Bietkę do siebie, a zmęczona, położywszy się w łóżko, kazała jej na nizkim tabureciku siąść u wezgłowia i odpowiadać na mnogie pytania.

Musiała Bietka mówić o nieboszczce królowej, o pożyciu króla z nią, o małym Zygmuncie i o osobach, najbliżej króla stojących. Naturalnie poczęła od Kazanowskich, ale o tych i o Jerzym Ossolińskim królowa była już dosyć dobrze uprzedzoną.

Bietka, oddawszy się tak cała nowej pani, nie miała już dla niej tajemnic, a że znała mnóstwo ludzi, była obdarzona pamięcią doskonałą, stała się dla królowej nieoszacowane zródłem informacyi.

Nie dziw też, że owe pięć panienek szlachcianek polskich i dwie służanki, które król wysłał zagranicę— a do nich tu nikt nie mówił, nikt się o nie nie troszczył, nikt żadnej od nich usługi nie potrzebował—bardzo zazdrośnem okiem zaczęły patrzeć na tego intruza.

Pierwsza jednak Bietka zbliżyła się do nich, i nie nadając sobie żadnych tonów wyższości, starała się im być pomocą na dworze, w którym jeszcze żadnego wyrobionego ładu i porządku nie było.

Królowa wiozła z sobą kilka pań, służbę francuską dosyć liczną, a poseł francuski, posłowa osobna, pani de Guebriant, dodani jej dla powagi towarzysze, składali gromadkę znaczną. Wszystko to z drugim światem polskim obok stojącym, jeszcze się nie miało czasu połączyć i zlać w jedno. Spoglądano na siebie z ciekawością, ale z pewnem niedowierzaniem.

Nietyksza, który przez tych dni kilka miał czas już szpetnie się rozkochać na nowo w dzieweczce, o ile mu jego służba dozwalała, dowiadywał się od niej.. Jednakże, choć dosyć dla niego życzliwa, Bietka musiała przestrzegać, że na nich ludzie złośliwi patrzą i że to jej szkodzić może. Musiał więc nader przezorny p. Izydor mniej bojaźliwą pannę Zubko, dodaną królowej z urzędu, zacząć bałamucić, aby pod pozorem jej, do Bietki się zbliżyć.

W Gdańsku tymczasem codzień było na co patrzeć, bo miasto się nietylko zmogło pierwszego dnia na kawalkaty i na bramy, ale potem coraz to coś osobliwego dla zabawie-

nia królowej wymyślano, chociaż ona to bardzo obojętnie i smutno przyjmowała.

We środę potem pani i dwór słuchał mszy w klasztorze zakonnic, a po niej zawieziono w paradzie wszystkich do Weichselmünde i zmuszono niemal królowę do wstąpienia aż na wierzchołek morskiej latarni dla wspaniałego z niej widoku. Miasto i tu przyjmowało obiadem. Następnego dnia przedstawiono włoską komedję, a raczej operę ze śpiewami [1]), z muzyką, z tańcami, która trwała pięć godzin, bo czarodziejskie zmiany dekoracyi wiele czasu zabierały.

Na rynku potem wyprawiono ognie sztuczne, a dla ludu wystawiono maszty mydłem smarowane, na które majtkowie i kominiarczuki do późnej nocy się drapali, aby zdobyć całe ubranie i woreczek z talarami, powieszone na przynętę.

Musiała potem królowa oglądać bogato zasposobiony arsenał miejski, i przez cały tydzień z okładem nie ustawały rozmaitego rodzaju rozrywki. Bietka miała czas, nim we wtorek w dalszą wyruszono drogą, obeznać się ze dworem, porozumieć z towarzyszkami i nauczyć, jak mogła najlepiej usłużyć królowej. Do czynienia nie miała wiele, ale ją bardzo często powoływano, bo przekonawszy się, iż na jej przestrogi liczyć można, Marya Ludwika, coraz nowych spotykając ludzi, ją o nich naprzód rozpytywała. Bietka zaś znała wszystkich prawie, a o każdym miała coś do powiedzenia.

Wyjazd królowej nastąpić miał w poniedziałek, ale miejscowy przesąd pod jakimś pozorem kazał go zwlec do wtorku. Powozy już wyszły w rynek i miano się puścić w drogę, gdy na samym tym placu ukazała się gromadka masek, pasterek i pastuszków i zmusiła zatrzymać się dla oglądania pożegnalnego baletu.

Maryi Ludwice tymczasem łzy stały w oczach. Każdy nowoprzybywający z Warszawy, czy ode dworu, przypominał jej rzuconą potwarz, wywoływał rumieniec,

[1]) Opery zwano naówczas recytatywami. (P. A.)

bo się pytała siebie: czy nie jest uwiadomionym?... W oczach każdego szukała oznak niechęci, ciekawości, politowania, zarówno ją drażniących. Odosobniała się też o ile mogła, tak, że nawet najpoufalsze towarzyszki milczeniem zbywała.

Na zamku w Marienburgu dozwolono jej spocząć nieco. Tu Dönhoff przyjmował królowę, która rada była podróż przyśpieszać, gdy towarzyszący jej widocznie opóźniać się starali.

W Marienburgu mimo starań wojewody, brakło wygód i mnóstwa rzeczy.

Elbląg, do którego królowa przybyła w piątek, oprócz wrót tryumfalnych, w rynku zasadził cały las drzew pomarańczowych, z których otrząsano i obrywano owoce. Brama miała anioła u góry, który królowej podał koronę. W przejeździe przez Prusy podejmowano podróżnych kosztem hołdownika, elektora brandeburskiego, lecz bardzo oszczędnie i skromnie.

O dalszej podróży aż do Nieporętu, dosyć jednostajnej i nudnej, niema co mówić. Przed oczyma królowej kraj w tej porze roku, mniej jeszcze wdzięczny, niż kiedykolwiek, przesunął się, jak szare tło jakieś, w którem oko nie miało się zatrzymać na czem.

Stosownie do rozkazów z Warszawy nadchodzących, po krótkim wypoczynku w Nieporęcie, którego dwór i ogrody wcale ładnie wyglądały, pośpieszono do Falent, gdzie naznaczony dłuższy był pobyt. I tu także dosyć wygodnie choć ciasno, pomieścić się było można, a Marya Ludwika, wcale o wygody się nie troszczyła, mając niepokój w duszy i zawsze jeszcze do przebycia jakieś groźne przesilenie. Ona sama ani mogła, ani chciała go wywoływać, była nadto dumną, lecz posłowa, pani de Guebriant, już zawiadomiona o listach, które król odebrał, o zniechęceniu jego, przygotowywała się z całą powagą swą i zręcznością, ale razem z oburzeniem i siłą wystąpić przeciwko uknutej intrydze.

I ona, i poseł p. de Brégy, zresztą dwór cały nie mógł nie zrozumieć i nie uczuć, że zaszło coś zatruwającego spodziewane wesele.

Dosyć było spojrzeć na Maryę Ludwikę, a nawet na daleko umiejętniej się maskującą panią de Guebriant, policzyć nieustannie tam i nazad przesyłane listy i przybywających od króla z poleceniami panów, których oblicza wiele odgadywać kazały, aby się domyślać, że pod świetnemi pozory pożądanego wesela kryło się coś bolesnego i groźnego.

Wisłę, nie dojeżdżając do Falent, przebyła królowa w lekkich sankach złoconych, mających kształt orła z rozpiętemi skrzydłami, ale nawet pod niemi osłabły lód już pękał i załamało się kilka cięższych sań i wozów.

Falenty ze swym ogrodem, bardzo starannie utrzymywanym, mogły być pięknemi w lecie; pierwszych dni marca trawa nawet w miejscach ku słońcu zwróconych, zaledwie się dobywać zaczynała.

Ciekawość przy niewielkiej odległości od Warszawy, ściągała tu nieustannie gości, których potrzeba było z wdzięcznością i uśmiechem na ustach przyjmować, gdy więcej ciężyli, niż zabawiali.

Wszyscy oni chcieli poznać królowę, aby wyczytać coś z jej twarzy, bo chodziły jakieś posłuchy dziwne. Król to słaby leżał w łóżku, to nagle wstawał, niecierpliwym był gniewał się. Jednego dnia domagał się, aby przybycie królowej jak najdłużej odciągnąć się mogło, drugiego chciał je przyśpieszyć, jakby gorzkie lekarstwo, które wychylić był zmuszony.

Marszałkowa de Guebriant w listach i przez swych posłów domagała się, żądała pośpiechu.

Królowa sama na pozór w tej stłumionej walce wcale nie była czynną, musiała okazywać, jakby o niej nic wiedziała, nie domyślała się jej wcale; nieszczęściem, niewieścia drażliwość na pięknej jej twarzy codzień wyraziściej piętnowała niepokój wewnętrzny i męczarnią.

W Falentach Bietka, która umiała się ukrywać za drugiemi i niewystępować naprzód, królowej pounie przydała się wielce. Od czasu, gdy opuściła Warszawę, domyślać się było można zmian może w usposobieniach, w położeniu króla względem osób otaczających w osnutych na przyszłość planach. Nikogo z przybywających z pokłonami gości ani się pytać, ani z nich wyrozumieć coś było można.

Królowa, która się dotąd na Bietce nie zawiodła, miała wielką ochotę wyprawić ją na zwiady do Warszawy.

Od trzeciego do dziesiątego marca miał trwać spoczynek w Falentach, a może byłby się przeciągnął dłużej, zawsze pod pozorem choroby króla, gdyby zręczna pani de Guebriant przez różne osoby i różne środki nie przynagliła króla.

Zwłoki w ostatku były dla królowej obrażającemi, dawały powody do tłumaczeń i domysłów niemiłych.

Nie spostrzeżono się wcale, gdy drugiego dnia po przybyciu do Falent, Bietka, przybrawszy sobie pannę Zubko, małym brożkiem, ale końmi doskonałemi, o które się Nietyksza postarał, raniuteńko wyjechała do Warszawy. Pan Izydor w dodatku tak zręcznie manewrował, iż tego samego dnia dostał zlecenie dotarcia także do stolicy, i na gościńcu czekał na panny, bo im chciał towarzyszyć nieodstępnie aż do miasta.

Na wyjezdnem królowa popatrzyła na dziewczę, nie mówiąc nic, łzy miała w oczach.

— Rozumie się — szepnęła cicho — że jedziesz dla siebie tylko, że ci się stęskniło, a ja nic o tem nie wiem. Powracaj prędko. Jeśli goście jacy przybędą z Warszawy, nie będę miała kogo spytać, jaką ich przyjmować twarzą, gdy już dziś zawczasu, nim przybyłam, mam tu wrogów.

— N. Pani — odparło dziewczę, które ciągle starało się dodawać odwagi — potrafisz ich łacno rozbroić, a upartych pokonać.

Dwie najulubieńsze Francuzki, pani des Essarts która już była wyzdrowiała, i gderliwa, zazdrosna, niemiła, podejrzliwa Langeron, niespokojnem okiem spoglądały na coraz pozyskującą większe zaufanie Bietkę, którą bardzo lekko szacowały z początku; umiała je ona wszakże zjednać sobie unikając najmniejszego nieporozumienia. Oprócz tego służyła troskliwie pani des Essarts w jej chorobie w Gdańsku, i potrafiła sobie pozy-

skać całą tę rodzinę, bo i mąż, i córka jechali z nią za królową.

Bietka postrzegła łatwo, iż pomiędzy panią des Essarts a Langeron już się w czasie podróży wywiązały niechęci, zazdrości, podejrzenia. Potrzeba więc było uniknąć, aby się do zawikłań tych i intryg nie wmieszać.

Dwór Maryi Ludwiki był zresztą dosyć liczny: oprócz ks. de Fleury, spowiednika królowej, doktora Sorbony, duchownego wielkiej nauki, powagi i ogłady, bardzo zręcznego doktora de Lafage, usłużnego i słodkiego dla wszystkich kuchmistrza de Ronsay i jego żony, otaczały królowę pani d'Aubigny, Włoszka, wydana za Normanda, która miała tu sławę nadzwyczajnej przebiegłości i chytrości, pokrytej uprzejmością dla wszystkich, i trzpiotowate panny Duret, de Mailly, de Lucé. Te tak były zajęte nowym dla nich krajem, ludźmi, a nawet życiem i stołem, strojem i mową, które się im dziwacznemi wydawały, że mało co więcej je obchodziło. Bietka była z niemi tem lepiej, że ciągle od niej objaśnień jakichś potrzebowały. Życie więc na dworze składało się dla niej dosyć szczęśliwie, a wiele też winna była własnej odwadze i zręczności, z jaką umiała sobie wyrobić tu miejsce, na którem niełatwo ją kto mógł zastąpić.

Namyślała się po drodze Bietka, dokąd w Warszawie najprzód zajechać miała. Chciała widzieć starą Mingajłową, ale jej do pałacu Kazanowskich, gdzie tyle oczu było i tyle języków pochopnych do roznoszenia plotek, nie zdało się bezpiecznem udać odrazu. Mniej widoczne, cichsze mogły być odwiedziny Bieleckich, — i brożek pojechał na ulicę Piwną.

Można łatwo odgadnąć, jak niesłychanie ciekawa, spragniona wieści, karmiąca się głuchemi pogadankami, dochodzącemi tutaj, pani Łukaszowa przyjęła przybywających z Falent gości! Dla niej było to szczęściem prawdziwem, ale i dla Bietki Bielecka, której mąż całe dnie na zamku spędzał i nawykły był dla żony podsłuchiwać,— nieoszacowanem źródłem się stała. Przez kilka chwil pierwszych usta się obu im nie zamykały, bo pytały obie,

a żadna odpowiedzieć nie miała czasu. Nierychło się uspokoiły.

— Na rany Chrystusowe! — wołała Bielecka — mów, mów! Cóż to jest ta królowa? Chodzą o niej najsprzeczniejsze wiadomości. Jedni mówią, że stara i brzydka, drudzy, że śliczna i zalotna, że skąpa i rozrzutna, że samowolna, że bojaźliwa... Każdy przybywający co innego plecie, ale tyś ją przecież bliżej poznała?

— Nie wierzcie bałamutnym opowiadaniom — odparła Bietka. — Królowa jest wcale młodą jeszcze, a gdy się przestanie gryźć i niepokoić, będzie bardzo piękną. Teraz i drogą zmęczona i zgryziona tysiącem przykrości, i niespokojna, wygląda trochę mizernie.

— Ale cóż? mądra? zła? dobra? — przerywała niecierpliwie Bielecka.

— Rozumu u nikogo pożyczać nie będzie potrzebowała — odparła z uśmiechem złośliwym Bietka — za to wam ręczę; dobra jest, ale nie miękka i umie się szacować. Więc lada Niemki się nie zlęknie, a każdemu około siebie miejsce potrafi wyznaczyć, jakiego wart. Zobaczycie...

— Będzie drugą Cecylią, czy nie? — zapytała Bielecka.

— Wątpię, ażeby się tak królowi zawojować i rządzić dała, jak tamta — przerwało dziewczę; — ale o tem z góry trudno sądzić. Tymszasem to tylko wiem, że i ona, i pani posłowa, która jej towarzyszy, dąsają się na króla. Pilno mu było tak mieć i widzieć tę żonę, a teraz z dnia na dzień nasze przybycie odkładają.

— Król bo chory! — wtrąciła Bielecka.

— Przecież tak słabym nie jest, aby żony przyjąć nie mógł, a kazał jej gdzieś na rozdrożu tak jak w gospodzie czekać na zmiłowanie! Co na to powiedzą we Francyi!

Pani Łukaszowa obejrzała się na siedzącą tuż Zubkównę, jakby dla niej obawiała się mówić otwarcie.

Wistocie świadek był niepotrzebny i musiano się go pozbyć pod pozorem wypoczynku.

— Ale cóż się dzieje z królem i Amandą? — poczęła niecierpliwie Bietka.

— A! a! — zawołała ręce do góry podnosząc Bielecka. — Skorzystała Niemkini z czasu i okoliczności! Znowu tedy w niepomiernych łaskach u króla, który nietylko wieczorami z nią przesiaduje, ale większą część dnia tam przepędza. Niema już mowy o tem, ażeby kiedy ją za mąż wydano... jest niezbędną dla Zygmusia, zostanie na wieki wieków, a król żony znać nie będzie. Amanda potrafiła nawe tak go przez ten czas trzymać, że do żadnej z jej służebnic się nie uśmiechnął, a Pac nie śmie mu żadnej z nich nastręczać. Ona tu wszystkiem teraz.

To też przybrała ton cale inny i rozkazuje tak, jakby panią była, króla nawet nie pytając, a w kościele do loży pańskiej wchodzi i zasiada na tem krześle, które królowa nieboszczka zajmowała, jakby do niego miała prawo.

Królby może dawno już skończył z tem ożenieniem i nową panią, ale ona go wstrzymuje i nie dopuszcza. Pac jej służy i tęż piosnkę śpiewa. Potrafiła sobie pozyskać innych. Doktór dla choroby radzi wesele odraczać, ks. Pstrokoński też nie nagli, Kazanowski milczy, bo on nigdy przeciw wody nie płynie.

— No, ale się to raz przecież skończyć musi! — przerwała zniecierpliwiona Bietka. — A! jakbym rada zobaczyć Paca, ale nie mogę! Nie. Czasu mi nawet zabraknie; a gdyby się wydało, że tu jestem... Nie! nie! Z jedną moją starą Mingajłową widzieć się muszę, bo taby mi nie przebaczyła.

Bielecka chciała się dowiedzieć, jak się Bietce udało tak szczęśliwie na swem postawić i do królowej dostać, ale dziewczę na dłuższe opowiadanie nie miało czasu i zbyło ją kilku słowami.

Wieczór upłynął na wzajemnem badaniu, a powracający do domu Bielecki niemniej od żony okazał się ciekawym. Potwierdzał on wszystko, co mówiła żona. Niestety! Amanda zachwianą swą nad królem władzę odzyskiwała z każdym dniem widoczniej. Oprócz Paca skupiali się już i inni znowu przy faworycie, znajdując, że daleko wygodniej będzie jej stronę popierać, niż kró-

lowej, przeciw której uprzedzenie króla nietylko rosło coraz, ale przybierało groźne cechy.

Ci, co powracali do Warszawy z Nieporętu, z Mławy, z drogi, powitawszy królowę, wszyscy uprzedzeni przez przyjaciół panny Amandy, przywozili wiadomości, które jej tylko na korzyść wychodziły.

Opowiadano królowi, że królowa wcale się młodą nie wydaje, ani tak piękną, jak na przywiezionych wizerunkach, że jest dumną, pogardliwą, niechętną, że kraj się jej i Francuzom wydał ubogim bardzo i brzydkim.

Wprawdzie zwierzenia się te przybierały formy przyzwoite i nacechowane były niby współczuciem dla Maryi Ludwiki, ale skutek, jaki na królu wywrzeć miały, był obrachowany. Co tylko mogli przyjaciele dworki wynaleźć, znając króla, najskuteczniej działającego na umysł, wszystko przeciwko królowej wymierzyli.

. Zniechęcenie Władysława było widocznem, niekiedy aż nadto, a w poufałem kółku nie ukrywał się z niem wcale. Kazanowski jeden ze względów dostojeństwa królewskiego, polityki i potrzeby oszczędzenia Francyi, obowiązku uniknienia skandalu, powstrzymywał przyjaciela, radząc mu umiarkowanie i cierpliwość.

Nie występował on otwarcie przeciwko Niemce, która umiała takiem kołem opasać króla, ale przemawiał do miłości własnej, do dumy, którąby upokorzoną być musiała, gdyby Władysław zbyt jawnie okazał, że został zwiedziony i oszukany.

Jedne też te chłodne uwagi Kazanowskiego miały dosyć siły i wpływu, aby króla od nierozważnego kroku powstrzymać.

— Niepodobieństwem jest dłużej kazać królowej czekać w Falentach — mówił marszałek. — Tydzień dla wypoczynku, dla przygotowania się, ale więcej rażącem będzie.

Kazanowski też pilnował, ażeby ten wjazd do Warszawy, który z początku chciano nadzwyczaj świetnym uczynić, nie został zaniedbany. Szło o króla, o okazanie Francuzom jego potęgi i bogactwa.

W programie dawnym stało, iż król miał wyjechać

na spotkanie choćby o mil parę. Władysław już się wzdragał to uczynić. Składał się doktorem który mu zabraniał męczącej podróży. Ani nawet do Falent skłonić go nie było podobna.

Nad tem pracowali przyjaciele Amandy. Postarano się też o jakieś listy, które wrzekomo plotkę zawartą w pierwszych potwierdzały.

Słowem, sprawa królowej stała tu jak najgorzej i Bietka łatwo się o tem przekonać mogła. Ale nie rozpaczała wcale, aby się to wszystko nie dało zmienić.

W ciągu podróży z Gdańska do Falent trochę się zapoznała zdala z otoczeniem posłowej, pani de Guebriant, przypatrzyła jej samej i na niej największą pokładała nadzieję. Królowa sama z pewnością nie byłaby potrafiła wyjść zwycięsko z osnutej sieci intryg, które tu na nią czekały.

Nie mogąc długo pozostać w Warszawie, nazajutrz rano dziewczę już było u Mingajłowej, która je ze zdumieniem przywitała, uląkłszy się naprzód, czy ją ode dworu nie odprawiono. Uspokoiła się, dowiadując, że wysłana została dla dostania języka.

Ale od pani ciwunowej niewiele dowiedzieć się było można i upewnić chyba tylko, że Kazanowscy do obozu Niemki wcale przechodzić nie myśleli, chociaż ona chwilowo była zwycięską.

Marszałkowa ani jej znać ni widzieć nie chciała, tak się z nią obchodząc, jakby była prostą ochmistrzynią przy królewiczu. Zabiegała wielce Niemka, aby tak ją jak inne panie pozyskać i zbliżyć się do nich, lecz wszystkie umiały się wymówić, wyśliznąć i nie dopuścić ją do poufałości z sobą.

Surowy obyczaj ówczesny wszystko łatwiej przebaczał nad tak zwane jawnogrzesznictwo, urągające prawom kościoła i mnożące zgorszenie. Pokątne miłostki puszczano płazem, choć na nich nie zbywało, ale publiczne zgorszenie nawet królowi bezkarnie ujść nie mogło.

Władysław lekceważył sobie to, a wiele rzeczy nie znał i nie wiedział, ale nawet dworscy oddani mu, gdy przyszło do obrony króla, milczeć musieli. Nie mógł więc

Władysław za złe mieć niewiastom, żonom senatorów, że Amandy unikały lub obchodziły się z nią tak, jakby o łaskach pańskich nie wiedziały.

Wielu surowszych, jak Albrecht Radziwiłł, bronili króla, wszelkie stosunki dwuznaczne mając za potwarz i bajkę.

Marszałkowa Kazanowska, uwiadomiona o Bietce, weszła niby przypadkiem do ciwunowej, aby coś od niej o królowej posłyszeć. Dziewczę musiało dobrze obrachować, co mówić wypadało. Wszystko, co od niej usłyszała marszałkowa, było na pochwałę nowej pani i pani de Guebriant, która też ciekawość obudzała.

Bietka dodała, kończąc, że królowej nawet niedosyć wygodnie było w Falentach, a dla jej dworu ciasno i że trzymać ją tu dłużej, w tej porze wiosny chłodnej, stawało się okrucieństwem.

— Spodziewamy się też — dodała — że król rychło pozdrowieje, że się do wjazdu wszyscy przygotują nareszcie, gdy tyle czasu mieli na to, a nas z tej niewoli uwolnią. Wzdychamy do tego.

— I ja sądzę — odezwała się marszałkowa — iż to wkrótce nastąpić musi. Niech nam tylko młoda pani przybywa odważną, wesołą i śmiałą, a wiele rzeczy, o których jej niepotrzebnie może mówiono, zapomni, bo o nich wiedzieć nie powinna.

Z tem wyszła pani marszałkowa, a Bietka musiała, zebrawszy tu, co mogła — niepocieszających wieści, powracać do Falent. Wstąpiła tylko dla pożegnania do Bieleckich, gdzie czekał Nietyksza, zabawiając pannę Zubkównę, a oknem wypatrując, czy Bietka nie powraca.

Konie stały gotowe, dzień się obiecywał dosyć znośny, i dziewczę dodając sobie odwagi, siadło do brożka, który się potoczył z nieodstępnym Nietyksza u drzwiczek.

Pan Izydor miał także wiadomości, które we dworze Radziwiłłowskim zaczerpnął. Tam spodziewano się napewno już, iż wjazd około dziesiątego, to jest za dni kilka nastąpić musi. Ponieważ ks. Albrecht marszałkował u królowej, wydane przez niego rozkazy do gotowości

dla pocztów własnych i rodziny miały pewne znaczenie.

Bietka tem była przynajmniej pocieszoną nieco, a choć wogóle to, co wiozła, pocieszającem nie było, postanowiła królowej nie straszyć i owszem stan rzeczy jej odmalować lepszym, niż był wistocie, aby odwagi nabrała.

Śmiejąc się i żartując z Nietykszy, którego koń był niesforny, a on sam roztargniony, dziewczęta przebyły drogę do Falent prędzej, niż się spodziewały.

Wiatr wiosenny szybko suszył roztopy, błotnista droga, którą królowę straszono, mniej się wydawała przykrą. Bietka z bijącem sercem, zabierając się trochę kłamać, wyskoczyła z brożka przed oficyną w Falentach.

V.

Przed częścią dygnitarzy i senatorów król był zmuszonym zachować się tak, aby nie dać poznać po sobie, iż zaszło coś odstręczającego od królowej i zniechęcającego do niej. Mianowicie z surowego obyczaju księciem Albrechtem Radziwiłłem, którego mianował marszałkiem dla przyjęcia przybywającej, obchodził się tak, jakby tylko choroba stawała na przeszkodzie powitania w Falentach i wyjechania naprzeciw.

Ks. Radziwiłł, któremu i królowej widocznie cierpiącej na tem lekceważeniu, żal było, a prócz tego i przed marszałkową de Guebriant musiał tłumaczyć króla, starał się przynajmniej jakiemiś dowodami grzeczności i uprzejmości w oczach ludzi pokryć to postępowanie.

Panna Amanda tymczasem i jej przyjaciele robili, co mogli, aby króla utrzymać w tem usposobieniu niechętnem i wstrzymać od wszelkich zbyt obiecujących objawów. Król się wahał i cierpiał.

Tymczasem pobyt w Falentach u pana Opackiego przeciągał się i pozostawienie tam królowej samotnej,

prawie bez wiadomości od króla, opuszczonej, musiało być uderzającem. Radziwiłł więc, który był uwiadomiony o wszystkiem, ale przed królem nie dawał tego poznać, wniósł, ażeby przynajmniej małego królewicza wyprawić i dać go poznać przyszłej matce przybranej, która się jego wychowaniem zająć miała.

Król wysłuchał tego wniosku zimno, sam bowiem wprzód już myślał, iżby to było przyzwoitem, ale nie wiedział, co na to powie panna Amanda. Miała ona zwierzchni nadzór nad nim, odebrać go jej, posłać bez niej — mogło dla Niemki być obrażającem; posłać z nią, było narazić, może. Zresztą nie wiedział czy ona zechce towarzyszyć wychowańcowi, a był pewnym, że wysłaniu go się sprzeciwi. W pierwszej więc chwili nie odpowiedział nic Radziwiłłowi.

Kazał zawołać po wyjściu jego Paca, który mu służył na pośrednika.

— Zygmunta każą mi posłać królowej — odezwał się — niezawodnieby to uczynić wypadało. Tak jest — powtórzył, zasępiając się — ludzie już i tak mruczą... domyślają się. Wiesz, że żona Cezara nawet podejrzewaną być nie powinna. Co zaszło, to musi pozostać między mną a nią, a tymczasem pozory ocalić należy dla dostojeństwa korony.

Pac milczał.

— Idź z tem do Amandy — dodał król. — Pojedzie ona sama z Zygmuntem.

Spojrzał król na wojewodzica, który usta zagryzał.

— Gdyby pojechała — mówił Władysław dalej — obawiałbym się jakiego fałszywego kroku... Nie panuje dosyć nad sobą.

— N. Panie, nadto jest do W. Król. Mości przywiązana — rzekł Pac; — trudno po niej wymagać krwi zimnej w tej chwili, gdy widzi, co jej zagraża.

— Ale cóż jej zagraża? — kwaśno przerwał król.— Dotąd nic a nic. Ode mnie zależy miejsce jej i funkcye przy Zygmuncie zachować. Królewicz nie ma lat siedmiu, więc jeszcze kobiecej opieki potrzebuje.

— A królowa? — szepnął Pac.

— Królowa nie może się przecie zajmować drobnostkami — rzekł król — i niewiadomo jeszcze, jak się ułoży życie jej w przyszłości.

Podumał król nieco.

— Amanda powinnaby to wymódz na sobie i jechać, jako ochmistrzyni z królewiczem do Falent: poznałaby ją prędzej i mnie relacyę przywiozła.

— Książę Karol, zdaje mi się...—wtrącił Pac.

Władysław ramionami rzucił.

— Waszmość wiesz, że książę Karol na kobiety nie patrzy i ledwie do nich mówić raczy. Królowa dla niego nie stanowi wyjątku. Jestem pewnym, że choć ją często w ciągu podróży widywał, nie wie ani koloru jej oczów, ni włosów. O królowej dotąd nie miałem takiej relacyi, jakąbym życzył mieć od nikogo. Radziwił chwali... chwalą wszyscy...

— Panna Amanda—począł Pac cicho—będzie przeciwną wysłaniu królewicza, a jeśli mi wolno ją tłumaczyć, powiem, że może ma słuszność, bo królowa tem nadskakiwaniem jej łudzić się gotowa.

Władysław słuchał ze wzrokiem wlepionym w posadzkę

— Królewicza wysłać potrzeba—rzekł.—Ceremoniał dworski tego wymaga. Byłoby uchybieniem. Idź z tem do Amandy.

Wojewodzic skłonił się i wyszedł krokiem przyśpieszonym z poselstwem, które mu wcale nie smakowało. Wiedział, co go tu czeka.

Królewicza nie było przy niej, siedziała sama, dni całe spędzając w gorączce, rozpędzając swe sługi, gniewając się na wszystkich, płacząc naprzemiany i dąsając się. Napróżno sam król i przyjaciele ją uspokajali, a Władysław nawet więcej okazywał czułości, niż przed kilku miesiącami; przewidywała, że się tu osiedzieć i pozostać nie będzie mogła. Naprzemiany to sama chciała dwór opuścić, to się upierała na nim pozostać.

Na wychowańca swojego, Zygmunta, nie mogła rachować. Nie miała przywiązania do niego i pozyskać też sobie dziecka nie umiała. Zygmunt, któremu już podszepnięto, iż zapewne straci swą ochmistrzynię, mówił o tem z zupełną obojętnością. Spodziewał się, iż przy tej zmianie przejdzie pod dozór męski, a tego sobie życzył, bo miał się już za dorosłego.

Gdy Pac wszedł do pokoju Niemki, zastał ją opartą na stoliczku, ze śladami łez na oczach, ale razem gniewu na twarzy.

Pac obejrzał się, czy ich nie podsłuchiwano.

— Zdaje się,—rzekł—że królowa zażądała, aby jej królewicza przywieziono do Falent. Chce go poznać.

— Byłam pewna—wykrzyknęła Amanda,—że wymyślą i to wkońcu... Królowa! Waćpan wierzysz, że to królowa... nie... jej przyjaciele chcą tej grzeczności?

— Król sobie też życzy!

— Król nie ma najmniejszej mocy charakteru—zawołała Niemka.—Wie, że go oszukano, że ta jego dziewicza narzeczona była już zaręczoną, narzeczoną i zapewne więcej jeszcze... książęcia... książąt... i nie wiem ilu faworytów.

Plątała się i jąkała.

— Postanowił był okazać jej—mówiła dalej,—iż nie jest ślepym i głuchym, że wie o wszystkiem. Dał jej już do zrozumienia, że czułym małżonkiem być nie myśli, bo i zwlókł przybycie i wcale na krok się na spotkanie ruszyć nie myśli, a teraz nagle namówiono go na wcale co innego.

— A! tegom się powinna była spodziewać!—dodała z gniewem.—On nie ma serca! Gotów wyjechać sam!

Rozpłakała się, ukryła twarz w dłonie i szlochała ze złości.

— Król—pochwycił Pac—nie jest panem swych czynności, musi uledz pewnym wymaganiom. Tysiące oczów patrzy na niego, tłumaczą złośliwie, dla majestatu tronu musi zachować pewne pozory.

— Niech więc robi, co chce—wykrzyknęła panna Amanda.—Niech mnie jutro precz stąd wygna, niech jej odda królewicza, aby go struła niech...

Dokończyła łkaniem. Pac był mocno skłopotany.

— Panna Amanda nie masz wcale nad sobą mocy

i wiary w siebie—odezwał się. — Co tu pomoże płacz i narzekania? Więcej daleko zuchwalstwem i odwagąbyś wygrała. Samabyś mogła jechać do niej z królewiczem.

Dał się słyszeć krzyk. Niemka porwała się i padła na siedzenie.

— Ja? do niej? Jechać, kłaniać się, aby mi tam wzgardę rzucono w oczy i traktowano, jak sługę? Wolę pieszo wyjść stąd i porzucić wszystko!

Wojewodzic czekał uspokojenia i nie mówił więcej, aby jej nie drażnić.

Niemka wreszcie, wymęczywszy siebie i jego, podniosła się z siedzenia z zaognionemi oczyma.

— Niech z królewiczem robią, co chcą!—rzekła.— Naturalnie nowa pani potrafi go sobie ugłaskać i pozyskać. Wszystko to jest przeciwko mnie wymierzone.

— I zamiast się bronić, wy składacie broń?—wtrącił Pac.—Przyznam się, że się tego nie spodziewałem.

Amanda rzucała się na siedzeniu, to odwracając od wojewodzica, to spoglądając ku niemu z wymówką.

— Wy wszyscy teraz—rzekła—działacie przeciwko mnie! Cała sieć intryg osnuta. Wy nawet, wy, wy!

— Ja?—podchwycił Pac.

— Wy! tak... jeśli nie sam, to twoi—mówiła żywo Niemka. — Sądzisz, że ja nie wiem, jak to było zręcznie osnutem, aby królowę zawczasu ostrzedz o wszystkiem, uwiadomić o tem, co się na dworze dzieje, nauczyć, co ma robić.

— A! ta żmija!—dodała z rosnącym gniewem, rękę ściskając i podnosząc—ta żmija!

— Kto?—spytał Pac spokojnie.

— Udajesz niewinnego? Ty? jakbyś nic nie wiedział. Bietka, ta wasza ulubienica.. ta... wyrwała mi się z rąk po to tylko, aby się znalazła na dworze królowej. Ona teraz podszeptuje, co ma robić królowa, jak się bronić, jak z królem postępować, a nadewszystko, jak się mnie stąd pozbyć.

Na chwilę gniew mówić jej nie dał, tylko czarne oczy zapałały ogniem mściwym.

— Ale ja też nie jestem już tak całkiem bezsilną, jak się zdawać może—mówiła drżącym głosem; — znajdę sobie przyjaciół, pomocników i potrafię się zemścić.

Z królową ona przecież tu na zamek przybyć musi, a wiem, że jest przy niej, że tam uczy i tłumaczy, co poczynać mają, że Francuzom zdradza wszystkie tajemnice. Gdy się zjawi tu na zamku, o! ani królowa, ani Francuzi nie potrafią jej obronić ode mnie. Muszę się zemścić!

I silnie uderzyła w stół ręką.

— Wyprawili ją stąd umyślnie—poczęła żywo—Kazanowscy... wiem o tem, ale czynili tak, jakby się do niczego nie mieszali. Oni zawsze neutralnymi się czynią. Marszałek wita mnie uprzejmym uśmiechem, choć nienawidzi. Marszałkowa, gdy się jej przyjdzie otrzeć o mnie, nie widzi, nie ogląda się, nie chce znać. Król ma pięknych przyjaciół!

Wróciła znowu do Bietki.

— Pan przecie powinieneś o swej przyjaciółeczce być uwiadomionym—odezwała się szydersko.—Biegałeś za nią i pewnie niedaremnie; miała tu was i wielu z wami.

Zarumienił się wojewodzic.

— Panna Amanda wiesz najlepiej, że choć to serca królewskiego nie sięga i jest sobie fantazyą przemijającą, ale król miewa kaprysy, a ja jestem sługą i muszę się starać mu dopomódz. Rzucił był okiem na to dziewczę, kazał mi ją dla siebie ugłaskać.

— Składasz teraz na króla—wybuchnęła Amanda.— Chyba ty sam mu ją nastręczyłeś. Kłamstwa i brudne intrygi. Nigdy nie uwierzę temu, ażeby wyprawa tej dziewczyny na dwór królowej, z takim pośpiechem dla ostrzeżenia, stała się bez udziału was wszystkich. Mówicie sobie, że król mnie się pozbędzie, że Francuzka zapanuje, wcześnie zaskarbicie jej łaski

Spojrzała ostro na wojewodzica, jakby chciała wywołać odpowiedź, ale Pac milczał i wąsa pokręcał. Dał się jej wyburzyć i wypłakać—czekał.

— Z czem powrócę do króla?—spytał w końcu— Z góry wiedziałem, że wy z królewiczem do Falent jechać

nie zechcecie, ale podróż królewicza jest pomimo to nieuniknioną.

—Zatem mnie się ani pytać, ani radzić nie było potrzeba —wtrąciła z przekąsem.—Jestem tu zawsze sługą. Przynosicie mi rozkazy, ja się do niczego mieszać nie mam prawa. Król mnie tylko zmusić nie może, abym ja do Falent jechała—To nie!

— Przecież—rzekł Pac chłodno,—gdy królowa przyjedzie, gdy cały dwór się jej przedstawiać będzie, nieuniknionem jest, że i wy.

Zmierzyła go Niemka wzrokiem przeszywającym i nic nie odpowiadając, odwróciła się ze wzgardą.

Wojewodzic, znudzony dosyć tem poselstwem, powrócił do króla, ale go zastał zajętym gośćmi.

Przybywały oddziały różne, które miały wjazd królowej do Warszawy uświetniać; panowie, co je prowadzili, codzień się przedstawiali królowi, po większej części nie wiedząc, co się działo na dworze i wyobrażając sobie, iż król wdzięczen im być musi za to uczczenie narzeczonej.

Po kraju krążyły jeszcze wieści, że król od bardzo dawna się kochał w księżniczce Niwerneńskiej, że się o nią starał już raz przed ożenieniem z Cecylią, a teraz powrócił do dawnej tylko ku niej skłonności. Kto mógł więc, starał się panu przypodobać, przybywając do Warszawy z umyślnie wystawionym oddziałem ludzi.

Dosyć zimno przyjmował Władysław te dowody przywiązania.

Ciągnęły się jedne po drugich odwiedziny, aż Pac wkońcu mógł przyjść z raportem.

— Mówiłeś z nią?—spytał król.

— Tak—rzekł wojewodzic,—ja mówiłem, a ona płakała .. no i łajała.

Chwilka milczenia nastąpiła potem.

— Amanda wcale nie myśli z królewiczem jechać—rzekł Pac,—ale trudno tego było po niej wymagać.

Władysław oddychał ciężko, zadumał się.

— A! te kobiety—odezwał się—te kobiety!...

Skończyło się na tem. Oznajmiono księcia Karola, który wchodził, jak zawsze posępny, zachmurzony, sztywny, gdyż starał się, znając swój gwałtowny temperament, trzymać na wodzy i wydawać ostygłym.

— Chciałeś się widzieć ze mną?—zapytał cicho, zbliżając się ku łożu.

— Tak, bo musisz jutro z Zygmuntem do Falent—rzekł król.—Mówią mi wszyscy, iż królewicza należy jej zawieźć; nie mam go komu powierzyć, najwłaściwszym posłem jesteś ty.

— Ja?—ruszając ramionami i siadając w krześle, odparł ze znużoną miną książę Karol.—Ja? ale ty wiesz, jak mnie w towarzystwie kobiet jest obco i nie swojo. Oprócz pana de Brégy i biskupa auriackiego, którzy tam oba podrzędną rolę grają obok pani de Guebriant,—same kobiety.

— Guebriant wiezie z sobą siostrzenicę, bardzo podobno piękną?—wtrącił król złośliwie nieco, wiedząc, że biskupowi tem dokuczy, bo ten i mówienia, i spoglądania na płeć żeńską unikał, i znanym był z tego.

— Nie widziałem jej—odparł sucho.—Co mnie to obchodzi, a sądzę, że i ciebie nie powinno?

— Ty wiesz, że ja piękne twarze lubię.

Biskup zmilczał trochę.

— Widziałeś ich już dosyć—szepnął po chwili.

— Jedziesz więc jutro z Zygmuntem? — dodał król.

— Jeżeli to jest nieuniknionem—szepnął biskup.

Oba westchnęli. Książę Karol powstał zaraz, zatrzymał się jeszcze krótko przed królem i zabrał do wyjścia.

— Właśnie jutro—odezwał się—miałem coś siać i przesadzać w ogródku.

— A! w tem masz się komu zastąpić—rzekł Władysław.

— Byłoby mi najprzykrzej właśnie być zastąpionym, bo mi to sprawia przyjemność. Lubię nietylko kwiatki ale i starania około nich.

Po ustach Władysława przebiegł uśmiech, w którym był odcień politowania.

Wkrótce po wyjściu księcia Karola, jak burza wpadł młody królewicz do sypialni ojca, lecz w progu sobie przy-

pominiawszy uszanowanie, jakie mu nakazywano, starał się powściągnąć i uspokoić. Pocałował rękę ojca.

— Jutro jedziesz ze stryjem Karolem do Falent — rzekł król—pokłonić się królowej. Spodziewam się, że tam będziesz się jak należy sprawował i niezbyt dokazywał. Dla królowej, jak dla mnie, powinieneś być z uszanowaniem.

Król chciał coś dodać, ale się powstrzymał; nie mógł wtajemniczać dziecięcia, a obawiał zbytniej jego czułości.

Królewicz był już cały przejęty jutrzejszą podróżą swoją i wielce nią szczęśliwy. Pochlebiało mu to, że był powierzonym stryjowi, i że żaden nadzór kobiecy, czyniący go dzieckiem, ciężyć mu nie będzie. Chciał ojcu opowiedzieć, jakby życzył sobie ustroić się, ale rozmowę przerwało nadejście Kazanowskiego.

W Falentach zapowiedziano wieczorem te odwiedziny królewicza, które, choć je trochę opóźnionemi znajdowała pani de Guebriant, zaspokajały ją przecież. Etykieta i przyzwoitość były ocalone.

Bolała nad tem niezmiernie, iż sam król nie mógł się dostać do Falent, do czego był conajmniej obowiązanym; tłumaczono to zawsze chorobą, dodawano, że próbował nawet siąść do kolebki, ale ruch powozu wywołał takie boleści, iż musiał nazad powrócić.

Wysiadającego w ganku Zygmuntka powitała zdala twarzyczka znajoma. W rogu dworu stała bardzo mu ulubiona Bietka, ta, którą dawniej przyjaciółką nazywał. Z okrzykiem byłby się ku niej rzucił pewnie, gdyby biskup za rączkę go nie pochwycił i nie zmusił wnijść do pokoju, w którym czekała na nich królowa.

Poprzedzali biskupa i królewicza razem z nimi wysłani, aby temu przedstawieniu jego nadać cechę urzędową i uroczystą, arcybiskup gnieźnieński i marszałek Kazanowski. Nie obeszło się więc bez mowy solennej, do której może mimowoli arcybiskup ziarnko gorzkie dorzucił... Zygmunta, jako spodziewanego w przyszłości następcę króla podając, co dla królowej zbyt przyjemnem być nie mogło, gdyby ją Bóg obdarzył rodziną.

Królowa zaledwie się mogła przybliżyć do chłopaczka, którego serce sobie pozyskać pragnęła. Książę i marszałek Kazanowski, obawiając się jakiegoś niezręcznego słowa, pilnowali nazbyt żywego królewicza.

Marszałek Kazanowski dał się tu poznać Maryi Ludwice lepiej, niż przy pierwszych odwiedzinach, nadzwyczaj umiejętnie i zręcznie prowadząc i naginając rozmowę tak, aby w niej żadnego dźwięku dysharmonijnego nie dopuścić.

Wszyscy poprzybierali twarze na tę uroczystość wesołe, chociaż one mało kogo mogły uwieść. Poza niemi czuć było coś groźnego i niepewnie kryjącego się w mrokach.

Pani de Guebriant, która zręcznością przechodziła może marszałka Kazanowskiego, mówiła za królowę; potakiwał jej poseł, pan de Brégy, a biskup auriacki z wielką uniżonością zabawiać się starał poważnego prymasa. Królewicz słuchał i mało się potrzebował odzywać. Przez cały ciąg tych odwiedzin ceremonialnych nie wypuszczono go ani na moment z pod nadzoru i nie dano mu się poruszyć swobodnie. Trwało to aż do wyjazdu, który równie uroczystemi formami, jak przybycie, otoczony, wydawał się obrzędem jakimś niemal przymusowym.

Jedna pani de Guebriant, której szło o zachowanie form i etykiety, była tem zachwyconą. Unosiła się nad bardzo ładnym królewiczem, nad mową arcybiskupa, nad dystynkcyą Kazanowskiego, a nawet nad dworem i powozami, któremi przybyli.

Królowa ciągle była milczącą.

Następnych dni na odwiedzających nie zbywało. Zdawało się, że nie chciano królowej dać się opamiętać, spocząć, pozwolić myśleć. Z Warszawy napływali panowie i panie z pokłonami, chociaż znaczna ich część tłumacza potrzebowała, nie umiejąc po francusku.

Biskup auriacki, pan de Brégy, potrosze sekretarz królowej, Desnoyers, zabawiali, jak mogli, gości, dla których musiano ciągle stoły nakrywać i czemś zastawiać, co kuchmistrza de Ronsay przyprowadzało do rozpaczy.

Z Warszawy przychodziły najrozmaitsze wiadomości

o królu, o dworze, o cichych intrygach, które jak miny pod twierdzę zawczasu podkładano, aby przybywająca pani bezpiecznie kroku stąpić nie mogła.

Bardzo szczęśliwem to było dla wszystkich, że od królowej i tego, co ją jak chmura groźna otaczało, odwracały oczy rozmaite sprawy, zajmujące i króla i dwór jego.

Do posłów weneckiego i francuskiego, jacy już gościli w Warszawie, przybywał w tych dniach moskiewski, na którego król oczekiwał, bo sobie życzył pozyskać cara w przededniu marzonej wojny z Turcyą, jako sojusznika i pomocnika. Wyznaczono mu nawet lepszą, niż zwykle gospodę, nie w Giełdzie przy Długiej ulicy, ale w domu arcybiskupa i podejmować go nakazano jak najuprzejmiej.

Przybycie tego poselstwa rodziło przytem trudność, bo Tiepolo, wenecki patrycyusz, wysłany tu od rzeczypospolitej, zawczasu zapowiadał, iż nie da się posiąść posłowi cara, a znano z drugiej strony nezmierną drażliwość moskiewskich posłanników. Pan de Brégy, poseł francuski, także musiał godności swego pana strzedz w sobie. Wymijać się więc musiano ostrożnie, aby do konfliktu nie przyszło.

Codzień po kilka razy przybywali do Warszawy powracający z Falent, wszyscy prawie zachwyceni królową, uprzejmością jej i rozumem. Króla to niecierpliwiło.

Zbliżał się już dzień uroczystego wjazdu; kazał Pacowi z jakimś komplementem udać się do Falent.

— Powiesz mi przecie prawdę, bez tych pochlebstw i adulacyi dla królowej. Chcę wiedzieć, jaką ona jest. Rozpatrz się we dworze, poznaj panią de Guebriant. Usiłują mnie nią nastraszyć.

Niechętnie podjął się Pac posłannictwa, lecz wymówić się od niego nie było sposobu.

Zawiadomiona Amanda spojrzała ostro.

— Zobaczymy—rzekła,—jakim mi się okażesz przyjacielem.

Dzień, chociaż bardzo jeszcze do zimowego podobny

(było to 9 marca), trochę już wiosnę zapowiadał. Pac przybył do Falent raniej, niż był powinien. Nie było go komu przyjąć... zajrzał do ogrodu.

Jakim sposobem znalazła się tu Bietka? ani on, ani onaby tego wytłumaczyć nie umiała. Dworak skorzystał z tego skwapliwie, ale ją znalazł wielce zmienioną.

— Przybywasz pan na zwiady?—odezwała się szydersko.—Ja go tu oddawna wyglądałam. Spodziewam się, że zdasz panu sprawę wierną z tego, co tu u nas zobaczysz. Ale cóż się dzieje z moją przyjaciółką?—wtrąciła.—Czy jeszcze jest w Warszawie?

— Spodziewa się nawet pozostać, nie ruszając z zajmowanego apartamentu—rzekł Pac;—trzeba się do tego przygotować.

— Na początek—odparła Bietka,—lecz wszystko się to z czasem zmieni. Radź pan pannie Amandzie, jako jej dobry przyjaciel, ażeby wcześnie sobie tłomoki przysposabiać zaczęła. Dwóch pań żaden dwór nie cierpi, a my wieziemy taką, która nietylko mieć będzie prawo sama tam królować, ale i siłę do tego potrzebną.

— Królewicz—odezwał się Pac—potrzebuje nadzoru kobiecego; bez niego się nie obejdzie.

— Ten mu przybrana matka obmyśli—rzekła Bietka.

— Macocha—poprawił, śmiejąc się, Pac.

— Ja myślę, że matką być potrafi—zamruczała Bietka.—Jeśliście się spodziewali łatwego zwycięstwa...

— Proszę mnie do wojujących nie mieszać—rzekł Pac.—Pani to najlepiej wiesz, że ja królowi jednemu służę i na nikogo się więcej nie oglądam. Dopóki król mieć będzie słabość, czy przywiązanie do Amandy...

— Szczęściem, że król na długo nigdy się nie przywiązuje—dorzuciła Bietka.

Miał już odchodzić, gdy po namyśle zwrócił się ku dziewczęciu.

— Nie zdradzaj mnie—rzekł,—ale przestrzedz muszę... Amanda zemstę poprzysięga!

— Cóżem ja jej zawiniła?—z udanem zadziwieniem spytała Bietka.

— Ona wie wszystko—mówił dalej Pac;—kto jej doniósł o tem, nie wiem. Miejcie się na baczności.

— Dziękuję za życzliwą przestrogę, nawzajem możesz jej pan powiedzieć, że ja zemstę poprzysięgłam jeszcze wprzódy... która z nas będzie silniejszą—nie wiem!

— Król bardzo się do niej przywiązał ostatniemi czasy—rzekł Pac.

— Bardzo przyzwyczaił—przerwała Bietka—a to mnie uspokaja właśnie, bo im bardziej nawykł, tem się prędzej znudzi. Pan znasz króla.

— I pannę Amandę, która go zna lepiej jeszcze, a wie, czem go do siebie przyciągnąć może—rzekł Pac. — Więc pewnie w środkach przebierać nie będzie.

Z uśmiechem skłoniło mu się dziewczę zdalcka; nadchodził w tej chwili pan des Essarts z oznajmieniem, że królowa wysłanego od męża przyjąć mogła.

Królowa była o Pacu uprzedzoną i znała go dobrze; wiedziała, że przybywał, aby zdać sprawę z tego, co tu postrzeże i usłyszy; przyjęła go więc nadzwyczaj zimno i wymówiwszy się bólem głowy, natychmiast wyszła. Do stołu zaś zaproszono go wprawdzie, ale królowa się nie ukazała. Miał tylko zręczność zapoznać się z posłową i jej śliczną siostrzenicą, którą był zachwyconym z panną d'Aubigny, która z niego nadzwyczaj zręcznie żartowała, kwaśną p. Langeron, z milczącą des Essarts, z doktorem de Lafage i ks. de Fleury.

Królowa poleciła pani d'Aubigny, aby nie oszczędzała Paca, bo był nieprzyjacielem i z tego, co mówiła Bietka kilka szczegółów o nim posłużyło zręcznej Normandce-Włoszce do wprawienia w kłopot nieszczęśliwego wojewodzica. Były to dwuznaczne frazesa, niepowiadające nic na pozór, a mogące się łatwo do przeszłości dworaka stosować.

Cały dwór królowej i wielka posłowa mieli sobie za obowiązek wszystko chwalić i wszystkiem się zachwycać; z przyjęcia byli nadzwyczaj radzi... humory stroili na ton najwyższy.

Des Noyers, sekretarz, zapewniał, że we Francyi nie widział tak misternie urządzonego teatru, jak w Gdańsku,

a całą Europę przejechawszy, podobnego jak tu rycerstwa, widzieć nie było można. Były to ostatnie szczątki starej *chevallerie.*

Oprócz pani de Guebriant, która przy stole spytała po cichu o zdrowie króla, jak gdyby głośne mówienie o chorobie nowożeńca znajdowała nieprzyzwoitem, nikt o nic nie zapytał nawet.

Pac zapowiadał wjazd do Warszawy niewypowiedzianie okazały.

Po obiedzie, odwiedziwszy posła, p. de Brégy i biskupa auriackiego, Pac musiał wracać, bo nie miał tu co robić. Powracał zaś upokorzony, bo z próżnym mieszkiem, gdy król tylko go po wiadomości wysłał.

Wojewodzic miał dosyć żywej imaginacyi i daru słowa, aby z tego co tu pochwycił, zrobić obrazek, powiększyć, uzupełnić, ale zły był, bo widział w tem robotę tej lekko szacowanej dzieweczki, którą miano za nic, a która się potrafiła uczynić narzędziem ważnem i sprężyną wszystkiego, co się tu działo. Uznawał, że panna Amanda miała słuszność, pragnąc się pomścić, bo było za co.

Wyjeżdżającemu z za altany ogrodowej nad drogą Bietka, czatująca tam z Zubkówną, szyderski posłała ukłon.

Wojewodzic się rozgniewał.

— A to szatan dziewczyna!—mruczał.

Król kazał go do siebie wołać, jak tylko powróci; nie dano mu wprzódy wpaść do Amandy, czego sobie życzył —Władysław się niecierpliwił.

Pac stawił się zimny, małomówny, zmęczony.

— Znalazłem na nieszczęście królowę chorą na głowę—rzekł—tak, że tylko na bardzo krótką chwilę miałem szczęście być przypuszczonym. Skarżyła się N. Pani na zmęczenie, i nie dziw, bo od kilku miesięcy bezprzestannie jest narażoną na uroczyste przyjęcia i na podróż. Klimat się też dał uczuć.

— Piękna?—zapytał król—wygląda młodo jeszcze?

Pac zawahał się.

— Piękna — rzekł — i do portretu podobna, ale...

sama podróż tłumaczy, dlaczego się wydaje być zmęczoną.

— Ale mówże, co sądzisz o niej!—zawołał król niecierpliwie.—Nadewszystko bez ogródki! bez względu na to, z jakiej krwi pochodzi.

— Po tak krótkiem widzeniu—odezwał się Pac — cóż ja mogę więcej powiedzieć? Wydała mi się dosyć dumną, ale uprzejmą i grzeczną; dostojeństwo królewskie i koronę godnie nosić potrafi.

Pac podniósł oczy i wlepił je w króla.

— Jest w niej krew francuska i włoska—dodał,— niełatwo ją będzie uczynić powolną.

Władysław zrozumiał przestrogę, lecz ufał sobie.

— O, to moja rzecz!—rzekł.—Nagiąć i zmusić do posłuszeństwa potrafię. Nie jestem z tych, to się zawojować dają.

Mówił to z wielką wiarą w siebie.

Pac potem odmalował panią de Guebriant jako istotnie stworzoną do poselstwa, znakomitego umysłu i taktu osobę, ale wpadłszy na wspomnienie jej siostrzenicy, o której już królowi mówiono, uniósł się i miarę stracił, powiadając, że piękniejszej kobiety w życiu ani widział, ani sobie wyobrażał.

— Królowa przy niej gaśnie—zamruczał Władysław, —pani marszałkowa nie dała dowodu zręczności, biorąc ją z sobą dla porównania.

Wojewodzic tłumaczył p. de Guebriant tem, że pomiędzy szesnasto czy siedemnastoletnią panieneczką a dojrzałą i rozwiniętą w pełni pięknością Maryi Ludwiki porównania być nie mogło. Były to dwie zupełnie różnego rodzaju istoty.

Takie było czy usposobienie umysłu króla, czy potrzeba roztargnienia, iż mając tyle przykrych i dojmujących spraw na głowie, o wszystkiem zapomniał dla pięknej siostrzenicy posłowej i zdawał się już niecierpliwszym widzieć ją, niż królowę.

— Pac! — rzekł do niego wkońcu. — Staraj się wkupić w jej łaski, będziesz moim pośrednikiem.

Wojewodzic osłupiał.

— Jakto?, N. Panie?

Rozśmiał się król.

— Chcesz, żebym tego kwiatka nawet nie powąchał? —rzekł wesoło.—Nacóżbym królem był, gdyby mi to nawet rozrywek podobnych nie ułatwiało. Wydamy tu pannę zamąż...

Rozmowa, głównie o kobietach przeciągnęła się dosyć długo.

Tymczasem panna Amanda, z równą przynajmniej niecierpliwością oczekująca powrotu Paca, jak król, zżymała się, napróżno go wyglądając.

Przyszedł tak późno, zmęczony i znudzony, iż małoco mogła się od niego dowiedzieć. Zwierzył się jej tylko, że widział tam Bietkę, która zdawała się już zupełnie wcieloną do dworu i z nim obytą, i że wydawała mu się słowo w słowo tak usposobiona dla panny Amandy, jak ona dla niej była.

Głównie jednak Niemka dowiadywała się o królowę.

— To tylko wam powiem—zakończył Pac—że pokorną, jak Cecylia, ani tak bojaźliwą i posłuszną, jak ona, nie będzie. Kobiety na dworze francuskim nawykły wszystkie grać znaczną rolę; ona żyła już, widziała dość dużo, ma doświadczenie i z pewnością jedzie nie dać się zawojować, ale zawojowywać.

— Król jest ostrzeżony —odpowiedziała Niemka,— tem lepiej, wywiąże się walka, a Władysław, pan nasz, w żadnej się dać zwyciężyć nie może. Francuzka pozostanie tu tak, jak osamotnioną... nas jest więcej i my znamy grunt, po którym chodzimy.

Panna Amanda w ten sposób dodawała sobie ducha i męstwa, którego pono nie miała. Pac nie miał ochoty z nią prowadzić sporu. Kilka razy zwróciła rozmowę na Bietkę i wyrwało się jej:

— Jej się pozbyć stąd potrzeba!

— Wątpię, ażeby królowa łatwo się z nią rozstała, jeżeli jest jej tak użyteczną—rzekł Pac.

— Alboż niema sposobów uprzątnienia z drogi tego, co nam zawadza?—z rodzajem pogardy zawołała Niemka.—Dziewczę jest zalotne i płoche, mężczyźni czasem

z tego umieją korzystać. Słyszymy codzień o porwanych, i uwiedzionych gwałtem. Ktoś ją też może namówić, pochwycić i nas od niej uwolnić?

Mówiła to tak dwuznacznie, iż Pac prawie domyślać się mógł, jakby już osnutego planu. Chociaż dziewczę mu dokuczyło, ukląkł się i postanowił strzedz, aby mściwa Niemka groźby nie doprowadziła do skutku.

VI.

Około jedenastej z rana naznaczonego dnia królowa siadła wreszcie do tej kolebki złoconej, która ją na tron zawieźć miała, przed oblicze tego, co miał być mężem jej i panem, uprzedzonego, zniechęconego, zmuszonego niemal do małżeństwa.

Napozór jednak nic tego ostygnięcia króla nie zdradzało. Królowę otaczał przepych, tłumy senatorów, panów, duchowieństwa, całe pułki rycerstwa najświetniejszego, okrzyki, uniesienia i oznaki radości.

Prawie od samych Falent po drodze stały uszykowane, jedne od drugich wykwintniej poprzybierane oddziały rycerstwa, wśród którego pułki Radziwiłłowskie, Kazanowskich, Ossolińskiego, Opalińskiego prym trzymały.

Francuzi nie mogli się nachwalić, szczególniej pancernej chorągwi królewskiej, ze skrzydłami, w złoconych koszulkach, w skórach lamparcich, których długie chorągiewki kopii aż po ziemi się ciągnęły. Za najmniejszym powiewem wiatru jedwabne te proporczyki unosiły się w powietrze i polatywały, jak różnobarwne obłoki nad złocistemi misiurkami rycerzy. Oprócz wojsk ciągnęły za królową niezmiernie liczne kolebki, powozy, kotcze panów, pełne postrojonych pań. Nie zachowywano żadnego porządku hierarchicznego w tym pochodzie i każdy zabierał miejsce, jakie mu się zdobyć udało.

Na chorągiewkach pułków herby malowane panów służyły za znaki, gdzie którego z nich szukać było potrzeba. Niezmierna rozmaitość i żywość barw, świetność zbroi, przepych w rzędach na konie porywał oczy. Było w tem wszystkiem może dla Francuzów coś dzikiego i nieco barbarzyńskiego, ale przepych, wspaniałość i bogactwo zdumiewało.

Szlachecka równość polska i tu się czuć dawała, gdyż każdy mógł sobie pierwsze miejsce przywłaszczyć, a nikt mu go odjąć nie śmiał, chyba siłą.

Francuzi niedobrze wiedzieli, co się działo przed nimi i za niemi, ich jednak gromadka uszykowała się wedle pewnego starszeństwa. W pierwszym powozie posadzono biskupa auriackiego, dawszy mu dwu polskich do towarzystwa; dalej jechał książę Karol z posłem Francyi, za nim marszałek dworu królowej z laską, urząd ten znamionującą, poprzedzający karetę Maryi Ludwiki. Królowa siedziała w niej z panią de Guebriant.

Tuż za nimi jechało dwudziestu trębaczów i przepyszny oddział jazdy, po którym szły powozy dworu, pań, panien, domowników i t. p.

U drzwiczek karety Maryi Ludwiki jechało konno dwóch urzędników przyszłego jej dworu, okrytych klejnotami i jaśniejących od złota. Na końcu postępowały cechy warszawskie w rozmaitych barwach, umyślnie na tę uroczystość sprawionych, krojem i modą francuską; mieszczan tych liczono do ośmiuset. Za nimi jeszcze szedł pułk ułanów.

U bramy krakowskiej czekał łuk zwycięzki o trzech wrotach, na którym orły polskie połączone z mantuańskiemi, niosły w dziobach różdżki oliwne i palmowe.

Lecz jakże nieskończenie długą wydawała się ta droga królowej, na którą tysiące oczów patrzyło, czytając w jej twarzy zmęczonej uczucia, które nią miotały. Sześć godzin wydały się wiekami.

Guebriant kiedy niekiedy orzeźwiającym zapachem starała się prawie omdlewającą ożywić i cicho szeptała:

— *Courage* (męstwa)!

Męstwa też było potrzeba olbrzymiego, aby przetrwać, nie omdlewając, te godziny, w których myśl wy-

ścigała czas i starała się odgadnąć ciemną przyszłość. Co ją tu czekało?

Chmurami zawleczony był horyzont. Nieznajomy człowiek, nieznany kraj, ludzie nieznani, w których nie wiedziała, czy ma się spodziewać wrogów, czy przyjaciół. Ponad tem wszystkiem korona.

Francya, która ją miała podpierać — daleko... ona tu sama, a wkrótce nawet ci, co jej towarzyszyli, opuścić ją mieli. Pokilkakroć na wspomnienie młodości i tych marzeń, które aż tronu Francyi sięgały, łzy zwilżały jej powieki. Młodość, złudzenia, wiara w serca i w ludzi, wszystko się rozwiało i znikło, pozostawało życie twarde, walka—komedya bolesna z uśmiechem na ustach.W sercu było pusto... korona i berło wydawały się zabawkami dziecięcemi.

Oczy jej błądziły to po tych pułkach strojnych tak dziwacznie, tak niepodobnych do muszkieterów i lancknechtów francuskich, to po szarych jeszcze polach i szkieletach drzew smutnych. Kiedyniekiedy wybuch okrzyków, odgłos trąb i kotłów przerywał marzenie.

Lecz i na zamku warszawskim król nie z mniejszym niepokojem czekał na małżonkę, którą poślubiał przymuszony, przeciwko woli. Ostatnie dni usposobiły go jak najnieprzyjaźniej dla królowej; postarała się o to Amanda, aby ją przyjął, nie tając swej odrazy.

Od rana już był przysposobiony strój, ozdoby, klejnoty, oznaczony orszak, urządzone wszystko tak, aby o niczem myśleć nie było potrzeba. Król kazał sobie, jakby dla utrzymania się w rozdrażnieniu, dawać znać o wjeździe, o zbliżeniu się orszaku, o każdym jego kroku.

Pac wchodził i wychodził, nieustannie coś przynosząc. Jednemu z senatorów koń padł i obalił się z nim na ziemię, przywieziono go na prostym wozie do domu. Musiano opowiadać, jak postępowały powozy, w którym jechał książę Karol, gdzie i po której stronie siedziała posłowa, jaki był strój Maryi Ludwiki.

Zadumany, posępny, król coraz to spoglądal na zegar stojący u łoża. O zwykłej godzinie kazał sobie podać jedzenie, ale roztargniony jadł mało, pił nieco więcej i natychmiast potem zawołał, że chce wstawać i ubierać się.

Trudno było ściśle obrachować godzinę, o której przybędzie królowa, ale Pac z tej drogi, jaką przebyła przed południem, wniósł, że przed piątą przybyć nie może.

Władysław, który ani kroku nie zrobił na przywitanie przybywającej, sam czuł, że przynajmniej wchodząc wprost do kościoła, przed ołtarzem go zastać powinna i nie być oczekiwaniem upokorzoną.

Chciał razem dać jej uczuć, że się zawiódł na niej i że był jednak mężem rycerskiej grzeczności, szanującym niewiastę. Dwa różne uczucia ciągle się w nim ścierały... wstręt przemagał.

Najmniejszy ruch około zamku, głośniejszy okrzyk w ulicy poruszał go; obawiał się, aby nie był zaskoczonym niespodzianie.

Pac musiał go uspokoić tem, że ustawił trzech konnych na wjeździe w przedmieścia i przed bramą Krakowską, którzy w porę mieli dać znać.

Zwolna kazał się pajukom swoim ubierać, ale z niczego nie był kontent. Naznaczone suknie, złotogłowy, koronki, peruka, szarfa wydały mu się zmięte, nieświeże. Rzucał je i gniewał się. Łajał szatnych, którzy znosili coraz to nowe, a coraz gorzej przyjmowane części stroju.

Wśród tego dziwaczenia, któreby ledwie w kobiecie usprawiedliwionem być mogło, pierścionek królowej Cecylii, który nosił na palcu od jej zgonu, zwrócił jego oko. Ta, której nigdy miłości nie okazywał za życia, wyrwała mu z piersi westchnienie. Żałował cichej, pobożnej, potulnej towarzyszki.

Jeden z dworzan króla, młody Korycki, który się domyślał, jak wiadomości o pochodzie będą pożądane, nadbiegł w tej chwili. Towarzyszył on zdaleka orszakowi od Falent prawie.

Król przerwał ubieranie się i chciwie słuchać począł.

— Wspaniale i przepysznie! — wołał Korycki.—Nie powstydzimy się Francuzów, N. Panie! Otwierają gęby szeroko na naszych pancernych ze skrzydłami i skórami lamparciemi. Chorągiewki kopijników zdumiewają ich swą długością i jeden z nich mnie pytał, na co się to zdać mogło.

Korycki śmiał się.

— Tarcze, sahajdaki, łuki, wszystko to dla nich nieznane rzeczy, a niektórzy panowie mają takie, że wistocie jest się czemu dziwić. Ossoliński jeden dźwiga tarczę pozłocistą, która dla samego kunsztu warta tyle, co dobry folwark: Niech znają Francuzi!—czwanił się Korycki, ale to jakoś króla nie rozweseliło.

Spytał cicho o królowę. Korycki, nie polityk, pomimo, że mu Pac znaki dawał, rzekł otwarcie:

— Królowej posłowa ciągle coś daje wąchać, ażeby nie osłabła. Widać na twarzy, jak zmęczona... albo to dziw, wloką się noga za nogą; z tyłu, jak tych dwudziestu trębaczy się odezwie, zdaje się, że uszy pękną; z boku krzyki, a koło powozu u drzwiczek, żeby nie pan kasztelan i koniuszy, toby do karety łby końskie wpadały. Ale, już co prawda, to prawda, że wspanialeśmy wystąpili. Radziwiłłowie po książęcemu, a przedewszystkiem usarze W. Król. Mości; tych choć malować!

Król słuchał chwilę z zajęciem.

— Kiedyż tu królowa stanie?—zapyta .

— O, myśmy rachowali już—rzekł Korycki.—Przed piątą trudno, aby stanęła, bo ciągle trzeba się zatrzymywać. Ale o piątej to już pewnie będzie.

—Trzeba dać znać nuncyuszowi—szepnął król.

Są w życiu naszem takie dnie, godziny i minuty, ciężkie do przebycia, poprzedzane przeczuciami złowrogiemi, niepokojem, długie, dławiące i duszące. Zdaje się, że nigdy nie przyjdą i nie przejdą, że coś z sobą przyniosą, co się wypiętnuje na wieki. Takim był ten dzień dla króla i dla królowej..

Wejrzenie żywe, które na siebie rzucić mieli, mogło dopiero odsłonić im obojgu tajemnicę przyszłości... ono wyrokowało o tem, czy miłować się mieli, czy nienawidzieć.

Wszystko, co mówili ludzie, co pisano, konterfekty, malatury, opowiadania, miały zniknąć i roztopić się we wrażeniu tego wejrzenia pierwszego. Ono stanowiło o przyszłości.

Z całem swem męstwem bohatera, Władysław drżał, a królowa płakała. Przeznaczenie obojga spełnić się miało.

Król patrzał na posuwające się igiełki zegaru z trwogą. Teraz zdawały się już biedz zbyt szybko, godzina się zbliżała. Zdala gdzieś od przedmieść głucho ozwały się dzwony. Władysław podniósł się z krzesła, aby wdziać płaszczyk, ręką drżącą wziął kapelusz i laskę, bez której iśćby nie mógł. W przedpokoju słychać było nadchodzących senatorów, którzy mu towarzyszyć mieli do kościoła. Zamyślony, zasępiony, król ust nie otwierał, poruszał się machinalnie, dając niekiedy oznaki zniecierpliwienia.

Głośno poczęły rozlegać się dzwony... otwarto podwoje i poprzedzany przez kilku dworzan, król skierował się ku gankom, do kościoła Ś. Jana wiodącym.

Pochód to był smutny, jak żałobny; król szedł z głową na piersi zwieszoną, dwór ostrożnie spoglądał po sobie.

Stary kościół Ś. Jana, wielkie owo mauzoleum rodu książąt mazowieckich, z tragicznemi podaniami ich dziejów, pomimo rzęsistych świateł i zieleni, smutnie wyglądał i grobowo. Jarzemski powiada, że „stary płaszcz dźwigał na sobie”. Lecz nie tylko to pokrycie zczerniałe i mury spękane czyniły go posępnym; wnętrze przepełnione było kamieniami grobowemi, a wizerunki ostatnich z rodu przypominały truciznę, którą ich zgładzić miano. Do sklepień i murów przylegly tragiczne stare dzieje.

Na ten dzień starano się przystroić główną nawę; błyszczały trony pod baldachimami złocistemi, przygotowanemi dla królestwa, siedzenia złotogłowami i szkarłatem okryte dla nuncyusza i biskupów. Posadzki uścielały kobierce, słupy obwijały gałęzie jałowców i świrek. Pomimo-to, zdawało się tylko katafalka braknąć w pośrodku, aby wesele w pogrzebowe przemienić nabożeństwo.

Gdy król wszedł zająć miejsce u ołtarza, gdzie miał oczekiwać na królowę, kościół w części był jeszcze pusty. Zdala od ulicy dochodził szmer głuchy, turkot powozów, okrzyki ludzi.

Władysław spoglądał trwożliwie ku drzwiom, w których duchowieństwo na przyjęcie królowej się zbierało.

We drzwiach, strojny z tym zbytkiem i wytwornym smakiem, z którego był po świecie znany, czekał już z mową najsławniejszy z oratorów ówczesnej Polski, Ossoliński.

Postać to była imponująca i pańska. Gronostaje na płaszczu, zarzuconym na ramiona, przypominały tytuł jego książęcy, którego rzeczpospolita szlachecka przyznać mu nie chciała.

Oczekiwanie przeciągało się. Król stał blady. Wtem przed drzwiami przesunęły się cienie, dał się słyszeć turkot; Władysław niespokojn e zwrócił oczy ku drzwiom.

Marya Ludwika wchodziła, lecz c'eń sklepień chóru nie dawał dostrzedz ani jej postaci, ni twarzy. Za nią suknie niewieście, ubrania mężczyzn, komże i kapy duchownych, wszystko razem zbiło się w jedną mozaikę barw nierozwikłaną.

Ossoliński, dopuściwszy królowej postąpić tylko do pół kościoła, podniósł głos, który wśród ciszy odbił 'się o sklepienie kościoła, przedstawiającego wic ›k 'wspaniały.

Pełen on był wybranych, jaśniał złotem i klejnotami. Królowa biała, jak suknie, które miała na sobie, drżąca, stała, ściągając na siebie oczy wszystkich. O uszy jej, jak szmer niezrozumiały odbiła się mowa Ossolińskiego; patrzała w dal i szukała oczyma męża.

Zaledwie skończył mówca, biskup auriacki rozpoczął odpowiedź.

Królowę podtrzymywała posłowa.

Jeszcze chwila... Poruszyli się wszyscy. Marya Ludwika zaczęła się zbliżać ku ołtarzowi, przy którym oczekiwał na nią król, przybrawszy dumną postawę.

Obyczaj wymagał, aby przed przyszłym panem swoim poklękła; ugięła już kolana, gdy Władysław zimno i sztywnie podniósł ją i zbliżył twarz ku czołu, jakby miał na niem złożyć pocałunek.

W tej chwili wejrzenia się ich spotkały — trwożne królowej, gniewne pana; lecz jakby zmienili wyraz ten, Marya Ludwika podniosła głowę dumnie, król spuścił ją zmieszany.

Królestwo stało już obok siebie, nuncyusz *im pontificalibus* przed ołtarzem, ale mowom nie było jeszcze końca.

Przemówił cienkim głosem pieszczonym poseł p. de Brégy, jeden z prałatów kościoła, do królowej, biskup auriacki musiał odpowiadać.

Król już dawał znaki zniecierpliwienia, lecz musiał jeszcze wysłuchać i pani marszałkowej, która swej dostojności poselskiej kwoli odezwać się musiała, a dopełniła tego z niewieścią odwagą i majestatyczną przesadą.

Wreszcie stanęli przyszli małżonkowie przed nuncyuszem, który dany już w Paryżu ślub nowem tylko błogosławieństwem potwierdził.

Z chóru odezwała się królewska kapela.

Już za Zygmunta III, który sam w kółku familijnem śpiewał, muzyka była przewyborna i kosztowała wiele; za Władysława nietylko jej nie zaniedbano, ale powiększono jeszcze.

Francuzi mogli się więc zdziwić, usłyszawszy tu rzadkiej piękności sopran Baltazara, alt Forsztera, Copulę i Gian-Maryę, śpiewaków króla i doskonałą orkiestrę jego; ale Władysław zmęczony nie dopuścił się dłużej zatrzymać dworowi i razem z królową skierował się gankami wewnętrznemi na zamek.

Oboje szli długo milczący, a pierwszem może słowem, jakie król posłyszał od żony, było cicho, ale stanowczo wyrażone życzenie, aby mogła spocząć w przeznaczonej dla niej komnacie.

Król skłonił głową tylko i powiódł ją korytarzami, pełnemi właśnie przybywających Francuzów, dworu, służby, dworzan i całej tej gawiedzi, którą zamek był przepełniony.

Zaledwie królowa napół zemdlona ze zmęczenia i wrażeń, jakich doznawała, padła na krzesło, gdy Władysław, prawie nie skłoniwszy się nawet, powolnym krokiem opuścił jej mieszkanie.

Panna Langeron, des Essarts i d'Aubigny czekały tu na nią blade i przestraszone. Wyglądała trupio i drżała.

Nie uszły słuchu królowej, gdy się do ołtarza zbliżała wyrazy króla, półgłosem wyrzeczone do Kazanowskiego:

— Toż to jest ta sławiona piękność, o której mówiliście tak wiele?

Boleśniejszego powitania dla kobiety najzłośliwszy, najmściwszy wróg-by nie wymyślił. Utkwiło ono w jej pamięci na zawsze. Były to pierwsze słowa, któremi przyjmował ją małżonek.

Mimowolnie spojrzała w naprzeciw stojące zwierciadło i sama się ulękła twarzy własnej zżółkłej, ściągniętej z oczyma zapadłemi i usty zaciśniętemi boleścią.

U drzwi pokojów królowej czekali na króla paziowie jego z krzesłem na którem go wyniesiono.

Pani de Guebriant spotkała go w progu z kondolencyą. Zimno począł się tłumaczyć, iż dla gwałtownego cierpienia i znużenia i sobie i królowej musi na dziś spoczynek zapewnić i nie może być na wieczerzy.

Uroczysta uczta została odłożoną na dzień następny. Ton, jakim król przemawiał do posłowej, chociaż na pozór pełen galanteryi, zdradzał takie podrażnienie i poruszenie jakieś wewnętrzne, iż pani de Guebriant już się wcale łudzić nie mogła. Była to zapowiedź wojny, z której ona musiała wyjść zwycięsko.

Sztywnie, etykietalnie, z całą godnością reprezentantki króla pierwszego w chrześcijaństwie skłoniwszy się Władysławowi, powróciła do biednej swej pani, ciągle to jedno powtarzając słowo:

— *Courage*!

Jakby na urągowisko, wprost od drzwi królowej, z którą już dnia tego nie miał się widzieć, Władysław nieść się kazał do pokojów zajmowanych przez pannę Amandę!

Wszyscy widzieli to i mogli sobie tłumaczyć jak chcieli. Kazanowski zmarszczył się smutnie, chciał się odezwać, lecz popatrzywszy na króla, którego znał dobrze, poznał, że go drażnić w tej chwili nie należało i trzeba było samemu sobie pozostawić.

Z tryumfem, z rozjaśnioną twarzyczką, po której przebiegały błyski radości, przyjęła go we drzwiach Niemka. Król kazał tu sobie przynieść suknie do przebrania, chcąc się od ciężkich uwolnić złotogłowów i tu przynieść

wieczerzę. Dla Francuzów książę Karol, Kazanowski, mnodzy senatorowie w wielkiej sali służyli za gospodarzy, powtarzając nieustannie z ubolewaniem, iż król był mocno cierpiący. Czy to kogo mogło przekonać, rozpoznać było trudno, gdyż Francuzi nadto politykowali, aby się zdradzić z tem, co myśleli. Pan de Brégy głośną okazywał wesołość, pani de Guebriant—nadzwyczajne ukontentowanie z całej wspaniale dokonanej uroczystości.

Pac, który nie odstępował znowu króla, chodził wielce zadumany i chmurny.

— Panie wojew odzicu — szepnął mu przechodzący Korycki, który biegł z rozkazem pana—my górą z panną Amandą! Victoria! Francuzi Tadeusza śpiewają.

Pac z dziwną miną popatrzył na niego.

— Widzę z tego, jak doskonale znasz się na ludziach— rzekł z politowaniem.—Nasz tryumf będzie trwał może dni dziesiątek, a królowej jejmości należy reszta. Nasz pan za dzisiejszy swój humor drogo zapłaci, a panna Amanda za honor, jaki jej uczynił, drożej jeszcze.

— Drwisz, czy drogi pytasz?—odparł Korycki,—czy oczów nie masz?

Pac poruszył ramionami i nie odpowiadając, wsunął się do komnat Niemki, w których król gorączkowo się rozgospodarowywał, udając wesołość.

Zaledwie się wojewodzic ukazał na progu, gdy Władysław zwrócił się do niego.

— Miejsce twoje nie tutaj—rzekł,—idź zasiąść z Francuzami, abyś mi dokładnie potem umiał opowiedzieć, jak im uczta dzisiejsza smakować będzie.

— Spełnię rozkaz W. Król. Mości — rzekł z przesadzoną powagą,—ale niebardzo potrzebuję być tam, aby wiedzieć, że Francuzi są najlepszej myśli i wszystkiem, co ich spotkało, uszczęśliwieni.

Przybliżył się do królewskiego ucha.

— Przyjaciele i słudzy W. Król. Mości—odezwał się po cichu—są mocno zasmuceni tą gwałtownością, zapowiadającą wojnę, do której nieprzyjaciel tem lepiej się postara przygotować.

Król, który sam już może nie był rad temu, co uczynił i żałował brutalności swojej, oburzył się na Paca.

— Nie potrzebuję nauk od nikogo—rzekł nakazująco.—Idź zasiąść do stołu i o wszystkiem mi potem rozpowiesz. De Brégy jest lalką. Zwróć uwagę na posłową, ona będzie tu grać rolę główną.

— Tem gorzej—zamruczał Pac;—żaden mężczyzna nie wygrał nigdy z kobietą, a tę niedarmo w Paryżu na ambasadorową wybrano!

Nie odpowiedział już król; odwrócił się od niego, a wojewodzic musiał być posłusznym.

Zastawiono wieczerzę; król kazał naprzeciw siebie usiąść uszczęśliwionej pannie Amandzie. Biegała, usługując mu, nadskakując, ale widać było z zapożyczanego uśmiechu przezierającą w niej trwogę. Tryumf ten odniesiony, tak głośny, tak stanowczy, tyle mówiący, przerażał ją więcej, niż cieszył. Wiedziała dobrze, iż na nią teraz, jako na wroga, skierują się usiłowania wszystkich, że nadzwyczajnego szczęścia i siły potrzebować będzie, aby stawić im czoło. Liczyła swych przyjaciół i znajdowała ich coraz mniej, bo na znaczniejszą część z pewnością rachować nie mogła.

Król jadł, gorączkowo poruszony, chwytając się niekiedy za nogi, które podagra nielitościwie szarpała.

— Nie widziałaś jej—mówił do Amandy—przechwalili jej piękność wielce; nigdy nie była piękną a dziś to jest kwiat dawno uwiędły. Zdaje się, że wie, iż ją tu poprzedziły wieści... mogła też to poznać po mnie. Niech wie, co ją czeka. Jestem zmuszony tak, dla Francyi jestem zmuszony ją przyjąć, ale naprzód zwlekę z koronacyą, a u nas królowa niekoronowana za królowę się nie liczy, i żyć z nią nie będę! Nie, nie będę.

Podniósł oczy ku Niemce.

— O—drżącym głosem odparła, pochylając się, Amanda,—straszą nas tą panią posłową. Ma to być kobieta niezmiernie zręczna i przewrotna.

— Nic tu polityka jej nie pomoże—począł król—ja mam mój cały plan osnuty. Wiem, że ona przecież bawić tu długo nie może. Pozostanę chorym, nie zbliżę się do królowej. Będzie musiała opuścić Warszawę, Francuzów

znaczniejsza część pociągnie za nią. Pozbędę się natrętnej marszałkowej. A potem królowa mieć będzie swój dwór, ja mój i możemy się nie znać wcale. Ja trybu życia zmieniać nie będę i dlatego od dziś dnia chciałem to jawnie okazać, że się z tem kryć nie myślę.

Król oddychał ciężko, mówił prędko, chwytał i rzucał, co miał pod ręką, nie słuchał nawet, co mu podszeptywała Niemka. Pomimo wielkiego męstwa, jakie objawiał, widać było, że słaby, trwożył się już własnem postępowaniem. Sam musiał powątpiewać, czy wytrwa, gdyż zcicha powtarzał sobie:

— Wytrwam! nic mnie nie ściągnie z tej drogi.

Uczta uroczysta w wielkiej sali, w której boku stał opróżniony stół królewski, przygotowany dla państwa młodych na cztery stopnie podniesiony nad posadzkę, z krzesłami pod baldachimami, przeciągnęła się długo.

Mimowoli oczy gości zwracały się ku temu stołowi, przy którym brakło pary królewskiej, ale nikt nie śmiał dać poznać po sobie, jakie to obudzało uczucie. Jedna pani de Guebriant zdradzała się ruchami i mową gorączkowo podnieconą.

Książę Karol siedział niemy, z oczyma na talerz spuszczonemi, zaledwie odpowiadając na zadawane mu pytania. Oprócz Francuzów, liczni senatorowie, kilku cudzoziemców składali towarzystwo, któremu Kazanowski czynił honory domu.

Późno już było, gdy goście wstali, pani de Guebriant zażądała udać się do przeznaczonych jej pokojów i wszyscy zwolna opuścili salę, wynosząc z niej przykre jakieś uczucie a rozbudzoną następstw ciekawość.

Marszałek Kazanowski chciał stąd wprost udać się do króla, lecz dowiedziawszy się, że dotąd bawi u Amandy, zwrócił się do pustej sypialni, aby tam oczekiwać na niego.

Nie widząc go przychodzącego, łatwo się mógł domyśleć Władysław, iż znajdzie go na pokojach, najlepszy bowiem z przyjaciół króla nie mógł się oddalić po tym dniu tak wielkiego znaczenia, nie rozmówiwszy z nim. Władysław potrzebował wynurzyć się przed nim.

Znalazł go, powracając, smutnie zamyślonego w krze-

śle, w sypialni swojej. Król natychmiast się rozebrał i położył, wszystkich aż do Paca odprawiwszy; paziowie tylko pozostali w antykamerze, w której nocować byli zwykli.

Z pewną trwogą spojrzał król na Kazanowskiego.

— Ciężki ten dla mnie dzień skończony nareszcie — odezwał się Władysław;—wydał mi się długim, jak wieki.

— I długo, długo — rzekł Kazanowski - - pozostanie w pamięci. Skutki jego nieobrachowane.

— Owszem—przerwał Władysław gorąco—obrachowałem je ściśle i nie uczyniłem kroku jednego bez namysłu. Potrzebowałem otwarcie dać poznać królowej, iż zawiodłem się na niej.

Kazanowski ruszył ramionami.

— Jest-że w tem jej wina?—odezwał się zimno.—Potwarz, jaką na nią rzucono, ani może być dowiedzioną, ani do prawdy podobną. Jest to wprost złośliwa intryga jej nieprzyjaciół. Każesz jej za to pokutować niesłusznie; lękam się, abyś potem nie był zmuszony uznać się winnym.

— Znasz mnie! — zamruczał król. — Nie zwykłem zwracać się z raz obranej drogi.

Kazanowski mógłby był odpowiedzieć, jak dobrze wiedział, iż Władysław nigdy długo wytrwać nie umiał w jednem postanowieniu, wymagającem stałej woli. Zmilczał jednak.

Król natychmiast zmienił umyślnie przedmiot, zapytując o świeżo przybyłych posłów moskiewskich. Skarżyli się oni, że ich na granicy nie dosyć uprzejmie przyjęto, a Kazanowski wiedział, że za podkanclerzego litewskiego, który im uchybił, on solennem przyjęciem zapłacić będzie musiał; szepnął więc z rezygnacyą, wzdychając, że się to łacno naprawi.

Odwracając od drażliwego przedmiotu i lękając się wymówek przyjaciela, zagadnął król potem o to, jak Tiepolo, wenecki poseł, myśli się zachować względem pana de Brégy.

Kazanowski dobrze rozumiał, o co królowi chodziło; odpowiadał zimno, krótko i niechętnie.

— Mówmy o królowej — rzekł wkońcu, ośmielając

się.—Niepodobieństwem jest, abyś sobie chciał Francyę zniechęcić w chwili, gdy jej do planów swych wojennych potrzebujesz. Dla fantazyi osobistej nie możesz przecież poświęcić wielkiej myśli.

Król dał znak, iż tego czynić nie zamierza.

— Zachowajże się względem żony tak, aby przynajmniej publicznie się obrażoną nie czuła—mówił dalej Kazanowski.—Wojna przeciwko poganom jest dla ciebie myślą główną, uwieńczeniem twojego życia; ją poświęcać dla jakiejś płochej plotki?

Władysław słuchał z głową spuszczoną.

— Nic się nie stało—rzekł zakłopotany,—czegoby wytłumaczyć nie można. Jestem chory, wszyscy widzą, że jestem chory. Jutro się zmuszę do uroczystego festynu w wielkiej sali, królowę posadzę przy sobie, wszystkiemu stanie się zadość.

Zapewnieniem tem marszałek nie zdawał się zaspokojonym.

— Pozory przynajmniej—rzekł—dla czci i godności królewskiego domu twojego ocalić potrzeba. Ludzie już i tak złośliwe plotki siać będą. To co padnie na królowę, odbije się na tobie. Odepchnąć jej nie możesz, sama polityka ci tego uczynić nie dozwala; należy więc zamknąć usta oszczercom.

Król słuchał nauki milczący.

—To, co się stało, da się choć z trudnością naprawić, ujmując posłowę p. de Guebriant, która tu główną gra rolę. De Brégy nic nie znaczy.

— Resztę winy — dodał — złożyć będziemy musieli na pannę Amandę.

Z niechęcią i oburzeniem przerwał mu mowę Władysław.

— Ja na to pozwolić nie mogę, ty wiesz... mam do niej przywiązanie, które czas uczynił trwałem. Nie chcę jej uczynić najmniejszej przykrości, nie dozwolę na to.

— I sądzisz — przerwał Kazanowski — że życie się tak ułożyć, aby ją królowa obok siebie cierpiała? że Amanda potrafi się zachować tak skromnie, tak cicho, aby nie wywołała gniewu i sama sobie nie szkodziła? Niemka

jest gwałtowną. Im więcej okażesz jej słabości, tem więcej będzie wymagać coraz dobitniejszych jej dowodów. Gotujesz sobie nieskończone węzły do rozplątywania.

Marszałek poruszył ramionami. Władysław milczał długo.

— Mam mocne postanowienie — rzekł wkońcu — pozostawić Mańdzię na tem stanowisku, jakie zajmowała przy królewiczu. To tłumaczy jej pobyt na zamku i moje u niej odwiedziny.

— Któż uwierzy?—szepnął Kazanowski.

— Niech myślą, co chcą!—zawołał król—powtarzam ci, nie ustąpię..!

— A Guebriant nie wyjdzie stąd, przekonany jestem, dopóki ciebie z królową do zupełnego nie doprowadzi porozumienia.

— Długoby na to czekać musiała—wybąknął król.

Kazanowski niezrażony ciągnął dalej:

— Na wojnę potrzebujesz pieniędzy, rachowałeś na posag królowej. Ona sama nim rozporządza, wątpię zaś, aby go chciała ofiarować, widząc się pogardzoną i nie mogąc rachować na przyszłość.

Władysław milczał chwilę, ale i na to znalazł odpowiedź.

— Dla królowej znajdziemy gwarancyę, jeśli jej potrzebować będzie.

— Lecz zmusić jej niepodobna, aby robiła przysługi, gdy jej będą przykrości wyrządzać. Dotąd wcale sobie serca jej nie mogłeś pozyskać. Strzegliśmy ja i ks. Albrecht Radziwiłł, aby pozory zostały ocalone; przyszło to z trudnością... co dalej będzie, od ciebie zależy. Pamiętaj tylko, że naprawiać złe spełnione daleko jest trudniej, niż powstrzymać się od uczynienia go.

Kazanowski więcej może niż wymową i przekonywającem argumentowaniem uczynił na królu wrażenia smutkiem, jaki był rozlany na jego twarzy. Władysław znał dobrze przywiązanie jego do siebie. Smutek ten był dla niego najlepszą miarą popełnionego błędu, ale miłość własna nie pozwalała się ani przyznać do niego, ani zmienić tak rychło usposobienia.

Marszałek dowodził tak zręcznie, iż król go zbić nie mógł, musiał zamilczeć i w ten sposób zamknąć rozprawy, w których czuł, że został zwyciężonym.

Kazanowski zabierał się już do wyjścia.

— Proszę cię—łagodniej odezwał się, żegnając go, król, który mu rękę podał i dłoń jego dłużej w obu swoich zatrzymał—proszę cię, nakaż jutro, aby nam wstydu nie uczyniono. Francuzi znają się na kuchni, przywiązują do niej wagę.

Nie odpowiadając na to, marszałek się uśmiechnął, poruszył ramionami i dopiero w progu zawołał:

— Gdybyśmy innej troski nie mieli!

VII.

Panna Amanda w czasie dosyć już długiego pobytu w Warszawie i na dworze otoczyła się całą gromadką ludzi, którzy jej byli oddani i wszystko jej zawdzięczali. Miała tych swoich sojuszników wszędzie rozsianych, a pozyskiwanych w różny sposób. Do najwierniejszych tych *animae damnatae*, które na wszystko dla niej były gotowe, liczył się niebardzo znaczny, ale ruchawy i czynny człowieczek, którego zwano Benedyktem Nesterackim. Skąd on się tu wziął i jak wśrubował, dziś już było trudno dojść, ale z każdym rokiem czynniejszym był i nabywał znaczenia.

On sam bardzo huczno głosił się szlachcicem, drudzy mówili, śmiejąc się, że owo szlachectwo kupił sobie u jakichś ubogich Nesterackich za kilka beczek piwa, niewiele grosza i starą delię futrem podbitą, że pochodził z chłopów, a ojca miał sołtysem.

Początki Nesterackiego na dworze Cecylii Renaty były bardzo skromne. Zdaje się, że sprzedawał owies do królewskich stajni, że się tu zapoznał, małemi usługami jakiemiś wkradł w łaski koniuszym, a przez jednego z nich polecony był pannie Amandzie jako pośrednik do kupna, na którem ona zarobić coś chciała. Niemka bowiem

nie zapominała o zysku, gdy mogła go sobie zapewnić.

Nesteracki wkrótce stał się jej niezbędnym; wyrobiła mu miejsce na dworze. Przyjęto go dla niej, jako komornika, którego obowiązki ściśle oznaczone nie były. Posyłała go, posługiwała się nim i nie zawiodła się nigdy.

Ów tak zwany „Benedyk" oprócz tego miał inne zajęcia, prowadził jakieś handle, przybierając do nich wspólników, na których składał winę, jeśli się co nie w porządku okazało, młodzieży na zakłady pożyczał pieniędzy i przyszedł do bardzo znacznej zamożności, ale się z nią więcej krył, niż popisywał.

Raz w rok dostawał na kilka tygodni uwolnienie i jechał w świat. Mówiono, iż miał posiadłości, gdzieś aż za Bugiem, w puszczy Kobryńskiej, bardzo już rozległe, ale on się tego zapierał.

Zamożności po nim poznać było trudno, choć niby z pomocą ludzi, rozporządzał nieraz znacznemi pieniędzmi i po kilka tysięcy złotych, co na owe czasy było sumą już wielką, pożyczał.

Z pozoru był niepokaźny, z krzywemi, w kabłąk wygiętemi nogami, przysadkowaty, z grubym karkiem, włosami jak szczecina twardemi, rękami długiemi, twarzą okrągłą, zawsze czerwoną i plamistą, wąsikiem rzadkim i rozbitym, tak że go nigdy skręcić nie mógł, wyglądał na parobka. Mówił śpiesznie, jąkając się i zatrącał z mazurska, co naówczas miano za znamię chłopskiego pochodzenia, choć niesłusznie.

Pannie Amandzie, gdy ona czego zażądała od niego, nigdy nie odmówił, choćby karku miał nadkręcić. Wierzył w jej rozum i potęgę, a pocichu czasem, od śmierci królowej Cecylii, mawiał:

— Zobaczycie, ona się jeszcze kiedyś na królowę wystrychnie.

Ambicyi nie miał wcale, ani za tytułami, ani za popisywaniem się sobą nie ubiegał się, ale całą swą mądrość i zabiegliwość obracał na robienie grosza.

Obok tego miał namiętnostkę skrytą do pięknych kobiet, ale gdy przyszło do konfliktu między nią a pieniędzmi, ona ulegać musiała.

Benedyk, za czasu, gdy Bietka była jeszcze przy królewiczu i pod rozkazami Amandy, razem z wielu innymi biegał za nią, równie bezskutecznie, jak drudzy. Ta tylko była różnica między jego losem, a innymi, że na Nesterackim często spędzała gniewy i mniej go od innych oszczędzała.

Napróżno posuwał się roznamiętniony aż tak daleko, że podarki jej chciał ofiarować; wyśmiała je i dawcę. Gdy potem dziewczę znikło nagle ze dworu, Nesteracki był w rozpaczy. Chodził długo, jak przybity i nie krył się z tem, że za nią tęsknił okrutnie. Wyśmiewano go — mu to było obojętnem.

Amanda, wiedząca o wszystkiem, co się na dworze działo, znała tę słabość Nesterackiego. Wyśmiewała się i ona; czasem mówiła mu żartobliwie, że około pieniędzy chodzić umiał, ale z kobietami wcale nie wiedział, jak poczynać. Z głową spuszczoną słuchał tego Benedyk.

Gdy Bietka pokazała się z powrotem na zamku, na dworze królowej tryumfująca, jeden z pierwszych powitał ją tu Nesteracki.

—A co? panna nam powraca!—odezwał się, mrugając.

— Tylko nie na dawne miejsce moje—uśmiechnęła się Bietka—tamtego już miałam dosyć.

— Daj Boże, aby z Francuzami lepiej było — dodał Benedyk, przystępując bliżej,—daj Boże; a no, niech mnie panienka z sobą otwarcie mówić pozwoli.

— A cóż mi powiedzieć chcecie?

— Że pannie ani tu, ani tam miejsca sobie szukać nie potrzeba—szepnął, oglądając się Nesteracki, bo nie chciał, aby go pochwycono na tej rozmowie.

— Zasłyszałeś pewnie, że mam ojca i że mogłabym wrócić do niego?—spytała Bietka.

— A! nie! Ja tam o ojcu tak, jak nie wiem, i kiedy go tak długo nie było, to ja na niego niewiele rachuję, ale... pannie łatwo wyjść za mąż i być u siebie panią w domu.

Bietka się śmiać poczęła.

— Za kogóż? za was panie Benedyk?

Zczerwienił się mocno Nesteracki.

— Panna sobie myślisz, że Benedyk nic nie wart,

bo flamskiego sukna i atłasów nie nosi—rzekł; a on może więcej ma w kieszeni, niż nie, jeden z tych, co się złotemi łańcuchami czwanią.

— Cóż z tego?—podchwyciła Bietka—albo to się pieniądze poślubia.

Nesteracki stał długo niemy. Nie pojmował naprzód, jak można było lekceważyć pieniądze, potem obraził się, że jego nic szacowała nic.

— A jam nic nie wart?—spytał.

Dziewczę popatrzyło na niego długo, zrobiło minkę dziwną, ukłoniło się i pierzchnęło.

Benedyk stał i nie mógł przełknąć danej mu nauki. Odepchnięty, brał na kieł.

— Co ona sobie myśli!—zawołał w duchu.—Bylebym chciał, to ją tak, czy owak mieć będę.

Na dworze nic się długo nie może ukryć, zaraz więc zaczęto mówić o Nietykszy, którego tu dobrze znano, bo z ks. Radziwiłłem zawsze prawie przychodził, należąc do jego najulubieńszych dworzan.

Nesterackiemu któryś z dłużników szepnął:

— Co się ty darmo durzyć będziesz tą dziewczyną. Bałamutka jest, a teraz Nietyksza u niej na kołku. Ten, słyszę, nieubogi, a i książę go protéguje; ożeni się z nią. Królowa ją lubi i wyposaży. Co tobie o niej myśleć! gdzie się tobie mierzyć z Nietykszą!

Ile razy tak Nesterackiemu zadawano jego ekstrakcyę małą i położenie na dworze, nie mające żadnego znaczenia, mało mu krew nie tryskała oczyma. Burzył się, jakby kłam chciał zadać tym, co go tak posponowali, ale przypomniawszy sobie potrzebę milczenia, dusił w sobie, co miał już na ustach.

Obawiał się pochwalić z tem, co miał, aby go nie pytano, jak się dorobił i nie korzystano z jego dostatków, gdy mu z ubóstwem pozornem wygodnie było.

Komornicy drudzy i dworzanie domyślali się wprawdzie, że musiał mieć sporo uzbieranego grosza, ale nie przewidywali wcale, jak dalece był zamożnym. O swoich posiadłościach nie mówił nigdy.

Zaraz po przybyciu królowej Amanda, czując

pod bokiem Bietkę i bojąc się, aby ona jej nie szkodziła, przedsięwzięła koniecznie się jej stąd pozbyć. Spróbowała naprzód podszepnąć królowi, aby na królowej wymógł jej oddalenie. Król zaś nigdy żadnego pięknego dziewczęcia ze dworu swego usuwać nie dozwalał. Lubił bodajby popatrzeć na nie. Bietka zaś dla tego miała pewne względy u niego, że ją lubił królewicz.

Na pierwszą więc insynuacyę potrząsnął głową.

— Ja się w to nie wdaję!—zamruczał.—Co mi tam jeden ten fartuszek ma zawadzać?

Zagadnęła o nią potem Paca. Pac utrzymywał wprost, że na samym początku, gdy jeszcze nikogo nie znali, a najmniej królowę, dla Bietki się zadzierać, wciskać tam było wcale nierozumnem.

— Ale ta żmija tu... zobaczysz, nas wszystkich wyżenie!—wołała Niemka.

— Królowa nie może nic—zawołał, śmiejąc się Pac—a ty chcesz, aby ona tu coś mogła?

Słuchać więc nie chciał.

Myśl rozpaczliwa i szalona przyszła w nocy pannie Amandzie. Powiedziała sobie:

— Niech ją Nesteracki wykradnie i precz wywiezie. To najlepszy czas, na dworze nieład, ludzi nowych wiele, nikt zresztą nie będzie bardzo dbał o to. Zakochany w niej do szaleństwa, pieniądze ma, pomocników znajdzie, co łatwiejszego, jak zrobić na nią zasadzkę i wywieźć ją precz. Ma tam gdzieś w lasach posiadłości jakieś, posadzi ją tam. Ksiądz mu każdy ślub da, a jej się stąd zbędziemy.

Myśl ta utkwiła w niej. Wstała z nią zrana, a choć, jak zwykle bywa, to, co po nocy się wydawało możliwem, we dnie dziwacznie się jej prezentowało, nie odstąpiła od zamiaru. Wieczorem kazała zawołać Nesterackiego.

Po krótkim wstępie wprost się go spytała:

— Zawsze ty szalejesz za tą dziewczyną?

— Ja wiem, żem głupi—zamruczał Benedyk—a co to pomoże! co to pomoże!

— Czemuż nie starasz o nią?

— A jak?—zapytał Benedyk—ja jej mówiłem: oże-

nię się z tobą, mam pieniądze... w oczy mi parsknęła. Ona ma Nietykszę.

—Nietyksza się z nią nie ożeni!—zawołała Amanda.

Nesteracki z tych urywanych słów i nalegania zmiarkował, że panna Amanda nie jego, ale swój interes w tem miała, aby się stąd pozbyć Bietki.

— Trudna z tym koziołkiem sprawa—zamruczał.

Niemka się zbliżyła do niego o krok i żywo mu rzuciła:

— Co to? porwać jej nie możesz? Kto się tu o nią upomni? Kto tu spostrzeże, czy ona jest, czy jej niema...

— Mówią, że królowa...

— A! plotki—przerwała Amanda.—Nie mia'aby o czem myśleć, żeby takiemi się dziewczętami zajmowała...

Nesteracki stał zadumany, a potem począł pocichu:

— Dwa lata temu, panna pamięta? Emilkę tę, co ją ze dworu porwał Szałwajski... hę?

Zarumieniła się Amanda, bo jej to przypomn'ało, że król bardzo się gorąco zajmował tą nieszczęśliwą Emilią. Zmarszczył brwi.

— Panna wie, co się Szałwajskiemu stało'—dokończył z westchnieniem.—Dogonili go z nią i król dał ściąć.

Ręką posunął po gardle.

— Nie, tego ja nie chcę, nie—zamruczał—nie.

— Tu się tego niema co obawiać—dodała,—naprzód, że schwytaćbyś się nie dał, a nikogo ona nie obchodzi.

— O! o! a Nietyksza, a za Nietykszą Radziwiłłowie?

Benedyk zagrożoną głową potrząsał. Jednakże, odszedłszy, gdy sam na sam rozmyślać począł, gdy mu na oczach stanęła Bietka i to szczęście, jakiego z nią mógł zażywać, bardzo mu się zdawało nieprzyzwoitem, że Szałwajskiego ścięto. Historya ta była prawdziwą i nie ulegała wątpliwości.

Benedyk miał na dworze mnóstwo znajomych, którzy potrzebując go, wysługiwali mu się i chętnie z nim czasem gwarzyli. Męczyła go tak myśl, przez Amandę rzucona, iż mimowolnie począł, niby żartami badać różnych, czy-

by porwanie panienki ze dworu... ot tak wogóle, mogło ujść bezkarnie.

Zdania były wielce podzielone, jedni to brali za żart, drudzy przypominali ową Emilkę i ściętego raptora, inni utrzymywali, że pod te czasy nikt się tak podwiką nie opiekował, aby mścić chciał i ścigać.

— Ja ręczę—zaburczał jeden,—że gdyby tak teraz, nie przymierzając, królowi panu naszemu kto pannę Amandę porwał a drapnął z nią, dalipan by za nim nie posłano pogoni.

Inny dodał:

— Baba z wozu—kołom lżej.

A nakoniec jeden zamknął:

— A komuby do głowy mogło przyjść dziewczynę wykradać? Albo to ich niema poddostatkiem na targu za tanie pieniądze?

Benedyk tymczasem chodził myślą tą obarczony. Drugiego dnia sam zaczepił przy podanej zręczności pannę Amandę, aby się przekonać, czy ona istotnie uważała to za rzecz możliwą. Niemka nie chciała wydać się zupełnie; potrząsnęła głową.

— Na to pono innego człowieka trzeba, a nie was—rzekła;—u was pieniądz za wszystko starczy... Karku dla niej nadstawić nie zechcecie.

Benedyk odszedł zadumany.

Bietka tymczasem, choć znikała wśród nagromadzonego nowego dworu i Francuzów, którzy zwracali na siebie oczy, była czynną i nie odstępowała królowej, aby stawić się na każde jej zawołanie. Budziła ona w niej litość, a oprócz tego nie zapomniała Amandzie przeszłości; we dwójnasób więc pobudzona, zapomniała o sobie, całą duszą oddana temu dramatowi, którego pierwsze sceny żywą walkę zapowiadały.

Nietyksza nawet, dla którego miała słabość, choć się do niej przyznawać nie chciała, nie mógł jej oderwać od antykamery królowej, gdzie nieustannie na zapytania pani, lub jednej z jej towarzyszek odpowiadać musiała. Dla nich osoby, składające dwór króla, ich wpływ i znaczenie były jeszcze tajemnicą. Bietka więc musiała uczyć,

jak się z kim obchodzić miano, w kim upatrywać przyjaciela lub obawiać wroga. Było to tem ważniejszem, że ichmość niektórzy, jak Platenberg, mianowany koniuszym królowej, przyjaciel i pomocnik Paca, służka króla do spraw niewieścich, ufając sobie, poczynali zabiegać, aby pozyskać zaufanie nowej pani i korzystać z niego przeciw niej samej.

Platenberg, bezwstydny i zuchwały, pierwszy rozpoczął te zabiegi, zbliżył się do państwa des Essarts, udawał wielce przejętego losem królowej i starał się wkraść w łaski u Francuzów. Bietka była na straży i natychmiast przestrzegła panią des Essarts, aby koniuszemu nie dawano wiary.

O ile mu obowiązki jego dozwalały, Nietyksza ciągle kręcił się przy dworze, na którym miał wielu znajomych i przyjaznych, korzystając z każdej zręczności, aby się choć na chwileczkę zbliżyć do swego dziewczęcia. Litwin z nadzwyczajną zręcznością wynajdywał sobie rozmaite pozory, aby dla służby księcia wrzekomo, ciągle się około zamku uwijać, a przeważnie przy królowej, której los Radziwiłła obchodził.

Dworzanie z nim spoufaleni, bo ich sobie na wszelki sposób ujmował, nie żałując małmazyi i najlepszych win, jakie u Francuza, świeżo pod zamkiem rozłożonego, dostać było można, służyli serdecznie Litwinowi, choć go poufale zawsze boćwiną przezywali, za co się nie gniewał.

W wigilię tego dnia, gdy na zamku miał być obiad uroczysty, jeden z przyjaciół Nietykszy pochwycił go w korytarzu i szepnął mu na ucho:

— Baczność, boćwino, a nie, to ci z przed nosa porwą twoją Bietkę; ani się spostrzeżesz!

— Kto? kto?—krzyknął Nietyksza.

— Niejeden-by rad, ale jeden może tylko łotr gotów się na to ośmielić—odparł przyjaciel—to ten bestya, Nesteracki, Benedyk, który oddawna ostrzy zęby na nią, ale teraz już tak coś przebąkuje, jakby zamyślał raptu dokazać i gwałtem ją stąd pochwycić. A niegłupi jest, bo z powodu przybycia królowej u nas wszystko w zamieszaniu; nieład, rwetes, ani się spostrzegą, jak jej zabraknie,

a Amanda postara się o to, aby pogoni za nią nie słano, bo dawnoby się jej pozbyć gotowa.

— A skądże wnosisz, że ten łotr Benedyk coś podobnego zamierzać może?

— Bo się ciągle, niby żartami dopytuje wszystkich o to, coby to było, gdyby się co podobnego przygodziło.

— Coby było?—zamruczał Nietyksza, któremu krew do głowy uderzyła.—Coby było! Możecie mu powiedzieć, że niezawodnieby łba zbył z karku, do czego ja sam gotówem się ofiarować, choć oprawcą nie jestem.

Z niezmiernym niepokojem począł tedy Nietyksza rozpytywać, badać i nietylko tego jednego, który go przestrzegł, ale innych też rozpytując, przekonał się, że istotnie Benedyk się odzywał z czemś podobnem.

Litwin znajdował najprostszem natychmiast wprost na samego rzucić się winowajcę, ale miał tyle siły nad sobą i przebiegłości, iż postanowił to uczynić łagodnie i drwiąco z początku.

— Jak się na tem nie pozna—mówił sobie—zażyję go inaczej.

Szukał więc Benedyka, który nie zapominając o interesach, dostarczał obroków na rachunek króla dla pomnożonej na stajniach liczby koni, i znalazł go wistocie dozorującego wydawanie owsa, jakby od niechcenia i zdaleka.

Pozdrowił go Litwin z uszanowaniem przesadzonem.

— A, co to?—zapytał, stając obok.—Czyście szafarzem obroków mianowani, panie Nesteracki? Wiecie, to nie jest zły urząd, gdy koni dużo; gdyby po pół miarki na łeb każdy wsypało się do kieszeni, stanie na parę garncy wina wieczorem.

— Ale ja nie jestem szafarzem!—zamruczał krzywonogi.—Czy mi tu stać nie wolno?

— A któż wam broni?

— Bo czepiacie się mnie—rzekł Benedyk, chcąc odejść. Wtem Nietyksza zastąpił mu drogę.

— Ja wam do dozoru nad waszym owsem nie będę przeszkadzał—rzekł z przyciskiem, pochylając mu się do

ucha—ale proszę ja was, Benedyku mój, chcesz-li kości mieć całe, nie właź ty mi w drogę!

Nesteracki się rzucił.

— Ja z wami do czynienia nie mam nic—zawarczał—ja was nie znam, dajcie mi pokój.

— No, ale ja was znam—odparł Nietyksza, który mu jakby przyrósł do boku,—ja was znam! Wiecie, o co chodzi. Zachciało się wam tego dziewczęcia, które ja sobie wybrałem i do niego nie dopuszczę nikogo, nietylko takiego Maledyka, jak ty, ale gdyby był z daleko większym czubem. Pamiętaj to sobie, że byleś mi ją palcem potrącił, będziesz mi odpowiadał, a nawet dużo o niej mówić wara, bo w twojej paskudnej gębie jej imię walać się nie powinno.

Nesterackiemu tego już było zanadto; począł się rzucać, trząść i krzyczeć.

— Szalona pałko! daj ty mi święty spokój; ja z tobą nie mam nic, ani wiem, ani znam, czego ty się do mnie rwiesz. Jam ci nic nie winien. Nie pora tu teraz za łebki się wodzić. Ja ciebie się nie zlęknę, ale ty wiesz, że na zamku szabli dobyć znaczy gardłem odpowiadać.

— Ja szabli na ciebie zgnilaku nie potrzebuję—zawarczał Nietyksza, ogromną rękę podnosząc mu do oczu, —dosyć będzie oto tych pięciu palców. Ale powiadam ci, abyś to wiedział i zapisał sobie, że byleś się zbliżył do mojej... już ty wiesz, o kim mowa,—toś życia niepewien.

Rzuciwszy mu to w oczy Nietyksza odszedł, bo się obawiał, aby w pasyi od słowa do słowa nie przyszło do pięści.

Benedyk trząsł się i stał długo, ruszyć się nie mogąc, nie tak ze strachu, jak ze złości. Tchórzem nie był; pogróżki Litwina to na nim sprawiły, że począł sobie poprzysięgać.

— Na złość tej boćwinie, choćby mnie to nie wiem co kosztowało, dziewczynę będę miał.

Litwin, nie mogąc się uspokoić wprost od Benedyka poleciał na wschody do pokojów królowej, do których wprawdzie dostać się nie mógł i nie miał pozoru żadnego-aby próbować, ale się spodziewał przez służebne na chwilę, wywołać Bietkę. Chciał ją przestrzedz.

Dnia tego właśnie przystęp tu był trudny, bo przygotowania do wielkiej uczty, strojów kobiecych, fryzur, piór, sukni, cały dwór w ruch wprawiały. Polki i Francuzki biegały, jak oparzone, a Nietyksza napróżno je zaklinał, aby mu na minutę tylko pannę Bietkę wywołano. Żadna z panien słuchać go nie chciała.

Wartę więc odprawiał u drzwi długo, gdy naostatek Bietka wybiegła przypadkowo. Pochwycił ją na korytarzu.

— Na miłego Boga! pannuniu! ja tu od godziny stoję! Mam coś ważnego do powiedzenia.

— Czasu nie mam!

— Ale ja muszę, dwa słowa!—nalegał Nietyksza—a nie, to się wielkie nieszczęście stać może.

Zawsze o królowej tylko myśląc, Bietka, nastraszywszy się o nią, stanęła.

— Masz co mówić—piorunem gadaj—zawołała—na mnie czekają!

— Znasz panna Benedyka Nesterackiego?—począł żywo Nietyksza.

— A co potem?

— Dawno on za wami biega?—pytał Nietyksza.

— A nieznośny zazdrośnik!—rozśmiało się dziewczę, grożąc mu.

— Takżebym miał o kogo być zazdrosnym—zawołał Litwin—nie o tego krzywonogę, ale ta bestya oszalała i pewnie nawspół ze swoją panią, co się was stąd pozbyć rada, knuje jakąś zasadzkę; chce was porwać i uprowadzić.

Bietka uszom nie wierzyła.

— Ktoś z was sobie żarty stroi!—odezwała się.

— Ale nie!—zawołał Nietyksza—To szalony człek, a za sobą ma Niemkę. Tu we dworze zamęt taki, że nie jedną, aleby cztery można skraść i jeszczeby się nie opatrzyli.

— Ja jestem ciągle prawie przy królowej—zaczęła żywo i już się niecierpliwiąc Bietka.—Gdyby nawet coś takiego zamyślał...

—Proszę sobie tego nie szacować lekko—żywo ciągnął dalej Nietyksza.—Wiem, co mówię. Ja mu już zagroziłem, ale to go może jeszcze więcej rozdrażni. Nie

wierzę nikomu. Niemce wy solą w oku, ona gotowa pomódz, a u króla się postara, żeby mu uszło bezkarnie. Nie ruszajcie się z pokojów, nie wychodźcie na korytarze.

Bietka się śmiać zaczęła.

—Zamknęlibyście mnie do klatki—odparła—a wszystko to przez tę zazdrość. Nie wierzycie mi! Gotowam się pogniewać. Gdzieżby taki parobek jakiś śmiał...

Chciała biedz dalej; Nietyksza ją powstrzymał.

— Klnę się wam na wszystko, co mam najświętszego, nie komponuję. Chorwat mnie ostrzegł pierwszy, że już chodzi pogłoska, jakoby sobie Maledyk dobierał pomocników. Zulski mi potwierdził, iż z ust jego słyszał o tem gadanie, czy rapt jest teraz możliwy, bo nikt czasu nie będzie miał gonić, ani się tem zajmować.

Zmarszczyła brwi Bietka.

— Sądzę, że to są bałamuctwa tych darmozjadów—rzekła,—którzy się chcą wam przysłużyć, abyście ich karmili i poili za to. Ja się nie obawiam. Zresztą będę ostrożna, choć w niebezpieczeństwo nie wierzę.

Nietyksza biegł ciągle za nią.

— Gdyby nie służba u księcia—zawołał,—jabym się stąd krokiem od progu nie ruszył i jak piesbym się u drzwi położył. Zlitujcie się, nie lekceważcie.

Bietka dała mu znak i pierzchnęła.

Czasu wistocie dnia tego na zamku nikt nie miał do stracenia. Gotowano się do zapowiedzianej uczty! Wszyscy panowie, senatorowie, duchowni i świeccy, urzędnicy wielcy, posłowie cudzoziemscy, rycerstwo przedniejsze, szlachta, przybyła z ziem różnych, miała się znaleźć na zamku. Nie wiedziano na ile osób rachować, bo na takie przyjęcia ogólne zaproszenia starczyły, a każdy, co się mógł ubrać pięknie, ciągnął na zamek i cisnął się do sali; nikt nie śmiał pytać i bronić wnijścia. Spodziewano się więc natłoku.

Z powodu cudzoziemców król wymagał i Kazanowskiemu polecił, aby najwspanialej wystąpić. Szło o splendor korony, a raczej dwu, bo Władysław zawsze jeszcze tytuł szwedzkiego króla nosił.

Wiedziano tu, jak świetnym był dwór francuski i nie chciano dać się zaćmić.

Król też od rana nie miał spoczynku, bo mu się przybywający pokłonić chcieli i domagano się od niego rozwiązania mnóstwa drobnych trudności etykiety.

Wprawdzie od Zygmunta III i stosunków z dworem rakuskim na dworze formy pewne były ściślej zachowywane, niż za Batorego, który do nich nie przywiązywał wielkiej wagi, lecz nigdy w rzeczypospolitej zbyt ostro nie brano stopniowania hierarchicznego. Teraz bytność zarazem posłów tylu i jednej posłowej, która była czemś niezwykłem i wyjątkowem, mnożyła trudności etykiety.

Od rana już w pokoju króla roztrząsano z nadzwyczajną troskliwością, jak u stołu króla miejscami rozporządzić należało.

Do wymienionych dostojników dodać było potrzeba nuncyusza papieskiego, który musiał zająć miejsce przy królu, albo królowej. Zachodziły potem wątpliwości co do pierwszeństwa, jakie należało dać posłowi, posłowej, biskupowi auriackiemu, wreszcie innym panom posłom *minorum gentium.*

Oprócz tego stołu głównego, do którego niewiele osób przypuszczonych być miało, trzy ogromne ustawiono w sali poniżej, a przy tych, wyjąwszy miejsc głównych na czele, ku szarym końcom już ani można było myśleć o zachowaniu jakiegoś stopniowania.

Żwawszy i silniejszy musiał posiąść innych, a polskie —równy wojewodzie—nie dozwalało nikomu ustąpić starszym. Każdy się miał za tak dobrego, jak drudzy.

Króla nudziły już te nieskończone rozprawy, w których Radziwiłł i Kazanowski byli najczynniejsi.

Królowej też nie zbywało na troskach dnia tego. Wiedziała, że się ze strony króla najmniejszej zmiany na lepsze spodziewać nie może, że spełni to, do czego ceremoniał go obowiązywał, ale tak kwaśno, niechętnie, z odrazą, jak wczora jawnie przystępował do błogosławieństwa w kościele.

Pani de Guebriant dodawała odwagi, lecz sama nie spodziewała się tak rychło odnieść zwycięstwa nad kliką

nieprzyjazną, jaka króla otaczała. W dodatku do innych trosk Maryi Ludwiki przybywała nowa, dotąd nieprzewidywana. Francuzi, dodani jej, zaczynali waśnić się między sobą; jedni więcej, drudzy mniej zbliżali się do p. de Brégy. Pani de Essarts i jej rodzina krzywo patrzyła na pannę Langeron, która o nich wyrażała się przed królową niechętnie i złośliwie. Sekretarz des Noyers, pan des Essarts, ksiądz de Flery stali już odosobnieni, a obóz panny de Langeron stał już oddzielnie. Spoglądano na siebie złośliwemi oczyma, dogryzano półsłówkami. Królowa była tem niemal do rozpaczy przywiedziona.

Skądinąd dochodziły ją groźniejsze jeszcze wieści, że król postanowił cały dwór jej francuzki nie wyjmując, ani ks. de Fleury, ani sekretarza, odprawić nazad do Francyi z panią de Guebriant.

Dla Maryi Ludwiki nie mogło być nic straszniejszego. Widziała się już rzuconą na łup nieprzyjaciołom, prześladowaną, uciśniętą.

— Jeśli mi ich odbiorą—wołała do pani de Guebriant —ja tu nie zostanę; niech i mnie odeśle do Francyi.

Napróżno marszałkowa ją uspokajała. Obawy królowej wcale nie były próżne, bo wprzódy jeszcze, nim przybyła tu, panna Amanda starała się królowi wpoić to przekonanie, że Francuzi będą szpiegami i donosicielami, że oni mnożyć mu będą trudności i poróżnią go z Francyą.

Król myśl tę pozbycia się Francuzów pochwycił skwapliwie, chcąc razem uczynić tem przykrość królowej i dać je uczuć władzę swoją. Pani de Guebriant, ze swą powagą, taktem i zimną krwią uspokajała, jak mogła i umiała, lecz groźba sama, zawieszona, jak miecz Damoklesa nad biedną, znękaną królową, starczyła, aby ją pozbawić spokoju.

Promieniejąca powinna była wynijść na tę ucztę weselną spóźnioną, a oczy jej, łzami nocy i poranka zarumienione, aż nadto łatwo dawały rozpoznać stłumione w sobie męczeństwo.

Nie miała ani chwili odpoczynku. D'Aubigny, która niezręcznie usiłowała ją rozerwać, panna Langeron, co chwila przychodząca ze skargami, des Essarts, przynosząca niepotrzebne plotki, dziewczęta szczebioczące i wesołe nad miarę, doktór, rozpytujący o zdrowie i nieustannie jakieś medykamenta doradzający, szpiegujący każdy ruch i słowo des Essarts, milczący de Conrade, który posługiwał Langeronowej, nie dawali jej odpoczynku. Drzwi się nie zamykały.

Bietka w drugim pokoju musiała być jako rodzaj tłumacza i komentatora na zawołanie, bo ani królowa, ani nikt z jej dworu po tytułach polskich, któremi wszystkich oznaczono, nie mógł ich rozróżnić. Ona jedna wskazać też umiała prawdopodobnych w przyszłości nieprzyjaciół i przychylnych.

Należący do nich książę Radziwiłł, którego żona już królowej była prezentowaną, jako dawny towarzysz podróży od Gdańska, przyszedł też tego rana, przewidując, że słowo uspokajające nie będzie zbytecznem.

Królowa przyjęła go chętnie. Nie śmiała pytać otwarcie, lecz oczy jej zdawały się błagać, aby pośpieszył z pociechą. Łatwo na nich ledwie otarte świeżo łzy dostrzedz było można.

Poważny książę musiał przybrać wesołą twarz, aby Maryę Ludwikę spróbować choć rozerwać nieco. Opowiadał jej o posłach, którzy przybyli i których przyjmować będzie musiała, potem o podarkach, które dni następnych składać jej miano wedle zwyczaju.

Królowa trochę się dziwiła obyczajowi temu, który raził już niegdyś Henryka Walezyusza, ale w Gdańsku przyjąć musiała jednak dwa tysiące czerwonych złotych, które miasto na szpilki jej ofiarowało. Radziwiłł nawet, wcale nie potrzebujący tego, nie odrzucił czterechset, które mu przy sposobności złożyli Gdańszczanie za to, że kluczów miasta przestał się domagać od nich.

— Podarki są u nas w tak wielkim zwyczaju—mówił książę, iż się żadne prawie odwiedziny bez nich nie obchodzą, nawet między dobrymi znajomymi. Przywozi się gościńca prawie zawsze, nie odjeżdża, nie będąc obdarowanym nawzajem.

Książę śmiał się.

My mamy już na to osobne skarbce, w których trzy-

mać musimy rzeczy na podarki przeznaczone, a królewski skarb szczególniej dla posłów z północy i wschodu zaopatrzony być musi w dary, bez których żaden stąd nie odjedzie.

— Zobaczysz W. Król. Mość, da Bóg—dodał Radziwiłł,—gdy się zręczność nada z królem JMością odbywać podróże, iż żadne miasteczko i dwór nie wypuści dostojnych gości, nie obarczywszy ich jakimś niepotrzebnym ciężarem.

Usiłując zabawić panią, Radziwiłł począł potem rozpowiadać o innych polskich zwyczajach, i wyraził życzenie, aby one królowej się mogły podobać. Zapewnił ją też, że Polacy do obcych zastosować się umieli chętnie i aż nadto chciwie ich obyczaje przejmowali.

Miała przytem zręczność królowa wtrącić słowo ciche o zagrożonym wygnaniem swym dworze francuskim, lecz książę ją zapewnił, że tak do przykrej ostateczności nie przyjdzie.

Nadchodziła godzina uczty.

———

VIII.

W wielkiej sali jadalnej przysposabiano się od wczora.

Mówiliśmy już o jej urządzeniu. Na podwyższeniu, o cztery stopnie nad posadzkę wzniesionem i szkarłatnem suknem okrytem, wnosił się stół dla obojga królestwa i kilku dostojniejszych osób. Dwa złocone krzesła pod baldachimami w pośrodku przeznaczone były dla króla i królowej. Stół, wspaniałemi szytemi obrusami okryty, przyozdabiały dwie ogromne skały z cukru, na których posągi allegoryczne dosyć zręcznie ustawione były. Nie zbywało i tu na dewizach i napisach.

Poniżej trzy ogromne, długie stoły miały pomieścić resztę duchowieństwa, senatorów, urzędników, gości cudzoziemskich, rycerstwa i szlachty. Galerya, zajmująca naprzeciw królewskiego stołu całą ścianę, przeznaczona

była dla muzyki, która w czasie uczty śpiewami, grą wirtuozów zabawiać miała gości.

Słynęła kapela ta już od czasów Zygmunta, z doskonałych śpiewaków i grających na różnych instrumentach, w większej części z cudzoziemców złożona, chociaż i na Polakach wykształconych na dworze tym, u Kostków i po innych miastach — nie zbywało. Wymieniliśmy już sopranistę Baltazara, Włocha, Copulę i Gian-Maryę, doskonałych śpiewaków, Foretera, altystę, oprócz których odznaczał się Augustiani bas, rodem Rzymianin, kilku Polaków sopranistów niepospolitych. Z wirtuozów słynął niejaki Elert violonista, lutnista Galot, kornecista Simonides, sztornista Graniczny.

Skład ówczesnej kapeli wcale był różnym od dzisiejszego i znajdujemy w niej instrumenta dziś zarzucone i zapomniane: pomorty, teorby, gitarony, stofy, liry, szałamaje, quarty i t. p. Mistrzem królewskiej kapeli był Marek Seachi, Włoch, podmistrzem — Pekiel, który się też odznaczał kompozycyami, a naostatek i Polak do śpiewu udatne piszący pieśni, Mielczewski.

Wszystkie siły tej niepośledniej kapeli dnia tego miały być czynne. Król nietylko ją lubił, ale przywiązywał pewną miłość własną do tego, że równej jej w całych Niemczech nie było.

Chociaż, jakeśmy wspomnieli już, miejsca zawczasu były oznaczone przy stole królewskim, w chwili, gdy oboje królestwo wśród dźwięku trąb i kotłów na chórze, uroczyście weszli na salę i zajęli miejsca u swych krzeseł, niezręczny i opryskliwy poseł francuski de Brégy, któremu się miejsce dla niego naznaczone nie podobało, ponieważ go posadzono za nuncyuszem naprzeciw posła weneckiego, zażądał od nuncyusza, aby mu swojego miejsca ustąpił. Król milczał, ale pobladł z tłumionego gniewu.

Nuncyusz zaś z uśmiechem oświadczył posłowi, nie ruszając się ze swego miejsca, iż posłusznym jest rozkazom króla JMści i pozostanie, gdzie go posadzono. Musiał więc de Brégy połknąć tę gorycz, wiedząc, że się nią narazi królowi, który i tak już zniechęcony do Francuzów, z największą trudnością zgodził się na to, aby

biskup auriacki, towarzyszący pani de Guebriant, zajął miejsce przy królewskim stole. Porządek nareszcie utrzymał się taki, że przy królowej zasiadła pani de Guebriant, za nią nuncyusz, a po nim w rogu stołu pan de Brégy. Po drugiej stronie przy królu siedział brat jego, Karol, poseł wenecki i biskup auriacki. Poniżej stołu osobny przeznaczonym był do stawiania półmisków, które przynosili paziowie i służba, a komornicy królewscy brali i podawali królestwu.

Trzy stoły, przeznaczone dla gości, natłoczonych przy nich... dla królowej, gdyby patrzeć i widzieć coś mogła, przedstawiałyby zajmujący widok, gdyż najosobliwsze stroje, jakich naówczas w całej Europie razem zebranych nigdzie widzieć nie było można, składały się na obraz, godzien Weronezyusza. Nie było mody i sukni, któraby tu się nie znalazła, począwszy od starodawnej polskiej i tureckiej, tatarskiej, ruskiej aż do hiszpańskiej, włoskiej, niemieckiej, szwedzkiej i takich, którym imion właściwych dać było trudno.

Godzą się na to w opisach swoich wszyscy współcześni, iż w Polsce ta rozmaitość mód w ubiorach była cechą charakterystyczną.

Tak samo spojrzawszy po głowach, największą różność czupryn, wąsów, bród i czubów można było dostrzedz. Wszystkie stroje wogóle odznaczały się niezmiernym przepychem; niektórzy z senatorów na szablach, guzach i spinkach dźwigali miliony, a czuby ich kołpaków na tysiące czerwonych złotych szacowano.

Zazwyczaj po ucztach takich weselnych następowały tańce, ale tu czas postu (była to niedziela Laetare) i choroba króla, który się w krześle nosić kazał, ani myśleć o nich nie dozwalały. Usposobienie też zajmujących główne miejsca gości, na których oczy wszystkich były zwrócone, wcale się do skoków wesołych nie nadawało.

Królowa wymogła na sobie, aby twarz rozjaśnić i moc ducha, tak potrzebną, okazać, w czem jej umieszczona obok marszałkowa de Guebriant dopomagała; reszta zaś siedzących obok, z wyjątkiem nuncyusza, uśmiechającego się ciągle, miała oblicza posępne, nie

wyjmując króla, na którego twarzy, oprócz cierpienia rzeczywistego, zły humor, znużenie, niechęć jakaś i duma najwidoczniejszemi były.

Książę Karol nigdy w życiu nie miewał wesołego oblicza, a nie przymuszał się dnia tego, aby je przybrać; biskup auriacki wiedział podobno, że mu nie chciano dać miejsca należnego i siedział posępny a milczący, Brégy jawnie nadąsany, Tiepolo wśród dwu sąsiadów zmuszonym był patrzeć tylko, nie mogąc zawiązać rozmowy.

Zdaje się, że król musiał wydać rozkazy, aby z półmiskami pośpieszano, gdyż aż do zbytku szybko się one po stołach przesuwały.

Królowa, nie przybierając postawy ani twarzy wyzywającej oczekiwała słusznie na to, ażeby król zrobił jakiś pierwszy krok ku niej, odwrócił się, przemówił, choćby dla tych secin oczów, które na nich patrzały. Tymczasem król blady, wyprostowany, widocznie zagniewany a świeżo wystąpieniem posła francuskiego dotknięty, jeśli się zwrócił i przemówił, to tylko do komorników, podających półmiski, do podczaszego, który nalewał. Królowa miała do rozmowy jedynie p. de Guebriant i nuncyusza, który się od p. de Brégy odwracał.

Obiad przy dźwiękach muzyki, chociaż król życzył sobie koniec jego przyśpieszyć, nie mógł się skończyć tak prędko. Ceremoniał wymagał wielu dań, które jakiś czas na stole tknięte, czy nie, pozostać musiały.

Jedyną rozrywką dla uszu były istotnie piękne śpiewy i muzyka, ale kilkaset osób, bez względu na nie nietylko mruczało, ale hałasowało i pokrzykiwało, na króla nie zważając. Szum i wrzawa bardzo często pochłaniały dźwięki i głuszyły pieśni.

Ogromną sprzeczność stanowił ten Olimp w końcu sali w swym majestacie zimnym siedzący, jakby bez życia, ze stołami pospolitej rzeszy, która w miarę jak się uczta przeciągała, coraz gorętszem życiem pałała. Goście z otwartością republikańską zarówno wychwalali silnie korzeniami zaprawną kuchnię króla, jak i ganili wcale niewyborową piwnicę, gdyż ich pojono

zieleniakiem węgierskim wodnistym, a czoło tylko senatorskie lepszemi winami obdzielane było.

Król siedział, jak na mękach, a królowa tylko z pomocą posłowej i niezmiernego wysiłku mogła zachować pozór jakiejś wesołości, którą nie łudziła nikogo.

Niektórzy urzędnicy dworu, marszałkowie, podczaszowie, cześnicy, krajczy, kuchmistrze, dla tytułów, które nosili, nie siadali prawie do stołu, będąc na rozkazach króla i rodzaju służby, która na dozorze i reprezentacyi polegała. Dozwoliło to Kazanowskiemu parę razy zbliżyć się do pana, potem do Maryi Ludwiki, a za jego przykładem poszli i inni towarzysze.

Stołu tego olimpijskiego wszakże żadna siła z jego uroczystego skostnienia wyprowadzić nie mogła. Wszyscy tu liczyli bijące na zegarze zamkowym godziny, z upragnieniem czekając końca.

Pani de Guebriant, choć wiedziała, że usposobienie króla z każdą chwilą było gorsze, że usiłowano go podburzyć i zobojętnieć dla królowej, spodziewała się jednakże jakiegoś ceremonialnego zbliżenia, dwu słów zamienionych, a choćby ruchu, któryby rozmowy domyślać się dozwalał.

Ale Władysław z zaciętością dawał poznać Francuzom, iż z nich, z żony, z ożenienia i ze wszystkiego był do najwyższego stopnia niezadowolony.

Dania następowały po daniach, śpiewy po śpiewach, coraz nowe popisy muzyków, coraz cięższe brzemię zdawało się ugniatać stół królewski. Szczęściem, mrok sali, cień, który baldachimy rzucały, pogoda chwilami powlekająca niebo chmurami, nie dozwalały dobrze się przypatrzeć królestwu.

Pani de Guebriant szeptała Maryi Ludwice:

— N. Pani, wszystko ma koniec, nawet najnudniejsze uczty.

Na powiekach królowej stawały łzy. Przy toastach już podchmielonych senatorów ozwały się mowy, powstała wrzawa taka, iż muzyka grać przestała. Niektórzy z ichmościów, dobrze już rozweseleni, poszli z kielichami przyklękać przed majestatem, ale i tych Władysław przyjął nadzwyczaj lodowato, a królowa łaciny ich dobrze zrozumieć nie mogła.

Naostatek przyszły wety, cukry, konfekty, owoce i koniec się zbliżył. Król sykał, niecierpliwie się domagając, aby mógł odejść do swoich pokojów.

Zamiast jednak tłumaczyć się z tego przed królową, na którą unikał spojrzenia, pochylił się, pomijając ją, do marszałkowej de Guebriant.

— Jestem mocno cierpiącym — rzekł do niej — Wymogłem to na sobie, aby się tu znajdować i dotrzymać placu, przebaczysz mi jednak pani, że się natychmiast na spoczynek udać muszę. Post i obyczaj naszego kraju tańców wszelakich wzbraniają, a ja ledwie chodzić mogę. Kto łaskaw, może pozostać u stołu, ja wstać i nieść się każę.

Nic mówiąc nic, królowa ruszyła się także i nie do męża, ale do marszałkowej odezwała się:

— Opuszczamy salę.

Pani Guebriant skłoniła głowę.

Około królewskiego stołu ruch się dał uczuć, reszta biesiadników powstała z miejsc, nie w zamiarze tak rychłego opuszczenia zamku, ale dla okazania królowi poszanowania.

Przyniesiono krzesło i nowożeniec z pomocą dwóch dworzan przesiadłszy się na nie, w pochodzie uroczystym, otoczonym dworem, poprzedzany przez marszałków z laskami, zniknął za drzwiami.

Tuż za nim królowa z marszałkową, z biskupem auriackim, z posłem, z kilkunastu senatorami udała się ku temu samemu wyjściu z sali i znikła także.

Reszta posłów, wyjąwszy nuncyusza, który także, błogosławiąc żegnającym go, usunął się, wmieszała się do tłumu pospolitych śmiertelników, i rozmowy dopiero teraz huknęły na całą salę.

Kapela zaś, która na wyjście króla grała marsza wojskowego, pamiętna programów dawnych, po chwilce, nie pytając, czy kto tańcować myśli i będzie, rozpoczęła menueta.

Cóż się to teraz dopiero działo w tym rozkołysanym

jak fale morskie, tłumie, już podochoconym! Któż powtórzy, co tu za rozmowy się wiązały, rwały, wybuchały i niedokończone roztapiały w śmiechach. Brzęk szkła, szczęk dzbanów, rozbijanych mis, wywracane ławy, wszystko to .razem zmieszane zamkową salę czyniły gospodą jakąś, ale żadna siła nie mogła tu przywrócić jakiego takiego porządku, dopókiby goście znużeni sami spoczynku nie zapragnęli.

Dopieroż słuchać było potrzeba zdań o królowej, o królu, o Francuzach, o ich „pudłach" (perukach) na głowie.

— Ale król — wołała mazowiecka szlachta, której było najwięcej, — król nam coś bardzo nierycersko wygląda!

— A mimoto na koń chce siąść i na Turka gwałtem— wołał drugi.

— Po co? — przerywał trzeci. — Mamy z nim pokój... co to my dla drugich będziemy ręce sobie parzyli, kasztany z ognia wydobywając! My na wojnę grosza nie damy.

Zahuczano przyjaciela pokoju.

— Mówili, że królowa, jak róża — wołał jeden,— w czasie wjazdu stała się lilią, bo Francuzki herb też lilie, ale co dziś, to dalipan i do maku ją trudno było porównać.

Z należnem poszanowaniem potrosze wyśmiewano wszystkich, nawet się i duchowieństwu dostało. Biskup auriacki nie podobał się ogólnie.

Inni powtarzali plotki, a na ucho szeptano sobie, że król zamiast do pokojów żony, wprost się nieść kazał do mieszkania Niemki, którą, jako kochankę jego dawną, palcami wytykano.

Niestety, tak było w istocie, a nietylko nie starano się ukryć z tem, ale Władysław z pewną ostentacyą wydał rozkazy. Chorym był tylko dla tej żony, ale do panny Amandy odpoczywać się udał i pozostać tam miał do nocy.

Cały dwór wiedział, dokąd go niesiono, i wszyscy Francuzi zostali zawiadomieni przez usłużnych dworaków, iż N. Pan nie do swoich pokojów, ale do panny Amandy nieść się kazał.

Gospodyni wystrojona czekała go na progu, a Pac i Platenberg mu towarzyszyli.

Nie dziw też, że Marya Ludwika, zaledwie dopadłszy do swej sypialni, z płaczem się rzuciła, kryjąc twarz w poduszki; na łoże.

Nawet dotąd wytrzymująca wszystko pani marszałkowa de Guebriant, weszła za nią zmieszana nieco i widocznie przybita tą jawnością, jaką nadawano temu, co ona dotąd za małe nieporozumienie tylko brać chciała.

Usiadła przy królowej i wzięła jej ostygłe ręce w swe dłonie, powtarzając znowu:

— *Courage!* Wszystko to im się gwałtowniej poczyna, królowo moja — rzekła głosem poważnym, ale współczucia pewnym, — tem pewniej skończy się waszem zwycięstwem. Nikt nas nie słucha, mówić więc mogę otwarcie; jesteśmy kobietami, ja mam doświadczenie długich lat. Mężczyźni z wielkim charakterem i energią nigdy tak porywczo i nierozważnie nie stają do walki. Wszystko to są dowody słabości, siebie niepewnej, dowody wpływu, jaki niepoczciwy dwór, wyzyskujący króla, wywiera na niego. Czują oni, że się zbliża ostatnia ich godzina, bronią się rozpaczliwie, ale polegnąć muszą.

Gdyby duchowieństwo miało wpływ na króla, najskuteczniejszem byłoby pośrednictwo kapłana, spowiednika. Król jednak, o ile wiem, dosyć ma być obojętnym w religii. Słyszałam, że niegdyś w młodości w kościele od powietrza, jakie go obwiało, dostał mdłości i odtąd unikać miał kościołów, ale podobno zbytnia pobożność ojca i macochy sprzykrzyły mu się.

Zamiast pobożnych kapłanów słucha zepsutej młodzieży i pochlebców, którzy go na zgubę prowadzą. Wszystko to mocą charakteru wam trzeba zwyciężyć i naprawić...

— W tym wieku! — zawołała królowa, ręce łamiąc. — A! gdybyśmy były przewidzieć mogły, co mnie tu czekało! Gdybym choć obyczaj tego narodu, tego dworu znała wprzódy, gdybym miała wyobrażenie o zepsu-

ciu, jakie tu panuje... stokroćbym wolala pójść do klasztoru. Cierniowa to będzie korona!

— Początki są zawsze trudne! — pocieszała de Guebriant. — Mówiłam dziś poufnie z księżną Radziwiłłową; każą się spodziewać zmiany na lepsze... Senatorowie sami będą się starali o to. Kazanowscy, chociaż powoli, działać będą... wreszcie czas, czas, ten najdzielniejszy pomocnik...

Królowa z rozpaczą patrzyła osłupiałemi oczyma w okno.

— Nie opuszczajcie wy mnie! Nie odjeżdżajcie — zawołała, błagając, — a nadewszystko nie dozwólcie, aby mi król z okrucieństwem niemiłosiernem odebrał służbę moją, oddając na łup tym obcym nieprzyjaznym. Jeżeli dwór mój nie ma pozostać przy mnie, ja wolę powrócić do Francyi!

Guebriant pochyliła się ku niej.

— Ale oni właśnie tego chcą, do tego dążą, abyś ty, królowo moja, ty sama zerwała ten związek i powróciła ze sromotą do Paryża. Oni ci grożą, aby przestraszyć. Co do mnie — dodała Guebriant,—bądźcie pewni, nie ruszę się stąd, dopóki pożycie małżeńskie nie stanie się rzeczywistością. Król może być chorym, jak długo zechce... dla mnie musi na parę dni zdrowie odzyskać, aby małżeństwo miało znaczenie i ważność. Dotąd biskup auriacki mówił mi to dziś jeszcze, ślub nie jest w pełni uznanym przez kościół, gdy małżonkowie żyć z sobą nie mogą. Nastanę na króla, wystąpię w imieniu króla naszego, który nie nawykł, aby go lekce sobie ważono... Dajmy przejść tym burzom, które siłę stracić muszą. Odwagi i cierpliwości!

Płakała Marya Ludwika, lecz po tem osłabnięciu niewieściem, duma rodu, poczucie godności swej dźwigało ją; gotową się czuła do walki, do której musiała znaleźć sprzymierzeńców.

Położenie nakazywało bądźcobądź, z niezbędnem, z nieuniknionem obyć się i szukać jego stron słabych.

Na nieszczęście jedyna podpora, marszałkowa, ni, mogła tu pozostać z nią, a de Brégy, poseł francuskie

który dla zaciągów miał bawić w Polsce, nie miał ani jej taktu, ani zręczności, ani bystrości i przenikliwości, ani ochoty poświęcania się. Płochy Francuz, rzucony wśród społeczeństwa, które mu się też płochem wydało, zaczynał już przejmować jego obyczaje i sam jeden podobał sobie wśród zepsutego dworu Władysława.

Gdy królowa zawczasu się usunęła i drzwi swe dla wszystkich zamknąć kazała, pozostając w kółku swoich domowników, u panny Amandy otwierano podwoje, król poufalszych przyjmował, a Niemce nie bronił tu grać roli gospodyni.

Ci, co go widzieli w czasie obiadu martwego, napuszonego wewnętrznym gniewem, poznać go nie mogli, tak się tu ożywił, tak nawet chwilami był wesołym.

Pac i Platenberg zabawiali go powieściami o Francuzach, nastając na to, że oprócz siostrzenicy pani de Guebriant, której już kilku paniczów zakochanych czasu podróży, nadskakiwało, nie było ani jednej z dziewcząt przy królowej, wartej, aby ją w Polsce zatrzymać. Wszystko to należało precz odprawić, aby sobie spokój zapewnić.

Nazajutrz król z góry zapowiedział, że będzie chorował i jeżeli zostanie zmuszony na chwilę się ukazać przy obrzędzie oddawania darów, jakie mieli składać posłowie i korporacye, ks. Neuburgski, Pruski i inni, natychmiast potem powróci na swe pokoje.

Do tego obrzędu królowa już była przygotowaną zawczasu; uniknąć go, mów, które mu towarzyszyły, i siedzenia w nieogrzanej dużej sali nie mogła, odłożyć nie zdało się na nic, musiała więc przywdziać strój uroczysty, obmyć oczy spłakane, zasiąść pod baldachimem i uśmiechać się przypadającym na kolana, a u nóg jej składającym złociste naczynia, misy, klejnoty, futra i najrozmaitsze ofiary. Wartość ich, dosyć stosunkowo mierna, nie zdołała nawet na chwilę obudzić ciekawości i zajęcia. Były to zawsze też same wyroby złotniczej sztuki, które po skarbcach leżały długie lata, czekając, aż przy podobnej uroczystości z jednego przeszły do drugiego na nowy spoczynek.

Król prawie się nie pokazywał.

Posłowa, trzeciego dnia już zniecierpliwiona, postanowiła prosić go o posłuchanie.

Ze wszystkich osób, z Francyi przybyłych, ona jedna wywierała na królu pewne wrażenie: kazała się szanować. Władysław miał najmocniejsze postanowienie pozbywania się jej tak lekko, jak się zbywał p. de Brégy i biskupa auriackiego, ale zobaczywszy ją, czuł się podbitym, onieśmielonym, stawał grzecznym, a potem sam to sobie wyrzucał.

P. de Guebriant winna to była charakterowi, taktowi, krwi zimnej, wielkiemu obyciu z życiem dworskiem, naostatek osobistym przymiotom, dającym jej wyższość nad wielu. Znano ją we Francyi z tej powagi i wpływu i to było przyczyną, że ją wysłano z Maryą Ludwiką; z pewnością, gdyby nie ona, stosunki między królem a królową nawet tak znośnie i biednie, jak się ułożyły, nie byłyby się zawiązały. Daleko groźniej przygotowywała się przyszłość: kto wie, czy królowa pozostaćby była mogła w Polsce.

Pierwsze żądanie posłuchania król, domyślając się, o co chodziło, zbył obietnicą, nie oznaczając terminu, składając się chorobą.

Marszałkowa dni parę była cierpliwą, ale po nich wysłała prośbę powtórnie; król zmuszonym został ją przyjąć, przepraszając, że w krześle siedzący, nie mogąc się poruszyć, krótką tylko może rozmową zadość uczynić jej życzeniu.

Nagradzając to, Władysław przybrał twarz jak najsłodszym wyrazem, a że posłowa nie spodziewając się, aby dnia tego ważniejsze sprawy mogły być roztrząsane, przybrała do boku piękną swą siostrzenicę, którą król niemniej się zachwycał od innych, posłuchanie więc upłynęło na wymianie najwyszukańszych grzeczności i oświadczeń najczulszych.

O królowej jednak wzmianki prawie nie było. Gdy Guebriant rozpoczynała o niej, Władysław przerywał jej skargami na zdrowie swe i podagrę.

Umiejąca wszystko zużytkować, Francuzka nie wahała się wpływu widocznego młodej swej towarzyszki wyzyskać na korzyść królowej. Śmiałe i wyuczone dziewczę umiało tak zręcznie przemawiać do króla, że mu się nie dało pogniewać i zmusiło go z należącem poszanowaniem mówić o Maryi Ludwice.

Ponieważ towarzystwo młodej panienki bardzo było miłem królowi, który widocznie chciał się jej przypodobać, posłuchanie się przedłużyło, przyniesiono owoce i słodycze, humor się polepszył znacznie, ale gdy wnet potem posłowa znowu wróciła, domagając się obietnicy, kiedy król razem z żoną będzie mógł zamieszkać, podagra wystąpiła, a przytomny Pac zapewnił, że król tak bywa trapiony bólami, iż krzyczeć musi, a w tym stanie nie chciałby się dać widzieć nikomu.

W ten sposób, chociaż pani de Guebriant nie mogła skarżyć się na przyjęcie, nie przyniosła z niego królowej nic, oprócz bardzo wątłej nadziei, iż król kiedyś znudzony, będzie musiał wstać z krzesła i przestać się składać chorobą.

Cierpienia były rzeczywiste, trwały one już od lat wielu, ale nie były w tej porze tak gwałtownemi, ażeby Władysławowi odejmowały władzę poruszania się i nie dawały chwil swobodnych. Wiedziano, że sam na sam z panną Amandą chodził o kijku bez pomocy po pokoju, poruszał się dosyć swobodnie i zapominał o obrzękłych nogach. Dla królowej tylko pozostawał chorym zawsze.

Zabawiały ją tymczasem panie senatorowe, które się w Warszawie znajdowały, było parę wesel w domach znaczniejszych, na które ją zaproszono, odwiedzała kościoły, przejeżdżała się po mieście. Nabożeństwo i z potrzeby dusznej i dla zajęcia czasu, stało się jej ucieczką najmilszą.

Długie godziny spędzała w pobliższych kościołach, a że pora wiosenna coraz dalszym wycieczkom sprzyjała, marszałkowa Kazanowska, Opalińscy, Ossolińscy, Radziwiłł chętnie jej w nich towarzyszyli.

Król wiedział o każdym jej kroku, ale bardzo często dwa i trzy dni upłynęło, a wcale się z nią nie spotykał. Opowiadano o chorobie; Platenberg koniuszy, wielce nad-

skakujący Maryi Ludwice, mówił o krzykach boleści, jakiemi się komnaty pańskie rozlegały.

Pani de Guebriant nie przestawała codzień dowiadywać się o zdrowie i po upływie dni kilku znowu zżądała posłuchania, nadaremnie. Walka to była, która ostatecznie musiała się na stronę posłowej rozstrzygnąć.

Królowa nieco się oswoiła ze swem położeniem, chłodniej spoglądała na to, co ją opasywało, ale niemniej pragnęła jakiegoś stanowczego końca.

Senatorowie, przyjaźni jej, mówili już o koronacyi, która była formą konieczną dla uzyskania królowej ubezpieczenia, wyposażenia, jakie jej była winna rzeczpospolita.

Dotąd jednakże małżonkowie z sobą zaledwie słów niewiele chłodnych i ceremonialnych zamienili, a w tych, jakie słyszała od męża, Marya Ludwika więcej znalazła goryczy, niż oznaki uprzejmości; każde spotkanie oblewała łzami, a gdy powróciła do swoich Francuzów, wszyscy oni, biorąc jej stronę, roznamiętniali się przeciw Polsce i królowi. Bietka już nawet nie mogła ułagodzić ich, zapewniając, że nie wszystkich za nieprzyjaciół liczyć mieli, i że wielka część najgorętszem współczuciem podzielała cierpienia i gotową była służyć uciśnionej.

Dziewczę, które wpadło nierozważnie w ten wir, traciło już i odwagę, i cierpliwość, a nieraz wzdychało do tego, ażeby się mogło ojca doczekać i uwolnić od służby przy dworze. Wpływał może na to i Nietyksza.

Łatwiejszą też zdawała się jej zemsta nad Niemką, niż teraz się okazywała. Amanda, popierana przez tych, co najbliżej stali łożnicy, ucha i serca pańskiego, brała widocznie górę. Dopóki ona tu pozostawała, stan ten zmienić się nie mógł.

Tak samo Niemka, przez Paca i Platenberga dowiadując się, jak czynną, choć mało widoczną na dworze królowej rolę grała Bietka, powiadała sobie, że się jej stąd koniecznie pozbyć było potrzeba.

To przekonanie właśnie jeszcze następujący wypadek jak najmocniej wpoił niespokojnej Amandzie. Jedna Bietka znała tu ludzi, mogła przestrzedz o każdym, bez

niej Francuzi nigdyby sobie rady nie dali, jedna ona miała odwagę wcisnąć się wszędzie.

W czasie, gdy król, składając się podagrą tak dobrze unikał Maryi Ludwiki, że się z nią nie spotykał prawie, jednego dnia Bietka przechodziła zamyślona korytarzami, które z pokojów króla prowadziły do Niemki. Było to dziełem wypadku, czy obrachowania, że w tej chwili, gdy hajducy króla przenosili dosyć ciasnym korytarzem, Bietka się ukazała w drugim jego końcu.

Zatrzymała się z początku, namyślając się, czy nie zawrócić, ale nie chciała okazać, że ucieka od oblicza pańskiego. Król znał ją dobrze i pamiętał, była nawet na regestrze u Paca, jako pożądana rozrywka.

Chwilkę postawszy, Bietka, nie zawracając się, wybrała miejsce za pilastrem, aby z krzesłem pańskiem się rozminąć. Spojrzenie na tego nowożeńca obudzało litość; siedział w krześle z obwiniętemi futrem nogami, okryty płaszczem, podbitym rysiami, z głową osłoniętą, z twarzą żółtą i nalaną, której barwa od siwiejących bródki i wąsa jeszcze mocniej odbijała, posępny, namarszczony, zgięty. Nadrabiał tylko dumą, ale widocznie był nieszczęśliwym i uciśniętym.

Chociaż Bietka starała się niby ukryć za pilastrem, Władysław ją zobaczył, i zrównawszy się z miejscem, w którem stała, laską, którą miał w ręku, dał znak hajdukom, aby się zatrzymali. Zwrócił na nią oczy.

Wargi mu się podniosły.

— Na Francuzkę cię już przerobili! — zamruczał.

Bietce nigdy na odwadze nie zbywało.

— Jeszcze nie, miłościwy panie — rzekła śmiało— ale wszystko może być; nie ja jedna się nią stanę.

Władysławowi w rozmowę się wdawać w korytarzu nie zdało, skinął ręką.

— Chodź ze mną!

— N. Panie — odparła — do panny Amandy ja nie pójdę.

Król się nadąsał.

— Nie do Amandy — zawołał z gniewem — ja tu jestem wszędzie u siebie... Chodź... słyszysz!

Krzesło poniesiono dalej, a dziewczę szło posłuszne, któż wie, może nawet uradowane, że je zmuszono...

We drzwiach o niczem niewiedząca Niemka oczekiwała na króla, którego jej oznajmiono, ale ujrzawszy dącą tuż za nim Bietkę, z krzykiem się w tył cofnęła.

Widział to król, zamruczał tylko, ale wcale się nie poruszył. Wniesiono go do pokoju, z którego Amanda wybiegła, drzwi za sobą zatrzaskując. Ustawiono krzesło w zwykłem miejscu, a król natychmiast się zwrócił do dziewczęcia. Naprzód ciekawie mu się przypatrywał, jakby zmiany w niem jakiejś szukał, potem mówić zaczął.

— Przystałaś na służbę do Francuzów — rzekł.

— Tak jest — zawołała Bietka — bo tu wytrwać nie mogłam.

Zamilkł król, a po przestanku podnosząc oczy na nią, rzekł:

— No, cóż nowa pani?

— Nie pożądam innej, ani lepszej — zawołała Bietka.

Po krótkiem milczeniu Władysław zapytał znowu:

— Cóż tam Francuzi?

Dziewczę się trochę namyślało z odpowiedzią.

— A! N. Panie — rzekła — kryć tego nie będę. Wszyscy oni Pana Boga o jedno proszą: ażeby stąd conajprędzej się wydobyć mogli.

— Oprócz królowej — przerwał Władysław.

— Owszem — mówiła żywo Bietka — owszem! N. Panią tak tu przyjęto, że i ona, i pani de Guebrant, i pewnie poseł przemyślają tylko, jakby się wydoybć nazad i to, co się stało, odrobić.

Zmarszczył się król mocno; dotknęło to jego dawną własną.

— Co za dziw — mówiła dalej Bietka. — Trzebaby nie mieć najmniejszego czucia, żeby nie być do żywego obrażoną, bo tu się wszystko składa na to, aby N. Panią bbleśnie drażnić, a ona się przecie nie napraszała. To też całym teraz rozumem ich wszystkich zręcznie się uniknąć i pod pozorem choroby N. Pana, tymczasowo przedsięwziąć podróż do Francyi, z której pewno nie powróci.

Król słuchał tak zdumiony, iż mówić nie mógł.

— Pleciesz! — zamruczał gniewnie. — Pani de Guebriant wcale co innego powiada, nagli...

— A! wie ona, dlaczego to czyni — szczebiotało dziewczę dalej. — W ostatku, gdy się przekona, że na chorobę długą się zanosi, wniesie powrót, a poseł i wszyscy popierać będą. Trudno wymagać, aby tak przyjmowani Francuzi, podobać sobie u nas mieli, oprócz jednej marszałkowej, która sama powiada, że łaskę W. Król. Mości dla siebie winna pięknej siostrzenicy. Poseł się skarży na miejsce u stołu niewłaściwe, na równi z Włochem, biskup wie, że mu całkiem chciano odmówić krzesła u stołu, a do królowej nawet W. Miłość mówić nie raczycie. Tyle czasu, a męża tak, jak nie zna. Więc wolałaby powrócić do Francyi i o to jedno Pana Boga prosi.

Francuzom zresztą wcale się u nas nie podobało. Kraj znajdują dzikim, ubogim, zimnym, gotowi stąd uciekać wszyscy i nie dziwią się królowi Henrykowi.

Czy wyrachowana, czy nieostrożna ta paplanina Bietki poruszyła króla do najwyższego stopnia, zburzyła w nim żółć. Dokuczać chciał królowej, gotów był Francuzów powypędzać, ale dozwolić, aby ona sama stąd zażądała powrotu, a oni się wynosili dobrowolnie, nie mógł! Było to obrazą jego majestatu, lekceważeniem.

Bietka tymczasem ciągnęła dalej:

— Francuzi mówią, że król polski tylko dla wyłudzenia posagu królowej na jakąś tam wojnę zażądał się żenić, a chory jest i nie do ślubu mu, ale do pościeli i doktora.

Słowa te zuchwałe i ciche, szybko wymówione wprost do ucha Władysława, dopełniły miary; zżymnął się i rzucił Władysław do najwyższego stopnia obrażony i nie przedłużając już rozmowy, wskazał Bietce na drzwi. Dziewczę się niziuchno ukłoniło i furknęło, jak ptaszek, a w tejże chwili drugiemi drzwiami wpadła panna Amanda cała w płomieniach.

IX.

Ujazdów, w którym król czasem przebywał, szczególniej dla zwierzyńca i wygodnego w nim polowania, zwał się naówczas — miejscem za Warszawą, o ćwierć mili położonem i do miasta się nie liczył.

Pominąwszy tak zwane Folwarki miejskie na Górze szpitalnej, place były rozległe, niezajęte czasem zasiewane, należące do mieszczan Kamieńskich i Skurczyńskich.

Nie dojeżdżając do wioski Ujazdowa, na gościńcu naprzód widać było piękną figurę kamienną z krzyżem, która zapowiadała rezydencyę królewską. Składała się ona z gmachu nowego, rozległego i już na sposób wytworniejszy zbudowanego, mieszczącego w sobie okazałe apartamenta, z kuchni, oficyn, podwórza trochę ciasnego, i zwierzyńca naokoło, a nakoniec ze starego dworu Ujazdowskiego z obszernemi ogrodami i szklarniami.

Te to ogrody cieniste i zwierzyniec szczególniej uprzyjemniały pobyt w Ujazdowie, a król się nim tak chwalił, jak Francuzi swemi podmiejskiemi królewskiemi pałacami w Fontainebleau.

Gmach nowy w Ujazdowie, napozór już ukończony, wewnątrz przyozdobiony i mieszkalny, wistocie jednak nie był po myśli króla wykonanym. Miano go rozszerzyć i ubrać w kolumny, które dotąd leżały w podwórcu pod szopami, razem z marmurowemi lwami, przeznaczonemi do wjazdu. Wszystko to sprowadzone znacznym kosztem z zagranicy czekało na budowniczego.

Pałac Ujazdowski, chociaż w cieplejszej porze bywał zamieszkiwanym, więcej się nadawał do uroczystych przyjęć, niż do wygodnego pobytu. Najwięcej miejsca zajmowały w nim wielkie sale, których ściany całe okrywały obrazy, umyślnie malowane, przedstawiające allegoryczno-historyczne dzieje panowania Władysława. Nie zbywało też na mnogich wizerunkach.

Wspomnieliśmy już, mówiąc o pałacu Kazanowskich, jak za tego króla miłość sztuki, malarstwa i rzeźby była powszechną. Wzorem króla, Kazanowskich i Ossolińskiego, tak samo biskup Zadzik ściany swych pałaców i zamków, które rad przerabiał, okrywał malowaniami.

W Ujazdowie były porozwieszane nie ścienne, ale wielkie obrazy olejne.

Dół pałacu stanowiły galerye, wsparte na słupach, w których się mieściły składy. Wschody wygodne i niezbyt wyniosłe prowadziły na pierwsze piętro główne, którego nadzwyczaj prosty plan składał się z całego szeregu sal, idących wzdłuż jedna za drugą, z końca w koniec.

Pomiędzy innemi obrazami najświeższy zdawał się przedstawiać myśl, teraz właśnie króla najgoręcej zajmującą. Wystawiona była *Fides* (Wiara), broniąca Polski od pogan. Zwyciężeni już wrogowie, u nóg jej leżący, narody sprzymierzone idące na pomoc Polsce, były jakby wcieleniem tego, czego Władysław dopiąć pragnął.

Obraz też ten może na pierwszem miejscu, rzucający się w oczy, przeznaczonym był dla propagowania umiłowanej myśli pańskiej.

Drugi znacznych rozmiarów obraz w tej samej sali był koronacyą Cecylii Renaty i składał się z mnogich postaci *ad vivum* ujętych, z tłumu cudzoziemców w przeróżnych strojach, muzyków, dworu i t. p.

Trzeci przypominał chrzciny uroczyste pierworodnego syna, nad którego kolebką pochlebca malarz wystawił w obłokach spuszczającą się z niebios koronę! Rozmaite postacie składających podarki urozmaicały i ożywiały malowanie.

Oprócz tego wspaniały wjazd Cecylii Renaty, stanowił przedmiot jeszcze jednego płótna, znacznych rozmiarów. Artysta, malując królowę, nie skąpił jej dziewiczego wdzięku i uczynił istotnie uroczą i idealną.

W czterech narożnikach nowego pałacu wyskakujące altany przeznaczone były do napawania się pięknym, a rozległym widokiem Wisły i jej brzegów, ożywionych latem ruchem szkut, bark, tratew, które przesuwały się ciągle w górę i w dół.

Tuż pod pałacem, cały obwiedziony parkanami wysokiemi otwierał się zwierzyniec, w kilku miejscach poprzerzynany umyślnie w nim urządzonemi sadzawkami, napełniony sarnami, jeleniami, zającami i królikami, ożywiony mnóstwem ptactwa. Nawet ci, co zagranicą widzieli wiele starannie dla oka urządzonych ogrodów, oddawali ówczesnemu Ujazdowskiemu sprawiedliwość, iż trudno było o równy mu rozmaitością i bogactwem widoków, a szczególniej pięknością drzew starych i krzewów.

Miłość ogrodów, która w XVIII wieku tak aż do przesady posunięte przybrała u nas rozmiary, tu się pierwsza objawiła w parku prawdziwie królewskim, ulubionym wielce królowi.

Z drugiej strony zwierzyńca wznosił się tak zwany Stary dwór Ujazdowski z całą osadą budowli gospodarskich, stajen, gumien, szop, z łaźnią i sadzawką.

Do dworu starego przylegał drugi ogród mniejszy dla użytku szczególniej królewskiego stołu przeznaczony, w którym hodowano drzewa owocowe przednie, sprowadzane z zagranicy, wytworne jarzyny, a w figarniach, ubezpieczonych na zimę, drzewa, z których owoce, jak zapewnia współczesny nasz przewodnik, na korcy mierzono. Cegielnie, dworek rządcy, sadzawki dla ryb, mały lasek dopełniały zabudowań i gospodarstwa ujazdowskiego.

Należy tu wspomnienie resztkom jakiegoś starożytnego wału, jeszcze za Władysława czwartego widocznego, zwanego Mazowieckim, o którym było podanie, iż tu jakieś książątko pojmano i więziono.

Nie brakło i kościoła na wzgórzu, z plebanią i obrazem cudownym, założonego staraniem i kosztem królowej Anny Jagiellonki podobno.

Król, chociaż miał bliżej zamku na Krakowskiem Przedmieściu pałac teraz niezajęty, równie wspaniale urządzony, gdy chciał się rozerwać i odpocząć, najchętniej do Ujazdowa się przenosił.

Miał tu, oprócz innych przyjemności, zawsze gotowe polowanie, które lubił, bo pamiętano, aby w zwierzyńcu nie brakło mieszkańców.

W ciągu tych intryg i zabiegów na dworze królewskim wiosna się zbliżała, a z nią chwila, gdy Władysław zazwyczaj się do Ujazdowa przenosił. Lecz, ażeby się tam udać swobodnie, potrzeba było raz skończyć z panią de Guebriant, która królowi wręcz i otwarcie zapowiedziała we cztery oczy, iż nie odjedzie, dopóki małżeństwo się nie stanie rzeczywistem życiem wspólnem.

Miała ona zręczność odwrócić od królowej wszelkie podejrzenia i potwarze, a że, oprócz tego, plany wojenne króla wymagały pieniędzy, a tych się ani podobna było domagać od Maryi Ludwiki bez zbliżenia się i przejednania, Władysław naostatek, pomimo całych wysiłków panny Amandy i jej przyjaciół, musiał się poddać.

Dzień został wyznaczony, pani marszałkowa dopilnowała, ażeby już nic nie stanęło na przeszkodzie, i królowa po poufałej z mężem rozmowie, w której okazała wiele taktu i zręczności, panując nad sobą, mogła naostatek przenieść się do apartamentów wspólnych i zająć należne stanowisko.

Chociaż wistocie może usposobienie króla wcale się nie zmieniło, czego przyszłość dowiodła, a panowie Pac i Platenberg strzegli, aby król miał zawsze nową jakąś niewieścią rozrywkę, chociaż panna Amanda zachowała łaski króla i pozostała na swem stanowisku ochmistrzyni królewicza, napozór wszystko weszło w tryb i karby przyzwoitości. Groźba nawet straszliwa odprawienia służby francuskiej i pozbawienia królowej jej ulubionych towarzyszek, rozbiła się o starania posłowej, o znudzenie jakieś króla, i wszyscy na miejscach pozostali.

Pani de Guebriant, która z niezmierną zręcznością sprawę zawikłaną i trudną doprowadziła do szczęśliwego końca, natychmiast pośpiesznie się zaczęła wybierać napowrót do Francyi, ale kierując się na Włochy, gdy biskup auriacki poprzedził ją jeszcze i tąż samą drogą, którą przybyła królowa, pośpieszył do swej stolicy.

Początek był zrobiony. Panna Amanda codzień zawiadamiana szczegółowo o wszystkiem przez wiernego Platenberga, chociaż wiedziała, jak wielki w tem udział miała pani de Guebriant, pamiętała zarazem, że pierwszy

zwrot w usposobieniu króla wywołała zręczna Bietka. Darować jej tego nie mogła.

Pozbyć się jej jakimkolwiek sposobem było dla Niemki tem, *Delenda Carthago*, do którego najwyższą przywiązywała wagę. Miłość własna nakazywała też okazać jawnemu wrogowi swą siłę.

Nie było to jednak tak bardzo łatwem, jak się mogło wydawać. Bietka zupełnie znikała wśród dworu tego, na którem Francuzi i Francuzki stali w pierwszych rzędach, lecz niewidoczna, zakryta, była niemniej tak królowej potrzebną, że bez niej się obejść nie mogła. Długi pobyt, prawie od dzieciństwa, przy dworze, osłuchanie się z tem, co tu krążyło, dawało jej świadomość charakterów ludzi, którzy się około króla obracali, miarę ważności ich, przywiązania Władysława i t. p.

W początkach wśród natłoku przedstawiających się jej osób, z temi twarzami sarmackiemi, które się jej wszystkie do siebie podobnemi zdawały, Marya Ludwika z trudnością się mogła oryentować. Każdy nowy gość był dla królowej zagadką, miała-li go liczyć do przyjaciół, lub do mniemanych wrogów? pytać innych nie śmiała.

Zaraz w początku tego pamiętnego dnia niedzielnego, gdy uroczyście odprawiono smutne na zamku wesele, śmierć niespodziana okryła żałobą rzeczpospolitę całą. Zmarł w Brodach hetman wielki i pan krakowski, Koniecpolski. Spadek po nim poruszył wszystkich, którzy się z odkrytych wakansów — kasztelanii, starostwa krakowskiego, a naostatek i buławy spodziewać mogli. Warszawa się zaludniła gośćmi. Wkrótce potem śmierć biskupa chełmińskiego, Działyńskiego, równyż miała skutek.

Wówczas więc to roztropne, przebiegłe i zręczne dziewczę, jeżeli samo narazie odpowiedzieć nie umiało, potrafiło przez swego Nietykszę i przez innych zasięgnąć informacyi o charakterze i stosunkach; a że królowa dotąd się nie zawiodła na tem, co jej Bietka przynosiła, miała w niej ufność nieograniczoną.

Cieszyła się i dumną tem była Bietka, lecz łaski królowej zaczynały obudzać w jej francuskim dworze

zazdrość i niechęci. Właśnie w tym czasie zarysowało się jeszcze mocniej dosyć dla królowej przykre rozdwojenie jej sług. Zgryźliwa panna de Langeron, z pomocą podstępnego, milczącego, a zazdrosnego pana de Conrade i kilku zniechęconych do pani i pana des Essarts, zaczynała u królowej intrygować przeciwko nim, podszeptując, że des Essarts, sekretarz królowej Desnoyers, a nawet spowiednik królowej, ks. de Fleury, nadto dobrze byli z ambasadorem de Brégy, z którego królowa nie była kontenta.

Panna de Langeron, wiedząc, jak jej pożyteczną być może Bietka, starała się ją sobie pozyskać, ale ostrożne dziewczę, nie chcąc się łączyć do żadnego obozu, stanęło obojętnie na boku. Nie mogła tego przebaczyć Langeronowa i postanowiła szkodzić jej, o ile mogła. Miała zaś u królowej pewne wzięcie i wiarę, bo nikt jej tyle plotek nie przynosił, co Langeronowa, i ona pierwsza odkryła, że pan de Brégy przywiózł sobie z Gdańska, czy Elbląga bardzo piękną Niemeczkę, którą w swym domu przechowywał. Królowę to zniechęciło ku niemu, a oprócz tego już mu wiele niezręczności w postępowaniu miała do wyrzucenia.

Plątały się więc znowu na wszystkie strony pozastawiane sieci, na które baczne oko mieć musiała Bietka, aby nie wpadła w nie i stała się ich ofiarą.

Coraz piękniejsza i cieplejsza wiosna skłoniła króla do przeniesienia się do Ujazdowa, naturalnie razem z królową. Zapowiedziano te przenosiny, a choć odległość od Warszawy była nieznaczącą, nie mogło się ruszyć królestwo nie przygotowując, gdyż Ujazdów oprócz najpotrzebniejszego sprzętu nie miał nic, nawet pościeli i łóżek.

Na zamku więc z tego powodu rozpoczął się ruch nie zwykły; ładowano wozy, układano suknie do skrzyń; Francuzi z obawy, aby im tam czego nie brakło, gotowi byli ciągnąć za sobą, co mieli.

Bietka pomagała, o ile mogła.

Dni kilka upłynęło na tych przygotowaniach przyśpieszanych, gdyż król tęsknił za polowaniem, a nie mógł

puścić się w lasy, zawsze z obawy podagry, która powracała.

Nazajutrz miano się już przenieść do Ujazdowa, gdy wieczorem przychodząca do królowej pani des Essarts, z pannami de Mailly i de Lucé, napomknęła jakby nawiasowo, iż Bietka gdzieś znikła. Królowa właśnie się świeżo o nią dowiadywała, mając jakieś zapytanie pilne; posłano szukać po zamku.

Nikt jej nie widział. Nie było we zwyczaju, aby się oddalała bez opowiedzenia, nawet do Bieleckich, lub do starej Mingajłowej. Można było przypuścić chyba, że na odjezdnem coś pilnego ją zmusiło wybiedz bez oznajmienia o sobie.

Oczekiwano cierpliwie powrotu, lecz gdy późnym już wieczorem nie zjawiła się z powrotem, królowa niespokojna, raz i drugi wysłała swoich paziów na zwiady. Rozbiegli się oni po zamku, szukali nawet w ogrodzie pod mieszkaniem księcia Karola, gdzie nigdy chodzić była niezwykła, dopytywali, kogo spotkali, ale nikt jej nie widział, nikt o niej nie wiedział.

Na to niespokojne dowiadywanie się o nią wpadł właśnie Nietyksza. Jak piorunem go to raziło. Naprzód zbiegł na dół do stajen i gdziekolwiek o Nesterackim się mógł dowiedzieć, ale Benedyka tego dnia jakoś nikt nie widział. Z zamku poleciał Nietyksza do Bieleckich, i tu jej nie było, a nawet od kilku dni Bielecka o niej nic nie wiedziała; naostatek Litwin popędził i dotarł aż do Mingajłowej. Staruszka odpowiedziała na zapytanie, że wistocie Bietka była u niej na pożegnaniu, ale przed godziną sama jedna od niej wyszła, mówiąc, że musi na zamek pośpieszyć. Miała się więc tam wprost udać, to nie ulegało wątpliwości.

Nietyksza nie wątpił już, że korzystając z ruchu, jaki panował na zamku w wigilię przenosin do Ujazdowa, łotr Nesteracki, który się odgrażał, że porwie dziewczę, musiał zasadzkę uczynić i nikczemny zamiar przyprowadzić do skutku.

Nie mogło się to dokonać gdzieindziej, jak na małej

przestrzeni, która dzieliła zamek od pałacu Kazanowskich, Bernardyńskiego kościoła i klasztoru.

Tu właśnie nie było się u kogo dopytać.

Nietyksza stał rozmyślając, gdyż natychmiast chciał się puścić w pogoń, gdyby tylko wiedział, w jakim się ma udać kierunku, gdy spostrzegł w ulicy ogromnego draba, który się spokojnie z rękami w kieszeniach spodni kozackich przechadzał.

Był to ów Parfen, k óry z Warszawy się jeszcze nie oddalił.

Zrozpaczony Nietyksza zbliżył się do niego. W kilku słowach dał mu zrozumieć o co chodziło.

— Ja tu już stoję od mroku — odparł Kozak — bo czekam na kogoś... A no prawda, przed niespełna godziną szła kobieta jakaś od pałacu Kazanowskich.

Kozak opisał ubranie i postawę, które mogły Bietce przystać.

— Nie wiem, co się stało?—dodał Parfen — ale na rogu od kościoła kilku ludzi zabiegło jej drogę, otoczyli... Krzyku nie było słychać żadnego... gromadką potem pośpieszyli do krytego wozu, który czekał trochę dalej, no i popędzili zdaje się na most i za Wisłę chyba.

Z kilku pytań rzuconych jeszcze pośpiesznie Parfenowi, okazało się, iż prawie napewno Bietka tu pochwyconą być musiała, że jej usta zawiązano i uwieziono o mroku.

Co się działo z Nietykszą — opisać niepodobna; oszalał, pędem pobiegł do dworu Radziwiłłowskiego, a tu go już żadna siła ludzka pohamować nie mogła,

Miał kilku dobrych towarzyszów i przyjaciół; krzyknął ku nim:

— Życie mi wzięto! Ratujcie, oddam ostatnią koszulę; kto żyw na pomoc, na koń, na koń!

W początku sądzono, że biedny Nietyksza się upił, lecz wiedziano o jego kochaniu na zamku, bo o niem ciągle prawił, przyjaciele więc serdecznie wzięli jego sprawę. A przytem po nocy siąść, pędzić, było to tak powabnem dla dziarskiej młodzieży, iż pół godziny nie potrzebowali,

aby już konie posiodłane dosiąść i razem z Nietykszą puścić się na Pragę i Skarzyszów w świat.

Litwin dobiegł na zamek i tu u bramy komornikowi królowej dwa słowa powiedział, aby natychmiast pani doniesiono, co się stało; nie wątpił bowiem, że Kozak go na drogę naprowadził.

Królowa dnia tego sama wieczerzała, gdy des Essarts wpadła przestraszona, z wiadomością, którą jej przyniesiono.

Załamała ręce Marya Ludwika i sama chciała biedz na skargę do króla, gdy szczęściem zjawił się koniuszy Platenberg.

Najgorszy był to poseł w tej sprawie, ale umiał uniżonością, pochlebstwy i udawanemi doniesieniami tak się wkraść w zaufanie znacznej części dworu, że się nim posługiwano, nie podejrzewając go o zdradę.

Platenberga więc królowa odprawiła natychmiast do króla. Ten, nim poszedł, wywołał Paca, z którym oba wszystko nawspół knowali i robili, pomagając sobie wzajemnie.

— Bietka znikła! — zawołał, śmiejąc się, Platenberg. — Alarm u królowej, jakby jej największy skarb odjęto.

Pac nie okazał najmniejszego zdziwienia; zagryzł usta.

— A! — rzekł obojętnie — znikła! Może gdzie o mroku kogo bałamuci w kącie. To frant dziewczyna. Gdzież się podziać miała? Zabawiła u przyjaciół na mieście. Co ty masz takiem głupstwem króla zajmować pod wieczór, kiedy on spoczynku potrzebuje. Powiesz mu o tem jutro.

— Ale, nie! Straciłbym całą wiarę u Pani — przerwał Platenberg; — królowa wie, że się Pan tak wcześnie do snu nie kładzie. Muszę oznajmić.

— Co? — zawołał, wstrzymując go we drzwiach Pac. — Iść do króla? ba, to trzeba wiedzieć z czem. Cóż mu powiesz? że królowa się zlękła, bo dziewczyna się jej gdzieś zadziała. To śmiechu warte. Tymczasem ta z kąta gdzie wyjdzie i... *finita la comedia.* Dajże pokój. Ja ci

mówię, wytłumacz się, a odłóż do jutra. Król zaraz się zaniepokoi, spać nie będzie.

Uderzyło to Platenberga, że dobry jego przyjaciel tak mu jakoś odradzał krok, za który on sam tylko w każdym razie mógł odpowiadać.

— Już niechaj będzie, co chce — rzekł — ja muszę spełnić rozkaz Pani. Puszczaj!

Pac spróbował go jeszcze powstrzymać, ale koniuszy stanowczo się oparł.

Władysława zastał już w łóżku.

— N. Pani mnie przysyła — rzekł — ze skargą. Dziewczyna jej ze dworu przepadła... lęka się o nią!

Król się zawsze dziewczętami mocno interesował, podniósł się nieco.

— Jaka? która? — zapytał.

— Bietka! — mruknął Platenberg.

Zamyślił się Władysław.

— Bietka?

Tuż za Platenbergiem stał Pac, przygotowany do tego, aby wrażenie tej wiadomości osłabić. Rozśmiał się.

— Miłościwy panie — rzekł — dowodzi to dobrego serca N. Pani, że się tak niepokoi tą dziewczyną, ale to bałamutka jest. Zagadała się gdzieś, albo u przyjaciółki pani Bieleckiej, albo u starej Mingajłowej u pp. Kazanowskich; ona tam często chadza.

— Posłać mi zaraz do Bieleckich i do ciwunowej, słyszysz, zaraz — zawołał król — a mnie dać znać, gdy się znajdzie.

Rozkaz był tak dobitny i takim głosem wyrzeczony, że Pac, który się skrzywił, nie śmiał mu się sprzeciwiać, a Platenberg wyszedł go spełnić.

Przez czas jakiś Pac nadaremnie zabawiał Władysława, tak był zamyślony. W dobre pół godziny powrócił Platenberg z doniesieniem, że Bietki nie było ani w pałacu Kazanowskich, gdzie pod wieczór wistocie znajdowała się u Mingajłowej i opuściła ją o mroku, ani u Bieleckich.

Posłano do królowej. Sądzono, że zguba może się już znalazła. Marya Ludwika była we łzach, Bietki szu-

kano po zamku całym, ale nigdzie ani śladu nie znaleziono.

Ponieważ przy tych poszukiwaniach po służbie i dworze rozeszła się pogłoska o zniknięciu i wielkiej troskliwości królowej, niektórzy z komorników zaczęli się z tem odzywać, iż sprawa była niczyja, tylko Nesterackiego.

Ale Pac wpadł na tych, co się ośmielili go podejrzewać, zakrzyczał, zahuczał i zagroził, aby nie śmieli się z tem odzywać.

Dziwnem się to wydało wielu, iż panna Amanda, którą znano jako nieprzyjaciółkę Bietki, gorąco bardzo się o to dowiadywała, wychodziła, rozpytywała i widocznie była niespokojną, a nie uradowaną

Pac i ona coś szeptali i naradzali się. Jeden z przyjaciół Nietykszy, nie wiedząc, że on już był zawiadomiony, pobiegł do Radziwiłłowskiego dworu i przyniósł stamtąd wiadomość, że Nietyksza miał już trop i w dziesięć koni puścił się w pogoń. Pac, usłyszawszy to, jak szalony wpadł do panny Amandy.

Mogło to dać do myślenia, iż i wojewodzic i ona do zbytku się teraz interesowali tem wypadkiem, chociaż on wogóle na zamku wywołał takie zajęcie, ruch, rozprawy, jakgdyby nie szło o ladajaką dziewczyninę, ale o wielkiego rodu dziedziczkę.

Kilkadziesiąt lat temu porwanie podobne było daleko pospolitszym wypadkiem; teraz obyczaje się znacznie zmieniły, a ludzie uspokoili i najazdy stały się bardzo rzadkiemi.

Królowa była nadzwyczaj zmartwioną losem swojej służki, a że jej uczyniono nadzieję, iż pogoń może doścignąć złoczyńcę i Bietkę wyswobodzić, spędziła niemal całą noc bezsenną na posyłaniu i dowiadywaniu się o nią.

Ludzie jednak rozsądniejsi słusznie czynili uwagę, że odbicie było prawie niepodobieństwem dlatego, iż nikt odgadnąć nie mógł drogi, jaką się puścił ów gwałtownik, a z pewnością nie wybrał on największego gościńca, gdzie się mnóstwo spotykało podróżnych, tylko boczne manowce.

Imię Nesterackiego było na ustach u wszystkich, gdyż nie wątpiono, że on jeden mógł popełnić szalony ten rapt w przystępie jakiegoś szału dzikiego.

Nazajutrz rano, gdy żadna jeszcze wieść o pogoni nie nadeszła, a we dworze Radziwiłłowskim nie było z powrotem nikogo, choć królowa czuła się zmęczoną, podróż owa do Ujazdowa, którą, śmiejąc się, tak nazywano, przyszła do skutku. Ale Marya Ludwika część tylko dworu swojego wzięła z sobą do Ujazdowa, nie chcąc królowi przyczyniać tam troski w ugaszczaniu liczniejszego orszaku.

Królewicz Zygmunt i panna Amanda z nim pozostali w Warszawie, nie zawsze bowiem król był z ukochanego syna rad i często obawiał się jego prawdomówności i naiwności. Kilka razy już w znaczniejszych towarzystwach takie się chłopięciu wyrywały zeznania, tyczące Niemki i ojca, że potem go za karę po kilka dni z za klauzury nie wypuszczano.

Z południa Kazanowski przywiózł do Ujazdowa wiadomość, iż pogoń, która się puściła za porwanem dziewczęciem (mówiono o niej w całej Warszawie), prawie na oku miała tego, co ją porwał i niezmordowanie ścigała, spodziewając się odzyskać. Królowa się tem wielce uradowała.

Przybycie marszałka do Ujazdowa miało jednak cel inny, nie samo tylko uspokojenie o los Bietki. Kazanowski przybywał głównie dla rozmowy z Maryą Ludwiką w sprawie najważniejszej — pożyczki pieniędzy na wojnę.

Zbliżenie się królowej, do czego się nie przyznawano, nie co innego spowodowało, jak ta potrzeba pieniędzy. Wiadomo było, że królowa rozporządzała znacznym kapitałem, złożonym w Amsterdamie, który w każdej chwili mógł być podniesiony. Część jego była już w Gdańsku.

Ona sama i Francuzi życzyli jej go obrócić na zakupienie dóbr we Francyi; król spodziewał się pozyskać na tę wojnę, która znowu zapalała go do najwyższego stopnia.

Marszałek, znalazłszy królowę samą, bo Władysław z krzesłem się kazał zanieść do zwierzyńca i tam z ptaszniczek do królików strzelał, rozpoczął otwarcie rozmowę.

— Nie przychodzę ja do W. Król. Mości od króla— rzekł — bo on wcale o tym kroku nie wie, ale przez tę cześć i przywiązanie, jakie mam dla niej, jako przyjaciel pana mojego z radą i życzeniem.

Wojna przeciwko poganom była i jest oddawna marzeniem naszego bohatera. Od bardzo dawna starał się on ją przyprowadzić do skutku, ale teraz dopiero staje się ona możliwą. Pozyskujemy właśnie w tych dniach cara moskiewskiego, który się zobowiąże być naszym sprzymierzeńcem, co jest tryumfem wielkim; mamy wenetów i mieć będziemy innych książąt włoskich i niemieckich.

Ale wszystkich, nawet w. kniazia Moskwy, łatwiej nam pozyskać, niż naszą szlachtę, już zniewieściałą, obawiającą się wojny długiej, a od niej zależy u nas pobór na wojsko, to jest koszta. Nie dadzą podatków na wojnę, aż w ostateczności. Król wszystkie swe środki wyczerpał na działa i zaciągi, ale te są niedostateczne, czas nagli, potrzebuje pieniędzy, a niczem go sobie skuteczniej ująć nie można, jak posiłkując mu do osiągnięcia dawno upragnionego celu. Przychodzę więc z radą i życzeniem, abyś W. Król. Mość zaofiarowała swą pomoc.

Marya Ludwika myślała chwilę.

— Co do mnie — rzekła — z największą ochotą i gotowością oddam N. Panu nietylko to, czego żąda, ale wszystko co mam; nie mogę jednak uczynić tego bez wiedzy Francyi i opiekunów moich, którym, choćby przez grzeczność, winnam zapytanie o ich zdanie. Nie zabierze to wiele czasu.

— Mogę więc — wtrącił Kazanowski — uczynić królowi nadzieję?

Królowa przyzwoliła na to i marszałek poszedł do króla.

Rzecz napozór wydawała się bardzo prostą i łatwą, i za taką ją miała Marya Ludwika, która tegoż dnia zawiadomiła p. de Brégy przez sekretarza swego Desnoyers, że widzieć się z nim pragnie.

Brégy pośpieszył tak, iż przed wieczorem był już w Ujazdowie.

Nie lubiła go królowa, tym razem jednak narada

z nim była nieuniknioną. Na pierwsze słowo w tym przedmiocie Francuz odparł tem, że oddawna był już o to szturmowany przez króla i o projekcie pożyczki wiedział, ale nie mówił o nim, bo nie życzył go ani popierać, ni przyprowadzać do skutku.

— Wiem to od pp. senatorów — rzekł wkońcu de Brégy, — iż cała niemal rzeczpospolita jest przeciwko wojnie, z wyjątkiem bardzo niewielu osobistych przyjaciół króla. Szlachta nie chce grosza dać na nowe zaciągi, a te, które król z własnej szkatuły poczynił, widzi złem okiem i na sejmie się ich rozpuszczenia domagać będzie gwałtownie.

— Interesem jest waszym, miłościwa pani—ciągnął dalej — zyskać sobie miłość, choćby dlatego, aby szlachta wyposażyła ją jak należy. Pożyczając królowi na tę wojnę, W. Król. Mość zniechęcisz cały kraj, całą szlachtę.

— Na tobym nie zważała, panie de Brégy — przerwała Marya Ludwika — gdybym serce króla wzamian pozyskać mogła. Niestety, dziś to dla mnie wątpliwem nawet. Były chwile, w których łudziłam się jakąś nadzieją, ale widzę, że król powraca do swych obyczajów, a dla mnie jest zaledwie w oczach ludzi uprzejmym, lecz serca nie ma.

Wręcz jednak odmówić tych nieszczęsnych pieniędzy nie mogę, bobym wywołała burzę, a tych mam dosyć. Pomóż mi waćpan formalnościami do przeciągnięcia tej sprawy.

To, o czem pan de Brégy nie mówił, przyczyniało się także do zwlekania. Król francuski żądał pozwolenia zaciągania w Polsce żołnierza, gdy z drugiej strony były zapewnione posiłki Austryi w ludziach. Władysław IV więc z tem upoważnieniem do zaciągów się wahał, a poseł chciał, wyrabiając u królowej pożyczkę, wzamian przytem upiec to, co mu powierzono.

Plątało się tak dokoła nieszczęśliwej królowej mnóstwo nici pozaciąganych, które groźne dla niej być mogły, a dobrego jej nic nie obiecywały. Wiedziała, że król Niemki znienawidzonej pozbywać się nie myślał, chociaż

Kazanowski przyrzekał, że ją zamąż za ubogiego Czartoryskiego wyswata.

Oprócz tego krótkotrwałe, liche miłostki z mieszczankami warszawskiemi, o których względy dla króla starali się nawyprzódki Pac i Platenberg, bezwstydnie się przeciągały. Obu tych ichmościów surowsi ludzie przezwali „koczotami" i znani byli pod tem mianem obelżywem.

W ulicach Warszawy widywano te postrojone rażąco ichmościanki, które się względami na zamku uzyskanemi niemal chlubiły.

Nigdy zbytek w ubiorach tej klasy ludności nie dochodził takich rozmiarów, i współcześni świadczą, jak raził a bił w oczy.

Panna Amanda patrzała przez szpary na te fantazye zdziecinniałego i zepsutego pana i tem sobie łaski jego zaskarbiała.

Królowej i wielu z nią zdawało się, że wojna mogła ten sposób życia zmienić i zgorszeniu położyć koniec, bo ona jedna tak poruszała i unosiła Władysława, że dla niej zapominał o wszystkiem. Z tej więc strony pomoc dana była w interesie królowej.

Oprócz p. de Brégy, Marya Ludwika miała tylko Kazanowskiego i ks. Radziwiłła, którego rady mogła zasięgnąć. Ten ostatni zaś był wywoływaniu wojny tak zasadniczo przeciwnym, iż o niej wspomnieć, ani mówić nie dawał.

— Na wojnę z Turkiem nie dam ani jednego człowieka, ani złamanego szeląga, całą siłą się będę ej przeciwił.

Ile razy to od niego, lub kogokolwiekbądź słyszał król krew mu nabiegała do oczów, trząsł się, mruczał:

— Zmuszę szlachtę do wojny; mam Kozaków w ręku, którzy nie rzeczpospolitej, ale mnie służyć będą.

W tym to celu przez pośrednictwo Ossolińskiego zawiązały się i przeciągały układy z Siczą, a teraz po wyprawieniu Plazy, który nadto długo nie wracał, król już

mówił o tem, że należało kogoś wyprawić na Niż, aby stosunkom tym nie dać zasnąć. Ale cóż? Kozacy kłaniali się, bili czołem, obiecywali posłuszeństwo, a rękę wyciągali. Widzieli dla siebie w tem czysty zysk, aby podlegać wprost tylko królowi, nie sejmom i szlachcie, o interesie jednak nie zapominali.

— Chcą mieć pułki? — mówiła starszyzna — wiedzieć powinni, że żołd każdemu żołnierzowi płacić potrzeba. I nam się on należy... zatem...

Pan ataman, śmiejąc się, wyciągał do posła rękę, a drugą na dłoni pokazywał, iż liczyć trzeba było talary.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

Tom III.

I.

W połowie siedemnastego wieku stary gród Kijów był smutną, ogromną podaniami ozłoconą ruiną. Nad brzegiem wspaniale toczącej się rzeki, rozłożony na malowniczych, zielenią i drzewy okrytych wzgórzach, cały prawie się składał z nizkich, szarych, drewnianych domostw, ogrodami i parkanami otoczonych, z których niewiele nad jedno podnosiły się piąterko. Wśród nich potężne kupy gruzowisk, porosłe już krzewami i drzewy, grube ściany murów odwiecznych, sterczące z obłamanemi sklepieniami, w których przeglądały gliniane garnki, szczątki murów, wiekami zlanych w jedno ciało, mogiły cerkwi i teremów, — podnosiły się, jak groby na cmentarzysku. Gdzieniegdzie tylko pobożne ręce stary rozwalony gmach podniosły, umalowały i ozłociły.

Lecz nowe życie na rozległych ruinach było zaledwie pobożną strażą nad tem zbiorowiskiem grobów, których tu na każdym kroku spotykało się więcej, niż żywych ludzi. Ziemia, drzewa, wody wesoło znowu pr[illegible]dły dzieje swego życia; człowiek nie potrafił przyw[illegible]cić tego, co tu niegdyś istniało — potęgi i siły. L[illegible]nowi wyglądali jak mrowisko na szerokiem polu pustkowia; wesołość natury ze smutkiem osieroconych resztek rozpędzonego narodu była w sprzeczności, nadającej obrazowi temu cechę własną.

Ruiny, ledwie widoczne, panowały jeszcze nad żywotem i w nich go więcej było, niż w tem, co się tu po-

ruszało leniwo i smutnie. Co krok obok chaty ubogiej spotykało się kupę rumowisk, której wieki pożyć nie mogły, stojącą jak pytanie, jak rozwalony grób bez imienia. W ustach ludu do każdej z tych mogił przywiązana była baśń, pieśń, legenda, jedna strofa rozerwanej i zaginionej epopei. Na tem zgliszczu jednak i pieśń nie śmiała się rozlegać głośno, przez poszanowanie przeszłości, i ludzie stąpali cicho i podanie u wieczornego ognia szeptano półgłosem, aby widm śpiących nie zbudzić.

Było to jakby jedno wielkie grobowisko. Dwie tylko prastare świątynie na nowo wyrosły z gruzów i świątecznemi ubrały się szatami — Ś. Zofia i Michał. W pierwszej z nich świeciły jeszcze szklane obrazy, których lata skruszyć nie mogły; na drugim błyszczał złocisty dach, zwiastujący, że pod nim spoczywały zwłoki świętej męczennicy, Barbary. Całe życie przeszłości w tych dwu jeszcze świątyniach biło tętnem dawnem pocichu.

Dokoła zdala widziane gęste drzewa i zarośla stanowiły jakby morze zieleni, gdzieniegdzie upstrzone szarym dachem i czarnym kominem, żórawiem studni, wierzchem krzyżyka jakiejś kaplicy, lub domu modlitwy.

Szeroko u stóp wzgórza w padole nad rzeką rozciągały się rozpierzchłe domy, objęte wałem i drewnianemi tynami, które zastępowały mur obronny. Ponad temi kurtynami występowały bastyony drewniane także z daszkami śpiczastemi, jak straże czujne w dal spoglądając.

We wnętrzu grodu życie płynęło cicho i jak w starcu krew zgęsła — powolnie... czuć było jakby dwa prądy jego, unikające wzajem starcia i spotkania, wchodzące w ziemię, wytryskujące z pod niej, przeciągające istnienie uparte—walką upartą.

Wsłuchawszy się w modlitwę dzwonów rannych, ucho rozróżnić mogło nawoływanie do Boga dwoma językami, z dwóch krańców przeciwnych świata. Inaczej tętniały ś. Zofia i Michał, różnie od nich bernardyńskie dzwony na górze, dominikańskie w rynku, jezuic-

kie na pochyłości ku rzece. W pół góry stało też drewniane zameczysko, smętne, szare, opuszczone, jakby w swój żywot długi wierzyć nie śmiało; około niego roił się lud rycerski na straży.

Dwie czy trzy szersze ulice, a raczej gościńce, przerzynające miasto, cała sieć wązkich i krętych zaułków, parkanów i płotów, rzadki dwór rozleglejszy, stanowiły miasto całe, w którem drzewa ukrywały ludzi , a domostwa wyglądały jak więzienia. Życie i ruch nie w środku tego grodu, ale na kresach, rozbudzało się nad rzeką, gdzie i głosy ludzkie brzmiały śmielej i twarze odkrywały się jawniej, i śmiech czasem przerwał ciszę cmentarną, której szum rzeki wtórował pacierzem swoim.

Pieczerski monaster naówczas jeszcze dzielilo od miasta pustkowie, ale bez niego Kijów nie miałby życia i był z nim związany nieustannym prądem żywych ludzi, sznurem pielgrzymów, nieustającą modlitwą. Z zamarłego grodu tu zbiegły i pościekały wszystkie najdroższe wieńce, korony, klejnoty i relikwie prastarych dziejów, a ziemia otworzyła im macierzyńskie łono swoje, aby w niem przetrwały bezpiecznie burze i boje, zniszczenia zawieje. Od lat tysiąca mruczała pod sklepieniami, wykowanemi pobożną dłonią jedna, przerwana modlitwa, i ona jak krew ciału, dawała życie temu sercu, bijącemu w zastygłych zwłokach.

Dla zbliżającego się naówczas podróżnego to miasto, którego imię i sława były większe, niż ono samo, nie oznajmywało się blaskiem żadnym. Potrzeba się było domyślać grodu, który zdawał się chcieć kryć w płaszczu zieleni, w fałdach wzgórzów, za ścianami brzegów wysokich. Ledwie dwa, czy trzy złote krzyże i lśniący dach św. Barbary wzbijały się wyżej nieco.

Ranek był wiosenny, piękny, spokojny, pogodny, cały jeszcze zwilżony pocałunkami nocy, cały owiany mgłami rozpowijającego się poranka, jak marzeniem. U góry ledwie zaczynał przeglądać błękit bladawy północnego nieba, gdy wkoło niżej osłaniały go jak opony różnobarwne, leciuchne obłoczki, z poza których słońce czasem strzelało pasem czystego światła.

Na gościńcach, wiodących ku miastu, codziennym

strumieniem rozpoczynało płynąć życie; szły skrzypiące maże i wozy, sunęli się piesi, a z pod drzew miejskich powolnie kroczyły trzody krów wypędzane na paszę z podniesionemi głowy, odzywały się pastusze trąbki i naszczekiwania niespokojne psów.

Gościńcem jechał powoli znajomy nam Płaza-Wierzbięta, z głową spuszczoną na piersi, z czołem pofałdowanem, smutny, chociaż się zbliżał do celu, a nieśpieszący wcale, aby się dobić do niego. Wszystkie troski, jakie wiózł z sobą w sakwach podróżnych, ciężyły mu teraz więcej jeszcze.

Zdala, w myślach trudności się rozwiązywały łacniej; tu rzeczywistość stawała naprzeciw fantazyi, śmiejąc się z niej szydersko. Płaza miał przed sobą tyle zawiłych, niebezpiecznych zagadnień, a do rozwiązania ich jedną swą starą, zmęczoną głowę, dwoje rąk osłabłych i serce, które teraz na nowo bić zacząwszy, niepokoiło go ruchy swojemi.

Płaza westchnął i przeżegnał się. Pomyślał, że przecież Bóg przychodzi w pomoc tam, gdzie niema nikogo.

Kijów był mu dawniej znanym, chociaż w nim obracał się po kozaczemu w kółku kozaczem i nie wychodził za nie. Znał też dobrze u brzegu rzeki obszerną, ale napozór opuszczoną i ubogą gospodę Niżowców, utrzymywaną przez starą Marfę, którą nazywano niemą. Była to prawa kozacza niewiasta, silna, śmiała, w obejściu zuchwała i szorstka, przebiegła, odgadująca ludzi.

Tylko zmuszona, kilku wyrazami zbywała swoich gości. Słów obawiała się, jak zdrajców, a sama milcząc, ze wzgardą też spoglądała na tych, co sypali niemi bez rozwagi i miary. Dość było dla niej wielomówstwa, aby straciła wiarę w człowieka. Najczęściej nawet, gdy zbyt się kto przed nią rozgadał, porzucała go, nie dosłuchawszy do końca.

Gospoda u Marfy zbudowaną była na wyniosłym brzegu rzeki, tak, aby woda jej na wiosnę zalać nie mogła, chociaż trafiało się, że nagle wezbrany Dniepr zajrzał do niej na krótko. Naprzeciw rodzaj przystani zawsze prawie pełen był wszelkiego rodzaju bark, czółen, dębów, czajek, a wiele z nich, porzucone od lat dawnych, rozpadały się i gniły.

Stroma ścieżyna, wydeptana od wieków, poobrywana deszczami, wiodła do ogromnej szopy, wklęsłej już napół w ziemię, pogarbionej, popodpieranej i często wyglądającej na pustkę, bo z kilku wrót jedne się nie zamykały nigdy, drugie nie mogły otworzyć.

W tej ciemnej budzie, której wnętrze przedzielały płoty i ściany z desek, mieściły się wszelk'ego rodza'u składy drzewa, siana, słomy, zboża. Była ona razem oborą, stajnią, a wśród zakamarków poplątanych, między któremi mógł się pokierować tylko obeznany z niemi człowiek, kryły się izby podróżnych, to jest szynkownia.

Tu na niewygasającym nigdy kominie, ulepionym niezgrabnie, bezustannie coś się warzyło w sporym kociołku, na żelaznych prętach zawieszonym. Balasy niezgrabne dzieliły obszerną tę izbę od zaścianka, w którym jedne na drugich stały beczki, a ponad niemi na sznurach wisiały obwarzanki cebuli, czosnek i poschłe jakieś trawy a zieła.

Najjaśniejszych dni w izbie tej zawsze panował mrok, światło wkradało się do niej przez kilka małych okien, napół oszklonych, wpół łuczywem, cienko wystruganem, założonych. Izba ta miała też swe właściwe powietrze, złożone z resztek dymu, błąkających się zawsze pod stropem nieszczelnym, z wyziewów kociołka, beczek wódki, dziegciu, smoły i suszonej ryby, które owiewało wchodzących. Komin tylko i nigdy niezamykające się drzwi odnawiały tu ciężkie powietrze, w którem Marfa żyć była nawykła.

Ciężkie, szerokie ławy, które i za siedzenia, i za łoża nocą służyć musiały, biegły w okrąg pod ścianami, a dwa stoły wbite w ziemię, zastawione zawsze blaszankami i miskami, wszystkim były sprzętem. U drzwi tylko dwa ogromne wiadra i dwa czerpaki drewniane dopełniały wyposażenia.

Tokowisko, nigdy niezamiatane, zawsze prawie wilgotne, pogarbione, niekiedy kałużkami pozalewane, mieściło na sobie szczątki tego wszystkiego, co się tu spo-

żywało, nosiło i rozlewało, nie wyjmując krwi, często w nie wsiąkającej.

Płaza, postawiwszy pod dachem konia, z jakąś odrazą wsunął się do wnętrza tej ciemnicy, która mu się stokroć obrzydliwszą wydała, niż dawniej, gdy uczęszczał do niej, tak jak wogóle teraz cały świat kozaczy napełniał go wstrętem i trwogą. Czuł w nim nieprzyjaciela; choć długo był i liczył się jeszcze pobratymem. Zbliżenie do rodzimego żywiołu dało mu nagle poczuć, że ten musiał mu być obcym i wrogim.

Każdy, ktokolwiek w ciągu życia zmuszonym był obracać się w różnych sferach i warstwach i zrastać się niejako z niemi, doświadczył tego na sobie, że w rozmaitych warunkach ducha uczuwał się dla nich z kolei współczucie, to znowu nieznośną odrazę. Płaza mógł w innym wypadku może poczuwać się z kozactwem do pewnej jedności ducha, teraz go ono odpychało.

Zbliżając się ku progowi, gdy zdala ujrzał ogromną postać Marfy, w krasnej chustce, zawiązanej na głowie rozczochranej, z rękami obnażonemi po łokcie, z których jedna była zbrojna warząchwią, wzdrygnął się cały.

W izbie oprócz gospodyni, która tu widocznie królowała i gości uważała za poddanych, znajdowało się kilku Kozaków, cicho się zachowujących. Jeden spał, złożywszy głowę na rękach, a ręce na stole, a wypróżniony kubek stał przed nim; drugi nucił coś, siedząc na ławie i przez małe okienko wyglądając ku Dnieprowi; trzeci rozmawiał z Marfą. Dwóch cicho szeptało coś, poszedłszy do kąta.

Kozactwo to uderzało wielką rozmaitością typów twarzy i figury. Płaza, ze drzwi biegając oczyma po nich, usiłował rozpoznać, czy między nimi znajdzie znajomych. Długi pobyt na Niżu liczbę ich niesłychanie powiększył.

W rozmawiającym z Marfą poznał zaraz Stareńkę, który zajmował ważne miejsce w radzie i w gromadzie, bo go miano za „znachora"; w siedzącym przy oknie — przyjaciela swego, Lackowicza (tak mu się on mianował), zbiega z Polski, jak on sam, z którym żył oddawna, jak z bratem.

Reszcie już niebardzo się przypatrywał, bo ci mu starczyli.

Usłyszawszy chód, Marfa i Stareńko zwrócili oczy i Kozak krzyknął, poznawszy Płazę, którego w koszu nazywano Jeremą.

— A! dobrze robisz, że przybywasz — zawołał, wprost idąc na niego,—my już oczy wypatrzyli.

— Nie chcieli mnie odprawić — wyjąknął Płaza; — dopominałem się ciągle, dopiero teraz list dano. Jechałem na złamanie karku.

Marfa słuchała też — dla niej tu nie było tajemnic.

— Ja umyślnie naprzeciw wyjechałem — odezwał się Stareńko — pilno nam było. Możesz sobie tu spocząć u Marfy, a ja muszę z listami zaraz na Sicz. Dobrze my domyślali się, że tobie na Kijów będzie składniej.

Posłyszawszy rozmowę, Lackowicz poznał Płazę i prędko ku niemu pośpieszył. Podali sobie ręce.

Mężczyzna był nadzwyczaj urodziwy, twarzy tak pięknej, a tak niewieściego wdzięku, że go stare kozactwo carycą przezywało. Chłop był osobliwego charakteru, gwałtowny a dobry, potrzebujący koniecznie pobratyma i serca, a razem zazdrosny i podejrzliwy; w boju, jak lew, w spoczynku — rozmarzony i śpiewający.

Płaza wiedział, że to było niegdyś dziecko krakowskiego bruku, które niepowodzenie wygnało z rozpaczą w sercu aż tutaj. Wykałano mu oczy w Krakowie jego pochodzeniem ulicznem, potem gdy wdział suknię kleryka, mieszczańśtwem,—i niecierpliwy młodzian zbiegł na Niż.

Tu mu naprzemiany bywało i bardzo dobrze, czasu wycieczek na tatarskie wioski koczujące, to nieznośnie, gdy w koszu spoczywając, nędzne powszednie spełniał posługi. Pisarz go brał czasem do pomocy. Kozacy starsi obchodzili się z nim, jak z dziewczyną lub dzieckiem, chociaż znali jego męstwo. Kilku się w nim tak kochało, jak owi rzymscy Cezarowie w swych Antinousach.

Lackowicz był przywiązany namiętnie do Płazy

jak do ojca, bo z nim jednym o przeszłości, o Krakowie mówić mógł i utyskiwać, chociaż powracać tam się wzdragał.

Zobaczywszy starego druha, Lackowicz mu się z okrzykiem rzucił na szyję, ale Stareńko nie dał czasu się witać i rozczulać.

— Słuchaj, Jerema — rzekł, pasa poprawując; — dawaj bumahy, ja z niemi tej godziny jechać muszę.

— A ja? — zapytał Płaza.

— Zamyślił się Kozak.

— Zostań tu — rzekł — mnie się widzi, że trzeba będzie znowu posyłać do Warszawy.

Nie dokończył jeszcze, gdy trzech Kozaków, ludzi ogromnego wzrostu i dumnej postawy, wtargnęło do izby z takiemi ruchy i obejściem się, jakby tu rozkazywać przychodzili. Wszyscy na widok ich przybrali oblicza pokorniejsze.

Ogromnym głosem jeden z nich, ozierając się wkoło, huknął:

— Sława Bohu!

Odpowiedziano mu jednym jakby głosem. Stareńko się zbliżył do przybyłych.

— A ot — rzekł — Jerema! Ja już chciałem listy mu wziąć i jechać do was.

— Listy — podchwycił drugi — a nu! czas było, aby napisali. Dawaj je!

Płaza już chustę dobywał.

— A gdzie ten diaczek, pisarz niezdara? Pewnie śpi pijany — huknął jeden i oglądając się, spostrzegł głowę, leżącą na stole, w którą pięścią uderzył, budząc diaczka.

Ten przerażony oczy przecierał.

Trzej, widocznie starszyzna, obejrzeli się po gospodzie; jeden z nich popatrzył na Marfę, która mu wskazała na małe drzwi.

Wszyscy oni trzej, diaczka i Płazę prowadząc ze sobą, przez nizkie te wnijście, którego drzwi trudno było otworzyć, wcisnęli się do alkierza Marfy. Spory był, ciemny, jak sama gospoda, a czuć w nim się dawała przejmująca woń kapusty, której kadź stała w kącie. Była to razem śpiżarnia i sypialnia gospodyni. Na półkach fasecz-ki, garnki, flaszki, po kątach beczki i nasypki, na deskach chleb i obwarzanki. Nieład i brud były odrażające.

Na nizkiej ławeczce naprzeciw okienka w grubej koszulinie, bosa, z włosami dawno nieczesanemi, blada, ale w oczach mająca dziki jakiś rozum zwierzęcia, siedziała dziewczynka lat może dwunastu i czesała kłaki. Na widok wchodzących rzuciła się z siedzenia ku drzwiom i znikła.

Kozacy podeszli ku oknu; kazano diaczkowi, ledwie rozbudzonemu i jeszcze może niezupełnie otrzeźwionemu, listy czytać. Stanął z niemi pod oknem, wlepił w nie oczy blachmalem zaszłe i naprzód sam starał się je odcyfrować.

Płaza pozostał dalej ku progowi. Trzej panowie starszyzna naradzali się po cichu.

Jeden z nich począł potem rzucać pytania Płazie. Z głosu i tonu widać było taką pewność siebie, jakby do odpowiedzi z Warszawy niezbyt wielką przywiązywano wagę.

Diaczek nakoniec jąkać począł owo pismo od kanclerza.

Słuchano go z uwagą, uśmiechając się niekiedy i spoglądając po sobie.

Gdy pisarz dokończył, jeden ze starszyzny kazał mu czytać raz drugi. Zbliżyli się; musiał powoli powtarzać im słowo po słowie i każdy frazes po kilka razy. Starali się tak wyrozumieć to dyplomatyczne pisanie, jakby pod niem chytrej się dwuznaczności obawiali. Potrząsali głowami, uśmiechali się.

Wkońcu jeden wziął pismo z rąk diaczka i schował je zanadrę, a chwiejącemu się na nogach pisarzowi drzwi pokazał, z czego on skwapliwie skorzystał.

Płaza stał jeszcze. Zaczęli go znowu pytać o Warszawę, a głównie o królewskie zbrojenie się na wojnę, przygotowania do niej czynione i nadzieje, jakie tam miano, że się na Turka siła zbierze potężna.

Płaza nie potrzebował nic taić.

— Szlachta — rzekł — wojny sobie nie życzy, opierać się jej będzie, ale król ze swymi przyjaciółmi chce ją mimo sejmu i narodu koniecznie wypowiedzieć. Do ostatniego grosza wydał na działa i na znaczne zaciągi. W Warszawie bawił poseł wenecki; i Włosi też chcą mu posiłkować na Turka pieniędzmi i okrętami. Obiecuje się też car moskiewski, z którym właśnie o granice teraz się układają, a król gotów, słyszę, Trubczesk odstąpić, aby sobie cara zjednać do sojuszu.

Płaza mówił im tak dosyć długo; słuchali z uwagą.

— Król rozumny — rzekł jeden — ale czy on na swojem postawi? — kto to wie? Tam co szlachcic, to król sobie, — nikogo słuchać nie chce. Z nami jednak musi Władysław kończyć, tak lub inaczej, bo my długo czekać nie możemy. Posyłają do nas cesarscy, obiecując dobrze zapłacić. Z carem moskiewskim możemy się też porozumieć. Są i inni, coby nas pociągnąć chcieli. Chce nasz pan a król Kozaków mieć ze sobą, musi nietylko buławę i chorągwie, i bębny złocone posyłać, ale żołd dobry zapewnić i zapłacić go z góry, aby potem my, jak jego kwarciani, nie potrzebowali się o swój własny grosz dobijać i głodem mrzeć.

— My królowi nietylko na Turka — dodał drugi — ale gotowi i na szlachtę pomagać. Niechaj tylko skinie! Pójdziemy my ich poskromić, że myszych dziur szukać będą, i zrobimy mu porządek w domu.

Rozśmiali się wszyscy, a trzeci dodał:

— Mało szlachty; jemu i pankom karków nagiąć potrzeba, bo i ci sobie królują, a on im tylko lalką. Niechajby my na sejm pojechali — byłby ład dopiero!

— Ale cóż — rzekł drugi; — w listach kanclerza ciągle łaska królewska dla wojska Kr. JMści zaporoskiego... Łaska; my to znamy tę łaskę, aleby ją czas na pieniądz wymienić.

Spytali potem o ożenienie królewskie, bo i o tem wiedzieli, że królowa francuska miała z sobą wielkie przywieźć skarby, a Jerema potwierdził, iż powszechnie twierdzono wistocie, jakoby posag miała znaczny.

— W listach znowu tylko stoi łaska króla JMci — dodał jeden — a nam trzeba żołdu i bezpieczeństwa, iż zostanie wypłacony. Broni musimy kupić, czajki budować, ludzi ściągać, a nasze gródki poumacniać, bo Turek zaczepiony, wraz z Tatarami na nas padnie.

— A co z tych listów — niechętnie rzekł trzeci;— my jemu czołem bijemy, on nam łaskę swoją posyła... i z tego ślinienia nic... ino czas marnie uchodzi.

Wszczęli tedy naradę, nie pozbywając się Płazy, który stał; wkońcu wszyscy się na to zgodzili, że im potrzeba jechać do kosza, radę zwołać, postanowić coś, listy odprawić, warunki w nich jasno opisać, a o dokończenie układów naglić, aby wiedzieć, czy cesarskich posłów z niczem mogą odprawić.

Cesarzowi niemieckiemu, choć wiele obiecywał, wierzyć jakoś nie chcieli. Władysław z tem swem postanowieniem poskromienia panów bardzo im się podobał.

— A cóż ja mam począć z sobą? — zapytał Płaza wkońcu — do kurenia, odpocząwszy, czy co?

Lasota miał już osnuty plan, dla którego chciał się do Siczy dostać, ale starszyzna naradzała się cicho, a najpoważniejszy z nich, Netreba, rzekł:

— Po co tobie darmo na Sicz i z Siczy znowu nazad?... My musimy ostatnie listy wyprawić; ty drogi znasz, ludzi widziałeś. Na co nam innego szukać? Długo nie zabawi, musimy cię wyprawić znowu. Zostań tu, czekaj. Gdy listy będą gotowe, przywiozę ci jej tutaj, wypoczniesz tymczasem.

Płaza coś zamruczał, chcąc się wypraszać. Netreba go po ramieniu uderzył.

— Tymczasem twoje miejsce tu — rzekł stanowczo. — Krzywdy nie będziesz miał. Marfa lepiej warzy i piecze, niż nasz w kureniu; odpasiesz się u niej na słoninie i mięsie.

I nie słuchając go, wyszli nazad do gospody, a on wywlókł się za nimi. Nie obejrzeli się już nawet na niego, zajęci sobą.

W izbie na wychodzącego z posępną twarzą oczekiwał już Lackowicz-Caryca i pochwyciwszy go pod rękę, wyciągnął z sobą na podwórko od strony rzeki.

Krzaki tylko wiśniowe dzikie, poczepiane na stoku urwi-

ska, oddzielały ich od majestatycznego widoku Dniepru, na którym właśnie, po spłynięciu lodów, ruch się największy objawiał.

Lackowiczowi pilno było pytać, ale Płazie odpowiadać trudno, taki jakiś ciężar czuł na sercu, a nie spadł mu on z niego aż temu druhowi, którego był pewien, wyspowiadał się, ze wszystkich przygód swoich. Przyznał mu się i do tego, że córkę znalazł i że już mu wcale życie nie smakowało na Siczy, które raz na zawsze porzucić był gotów, byle z Chortycy dobył swój skarb i mógł go z sobą uwieźć.

O skarbie tym Lackowicz dawniej już wiedział, ale teraz posłyszawszy, zaczął bardzo głową potrząsać.

— A oni mnie — dodał Płaza wkońcu — nawet na Sicz jechać teraz nie dopuszczają, bo zaraz nazad z listami mają odsyłać. Nie gniewałbym się ja za to, gdybym tylko moją krwawicę mógł odzyskać.

Rozmawiając tak, przechadzali się długo nad brzegiem, aż Płazie głód dokuczać zaczął i musiał do Marfy zawrócić, a Lackowicz go nie odstępował. Biedny ten wygnaniec z upragnieniem słuchał każdego słowa, które się z ust Płazy wyrwało o Warszawie i dworze, o powszedniem życiu, za którem tęsknił.

— A! głupim był—wyjąknął w końcu, na stole się rozpierając, Caryca, — lepiej mi tam żebrakiem było zostać, niż tu atamanem. Ludzie są pobratymy, u wielu z nich serca dosyć, a no tu ani lud, ani serca nie nasze.

Płaza tymczasem rozmyślał. Siedzieli tak do wieczora. Kozak rozpowiadał nawzajem o Kijowie, o wojewodzie, o tem, co się na zamku działo, i jak Kozacy nieufnem okiem patrzeli na tutejsze urzędy i starszyznę.

— Króla słuchać — rzekł — pod jego rozkazy pójść— prędzejby się zgodzili; ale szlachcie podlegać i tej rzeczypospolitej szlacheckiej, ani im o tem gadać! Niewolą im to pachnie. Wojewoda, starosta, gdy z Kozakami do czynienia mają, jak swoich chłopów ich uważają i pomiatają nimi.

Nazajutrz po nocy niespokojnej Płaza wstał chmurniejszy jeszcze, niż wczora. Lackowicz już był przy nim.

— Wiesz, co mnie nocą do głowy przyszło — ode-

zwał się do niego Płaza. — Gdybyś ty mi druhem był, tobyś postarał się za mnie na Chortycę jechać. Ciebie oni puszczą, Carycy wszyscy słuchają. Tambyś dobył mojej skrzynki z pod kamienia, jeśli jej już kto nie zwietrzył i nie wypatroszył, i przywiózłbyś do mnie.

Lackowicz ruszył ramionami.

— Jam się do tego nie zdał — rzekł — a skarbu twego szukać ty tylko sam możesz; daj mi pokój.

— Ja w tobie wiarę mam; miejsce rozpowiem, trafisz po omacku — zawołał Płaza, ręce ku niemu wyciągając.

Zadumał się Caryca.

— Żebym za to choć z tobą razem powracać mógł! — westchnął.

— Spróbuj się prosić — odparł Płaza; — mnie towarzysz potrzebny.

Przez cały dzień potem naradzali się i spierali. Płaza nalegał, zaklinał, prosił; Lackowicz się ociągał, obawiał się nic lub źle zrobić.

— Tak, czy inaczej, krwawica przepadnie — mruczał Płaza — popróbuj!

Lackowiczowi nad wszystko uśmiechało się wyzwolenie. Nigdy on nie pokazywał po sobie, jak mu tu życie ciężyło; teraz się ono stało nieznośnem.

Trzeciego czy czwartego dnia Lackowicz się wreszcie zgodził próbować, ale nie ręczył za skutek.

— Ja na Sicz i do Chortycy pojadę — rzekł — a nuż tu tobie listy przyjdą z przykazem jechać? Ty będziesz musiał przez...

— A no, powrócę po ciebie — dodał Płaza — toć vadium masz w ręku.

Caryca się skrzywił, ale podumawszy, zmilczał. Tegoż dnia począł się bardzo pośpiesznie w drogę wybierać. Ów zakopany skarb był ukryty na wyspie w miejscu pustem, prawda, ale do wyszukania łatwem. Ogromny złom skały je odznaczał, a Płaza na tej stronie, gdzie się podkopał, krzyżyk na kamieniu wyciosał.

Pozostał tedy sam w smutnej gospodzie Marfy, a ona do niego, ani on do niej przystać nie mógł. Baba

w nim wietrzyła lacha, a tego rodu cierpieć nie mogła; ledwie czasem raczyła przemówić do niego słowo. Płaza po całych dniach, nie mając co robić, wdziawszy odzienie, po któremby niełatwo było poznać, kim był, wałęsał się po Kijowie, zachodził do kościołów i do cerkwi, przysłuchiwał się i przypatrywał życiu, które tu dwoma prądami przeciwnemi płynęły, unikając starcia z sobą.

Pomiędzy mieszczaństwem, które jawnie w polskich kontuszach i żupanach występowało, było tak samo dwa obozy jak w ulicy, jak w służbie Bożej. Rzadko się znalazł kto, coby od archimandryty poszedł do przeora Dominikanów, który chlubił się tem, że Rusinem był i po rusku mówił dobrze. Z zamku, w którym życia było niewiele, do monasteru na Pieczerskie niewiele pielgrzymowało. Spoglądano na siebie z pewną nieufnością i obawą, jakby się wzajem śledzono.

Łatwo z tego było się domyśleć, że tu więcej się umysły zwracały do przeszłości, niż w teraźniejszości rozmiłowywały. Gruzy i ruiny świadczyły o wielkości; nowe klecie starczyły ledwie za obozowisko.

Nieraz u szczątków złotych wrót, w których już ani wrót, ani złota nie było, stawał mnich czarno odziany, który Nestora czytał i dumał, zatapiając się we wspomnieniach. Zwracał się potem w stronę zamku, gdzie mieszkał pan wojewoda i wzdychał. Złotych teremów wielkich kniaziów nie było ani śladu, szare parkany drewniane opasywały to pobojowisko wieków.

Płaza więcej to wszystko odgadywał, czuł, niż czytał jasno. Nieraz, jako Kozak, podsłuchał żalów, a gorycz ich trwogą go przejęła.

Powrotu Lackowicza żadna rachuba nie dozwalała odgadnąć. Konno, czółnem, pieszo i wedle okoliczności sprzyjających lub przeciwnych musiał się przenosić z miejsca na miejsce. Dać o sobie znać było trudno i niebezpiecznie.

Codzień prawie nowi Kozacy przybywali i odjeżdżali nazad, lecz spytać ich o Carycę nie śmiał. Jeden z nich p zypadkiem o nim wspomniał, że go w - dział, ale w miejscu dosyć od Chortycy odległem z rybakami na łowach.

Listów też, które mu przysłać miano, słychać nie było. Pisarz dawno stąd do kosza powrócił.

Płazie nudziło się okrutnie; siadywał więc nad brzegiem rzeki i na barki a tratwy patrząc, męczył się myślami. Bietka jego stała mu na oczach, a niepokój o nią ogarniał.

Dnia jednego rano spał jeszcze na sianie w szopie, gdy nad sobą usłyszał głosy i wołanie:

— Jerema!

W tych, co go tu wyszukali, poznał dwu pułkowników ze starszyzny i Netrebę. — Porwał się więc z posłania.

— Wstawaj — zawołał Netreba; — pisma ci przywieźliśmy, a jeśli nie dziś, jutro w drogę musisz.

Wzięli go z sobą do tego samego alkierza, z którego znowu wypłoszyli chude dziewczę, z pierzem w garści tym razem.

— Listy masz — rzekł Netreba; — a jest ich nawet więcej, niż pierwszym razem, bo i do innych panów z naleganiem pisać musimy. Niechaj raz koniec będzie. Regestra są, wiele nas tysięcy stanąć może. — Mówcie im ustnie, a powtarzajcie, że nam żołdu i pewności potrzeba, ile nas mieć chcą gotowych.

Zechcą tu kogo swojego przysłać, aby się przekonać, że my pod chorągwiami stoimy, nie zbronno. Pieniędzy przysłać muszą. Płacą obcym zaciężnym i drożej ich, niż my, kosztować będą, a bez nas się nie obejdą. My na zawołanie będziemy. Król skinie, skoczym na Turka i potargamy go tak i na lądzie i na morzu, w jego galerach, że się rozsierdzić musi... Ale nam też pewność potrzebna, że gdy pohańcy na nas uderzą, sami nie zostaniemy. Król swoje wojska wysłać musi, a póki my o nich wiedzieć nie będziemy, nie ruszymy się.

Płaza musiał cierpliwie słuchać nauki, jaką mu dawano, a że prości ludzie nigdy pewni nie są, iż się jasno wypowiedzieli z myślą swoją, powtarzano mu ją nieskończoną liczbę razy, jakgdyby trudną do zrozumienia była. Każdy zosobna, na swój sposób tę samą piosnkę mu kładł do ucha.

Jerema potakiwał, oni wznawiali jeszcze, żeby kanclerzowi to wraził, że pieniędzy potrzebują, że musi stanąć umowa o liczbę, i że wojsko trzeba wysłać na granicę zawczasu.

Pisma w chusty tureckie poobwijane, wedle obyczaju zaszyte w płótno, oddano wreszcie posłowi, który ledwie się mógł do dnia następnego wyprosić z wy azdem. Nie spodziewał się już Lackowicza-Carycy.

Podszepnął wprawdzie, że radby towarzysza do podróży miał, ale mu odparto, że ją już raz sam odbył i nic mu się nie stało, a mniej oczów zwracał na siebie.

Tak więc, żadnej nie mając wiadomości o Carycy, ani jemu o sobie dać jej nie mogąc, dodnia wyjechać musiał.

II.

Królowa w Ujazdowie, chociaż miała wiele własnych trosk i niepokojów w pożyciu i stosunkach z mężem, a oprócz tego dwór swój, rozdwojony na obozy nieprzyjazne, musiała godzić i jednać, aby z tych zwad nie korzystali jej nieprzyjaciele, okazywała też wielkie zajęcie losem Bietki i ciągle o nią dopytywała. Brakło jej usłużnego dziewczęcia.

Platenberg koniuszy, który zawsze udawał oddanego królowej, a był posługaczem Paca i szpiegiem królewskim, nazajutrz dopiero, z dość kwaśnem obliczem przyszedł oznajmić N. Pani, że pono Litwini dognali uwiezione dziewczę i odbić je mieli. O nazwisku tego, który je porwał, koniuszy niby nie wiedział. Dodał, że sługa ks. Alberta Radziwiłła, który puścił się w pogoń za porwaną był podobno ranny, a nawet i Bietkę w tej walce kula drasnąć miała.

Królowa, usłyszawszy to, załamała ręce, co widząc Platenberg, pokłonił się i zapewnił ją, że w miejsce Bietki, gdyby tylko rozkazała, postara się jej o dziewczę niemniej roztropne, usłużne i umiejące po francusku.

Marya Ludwika spojrzała na niego nieco zdumiona i odparła z niechęcią.

— Przywiązałam się do niej i spodziewam odzyskać; nie chcę żadnej innej.

Platenberg skłonił się raz jeszcze i na tem się skończyło. Próba się nie powiodła; przygotowano już bowiem panienkę, którą panna Amanda bardzo sobie życzyła widzieć przy królowej, bo przez nią o wszystkiem, co się tu działo, byłaby w czas zawiadomioną.

W Ujazdowie oczekiwano co chwila wiadomości o losie Bietki, a przywiózł je dopiero pan des Essarts po południu, przybywszy z niemi umyślnie. Uspokoił on królowę, że Bietka była bardzo lekko ranną, gdyż kula prześliznęła się tylko po ramionach, Litwin Nietyksza ciężko porąbany i postrzelany, mógł jednak uzdrowieć. Gwałtownika nie ujęto, ale wiedziano dowodnie, że nim był Nesteracki.

Królowa chciała natychmiast Bietkę kazać przywieźć do Ujazdowa, aby ją sama mogła pielęgnować, ale Platenberg doniósł, że dziewczęcia na zamku nie było, bo je ciwunowa Mingajłowa zabrała do pałacu Kazanowskich, gdzie obiecywano mieć o niej macierzyńskie staranie.

Król, który był uwiadomiony o całym wypadku, chociaż w innych razach, gdzie szło o kobiety, przeciwko podobnym gwałtom z wielką występował surowością, tym razem, skutkiem podszeptów Paca i Platenberga, okazywał się obojętnym. Przyczyniła się do tego okoliczność, iż królowa żywo się o krzywdę swej sługi upominała.

Pani des Essarts odebrała natychmiast polecenie udania się do pałacu Kazanowskich, aby z ust samej Bietki dowiedziała się o szczegółach wypadku, przekonała się, czy rana nie była niebezpieczną, a zapewniła dziewczę, że królowa nad losem jej czuwać będzie. Wszystko to na dworze króla i królowej służyło za wątek nieskończonych rozpraw i plotek.

Posłana przez królowę, des Essarts znalazła Bietkę wprawdzie zmęczoną, przestraszoną, rozgorączkowaną jeszcze, ale nie zrażoną do usług dla królowej, i niezagro-

żoną niczem, oprócz łóżka przez parę tygodni. Rana, którą Nesteracki w rozpaczy, gdy mu odebrano Bietkę, zadał jej postrzałem z pistoletu, chociaż mierzył w piersi, ramiona tylko drasnęła i nie była wcale niebezpieczną. Doktór, śmiejąc się, mówił, że blizna tylko po niej na całe życie, jako wspomnienie, pozostać może.

Bietka opowiedziała pani des Essarts z żywością wielką, jak zręcznie rzucono się na nią, gdy przechodziła około Bernardynów, usta jej zawiązano, aby krzyknąć nie mogła, do wozu stojącego wniesiono w mgnieniu oka, i czwałem uwieziono z miasta o zmierzchu.

Sam Benedyk Nesteracki, z pistoletem nabitym w ręku, na drążku woza siedząc, przy związanej ofierze swej na straży jechał, ciągle ją uspokajając. Gdy później pogoń się ukazała, on i jego ludzie naprzód starali się uciekać, potem przygotowali się do rozpaczliwej obrony, a Nesteracki, palce założywszy, poprzysiągł, że jej żywej nie wypuści, a raczej sobie i jej życie odbierze, niżby miał za nią ginąć na szubienicy.

Nie dano mu tego dokonać, chociaż naostatku do Bietki wystrzelił, gdy ich zewsząd otoczono, a Nietyksza go za nogi już z wozu ciągnął. Wyrwał się mu potem z rąk, ludzie Nesterackiego poranili ciężko Litwina, ale pobici, musieli uciekać nakoniec w las.

Bietka, opowiadając to płakała, to pięści zaciskała i jeszcze przyjść do siebie nie mogła. Prosiła pani des Essarts, aby królowej podziękowała za jej troskliwość i opiekę, obiecując, gdy rana się zagoi, powrócić na służbę, przynajmniej dopókiby ojciec nie powrócił, a ona (szepnęła to na ucho) nie pomściła się na tych, którzy Nesterackiemu byli pomocą.

Według niej wszystko to sprawą było Amandy. Nietyksza, jak mówiło dziewczę, miał być postrzelony w nogę i porąbany szablami, lecz życiu jego nic nie groziło. Bietka, gdyby nie własna jej rana, gotowa była sama iść czuwać nad swoim wybawcą. Wszyscy naturalnie wnosili z tego, iż się oni wkońcu pobrać powinni.

Za Nesterackim zbiegłym nie gonił nikt, nie wydano nawet rozkazów ścigania go i chwytania, chociaż porwanie się na sługę królowej, należącą do dworu i zamku, winę jego tem cięższą czyniło. Pac i przyjaciele Amandy usiłowali Benedyka tem tłumaczyć, iż Bietka zalotnością swoją, a może nawet jakiemi obietnicami uwodziła Nesterackiego, a potem go dla młodszego i przystojniejszego Nietykszy zdradziła.

Radziwiłłowskiego dworzanina towarzysze odwieźli do książęcego dworu, gdzie sam kanclerz zalecił go pielęgnować starannie i posłał mu swojego doktora, aby rany opatrzył. Dano też zaraz znać matce jego na Litwę — bo jedynakiem był, — aby do syna przybyła.

Stara Nietykszyna mieszkała i gospodarowała w znacznej swej majętności dziedzicznej pod Olkienikami. Słynęła ona nawet wśród takich gospodyń, za jakie wszystkie Litwinki uchodziły, za nader zapobiegliwą i skrzętną panią.

Z domu Giedyminówna, mając się za dziecię rodziny wielkiego pochodzenia z książąt litewskich, pani Rozalja. Nietykszyna niezmiernie tem była dumna. Despotycznego charakteru, energiczna, naprzód z trudnością pozwoliła synowi wejść w służbę księcia Radziwiłła, chociaż w tem, wedle ówczesnych wyobrażeń, nic upokarzającego nie było, choćby zubożały potomek znacznego domu dostał się na dwór najmożniejszej i najpotężniejszej rodziny. Nie smakowało to dumnej Giedyminównie, ale wkońcu zgodziła się syna w świat puścić, aby się przetarł.

Ranny przewidywał nie bez przyczyny, znając matkę, że ona go teraz pewnie zechce zabrać do domu, ale miał za sobą księcia, który obiecywał wyprosić go sobie nadal. Łatwo się też było domyśleć, że stara ani słyszeć nie zechce o małżeństwie z jakąś dworką, której szlachectwo nawet było wątpliwem.

Gdy się to działo z Bietką, intrygi dworskie powoli ciągnęły się dalej. Kazanowski z wielką zręcznością, sam i przez żonę swą starał się nakłonić królowę, aby z sum swych, złożonych w Gdańsku, co najprędzej królowi na wojenne jego potrzeby kilkakroć sto tysięcy talarów pożyczyła. Pani Kazanowska poufnie zapewniała Maryę Ludwikę, że tym sposobem najłatwiej, najpewniej pozyszcze sobie serce małżonka. Skłaniała się już ku temu kró-

lowa, lecz z drugiej strony ostrzegano ją o niebezpieczeństwie.

Tu stał mąż wielkiego znaczenia, powagi i energii chłodnej, kanclerz Albrecht Stanisław Radziwiłł, którego sam król nawet, dla wpływu jego i wielkich przymiotów, szanować i oszczędzać musiał. Ale z nim obchodził się Władysław tak, jak z wielu innymi, których potrzebował: okazywał im łaskę i życzliwość, ale więcej ich się obawiał, niż lubił.

Z kanclerzem napozór będąc bardzo przyjacielsko i poufnie, król tak dalece był ostrożnym, że mu dotąd planów swych wojennych przeciw Turcyi nie odkrył i do nich się przed nim nie przyznawał. Wiedział o nich Radziwiłł z pogłosek i stanowczo był przeciwnym; upatrywał w tem szkodę rzeczypospolitej, niebezpieczeństwo i w przyszłości zawody bolesne. Nigdy jednak z królem mówić o tem nie miał zręczności i sam o to zagadnąć nie chciał.

Życzliwym będąc dla królowej, którą widział nie tak przyjętą w Polsce, jak zasługiwała, kanclerz ostrożnie sam i przez żonę starał się jej usłużyć radą życzliwą.

Poufnie więc w rozmowie całkiem przeciwnie radził Maryi Ludwice, aby się starała pod jakimś pozorem trudności w odebraniu — pieniędzy na wojnę odmówić.

— Wszyscy prawie są przeciwko tej wojnie — mówił królowej *sub rosa* — oprócz garstki pochlebców, lub ludzi krótkowidzących. Jeśli szlachta się dowie, żeś N. Pani na wojnę tę, jej niemiłą, pieniędzmi dopomogła, okaże się trudną potem na sejmie w uchwaleniu dla niej należnej oprawy. Król nalegać nie może. Sam już stracił wiele, a wszystko napróżno, gdyż stateczniejsza część narodu sprzeciwi się wypowiedzeniu wojny tak niebezpiecznej.

Królowa nie wątpiła, że ta rada płynęła z dobrego serca i była rozumną, lecz trudno jej było pójść za nią.

— A, książę mój — rzekła z westchnieniem — rozumiem to dobrze, wdzięczną wam jestem za przestrogę, ale jak trudno mi z niej będzie korzystać! Przypatrzcie

się tym, co mnie otaczają, pomyślcie, jak nieustannie jestem wystawioną na nalegania; potrafięż się ja oprzeć?

Ks. Albrecht nie obawiał się dla siebie intryg dworskich, chociaż wiedział, że na nie był wystawiony. Nie chciał on znać panny Amandy, i wszyscy jej przyjaciele, szczególniej Pac, podejrzewali go, a króla przeciwko niemu starali się rozjątrzyć.

— N. Panie — szeptał Pac — kanclerz tu siedzi w Warszawie wrzekomo dla traktatów z posłami moskiewskimi, ale on i jego żona codzień prawie bywają u królowej. Jeżeli N. Pani tak zwleka z pożyczeniem pieniędzy, niechybnie jest wtem wpływ Radziwiłłowski, bo kanclerz o wojnie z Turkiem ani słyszeć nie chce.

Toż samo potwierdzał Platenberg i inni zausznicy. Król coraz zimniejszym zaczął się okazywać dla ks. kanclerza, ale poważny mąż nie chciał tego widzieć.

Przyszły właśnie do rozdania wakanse na Litwie po śmierci kasztelana wileńskiego i wojewody nowogrodzkiego. Władysław na wczesne prośby kanclerza przyrzekł dać województwo Chreptowiczowi, a chorąztwo wielkie litewskie — Gąsiewskiemu.

Chodkiewiczowie, nieprzyjaciele Radziwiłłów, zabierali kasztelanię wileńską, coś się więc jako kompensata należało Radziwiłłom, a koniuszostwo dane ks. Bogusławowi, nie starczyło.

Król już miał podpisać przywilej na chorąstwo dla Gąsiewskiego, protegowanego kanclerza, gdy na jakiś znak Paca odłożył to do jutra.

Pac czatował na to chorąstwo dla swego brata, a król zapomniał, że mu je był przyrzekł. Nietylko faworyt i potrzebny służka został tem dotknięty: natychmiast po odejściu kanclerza wpadła panna Amanda za Pacem, dowodząc, że król złamał dane słowo.

— Ale kanclerz! — zamruczał Władysław. — Co ja z nim pocznę? Dałem mu słowo, przywilej wygotowany już.

— To go przepiszą — zawołała Niemka. — W. Król. Mość nie masz lepszego, wierniejszego sługi nad Paca On cierpi od wszystkich, on jeden o sobie nie pamięta.

Radziwiłłowie ciągle coś biorą, partyę sobie tworzą, a są przeciwko najważniejszym planom i projektom W. Miłości.

— Jeżeli się królowa opiera z pieniędzmi — powtórzyła Niemka —nie czyja to sprawa, tylko ks. kanclerza. I za to go masz W. Król. Mość nagradzać jeszcze?

Zjawił się w porę sam Pac ze łzami na oczach, bolejąc nad tem, iż król jego rodzinę tak lekceważył... a korzystając ze zręczności, nietylko brata zalecał, ale począł wymyślać przeciwko Chreptowiczowi, którego Radziwiłł na województwo nowogrodzkie zalecił i miał już obietnicę, że je otrzyma.

Jeden ten wieczór wczorajszą dla Radziwiłła łaskawość zmienił nagle, ale Władysław tak się całym przebiegiem sprawy zgryzł, przewidując następstwa, że nazajutrz ciężko zachorował.

Kanclerz Radziwiłł przybył z przywilejami do podpisu, gdy wybiegł do niego, łamiąc ręce, wistocie nastraszony Kazanowski, powiadając, że królowi grozi niebezpieczeństwo.

— Śmierć przed drzwiami! —wyraził się marszałek.

Radziwiłł, nie domyślając się nic jeszcze, odjechał, nie mogąc widzieć chorego.

Następnych dni Władysław miał się lepiej, ale oprócz najbliższych sług nie przyjmował nikogo. Nie dopuszczono też królowej. Doktór uspokajał, że niebezpieczeństwo minęło, ale zawsze potrzeba było spokoju.

Kilka dni Radziwiłł dowiadywał się tylko zdala o zdrowiu króla, ale razem z wiadomością o polepszeniu odebrał poufną przez Ossolińskiego, że król zmienił zdanie i chorąstwo nie Gąsiewskiemu, ale Pacowi podpisał.

— Król mi dał słowo, przywilej wygotowany! — zawołał kanclerz — To nie może być!

— Jest tak, jak mówię — dodał Ossoliński — a przykro mi razem oznajmić wam, że daleko gorsza czeka was niespodzianka. Czy król podpisał dla Chreptowicza przywilej na województwo nowogrodzkie?

— Tak jest! Podpisu przecie nie zaprze... mam go — zawołał kanclerz, poruszony do najwyższego stopnia. — Cóż się mogło stać?

Ossoliński poruszył głową znacząco.

— Nie wiem, co się stało, ale to pewna, że województwo nowogrodzkie otrzyma nie Chreptowicz, ale pan wojewoda mścisławski.

Radziwiłł pobladł.

— Jesteście tego pewni? — spytał.

— Najpewniejszy jestem — odparł Ossoliński.

— No — rzekł Radziwiłł ze spokojem, nie dobrze odegranym — przestrzeżcież króla JMości, że gdy przyjdzie do podpisywania i pieczętowania tego nowego przywileju, przyniosę pierwszy podpis królewski, ukażę mu go, a jeśli się król zaprze ważności własnego pisma, w oczach jego na drobne go kawałki poszarpię i pokłoniwszy się pójdę precz, ale nie wrócę.

Rzekłszy to Ossolińskiemu, kanclerz litewski za kapelusz wziął i pożegnał go.

Ossoliński wiedział dobrze, iż z Radziwiłłem lekko sobie postępować nie było można; pojechał więc do króla z doniesieniem. Władysław się zadumał, ale Pac podsłuchawszy i rozmyśliwszy się, jakie następstwa z tego wyniknąć mogą dla niego i rodziny, natychmiast po odjeździe Ossolińskiego wpadł do króla.

— Widzisz, coś ty mi tu narobił nieopatrznością swoją — rzekł król; — ja sobie Radziwiłłów zrażać nie mogę.

— Ani jabym ich nieprzyjaciółmi nie chciał mieć— dodał Pac — a na mnie wszystko złożą nieochybnie. Jadę natychmiast przeprosić kanclerza, N. Panie, i wezmę wszystko na siebie... potrafię naprawić.

— Próbuj — rzekł król.

Nie zwłóczył Pac i natychmiast pośpieszył do dworu ks. Albrechta, ale go tu nie zastał — układy z posłami moskiewskimi go zajmowały. Wieczorem pojechał raz drugi.

Wprost już zrzuciwszy pychę z serca, Pac począł kanclerza jak najmocniej przepraszać, modlić, prosić, aby się nie gniewał, przyznając się, że on był wszystkiego przy

czyną, a król dał słowo, że Gąsiewskiemu chorążostwo to zostanie sowicie i prędko wynagrodzone.

Radziwiłł był zbyt zręcznym politykiem, by się okazać twardym; powolność dawała mu pewną korzyść w przyszłości, nie chciał zrywać z królem. Łagodnie więc odpowiedział Pacowi i przyrzekł, że zapomni krzywdy swojej.

Król miał się lepiej i kanclerz pojechał do niego nazajutrz rano; został przyjęty z uprzejmością nadzwyczajną.

— Przebacz mi — odezwał się król, gdy pozostali sami. — Widzisz, chory jestem, znękany, zapominam się, a młodzi korzystają z tego, że mi są potrzebni, i że ja się bez ich usług obejść nie mogę, cierpiąc.

Na tem skończyła się sprawa ta, która nie mogła Radziwiłła dla króla usposobić przyjaźniej, chociaż Pac dopilnował dotrzymania słowa i Gąsiewski w tymże miesiącu dostał za chorążostwo stolnikostwo litewskie.

Radziwiłł, skończywszy szczęśliwie z posłami moskiewskimi, wyjechał do Szydłowca.

Tymczasem nalegania na królowę, aby pieniądze z Gdańska sprowadziła i pożyczyła, nie ustawały. Władysław nawet osobiście starał się przemódz i okazywać jakby skłonniejszym do zbliżenia się. Rozkazał dla rozerwania jej grać komedyoopery na teatrze zamkowym, zaprosił ją z sobą na łowy, na których okazywał jej pewne względy. Marya Ludwika, niebardzo się łudząc, rozumiała znaczenie tych zabiegów.

Kanclerz litewski powrócił z Szydłowca do Warszawy i znalazł ogromną zmianę w atmosferze dworu. Tchnęło tu wszystko jawnie wojną. Niewiadomo z czyjej porady Władysław postanowił to, co dotąd knuł potajemnie, ogłosić otwarcie. Wmówił mu zapewne Ossoliński, że nadeszła pora po temu.

Wprawdzie i wprzód wojna z Turcyą *in votis* nie była tajemnicą dla bardzo wielu; cel przybycia posla weneckiego, Tiepolo, który przywiózł obietnicę, 800.000 talarów na tę wojnę, znało wielu; królowę zmuszono niemal, iż pieniądze przyrzekła.

Ale, czego się wprzódy wystrzegano, król zamia t

na łowy, począł codzień w towarzystwie wojskowych jeździć do arsenału, piechotę kazał przed zamek prowadzić, nowe zaciągi sam lustrował, wydawano żołnierzom zaciąganym patenty i t. p.

Obok króla Zygmuś na małym koniku, przy szabelce, występował, jako przyszły pułkowódca usarzów.

Zaledwie wysiadłszy z kolebki, kanclerz się dowiedział o tem, ale pierwszemu, co mu głośno zagadał o wojnie z Turcyą, odpowiedział z wielką zręcznością:

— Mylisz się; z Turcyą niema ani powodu do wojny, aniby się na nią rzeczpospolita zgodziła; prędzej przypuszczam, że Szwedzi nam grożą, uczyniwszy pokój z cesarzem.

Nazajutrz, nim kanclerz się wybrał do Ujazdowa, gdzie się król znajdował, nadjechał posłany przez niego Ossoliński. Miał on zlecenie rozbić pierwsze lody. Królowi było ciężko tak nagle ogłosić wojnę;, wolał, aby go w tem ktoś wyręczył.

Ossoliński, doskonały polityk, wszedł z wesołą twarzą do pokoju, w którym Radziwiłł był sam jeszcze nad papierami.

— Cóż słychać? — zapytał Litwin, wpatrując się w rozjaśnione oblicze towarzysza. — Król jak się ma?

— Król zdrowszy — odparł Ossoliński — dowodem tego, że jeździł na łowy, a na nich, zamiast zająca, wojnę upolował.

— Jaką wojnę? — zapytał Radziwiłł.

— Przeciwko Turcyi — począł spokojnie Ossoliński. — Tiepolo nam się z tego nie zwierzał, ale miał zlecenie oznajmić królowi, że rzeczpospolita wenecka ofiaruje subsydyum 800.000 talarów na tę wyprawę. Przywiózł oprócz tego listy ks. Etruryi i co więcej, od ojca św. papieża.

Król, znacie go, jak jest rycerskiego usposobienia, nie mógł się oprzeć, wojna tak, jak ogłoszona, patenty żołnierzom porozdawane.

— A patenty dla kapitanów? — przerwał zimno Radziwiłł. — Wszakże one pieczęci wymagają?

— Tak jest, niewątpliwie, będziemy je musieli pieczętować — rzekł Ossoliński.

— Ja zaś oświadczam najuroczyściej — odezwał się spokojnie litewski kanclerz — iż wprzódy sobie rękę dam uciąć, nim patenty przypieczętuję.

Zmieszał się nieco Ossoliński.

— Sprawa to zbyt ważna i obchodząca całą rzeczpospolitę — dokończył Radziwiłł — abyśmy ją samowolnie rozstrzygali.

— Zgadzam się na to — po krótkim namyśle odezwał się Ossoliński — ale zobaczcie się z królem; zwoła zapewne radę.

Rozstali się więc, a kanclerz litewski, nie zwłócząc, pojechał do Ujazdowa i naprzód stawił się u króla. Władysław powitał go twarzą nader wyjaśnioną i wesołą.

— Witam was z powrotem — rzekł, podając rękę do pocałowania — a tem mi jesteście pożądańsi, że potrzebuję rady was wszystkich. W poniedziałek zwołam pp. senatorów — i po cichu, uśmiechając się, dodał:

— *Jam proximus ardet Ucalegon.*

Radziwiłł udał, że nie słyszał, lub nie rozumiał. Rozmowa potoczyła się innym torem i nie tknęła żywotnej kwestyi, ale król potrącał co chwila z nią powiązane, z czego kanclerz nie chciał korzystać, i na ogólnikach się skończyło.

Radziwiłł nie spał; do poniedziałku miał czas rozmówić się z innymi panami senatorami o tej wojnie, której się tak obawiał.

— Król — mówił kanclerzowi, z którym się spotkał we cztery oczy przypadkiem, czy umyślnie w ogrodzie księży Reformatów — pragnie gorąco wojny. Na radzie będzie nas skłaniał, abyśmy na nią przyzwolili, a potem nie on, ale my będziemy za to, co zostanie postanowione, odpowiedzialnymi.

Powaga ks. Albrechta była tak wielka, że ci nawet, co inaczej myśleli, a królowi się chcieli przypodobać, jemu się sprzeciwiać nie śmieli.

W poniedziałek wezwany do króla na czwartą go-

dzinę, książę pojechał i znalazł go w wannie, z czego bardzo rad powrócił do domu.

Król niepewien senatorów, radę i zwołanie ich odkładał, ale tymczasem swoje robił, zaciągi ściągał.

Ponieważ pieniędzy już nie miał wcale, został zmuszony choć tymczasowo się zapożyczyć u królowej. Kazanowski służył za pośrednika. W Maryę Ludwikę wmawiał, że sobie tym sposobem pozyska małżonka, i niemal ją już przekonał; króla nakłaniał, żeby, żądając ofiar, okazywał się dla żony przynajmniej grzecznym, jeżeli nie czułym.

Władysław prawie się rozgniewał na przyjaciela młodości.

— Ależ, Adamie mój, ja dla żadnej w świecie kobiety nie umiem być niegrzecznym, nawet dla prostej dziewki! Jak ty mi możesz zarzucać niegrzeczność dla królowej.

— Mogę, bo na nią patrzę — odparł poufale Kazanowski; — jesteś grzeczny dla dziewcząt, to prawda, lecz nie dla żony. Często siedzisz przy niej godzinami, nie przemawiając słowa, odjeżdżasz bez pożegnania, nie troszczysz się o nią wcale. Teraz, gdy chodzi o uczynność z jej strony...

— Ale ja nie żądam daru, tylko pożyczki! — zawołał król.

— Pożyczki, zgoda, ale i o tę prosić należy—dodał Kazanowski.

Władysław skrzywił się, lecz czuł, że przyjaciel miał słuszność i zmilczał.

Na następujące polowanie Marya Ludwika została zaproszoną. Król przyjął ją z uśmiechem, na powitanie uchylił czapkę i przemówił po włosku. Nawet coś podobnego do rozmowy plątało się przez kwadrans, a Pac, stojący nieopodal, mocno się już lękał, aby Francuzka sobie męża nie pozyskała. Uważał oprócz tego, że król ostygał znacznie dla panny Amandy.

Po polowaniu tem wkrótce córka kanclerza Osso-

lińskiego, Urszula, wychodziła zamąż za starostę bracławskiego. Królestwo, dwór cały, byli zaproszeni.

Władysław znowu był w złym humorze, tak dalece, że biskupowi poznańskiemu nie dał się z sobą pożegnać u Ossolińskich, ale mu surowo wskazał, że powinien był z pożegnaniem jechać na zamek.

Wszyscy spostrzegli ten okropny humor i podrażnienie, którego przyczyną było, że opinia Radziwiłła przeciwko wojnie brała górę. Senatorowie zaczęli ją odradzać, cofać się. Niektórzy z nich kosem okiem widzieli, że posłowie wenecki i francuski, bawili przy królu, podejrzewając ich o pobudzanie do wojny.

— U nas niema zwyczaju — mówili — aby rezydenci obcy mieszkali. Wesele dawno skończone, czegóż oni tu bawią?

Po zwłokach tylu król naostatek dał posłuchanie Radziwiłłowi, lecz miał się na ostrożności. Obu im, szczególniej Władysławowi, który się powściągać nie umiał, trudno było rozpocząć rozmowę.

Naostatek król nadzwyczaj przymilającym się głosem, błagająco prawie, odezwał się do kanclerza:

— Wiecie, czego ja tak mocno pragnę —rzekł.— Nigdy polityczne konstelacye się nie składały lepiej przeciwko Turkom, aby ich wygnać z Europy, jak teraz. Ja chcę zdobyć dla Polski chwałę dokonania tego czynu. — Wy jesteście przeciwko wojnie?

— Tak jest — odparł Radziwiłł.

— Dlaczego?

— Dlatego, że kraj cały jest przeciwko niej, N. Panie.

— Szlachta nie rozumie nic — przerwał król; — ja biorę to na moją odpowiedzialność. Nie przeszkadzajcie mi, macie wpływ, możecie wiele; proszę was, uczyńcie to dla mnie.

— N. Panie — zawołał kanclerz z żywością wielką— gotów jestem służyć W. Król. Mości wszystkiem, co mam, do ostatniego tchu mego, ale bez wiadomości senatu i rzeczypospolitej ani W. Król. Mości, ani nam ważyć się na takiej doniosłości postanowienie niepodobna.

Zmieszał się król i wyjąknął:

— Senat pójdzie za inicyatywą.

Zamilkł potem i smutnie zwracając się ku Radziwiłłowi, dokończył:

— Wierzaj mi, jakieś fatum mnie ciągnie ku tej wojnie. Marzyłem o niej od młodości. Ziszczają się najdawniejsze pragnienia..: Muszę.

Kanclerz na to nie umiał nawet odpowiedzieć. Królowi zdawać się musiało zapewne, że już go sobie ujął.

— Dlaczegoż — spytał—nie chcesz przykładać pieczęci do listów na zaciąg żołnierzy?

— N. Panie — począł zwolna kanclerz — czynię to w interesie W. Król. Mości. Rzeczpospolita czułaby się tem obrażoną, że się stało bez jej wiadomości; my, kanclerze, pieczętując, stracilibyśmy zaufanie kraju, a któżby potem w nieuchronnym konflikcie między panem a rzecząpospolitą pośredniczył i jednał? Myśmy przysięgą zobowiązani nie pieczętować nic, na co niema zgody ogólnej stanów. Spytanoby nas o rachunek na sejmie. Musielibyśmy odpowiedzieć: Król kazał!

Koniec taki, że składając na króla, mybyśmy go obwiniali.

Władysław słuchał, myśląc może o czem innem; dość mu było na tem, iż się przekonał, że Radziwiłł złamać się nie da i nie nalegał już. Obmyślał zapewne środki inne.

Od królowej część pieniędzy wyłudzono. W czasie wesela król, wyszafowawszy już pożyczone 200.000, zażądał nagle, aby Marya Ludwika pożyczyła więcej jeszcze na oblig posła weneckiego.

Wezwany na radę de Brégy, naprzód ostrzegał, że Tiepolo nie ma pełnomocnictwa takiego, któreby mu długi zaciągać dozwalało; bezpieczniej zresztą było i samej rzeczypospolitej weneckiej nie dawać inaczej, tylko na zakład jakiś.

Odpowiedź tę zaniesiono królowi, który nie rozgniewał się, ale wpadł w najokrutniejszą chwilową wściekłość. Krzyczał, bił o stół rękami, odgrażał się na żonę, a nazajutrz, gdy byli razem na przenosinach Ossolińskiej,

wobec wszystkich gości, ani się żonie skłonił, ani do niej mówił, nie patrzał, tyłem się obracał, okazując największe oburzenie.

Przez cały czas Marya Ludwika płakała i musiała chustkę trzymać na ustach, u czoła i skarżyć się na ból głowy. Ci, co przeciwko niej intrygowali, brali górę i cieszyli się. Tymczasem w usposobieniu króla zaszła jakaś niewytłumaczona zmiana.

Władysław, przekonawszy się zapewne, że przykład Radziwiłła był zaraźliwy, bo senatorowie jeden po drugim przechodzili na jego stronę, począł zaręczać, iż on wcale o wojnie i wydawaniu jej nie myśli. Pułki, przygotowania, wszystko być miało tylko środkiem obronnym. W tym sensie rozpisano i rozesłano z kancelaryi listy. Złożono na Tatarów cały ten ruch wojenny.

W najściślejszem kółku jednak nie zaprzestano ciągnąć dalej układów potajemnych, wysyłać korespondencyi zagranicznych, pułków nie myślano rozpuszczać. Jawność tylko została powstrzymaną.

Pomiędzy królem a królową przyszło przez pośredników do jakiegoś tłumaczenia, uniewinnienia ze strony Maryi Ludwiki, łagodzenia ze strony króla. A że jeszcze kilkakroćstotysięcy talarów było do pozyskania od żony, Władysław znowu ją szanować zaczynał.

W czasie tych wesel i zabiegów ranne dziewczę wyzdrowiało, ramię się zabliźniło. Marya Ludwika, jak tylko się o tem dowiedziała, zaczęła się domagać jej powrotu na dwór. Bietka więc wróciła.

Wistocie była ona potrzebną, bo Francuzi ze dworu królowej waśnili się tak, że służba na tem cierpiała, a przynoszone przez nich wiadomości i skazówki bardzo często zawodziły.

Chociaż Bietka była przez ten czas blizko zamku, musiała, przybywszy tu, na nowo się rozpoznawać w położeniu. Panna Amanda, która się spodziewała jawnie występować przeciwko królowej, zasłaniając się wychowaniem Zygmunta, powierzonego sobie, znajdowała położenie swe coraz trudniejszem.

Królewicz przekładał pieszczącą go macochę nad swą

ochmistrzynę i uciekał od niej. Amanda z królem, który był mocno rozdrażniony, pokilkakroć musiała się posprzeczać aż do mdłości.

Jednym razem niespodziewanie zjawił się na dworze dawniej stręczony Niemce za męża starosta krzemieniecki C...

Pac, który wszystko wiedział, szepnął Amandzie, że król go sprowadził. Wprawiło ją to w gniew, zachorowała najprzód, położyła się, wstała potem, odmówiła przyjęcia staroście, i nazajutrz go przyjęła. Gniew i płacz mieniały się ciągle.

Platenberg wietrzył już upadek faworyty. Jednakże król, który scen nie lubił i unikał, kazał się nosić do Amandy, chodził do niej, gdy mógł, siadywał, o staroście zdawał się nie wiedzieć, a chwilami okazywał jej nawet czułość.

Bietka zapewniała królowę, że wkrótce się pewn e Amandy pozbędzie i zgadła. Niemka sama przyśpieszyła rozwiązanie.

Jednego wieczora, gdy się jej zdawało, że król był nadzwyczaj serdecznie usposobiony i obejść się bez niej w żaden sposób nie potrafi, postawiła ultimatum. Oświadczyła pokornie N. Panu, iż starosta krzemieniecki chciał się z nią żenić, że ona musiała myśleć o swym przyszłym losie. Wprawdzie, gdyby go miała zapewnionym, tak jak Urszula Meyerin, gdyby jej było wyznaczone stanowisko obok królowej i t. d... gotowa się była poświęcić; lecz, gdy król się z tem ociąga', ona obowiązaną była ratować swą sławę, zapewnić spokój i t. p.

Król słuchał bardzo spokojnie.

Wspomnienie Urszuli Meyerin, którą kochał jak matkę, naprzód chmurą mu oblokło czoło; spo rzał na wyróżowaną i wykrygowaną swą przyjaciółkę, przypomniał, co syn trzymał o niej, wcale się nie przywiązawszy do opiekunki, k'opoty, w jakie go fałszywe położenie panny Ekerberg wprawiało i zamruczał:

— Ale ja nie chcę wiązać panny Amandy... proszę rozważyć, namyśleć się, jam gotów...

Niemka spazmatycznie się rozpłakała, a król wyszedł.

III.

Nie ulegało już potem wątpliwości dla tak przenikających myśli króla i jego uczucia, jak Pac i Platenberg, że panowanie Amandy się skończyło.

Z pewnych względów mogło to być dla Paca korzystnem, bo król bez jakichś miłostek obejść się nie mógł nigdy, i trwały te fantazye do końca jego życia, a młody dworzanin służył za pośrednika i poszukiwacza łatwych piękności. Z wyjściem zamąż panny Amandy, Pac stawał się królowi niezbędnym, ale nie można było przewidzieć, czy królowa, która powoli zyskiwała wpływ u ludzi i jednała ich sobie, nie potrafi przez nich wkońcu królem zawładnąć.

Pannie Amandzie zdawało się, że nazajutrz król stęskniony przyjdzie ją przeprosić i żądać, aby ze starostą zerwała. Stało się tymczasem przeciwnie: król zrana wysłał Paca, poleciwszy mu oświadczyć, że bierze na siebie wyposażenie Amandy.

— Zygmunta potrzeba oddać w ręce męskie — rzekł; — Amanda nie umiała się zalecić królowej, wszyscy ją tu uważają za moją faworytę; ja mam z tego powodu nieprzyjemności. Niech idzie zamąż.

Miłość własna nie pozwoliła już obrażonej cofać się, starosta został przyjęty, ale Ekerberg zachorowała z gniewu. Król tak obojętnie wszystko to przyjmował, jakby w całym tym stosunku jego serce najmniejszego udziału nie miało.

Jakby dla upokorzenia panny Amandy, która siebie i swe stanowisko miała za wyjątkowe i spodziewała się godów weselnych wspaniałych, sam król zadysponował, aby dworzanin jego, Noskowski, który się miał żenić z panną Opacką, z fraucymeru królowej, tegoż dnia i razem ślub brał, a dla obojga par miało służyć jedno wesele.

Wszystkie te drobnostki zabawiały dwór, służyły za pokarm głodnym plotek. Zabawiano tem, a raczej męczono królowę, która opuszczona, znużona, szukała dla siebie rozrywki, odwiedzając kościoły i klasztory, godziny długie spędzając na nabożeństwach.

Bietka ciągle przy niej i na zawołanie być musiała. Sarkali na to Francuzi, zazdroszcząc jej, a Marya Ludwika tłumaczyła się litością swą nad sierotą, a wreszcie i tem, że dziewczę jej było niezbędnie potrzebnem, bo lepiej, niż ktokolwiek znało kraj i ludzi, a teraz właśnie, przy zbliżającej się koronacyi obejść się bez niej nie mogła.

Dziewczę służyło gorliwie, roztropnie, czasem ze zdumiewającą śmiałością i znajomością ludzi, ale dawna trzpiotowatość i wesołość całkiem je opuściła. Przyczyną tego było, o czem wiedzieli wszyscy, iż przez usłużnych przyjaciół dowiedziała się o przybyciu starej Nietykszynej, i o tem, jak ona syna powitała.

— Dobrze ci tak — mówiła; — jakeś sobie posłał, tak leżysz teraz. Wiem, że ci głowę zawróciła jakaś dworka. Ale ani ty mi się waż myśleć, że ja ci się z nią żenić pozwolę, o czem ty, słyszę, roisz? Ale! ale! nigdy na to nie będzie zgody! Nie dam błogosławieństwa! przeklnę! wydziedziczę! Znać cię nie zechcę... Pamiętaj, żem ja Giedyminówna. Dworka, nie wiem czy nawet szlachcianka, a wychowało się to i walało przy dworze. To mi piękna szkoła! Nietyksza, mój syn, miałby ją brać za żonę i matkę swych dzieci! Pókim żywa — nie pozwolę.

Syn starał się ją ułagodzić, przebłagać — napróżno.

— Wolę cię widzieć na marach, niż z nią na kobiercu!—wołała stara. — Powinieneś mnie znać, że ja nie ustąpię.

Wiele osób starało się poświadczyć, iż przeciwko Bietce nie było nic do zarzucenia, że królowa ją lubiła bardzo, a ludzie szanowali.

— Niechże ją sobie biorą ci, co ją szanują, a nie mój syn, nie! — powtarzała Litwinka.

Zgryzł się tem Nietyksza i stan jego się pogorszył, ale matka, troskliwa o zdrowie, zmiękczyć się nie dała.

— Co ja go mam okłamywać i uwodzić? — mówiła tym, co starali się skłonić ją do łagodniejszego postępowania. — Niech wie, że ja na to nie pozwolę, a darmo się nie durzy... Kocham go, jak moje dziecko jedyne, ale właśnie dlatego mu się zwalać nie dopuszczę. Jam nie z tych matek, co dzieciom truciznę dać gotowe, aby na ich łzy nie patrzeć. Mężczyzną jest, niechaj przeboleje. Od tego mnie Pan Bóg matką uczynił, abym ratowała, nie gubiła.

Nietyksza, znając swą rodzicielkę, gdy raz wyrok wydała, nawet już nie wznawiał o tem rozmowy, milczał.

Milczeniem tem upartem więcej ją może niepokoił, niż gdyby się był starał przekonać — ale i on miał w sobie coś z charakteru matki.

Gdy rany cokolwiek się podgoiły, stara Giedyminowa chciała go włożyć na wóz, a bodaj na noszach do domu nieść, dając za wygranę służbie i Radziwiłłom; ale syn z równą, jak ona stanowczością oświadczył matce, iż pozostanie na miejscu i na wieś nie pojedzie.

— Ja w Borbiszkach nie mam co robić, — rzekł sucho. — Pani matka gospodarzyć umie i lubi, a ja potrzebuję poznać świat i ludzi. Książę na mnie łaskaw, nie porzucę go. Rany się pogoją, pojedziemy do Krakowa na koronacyę, niech ja też tam będę, gdzie i drudzy. Za piecem siedzieć nie chcę.

Jejmość potrząsnęła głową, bo się łatwo domyślała, co syna za dworem ciągnęło, ale słowa nie rzekła. Posiedziawszy parę tygodni w Warszawie, gdy niebezpieczeństwo wszelkie minęło, a syn się już miał znacznie lepiej, stęskniona za wsią i gospodarstwem, wyposażywszy chorego, aby na niczem nie zbywało i niczyjej łaski nie potrzebował, pośpieszyła z powrotem do domu.

Na wyjezdnem tylko, gdy syn się jej do nóg schylił, po rękach całując, bo spór miłości ich ku sobie nie nadwerężył, powtórzyła mu raz jeszcze:

— Tylko sobie nie imaginuj, abym ja zmiękła i głupstwo ci pozwoliła zrobić dla tej kukły. Jeszcze ci raz to powtarzam, wolę cię widzieć na marach, niż z ladajaką dworką, szurgotem u ołtarza. Pókim ja żywa, tego nie dopuszczę. Masz do wyboru między starą matką a tą błaźnicą.

Syn nie odpowiedział ani słowa, lecz złamać się nie dawał.

Tak się przeciągnęło do lipca. Podróż do koronacyi zapowiedziana w pierwszych dniach tego miesiąca przyszła do skutku.

Bietka towarzyszyła wybranemu fraucymerowi Francuzów, którzy z Maryą Ludwiką jechali. Nietyksza, choć mu rany zaledwie zabliźnione dokuczały, siadł na koń, by za dworem nie pozostać, acz mało miał nadziei zbliżenia się do Bietki.

Usłużni przyjaciele, przyjaciółki, pośrednicy, ponieważ listów naówczas pisywać nie było we zwyczaju, przenosili ustne pokłony, pozdrowienia, a czasem małe jakieś podarki. Bietka się nie kryła z tem, że uważała swego wybawcę za narzeczonego. W Krakowie mieli oboje nadzieję częściej się spotykać z sobą. Z Warszawy cały dosyć liczny dwór królewski, ciągnący mnóstwo wozów i czeladzi ze sobą, skierował się na Częstochowę.

Królowa, która już wiele słyszała o cudownym obrazie, chciała się tu pomodlić koniecznie. Władysław IV, choć dosyć obojętny w rzeczach religii, przez pamięć może dla pobożnego ojca i matki, szanował w drugich to uczucie, a nawet w ostatnich latach zdawał się skłonniejszym do nabożeństwa. Wymówką dla niego, że nie uczęszczał do kościołów, był stan zdrowia.

Wiedziano wszakże, iż gotów był żenić się z protestantką i duchownemu żadnemu wpływać na siebie nie dopuszczał. Spowiednicy jego odznaczali się do zbytku posuniętą tolerancyą.

W Częstochowie przez cały dzień jeden zatrzymali się królestwo, podejmowani z całym dworem przez bogatych zakonników.

Częstochowa była naówczas jedynym w Polsce kla-

sztorem, twierdzą, jakby zabytkiem i wspomnieniem owych *Ecclesiae incastellatae*, których Rzym zakazywał dawniej. Ojcowie Paulini chlubili się swą forteczką, opatrzoną bastyonami, wałami, przekopami, murami, na których mieli około dwudziestu dział. Nie spodziewano się naówczas pewnie, iż one wistocie na obronę miejsca świętego posłużą.

Cały ten dzień prawie królowa i jej dwór spędził w kościele i kaplicy, a król, spoczywając w chłodzie. Stąd wprost już pośpieszono na Łobzów do Krakowa i w Łobzowie, we dworze, przez Stefana Batorego przebudowanym, do którego przytykał piękny ogród, znowu spoczywano, gotując się na uroczysty wjazd do stolicy.

Podróż ta nie przyczyniła się wcale do zbliżenia ku sobie królewskiej pary, lecz Marya Ludwika nadto była poruszoną, przejętą, a poczęści zaciekawioną tem wszystkiem, co ją spotykało nowego i nieznanego, aby wiele odczuć mogła obojętność męża dla siebie.

Król chwilami okazywał się nawet wesołym, a panów, którzy go po drodze spotykali, przyjmował tak łaskawie, jak nigdy. Potrzebował ich sobie ująć. Z narady z Kazanowskim wynikło, iż należało wszelkiemi możliwemi sposobami na przyszły sejm umysły przygotować i pozyskać sobie.

Dzień wjazdu był skwarnym, ale słonecznym: orszak królewski świetny i liczny wyruszył z Łobzowa, spotykając po drodze śpieszące na powitanie go tłumy. Pierwsze występowało miasto Kraków, stolica dawna, panowie radni i starszyzna, niosąca klucze złocone; ci zatrzymali króla w polu, a wedle zwyczaju, długich mów niepodobna było uniknąć, ani ich zostawić bez odpowiedzi. Nigdy też sztuka oratorska nie była w Polsce posuniętą do takiego stopnia wybujałości , jak teraz; popisywali się z nią wszyscy.

Miasto występowało okazale, chorągwie mnogich cechów, każdy inaczej strojny, wysilały się na ubrania świetne i smakowne, na uzbrojenia i lik swych reprezentantów.

Kraków liczył naówczas tylu jeszcze Włochów i Francuzów, że oni sami występowali we dwieście koni, z których jedna secina ubrana była, gwoli królowej, francuską modą od atłasów i aksamitów, druga miała polskie stroje. Za niemi szły cechowe chorągwie rzemiosł, hajducy pana wojewody krakowskiego, żółto-niebieska chorągiew panów Kazanowskich, Tatarowie księcia Dominika, jego kozacy, hajducy biskupa krakowskiego, niezliczone oddziały panów senatorów, chorągwie królewskie pancerne, usarze skrzydlaci w lamparcich skórach na ramionach, kopijnicy ze złoconemi kopiami, których proporce wlokły się po ziemi, a naostatek sami dygnitarze koronni i litewscy konno, lśniący od złota i drogich kamieni.

Orszak wspaniały był prawdziwie godnym króla i Władysław z dumą na niego spoglądał. Francuzi mogli się tu przekonać jeszcze lepiej, niż w Gdańsku i Warszawie, jak był bogatym ten kraj, który na oko im się wydawał tak ubogim i nędznym.

Król, dnia tego zdrowszy, jechał pod wspaniałym baldachimem, niesionym przez radnych miasta, na pięknym koniu, poprzedzany przez Kazanowskiego, z laską marszałkowską w ręku, gdyż Ossoliński nie był przytomnym, mając obok siebie z jednej strony księcia Karola, z drugiej francuskiego posła, p. de Brégy.

Wojewoda pomorski, marszałek królowej, z laską błyszczącą drogiemi kamieniami, poprzedzał wytworną kolebkę Maryi Ludwiki, która siedziała w niej sama jedna. Osiem, jak śnieg białych koni, strojnych we wstążki, ciągnęło powóz cały srebrny, z kolumnami i galeryami, które podtrzymywały daszek, wybity zewnątrz blado-niebieskim aksamitem, wewnątrz lamą srebrną w kwiaty złote.

W innych kolebkach, również wytwornych, jechał za królową jej dwór niewieści. Kilkaset gwardyi, przepysznie strojnej, otaczało powozy.

U wjazdu do miasta stały wrota tryumfalne, całe okryte napisami, życzeniami i proroctwy przyszłości. Z prawdziwym zbytkiem rozsiadała się na nich łacińska epigrafika, zastępująca malownicze ozdoby. Napisy

opasywały kolumny, zasypywały kapitele, cisnęły się po kątkach, wyginały w łuki, zataczały kołem i sprawiały wrażenie jakiegoś gwaru niesfornego. Jeden nad drugi wysilał się na hyperbole i jaskrawość. Pismo święte i mythologia, historya domowa i obca, musiały służyć im za wątek, a poeci starożytni podarci na kawałki, do niepoznania, pełnili skromne obowiązki heroldów króla.

Znużone oczy Władysława padły może na najniżej wypisany wiersz, który na usta blade mógł ironiczny uśmiech wywołać.

Olim quae solum virtus praemit ad altum,
Haec Regina tibi nunc quoque monstrat iter.

Na galeryi tego łuku tryumfalnego nie brakło naturalnie muzyki i śpiewaków.

Druga podobna brama ozdobna, niemniej obficie napisami wyposażona, czekała na końcu rynku. I tu zbytek cały niemal rozlał się na słowa. Panowie kolegiaci starsi i młodsi składali się zapewne na to bogactwo pomysłów, na te strzeliste okrzyki.

Stało u góry:

Unde Lux, inde corona.

W kościele na Wawelu licznie zebrane duchowieństwo, kapituła, biskup czekali na królestwo z uroczystem *Te Deum*, które się rozległo pod starem sklepieniem katedry.

Koronacya, której ciekawi Francuzi przypatrywali się z zajęciem, odbyła się w dniu następującym.

Królowa, wstawszy bardzo rano, około dziewiątej, stała jeszcze ze swym orszakiem niewieścim przed zwierciadłem, kończąc toaletę, gdy podskarbi koronny wszedł uroczyście, niosąc klejnoty królestwa, koronę, berło i jabłko. Nie obeszło się bez mowy i bez odpowiedzi. Mowa jak sól przy potrawach, wciskała się wszędzie.

Zaledwie drzwi się za podskarbim zamknęły, gdy

wszedł król, wiodąc za sobą księcia Karola, posłów francuskiego i weneckiego, senatorów i dygnitarzy.

Królowę dokończono ubierać i po chwili wszyscy udali się do kościoła na zamku w następującym porządku. Naprzód szedł dwór szlachecki króla, komornicy jego, orszak cały niezmiernie strojny, czapeczki z kitami z piór czaplich, które Francuzom wydawały się czemś bardzo osobliwem. Czaple czuby były dla nich oznaką polskiego „obyczaju”. Za dworem postępowali wojewodowie, kasztelani, wielcy urzędnicy koronni, niosący godła: wojewodzic krakowski miecz obnażony, inni koronę, jabłko, berło. Za tymi marszałek Kazanowski poprzedzał króla, który postępował sam naprzód. Za nim wcisnął się poseł francuski, niezmiernie o miejsce, jakie mu przeznaczono, troskliwy.

Następowali urzędnicy, niosący koronę i godła królowej i wojewoda pomorski, jako marszałek jej; królowę prowadził z prawej strony podtrzymując, książę Karol, z lewej nuncyusz papieski. Za nimi szły panie i wojewodowie.

Od zamku do kościoła szpalerem stały gwardye króla, aż do drzwi katedry, w których *in pontificalibus* oczekiwał biskup krakowski, Gembicki, z biskupami kamienieckim i płockim, z mnogim klerem i infułatami.

Po przywitaniu biskupi Gembicki i kamieniecki wprowadzili królowę do kościoła, zastępując księcia Karola i nuncyusza.

Król udał się naprzód do kaplicy Zygmuntowskiej, gdzie oblókł uroczyste szaty, z pomocą kilku urzędników swego dworu. Zdjęto z niego zwierzchnią suknię odpasano szpadę, zrzucono buty i w miejsce ich włożono trzewiki białe, albę białą, u dołu obszytą prześlicznemi koronkami, a na ramiona włożono płaszcz w kształcie kap, jakich używają duchowni. Płaszcz ten ze złotogłowu, cały był wyszywany wzorzysto. Na rękawiczkach widać też było złote krzyże. Korona, złożona ze czterech łuków, nad któremi panował glob i krzyż, spoczywała na szkarłatnej czapeczce. Berło i jabłko, okryte dro-

giemi kamieniami, dopełniało wspaniałego stroju, który w dzień gorący lata, dla otyłego pana nie [był zbyt wygodnym do dźwigania. Oddychał też w nim ciężko.

W czasie, gdy króla ubierano, królowa klęcząc na wezgłowiu przygotowanem, modliła się przed wielkim ołtarzem. Król zasiadł potem na tronie, na dwa stopnie podniesionym, pod złotogłowym baldachimem, otoczony wszystkimi swymi urzędnikami, niosącymi godła właściwe.

Po epistole król powstał i wezwał arcybiskupa o ukoronowanie królowej, w krótkich słowach po łacinie, wedle formuły zwykłej.

Po ucałowaniu ręki prymasa powrócił na tron i zajął na nim miejsce. Królowa ciągle jeszcze klęczała przed wielkim ołtarzem.

Rozpoczął się śpiew litanii i modlitw według pontyfikału, w czasie których królowa leżała krzyżem na ziemi. Po ukończeniu ich, podniesiona przez biskupów, przyprowadzona przed arcybiskupa została namaszczoną, i przeszła do kaplicy Zygmuntów, wraz z biskupami i paniami jej towarzyszącemi.

Tutaj pani des Essarts włożyła na nią gronostajowy *surcot* i płaszcz atłasowy biały, podbity gronostajami, szyty srebrem, którego ogon nieśli trzej wojewodowie. Przed wielkim ołtarzem królowa uklękła znowu, a po odmówieniu modlitw arcybiskup na skronie jej włożył koronę, dał jabłko i berło, a biskupi odprowadzili na tron, obok królewskiego.

Posłowie obcy siedzieli na lewo od wielkiego ołtarza pod osobnym baldachimem, książę Karol za królową. Wszystko to zawczasu rostrząsać i obmyślać musiano.

Po ewangelii dwaj biskupi prowadzili królowę do ołtarza z ofiarą. Stanowiła ją sztuka złota, ważąca sto dukatów, którą królowa złożyła mu po ucałowaniu ręki arcybiskupa. W ciągu mszy późnej przystępowała do komunii.

Mszę zakończyło *Te Deum* przy biciu z dział, a królestwo z kościoła przeprowadzeni na zamek, zasiedli do stołu.

Marya Ludwika, pomimo znużenia i wzruszenia, przetrwała zwycięsko długie godziny tych ceremonii kościelnych, król nawet starał się nie okazywać tak zmęczonym, jak był wistocie. Zaledwie jednak uczta doszła do końca, oboje państwo pośpieszyli skorzystać ze swego wyswobodzenia i wypocząć każde zosobna w kółku sług swoich.

W ciągu tych dni król wprawdzie oczyma ciekawemi przypatrywał się ukradkiem swej towarzyszce, nie mogąc nie przyznać, że była piękną, bo jej zwycięstwo przywróciło świeżość, zdrowie i męstwo do walki — ale nie przemówił prawie, nie starał się okazać najmniejszej czułości.

Program dni następujących nie obiecywał też zbliżen'a się, choć dwa dwory króla i królowej napozór były połączone. Nazajutrz zaraz Władysław sam pozostał na zamku, przyjmując mnogich senatorów przybywających, a królowa zwiedzała kościoły i klasztory.

Oddawna pana nie widywano tak ożywionym i uprzejmym, tak przystępnym. W plan tej podróży wchodziło pozyskanie sobie serca, zjednanie ludzi, którzyby ślepo szli potem za królem, gdzie on ich chciał prowadzić. O wojnie mowy nie było.

Władysław tak czuł potrzebę tymczasowego oczyszczenia się z zarzutów, jakoby wywołać chciał z Turkiem walkę, iż na ten cel zwołał radę. Kazanowscy kierowali tu wszystkiem, a młodszy z nich właśnie nową godnością został zaszczycony. Zręcznie też prowadzono narady i zwierzenia.

Przed panami senatorami król ubolewał, iż jego postępowanie tłumaczono sobie fałszywie.

— Nigdy nie miałem myśli uwikłać rzeczypospolitej w ciężką wojnę z Turkami — mówił poufnie — ale mamy na karku Tatarów, którzy nam pokoju nie dają, z którymi sojusz równie ciężki, jak wojna; aby im postrach wrazić, musiałem się uzbroić. Nic innego nie miałem na celu.

Wierzono, czy nie królowi, wyznanie to było uspokajającem i zostawiło po sobie wrażenie bardzo dobre. W sprzeczności znajdowało się jednak z dalszemi progra-

matami podróży na Ruś, do Lwowa, w których upatrywano, nie bez przyczyny, zamiar pozyskania sobie nowych sprzymierzeńców na przyszłość.

Senatorowie, którzy widzieli króla chorującym w Warszawie, niedomagającym w drodze, zmęczonym w Krakowie, zaczęli nalegać na to, ażeby czas na podróż przeznaczony, obrócił na staranie o swe zdrowie i spoczynek.

Rady te wszakże znalazły króla głuchym. Z całego ich toku Władysław mógł wnieść, że został odgadniętym, co pociągnęło za sobą tylko ciche postanowienie po naradzie z Kazanowskimi, aby co rychlej opuścić Kraków i rozpocząć podróż na Ruś od wycieczki do Niepołomic.

Jeżeli cel króla nie został osiągnięty, jak sobie życzył, w części przynajmniej mógł się uważać za zdobyty, gdyż jawne oświadczenie się przeciwko wojnie zamykało usta.

Podróż dalsza, którą królowi odradzano, wistocie mogła być i nużącą, i niewygodną, gdyż dla dosyć licznego dworu nie wszędzie Władysław mógł znaleźć po drodze pomieszczenie. Zmuszony ciągnąć za sobą królowę i jej dwór, oprócz tego oprzeć się nie mógł życzeniom francuskiego posła, który mu chciał towarzyszyć.

Francuzi, widząc przepych i dostatek, których dowodziła koronacya, nie domyślali się, iż wewnątrz kraju nie wszędzie mogli znaleźć te wygody, bez których obejść się było trudno.

W Krakowie Nietyksza nie mógł się inaczej znaleźć jak fortelem, gdyż ks. Albrecht nie znajdował się na koronacyi, musiał więc wprosić się do orszaku księcia Bogusława, dlatego tylko, aby choć na chwilę widzieć się z Bietką i zapewnić ją, że na niego rachować może. Wiedział on, że dziewczęciu z pewnością musiano donieść o przybyciu matki jego i o głośnym jej oporze przeciwko małżeńskim projektom.

Nazajutrz po koronacyi, gdy królowa z panią d'Aubigny i des Essarts, w towarzystwie sekretarza swego Desnoyers i ks. de Fleury zwiedzała kościoły i klasztory, Nietyksza wkradł się na zamek. Miał on tu dosyć przy-

jaciół i znajomych i rachował na to, że mu oni ułatwią widzenie się z dziewczęciem. Wistocie też potrafił się wkraść, po wyjeździe królowej, na drugie piętro, które zajmował fraucymer, i tam wyprosił Bietkę do siebie na rozmowę, której jedna z panien przytomną być musiała.

Od owej tragicznej nocy, krwią obojga oblanej, dziewczę nie widziało Litwina, który odżył wprawdzie i wyzdrowiał po ranach i kuracyi, ale one na nim pozostawiły ślady. Świeżość młodości znikła z bladej twarzy chłopaka, który zmężniał i posmutniał. Bietka też nie była wesołą, ani tak trzpiotowatą i zuchwałą, jak niegdyś.

Z uśmiechem podała rękę, którą Nietyksza ucałował.

— A! królowo moja! — zawołał. — Jakżem ja długo czekał na to szczęście, które mnie dziś spotyka, a takem się wymęczył.

— No, ale zdrowi jesteście? — spytała Bietka.

— A! co tam zdrowie! — rzekł żywo Litwin — gorsza ta troska, którą z sobą człowiek nosi. Nie będę ja nigdy spokojnym, aż Bóg da, podacie mi tę rączkę do ołtarza.

— Matka wasza — poczęła Bietka — ja wiem o tem, jest przeciwną, a ja do nieposłuszeństwa jej nie chcę was doprowadzić. Nigdy podobno się ono nie spełni...

Nietyksza nie dał jej dokończyć.

— Pani matka moja — rzekł — prawda, upartą jest, ale ja nienmiej. Jednego mnie ma; gdy się przekona, że ja bez was szczęśliwym być nie mogę, zgodzić się musi. O tem też ja was upewnić chciałem, królowo moja, że gdyby mi najdłużej czekać przyszło, wiernym wam pozostanę; ale wy?

Spojrzał jej w oczy. Wejrzenie jasne i ruszenie ramion, którem mu odpowiedziała, mogło go uspokoić.

— Wyście dla mnie krwi swej nie żałowali — rzekła spokojnie, — a jakżebym ja niewdzięczną być miała i mogła o tem zapomnieć? Zresztą nikt o mnie, a ja też o nikim nie myślę, a Nesterackiego niema się już co obawiać. Przyjaciółka jego także dziś mu pomocną być nie może.

— Królowa jejmość łaskawą jest na mnie — dodała—

— nie wypędzi mnie odc dworu. Czekam na powrót ojca i o niego jestem niespokojną.

O ojcu tym słyszał wprawdzie Nietyksza, ale nie wiedział wiele, a nawet cel podróży jego był mu nieznanym. Zapytał więc:

— A dokądże się udał?

— Wiem tylko tyle, że miał jeszcze do czynienia na kresach, bo tam znaczna część życia spędził — odpowiedziała Bietka. — Miał interesy swe załatwiwszy, przyjechać do Warszawy i osiąść tu, a okupić się gdzieś bo mu życie na granicy od Dzikich Pól dokuczyło. Da-li Bóg, gdy powrócimy z tej wędrówki naszej, może go już zastanę w Warszawie.

— A! mój Boże — przerwał Nietyksza — jak mnie to boli, że ja w tę drogę ze dworem puścić się nie mogę! Przydałbym się może na co, ale mi od moich Radziwiłłów całkiem odstać się nie godzi.

— I jabym tego nie radziła — odezwała się Bietka.— Król zapewne dalej, jak do Lwowa, gdzie się chce widzieć z panem hetmanem polnym, nie pojedzie. Radzono mu, aby go raczej do siebie powołał, ale mi się zdaje, iż (tu głos zniżyła) N. Pan ma też więcej coś na celu, i od tej podróży nie odstąpi.

—Nie tak też to znowu sroga rzecz—mówiła dalej— letnią porą trochę kraju przejechać i zobaczyć a królestwo oboje i ich dwór wszędzie znajdą gościnne przyjęcie. My też z Francuzkami nie będziemy miały powodu się skarżyć, choć moje koleżanki z nad Sekwany u nas wszystko znajdują dla siebie dziwnem i niesmacznem. I one, i sekretarz królowej, p. Desnoyers, który wszystko, co widzi, zapisuje, dopytuje się o każdą rzecz, a dziwi też każdej, — nasze obyczaje znajdują bardzo nieobyczajnemi.

Rozśmiało się dziewczę.

— A wy? — zapytała.

— A ja — rzekł smutnie Nietyksza — muszę z księciem Bogusławem powracać, bom się do dworu jego przyczepił, ale po drodze zamiast do Wilna z nim, zostanę

w Warszawie, i tam na was oczekiwać będę. Macie mi co do zlecenia?

— Ja? — wesoło spytała Bietka — no chyba, abyście pozdrowili ode mnie starą poczciwą ciwunową Mingajłową, a jeśli chcecie i oboje państwa Bieleckich, i naostatek, opiekuna mojego, ks. Stoczka u św. Rocha.

— Z chęcią! — odparł Nietyksza. — Przynajmniej z nimi o was mi mówić będzie wolno. Nie będę też miał co robić w Warszawie, bo nie wiem, czy książę kanclerz powróci tam rychło. Ma dosyć dóbr do objeżdżania, a mało gdzie nie funduje kaplicy lub klasztoru. Dobry, pracowity, pobożny pan.

— To też miłują go wszyscy — mówiła Bietka — ale się razem obawiają, bo surowym jest dla siebie i dla drugich, a król ma do niego żal, że mu do wojny przeszkadza.

Nietyksza się uśmiechnął.

— Namby młodym wojna też smakowała — rzekł bo rycerskiemu człowiekowi bez niej żyć smutno, ale starsi boją się drażnić Turka, aby na nas nie spadł całą siłą, bo naówczas niktby w pomoc nie przyszedł. Nam niby to każą iść na posiłek wenetom... a no, Bóg wie... Ja tam o tych rzeczach niewiele rozumiem.

— A ja jeszcze mniej — wtrąciło dziewczę — wiem tylko, że królowa na tę wojnę pieniędzy już dała wiele, a jeszcze ich od niej żądają. No! i będzie musiała dać, bo królowi odmówić nie może. N. Pan tak dla nas bardzo słodkim nie jest, a gdy się nachmurzy, patrzeć na królowę nie chce. Ta biedna płacze, a my z nią.

— Wszystko się to, da Bóg, ułoży — dodał Nietyksza — jak skoro wojnę senatorowie z głowy królowi wybiją. Dosyć nam będzie Tatarów.

Poczęli potem liczyć, jak długo ta podróż trwać miała ale Litwin nie bez przyczyny utrzymywał, że na Lwowie się nie skończy, i że trwania całej tej wycieczki obrachować nie było podobna.

Słychać już było teraz, że po drodze niektórzy z panów króla z królową do siebie chcieli zapraszać i ugaszczać,

że do przyjmowania gotowa i się Koniecpolscy, Zamojscy, Sob'escy, Wiśniowieccy i inni.

— A i na to coś trzeba odłożyć, że króla podagra pochwyci — rzekła Bietka — bo rzadko na dłużej od niej wolnym bywa. Prawda, że pora cieplejsza zawsze mu sprzyja, ale za to zmęczy się dużo.

Przeciągnęłaby się była rozmowa ta dwojga młodych, którzy wiele innych tajemnic mieli sobie do powierzenia, gdyby ich nie spłoszyła panna de Langeron, zawsze kwaśna i niechętna, a Bietce mająca za złe, że poufalej była z panią des Essarts, z którą coraz jawniej zazdrosna Francuzica wojnę toczyła.

Wojna ta i królowej, i całemu dworowi aż do posła, który w nią był wmieszany, miała dać się odczuć. Stała się ona źródłem nieprzebranych oskarżeń wzajemnych, które stąd przychodziły na dwór francuski, a z Paryża powracały zaprawne nową goryczą, aby tu królowej nie dać pokoju.

Z jednej strony pani des Essarts, z drugiej Langeronówna, poseł p. de Brégy, sekretarz Desnoyers, pan de Conrade, doktór nawet, de Lafage, maitre d'Hôtel de Ronsay z żoną i cały zastęp dziewcząt służących, składały dwie armie ucierające się z sobą. Nawzajem śledzono krok każdy, tłumaczono każde słówko, intrygowano, aby królowa na jedną, lub drugą przechyliła się stronę.

Bietka starała się zachować neutralną, nie mieszając się do niczego, ale mimo swej woli, to des Essarts, to Langeronówna powoływała ją za świadka.

Ponieważ dwór przed puszczeniem się w dalszą podróż miał się zatrzymać w Niepołomicach, wyprosił sobie Nietyksza pozwolenie, aby tam jeszcze mógł raz widzieć i pożegnać ukochaną.

Bietka nie miała nic przeciwko temu, nie obawiała się, aby ją to w oczach ludzi mogło narazić na obmowę bo wszyscy wiedzieli, że Nietyksza ją narzeczoną nazywał i zmusił do przyjęcia pierścionka. Zaklęła go tylko Bietka, ażeby nie wyrwał się dalej i Radziwiłłów sobie nie naraził.

— W Warszawie — dodała przy rozstaniu — dowiecie się-li od ks. Stoczka, że ojciec mój powrócił, starajcież się go poznać i powiedzcież mu o mnie.

Nietyksza wyciągniętą mu rączkę pocałował z uszanowaniem, które Langeronównej wydało się przesadzonem, i ruszył nazad do miasta.

IV.

Podróż do Lwowa, którą królowi odradzano, a przy której on tak obstawał, jak gdyby do niej nadzwyczajną przywiązywał wagę, miała w sobie coś tajemniczego, przynajmniej dla tych, którym Władysław się ze wszystkich swoich myśli nie zwierzał.

Ci, co króla znali od młodości, a widywali teraz, znajdowali go dziwnie zniecierpliwionym, roztargnionym i humoru nierównego. Niekiedy zdawał się przybitym, zniechęconym, to znowu opanowywała go jakaś samowola, duma, żądza rozkazywania, czyniąca go niemiłym i niemal groźnym.

Nie był to wpływ ożenienia, bo też same symptomy w mniejszym stopniu wprzódy już się postrzegać dawały; myśl jakaś uparta ciężyła mu na mózgu. Jeden Adam Kazanowski znał go takim, jakim on był teraz, szczególniej od czasu, gdy Radziwiłł z senatorami sprzeciwili mu się, nie dopuszczając dalszych zaciągów i oświadczając przeciwko wojnie.

Otwarcie tłumaczył się, że te pułki i uzbrojenia tak kosztowne tylko przeciwko Tatarom gotował, ale Kazanowskiemu czasem duszę swą całą odkrywał. Ten dawał mu się wylewać, uśmierzał, jak umiał i mógł, ale się nie sprzeciwiał.

Wojna przeciwko Turcyi, nawspół z wenetami, z posiłkami innych państw chrześcijańskich, uśmiechała mu się, ale nie ona jedna była celem. Wszędzie dokoła widział otaczających Polskę monarchów z daleko większą władzą, niż była jego. Upokarzało go to, oburzało.

— Dlaczegożbym ja — mówił nieraz Kazanowskiemu — nie miał władzy tej uzyskać? Ojciec mój przez powolność tylko, rozbiwszy rokosz, dopuścił znowu sejmom inkwirować swe czynności i tak panować, jak panowały.

Pułki cudzoziemskie, wołoskie, niemieckie, węgierskie pójdą na rebelizantów, raz nauczona rozumu szlachta będzie siedzieć cicho. Król zostanie rzeczywiście królem. Ja, oprócz moich pułków, mam i Kozaków. Mogę ich puścić na panów szlachtę. Jeden śmiały krok taki, a cale inaczej będzie wyglądać ta rzeczpospolita, w której teraz warchoły rządzą.

Myśli tych król nie zwierzał pewnie nikomu, oprócz przyjaciela, a Kazanowski nadto znał ich wagę, aby śmiał komukolwiek choć cząsteczkę z nich powtórzyć; tymczasem cudem jakimś, tą instuicyą, którą miewają tłumy, szlachta biedna, nie przenikająca wcale, nieświadoma, ślepa, w powietrzu czuła jakieś gotujące się na jej swobodę zamachy.

Są takie doby dziejowe, momenty, w których wistocie niewidome myśli ulatują w powietrzu i wszyscy je czują w sobie, połykając je w każdem tchnieniu.

Dla pana Adama Kazanowskiego szczególniej król, którego on widywał we wszystkich jego przystrojeniach i nago, jakim był, musiał być osobliwą zagadką.

Staruszkom senatorom, przybywającym do ucałowania ręki N. Pana, aby mu odradzać wojnę, a prosić o pielęgnowanie szacownego zdrowia swojego, odpowiadał, śmiejąc się, iż te pogłoski o prowokowaniu wojny były niedorzeczne. On, ze swą podagrą! Zapewnił ich, że o pokój się tylko stara i niczego nie pożąda więcej. Nazajutrz niemieccy pułkownicy słyszeli od niego wcale co innego i ostatek klejnotów szedł na wojsko, na działa i prochy.

Młodzież starał się rycerską sławą rozbudzić do czynów; powolniejszym starszym obiecywał krzesła i urzędy, byle się w wojnie nie sprzeciwiali.

Dla jednych więc wojny nie było wcale, dla drugich stała ona tuż, nieuchronną. Kazanowski zaś jeden wiedział, że ona nie była celem, ale środkiem i że pułki zaciągane mogły się przeciwko zburzonej obrócić szlachcie, a nawet przeciwko opornym sejmującym.

W Warszawie jakiś duch nieprzyjazny królowi rozniósł naówczas pogłoskę niedorzeczną, ale będącą *signum temporis*, że przyszły sejm ma się odbywać w okopach za miastem, we dworze niedokończonym biskupa kijowskiego, a dziesięć tysięcy żołnierza stanie przeciw warchołom i na dany znak—druga rzeź św. Bartłomieja.

Dziwaczna ta plotka, rozumie się, jak zgniły opar unosiła się tylko nad nizinami; nie powtarzał jej nikt po dworach i pałacach senatorskich, ale w ulicy, w rynku, pomiędzy mieszczanami obiegała sobie swobodnie, i znajdowali się tacy, co jej wierzyli.

Kto ją puścił? Bóg jeden wiedział!

W najrozmaitszych formach objawiało się to poczucie, iż król, który napozór bawił się tylko z dziewczętami, o czem także wiedział świat cały, knował jakiś zamach na swobody rzeczypospolitej.

— A! — szeptali mali żaczkowie polityczni — odzywa się w nim krew rakuska!

Inni śmieli się z tych bałamuctw, wcale im nie dając wiary; chociaż, jakeśmy mówili, nie były one bez pewnej podstawy.

Król chętnieby był przedsięwziął coś podobnego, gdyby znalazł sprzymierzeńców. Ale oddani mu ciałem i duszą Kazanowscy, rozpieszczeni łaskami fortuny, wcale się do tego nie zdali. Gotowi byli słuchać, pragnąć, ale ręki do tego przyłożyć — nigdy. Śmielszym może byłby kanclerz Ossoliński, lecz nie miał ani przyjaciół, ni poparcia. Stał odosobniony, a z królem nawet, choć się rozumieli w polityce, temperamentami i charakterami się nie godzili. Król miał jakąś odrazę do znakomitego mówcy i statysty, a Ossoliński pono niewysoko króla szacował.

Nagły wyjazd króla do Niepołomic, gdy go senatorowie błagali, aby zaniechał podróży, miał jakiś pozór ucieczki. Nie pożegnawszy nalegających, umknął przed nimi. Stąd już zaproszony wcześnie przez pana wojewo-

dę krakowskiego do wspaniałej rezydencyi w Wiśniczu, nie zabawiwszy nawet dla łowów w tym zameczku, tylu wspomnieniami poprzednikom drog'm, natychmiast udał się w gościnę do niego.

Orszak króla i królowej na ten raz wcale nie odpowiadał upodobaniu w przepychu i elegancyi Władysława i stosunkowo był szczupły. Dziwiono się jego skromności.

W Wiśniczu przy stole król to się zdradzał z rycerską niecierpliwością wojenną, to nagle milknął i stawał się ostygłym. Zdawało się, że pilno mu było do Lwowa, bo dosyć pośpiesznie i nie odpoczywając prawie na Tarnów, Sędziszów, Rzeszów, Przeworsk, ciągnął król do Jarosławia, gdzie się właśnie sławny jarmark rozpoczynał, a stąd na Janów do Lwowa.

Tu odpoczywano dni kilka, które królowa zużytkowała, oglądając kościoły i klasztory. Król nieustannie przyjmował przybywających, miewał narady i rozmowy przy drzwiach zamkniętych, powoływał różnych panów—zajętym się okazywał bardzo.

Najgorzej na tej podróży wychodzili nieszczęśliwi Francuzi, przywykli do wygód. Po drodze wypadały popasy i noclegi w szopach, które naówczas w większej części kraju zastępowały gospody. Dla króla i królowej, dla kilku najbliższych im osób, ławka, krzesło, stół się znalazł zawsze, a pościel i łóżka żelazne mieli z sobą; dwór napróżno się domagał posłania, przynoszono mu słomę stęchłą lub siano. Najpotrzebniejszych sprzętów nie było.

Przeklinano kraj barbarzyński. Wtem nagle nazajutrz zjawiał się gdzieś na stoku góry pałac, z całą wykwintnością europejską i przepychem urządzony, i z tej barbaryi Francuzi wpadali, jak różdżką czarodziejską przeniesieni do raju. Tych zmian dekoracyi pojąć nie mogli. Zdało im się niezrozumiałem, aby cywilizacya i zbytek ocierały się tak poufale o tę surową prostotę. Jeszcze niepojętszem było dla nich, gdy widzieli takiego panicza, po europejsku wychowanego, który im w rozmowie i przy stole doskonale dotrzymywał placu, a gdy na nocleg przybyli, wesoło się kładł na gołej ziemi, siodło podłożywszy pod głowę.

Mieszanina ta rycerskiego zahartowania i pańskiej wykwintności była im niezrozumiałą, jak kraj ten cały wogóle.

Ze Lwowa Królestwo zaproszeni udali się do Wiśniowieckich do Wiśniowca, gdzie ich po książęcemu przyjmowano. Wszędzie po takich domach pańskich wino się lało strumieniami, stoły uginały pod srebrem. Na wyjezdnem musieli królestwo oboje i poseł przyjąć na pamiątkę kosztowne podarki. Królowi dostał się przecudnej urody koń pod wierzch z siodłem i rzędem turkusami i rubinami sadzonem, z tarczą i koncerzem stosownemi. Mało co mniej kosztownego rumaka otrzymał p. de Brégy. Królowej ofiarowała księżna wspaniałą kolebkę z sześcioma woźnikami tarantowemi, zewnątrz, wedle ówczesnego zwyczaju, obitą aksamitem, a wewnątrz złotogłowem.

Przyjęcie to w Wiśniowcu, niezmiernie gościnne i po polsku natarczywe, skończyło się późno w noc na tem, że biesiadujących do łóżek poodnosić musiano.

Król był w raźnym humorze i żartował sobie trafnie z delikatnego p. de Brégy.

Gdy przyszło opuścić Wiśniowiec, gospodarstwo przeprowadzili króla i królowę o milę za miasto, gdzie pod namiotami czekało zastawione śniadanie. Tu dla zabawy N. Pana, który myśliwstwo lubił, nagle wypuszczono jelenia; jeźdźcy i psy rzuciły się za nim. Ścigany zwierz wpadł między namioty, ale go natychmiast ujęto i zabito.

Wiele zależało królowi na widzeniu się poufnem z synem hetmana Koniecpolskiego. Cień tego znakomitego, niedawno jeszcze zmarłego męża, po którym rzeczpospolita nosiła żałobę, stał jeszcze, panując tu, żywym. Syn zdawało się, że odziedziczy wielki umysł i zdolności ojcowskie, jak w spadku wziął po nim wpływ i znaczenie.

Oczekiwano na króla w Podhorcach. Liczyły się one naówczas do najwspanialszych, najwykwintniej urządzonych w Polsce pańskich rezydencyi. Położenie pię-

kne sprzyjalo ich przyozdobieniu, na które hetman nie żałował.

Całą ulicę, do zamku wiodącą, na przyjęcie państwa zajmowały szpalerem ustawione, przepyszne i bogato strojne pułki tatarskie i niemieckie nowozaciężne.

Wśród huku bębnów, trąb i okrzyków Władysław IV wjechał na wspaniałe podwórce.

Zamek w Podhorcach na wzgórzu, okrytem naówczas w znacznej części lasem, złożony był z dwóch bocznych skrzydeł i głównego gmachu, a budowa jego, rozmiary, wykończenie smakowne Francuzów nawet zachwyciły.

Sekretarz królowej, Desnoyers, który spisywał chętnie wrażenia swojej podróży, odchwalić się nie mógł Podhorzec, ich uroczego położenia i wytworności urządzenia.

Jak wszystkie budowy u nas z tej epoki, Podhorce wewnątrz były pełne sztukateryi, rzeźb i malowideł.

Trzy tarasy ogromne stanowiły zejście do ogrodu, który otaczał zamek. Na pierwszym z nich znajdowały się dwa wielkie i wytwornie przyodobione groty, które nawet tym, co sławne w St. Germain en Laye oglądali wydały się nieustępującemi im. Na ostatnim jedna grota olbrzymia otwierała się widokiem na rozległą okolicę i cała przybrana posągami naturalnej wielkości z muszli i kamyków zlepionemi. Fontanny przyozdabiały ogród, utrzymywany z pańskim przepychem.

Gdy wieczorem królestwo zasiedli do stołu, na galeryi odkrytej, z której widok się roztaczał na dolinę ku Brodom, gospodarz, wnosząc zdrowie królewskie, kazał dać znak umówiony racą i w tejże chwili o dziesięć mil odległa twierdza w Brodach hukiem kilkudziesięciu dział odpowiedziała.

Wprzódy nim huk ich się dał słyszeć, ujrzano na wieczornem niebie jakby zapaloną łunę, której blask odbijał się na chmurach. Widok z zamku na ten krajobraz na krańcach w ogniu stojący, wistocie był wielkiej piękności.

Władysław nawet, zwykle obojętny, uśmiechnął się gospodarzowi, a Francuzi pozrywali się z miejsc, aby lepiej przypatrzeć się tym czarom.

Długo, pocichu, wieczorem król się naradzał z Koniecpolskim, ale spoczywać tu nie mógł długo. Nazajutrz wyruszono w dalszą podróż do Brodów.

Twierdza ta i osada w znaczniejszej części była dziełem zmarłego hetmana Koniecpolskiego. Wzniósł on je tu wśród mokrej, błotnistej niziny, a dotąd wszystko jeszcze prawie było z drzewa, gdzieniegdzie tylko cegłami poczynając się okładać.

Kurtyny nawet twierdzy były jeszcze drewniane. Maleńka cytadela o pięciu bastyonach murem się dopiero umacniała, a jedyną jej ozdobą była na części muru wzniesiona piękna kamienna galerya.

Hetman zamierzał tu wznieść wspaniały zamek gdy śmierć położyła koniec rozlicznym jego pracom. Staraniom jego winne były Brody niedawno zaprowadzone fabryki kobierców perskich, które wyrabiali Persowie, umyślnie sprowadzeni. Tak samo Holeńdrowie i Flamandy mieli warsztaty płócien cienkich damaszkowych, a Włosi wyrobów złotniczych. Oprócz nich cudzoziemców mnóstwo rękodzielników różnych osiedlało się przy pomocy i opiece Koniecpolskiego, i osada byłaby zakwitła przemysłem, gdyby nie zabrakło tego, który w nią tchnął życie.

Hetman, który zmarł nagle w sam dzień królewskiego wesela, żył tu jeszcze w swych dziełach i synu.

Po tych pańskich przyjęciach w Podhorcach i Brodach, następny nocleg przypadł nieszczęśliwie w szczupłym dworze szlacheckim, a Francuzi, trochę popsuci, nie mogli się pogodzić z niewygodami jego. Pocieszano ich tem, że następnego dnia przyjmować miała wdowa Sobieska, która się już do tego wcześnie przygotowała.

Tu znaleźli znowu dom pański, a na odjezdnem król dostał w podarku cug pięknych koni, a królowa ogromny srebrny dzban moskiewskiej roboty, z wprawionemi w niego starożytnemi medalami.

Stąd zawrócono znowu do Jarosławia; tak chciał

król, a miał w tem swe tajemnicze pobudki, z których się nie tłómaczył.

Był to czas sławnego jarmarku, na który zazwyczaj zjeżdżało się mnóstwo kupców tureckich, perskich i włoskich; w tym roku jednak rozsiane pogłoski o wojnie z Turcyą znaczniejszą ich część wstrzymały. Z obcych znalazło się tylko trochę Węgrów, Niemców i kilku Francuzów.

Naostatek zboczył król jeszcze w gościnę do Zamojskiego, gdzie go wspaniale przyjęto. Wszędzie starał się ujmować sobie, ale prawie z każdym mówił inaczej. Jednał sobie niektórych obietnicami, innych zapałem rycerskim i żądzą sławy rozgrzewał, zapewniał o swej łasce, jeżeliby z ufnością szli za nim. Nigdy go tak ujmującym i uprzejmym, tak poufałym nie widywano. Wiele też serc skłonił ku sobie, ale z mowy jego tak nic jasnego i pewnego wnioskować nie umiano, że czekać musiano, aby się to wyklarowało.

Sejm przyszły obiecywał to wszystko postawić otwarcie, jawnem.

Wszędzie na wyjezdnem obdarzano N. Państwa; Zamojski też złożył królowi czaszę złotą, pełną starożytnych monet złotych, a Maryi Ludwice bransolety brylantowe, które Francuzi na kilka tysięcy talarów cenili.

W Sandomierzu czekały na króla i królowę statki, któremi dopłynąć mieli wygodnie i mniej znużeni do Warszawy. Władysław szczególniej cieszył się tem, że będzie się mógł do południa wylegać na łóżku.

W ciągu tej podróży królowa miała zręczność bliżej się poznać z krajem i obyczajami, oswoić z niemi, ale była to jedyna korzyść, jaką z niej odniosła.

Władysław, zostawiając jej swobodę zupełną, trzymał się osobno, a gdy zmuszonym był zająć miejsce obok żony, zabawiać się razem z nią, okazywał jakby naumyślnie najzimniejszą obojętność, na którą wkońcu duma i poczucie godności niewieściej nie dozwoliły królowej okazywać się zbyt wrażliwą. Uśmiechała się więc wesoło, choć z goryczą w sercu.

Francuzi ciekawi i plotkarze, codzień prawie donosili jej słusznie o przygodach króla, któremu Pac i Platenberg dostarczali rozrywek.

Opowiadano po cichu, że stroili proste wiejskie dziewczęta w sukienki wykwintne, nadawali im szlacheckie szumnobrzmiące nazwiska i zabawiali tem N. Pana.

Królowa, znudzona, w końcu sekretarzowi mówić sobie o tem zabroniła.

Dla biednej Bietki cała ta, dosyć długa i męcząca podróż, była nieustannem utrapieniem, bo się z Francuzami kłócić musiała, broniąc kraju, który oni, zwłaszcza złośliwy Desnoyers, w najpoczwarniejszych barwach malowali.

Sekretarz, gdy mu zabroniono przynosić skandale, bawił królowę dowcipnemi spostrzeżeniami o Polsce, malował ją po swojemu, i często wywoływał od polskiego dziewczęcia ostre i śmiałe odpowiedzi.

Wszystko to razem znudzoną czasem Maryę Ludwikę potrosze rozrywało.

— Królowie polscy — mówił raz Desnoyers — muszą podróże odbywać z małym orszakiem. Przyczyna prosta; dla znaczniejszej gromadki w tym kraju niepodobna znaleźć ani pomieszkania, ani pokarmu poddostatkiem. Musimy z sobą ciągnąć całe śpiżarnie, pościele, a nawet obroki dla koni. W gospodach polskich na równej stopie mieszczą się bydło i ludzie. Stoły, krzesła, ławki, garnki, rondle, kubki musimy mieć z sobą bo ich po drodze brak. W jednej szopce popasałem często razem z wołem, wieprzem i owcami.

Żżymała się Bietka.

— Nasi ludzie zahartowani są i rycerscy—szeptała.

— W miastach nieco lepiej juścić — ciągnął dalej Francuz; — czworonożni goście stoją osobno. Prawda, dwory wielkich panów, Koniecpolskich, Lubomirskich, Zamojskich, urządzone są wedle obyczaju europejskiego, ale nam co po tem? Król, królowa, poseł, parę osób korzystają z tego, a my biedacy musimy iść pod szopy.

— Panowie pieszczeni jesteście — mruczała Bietka; — u nas-by mężczyzna się wstydził poskarżyć, że nie miał łóżka.

— Ja też ten obyczaj szanuję i zazdroszczę go— mówił szydersko Desnoyers. — Sam na to patrzałem i patrzę, że wyjąwszy magnatów, cała reszta szlachty sypia na gołej ziemi lub na małych materacykach, które koniom pod siodło podkładają, aby się nie zacierały. Służba wprost legiwa na ziemi, na wozach, bardzo szczęśliwa, gdy garść słomy dostanie. My zepsuci, cierpimy wiele. Polacy zdrowi i silni, wytrzymują wszystko.

— Tego obyczaju nie daj Boże, abyśmy się pozbyli — mówiła Bietka,—nam z nim dobrze.

Uśmiechała się królowa.

— Nie można mi mieć za złe — ciągnął dalej Francuz — że ja N. Pani królestwo jej daję poznać w jego prawdziwem świetle. Nieprawdaż, że zrana pierwsza rzecz po przeżegnaniu się wychylić spory kielich gorzałki. Piją tu ją, jak u nas wino... i często głowy zawraca...

— Jak waćpanom wino—dodawało dziewczę.

— Powtarzam to, co słyszałem tu od panów świeckich i duchownych — ciągnął niezmordowany Desnoyers, — a czegośmy też w ciągu podróży doświadczyli, że niema w świecie drugiej tak korzennej kuchni, jak polska. Bogaty pan w rok wydaje nie mniej 20000 franków na te przyprawy. Podkanclerzy biskup chełmiński sam mi mówił, że go korzenne ingredyencye w rok 17000 liwrów kosztują. Zatem idzie, że pić dużo potrzeba, a nie innego wina tylko węgierskie, lub hiszpańskie. W Wiśniowcu jeden wieczór pewnie kilka tysięcy kosztował. — Co ichmość za zboże i konopie wezmą, to na wina i sukna wydadzą. Sam słyszałem od Holendrów, że korzennych towarów do Polski idzie więcej, niż na całą Europę.

Obrona przeciw szyderskim spostrzeżeniom p. Desnoyers i innych Francuzów i Francuzek, przypadała zawsze na jedną Bietkę, ale miała ona oprócz tego inne, trudniejsze do spełnienia zadania, gdy królowa rozpytywała ją poufnie o przeszłość i życie męża.

Marya Ludwika chciała być świadomą wszystkiego, aby być panią położenia. Zaniedbywana i lekceważona, pomimo to codzień zyskiwała na powadze i znaczeniu.

Obwiniona o płochość, okazywała się surową i pobożną, nikt jej nic zarzucić nie mógł. Dostojeństwo swe nosiła z taką powagą i swobodą, jakby do korony zrodzoną była. Obok często niezrozumiale zmiennego humoru Władysława, w każdym jej kroku czuć było obrachowaną wytrwałość i zmierzanie do jednego celu. W ciągu podróży, gdy Władysław IV okazywał się coraz inaczej przed tymi, z którymi się spotykał, ona zawsze była jedną, a nawet zniechęcony i uprzedzony mąż jednego wyrazu niezręcznego zarzucić jej nie mógł.

Czuwała też nad swoim dworem, aby nie stracił poszanowania w obcym kraju. Pan de Brégy nie należał właściwie do niego, ale przedstawiał tu Francyę, a płochość jego była dla Maryi Ludwiki bolesną. Wybierając się w tę podróż, lekkomyślny Francuz zabrał z sobą ładną Niemeczkę, sądząc zapewne, że *quod licet Jovi, licet bovi.* Desnoyers i panna Langeron podszepnęli o niej królowej, która przez ks. de Fleury poleciła mu natychmiast się jej pozbyć. P. de Brégy skłopotany usiłował się wytłumaczyć tem, że Niemka była prostą praczką, bez której koronki jego obejść się nie mogły, potem, że miała powołanie do stanu duchownego, chciała wstąpić do klasztoru i niepodobna jej było rzucić na pastwę pokusom i światu!

Zajęty swemi wojennemi planami, król w ciągu całej podróży nie przestawał się zajmować niemi, odbierać doniesienia; wysyłał rozkazy i niecierpliwił się tem wielce, że zewsząd dochodziły go skargi na gwałty i nadużycia, których się zaciężne jego pułki dopuszczały.

Wielkopolska, oburzona niemi, groziła zebraniem sił własnych dla odparcia ich, jak najeźdźców. Z drugiej strony senatorowie, niechętni wszystkim tym przygotowaniom, wołali głośno, że kanclerze nie pieczętowali patentów dla nowozaciężnych, że je król samowolnie pod prywatną swoją pieczęcią wydawać rozkazał. Był to więc bezprawny zamach na swobody, na prawa rzeczypospolitej.

Król przed jednymi wręcz wszystkiemu zaprzeczał,

drugim uśmiechał się i szeptał, że na nic nie zważając, na swojem postawi. Ufał w to, że podróżą, ujęciem gromadki senatorów, — sejm przygotuje dla siebie powolnym i przeprowadzi, co zechce.

Z ramienia jego tymczasem nalegano ciągle na Maryę Ludwikę, aby znowu pożyczyła pieniędzy na wojsko. Król ofiarowywał w zastaw klejnoty, a w razie odmowy groził gniewem.

Na te nalegania królowa najczęściej nie odpowiadała nic, lub coś dwuznacznego; trudno było jej myśli odgadnąć. Desnoyers wszakże odebrał potajemny rozkaz, aby trzykroćstotysięcy talarów, które królowa miała złożone w Gdańsku, były w gotowości do jej rozporządzenia.

Kazanowski dowiedział się pierwszy o tem, i lice N. Pana na chwilę rozjaśniło się tryumfującym uśmiechem.

W Sandomierzu nie odpoczywano długo. Statki, nad któremi powiewała mało znana flaga polska, z ręką, uzbrojoną mieczem, stały u brzegów przystrojone kobiercami i zielenią.

Królestwo siedli na nie wśród tłumów ludu, okrzykujących oboje. Podróż była jakby przejażdżką dla rozrywki i wypoczynkiem.

Przodem do Warszawy wysłana część dworu zawiozła tam wiadomość, kiedy prawdopodobnie królestwo przybyć mieli. Pięknego ciepłego jesiennego wieczora, Warszawa niemal cała wysypała się na brzegi dla powitania powracających.

Senatorowie, urzędnicy dworu, pozostali w stolicy, czekali na króla; tłumy zbiegły się przez ciekawość. Nie widać w nich było tego przywiązania, na które król nie starał się nigdy zasłużyć. Gromady stały, przypatrując się niezwykłemu widowisku, ale w nich serce nie biło.

Król nie uradował się, patrząc na swój zamek, wiedząc, że tam na niego czekały troski, a szczególniej sejm ten, który kwestyę wojny miał rozstrzygać. Tylko cudzoziemskie pułki, których część stała u brzegów, siły te niezależne, jego własne, wbijały w pewną dumę Władysława: zebrał je pomimo wszystkich, przeciwko wszystkim! One i Kozacy, z którymi się porozumiewał, dawały mu siłę, jakiej (zdało mu się) poprzednicy jego nie mieli.

Gdy główny statek, przybiwszy pod zamkiem, witany był przez duchowieństwo i świeckich panów senatorów, drugi, mieszczący w sobie część dworu, zbliżał się poniżej ku wybrzeżu. Tu znajdowała się z panią des Essarts i panienkami Maryi Ludwiki Bietka. Oko jej w tłumie szukało może kogoś, niepewne, czy go znajdzie, nareszcie spuściła wzrok i roztargniona przebiegła kładeczkę, dzielącą od lądu, na który już stąpić miała, gdy uczuła uścisk i obejmujące ją ręce ojca.

Płaza stał przed nią poruszony, przejęty tak, że mówić nie mógł, łkając, ściskając ją, szukając na twarzy dziecka śladów tego, co przecierpiało. Znalazł wistocie Bietkę spoważniałą, smutniejszą, zmęczoną, bez tej młodej, trzpiotowatej wesołości, którą miała, gdy ją po raz pierwszy u Bieleckich zobaczył. Pobyt przy królowej wtajemniczenie w tyle gorzkich życia zadań uczyniło ją starszą.

Płaza nie mógł się teraz nią nacieszyć; przeprowadził tylko do wrót zamkowych i pożegnał. Nazajutrz mieli się zejść u Bieleckich.

Córka na twarzy ojca nie mogła odgadnąć, czy z sobą przywiózł pociechę, czy zawód; nie mówił jej nic o sobie.

Drugiego dnia po przybyciu z powrotem do stolicy zostało z podróży mgliste tylko wspomnienie i podarki. jakiemi się ona przypominała. Król powracał tak niepewien skutków jej, to się ciesząc, to powątpiewając, iż z tego nie można było powziąć żadnej miary o osiągniętym celu. Najwidoczniejszym było, iż rad wracał do wygodnego krzesła, w którem go noszono, do swojego Ujazdowa, do wieczornych zabaw i towarzystwa.

Zaraz nazajutrz Pac, Platenberg i ich pomocnicy poczęli się ściągać ze żniwem pogłosek.

Jedni utrzymywali, że król mógł w sejmie rachować na zwycięstwo, drudzy znajdowali położenie bardzo nie-

bezpiecznem i groźnem. Nie można było utaić tego królowi, że, wyjąwszy pewne koło zupełnie mu oddanych senatorów, ogromna ich większość ze szlachtą razem gwałtownie się oświadczała przeciwko wojnie. Powtarzano głośno słyszane z ust Radziwiłła wyrazy, że prędzej sobie da ręce uciąć, niż jakiekolwiek patenty lub uniwersały, tyczące się samowolnych zaciągów, przypieczętuje. Za jego przykładem szli mimowolnie kanclerze koronni.

Król uśmiechając się, poruszał ramionami.

— Niechże mi dadzą pokój, przypisując wywoływanie wojny! O niczem nie wiem, ale przewidywać muszę, że Turcy nas napastować mogą! Tiepolo przybył nie dla żadnych układów, winszował mi wesela. Mnie bawi oręż, cekhaus, wojsko; maż mi być wzbronione własnym kosztem je ściągać? *Si vis pacem, para bellum*, gotujemy się obronno.

Całe to postępowanie króla można było nazwać zarówno zagadkowem, jak i zuchwałem; nie dziw też, iż mu przypisywano spisek, że każdy pułk nowozaciążny wskazywano, jako sprowadzony na poskromienie szlachty.

— Sejm — szeptano — zobaczycie, zwołają go w okopach na dworcu kijowskiego biskupa i tam polska *aurea libertas* przez żołdactwo zamordowaną zostanie.

Zuchwalstwo pułków królewskich poniekąd te plotki usprawiedliwiało. Władysław IV, napastowany o to ciągle, nie mając pokoju w Warszawie, nagle, ledwie się opowiedziawszy Maryi Ludwice, wyruszył pod pozorem łowów, do Płońska i oświadczył, że tam do sejmu pozostanie.

Usunięcie się to z widowni mogło też być rozmaicie tłumaczonem.

Królowa zgodziła się na pożyczenie pieniędzy, biorąc w zastaw klejnoty. Pac i młodzież rada była temu, że król uciekł do Płońska; tu życie jego mniej było na oku, niż na zamku i w Ujazdowie. Amandy nie było, Władysław potrzebował rozrywek... na uboczu pomocnicy i dostarczyciele ich więcej mieli swobody.

Gdy król tak dosyć niepewnemi kroki szedł dalej

ku rozwiązaniu wielkiego zadania swego, królowa mniej widocznie, ale daleko wytrwalej, posuwała się naprzód, jednając ludzi, zyskując poszanowanie, zapewniając sobie wpływ i znaczenie.

Wiedzieli wszyscy bliżsi, iż Władysław, otrzymując pożyczkę od żony, zmuszonym był dać jej słowo, że na żaden urząd wyższy bez wiedzy jej mianować nie będzie. Klejnoty, oddane w zastaw, nie starczyły, jako zapewnienie; nominacye na krzesła i urzędy przynosiły dochód, bo zwykle je podarkami znacznemi okupywano. Napozór więc to przyrzeczenie króla zdawało się tylko ubezpieczeniem dochodów Maryi Ludwiki, ale w jej myśli było pierwszem szczeblem do pozyskania wpływu na sprawy krajowe.

Bystrzejsi ludzie, Kazanowscy, Radziwiłł, Ossoliński, nie mogąc nic zarzucić królowej, widzieli już, że z czasem ona tu panować będzie. Władza ta nie obiecywała się jawną, królowi zostawiała jej pozory, sobie rzeczywiste posiadanie. Daleko jeszcze było zapewne do zdobycia tego stanowiska, lecz wszystko je zapowiadało.

Naprzemiany stawiąc się łagodną i ustępującą, to zimno upartą, to obojętną, Marya Ludwika powoli, nieznacznie rozszerzała zakres swojego wpływu.

Dotąd nawet udało się jej nie wywołać nieprzyjaźni jawnych i niechęci, a miała wielu wielbicieli i zapalonych sprzymierzeńców.

V.

Ojciec i córka równie byli niecierpliwi poufnie rozmówić się z sobą, ale w narożniku u Bieleckich otoczyło ich tyle ciekawych osób, że ledwie pocichu słów parę wymienić mogli. Zarzucano ich pytaniami, Plazę o podróż, Bietkę o króla, królowę i wszystkie te uroczyste przyjęcia, które obudzały ciekawość.

W Warszawie, potrzebującej karmić się jakiemiś

wymysłami nadzwyczajnemi, z jednej strony prawiono o przyszłem sejmie, jako o czemś groźnem i strasznem, z drugiej — przesadzano skutki podróży i jej zdobycze.

Zmiana u dworu, któremu ubyła Amanda, dotąd niemająca zastępczyni po sobie, stosunek królowej do młodego królewicza, którego Niemka mściwa źle usposobiła dla macochy, wyjazd do Płońska, ściąganie wojsk, dostarczały gawiedzi aż nadto treści do tych potwornych wymysłów.

Zaspokoiwszy ciekawość zebranych u Bieleckich gości, Bietka z ojcem na dzień następny umówiła spotkanie u ks. Stoczka. Tu mogli być sami. Izdebka była mała, ale gospodarz, sam zajęty w szkółce, oddawał ją im, ustępując chętnie.

Rozpoczęła Bietka naprzód od powieści o swej przygodzie z Nesterackim, o poświęceniu się dla niej Nietykszy.

—A! dziecko moje, ja już wiem o tem wszystkiem— rzekł Płaza. — Przybywszy do Warszawy, gdym się dowiedział przestraszony o zuchwalstwie tego łotra, któremu Niemka z pewnością dopomagała, śledziłem, chodziłem, rozpytywałem i pewnie mi tu nic nie uszło. Nie powiesz mi nic nowego, a może ja prędzej cię czegoś nauczę. Z tym zbójem Nesterackim pono nie koniec...

Rzuciła się Bietka.

— Cóż on teraz może?

— Z szalonym mając do czynienia, nigdy człowiek nie odgadnie, kędy się rzuci. Ja ci tylko mówię, że zemsty jego nad tym poczciwym Nietykszą, a może i dla ciebie lękać się trzeba.

— Królowę mam—poczęło dziewczę.

— A! — przerwał ojciec — ma ona zbyt wiele na głowie, aby mogła zająć się twoim losem. My sami o nim myśleć musimy. Na biedę ja ci dotąd nic wielkiego i świetnego zapewnić nie mogę, a tyś do dworu i zbytku nawykła. Na Litwina też podczas, aby się mógł ożenić, nie sposób liczyć. Matka, jakaś tam kniaziówna, ani słuchać nie chce, aby ladajaką sierotę zaślubił.

Westchnął Płaza.

—Mnie się nie poszczęściło—rzekł;—tyle tylko, że Kozacy nazad z listami posłali do Warszawy—to jeszcze wygrana, ale mojego skarbu na Chortycy anim mógł dostać, ani się po niego wybrać. Musiałem komu innemu zwierzyć, aby go odkopał, no... i mnie, da Bóg, przywiózł, przysłał, czy ja wiem!

Stary jęknął, czoło z potu ocierając. Bietka poruszyła głową.

— A! ojcze kochany — rzekła — ten twój skarb, to już bodaj jak w bajce. Nigdy my go nie zobaczymy. Jeżeli go odkopie ten, komuś się zwierzył, zabierze go sobie.

Płaza zamruczał coś.

— Nie wiem — odparł, — byćby i to mogło, a i gorzej, bo go wyszpiegować i pochwycić gotowi, to mu zabiorą do wspólnej skarbnicy. Liczyć też na to wiele,— trudno. To, co mamy u ks. Stoczka, dla mnieby starczyło, bo ja pracować jeszcze mogę, ale dla ciebie?

Bietka podniosła ku niemu oczy.

— Ja na to wyposażenie nigdym nie rachowała — odezwała się cicho, ręką potrząsając. — Teraz jam królowej potrzebna, więc mi na niczem nie zbywa, mój Litwin żenić się nie może, ale co ty poczniesz, ojcze...

Zmarszczył się stary.

— Moje położenie — odezwał się — dosyć trudne, bo ja już na Niż nie powrócę... nie! Kozaczyzna mi już kością stoi w gardle, a ona wcale teraz inną, niż była, i lada dzień tam buchnie pożar, którego się nie spodziewa nikt... Ja go widzę...

Zniżył trochę głos.

— Król ich potrzebuje na Turka — dodał, — a oni wcale o czem innem myślą. Turek im nie w głowie, chyba jako sprzymierzeniec. Padną na lachów, którzy im dokuczyli... na nich się sposobią i odgrażają; nie mogę z nimi być, bom z siebie jeszcze polskiej nie zwlókł skóry. Dopóki kozaczyzna była wojskiem rzeczypospolitej na kresach, mógł się tam człek schronić, w sumieniu nie mając nic, ale gdy się obróci na własną naszą krew...

— Mogłożby to być? — krzyknęła Bietka—tu nikomu się o tem nie śni!

— Hm — rzekł Płaza — nikomu! Może nikomu, oprócz króla! Jeżeli królowi nie da szlachta iść na Turka, laury i królestwa zdobywać, to się zemści, spuszczając na szlachtę Kozaków z łańcucha! Wiedzą już oni, że króla za sobą mieć będą, choćby się na panów, co tam w Ukrainie siedzą i rządzą, podnieśli. W pismach, które król z Kozakami mienia,- nic pewno nie stoi o tem, ale gadki chodzą różne.

— Jakto? — Król przeciwko własnemu narodowi miałby...—przerwała Bietka.

— On ci nic nie pocznie — odparł Płaza — tylko ręce założy. Kozacy skorzystają z tego, że mu byli potrzebni... domyślą się sami... Jeden warchoł butny, o którego nietrudno, stanie na czele, a regestrowych i nieregestrowanych Kozaków nie kilkanaście tysięcy, ale sto tysięcy z ziemi wyrośnie.

Płaza spuścił głowę i ciężko jęknął, rękę przykładając do piersi.

— Przysłali mnie z listami, kazali powracać — dodał, — ale ja na Niż nie pojadę... Zasądzą mnie, jako zdrajcę, tom i tu głowy nie pewien, mają wszędzie swoich...

— Do Krakowa lub gdzieindziej musisz się schronić—zawołała Bietka,—gdy raz postanowisz.

— Jam to już postanowił — rzekł smutnie Płaza.— Na Niż nie pojadę, nie chcę, nie mogę; a no takim jeszcze głupi, że mi się zdaje, iż przyjaciel Kozak skarb mój tu przywiezie.

Rozśmiała się Bietka i sam Płaza się uśmiechnął.

— Prawda, — dodał, — że to Kozak taki, jak i ja, lach, co się tam zawieruszył, a tak tęskni za swoim krajem, że radby Sicz, kozactwo i wszystko, co tam nad Dnieprem-by mu się śmiało, porzucić. Toć prawda, ale, gdy tę mizerną moją krwawicę z pod kamienia dobędzie, a zabrzęczą mu tam złote tureckie monety i poczuje, że bezkarnie ją sobie przywłaszczyć może — pokusa będzie za sroga.

— A rzeczpospolita szeroka — dodała Bietka — schować się łatwo!

— Ani ja go myślę szukać—rzekł Płaza.

— Długoż na niego i na ten skarb bajeczny czekać tak myślicie w Warszawie?—zapytała córka.

— Nic nie nagli, dopóki kanclerz mi listów nie da z odpowiedzią — rzekł Płaza, a wedle mego rozumu, on ich dać nie może, dopóki sejm nie rozstrzygnie o wojnie. Sejm na koniec oktobra podobno zwołują, pociągnie się pewno do grudnia; do zimy więc ja tu bezpieczny i mogę czekać na mojego Carycę!

Płaza wstał, mówiąc to z tapczana, na którym siedział, i rękami objąwszy głowę córki, stał milczący.

— Mów, co poczniemy?—rzekł wkońcu.

— Musimy czekać—odezwała się Bietka—i wszystko tak, jak jest, pozostanie. Co się tyczy Nesterackiego którego zemsty mi się obawiać każesz — mnie on nic uczynić nie może, ale Nietykszę, jak tylko powróci, przestrzedz potrzeba. Niema go tu teraz, bo na Litwie ze swym panem w Wilnie lub Ołyce przebywa.

Rozmowa poufna ojca z córką trwała dosyć długo, rozstali się wreszcie, gdyż dziewczę musiało wracać na służbę do królowej, a Płaza chciał się rozmówić ze Stoczkiem.

Wkrótce też nadszedł blady klecha, znużony bakałarzowaniem, chociaż z wielką miłością je spełniał. Uściskali się starzy przyjaciele.

— Cóż ty, mój ojcze, na to wszystko, co się u nas dzieje?—zagadnął Płaza.

— Ja, miły Lasoto, — począł ksiądz — inaczej może widzę sprawy i stan naszej rzeczypospolitej, niżeli wy, bo stoję gdzieindziej, w kąteczku kościelnym, w kruchcie mojej, skąd może mi wszystko i inaczej się ukazuje, niż z waszych stanowisk świeckich i dworskich. Więc nie po ludzku, nie po rycersku, nie jako statysta, ale jako mizerny klecha, służebniczek Boży, biedactwo

krótkowidzące, widzę i sądzę. Nie nauczysz się też nic ode mnie.

— Mów przecież — odezwał się Płaza; — ja pewnie mniej jeszcze widzę, niż ty... oślepiły mnie lata długie, wśród trzcin i sitowia spędzone, gdziem słyszał tylko dzikich kaczek głosy i kozackie pieśni.

— Gdy patrzę — zaczął zadumany blady księżyna — na tę naszą rzeczpospolitę, a wezmę kroniki do ręki i przypomnę dzieje, strach mnie ogarnia. Doszliśmy do tego, że król nie może tak, jak nic, chyba wiarę złamie, że hetman jest na łasce ciurów, co się mogą w związek jutro na niego sprządz i posłuszeństwo mu wymówić dla żołdu, że duchowieństwo nie może wiele, bo połowa narodów ma predykantów, a są tacy, co ani Boga, ani kapłana nie znają. Powiedzże ty mnie, co z tego może urosnąć? Wołają głosy wieszcze o naprawę rzeczypospolitej, wołał tak ks. Skarga—prorokując jej upadek, jeśli się nie zechce poprawić, a prywata górę weźmie. Cóż z tego? Dziś gorzej może, niż było za ojca króla naszego. Na dworze zgorszenie, z pałacu ono poszło na miasto, a z miasta popłynie po dworach... Wy mi mówicie o Kozakach; Bóg może wistocie posłużyć się i nimi i tatarami, i wszelką rózgą mściwą, aby ukarał za winy.

Przed nami więc wieki pokuty, może niewoli, może męczeństwa... módlmy się i kajajmy za grzechy.

Płaza słuchał smutnie.

— Król przecież zamyśla coś — rzekł, — mówią wszyscy, iż mu się rozprzężenie nasze uprzykrzyło... ale zmoże-li?

— Król — szepnął ksiądz —powinienby począć reformę od siebie... Sodomą i Gomorą dwór jego; królowa pobożna nie ma władzy żadnej, przyszły dziedzic korony chowa się w atmosferze zgniłej, co z niego wyrośnie?

Po smutnej rozmowie ze Stoczkiem wyszedł jak rozmarzony troskami swemi Lasota i kroczył z głową spuszczoną ulicą, gdy go — Sława Bohu! cicho do ucha rzucone, rozbudziło.

Parfen szedł obok niego.

— Coś ty batku sumujesz, chmurny jesteś? — odezwał się Kozak—co tobie?

— Co ma być! — zawołał trochę niecierpliwie Płaza, — albo mi tu tak dobrze wisieć, a czekać odpowiedzi.

— E! e! — rozśmiał się Kozak — jużbyście się skarżyć nie powinni, macie tu swoich, a brak wam braci Kozaków, tom ja jest i bodaj drugi się znajdzie.

— Kto drugi?—spytał Lasota.

— Pewnie go znacie—rzekł;—dopiero wczora tu z Siczy przybiegł; z czem, nie wiem. Nie gada...

— Jak się zowie?

— Przezwali go Carycą — rozśmiał się Parfen, — bo piękny jest, a lach, jak wy; albo go posłali tu, ale ja o tem wątpię, albo on sam, pozwolenia nie prosząc, zbiegł... Jeżeli tak jest, ej! jednym laszkiem w Siczy mniej, niewielka szkoda, ale on tam wypatrywał wiele i wie, i nasłuchał się tajemnic naszych, wyniesie je... Zła rzecz!

Płaza, który ledwie mógł się powstrzymać od okazania wrażenia, jakie na nim uczyniła wiadomość o przybyciu Carycy, zwolna podniósł oczy na Parfena.

— Jakież on tam tajemnice mógł podsłuchać? — odezwał się. — Starszyzna go na radę nie brała, pisarz do listów nie używał...

— Widzieliście go?—dodał.

Parfen głową potwierdził.

— Gdzie?

— W gospodzie — mówił Kozak—zajechał, jak wy, na Długą ulicę do najmizerniejszej gościny, do Gradzisza.

— Mowiliście z nim?

Parfen się trochę zawahał.

— A no—rzekł—juściż.

— Z czemże przybył? — pytał dalej Plaza niespokojny.

— Nie chce mówić — rozśmiał się Kozak. — Chytry on, ale są chytrzejsi jeszcze; jakbym ja potrzebował się od niego o tem dowiadywać? Sam on mi się zdradzi!

Po chwili Parfen, kręcąc głową, dorzucił:

— Ktoby Carycę wysyłał? Zdać się on mógł z samopałem lub szablą, ale z głową i z gębą? Potrzebowali lacha do lachów, mieli was, a jednego starczy. Caryca pewnie sobie sprzykrzył na Niżu, ale jemu i tu będzie niezdrowo.

Lasota, który wiedział, że oczów Parfena nie uniknie, wręcz otwarcie się odezwał:

— Iść mi zaraz do Gradzisza po niego. Znam dobrze Carycę, muszę się z nim widzieć.

— Jam też tego tak pewnym był, że z tem do was przyszedłem — mówił Kozak. — Rozmówcie się. Prędzej on wam się do czego przyzna, niż przede mną.

Płaza nie odpowiedział nic.

Kozak doprowadził go do rogu Długiej ulicy, pokazał mu dom Gradzisza i pokłoniwszy się, zawrócił na Miodową.

Niespokojnie zdążał Płaza do gospody, gdyż przybycie Carycy nieledwie miało znaczenie, że mu się powiodło na Chortycy i że nie myślał sobie cudzego mienia przywłaszczać. Było to istnym cudem, nie poddawał się też przypuszczeniu Płaza.

— Nie powiodło mu się może, zawsze stateczny czlek.

U Gradzisza o tej godzinie pusto było prawie, goście jego po mieście się rozeszli. Gospodarz sam, mały człeczek, brudny i dosyć odarty, stał we drzwiach.

Rzadką jeszcze naówczas było rzeczą zażywanie tabaki, chociaż się od lat kilkudziesięciu do Polski ziele to wkradło. Miała je pono Anna Jagiellonka w doniczkach, a w królewskim ogrodzie przy pałacu na Krakowskiem pokazywano cudowną roślinę tę, której naówczas przypisywano leczenie cudowne wszystkich chorób. W Krakowie już sprzedaż tabaki w tychże latach zaprowadzona zotała, sprzedawano ją i w Warszawie.

Gradzisz należał do tych, co się, lecząc od bólu głowy, do tabaki przyzwyczaili. Stał przed wrotami, trzymając w ręku spore pudełeczko, ponad którem zwieszony był nos jego gulowaty, aby to, co w niego ręka troskliwie pakowała, na ziemię się nie uroniło.

Wszyscy, co go znali, wiedzieli, iż gdy był zażywaniem zajęty, nie godziło mu się i napróżno było przerwać, bo nie mógł się dać oderwać od tego, co miał za rodzaj tajemniczego jakiegoś obrzędu. Gradzisz taką wagę przywiązywał do naładowania nosa, iż będąc bardzo pobożnym, a nie mając pewności, czy zażywanie było dozwolone w kościele, męczył duchowieństwo, nachodząc je, aby niezmiernie ważną tę wątpliwość urzędownie rozwiązało.

Na pierwsze więc pozdrowienie zagadnięty nie odpowiedział i dopiero, gdy tabaka była wciągniętą, palce skrzętnie otrzepane, pudełeczko szczelnie zamknięte, a nareszcie schowane do kieszeni, podniósł głowę.

Płaza, przywitawszy go, miał spytać o Carycę, ale nie wiedział, pod jakiem on tu przybył nazwiskiem i postacią.

— Macie tu jakiego hożego bardzo pana z Rusi?— zapytał.—Wczoraj pono przybyłego?

Gradzisz głową skinął; domyślił się, o kogo chodziło.

— W gospodzie, czy na mieście?

— Widzi mi się na — mieście — rzekł Gradisz ochrypłym głosem, który niedobre dawał świadectwo o leczebnych skutkach rośliny tabako. — Słuszny! oczy czarne! wistocie bardzo hoży! rycerska postawa? Tak?

— Tak.

— Wczoraj przybył głodny — mówił Gradzisz, — podjadł dobrze, spał też, jak się należy, a oto ze skrzynką, którą na wózek włożyć kazał i powiózł na miasto, wyruszył.

Płaza, usłyszawszy o skrzynce, ręce mimowolnie złożył. Uradowany począł dziękować.

— Bóg zapłać, panie gospodarzu, Bóg zapłać!

Pożegnali się uprzejmie. Lasota śpieszył na róg Piwnej, gdzie był pewien prawie, że zastanie Carycę.

Na wschodach spotkała go Bielecka.

— A idź waść do mieszkania, bo tam jakiś chłop... ale śliczny! śliczny, choć maluj, czeka na was. Skrzynkę przywiózl i siedzi na niej.

W starym Płazie sił przybyło, rzucił się co żywo do swej izby. Wistocie Lackowicz tu siedział spokojnie na skrzynce, łokcie sparlszy na kolanach, i czekał!

Przebrał się już był po polsku i z Kozaka w nim chyba tylko ruchy pewne rubaszne pozostały. Zobaczywszy Płazę, na szyję mu się rzucił.

Ten mówić nie mógł ze wzruszenia.

— A toć cud!—wyjęknął wreszcie.

— Ja sam mówię, że cud — podchwycił Lackowicz. — Czasem się składa wszystko malikowato, co krok to się potyka, a tu się tak złożyło, że gdzie już ginąć było trzeba, ladaco ratowało.

Na Chortycy mnie o mało nie pochwycili, nadpłynęła kozaczycha z czółnem i zabrała z sobą; potem w Kijowie już mnie mieli w ręku prawie, bo zwąchali, że ja pójdę precz, a tu się trafił starosta wasilkowski, powracający do Polski, i wprosiłem mu się do dworu.

— Masz twój skarb nietknięty! — roześmiał się naostatku, wstając ze skrzynki Lackowicz.

— Patrzaliście wewnątrz?—zapytał Płaza.

— Poco? — odparł Kozak. — Ciekawości nie miałem. Z ciężaru wnoszę, że cię nie okradli.

Lasota się zdumiał, przekonywując, że skrzynka była zamknięta; klucza od niej nie miał oddawna.

— Prawda — odezwał się w tej chwili Lackowicz— głupim był, że nie zazierałem. Mógł kto wybrać złoto, a kamieni narzucić, a jam je darmo dźwigał.

Płaza już był w kuchni u Bieleckich, pochwycił tępą siekierę starą, powrócił z nią i wziął się do zamku, który niebardzo się opierał.

Zajrzeli oba — Płaza odetchnął. Wszystko tam leżało, jak było, tylko chusty pogniły i poczerniały, worki się porozłaziły, a pieniądze, połamane kawałki złota i srebra pozlepiały się jakąś wilgocią na kupki.

Lasota wyciągnął ręce do przyjaciela i wskazał mu skrzynkę.

— Bierz, weź, ile chcesz, to nasza wspólna własność.

Śmiał się Lackowicz, spuściwszy oczy.

— Najmilejby mi było nie tknąć ani złamanego szeląga — rzekł, — ale swojego grosza mało mam, a nim sobie służbę znajdę, dość czasu upłynie, muszę żyć; pożyczysz mi, ile zapotrzebuję.

Natychmiast posłał Płaza, który rad pił, po wino i zasunąwszy skrzynkę pod łóżko, wesół począł przyjaciela przyjmować.

— No, przyznaj się — rzekł Lackowicz: — byłeś pewny, że ja z twoim skarbem pojadę w świat. Jam to czuł. Dlatego mi się haniebnie chciało powrócić z nim aby ludzie wiedzieli, że taki nie wszyscy są zbóje.

Nic nie mówiąc, Płaza śmiał się.

— Więcej — rzekł — lękałem się, aby cię nie pochwycili.

Wszczęła się rozmowa o kozaczyźnie, o buntowniczym duchu, który się tam wywiązywał, a Lackowicz poświadczył, że wiatr, który zawiewał z Warszawy, rozdymał ten pożar, jeszcze dopiero tlejący.

Przestrzegł go Płaza o Parfenie; poczęli radzić, co z sobą poczną dalej. Oba stanowczo nie myśleli powracać, choć Płaza przewidywał, że go kanclerz popychać będzie na Niż, chcąc mieć tam kogoś, coby donosił o przygotowywaniu się Kozaków.

Na te szepty i narady weszła niezmiernie ciekawa pani Bielecka, którą nadzwyczajna piękność przybyłego nabawiała niepokojem. Zalotna, ciekawa, chciała wiedzieć i kto to był i choć resztkami goniła, pobałamucić go trochę.

Wynikło z zapoznania się z nią, że Lackowicz został zaproszony na jutro na łyżkę barszczu, bo nie miał co robić w Warszawie. Płaza mu zalecił, aby przyszedł zawczasu. Po tak długiej niebytności w kraju, który zaledwie głównemi rysami swemi pozostał w pamięci — skozaczałemu, zdziczałemu, świat ten jeszcze się dziwniej czarodziejsko pięknym wydawał, niż Płazie.

W ulicy Lackowicz stawał i przyglądał się pannom przechodzącym, postrojonym, świeżym i białym twarzyczkom miejskim z zachwytem. Po opalonych licach Kozaczek, te wypieszczone istoty wydawały się

aniołami malowanemi. Nawet odświeżana codzień pani Łukaszowa, której twarzyczka od brwi i warg poczynając, cała była dziełem sztuki, zachwycała Lackowicza.

Ani pomyślał o tem Płaza, jakie wrażenie zrobi na tym przyjacielu piękna Bietka. Ona też na obiad przybiedz miała z zamku i wszyscy już czekali tylko na nią, gdy dziewczę zadyszane przybiegło.

Bielecki, będąc na zamku, oznajmił jej o przybyciu przyjaciela ojca, a łatwo się domyśliła, kto on był. Ciekawie śpieszyła go zobaczyć i dziękować.

Na widok wbiegającego dziewczęcia, które się przystroiło nieco, choćby dla ojca, aby się córki nie wstydził, biedny Lackowicz osłupiał i oniemiał. Raziła go, jak piorunem, a musiało to być bardzo wyraźnem, bo się zarumieniła. Ani Płaza, ani Bielecki przytomny nie spostrzegli, co się stało. Lackowicz zachwycony, gdy przemówiła do niego, zabełkotał i odpowiedzieć nic potrafił.

Dopiero wchodząca Bielecka, ze swym instynktem kobiecym jednem spojrzeniem odgadła, co się tu działo. Zobaczyła Bietkę zakłopotaną a Lackowicza jakby skamieniałego.

— Przepadł chłop!—powiedziała sobie w duszy.

Po chwili dopiero gość się jakoś wytrzeźwił i opamiętał, a Bietka, przypomniawszy sobie Nietykszę, spoważniała. Miała na ręku jego pierścionek.

Przy obiedzie Lackowicz, choć się z niego wyśmiewano, że z ruska zarywał, żywo opowiadał o podróży, o sobie, o Kijowie, i dowiadywał się, co tu było słychać.

W górze mówiono tylko o wojnie, w dole — o królu i królowej. Właściwie mało tu kogo obchodziło wojsko królewskie, nieporozumienie z senatorami, pułki niemieckie, ale z rozbudzoną ciekawością śledzono każdy krok Maryi Ludwiki, której przypisywano oddalenie Amandy, pozyskiwanie sobie zręczne panów u dworu i prorokowano, że wkońcu królem zawłada, zauszników i pochlebców rozpędziwszy.

Takie było zdanie prawie wszystkich. Wielkiej miłości nie pozyskała sobie zimna królowa, ale w niej przeczuwano panią.

— Francuzka — mówił pocichu szafarz, powtarzając jakieś słowa, które biegały po dworze — Francuzka szturmem króla nie weźmie, ale się podkopie! — Przybyła tu we łzach, król jej znać nie chciał, nie patrzał na nią, Niemka nim rządziła; królowej nikt nie pomagał, została sama, a teraz... tylko co nie widać, jak król się przed nią układać będzie musiał. Naprzód pieniędzy już jej winien siła... a potem!

Bielecki głową pokręcał.

— Mądra pani!

Ujęła się za nią Bietka.

— Ja z nią od rana do wieczora jestem — rzekła,— bo co chwila coś tłumaczyć muszę i objaśniać, a mam wiarę u niej; nikt jej lepiej nie zna... Urodziła się na królowę, ma cierpliwość i rozum, milczy i nigdy się nie unosi, a gdy płacze czasem—to w kątku. Król się już wstydzi, uciekł przed nią do Płońska; Pac go namówił, bo tam swobodniejszym będzie, a na zamku choć on pan i król, przed królową oczy spuszcza. — Dowiedziała się niedawno królowa, że bez jej wiadomości obiecał król kasztelana krakowskiego uczynić hetmanem wielkim, aby go sobie na wojnę pozyskać... trzeba było wiedzieć, jak się jej pokornie tłumaczył, bo bez niej żaden przywilej nie może być podpisany ni przypieczętowany.

— Ho! ho! — potrząsnął głową Płaza, — a toć wiele!

— Nie dotrzymuje król słowa — dodała Bietka — to prawda, ale musiał je dać.

Nowe tedy panowanie się zdało zapowiadać.

— Król-bo — dodał Bielecki — haniebnie podupadł przez tę podagrę i cierpi srogie męki. Zamek się czasem od krzyków jego rozlega. Choroba to, z którą doktorowie powiadają, można żyć długo, ale co życie warto w takich boleściach? A odejdzie cokolwiek N. Panu, że wstać może, zaraz na polowanie, i ani w jedzeniu, ni w piciu się nie powstrzyma.

Tu Bielecki, nie kończąc po ustach się uderzył, dając znak, że o reszcie zamilczeć musi.

Mówiono i o królewiczu, który przez Niemkę w początkach do macochy był zrażonym, ale powoli zdawał się teraz zbliżać do niej. Król na to nie nalegał. Na chłopaku wszyscy największe pokładali nadzieje.

— Drugiego potomka trudno się spodziewać — dodał Bielecki żartobliwie, — król myśleć o tem nie ma czasu.

Przez cały prawie obiad rozmowa się obracała około spraw powszednich, a głównie około sejmu.

Lackowicz małoco się odzywał, a niewiele może słuchał, tak się wpatrywał w Bietkę i rozmarzał jej pięknością i rozumem. Wszyscy też, gdy otworzyła usta, zwracali pilną uwagę na to, co mówiła, bo była prawie nieodstępną przy królowej.

Czas przechodził szybko i zaraz po obiedzie dziewczę musiało powracać na zamek, Bielecki szedł na ratusz, jejmość jego na nieszpory do Augustyanów, a Płaza z przyjacielem pozostali sami.

Wolnych tych godzin, zamknąwszy się na klucz, użył Płaza przy pomocy przyjaciela do uporządkowania swojego skarbu, który był w największym nieładzie, prawdziwie kozacka łupież; składał się on z poodbieranych Tatarom i zdobytych na Turkach wschodnich i włoskich wyrobów jubilerskich, złotych portugałów i donatywek. Były tam i pogięte kielichy, pateny, monstrancye, talerze, naszyjniki i łańcuchy. Z tych jednak mało całego się uchowało i Płaza myślał o sprzedaniu bruchtu na wagę, pieniądze zostawiając bez wymiany, bo te zawsze było łatwo puścić... Szły wszędzie.

Zmusił Lackowicza, aby sporo sobie wziął i nie myślał o oddawaniu.

— Dałbym-ci ja to wszystko i dziesięć razy tyle— mówił sobie w duchu Lackowicz, — gdybyś mi swą Bietkę za żonę dał.

— Co teraz poczniesz? — dokończywszy obrachunku i skrzynkę zasuwając pod łóżko, odezwał się Płaza;— mnie się widzi, że rodziny nie mając, a z taką postawą,

twarzą i rycerską wprawą, jak wasza, niema innej drogi, jak się do królewskich pułków zaciągnąć, albo do służby którego z panów.

— Daj mi się rozpatrzeć — odparł Lackowicz — Z tego, co od was tu słyszę, królewskim pułkom długiego życia wróżyć nie można. U panów zaś, kto pleców nie ma...

Z tem się rozstali...

W kilka dni potem nadjechał kanclerz Radziwiłł, na sejm już pośpieszając, a z nim Nietyksza. W czasie pobytu swojego na Litwie dojechał on do matki do Borbiszek, chcąc ją widzieć i przekonać się, czy zmiękczyć jej nie potrafi. Stara Gedyminówna powitała go okrzykiem, obsypała pieszczotami, ale po kilka razy na dzień sama wracając do tego przedmiotu, powtarzała mu:

— Tylko mi nie mów o dworce!

Nietyksza też nie wspomniał wcale, chociaż z twarzy czytać mogła, że o niej myślał. Stara popróbowała go znęcić do gospodarstwa, do wsi, do koni, ale się jej nie powiodło. Syn nie chciał się jeszcze pod Olkienikami zakopać w cichym dworze. Ks. Radziwiłł był nań łaskaw.

W Warszawie z wielkiem zdumieniem swem dowiedział się od przyjaciół, których tu miał, nowiny prawie nieprawdopodobnej. Zaręczano mu, że Nesterack się ukrywał gdzieś w blizkości, że go widziano wieczorami około zamku, i choć mu jego opiekunki zabrakło, kręcił się tu zapewne nie bez celu.

Niepodobna było przypuścić, ażeby na dziewczę, przy królowej będące, miał się ważyć porywać, lecz w złym człowieku zemsta mogła się ukrywać i szukać sposobnej chwili do objawienia.

Nietyksza go ścierpieć nie mógł; postanowił się przekonać naprzód, czy istotnie się tu znajdował, a potem postarać o to, aby go, jako o gwałt obwinionego, ujęto.

Byli ludzie, którzy zaręczali, iż go wieczorami widzieli, poznali i omylić się nie mogli. Nietyksza zasadził się w ciemnych krużgankach zamkowych raz i drugi,

miał pomocników chętnych, lecz Nesterackiego nie poszukowano. Wiedziano, z kim dawniej kupczył obrokami i sianem, posłano tam i nie znaleziono go także. Straciwszy dosyć czasu, Litwin wreszcie jednego wieczoru, już z zamku idąc, w ulicy się z nim spotkał. Nie mógł się omylić; Benedyk w pierwszej chwili chciał uchodzić, ale silny przeciwnik rzucił się na niego i krzyknąwszy na alarm, zatrzymał.

Trwało to jednak krótko, bo Nestaracki, noża z zapasa dobywszy, ranił go tak silnie w piersi, iż Litwin padł, brocząc we krwi na ziemię. Nim ludzie na wołanie od zamku pośpieszyli, Nesterackiego już nie było.

Rannego ciężko Nietykszę obwiązawszy na zamku, zawieziono do Radziwiłłowskiego dworu, a nazajutrz za staraniem kanclerza przy bębnie obwoływano, aby Beledykta Nesterackiego imać i do sądu dostawić, jako gwałtownika i mordercę.

Co się z biedną Bietą działo... wypowiedzieć trudno! Pocieszano ą, że rana nie groziła życiu Litwina, lecz była to nowa krew, przelana dla niej.

VI.

Około dwudziestego października stolica nad Wisła już się zaczynała napełniać codzień nadciągającymi gośćmi. Król powrócił z Płońska, dnia 25 miał być otwarty sejm. Lecz widzieć potrzeba było, w jakiem usposobieniu przybywali senatorowie i szlachta.

Król, jak zawsze się uskarżając na nogi, na boleści, przyjechał na umyśle pozornie swobodny i wesoły, lecz ci, co go znali, widzieli, że paliła go wewnątrz niecierpliwość gorączkowa, którą obojętnością pokrywał.

Prawie na wysiadanem znalazł się marszałek Kazanowski; we dwu poszli razem do sypialni, gdzie wieczerzę podać kazano. Kazanowski był jak zawsze, posłusznem bez ograniczenia narzędziem króla, ale teraz przekonań

jego nie podzielał. Służył mu, bolejąc, że się Władysław łudził.

— Co mi powiesz? — odezwał się król żywo — usposobienie jakie? Widziałeś kogo?

— Mnóstwo osób.

— Jakże są usposobieni?

Kazanowski milczącem ruszaniem ramion odpowiedział.

— Bojaźliwi są — przerwał król; — nikt nie ma odwagi przeciwko prądowi płynąć, ja muszę mieć męstwo za wszystkich. Dysymulowałem dotąd; dziś już nie pora.

— Gdybyś chciał — odezwał się marszałek — na nic się to nie przyda, przygotowania są nadto jawne. Wojska, po kraju i w stolicy rozstawione, dokuczliwie się czuć dały.

Władysław się rozśmiał.

— Wiem! Skargi są powszechne, a zatem niech mi pomogą wyprowadzić z kraju regimenta. Ja nic innego nie żądam. Sejm.

Spojrzał na przyjaciela, który, usłyszawszy o sejmie, mocno się skrzywił.

— Rachujesz na sejm? — szepnął.

— Mój Boże — gwałtownie wtrącił Władysław — pracowałem tyle nad przygotowaniem do niego, że jeśli nie cały sejm, to na czoło jego liczyć, zdaje mi się, mogę. Zresztą, ty znasz myśl moją.

Kazanowski spuścił głowę i milczał długo.

— Rozważ dobrze, niżeli krok uczynisz — rzekł. — Nie potrzebuję mówić, że mnie u swojego boku mieć będziesz, ale...

Król powstał z łoża.

— Czytajże historyę — odezwał się do Kazanowskiego — inaczej się do władzy nie dochodzi, a tu władza jest koniecznością. Z mojemi zaciągami, z żołnierzem, jakiego mamy, wierzaj mi, całej tej niespokojnej szlachcie rady damy, a senatorowie pójdą nieprzymuszani, jak skoro przewagę u mnie zobaczą. Dlatego chciałbym wszystkie, o ile możności, zaciągi dokoła Warszawy porozstawiać, aby były na zawołanie.

Zapalał się król, a Kazanowski zdawał przeciwnie ostygać. Czas jakiś panowało milczenie.

— Wiesz — odezwał się marszałek — nie spodziewam się , abyś komu, oprócz nas kilku, zwierzał się z tych myśli swoich, a jednak one już obiegają z ust do ust. Wszyscy są przerażeni.

Jest to bardzo niepomyślnem — dodał. — Mam to przekonanie, że po dojrzałej rozwadze ty swój plan zuchwały zmienisz, a przynajmniej teraz go nie zechcesz przyprowadzać do skutku; tymczasem burzy on już umysły i zniechęca.

— Nie spodziewam się, aby mnie kto zdradził — rzekł król ponuro — ale samo koncentrowanie się wojsk i powoływanie ich pod .Warszawę...

— Popłoch panuje w mieście — mówił dalej Kazanowski — przywożą go z sobą senatorowie. Widziałem z nich wielu, bo śpieszyli do mnie dowiedzieć się o czemś. Starałem się ich uspokoić.

— Nie trzeba było im dawać się łudzić — wtrącił król — nie czas już. — Ja, ty, wszyscy winniśmy mówić otwarcie, że wojna jest nieuchronną, że ja jej żądam dla dobra i sławy rzeczypospolitej. Poniosłem ofiary, gotówem do nowych, nie odstąpię.

Król drżał cały, mówiąc to.

— Potrzeba przygotować do tego umysły.

Rozmowa została przerwana. Oznajmiono Ossolińskiego. Kazanowski spokojnie usunął się nieco na stronę. Kanclerz wszedł poruszony i jakby się śpieszył.

— Szczęście to, żeśmy się W. Król. Mości doczekali — począł, całując podaną rękę. — Jesteśmy oblężeni pytaniami niedorzecznemi, panika powszechna. Senatorowie przybywają zrozpaczeni, a pierwszem ich słowem. — Wojna?

Z uśmiechem wymuszonym przerwał Władysław Ossolińskiemu.

— Potwierdźcie to im, nieuchronna!

Kanclerz jakiś czas stał, namyślając się.

— Ogólne usposobienie najgorsze — rzekł — taić tego nie można.

— Nie damy się mu złamać—przerwał Władysław.— W Krakowie czasu koronacyi, we Lwowie w ciągu mojej podróży musiałem ciągle kruszyć kopie za programem moim; udało mi się pozyskać wielu. Nie wszyscy są przeciwni, ale tu obawa szlachty, która ma wstręt do wszelkiej wojny! Rachuję na to, że zebrani na sejm, jedni drugich nawracać będą.

Kazanowski i Ossoliński ukradkiem spojrzeli na siebie i obaj już zamilkli, wyrzekając się dalszego sporu z królem.

Władysław okazywał wielką pewność siebie i bezpieczeństwo. Kanclerz wspomniał o listach, od Kozaków otrzymanych.

— Należy ich oszczędzać i słuchać — rzekł król.— Są mi potrzebni, chcę ich mieć dla siebie. W ostateczności...

Nie dokończył.

— Z odpowiedzią wstrzymać się musimy do końca sejmu.

Kanclerz zabawił niedługo. Kazanowskiego król, poszeptawszy mu coś na ucho, zaledwie odprawił, gdy Pac już mu oznajmił nowych gości, nad których przyjęciem król się namyślał zasępiony.

Kasztelan gdański, wojewoda rawski, kasztelan sieradzki, odesłani zostali z przeproszeniem do jutra. Powiadano, że N. Pan znużony był i cierpiący.

Podagra służyła teraz doskonale, ile razy chciał się pozbyć odwiedzin natrętnych. Bocznemi drzwiami wpuszczano dworskich urzędników i te osoby, z któremi król widzieć się żądał.

Dnia tego aż do późna antykamery były pełne, nieustannie zajeżdżały kolebki, senatorowie, biskupi, jedni po drugich, z twarzami przeciągniętemi domagali się posłuchania.

Podkomorzy miał ciągle do czynienia, tłumacząc króla znużeniem.

Wszyscy odchodzili zafrasowani, szepcząc, a niepokój na wszystkich twarzach był jakiś niezwyczajny.

Tymczasem do króla powołano potajemnie Rejnera, jednego z dowódców zaciążnych pułków, potem dwu jeszcze pułkowników piechoty. Tym Władysław

wydawał rozkazy, ożywiony, wesół i każdego z nich prawie czemś obdarzał. To też na twarzach cudzoziemców malowało się uszczęśliwienie, gorliwość do służby i niezwykła buta.

Nieco się tych cichych posłuchań pod wieczór przebierać zaczęło, gdy król zadumany, spostrzegł stojącego nieopodal od łóżka swego, ulubionego młodego Paca. Faworyt ten, który zwykle fantazyom miłosnym króla dopomagał i we wszystkich intrygach dworskich był czynnym, zazwyczaj wesół, dobrej myśli, umiał Władysława rozchmurzać i przynosił mu coś do zabawy; tym razem, choć nie stracił pewności siebie, stał głęboko zadumany.

— Pac! co tobie? — zamruczał król, który, sam będąc rozochocony, nie lubił przy sobie twarzy posępnych.

— Nic, N. Panie — odparł dworak, — niema właściwie nic, ale co się dzieje w Warszawie u nas, opisać trudno.

— Cóż się dzieje? — spytał król — senatorowie...?

— A! gdyby tylko oni! — przerwał Pac — to są po większej części stare grzyby, nie dziw, że ich panika ogarnia, byle się co poruszyło; ale w mieście nawet, na prowincyach, między szlachtą, strach jakiś, trwoga.

— O co? o co? — począł Władysław.

— Ludzie roznoszą wieści najdziwaczniejsze — ciągnął dalej Pac. — Senatorowie z nimi już tu poprzyjeżdżali. Niektórzy twierdzą, że po drodze spotykali pułki nowe, ciągnące z ordynansami do Warszawy. Mówią, że wydane są rozkazy, aby się tu pod sejm wszystkie siły zgromadziły. Kto ich wie, co plotą! Sejm ma się odbywać pod grozą i naciskiem siły zbrojnej, a drudzy się już o gardła lękają.

Pac ramionami rzucił; król zamiast się oburzyć, rozśmiał się.

— Dać pokój tym plotkom — rzekł cicho — niech się wygadają. W części też to prawdą jest, żem powołał niektórych pułkowników bliżej na oczy. Skargi zewsząd nieznośne na nich, zwłaszcza z Prus i Wielkopolski, żołnierza trudno utrzymać. Bliżej mnie muszą być kar-

niejsi. Że się szlachta, warchoły, trochę strachu najedzą, nic w tem złego.

— Miłościwy Panie — odparł Pac — ja statystą nie jestem, ale umysły tak poburzone, że gotowo znowu, jak za nieboszczyka pana, do rokoszu przyjść. W Wielkopolsce, słyszę, przeciw pułkom, co tam dokazywały, szlachta się we trzy tysiące zebrała, jak na nieprzyjaciela.

Król słuchał zadumany.

— Rokosz? — zamruczał. — A wiesz ty, że jabym rad mu był?

Pac słuchał zdziwiony, król mówił dalej:

— Byłby mi dziś na rękę, bobym go rychło uśmierzył, a przytem i buty szlacheckiej przytarł. Krzykacze potrzebują nauki.

— Gdyby to tylko szlachta niespokojna — wtrącił Pac — ale z senatorami... Zbierają się na *concisiabula* potajemne, radzą, skupiają się do oporu. Sejm się gotuje niespokojny, a wszystko z tych plotek. W mieście popłoch taki, że rada uspokajać musi. Kupcy obcy, którzy na sejm poprzybywali, stoją w rynku z nierozpakowanemi wozami, posłyszeli, że wojska zaciągać mają, że może przyjść do starcia, do rzezi.

Ktoś sobie zmyślił, że w okopach, któremi ks. biskup kijowski swoją nową posesyę otoczył, ma się odbywać sejm, a wkoło stanie obóz zaciężnych, którzy na dany znak rzucą się na posłów i senatorów. Król słuchał, nie okazując ani zdziwienia, ani ażeby mu to przykrość czynić miało. Usta mu się czasem uśmiechały ironicznie.

— Około tych okopów — mówił dalej Pac—ciągle z miasta krążą tłumy gawiedzi, a w mieście co godzina to nowina. My z przychodzącymi, rozpytującymi, strwożonymi rady sobie dać nie możemy.

— Dajcie bo im się trwożyć, kiedy chcą — zamruczał król — nie uspokajajcie zbytecznie.

Wśród tej rozmowy głos chłopięcy jasny i wesoły dał się słyszeć za drzwiami od pokojów królewicza. Otworzyły się podwoje i mały Zygmunt-Kazimierz, w kołpaczku z czaplem piórem, po polsku ubrany, przy szabelce

dobytej z pochew, wpadł przed łóżko ojcowskie i stanął, śmiejąc się, jakby w gotowości do boju.

Król z czułością spojrzał na ślicznego chłopaczka i uradował mu się.

— N. Panie — zawołał chłopak — mówią, że idziemy na wojnę. Ja też idę na wojnę. Krzywousty był także młodziuchny, a ojciec mu pozwolił... ty mnie weźmiesz z sobą.

— Ale wojny niema jeszcze! — odparł król.

— Niema? Ale wszyscy wiedzą, że będzie — ciągnął dalej Zygmunt. — Naprzód, jeżeli szlachta się sprzeciwi ojcu, pobijemy z Rejnerem szlachtę, rozpędzim ją; panowie senatorowie pouciekają, a my z Niemcami, Włochami i z naszemi pułkami wyciągniem w pole. Mamy Kozaków też...

Król śmiał się i ramionami rzucał.

— Któż ci to wszystko plecie? — zapytał.

— Kto? — paplał mały, tupiąc nóżką — wszyscy, wszyscy. Wiadomo, że będzie wojna, a naprzód sejm trzeba...

Władysław nie dał mu dokończyć. Wysoki, cienki, w niemieckim stroju pedagog, który wszedł za królewiczem, stał za nim, napróżno usiłując go nakłonić do milczenia. Król po niemiecku zwrócił się do niego z wymówkami, że dziecku dozwala słuchać i powtarzać baśnie.

Tak się ten dzień zakończył, ale nazajutrz niepokój zamiast się uśmierzyć, zdawał rosnąć. Od godziny dziewiątej już zamek oblegały kolebki senatorów.

Jeden z pierwszych przybył powracający z podróży ks. Albrecht Radziwiłł, którego król szanował, ale się obawiał, bo go sobie niczem zjednać nie mógł, gdy szło o sprawę publiczną, a kanclerz miał powagę taką, że na drugich wpływ przeważny wywierał.

Choć gość ten ranny niebardzo był może miły Władysławowi, przyjąć go musiał twarzą jasną i uprzejmą. Unikając rozmowy *de publicis*, król naprzód wyraził kondolencyą dla Radziwiłła, z powodu śmierci siostry żony jego, starościny międzyrzeckiej, Czarnkowskiej, spytał

potem o sprawę, jaką kanclerz miał o grunta na Łukiszkach w Wilnie, o Pińsk, skąd powracał.

Wszystko to widocznie było skierowane dla odwrócenia rozmowy od sejmu i wojny.

Radziwiłł, krótko podziękowawszy za troskliwość N. Panu, sam już zagaił o sejmie. Umysły, jak mówił, były poruszone wielce wieściami wojennemi.

Dotąd znając usposobienie kanclerza, po kilku nadaremnych próbach nawracania go, Władysław zapierał się, ażeby chciał wojnę wywołać. Twierdził, że tylko ku obronie się uzbrajał. Zmiarkował wszakże, iż dłużej uwodzić go tem nie było podobna.

— Wojna — podchwycił cicho — wojna, mój książę, wierz mi, nam ze wszechmiar potrzebną. Nie mówiąc o tem, iż nam sławę przynieść może, a nawet ziemie nowe, dla szlachty już zbyt zgnuśniałej i w próżnowaniu rosnącej w butę, jest jedynym środkiem do odrodzenia. Starego polskiego ducha rycerskiego podnieść potrzeba.

Radziwiłł słuchał.

— Nie przeczę temu, N. Panie; wojna ma swą dobrą stronę, ale też i groźną. Człowiek w niej mądrzeje, ale dziczeje razem.

— Przypomnijcie Batorego — dodał król — jak pod koniec panowania uspokajały się umysły, jak narady sejmowe zyskały, pozwalano na pobory...

Kanclerz zaprzeczył ruchem dobitnym.

— Pewna to rzecz — rzekł — że król Stefan nie od trucizny zmarł, jak balamutnie twierdzono, ale zniechęcony przez krzykaczów.

— Wojna im usta pozamyka — odparł król.

Radziwiłł nie odpowiedział już na to i widocznie chciał dać rozmowie zwrot inny.

— N. Panie — odezwał się — potrzebaby uspokoić ludzi, potrwożonych puszczonemi pogłoskami. W mieście trwoga okrutna. Szlachta, która się zjeżdża, przejmuje się nią.

— O cóż się trwożą? — spytał król, jakby nie wiedział.

— Pułki nowozaciążne w Warszawie, pod Warsza-

wą — mówił Radziwiłł — dają do myślenia. Należałoby je oddalić, a nie ściągać teraz, bo nikt nie wybije z głowy ludziom, niedaleko widzącym, że one tu jako pogróżka dla sejmu są powołane. Nigdy w świecie takiej myśli nie śmiałbym przypuścić, ale dla prostych ludzi jest pewien pozór...

Spojrzał na króla, który ustami wykrzywionemi i całą twarzą okazywał zniecierpliwienie.

— Te pułki stanowią dla mnie — rzekł — mogę powiedzieć, jedyną rozrywkę. Obchodzą mnie, są mojem dziełem. Jest to siła nowa, którą ja daję rzeczypospolitej. Możnaż wymagać, abym je rozpraszał?

— A potem co? — dodał żywo — gdy je porozsyłam i pójdą na zimowe leże, narzekanie na swawolę, na gwałty! Ja chcę je mieć pod ręką i na oczach.

— Ale czasu sejmu? — wtrącił kanclerz.

— One nie mają żadnego z nim związku — rzekł król zimno.

— Ludzie jednak...

Władysław poruszył ręką lekceważąco. Spytał kanclerza potem o usposobienie większości senatorów, o ile się ona wyrozumieć dawała.

— To tylko wiem — odezwał się Radziwiłł — żem jeszcze ani jednego z senatorów nie spotkał, któryby za wojną głosował i nie był jej, jak ja, przeciwnym.

Przyjął to król z uśmiechem.

— Łatwo to pojąć — rzekł; — wszyscy wiedzą, że książę jesteś przeciwnym jej i dlatego mu się akomodują.

Radziwiłł, kilka słów chłodnych dodawszy, usunął się. Pac stał we drzwiach.

— Dajcie mi spocząć trochę — odezwał się Władysław. — Radny miejski, Bielecki, który jest szafarzem razem, musi być na zamku; każ go przywołać do mnie.

Zwykle król, gdy od miasta i rady potrzebował czegoś, Bieleckiego za pośrednika używał, nieurzędownie, ale poufnie. P. Łukasz miał ten rozum, że się łaską króla nie przechwalał, czynił się małoznacznym i pokornym, ale wiedzieli sąsiedzi, jak on na dworze siedział i ichmość panowie Strubiszowie, Baryczkowie, Gi[illegible]e, Drewnowie,

najpoważniejsze stare mieszczaństwo, gdy miało krok jaki stanowczy uczynić, nie pogardzało Bieleckim.

W mgnieniu oka przystawił się szafarz i pokornie stanął w progu, skłoniwszy się aż do ziemi, tak że ręką podłogi dotknął. Pokora ta szła mu też na rachunek.

— Słuchaj, Bielecki — odezwał się król, rzuciwszy okiem wkoło, iż nikogo oprócz niego nie było — idź na ratusz. W mieście panuje niepokój jakiś, wybij im z głowy, aby mieszczanom grozić co mogło. Sprawy z nimi nie mam żadnej, a bezpieczeństwo miasta, handlu, leży mi na sercu.

— Z powodu sejmu — począł cichym bardzo głosem Bielecki.

— A cóż ma wspólnego miasto z sejmem? — odparł król. — Gdybym ja nawet sprawę miał jaką z panami senatory i posłami, mieszczanom się przez to nic nie stanie.

Bielecki zamruczał.

— Pułki cudzoziemskie...

— One miastu rychlej korzyść, niż szkodę przyniosą — przerwał Władysław — pod moim bokiem, na oku nie obawiacie się ich przecież?

Zmilczał szafarz.

— Idźże na ratusz do radnych — dodał król — czy i oni...

— N. Panie — począł Bielecki — święta prawda, że i w mieście, i po przedmieściach taki popłoch, jakby Tatarowie najść mieli; krążą pogłoski o krwawym konflikcie, który się gotuje. Kupcy perscy, przybywszy, dotąd towarów wykładać nie śmieją; Włosi też.

Szlachta z sobą ze wsi przywozi wiadomości, iż cudzoziemskie pułki dostały rozkazy na Warszawę, na sejm... Jak się to u nas rozeszło, można łatwo zmiarkować, co z tego w mieście naszem urosło. Tutaj z lada ziarenka, jak pocznie pęcznieć...

— Będziesz wiedział jak mówić — dokończył król, dając mu znak, ażeby odszedł.

Skłonił się Bielecki. Wprost z pokojów króla, zleciwszy swój urząd szafarski pomocnikowi, czapkę wziąwszy

tylko, wyszedł z zamku. A tuż we wrotach nastręczył mu się Płaza.

— Czołem, czołem!

— A dokąd? — zapytał, stając, Bielecki.

— Włóczę się — rzekł Lasota — może mi się uda dziecko gdzie najrzeć.

— Nie o tej godzinie — rzekł Bielecki.— Zrana królowa się ubiera, ludzie do niej przychodzą, służba być musi na miejscu. W. mość naszego ratusza nie widziałeś, tylko zdaleka? Ja tam właśnie idę, chcesz ze mną? Pokażę ci go wewnątrz; jest się czemu przypatrzeć, chędogi mamy dom i nie powstydzim się go przed nikim.

Zawrócił się Płaza.

— Chodźmy — rzekł.

Mówiliśmy już, jak Ratusz Starego Miasta zewnątrz wyglądał. Nie dodawały mu wdzięku najbardziej właśnie o tej dnia godzinie ożywione budki i stragany przekupek, otaczające go dokoła, pośród których wiele było kuchni dla prostego ludu, z których rozdawano gorącą strawę na miskach, a tu się siekierników, pilarzy i robotnika wszelakiego mnóstwo cisnęło. Wązka jakby uliczka między budkami doprowadziła ich do wielkiego wnijścia, u którego stała straż z halabardami, więcej dla parady, niż z potrzeby.

Stąd wchód był do sieni, w której też drabanci miejscy straż sprawiali. Stąd na dół było wnijście do fundum, gdzie więźniów trzymano, a wschody dosyć okazałe prowadziły na górę.

W sieniach też znajdowała się kuna żelazna w słupie przy drzwiach, szczególniej przeznaczona dla swawolnych dziewcząt, które po wystawieniu sromotnem, wyświecano precz z miasta.

Ściany w górze malowane ozdobnie, okrywały herby na tarczach, trzymanych przez aniołów. Dodawszy nową kratę żelazną bardzo kunsztowną, która przedzielała sień na dwie części, a była wistocie mistrzowsko wykonaną i mieściła wśród floresów — herb miasta, wyżej zaś na marmurowej tablicy złocisty napis, świadczący o powstaniu budowy, nic tu już więcej do widzenia nie było.

W połowie, której strzegli drabanci, był znaczny natłok ludzi cisnących się i dopraszających, jedni na górę do rady i sądu, drudzy do więzień, w których mieli swoich.

Spotkali tu właśnie jednego z najznaczniejszych panów rady, Kedrowskiego, który na górę dążył; razem więc z nim weszli naprzód do izby sądowej. Sala ta wcale wyglądała poważnie i ozdobnie. Pałace, przyozdobione malowidłami i rzeźbami, nie dozwoliły też i mieszczanom obejść się bez nich. Na ścianach wisiały stare i ciemne, ale w nowych ramach wizerunki książąt mazowieckich, na jednej z nich znacznych rozmiarów i dobrego pędzla— Sąd Salomona.

Nade drzwiami stała J u s t i c i a, z zawiązanemi oczyma, z szalą i mieczem w rękach. Wkoło herby panów burmistrzów, szeregiem malowane. Pomiędzy nimi były fantastyczne bardzo, ale znajdowało się i kilka szlacheckich, starych. Jak do nich doszli panowie rady, im było wiedzieć. Nikt ich o używanie nie pozywał.

W sali tej wistocie wszystko było tak ozdobnie urządzone, iż miło ją było oglądać. Począwszy od bardzo kształtnego pieca z kafli malowanych, aż do ław i krzeseł ławników i pisarza, sprzęt był dobrany z widoczną pieczołowitością, aby się miasto nie powstydziło choćby senatora. Najlepsi rękodzielnicy wykonali meistersztüki do ratusza. Żelazne ozdobne drzwi wprost z izby sądowej prowadziły do skarbca. Stały one na teraz otworem. Burmistrz Gisz swoim kosztem przystroił skarbiec, w którym spoczywały w skrzyniach nietylko klejnoty i pieniądze miejskie, ale najdroższe starożytne przywileje. U góry ponad skrzyniami ogromnemi były pozawieszane szeregiem, jakby na straży, wizerunki królów, poczynając od Lecha. Ostatni Władysław IV, bardzo pięknego pędzla, w koronacyjnym stroju, z berłem i jabłkiem, przechodził i rozmiarami, i malowaniem wszystkich swych poprzedników.

Inne izby ratuszowe, których było dosyć, nie miały już w sobie nic tak ciekawego do widzenia. Siedziało

w nich za stołami skryptorów dosyć, radzili czynni tego dnia urzędnicy, a natłok mieszczan był wszędzie ogromny.

— Coś tu u waszmościów i gwarno bardzo, i tłumno— rzekł Płaza do Bieleckiego; — zawsze-li tak?

— Pusto nigdy nie jest— odparł pan Łukasz — ale dziś, wczora, od dni kilku, wistocie ruch nadzwyczajny. Niema się co dziwować; naprzód sejmowy czas, zawsze się zjeżdża kupców obcych wielu, a nigdy może takiej jak teraz właśnie nie było trwogi.

— Trwogi? o co? — pytał Płaza.

Bielecki ramionami ruszył.

— Poszła taka pogadanka głupia — rzekł — że jej już teraz utrzymać nie można. Z plotką tak, jak z kamykiem, co się z góry toczy. Zrazu pomalutku, sam jeden, dalej coraz żywiej, prędzej i ciągnie za sobą, co na drodze napotka.

Wtem podszedł ku nim Kedrowski, rękę za pas założywszy.

— Panie Łukaszu — spytał — wy na zamku codzień, powiedzcież, co tam się święci. Prawda-li to, że między królem a senatorami scysya wielka i że N. Pan gotów jest *armata manu* przywodzić do posłuchu i do spełnienia swej woli? Uchowaj Boże konfliktu, nie bez tego, aby miastu się nie dostało. Strach panuje taki, że my go nie możemy uśmierzyć, a rośnie, jak na drożdżach! Cóż wy na to?

Bielecki potarł czuba:

— Na zamku, co prawda, dosyć wojenno wygląda, ależ do żadnego konfliktu przyjść nie mogło, bo się sejm nie poczynał i niewiadomo, co on powie.

— Jakto, niewiadomo? — pochwycił Kedrowski.— Rzecz to powszechnie znana, że senatorowie wszyscy, ilu ich jest, *contra bellum*, a szlachta o niej ani chce słuchać... Więc jeżeli król się będzie upierać przy swej imprezie... Cóż król? — zapytał wkońcu.

— Król krzyczy w nocy na podagrę — rzekł, śmiejąc się, Bielecki — a we dnie-by na konia siadł, gdyby mu tylko na Turka zagrano; ale kumie mój—dodał—sprawa to między panami szlachtą, a królem JMością; my stoimy na boku i mieszać się ani do niej wmieszani być nie możemy.

— Mylisz się, panie Łukaszu —zawołał, głową potrząsając, poważny Kedrowski. — Dowiedziona to rzecz, że gdy przyjdzie do zatargu pomiędzy tronem a narodem, miasta cierpią na tem. Inaczej nie może być. Naprzód się to da uczuć stolicy, zobaczycie. Już mówią, że król sprowadza pułki obce, zaciążne nowo; spadną one na nas.

Potarł czoło radca, a tuż nadchodził drugi, okrągły, i rumiany, wesołego oblicza, strojny, wykwintnie, Strubicz.

— Strach, jaka panika w mieście — zawołał, śmiejąc się; — ja tam w to, co po ulicach się nosi, wiary nie daję, ale i to pewna, że ludzie nigdy tak z palca sobie czegoś nie wyssą. Trwoga przesadzona, a ostrożność potrzebna. Kupcy perscy żądają od nas ubezpieczenia. Pamiętają pono jeszcze, że tu ich za nieboszczyka króla, czasu tego nieszczęsnego pożaru, pod rokosz, ograbiono.

— Dzięki Bogu, rokoszu niema! — rzekł Kedrowski.

— Ba, zapowiadają gorzej, niż rokosz — mówił Strubicz, rozglądając się po twarzach swych słuchaczów.— Na króla rzucają kalumnię, że chce *absolutum dominium* temi zaciągami wywojować. A to pewna, że pułki na Warszawę ciągną zewsząd.

Bielecki milczał.

— Próżne to strachy — odezwał się, widząc, że na jego zdanie czekają wszyscy. — Pewna rzecz, że król wojny chce, że senatorowie są jej przeciwni, lecz żeby pułki miały być na nich użyte...

Rozśmiał się Bielecki.

— Tego u nas nie bywało — dodał; — widywaliśmy naród, porywający się na królów,[1] ale króla przeciw narodowi?

Wszyscy milczeli.

— U nas bo dotąd, aż do czasów Batorego — rzekł Kedrowski — zaciągów cudzoziemskich nie bywało. Począł je dopiero ten król czynić, a zaraz się obawiano zamachu na swobody; odtąd zaciągi rosną, a bodaj ich nigdy nie było, jak dziś... Hm! stąd te głosy.

— Niechby pletli, co chcą—odezwał się Strubicz—

ale nam to psowa nasze życie miejskie spokojne, handle, rzemiosła. Patrzajcie dziś po ulicach. Biegają, jak oparzeni, czeladź od warsztatów pouchodziła, jedni za miasto patrzeć, co się dzieje na placu ks. biskupa, drudzy już wyglądają pułków, które mają nadchodzić. Kupcy, co mieli przybyć na sejm, w drodze, słyszę, postawali, jedni w Jarosławiu, drudzy w Lublinie, a my przypłacimy.

— Ale na to rady niema — rzekł Bielecki. — Choćbyśmy, starszyzna, panowie radni, pacyfikować chcieli, nie uwierzą.

Frasobliwie poczęli się oglądać wkoło, a Bielecki, pomyślawszy, zamknął:

— Z tego wszystkiego, zobaczycie, nie będzie nic. Z wielkiej chmury mały deszcz. Król może radby nastraszyć, za to nie ręczę, ale że na sejm się nie porwie...

Potrząsnął głową.

— Cóż królowa? Ona przecie też coś znaczy? — zapytał Kedrowski.

Nikt na to zagadnienie długo nie odpowiadał, wreszcie Bielecki, jako dworak, musiał się odezwać.

— Pewna rzecz, iż wpływu królowej lekceważyć nie należy, ale on się dopiero poczyna, zatem niewiele się teraz da uczuć. Worek w jej rękach.... ona teraz podskarbim. Gdyby nie jej talary, pułków-by tyle nie stanęło.

— Więc i ona chce wojny? — spytał Strubicz.

— Jako żywo — podchwycił Bielecki — ona jej nie chce, a pomimoto pieniędzy dać musiała, boby inaczej nie miała ani głosu, ani powagi. Raz dawszy, musiała potem dołożyć, a no, na tem koniec. Nie wystąpi ona, bo nie ma prawa, ani mocy, ale nie pomoże też.

Na tem się skończyły rozmowy, a Płaza odszedł pierwszy z Ratusza.

Zajęty dotąd własnemi sprawami, niewiele zwracał uwagi na to, co się działo w mieście; teraz go dopiero uderzyło zmienione oblicze jego. Ludzie gromadzili się kupkami, rozprawiali, biegali z jednego miejsca na drugie, jakby ich fala niosła, rzucali się; widać było niepokój na twarzach. W sklepach nie widać było kupujących i targu;

nawet rzemieślnicy i handlarze wychodzili z mieszkań aż do pół ulic, goniąc za pogłoskami.

Około zamku, gdzie właśnie przed okna królewskie zaciągał cudzoziemski pułk, świeżo w barwę przybrany, jak z igły, z chorągwią nową, na której snopek Wazów i szwedzkie korony odmalowane były, lud jakoś z pewną obawą i wahaniem się gromadził. Wojsko to tak miało pozór obcy, a barwę krojem niemieckim, iż w nim nic polskiego niepodobna było upatrzeć. Kolumna przeciągnęła ze swą muzyką przed oknami zamkowemi, potem weszła we wrota.

Mówiono, że sam król, choć chory, o kiju miał wyjść ją oglądać.

Wkrótce po tej piechocie zjawiła się jazda, wprawdzie w liczbie niewielkiej, lecz także nie po polsku ubrana i zbrojna. Wszystko to zamek gdzieś pochłonął, czy też drugiemi może wrotami wypływało.

Ledwie się to stało, a kolebki senatorów poczęły oblegać wrota zamkowe znowu, gdy małą kolaską, parą koni grubych zaprzężoną, nizką, wyjechał z zamku król.

Wkrótce potem wiedziano, że wprost do cekhauzu podążył, a gdy panowie senatorowie domagali się posłuchania, tymczasem on, w krześle się rozkazawszy nosić, opatrywał swe zapasy uzbrojenia.

Cekhauz ten był dziełem Władysława IV, a przynajmniej on go doprowadził do tego stanu, w jakim się dziś znajdował. Przypierał on do wałów miejskich i obwarowany, niemal jak mała twierdza wyglądał. Jedna olbrzymia sala, sparta na słupach potężnych, starczyła na pomieszczenie dział razem i ręcznej broni, kul, ołowiu i wszelkich przyborów wojennych.

Wszystko, czego ówczesna sztuka wojenna wymagała, jeśli nie w zbyt znacznej ilości, to aż do najwykwintniejszych sztuk na okaz mieściło się w cekhauzie. Działa burzące ogromne, olbrzymie moździerze, organki, łańcuchy do spinania wozów, całe stosy muszkietów, całe gromady petard, granatów, kul zalegały pod ścianami.

Paweł Grodzicki, który miał w zawiadywaniu arse-

nał, czekał tu już ze służbą na króla, który miał jakieś nowe muszkiety oglądać.

Jakoż raz wniesiony do sali, zdawało się, że o wszystkiem zapomniał, i dwór, który za nim nadciągnął, pozostawszy w ulicy, mógł się pospać, oczekując na powrót, gdyby i tu zaraz za królem tłum się nie nacisnął. Mieszczanie wyciągali wnioski.

— Patrzajcież — mówił jeden — sejm się zbiera, senatorowie jadą z pokłonami na zamek, a król gdzie? w cekhauzie! Łatwo zrozumieć, co to znaczy, jakby drukowane stało! Wy sobie radźcie, nie radźcie, jako chcecie o spokoju, a ja do wojny się będę gotował!

Potakiwano głowami i uśmiechano się.

W czasie pobytu w cekhauzie król posyłał kilka razy po wojskowych, kazał przywoływać Rejnera. Sprowadzono żołnierzy, aby próbować wagi i miary muszkietów. Czynność była nieustanna.

W parę godzin dopiero ukazał się Władysław w progu i siadł nazad do swej nizkiej kolebki, która się do zamku potoczyła.

W ciągu rana tego wistocie ktokolwiek z panów przybył na zamek, służba mu odpowiadała:

— Król cekhauz opatruje!

Z wesołą twarzą powrócił wreszcie.

VII.

Całe jedno skrzydło zamku, które niegdyś przed wyjazdem do Włoch i Rzymu zajmował Jan Kazimierz, od niejakiego czasu stało jakby niezamieszkane, jakby, bo wistocie kręciła się tam jakaś resztka służby w cudzoziemskich strojach, mówiąca językiem obcym i wydzielająca się, jak coś nie mogącego połączyć z żywiołami polskiemi i francuskiemi. Mieszkanie obszerne pańsko bardzo urządzone, od miesięcy kilku było niezajęte. Już to samo, że je królewicz Jan Kazimierz zamieszkiwał, mogło

dać o niem wyobrażenie. Nie rozporządzano temi pokojami, oczekując widocznie na powrót tajemniczego mieszkańca, ale nikomu za nim tęskno nie było, nikt się tu o niego nie dowiadywał.

Reszta służby, która się tu kryła raczej, niż zamieszkiwała, przychodziła w milczeniu po przeznaczone jej pożywienie, światło, opał, i zamknąwszy się na rygle, gospodarzyła w tym kącie. Nikt na nią nie zważał, nikomu się nie zdawała potrzebną.

Przed samym sejmem dnia jednego królowi przyniesiono jakieś listy; zawołał Paca, którego do wszelkich czynności tajemnych używał, poszeptał coś z nim; młody dworak poszedł zaraz zastukać do zamkniętych drzwi Kazimierzowskich pokoi, zapukał, zaszwargotał coś i w cichych dotąd tych komnatach nagle się poruszać zaczęło. Pootwierano okna, pozapalano ognie w piecach, ludzie nosili wodę, myli, trzepali. Spodziewano się pana; wszyscy w zamku to zrozumieli. Próżniacza gawiedź, przechodząc, stawała i mówiła:

— Graf Magnus powraca?

Kto był ten graf Magnus? Nie wiedział nikt dobrze, ale to pewna, że jak Kazanowski miał całą miłość serca wystygłego już króla, tak graf Magnus miał całe jego zaufanie w sprawach zagranicznych. Ossoliński szedł dopiero po nim. Ale graf Magnus był Szwedem, czy Niemcem, zwano go różnie, więc w rzeczypospolitej, w radzie, w senacie, w kancelaryi nie mógł mieć żadnego stanowiska— z grafem Magnusem, jak niegdy z panną Amandą, musiał się król taić.

Magnus był tu, mieszkał, ale można było powiedzieć, że go nie było. Nie pokazywał się publicznie przy królu nigdy, nie żył z nikim.

I nie na wieleby mu się przydały stosunki w Polsce, bo tu nigdy długo nie siedział. Zaledwie powrócił z Wiednia lub Pragi, wyprawiono go do Ratysbony lub do Holandyi, Szwecyi, do Rzymu, niewiadomo dokąd.

Był to wiecznie wędrowny poseł J. Król. Mości. Mało osób znało go z widzenia, bo się na pokazywał

rad, wiedział o tem bardzo dobrze, że obudzał niezmierną zazdrość i nienawiść.

Od czasu jak graf Magnus wśliznął się w królewskie łaski i zaufanie, z wyjątkiem Ossolińskiego, nikt nigdzie do poselstwa nie był użyty. Uroczyste ambasady, jak po królowę, sprawiali, wedle prawa, Polacy; ciche i sekretne konszachty, gdy szło o frymarki, o sojusze, o układy z cesarstwem, z Niemcami, Francyą—powierzał król Magnusowi.

Wpływ jego na politykę królewską musiał być wielki. Przypisywano mu teraz tę wojenną imprezę, od której król na żaden sposób odstąpić nie chciał. Na barki tego niewidocznego, niepochwyconego „cudzoziemca" składano wszystką winę króla. On to uczynił, jego rada tkwiła w tych planach, w których widoczna była nieznajomość warunków bytu rzeczypospolitej, paktów konwentów — małżeńskiego kontraktu między królem a narodem.

Wśród tych, co otaczali króla, żywa dusza nie była przyjazną grafowi Magnusowi. Grzeczni dlań okazywali się Kazanowscy, politykował Ossoliński, ale i ci nawet widzieli w nim zarozumiałego pyszałka i poruszali ramionami, gdy z sobą o nim mówili. Tymczasem król miał nieograniczoną wiarę w rozum, w przebiegłość, w zręczność, w trafność rachub jego politycznych.

Gdy pod wieczór, ten długi, chudy, czarno zawsze ubrany, z krezą na szyi, milczący, cicho, jak cień się przesuwający po korytarzach zamkowych cudzoziemiec, wsunął się do pokojów króla, które naówczas dla najpoufalszych nawet osób były zamknięte, gdy w nich parę godzin spędził na szeptach, przewracaniu papierów i rozmowie z królem, nazajutrz jakaś nowa myśl, krok, decyzya wychodziła na światło dzienne. Król ją objawiał Kazanowskiemu, potem Ossolińskiemu i stawała się ona myślą królewską własną do której Władysław przywiązywał się z zajadłością, z uporem, jakich w niczem nie miał zresztą. A Magnus po kilku dniach znikał z horyzontu i nie było o nim słychać aż znowu okna jego mieszkania zaświeciły wieczorem, i dowiadywano się, że Magnus powrócił.

Te okna wieczorem, a we dnie czasem otwierające i zamykające się drzwi Kazimierzowskich pokojów były jedynemi znakami bytności grafa Magnusa.

Ten stosunek z królem tak poufały, a tak odcięty od innych, niepokoił, budził zazdrość i niechęć; próbowano się go pozbyć, zrazić króla do niego, zastąpić go kimś... wszystko się to rozbiło o kamienny, bierny opór króla.

Od dworu pogłoski o tym wpływie, o misyach za granicę, o radach Magnusowych, jak przed wieki rady Kallimachowe podejrzanych, rozchodziły się na miasto, po kraju.

Już i tak król nosił się po europejsku, lubował w macierzyńskiej niemczyźnie, otaczał cudzoziemcami, a tu niby pierwszym ministrem i doradcą był jakiś obcy człek, którego kraj ten i jego losy wcale nie obchodziły. Jemu przypisywano całe postępowanie króla, on zaciągi cudzoziemskie ułatwiał, on z Wenecyą sojusze zawierał, on doradzał pieczęcie urzędowe, których kanclerze przykładać nie chcieli, zastępować prywatną króla.

W całem wistocie postępowaniu Władysława czuć było nieznajomość, albo pogardę praw rzeczypospolitej.

Sejm się zbliżał, potrzeba było uzbroić się przeciwko niemu — król w części miał już dane wskazówki i szedł za niemi, lecz Magnus był mu potrzebnym, a Magnusa nie było. Naostatek oznajmiono o nim. Władysław się uradował, bo już, już miano zagaić, a o usposobieniach senatorów chodziły najsmutniejsze wieści.

Rzucony popłoch, zamiast pomódz, zdawał się raczej rodzić zamieszanie. Magnus w ciągu tygodni sejmowych był codzień potrzebnym, om miał być woźnicą, bez niego Władysław nie mógłby kroku stąpić.

Z jak promienistą twarzą powitał go król! Sprawozdanie z podróży na dwór cesarza mógł Magnus odłożyć, owoc jej — listy przywoził, lecz co tu było począć z upartym sejmem, który miał się domagać wyrzeczenia się idei wojny, rozpuszczenia nieznośnie ciążących wojsk cudzoziemskich, unieważnienia pieczęci prywatnych, u-

sunięcia z rady ludzi „o b c y c h” (szło o Magnusa głównie).

Blada, pergaminowa twarz dyplomaty, gdy król mówił pośpiesznie, pozostała nieporuszoną, jak gdyby w tem wszystkiem dla Magnusa nic a nic nowego nie było.

Wysłuchawszy opowieści króla, który ku niemu oczy podnosił, graf rozpoczął cicho, sucho, zimno swą lekcyę.

— N. Panie, — rzekł naprzód lakonicznie — sztuka rządzenia jest w większej części sztuką uwodzenia ludzi. Gdzie nie można pójść przebojem, trzeba szukać ścieżyn zakrytych.

Naprzód wszystko im należy przyrzec, czego tylko żądać będą. Każde takie najuroczystsze przyrzeczenie z natury swej jest ograniczone możliwością. Weźmy np. owo rozpuszczenie zaciągów; przecież się to w jednym dniu, jednem słowem dokonać nie może. Trzeba czasu, a zyskując czas, mamy wszystko. Zobowiązać się można śmiało, do czego tylko zechcą. Tak czynił wiekopomnej pamięci rodzic W. Kr. Mości.

Gdy przyjdzie do rozpraw niemiłych w senacie, jest na to sposób... jedne się będą paraliżować drugiemi. Jest naprzykład sprawa o Trubczesk, odstąpiony Moskwie, która będzie roznamiętniać. Ile razy poczną o wojsku, nasadzim kogoś, co Trubczesk nastręczy.

W chwili rozdrażnienia umysłów naostatek, masz W. Kr. Mość swoją podagrę. Dla podagry muszą czekać i ostygną. Podziała się na nich... Jest to według mnie ogólny plan sejmu. W obozie przeciwnym potrzeba mieć swoich ludzi, którzyby niezręcznie występowali. Naostatek zwłoka, znużenie... czas...

— A potem?

— N. Panie—rzekł Magnus z westchnieniem — polityka ma to do siebie, że jest rzeczą bardzo prostą i wiecznie jedną. Pułki W. Kr. Mość będziesz rozpuszczać tak, że się tylko z miejsca na miejsce poprzenoszą, a wybije-li godzina wojny wielkiej z pogany, Kozaków rzucisz, aby niedźwiedzia wyciągnęły z barłogu. Kozaków masz miłość wasza zapewnionych.

— Tak sądzę — odparł król — i będę się starał

o to. Jest to wprawdzie niesforny tłum, ale bitny i daleko liczniejszy, niż regestra pokazują, bo tam co chłop, to Kozak.

— Niema się co sejmu obawiać — dodał Magnus; — będzie to wprawdzie nader nużąca, kilkotygodniowa gra, ale się skończy zwycięstwem stron obu. Senatorowie odjadą pewni, że związali ręce W. Król. Mości, a wy pewni być możecie, żeście im na czas jakiś zawiązali usta. Odnowi się to?—ten sam sposób na tę samą chorobę!

Król smutnie począł:

— Uwierzysz-li ty, że ja, z małym wyjątkiem, no, nawet Ossolińskiego jawnie za sobą nie mam... nawet jego. On, jak inni kanclerze, odmówili mi pieczęci, on, jak inni senatorowie, będzie mówił przeciwko wojnie. Ani jednego za nią głosu.

— N. Panie — odparł Magnus — wojna wymaga ofiary nietylko żywota, ale mienia. Szlachta będzie musiała na koń siąść, a oprócz tego pobór uchwalić. Cóż za dziw, że z dobrej woli, bez przymusu tego nie uczyni. *Compelle eos*, napisać sobie potrzeba. Gdy nawała turecka zagrozi, wstać muszą wszyscy.

Król dumał.

— Wiem — rzekł, — że tu się i przeciwko wam gotują ci, co czują, że wy mi wiernie służycie po mej myśli, ale imienia waszego nie będzie nikt śmiał wyrzec!

— Chociażby—odparł Magnus obojętnie.

Tak w ogólnych zarysach plan już przyszłego sejmu został nakreślony... Król innego się spodziewał! Lecz jawnego zwycięstwa odnieść nie mógł, musiał się zaspokoić połowicznem i tajemnem.

— Na tem wszystkiem moim kłopotom niedosyć— odezwał się wkońcu. — Wiecie o tem, ex-mnich, exkardynał, ex... nie wiem wielu poczętych zawodów, zniechęcony bohater, brat mój, Kazimierz, powraca stanowczo. Sprzykrzył mu się Rzym, nie chce kardynalskiego kapelusza, przebrał się już po cywilnemu.

Gdy nagle z tem postanowieniem obrania sobie duchownego stanu wyjechał i napisał do mnie, że się wy-

rzeka wszystkiego, wyposażenia swego, kraju, którego niecierpi i stosunków z nim pisałem, aby rozważył dojrzale, nie śpieszył się z ostatecznemi rozporządzeniami. Odpowiedział mi niecierpliwie, gwałtownie, stanowczo.

Rozdane są wszystkie jego nadania, teraz je chce odbierać na nowo i spada na mnie całym ciężarem swoich dziwactw, którym nie będzie końca, swoich miłostek, które z pałaców przeskakują do kuchni.

Król ręce załamał.

— Zmienny ten charakter księcia Jana Kazimierza — rzekł Magnus — jest do pewnego stopnia razem lekarstwem i pociechą. Nie wytrwa w kraju, jak nie mógł wyżyć w Rzymie.

— Gdyby był takim cichym, spokojnym i gospodarnym, jak Karol — rzekł król; — ale wcale są do siebie niepodobni. Na dworze będę miał głuchą walkę ciągłą... królowa ze swym fraucymerem! — Nie kończąc, uśmiechnął się król.

— Powraca wkrótce? — zapytał Magnus, myśląc może o tem, że zajmował jego mieszkanie.

— Spodziewam się go w końcu roku — odparł król, — a przyśpieszać powrotu nie będę. Srogi to znowu ciężar na moje znużone ramiona.

Po tej rozmowie poufnej, długiej, Magnus, jak przyszedł, wyśliznął się po cichu i nazajutrz wielu nie wiedziało, że powrócił. Siedział zamknięty nad papierami, we dnie się nie pokazywał prawie; kilku tylko cudzoziemców ze służby króla przystęp do niego miało.

Gdy się tak sejm przygotowywał z jednej strony przez króla, królowa Marya Ludwika niemniej była czynną.

Wiedzieli to wszyscy, że Władysław IV, chociaż wiekiem jeszcze nie złamany, chorobą był zagrożony i życia mu długiego nie obiecywano. Pielęgnować się nieumiał. Gdy cierpiał, krzyczał na cały zamek, a nazajutrz, po odejściu bólów, kazał się wieźć na łowy, wsadzać na konia, i męczył się dobrowolnie, nie miarkując ani w jedzeniu, ni w piciu.

Po przesileniach takich, że zdawały się grozić już

śmiercią, następowały folgi; ale wszystko to jednak długiego życia nie obiecywało. Królowa potrzebowała, wszystko, co miała, poświęciwszy dla rzeczypospolitej, zapewnienia sobie oprawy, dochodów dla utrzymania, stosownie do swego dostojeństwa. Należało nieodmiennie co najprędzej ubezpieczyć ją. Król się na to zgadzał, żądał nawet tego, nikt zresztą przeciwnym nie był, ale szlachta, posłowie, a nawet część senatu mówili zawczasu: nie damy królowej nic, póki król nie rozpuści wojsk, które na nasze swobody czyhają.

Na dzień naznaczony zjazd był już dosyć liczny, ale wielu brakło jeszcze. Pierwsze posiedzenia szły wedle regulaminu i obyczaju swoim porządkiem, spokojnie. Stary arcybiskup Łubieński był doskonałym sprawozdawcą, bo głos miał tak cichy, a mówił tak niewyraźnie, iż nikt go nie słyszał. Później więc, gdy kto był w kłopocie z objawieniem zdania, odwoływał się do votum arcybiskupa, a tego votum nikt nie znał.

W każdą niedzielę odpoczywano, modląc się i naradzając. Następującego poniedziałku ożywiło się nieco. Biskup chełmiński wystąpił gwałtownie i niezmiernie rozwlekle wprost przeciwko królowi, i potrącił nawet o Magnusa, zalecając cudzoziemców od rad oddalać. Rozumie się, że żołnierz nowy był też na placu. Gdy raz te lody pierwsze przebite zostały, popłynęły strumieniem grawamina, a głównie na tego żołnierza obcego, w którym kasztelan gdański widział przerażającą groźbę.

Król siedział, jak na mękach. Zadawano mu niemal otwarcie zamach na swobody rzeczypospolitej. Co się tknęło wojny, kasztelan przemyślski, wojewoda rawski, kasztelan sieradzki radzili trzymać się obronnie, ale wyzywać — nie było u przodków obyczaju, ani się na to rzeczpospolita zgodzić mogła.

Posiedzenie trwało długo i już się pewien bezład wkradać zaczął; dyrektor, czyli marszałek poselski, wprost zagail o rozdanie wakansów, najdrażliwszy w świecie przedmiot, ale kanclerz mu usta zamknął, wszystkie

bowiem były już rozposażone, a co do buławy mniejszej, król się chciał namyśleć.

Następnego dnia próbowano wprowadzić regulamin w obradach, ale wystąpiła owa sprawa o Trubczesk, która miała służyć na odpieranie wszystkich innych niewygodnych, i jak się zaplątano w ów Trubczesk, tak się już z niego wydobyć nie było podobna.

Król potem ze znużenia i zniecierpliwienia zachorował. Znowu krzykami się zamek miał rozlegać.

Tymczasem wrzawa o rozpuszczenie żołnierzy nie ustawała, ale zaledwie ją zagaili czernihowscy i bracławscy posłowie, podstawiono im Trubczesk. Zaczęto się spierać o przedmiot rozpraw.

— Trubczesk naprzód! — wołali jedni. — Nie, dezyderya! — Nie, *Senatus consulta!* — Nie, podarki Tatarom... Żołnierz obcy!

Powstała wrzawa i mrok zapadł — rozeszli się wszyscy.

Następnych dni izba senatorska się powiększyła przybyciem starosty krakowskiego, biskupa żmudzkiego, wojewody mścisławskiego. Posłano po króla z rozmaitemi sprawy i żądaniem posłuchania. Pruskich posłów zbył kwaśno, bo wiedział, że na żołnierzy skarżyć będą; innym naznaczono terminy.

Dalej król przyjmował posłów w łóżku, a kanclerz mówił za niego bardzo zręcznie. Na zagajenie położył Trubczesk; po nim nastąpiło rozpuszczenie wojsk.

— Król, jeżeliby rzeczpospolita koniecznie na to nastawała, zgadzał się, „chociaż zewsząd bać się trzeba zasadzek nieprzyjacielskich — mówił kanclerz i dodawał, — rozpuszczenie wojska nie może być bez szkody poddanych w powrocie onego, ani trzeba sądzić, że w tem wojsku zaciągnionem są sami cudzoziemcy, gdyż są domowi, przysięgli królowi i rzeczypospolitej."

Podano w wątpliwość sposób, w jaki należało rozpuszczać.

Odpowiedź dwuznaczna, zręczna, wcale nie zaspokoiła, ale podstawiono zaraz potem sprawę o Trubczesk, aby rozdrażnienie ostygło. I gdy tak zabawiano się w dy-

skusyę bez żadnego wniosku, król leżał i chorował. Przyjmował, kogo mu było potrzeba, w łóżku. Trubczesk okazał się środkiem nadzwyczaj skutecznym do odwrócenia nieprzyjemnych napaści; a że sprawa była zawikłana, pochłaniała czas. Król tymczasem sprawował sądy w różnych głównych sprawach, i dopiero w połowie listopada zawrócono do rozpuszczenia wojsk, o którem miano czas nieco zapomnieć.

Wszystko szło dotąd wedle wybornie obmyślanego planu Magnusa.

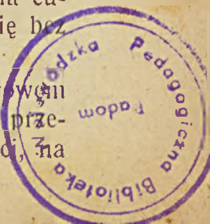
Zdala patrząc, w tych rozprawach mogło się wiele wydawać dziełem wypadku, wogóle jednak plan z góry postanowiony spełnił się, jak nie można lepiej. Doradca Magnus uśmiechał się, król czasem udawał wielce zagniewanego, posłów odprawiał trochę szorstko, a nazajutrz łagodniał.

Trubczesk i kilka spraw pomniejszych przewybornie służyły do odwrócenia uwagi od wojska i obaw zamachu na swobody rzeczypospolitej. Senatorowie, nastając na rozpuszczenie wojsk, przyznawali J. Król. Mości jak najlepsze chęci. Co się tyczy cudzoziemców, oszczędzając króla, radzono przypomnieć mu prywatnie pakta.

Naostatek poselstwo od króla zażądało reformacyi dla królowej, ale tymczasem tyle było jeszcze napróżno gryzionych, dotąd nierozgryzionych przedmiotów, że jej nie tknięto.

Senat się schodził z posłami, odwiedzano króla, spisywano—punkta, król wogóle godził się łagodnie na wszystko. Harmonijne te dosyć przygrywki trochę ostro przerwał surowy i otwarty głos wojewody brzesko-kujawskiego, który króla nie szczędził w dziełach jego. Pokornie, ale stanowczo żądał wojewoda oddalenia cudzoziemców, a o żołnierzu zaciężnym wyraził się bez ogródki.

„Żołnierz ten tak się nam naprzykrzył, że słowem tego wypowiedzieć nie możemy... ich grawamina przechodzą szwedzkie i mansfeldskie. Ręka W. K. Mości, na



obronę rzeczypospolitej, od Boga destynowana, tak ciężko nas dotyka.

Zadają też nam boleść bluźnierstwa żołnierzy, którzy śmieją chełpić się publicznie, że nas mają pohamować i dziwną alchymią z chłopa szlachcica a z szlachcica chłopa przerobić obiecują."

Kanclerz zaraz potem od króla powtórzył zapewnienie, że wszystkim żądaniom sejmu zadość się stanie. Czegóż było życzyć więcej?

W pierwszych dniach grudnia, gdy znowu na stół przyszła sprawa reformacyi królowej, którą niezręcznie przypomniał starosta łomżyński, Radziejowski, wyrwał się Ponętowski (krew nie kłamie), że woli cierpieć żołnierza cudzoziemskiego, woli, aby się sejm zerwał, niżby miała po nim zostać ta pamiątka, iż Polacy reformacyą i pieniędzmi sobie okupili wyswobodzenie.

Sejm tedy już dogorywał, a naprawdę kończył się wielkim tylko szafunkiem słów, ale, *Hoc erat in votis* ze strony dworu. Reformacye dla królowej, bądź co bądź, spodziewano się otrzymać, przemawiając do miłości własnej posłów i senatorów. Królowa miała przyjaciół, miała takich, co nad jej losem ubolewali. Odezwał się za nią Radziwiłł, i choć nie tak sowicie, jak nieboszczkę Cecylję, ale równie z matką króla, Anną, wyposażono Maryę Ludwikę dopiero ostatniego, wyproszonego dnia, gdy już, już sejm miał się zerwać.

Radziwiłł, który zaraz po konkluzyi widział się z królem, znalazł go dosyć dobrej myśli, i poruszając ramionami, mówił wszystkim, że wojny sobie nie wybił z głowy.

Władysław wogóle zręczności kanclerza Ossolińskiego, radom Magnusa, który siedział zamknięty i wieczorem tylko na naradę do króla przychodził, naostatek dobroduszności izb obu winien był, że mu się powiodło. Przyrzekł wszystko, ale spełnienie przyrzeczeń od tylu warunków zawisło, iż mógł się z tem nie śpieszyć.

Losy Bietki w ciągu tych miesięcy niebardzo szczęśliwy obrót wzięły. Dowiedziawszy się o ranie Nietykszy, spłakana wyprosiła się u królowej, aby jej w towarzystwie

Francuzki, panny Duret, wolno było rannego odwiedzić. Rana, zadana przez Nesterackiego, była głęboka, dosyć ciężka, lecz niegrożąca życiu. Nietyksza, gdy go opatrzono i obwiązano, nawet bez gorączki, mógł, przyodziawszy się, siedzieć na łóżku.

Burzył się tylko i wściekał, że mu się nie udało zbója zatrzymać i oddać w ręce sprawiedliwości, bo tym razem byłby niezawodnie gardłem przypłacił.

Dwie panny z fraucymeru królowej, z pacholikiem jej w dodatku, wywołały we dworze ks. Albrechta wielkie poruszenie. Nietyksza, który, jak inni dworzanie, w niebardzo obszernym budynku miał skromną izdebkę, na dwu przeznaczoną, nie mógł tu przyjąć odwiedzin; zwlókł się więc do rodzaju refektarza, izby jadalnej, w której dwór książęcy obiadował i wieczerzał. Nazwaliśmy ją refektarzem, gdyż wielka pobożność olyckiego księcia przystroiła ściany na sposób klasztorny. Na jednej z nich wisiał rzeźbiony wielki krucyfiks, na drugiej wizerunek Panny Maryi Bolesnej z siedmiu mieczami, a u drzwi każdych nie brakło na kropielnicy.

Bietce się to wydało trochę dziwnem i smutnem, ale wchodzący, blady a uśmiechnięty weselem serdecznem Nietyksza rozjaśnił ponurą izbę. Bietka dziękowała mu ze łzami w oczach,iwyrzucając sobie, iż po raz drugi dla niej krew przelewał.

— Tym razem — odparł Nietyksza, zmuszając się do wesołości — ja nie dla was, ale dla pomsty własnej czatowałem na łotra. Wymknął mi się, ale mam nadzieję że prędzej, później rąk on naszych nie ujdzie. Będziemy na czatach stać, a że łotr ma tu rachunki i pieniądze do odbierania, których się nie wyrzecze, przyłapiemy go, aby gardło dał.

— Dajcie już pokój zemście, proszę was — westchnęła Bietka — niech się krew nie przelewa... mnie się już śni, że ja w niej brodzę.

Chwilę tak zabawiwszy w refektarzu, uspokojona o ranę narzeczonego, powróciła Bietka do królowej.

Teraz jednak z każdym niemal dniem mniej się tu stawała potrzebną i czuła to. Marya Ludwika miała

już mnóstwo przyjaciół, znajomych pomocników i czuła się bezpieczną. Znała ludzi, a pamięć mając doskonałą, wejrzenie trafne, nie potrzebowała się ani radzić, ani szukać objaśnień. Czasem więc po całych dniach dziewczę siedziało z Francuzkami u krosien, lub na próżnych paplaninach, do których dwór dostarczał bardzo obfitej treści.

Nie było prawie jednej z młodych panien Francuzek przy Maryi Ludwice, którаby dwu i trzech zakochanych i starających się nie miała. Pojąć to łatwo; nawet najskromniejsze z nich w porównaniu z Polkami śmielsze były, łatwiejsze do znajomości i do żartów, nic za sobą niepociągających w ich przekonaniu, a Polaków chwytających zaraz za serce.

Królowa dla dworu swojego była niezmiernie surową, ale to, co po francusku nazywało się surowością, w Polsce mogło ujść za wielką swobodę. Gdyby na przeszkodzie nie stawał język, którego Polacy się łatwiej uczyli, niż Fracuzi polskiego, stosunek ten z dworem królowej byłby ściślejszym jeszcze. Tylko Pac, który próbował dla swego pana zawiązać jakiś nieznaczny, tajemny węzełek, został stanowczo odprawiony z niczem. Panny były o nim ostrzeżone... żadna się z nim wdawać nie chciała.

Po Bietce poszedł Płaza naturalnie z podzięką do Nietykszy, rad się zbliżyć i lepiej poznać z tym, którego za przyszłego zięcia uważał.

Przyjął go z poszanowaniem Nietyksza i ugościł— lecz jakoś sobie wzajem nie przypadli do smaku. Ojciec nie mówił o tem córce, ale się domyśliła.

Dla skozaczałego trochę Lasoty, któremu coś w mowie i obyczaju pozostało z tych lat, na Niżu spędzonych, Nietyksza się wydawał miękkim, a do zbytku już pobożnym; Litwinowi zaś stary, który wódkę szklanką pił i po rusińsku klął, po wykwintnych Radziwiłłowskich dworzanach chropowato wyglądał.

Gdy w Warszawie Nietyksza się wygajał z rany, przyjaciele jego, do serca wziąwszy, że Nesteracki im uszedł, na wszelki sposób zabiegali, aby go dostać. On o tem niewiele wiedział, ale druhowie czuwali. Chodzili

tak dobrze, szpiegowali stosunki, że w kika tygodni dowiedzieli się, iż śmiałek znowu się przekradł do Warszawy. Sprowadzały go tu rachunki pieniężne, bo chciwy był, a uzuchwalała bezkarność. Wyobrażał sobie, że król przez pamięć dla Amandy ścigać go nie każe.

Tymczasem Radziwiłłowscy, z zamkowymi się zmówiwszy, czekali już na Nesterackiego. Wciągnął go jakiś zdrajca o zmroku na zamek, a tu tak ostąpiono i osaczono, że nie mogąc się bronić, bo mu ręce w tył zaraz porwano i skrępowano, oddany został do starościńskiego więzienia.

Sprawa była bardzo prosta, gwałt dowiedziony, porwanie się do noża na zamku pod okiem króla... gardło trzeba było dać. Wyprawił wprawdzie Nesteracki gońca do księżnej Amandy, ale nim ten powrócił, już dekret był ferowany i spełniony. Ścięto go za wałami, a majętność Kaduk dostała się do rozporządzenia króla JMości, który naprzód chciał ją dać Bietce, ale gdy ta odmówiła i ojcu nie pozwoliła się starać, wzięli Kaduka dwaj dworzanie, co zbójcę pojmali.

Matka Nietykszy, której on umyślnie o ranie swej i wypadku nie zawiadamiał, przez sługę jakiegoś księcia Bogusława Radziwiłła dostała o synu wiadomość. Nazajutrz siedziała na wozie krytym, zaprzężonym najlepszymi końmi i pędziła do Warszawy. Energiczna niewiasta miała już jadąc wszystko w głowie. Zajechała do gospody, i zamiast do syna, poszła naprzód do księcia kanclerza. Znał on ją zdawna.

— Mości książę — odezwała się, kłaniając mu, Giedyminówna — przychodzę ja do was, jako matka nie miejcie mi tego za złe. Jednego mam syna, on mi tu głowę postradał naprzód dla dworki, a oto drugi raz krwią płaci za głupstwo swoje. Dopóki młokos tu będzie, ja o niego spokojną być nie mogę. Oddaj mi go, książę.

Złożyła ręce, — kanclerz się uśmiechał.

— Bierz go jejmość sobie — rzekł, — nie mam nic przeciwko temu, lecz biorąc przeciwko jego woli, uczynisz go nieszczęśliwym. Dziewczyna ta, o której ja wiem i żona moja ją przy królowej widziała, stateczna jest.

Syn wasz w niej rozmiłowany... nie sprzeciwiajcie się woli Bożej.

Zbladła aż Giedyminówna.

— Mości książę — zawołała — nie może to być, nie może. Dopókim żywa, nie pozwolę. Jam Giedyminówna a i Nietykszów ród stary, dziewka zaś nie wiem nawet czy szlacheckiego rodu, i ze dworu. Uchowaj mnie i syna od niej Boże. Nigdy w świecie mu tego powroza na szyję włożyć sobie nie dam. Niech mi go książę puści, a ja mu niedorzeczną miłość z głowy wybiję.

— Moja jejmość — rzekł kanclerz łagodnie — ja praw jej jako matki nie zaprzeczam, i syna wstrzymywać nie będę; rozważcie tylko, czy to, co czynicie, z dobrem jego.

Podziękowawszy a nie rozprawiając dłużej, Nietykszyna wprost szła do syna. Ten już wiedział o niej i zrozumiał dobrze, dlaczego naprzód szła do księcia. Czekał na matkę siedząc na łóżku obwiązany, z mocnem postanowieniem pozostania przy swojem. Spodziewał się, że matka ze zwykłą swą gwałtownością i nakazem na niego wpadnie; i wistocie szła do niego z tem postanowieniem rygoru. Ale... matką była, choć Giedyminówną.

Zobaczywszy jedynaka swego bladym, wychudłym, zmizerowanym, ręce rozciągnęła i padła mu na szyję, rycząc z płaczu. Nigdy jej jeszcze taką nie widział syn, poruszyło mu się serce, mężczyzna rozbeczał się także.

Podróż, w ciągu której ciągle o synu tym myśląc, biedna kobieta miękła z bólu, uczyniła ją teraz prawie łagodną,—lecz zmieniło się tylko postępowanie, cel i pragnienie pozostały niezachwianemi. Zamiast naglić i nakazywać, prosiła go, pieściła, a łzy jej toczyły się po zmarszczonych i ogorzałych policzkach.

Nietyksza się opierał zrazu i prosił, ale zmiękczyć niczem nie mógł. Po kilku dniach żal mu się starej zrobiło, prosił o jaką dobę do namysłu. Giedyminówna głową tylko skinęła i nazajutrz nie przyszła, a Nietyksza na zamek się udał do Bietki.

Ta już była zawiadomioną o przybyciu matki i miała przeczucie tego, co jej groziło. Brała mężnie, co ją spotykało.

— Jeżeli mnie kocha prawdziwie — powiedziała sobie — to wytrwa, a wywietrzeje mu to z serca i głowy...

Nie chciała myśleć o następstwach. Ojciec niebardzo nastawał, aby się Litwinowi narzucać. Miał swą dumę.

— Ja się z mojem dzieckiem nikomu prosić nie potrzebuję. Znajdą się tacy, co mnie się jeszcze o nią do kolan pokłonią.

Nietyksza wprost spytał Bietki:

— Mów, co ja mam czynić, Matka nie rozkazuje? nie gniewa się, ale płacze, a mnie te łzy jak krople ukropu na serce padają. Co mam począć?

Namyśliło się chwilę dziewczę, pierścionek zaręczyn obracając na palcu, jakby go mu zwrócić chciało. Nietyksza odgadł tę myśl i zakrzyknął:

— Choćbym jechał, jam tak, jak był, zostanę wasz, królowo moja, a pierścienia ani oddam, ani wezmę. Ale matka...

— Jedź — rzekła Bietka. — Wprzódy ona do ciebie, niżeli ja, miała prawo. Jedź, ja będę czekała, aż mi pierścień odeślesz.

Pożegnali się łzami, przysięgami, a Nietyksza, choć smutny, odszedł jakoś na sercu swobodniejszy.

Doba upłynęła. Giedyminówna przyszła do dworku. Spojrzała na syna.

— Jadę z tobą, matusiu — rzekł — a żebyście znali ją, powiem, ona mi z wami jechać kazała.

— Ma rozum — odparła zimno Giedyminówna — ale mnie przez to sobie nie zjedna, bo mnie w synowej nie jednego rozumu potrzeba.

Tegoż dnia poszedł dworzanin dziękować księciu za łaski jego i pożegnać się z nim. Kanclerz go przyjął miłościwie.

— Dobrze czynisz, że szanujesz matkę — rzekł — żonę zawsze znajdziesz, gdy wola Boża będzie, abyś ją miał, a matki drugiej nikt ci nie da. Pan Bóg

ci za to pobłogosławi. Jedź. Zechcesz-li powrócić, przy mnie zawsze miejsce znajdziesz.

A że się dworzanina, choćby majętnego, nie odpuszczało bez podarku, dał książę konia dobrego i łańcuch. Poszła mu dziękować Nietykszyna jeszcze, a potem syna z sobą zabrawszy, choć się jej wyrywał do Bieleckich, do Mingajłowej, nie puściła go już dopóki na wóz nie siadł przy niej, bo konno mu jeszcze doktór jechać nie dozwolił. Rana była na zagojeniu, ale się szanować z nią musiał.

Pozostała Bietka sama i długo nie mogła tego sieroctwa serdecznego przemódz, z niem się oswoić. Zaczęła się modlić. Ojciec nie mówił jej nic, ale miał na myśli co innego.

— Taki piękny—i poczciwy chłop, jak Lackowicz,— czemuby się jej nie miał podobać? Szlachcicem nie był, to prawda — mówił sobie Płaza; ale to szlachectwo na kozaczyźnie mu jakoś lżejszem się stało. Patrzył nad to zresztą, jak właśnie za panowania tego króla, ogromny był ruch mieszczaństwa, sołtysów, zbogaconych wieśniaków, którzy *per fas* i *nefas* wkradli się do herbów i przywilejów szlacheckich. Liczono ich na seciny, wytykano palcami, ale rzadko kto zadał tym nowo wyszlachconym chłopstwo, a dosyć było znaleźć kilku świadków, co poprzysięgli, iż znali obżałowanego szlachcicem, aby się przy swem utrzymał.

Za Zygmunta III to podrabianie się do szlachectwa nieznacznie się poczęło, ale za Władysława przybrało ogromne rozmiary. Zaciągi do wojska, pułki nowe wielce się przyczyniły do tej łatwej nobilitacyi. Zamożny syn sołtysów lub kupczyk wpisywał się między żołnierzy jako urodzony i nikt go nie badał, a gdy raz na koń wsiadł i pod chorągwią czas jakiś wytrwał, już sam niemal w to wierzył, że się szlachcicem urodził.

Są na to mnogie dowody, iż do rodzin starych a zubożałych — jak mówił Trepkas[1]) — za beczkę piwa się można było wkupić.

[1]) Liber Chamorum. Rsp.

Płaza więc myślał sobie: — jakby go dziewczyna polubiła?!

VIII.

W grudniu tego roku, zapowiedziany już gość, niebardzo królowi pożądany, przyrodni brat, Jan Kazimierz zrzuciwszy habit mnisi, złożywszy kardynalski kapelusz, powracał do kraju.

Młodość jego i całe życie wcześnie mu wyrobiły u ludzi famę niestateczności. Opowiadano sobie naówczas, że gdy mając wdziać suknię zakonną, udał się do świątobliwego Józefa z Kopertynu, który miał jasnowidzenia przyszłości, i prosił, aby mu zwiastował, co go czeka, pobożny mąż przewidując zawczasu brak wytrwania w nim, szepnął smutnie i niechętnie:

— *Neque tu Jesuita, neque Cardinalis!*

Później też wszystkie astrologów rachuby przepowiadały Kazimierzowi burzliwe jego życie, nieustanne zmiany doli, stanu i postanowień.

Dla króla Władysława niespokojny ten brat, który mu miał nie dać wypoczynku nigdy różnemi wymaganiami swojemi, był prawdziwą plagą. Przyjmował go z niechęcią, z żalem, bo mu naprzód także prorokował, znając go, że nigdzie nie wytrwa długo.

Był to umysł i temperament nienasycony niczem, bo nic umiłować nieumiejący. Gorące pragnienia zmieniały się w nim prędko w nieprzejednane wstręty. O ile Karol biskup był cichym, spokojnym, zamkniętym w swych ogrodach i nabożeństwie, o tyle Kazimierz rokował, że przyniesie z sobą kłopoty nieustanne. Zaczynały się już od tego, że powracający dał znać królowi, aby mu przygotowano jego dawne mieszkanie na zamku.

Zajmował je właśnie ów tajemniczy, a tak królowi potrzebny pod ręką i niezmiernie ulubiony graf Magnus. Król za nic w świecie nie chciałby go był rugować dla brata i kazał Kazimierzowi oznajmić, że ma się w domu dziekańskim, przy zamku opróżnionym, umieścić.

Rozgniewał się drażliwy ex-kardynał. Zatrzymał się w podróży i napisał do króla silnie domagając, aby do swojego mieszkania powrócił. Nie otrzymał długo odpowiedzi i zwlókł powrót do Warszawy, siedząc nadąsany w Turczynie.

Szczęściem, dowiedział się o tem Magnus, a nie chcąc królowi przyczyniać troski, sam dobrowolnie się wyniósł do domu dziekanów, choć król chciał mu dać mieszkanie wytworniejsze w pałacu swoim na Krakowskiem Przedmieściu, ale tu byłby od króla oddalonym.

Pomieszczenie księcia było zresztą jedną z najmniejszych trosk, spowodowanych jego powrotem. Jan Kazimierz dopomniał się całego wyposażenia swego, którego się był zrzekł, a król niem rozporządził, i ani chciał słuchać o kompensatach; odbierał wprost swoje, nie pomnąc, że sam wszystko to oddał królowi. Zaraz tedy upominał się u Dönhoffa, kanclerza, o Sokal oddany zięciowi, u podskarbiego litewskiego o Kobryń, u podkomorzego swego o Preny, u Butlera i innych o rozdane im tenuty.

Nikt też powrotowi jego rad nię był, a królowej zapowiedziano, że jej fraucymer od niego spokoju mieć nie będzie. Wprawdzie liczył się on dotąd kardynałem i duchownym, ale ci, co go w powrocie widzieli, opowiadali, że przy szpadzie po cywilnemu chodził, i nosił się jak dawniej, po niemiecku.

Miłości nie zaskarbił sobie u nikogo nawet z rodziny, bo i z biskupem Karolem był niedobrze, i królowi, jak mówiono, jego elekcyi zazdrościł, pomnąc zapewne na to, że matka miała zamiar jego na tron prowadzić, o czem nasłuchał się od niej. Teraz syn Władysława i druga żona wszelkie nadzieje niweczyły.

Po wszystkich spełzłych na niczem projektach, Kazimierz wracał, wcale nie wiedząc, co będzie robić w Polsce, której niecierpiał, a ona mu też wzajemnością wypłacała. Powtarzano tu sobie, co mu się niegdyś o polskiej szlachcie z ust wymknęło, a tego było dosyć, aby rozbrat między nim a rzeczpospolitą nastąpił.

Karły, małpy i papugi, rozmowy puste i miłostki płoche mogły wprawdzie jakotako życie zapełnić, ale

nie starczyły dla zapewnienia szczęścia i nasycenia serca.

Na dworze królowej zawczasu rozpuszczone wiadomości o księciu Janie Kazimierzu spowodowały, że Marya Ludwika przestrzegła fraucymer swój, aby z należytym respektem trzymał go zdaleka od siebie. Miała ona z nim oprócz tego do czynienia tyle, że utrzymanie w karbach przyzwoitości dwóch obozów, jakie się na dworze jej wykluły, wojując z sobą, nie dawało jej spoczynku. Nawet z pomocą ks. Fleury niepodobna było przejednać zazdrosnych, którzy skarżyli w listach na królowę do Francyi, obmawiali ją w Warszawie, intrygowali w sposób najnikczemniejszy.

Z jednej strony stał poseł francuski de Brégy, ks. de Fleury, spowiednik królowej, Desnoyers, jej sekretarz i oboje państwo des Essarts. Drugiej naczelnym wodzem de Condrade z Langeronówną, doktorem i częścią panien, które grupowały się wedle dawnych stosunków. Piękna panna Duret, przyjaciółka Bietki, była po stronie des Essartów.

W listach do Francyi, które się dostawały często z powrotem królowej, oskarżano des Essartów, sekretarza i ks. de Fleury, że chcieli opanować królowę i nad nią przewodzić.

Marya Ludwika jednak wcale ani do opanowania, ani do rządzenia sobą łatwą nie była, a miała na swem stanowisku królowej i małżonki króla nadto do czynienia, aby ją te francuskie knowania niespokojnych ludzi wielce obchodzić mogły. Niecierpliwiły ją tylko i zrażały do części dworu, którego możeby się była rada pozbyć, lecz kimże mogła zastąpić?

Położenie to królowej nie było do zazdrości. Wprawdzie zyskała pewną powagę, znaczenie, a nawet niejaki wpływ u króla, który jej woli stanowczo i energicznie objawianej ulegał, ale serca jego zjednać sobie nie mogła.

Pac i Platenberg gorliwie spełniali swe nikczemne obowiązki usłużnych pośredników w miłostkach, o któ-

rych i dwór i całe niemal miasto wiedziało. Za jedną pannę Amandę miał teraz znudzony pan co chwila jakąś nową znajomość, najczęściej z najpośledniejszych warstw wydobytą, wystrojoną, i mogącą tylko chwilowe roztargnienie przynieść z sobą.

Ciż sami panowie pilno stali na straży, aby królowa sobie serca młodego królewicza pozyskać nie mogła.

Władysław, który go kochał jako przyszłego następcę i dziedzica jedynego krwi swojej, pomimo przywiązania, obchodził się z nim dziwnie. Zapominał o nim czasem, stawał się obojętnym, nagle potem wybuchał z czułością wielką, która niedługo trwała. On też z jakąś zazdrością spoglądał na stosunek Zygmunta do macochy, jakby się obawiał, aby mu serca jego nie odebrała.

Wszystko to razem wzięte życie na dworze czyniło duszącem i nieznośnem. Spoglądano na siebie nieufnie, szpiegowano i oskarżano się wzajemnie; miłości nie było nigdzie, a pozory przyzwoitości kryły czczość i rozterki.

Królowa musiała uciekać się do nabożeństwa, szukać w niem pociechy i rozrywki. Jeździła po klasztorach, przesiadywała godzinami po kościołach i wychodziła z nich najczęściej zapłakana. Ciekawa, jak kobieta, obrażona jako żona, królowa naprzód przez Francuzów wtajemniczoną została w to, co się u króla wieczorami działo. Nie mogła się potem wstrzymać od przekąsów i aluzyi.

Nikczemny pochlebca, wyznaczony dla niej koniuszym, który zazdrościł Pacowi, że ten został przy królu na usługach potajemnych, pierwszy z Polaków począł donosić Maryi Ludwice o wszystkiem, co się działo. Z początku królowa nie chciała słuchać i byłaby zapewne najlepiej uczyniła, nie dając ucha tym brudnym powieściom z królewskiej alkowy, ale oprzeć się nie mogła. Po imieniu i nazwisku wyliczano jej różne ulubienice, opisywano, jak wyglądały. Platenberg, którego się nie wystrzegano, każdego dnia przychodził z raportami do królowej.

Obrażona, gniewna pani nie mogła wytrzymać, aby nie okazywała Władysławowi, że wie o wszystkiem. Król zapalił się gniewem ogromnym. Wpadł na Paca, ale ten zaklinał się, że od niego nikt się nie mógł dowiedzieć słowa. Platenberga nie posądzano. Padło posądzenie naprzód na Francuzów... Wtem właśnie Pac wprowadził na zamek nadzwyczajnej piękności Ormiankę, a koniuszy, który ją widział przechodzącą, umiał ją najdokładniej opisać królowej.

Marya Ludwika nazajutrz szydersko poczęła mówić o pięknościach ormiańskich i wschodnich. Tego już królowi było nadto. Zaprzeczył naprzód i zaparł się. Królowa opisała mu dziewczę, powiedziała jej pochodzenie, imię i nazwisko.

Nie mogąc się wyprzeć, Władysław wyszedł w pasyi, odgrażając się na Francuzów, iż oni szpiegują i donoszą, więc ich precz do nogi wszystkich stąd wypędzi.

Przelękniona królowa wzięła na siebie wszystko i przyznała się, że sama nocną porą czatowała, aby widzieć przechodzącą Ormiankę [1]).

Król zagryzł usta.

— Pozwól sobie powiedzieć W. Król. Mość — odezwał się, — że chodzenie po nocach w zamku wcale nie przystało dostojności królewskiej.

Z tem wyszedł, królowa się rozpłakała. Szczęściem des Essarts ją uratowała. Tej samej nocy wszczął się hałas, jęk i płacz w pokojach królewicza Zygmunta. Stał się tam przypadek jednej z nianiek chłopaka, który zmusił cierpiącą do krzyku; królowa więc mogła się wytłumaczyć, iż posłyszawszy hałas u Zygmunta, wybiegła zobaczyć co się stało.

Wszystko to króla Władysława do najwyższego stopnia niecierpliwiło; ale choć się na królowę odgrażał, on sam spadał niżej, tem ona uzyskiwała zwolna więcej władzy i poszanowania.

Podejrzenie nie przestawało ciężyć na Francuzach, których królowa broniła. Nagle mściwy Pac zwrócił je na Bietkę. Król wydał wyrok, aby ją ze dworu natychmiast oddalono.

---

[1]) Rmp. Desnoyers. Hist.

Dziewczę wcale o tem nie wiedziało, gdy des Essarts wpadła do jej pokoiku, gdzie z panną Duret szyły w krosnach i bez przygotowania poczęła opowiadać, co się działo i czego król się domagał.

— Królowa nie dopuści tego — wołała des Essarts — obroni cię, sama mi to mówiła.

Bietka już tak była znużoną, a w ostatnich czasach boleśnie dotkniętą odjazdem Nietykszy, a ojciec tak ciągle na nią nalegał, aby dwór opuściła, iż zrzuciwszy kłębuszki i igły, wstała od krosien wołając:

— Jeżeli to ma komu być potrzebnem, króla uspokoi, królowę i was zabezpieczy, puśćcie mnie; pójdę choćby dzisiaj.

Marya Ludwika ostygła znacznie w ostatnich czasach dla Bietki, bo miała wiele innych brzemion na sercu i głowie, ale tak wydać na łup tę, która pierwsza ważyła się do niej przybyć z przestrogą, wydało się jej niewdzięcznością srogą, burzającą. Postanowiła jej bronić.

Król, który wstydził się tych zakulisowych swych zabawek, nie mógł przebaczyć tym, co go zdradzili, ale koniuszego nie posądzał wcale. Przypomniał sobie śmiałe aż do zuchwalstwa występowanie Bietki, za czasów Amandy, wina więc jej zdawała mu się dowiedzioną.

Stanowczo począł się domagać wypędzenia jej ze dworu.

Dziewczyna słuchała z zimną krwią rozpraw i sprzeczek, naostatek widząc, że królowej uczyni przysługę oddalając się, że ojcu to będzie miłem, nic nie mówiąc nikomu, zrana poszła do antykamery króla, do Paca.

— Proszę was, abyście byli łaskawi — rzekła sucho — wyrobić mi pięć minut posłuchania z pożegnaniem.

Pac udał podziwienie — nie odpowiedziała. Poszedł do króla i powrócił. Władysław siedział tyłem do drzwi, któremi weszła i głowy nawet nie zwrócił.

— N. Panie — poczęła spokojnym głosem przybyła — przychodzę W. Król. Mości podziękować za chleb jego. Idę na swój własny. Wiem, że mnie obwiniają o jakieś doniesienia... w tym razie nie jestem winna, ale w innym myślałabym zawsze, że król, posłannik Bo-

ży, cokolwiek czyni, tego się wstydzić nie potrzebuje. Stopy W. Król. Mości całuję.

— Patrzcie! rokoszanka! — krzyknął, obracając się, król. — Tyś nie doniosła, a któż? kto? Francuzi?

— N. Panie, ściany i mury—wszystko donosiły.

Zmiękł król, a że dziewczę było ładne, dodał:

— Niewinną jesteś, no, to zostań sobie! Nie ty, to inna szpiegować mnie będzie.

— Dziękuję za łaskę, ale jej przyjąć nie mogę — rzekła Bietka. — Ścielę się do stóp W. Kr. Mości.

I wyszła.

Płaza uwiadomionym był nagle zrana, i jakby go kto na sto koni wsadził. Tymczasowo Bietka się umieściła u Mingajłowej, co jej Bieleccy mieli za złe. Wytłumaczyła się, że u Kazanowskich miejsca było więcej.

Starego Lasotę to postanowienie córki wprawiło w rodzaj szału. Chciał zaraz kupić dworek w mieście lub na przedmieściu. Wyobraził sobie, że Bielecki mu będzie pomocą, ale ten zakrzyczał.

— Toś się wybrał w porę! Tu się najwięksi panowie rozbijają o nasze miejskie place, ceny ich poszły do góry, a tobie teraz się chce kupować. Lepiej myśl o wiosce na Mazowszu, albo o Krakowie, który tanieje, bo tam bodaj oprócz pogrzebów i koronacyi, więcej się już nic odbywać nie będzie.

Nie mogąc narazie kupić, Płaza póty biegał, aż najął dwór prawie dokończony na Nowem Mieście, z ogrodem. Muzykant królewski, który go sobie wybudował, miał kwaterę na zamku, a żenić się nie myślał jeszcze i niedrogo dominę opuścił.

Płaza i Lackowicz, jak oparzeni latali, skupując teraz, co do domu było potrzeba. W jednej z tych wycieczek zapamiętałych, pochwycony za ramię, Płaza musiał się zatrzymać; stał przed nim Parfen.

— Co ty? skrutywsia?

Lasota nie wiedział zrazu, co odpowiedzieć.

— Chcesz tu na wieki zamieszkać? — począł, marszcząc się Kozak. — Ale ty tu posłany z listami i powracać musisz z niemi? Batku, o tem nie zapominaj!

— A któż ci mówi, że ja wracać nie myślę? — spytał Płaza.

— Na co mi ma kto mówić, kiedy ja widzę — mówił Kozak — a co gorzej, ja tu u was przez skórę czuję... Caryca i ty zdrajcy — dodał — a no, podumajcie wy sobie, my długie ręce mamy! Ej! ej!

Począł się w piersi bić raz po raz przestraszony Lasota i odprowadził Kozaka na bok.

—Ja przed tobą kłamać nie będę, bo ciebie nie oszukać; ale ty widzisz, czujesz, a nie tak, jak ono jest! Miałeś ty kiedy żonę, dziecko?

Parfen spojrzał na niego zdziwiony i pogardliwie niemal.

— Ja? dziecko? Tfu! szczenięta chowałem, prawda... no, tatarkę jedną miałem trzy dni w szałasie, alem ją nahajką wypędził... śmierdziała potem.

— Więc tego nie znasz, jak się dziecko kocha — rzekł Płaza. — Mam córkę; ty, co wiesz wszystko, dawno wiesz i o tem; ja dla niej gniazdo ścielę; a sam na Sicz powrócę.

Parfen się rozśmiał na głos.

—Na szto duryty! — zakrzyknął i nie chcąc go nawet słuchać dłużej, pokiwał głową, zamachnął rękami, pogroził mu i poszedł.

Lackowicz i on siedli natychmiast radzić. Oba teraz postrzegli, że z pośpiechu wielkiego strzelili bąka — zdradzili się sami. Nie w Warszawie na oczach osiadać trzeba było Płazie, ale w kącie gdzieś, aby go Kozacy nie łatwo wytropili. Ale Płaza gotów był pieniądze najmu stracić, albo go oddać komu innemu potem, teraz zaś potrzebował dachu dla Bietki, bo się obawiał, aby ją nie zatrzymano na dworze, lub ona się sama nie rozmyśliła.

Naprędce więc jako tako urządzono we dworku.

Mówiliśmy już o ówczesnem urządzeniu domów szlacheckich, które jeszcze namioty i obozowiska przypominały. Więcej w nich stanowiły kobierce, kilimki, opony, sukna, obicia, niż sprzęt inny. Lada stół okrywano kobiercem, lada ławę suknem i poduszkami.

Na te rzeczy Płaza pieniędzy nie żałował. Sreber, prawda, kupić nie mógł, ale cyny przysposobił poddostatkiem, a to było srebro średnich stanów.

Bietka rada była jednego dnia uciec z zamku i z pałacu. Ściskało się jej serce, gdy myślała, że się tak ochotnie, tej duszą całą poświęcała dla królowej, która teraz zimno, obojętnie się z nią rozstała. Pierwszy raz uczyła się tak wielkiej prawdy, że niewdzięczność jest prawem życia, a wdzięczność — cnotą wyjątkową.

Wprawdzie królowa wyposażała ją ze swej garderoby bardzo hojnie, ale Bietce teraz tak mało o to chodziło.

Zdawało się jej, że z zamkiem, w którym tyle lat przebyła, rozstanie się obojętnie. Dopiero w ostatniej godzinie uczyniła w sercu i to nowe odkrycie, że do miejsc, w których się cierpiało, przywiązać się można. Biegała tu dziecięciem prawie.

Wieczorem przed opuszczeniem zamku poszła do królewicza, który ją zawsze lubił bardzo.

Siedział jak zwykle zajęty rycerską zabawką łukiem i strzałami, miał cudnie piękny perłami szyty sahajdaczek przy sobie.

Bietka przyklękła przed nim, łzy miała na oczach.

— Przyszłam was pożegnać — odezwała się biorąc malutką jego rączkę białą z długiemi paluszkami do całowania.

— A dokądże ty jedziesz?

— W świat!

— Daleko?

— Nie wiem.

— Kiedy powrócisz? — zapytał Zygmunt.

— Może nigdy? — odpowiedziało dziewczę.

— O! nie, to nie może być — rzekł spokojnie chłopak. — Ja ciebie lubię, poproszę ojca, a on król, wszystko może, co chce.

Zygmuś zrobił minkę tajemniczą, pochylił się do niej.

— Przyznaj się — szepnął — przyznaj... ciebie ta Francuzka, ta królowa — wypędza. O! ta Francuzka!

— Królewiczu mój, ona was tak kocha!

Zygmuś główką zawahał.

— Ja temu nie wierzę. Ona tu teraz wszystkiem chce rządzić! O! ta królowa!

Smutno słuchała tego Bietka.

— Ojciec powinien ją odesłać do Francyi — mruknął chłopak — a sobie innej poszukać.

Bietce tak było przykro słuchać tego, że o łuk i o strzały pytać go poczęła, aby mu nie dać mówić o królowej!

Jaka się tu gotowała przyszłość! Zausznicy od początku pracowali nad tem, aby zasiać ziarno niechęci, a król nic czynił nic, aby zapobiedz. Stosunki obojga były teraz dla świata zupełnie prawidłowe. Królowa nawet wyrabiała przywileje, brała za to wedle zwyczaju podarki, wmówiono jej, że w Polsce wcale to zdrożnem nie było, miała swych przyjaciół i zapaśników, szczególniej pomiędzy duchownymi... Dwór jej był świetny i piękny.

Król publicznie teraz nie uchybił jej nigdy; czasu sejmu tak ją starannie uwiadamiano o wszystkiem, jakby miała moc jakąś wpływać na obrady. Lecz gdy zamek zawarto i obcy się rozeszli, król urągał się swą lekkomyślnością kobiecie, która ze łzami w oczach powtarzała nieraz spowiednikowi swojemu, ks. Fleury, iż gdyby była mogła przewidzieć, przeczuć obyczaje polskie, nigdy w świecie dla żadnego tronu do Polski-by nie pojechała. Powtarzano jej słowa, iż się nie dziwiła teraz ucieczce Henryka III i miała go za usprawiedliwionego.

Niestety, pomimo tych żalów, łez, tych wstrętów, królowa pamiętała o tem, aby na wszelki wypadek wyrobić tu sobie stanowisko silne, i być potrzebną. Zajmowała się też potajemnie polityką, pisała listy, donosiła o tem, co się działo na północy.

W nowym dworku, z jedną sługą, z ojcem i Lackowiczem pierwszego dnia, zmuszona sama o wszystkiem pamiętać, gdy na zamku nawykła była mieć wszystko gotowe na żądanie, Bietka uczuła mocno zmianę położenia. Musiała dopiero uczyć się być gosposią na przyszłość.

Płazie zato we własnym domu, przy dziecku, zdawało się, że był w raju, a że Lackowicza kochał też mocno, widząc go razem, zupełnie był szczęśliwy. Nie śmiał

się z tem odzywać, ale byłby chętnie Nietykszę na tego wymieniał.

Bietka na pięknego i śmiałego, a rubasznego chłopa patrzała z jakąś obawą. Nie umiał ją ani tak zabawić, ani tak odgadnąć, jak dworak Radziwiłłowski, o którym myślała, po którym tęskniła.

Uśmiech jej teraz tak trudno przychodził!

W dworku Płazy, choć to było tak młode gospodarstwo, na gościach nie zbywało. Na służbę się codzień stawił Lackowicz, często zaglądał dobry ks. Stoczek, niekiedy przybiegała Bielecka, rzadziej on sam, naostatek z przyjaciółek zamkowych Bietki, Francuzek i Polek, przybiegały czasem niektóre.

Lasota miał we krwi polską starą gościnność, i nikogo od siebie nie wypuścił bez przekąski i kubka. Wszystkoby tu się dla niego składało jak najpomyślniej, gdyby nie widok natrętny Parfena, przechodzącego często pod oknami wolnym krokiem.

Nie było dnia, żeby się im tu nie pokazał raz conajmniej, ale do Płazynie zachodził nigdy, odwracał oczy, gdy domostwo mijał.

Właśnie prawie o tym czasie, gdy Bietka opuściła zamek, z Turczyna nadjechał uroczyście Jan Kazimierz, kwaśny, niekontent z króla, już zawczasu zniechęcony do rodzonego brata, ks. Karola, uprzedzony przeciwko królowej, gotując się tu na wszystkich skarżyć i wszystkim dojechać. Z nim przybył dosyć liczny dwór cudzoziemski cały, dwa karly, małpy i papugi. Duchownego ani kardynała śladu w nim nie było. Mocno ospowaty, blady, rysów twarzy niemiłych i dumnych, zdawał się czynić łaskę rzeczypospolitej i królowej, że do nich powrócił. Tymczasem nikt go tu wesołą twarzą nie witał, bo sobie miłości zaskarbić nie umiał nigdzie.

Pierwsze kroki jego były napaścią na Karola, na króla, na tych wszystkich, którym jego wyposażenie zostało rozdzielone.

— Mój kochany — odparł król przy pierwszem widzeniu się — nie zapominaj o tem, że sam się z tych dóbr wyzułeś, żem ja cię ostrzegał, żeś się uparł zostać

zakonnikiem, a nie wytrwał nawet w kardynalskiej purpurze.

— Bardzo dobrze—rzekł kwaśno Kazimierz — ale powracam, i co mi należy, powinienem odzyskać.

— Starać się będziemy wynagrodzić ci to — odparł obojętnie Władysław i począł rozpytywać o Włochy.

Ale w oczach księcia nikt teraz nie miał łaski, ani papież, ani kardynałowie, ani królowie i książęta, między którymi on tak poślednie miejsce zajmował. Wszystko chłostał z niesłychanem oburzeniem.

Nazajutrz rano przyjęła go królowa. Słyszał on bardzo wiele o niej, wyobrażał sobie może inaczej, wszedł jakoś lekceważąco, a wprędce się zmieszał, spoważniał i stał galantem. Początek rozmowy był bardzo szczęśliwy. Kazimierz nie cierpiał Polski i Polaków, królowa nie miała dotąd pobudek do pokochania ich, zgadzali się doskonale; ale ten *frondeur* nielitościwy, nie był co do obyczajów ani jeden włos lepszym od ogółu i od brata.

Gorycz z każdego jego słowa tryskała; ani się można było dziwować mu po tylu doznanych zawodach, po więzieniu we Francyi, po pobycie w Rzymie, po wszystkich próżnych staraniach. Ten sposób zapatrywania się na świat z jego czarnej i złej strony daje zawsze ludziom pozorną jakąś wyższość, a łatwym jest, gdy się popisuje z nim, bo plany biją w oczy.

Królowa jednak łatwo poznała w królewiczu człowieka zgorzkniałego własną winą, a niewielkiego umysłu. Wśród najpoważniejszej rozmowy wtrącał najdziecinniejsze pytania. Na równej szali były u niego sprawy rzeczypospolitej i kłótnie jego karłów.

Królowa, która dotąd słyszała o nim, jako o kardynale, zdumiała się, widząc go w peruce, krezie i przy szpadzie wchodzącym na pokoje; spytała więc, czy się zupełnie wyrzekł purpury.

— Tak jest — odparł — wśród intryg Włochów wieczniebym musiał być ich igraszką, lub narzędziem. Skosztowałem, mam dosyć...

O przyszłości swej tutaj książę nic jeszcze powiedzieć nie umiał. Skarżył się, że mu tak pośpiesznie roz-

grabiono wszystko, iż mógł z głodu umierać. Ponieważ coś był zasłyszał o polityce brata, o zaciągach jego, o trudnościach, jakie miał z tego powodu, krytykował zachcianki brata.

Królowa żywo wzięła go w obronę.

— W Polsce niepodobna nic zrobić — mówił — szlachta wichrzy i niedopuszcza... trzeba się zrezygnować na panowanie bezczynne.

— Właśnie król chciałby to zmienić — mówiła Marya Ludwika.

— A! pracował nad tem Batory, ojciec nasz... Władysław się zagryzie i nic nie zrobi.

— Musi próbować — dodała królowa.

— Nie zazdroszczę mu — rzekł Kazimierz. — Ja się do niczego mieszać nie będę.

Pierwsza ta rozmowa na królowej uczyniła wrażenie wystarczające, aby jej dało miarę człowieka.

Kazimierz wyszedł z wielkiem uwielbieniem dla Maryi Ludwiki, ale to było znanem i wiadomem, że każda z pań robiła na nim silne wrażenie, które się nazajutrz rozpraszało i zmieniało w zupełnie przeciwne.

Nie upłynęło dni parę, a już z pokojów ex-kardynała rozchodziły się po zamku plotki, wyrzuty, niepokój.

Z niezmierną ciekawością starał się przeniknąć do fraucymeru królowej i zaraz na pierwsze wejrzenie począł się unosić nad panną Duret.

Była ona wistocie jedną z najpiękniejszych w orszaku pani, ale też najnieprzystępniejszych. Platenberg, któremu się zwierzył, zapowiedział mu, ażeby tu próżno czasu nie tracił. Jan Kazimierz uraził się mocno.

Pod pozorem szukania ks. Fleury, pana des Essarts, doktora de Lafage ciągle wtargał do pokojów dworu, aby spotkać się z panną Duret, która już uprzedzona, nigdy mu sam na sam z sobą ani na chwilkę pozostać nie dała.

Gniewało go to. Wiedział, że na dworze brata nie było zbytniej surowości, że Francya też nie słynęła z niej, uważał więc postępowanie to jako wymierzone przeciwko sobie. W poufałej rozmowie z p. de Brégy dowiedział się

dopiero od niego, że królowa była dla swych panien niezmiernie surową i nie pobłażała płochości najmniejszej.

— Cóż na to król JMość? — zapytał szydersko.

— Król — rzekł de Brégy z uśmiechem — musi się zaopatrywać gdzieindziej.

Nowy żywioł, którym dwór został zbogacony, nikomu nie przypadł do smaku, zawadzał wszystkim. Królowa jedna w początkach nie chciała być dla niego nazbyt surową.

Znudzony, bez zajęcia, książę spędzał godziny długie na słuchaniu najniedorzeczniejszych rozmów swoich paziów i karłów, przeciw którym się czasem niecierpliwił aż do własnoręcznego ich policzkowania.

W początkach duchowieństwo odwiedzało ciekawie powracającego z Rzymu ex-kardynała, spodziewając się od niego coś dowiedzieć o tej stolicy kościoła i sprawach w niej ważniejszych, tyczących Polski, ale Kazimierz nie wiedział nic, oprócz tego, czem mógł oczernić i zakon, który porzucił, i collegium, do którego należał. Powtarzał z goryczą to naówczas już rozpowszechnione przysłowie:

Chi Roma vide, perde la fede.

Każdy z duchownych wychodził z tych rozmów zgorszony i oburzony. Za co się mścił ten człowiek, którego tam tak uprzejmie i gościnnie przyjmowano?

Całe życie nieszczęśliwy miał za swą nieudolność tak szukać pomsty na ludziach.

W Polsce naturalnie nic mu się nie podobało... nie było ludzi, wszystko się chyliło do upadku. Kazanowscy przyjęli go zimno; Ossoliński, którego zięciowi odbierał nadany już Sokal, witał kwaśno, z ks. Karolem wcale się nie widywali. Nieraz z zajętych przez siebie pokojów które odebrał Magnusowi, rościł sobie pretensye do pałacu królewskiego, na Krakowskiem Przedmieściu, który uznawał dla króla niepotrzebnym.

— Ma zamek, ma Ujazdów, poco mu ten pałac?

Mówiono mu, że król nie dał go przecie ks. Karolowi który się mniejszem mieszkaniem zaspokajał. Podkomorzy jego czynił mu uwagę, iż na tak rozległy gmach

większego też i kosztowniejszego potrzeba było dworu i straży — ale to nie przekonywało. Musiał się na coś żalić i zawsze czuć pokrzywdzonym. Wyposażenie ks. Karola, który ze swego biskupstwa małe miewał dochody, wydawało mu się daleko dostateczniejszem, niż jego własne.

Król naprożno usiłował się od niego zamykać; wchodził bez opowiedzenia po kilka razy na dzień, zawsze z żalami jakiemiś, lub krytyką.

Szczęściem piękna panna Duret tak gorąco go zajmować zaczęła po dniach kilku, iż dla niej króla wyswobodził. A że wdzięczna Francuzeczka obawiała się tego gacha, tak kompromitującego, uciekała, nie odpowiadała, tuliła się pod skrzydła królowej, ex-kardynał roznamiętniał się dla niej tak, iż cały dwór śmieszył sobą.

Król nawet szydził z niego.

— Z tego, co otacza N. Panią — rzekł — bądź pewien, iż najmniejszej nie będziesz mieć korzyści... Koronkę odmawiają wszystkie bez zająknienia, ale miłosnych komplimentów nie rozumieją. Spytaj Paca, Platenberga i pana kuchmistrza... niema tam ani jednej, któraby dała się wziąć na słodycze i podarki. Nie trać więc czasu...

IX.

Wszystko dalej snuło się tak, jak poczęło, a przybycie jednego więcej członka rodziny królewskiej, oprócz sporów i kwasów, nic z sobą nie przyniosło.

O wojsku nowozaciągniętem ucichło, ale go nie zmniejszano; wyprowadzono tylko z tych miejsc, w których się naprzykrzyło do zbytku, i ów Magnus, przeciwko któremu, nie mianując go, podnosiły się głosy tak gwałtowne, pozostał spokojnie w królewskich usługach.

Król żył, jak był nawykł, nagniewawszy się na królowę, że go napominała, trochę tylko ostrożniej, a gdy było można, schodząc jej z oczów.

Pac go namówił pod pozorem łowów zimą do Zale-

sia, gdzie zapadł tak ciężko, że go do Warszawy przynieść musiano nazad. Nie przeszkodziło to do wydania nadzwyczaj wspaniałego bankietu na św. Kazimierza, imieniny królewskiego jedynaka, w czasie którego król był jak najlepszej myśli. Choroba ustąpiła nagle.

Z wiosną zbliżał się termin sejmu nowego, który uprzedzając, Władysław rozpisywał listy do senatorów, domagając się, aby przykre i upokarzające dla niego uchwały poprzedzającego sejmu zmieniono.

Nie co innego to znaczyć miało, tylko cofnięcie przymusu co do wojsk zaciągnionych i domagań oddalenia cudzoziemców. Dlaczego tak późno król dopiero uczuł się obrażonym — trudno było wyrozumieć.

Sejm uroczyście nabożeństwem u Ś. Krzyża otwarty, rozpoczął się wreszcie ogólnemi dezyderyami. Pomiędzy niemi była znowu wzmianka o c u d z o z i e m c a c h, którą posłyszawszy, król mocno się zmarszczył, laskę wziął i wyszedł z izby.

Czem sprawa o Trubczesk była dla przeszłego sejmu, tem dla teraźniejszego stały się obalone krzyże w Radziwillowskich dobrach (u ks. Janusza), sprawa o Hadziacz między wojewodą ruskim a chorążym koronnym, naostatek i spór królewiczów Karola z Kazimierzem o dobra Żywiec. Bracia już się nie widywali z sobą i nie mówili do siebie.

Przez cały czas trwania sejmu o zaciągach wojskowych nie było mowy. Król, gdy mu było potrzeba, chorował, a nawet z łóżkiem się do izby sejmowej kazał przenosić. Wogóle sejm ten miał inny jakiś charakter i wyjąwszy sprawy z dysydentami o krzyże, prywatne największe grały rolę. Dochodziło to aż do cynizmu.

Podstarościemu Kiersnowskiemu król obiecał był pisarstwo nowogrodzkie, a potem mu go nie dał. Nie mógł Kiersnowski znieść tego, aby się nie pomścić. Gdy tedy pod koniec sejmu kanclerz bardzo zręcznie wsunął żądanie króla, aby rzeczpospolita zapłaciła dług, zaciągnięty na wojsko cudzoziemskie, podstarości wstał i począł dowodzić, że to wojsko było bezprawnie, przeciwko paktom zebrane, że król wiedział, iż nie

miał prawa do tego, a przecież to uczynił, zatem, niech przynajmniej sam płaci za własną winę. To powiedziawszy, Kiersnowski obrócił się do słuchaczów i dodał:

— Oto tobie, królu, pisarstwo!

Sam koniec sejmu, jak zwykle z dnia na dzień przewlekany, potem naglony, nikogo nie zaspokoił. Ale król się zbytnio na tok rozpraw uskarżać nie mógł. Obalone krzyże, Hadziacz, pomniejsze sprawy zabezpieczały go od słuchania wymówek i nalegań.

Wszystko zostało, jak było na dworze, z tą różnicą, że Kazimierza z Karolem pogodzono, choć z trudem niemałym. Nowoprzybyły ex-kardynał dał się w czasie sejmu użyć, jako rozjemca w kilku ugodach (Hadziacz), ale dowiódł razem, że do tego wielkich zdolności nie miał.

W lecie Władysław począł się wybierać na Litwę dla łowów, w rzeczy zaś samej, aby w Warszawie na zamku, gdzie był na oku królowej, nie siedzieć.

Dzień wyjazdu był już naznaczony, gdy Adam Kazanowski na trzy dni przedtem rano wszedłszy do sypialni, zastał Władysława z twarzą posępną, zadumanego jakoś dziwnie. Nie była to troska dni powszednich, ale coś, co go, nie drażniąc, dotknęło. Kazanowski widział, że gdy szło o pospolite nieprzyjemności, którym zaradzić było w mocy ludzkiej, król zżymał się i niecierpliwił; tym razem był tylko smutny.

Z troskliwością począł go rozpytywać Kazanowski. Władysław ręką potarł czoło zasępione.

— Sen miałem — rzekł — który zostawił po sobie wrażenie, i pozbyć się go nie mogę.

Adam zaczął nalegać o to, co mu się śniło.

— Widziało mi się — odezwał się król głosem zmienionym — że nieboszczka matka królewicza chciała go z sobą wziąć w jakąś podróż. Ja nie chciałem na to pozwolić dla złej pory na co mi Cecylia odpowiedziała, że syna swojego na pewne miejsce zaprowadzi.

Kazanowski starał się rozproszyć myśli tęskne, tłumacząc sen przygotowaniami do podróży, i Władysław łatwo zmieniający usposobienia, zwolna się rozchmurzył.

Około południa jednak posłał się dowiedzieć o królewicza i zażądał go widzieć. Powiedziano mu, że z dozorcą wyszedł na przechadzkę i miał, wracając z niej, chorych wojewodziców pomorskich odwiedzić.

Wieczorem królewicz zasłabł i położył się w łóżko; dostał biegunki krwawej. Zaniepokoiło to dwór cały, króla, królowę i poruszyło lekarzy, których natychmiast wezwano.

Było to we wtorek. W nocy wywiązała się gorączka bardzo silna, ale niebezpieczeństwa nie widziano jeszcze i króla starano się uspokoić.

Przypadkiem drugiego dnia posłany ks. de Fleury od królowej do niego, zastał go niespokojnym i poruszonym; przeczucie jakieś dręczyło go.

— Mój ojcze — zapytał pocichu i nieśmiało — chciałżeby Bóg za grzechy moje karać mnie, odbierając skarb jedyny? Toby było okrucieństwo!

Zmieszany kapłan nie mógł odpowiedzieć inaczej, jak wyrazy ogólnemi pociechy i nadziei.

Tymczasem lekarze utracili już wszelką nadzieję uratowania biednego dziecięcia, które, pomimo choroby i gorączki, z dziwnym spokojem zdawało się na śmierć gotować.

W piątek wieczorem Zygmunt kazał sobie podać gromnicę i odezwał się słabym głosem:

— Dziś się spodziewam oglądać Matkę Boską.

Wkrótce potem, modląc się, chłopię niewinne zmarło spokojnie.

Niewysłowiony zamęt sprawiło to na zamku. Nikt nie śmiał oznajmić o tem królowi, który posyłał dowiadywać się ciągle, i odbierał odpowiedzi, że dziecię chore jest bardzo. Posłano po Kazanowskiego, gdyż królowa, cała we łzach, nie miała odwagi iść z tem do męża.

Marszałek nadbiegł, gdy Zygmunt już leżał martwy, z dziecięcym uśmiechem na ustach. Książę Karol i Kazimierz byli już tutaj, a pierwszy z nich odmawiał modlitwy.

Ponieważ nazajutrz naznaczony był wyjazd na Litwę, zdawało się, że król go zwlecze z powodu tego zgonu

i znużenia, bo w ciągu ostatniego dnia choroby nie miał nic w ustach, płacząc ciągle.

Kazanowski postanowił nie kryć dłużej nieszczęścia. Wchodząc do sypialni, takie już miał żałobne oblicze, iż się z niego domyśleć było można katastrofy. Kazimierz i Karol szli za nim. Zobaczywszy ich, Władysław oczy sobie zakrył. Nie potrzebowali mówić: wiedział, co mu przynieśli.

Przez długi czas, nie mówiąc nic, król płakał.

Weszła królowa z kondolencyą także, ale pozostała krótko. Nieporuszony, trwał tak na łożu do późnej nocy, poczem przywołał Kazanowskiego.

W umyśle jego zaszedł jakiś zwrot nagły; począł gorączkowo wydawać rozkazy do pogrzebu syna. Ciało miano prowadzić do Krakowa, do królewskich grobów.

O sobie nie mówił król nic, milczał, lub urywanemi słowy dawał dodatkowe rozkazy, lecz widać było stopniowo nadchodzące uspokojenie.

Kazanowski, który go znał dobrze, wiedział, że w głębokim żalu nie wytrwa, że natura, temperament każą mu natychmiast szukać rozrywki jakiejś, roztargnienia, zapomnienia. Zatapiać się w goryczy i smutku nie było jego zwyczajem, gniewał się burzył, ale wybuch trwał krótko i po nim często nawracała wesołość sprzeczniejsza.

Z tem wszystkiem wyjazd na Litwę, dokąd królowa towarzyszyć miała mężowi, zdawał się tak rychło niepodobieństwem; ale stało się nad wszelkie spodziewanie przeciwnie, gdyż Władysław, zapytany o tę podróż, zamruczał, że rozkazy były wydane i że zmienione nie będą.

W kilka dni potem w Grodzieńskiej puszczy w Iziorze król strzelał do łosiów, które w ostępie, sieciami otoczonym, napędzano, i w pierwszych łowach padło ich trzydzieści osiem sztuk [1]).

Dla wielu co Władysława nie znali zdawna, ta pozorna obojętność po śmierci syna jedynaka, gdy nie miał już nadziei dochowania się potomstwa, wydawała się niepojętą. Ale pod tą skorupą lodowatą, którą wyrobiły

[1]) Rmp. Desnoyers.

obyczaje, którą może czynił twardszą rodzaj męskiej dumy, niechcącej się poddać boleści, Władysław cierpiał straszliwie.

Od śmierci syna zobojętniał na wszystko prawie, co nie było namiętną rozrywką, mogącą mu dać zapomnienie, rodzaj upojenia i znieczulenia. Magnus napróżno się go starał rozgrzać polityką, inni zabawiać zaciągami ulubionemi, przygotowaniami do wojny, projektami przyszłości na Wschodzie. Władysław słuchał o nich, jakby echo dni ubiegłych dochodziło jego uszu; na teraz było mu to już obojętnem. Starania o rozpoczęte sprawy poruczał drugim.

Jedno tylko uczucie pozostało żywem z dziejów tych pogrzebionych — żal i gniew przeciwko szlachcie, iż mu stanęła oporem w chwili, gdy marzył o wielkiej wyprawie na pogan.

Na listy Zaporożców kazał odpowiedzieć z łaskawością wielką, a chodziła wieść, że jednemu z potajemnych posłów od Niżu, skarżących się na ucisk panów polskich nad ludem tamtejszym, miał burknąć gniewnie.

— Macież przecie szable i kopie! Brońcie się i nie dajcie sobie czynić krzywdy szlachcie.

Słowo to, prawdziwe, czy narzucone królowi, padło jak iskra w posuchę na wiszary. Kozaczyzna zaczęła ruszać się lutnie, króla czując za sobą.

W tym też czasie Kanclerz Ossoliński zawezwał do siebie Płazę, listy dla niego były gotowe, miał je natychmiast na Niż odwozić.

Chociaż spodziewana, wiadomość ta, jak piorun spadła na Lasotę. Tegoż dnia z Lackowiczem na radę poszedł do ks. Stoczka. Spełna nie wiedział, co pocznie. Listów z powrotem na Niż, a choćby tylko do Kijowa, odwozić nie chciał. Wiedział, że Parfen go podejrzewał i przez mnogich potajemnych kozaczych posłów musiał dać znać o tem starszyźnie. Choćby więc jechał z listami, był pewien, że go tam pochwycą, uwiężą, lub stracą, nie słuchając uniewinnienia.

Zostać wprost w Warszawie, czyniąc się chorym, nie było też bardzo bezpiecznem. Jeżeli starszyzna po-

dejrzewała go o odstępstwo i zdradę, a chciała się pomścić łatwo i tu, pod bokiem króla, mogła znaleźć środki sprzątnięcia go. Dość na to było jednego Parfena, a Płaza i Lackowicz wiedzieli, że on tu pewnie sam nie był.

Stoczek słuchał sprawy skłopotany.

— Mój Lasoto — rzekł — jam żaden dworak i polityk, wszelką rzecz wedle prawa Chrystusowego mierzę i rozsądzam. Służyłeś im, póki ci sumienie pozwalało, nie zdradzając, ze służby wystąpić masz prawo otwarcie, spokojn e.

— Ale oni niechybnie mścić się będą! — wtrącił Lackowicz. — Jedyny sposób — ujść potrzeba!

Drugiego dnia po bezowocnej naradzie u ks. Stoczka, Płaza się musiał stawić do Ossolińskiego, który już miał listy gotowe. Zaniedbać je zabrać było niebezpieczniejszem nad wszystko.

Płaza, który po nadaremnych obradach, wkońcu na własny rozum spuścić się musiał, poszedł w oznaczonej godzinie do Ossolińskiego. Przyjęcie i odprawa tym razem niewiele się różniły od pierwszych.

Lasota odebrał listy i wiatyk, wyznaczony mu na podróż, i poszedł z niemi do domu. Lackowicz czekał na niego.

Płaza się rozdział do koszuli i położył w łóżko.

— Idź, sprowadź do mnie Parfena — rzekł — innego ja wyjścia nie widzę... Szukaj na mieście, około gospód na Długiej ulicy, gdzie chcesz, a wcześnie mu oznajm, żem chory, w kościach mam łamanie takie, iż mi na koń siąść niepodobna.

Niedługo na Parfena czekać było potrzeba; jak gdyby już wiedział, poco go to zawołano, z dumno-szyderskim uśmieszkiem wszedł do dworku i do łoża Płazy.

— Hej! hej! — zawołał żartobliwie. — Co to ja widzę, wy w łóżku? Albo to Kozakowi przystało?

Płaza się zmieszał.

— W kościach straszne łamanie — rzekł — jużem maści różnych próbował, nie pomaga nic.

Kozak śmiał się pod wąsem.

— U nas pogadanka taka, że maści niema, jak dębowa — zamruczał.

— Ani ręką, ani nogą ruszyć — przerwał prędko gospodarz, podając gościowi czarkę wódki, którą przyniósł Lackowicz.

— Za wasze zdrowie! — wychylił Parfen — bodajeśmy lycha nie znały.

— Mnie ta choroba właśnie w porę — ciągnął, nie zważając na urągający ton, z jakim się Parfen odzywał. — Listy mi odpowiednie dano, trzebaby jak nie dziś, to jutro zaraz na koń, bo tam pewnie stoi co pilnego, a tu ja niezdrów!

— E! e! — rzekł chytrze Parfen. — Jakby listy poczekały dzień dwa, nie zaśmierdzą się przecie. To nie zwierzyna, ani ryba.

— Żebym ja wiedział, że za parę dni ozdrowieję — rzekł cicho Płaza — ale ja tego pewnym nie jestem. Radź ty mnie... co robić?...

— Hm — rzekł Parfen — kiedy w Lackowiczu zaufanie macie, niech on na waszą odpowiedzialność jedzie.

Lackowicz i Płaza spojrzeli na siebie, porozumiewając się. Kozak ich brał na próbę.

— Ja Carycy wierzę, jak sobie samemu — odpowiedział Lasota — ale się o jedno boję. Czasem, jak poczuje pot... szaleje! Naówczas zapomina i o sobie, i o wszystkiem, a gdyby nie listy królewskie, ale choćby nie wiem jakie z nieba od aniołów wiózł, gotów się rzucić, i gardła i ich nastawić.

Parfen głowę z ramienia na ramię przechylał. Milczeł, a Płaza wódki nalał powtórę; Parfen ją wypił językiem mlasnął, bo mu smakowała i zamyślił się.

— No, co? — spytał Paza.

— No, co? — powtórzył Kozak. — Albo ja wiem..

— Gdybym i pojechał — ciągnął, stękając, gospodarz — sam jeden, oblegnę gdzie w gospodzie, a chowaj Chryste jakiego przypadku, listy się mogą dostać w ręce takie...

Zamilkł moment krótki.

— Mnieby się widziało — dodał, poczekawszy — gdybyś ty ode mnie i pieniądze na drogę i pisma wziął a jechał z niemi sam. Weź i konia bodaj... toby było najbezpieczniej!

— Chytro! — szepnął Parfen pocichu — a no, ja, batku, kiedy mnie na czacie bywało, postawią a zapomną, to ja trawę jem i korzonki, a nie zejdę ze straży. Ja tu także może na czatach... sam nie wiem, ale przykazanie mam nie odchodzić.

Płaza głową pokręcił.

— Już nie wiem, co pocznę!

— Ja też niemądry! — dołożył Kozak. — A no — wtrącił, śmiejąc się — wódka u ciebie dobra, ty ją chyba w aptece bierzesz, bo aptekarze, słyszę, robią najlepszą.

Zamyślony Płaza nie odpowiedział, ale skinął, aby nalano jeszcze kubek Parfenowi, który pił, jak wodę, i ani się nawet zarumienił.

— Jabym tobie radził, choć wozem, a jechać — rzekł po małym odpoczynku. — Prawda, że naszemu bratu na wozie, jak baba z garnkami z jarmarku wlec się, srom, ale kiedy w kościach łamie...

— I nogi mi ponapuchały — dodał Płaza.

Parfen spojrzał ku nogom, jakby to chciał sprawdzić, ale gospodarz ich nie odkrył.

— Co wóz pomoże! — westchnął.

— Bieda! — zamruczał Parfen.

Zamilkł i po izbie chodzić począł.

Lackowicz, który wierzył w to, że umiał jednać sobie Kozaków, wziął go pod rękę i szeptał coś do ucha.

— Do jutra! — rzekł Parfen. — Przyjdę zrana, zobaczymy...

Bietka, niezupełnie wtajemniczona, wiedząc tylko, że ojciec miał jakąś troskę, narady, niepokój, chciała od niego dowiedzieć się o wszystkiem, wierząc w to, że i jej rozumek mógł się na coś przydać. Ale Płaza ją w czoło pocałował i zwierzać się nie chciał.

— Jechać nie pojadę za nic — mówił. — Dziecka nie porzucę, a choćbym nawet ją wydał i o los się ubezpieczył, co ja tam robić będę? Oni nie na Tatara, ani na

Turka, ani na Moskwę, ale na polską szlachtę szable ostrzą, a jabym miał z nimi na swoich iść?

Lackowicz też, choć szlachty nie lubi, lachem się czuł, a mścić się nie miał ochoty.

— Ja też na Niż nie powrócę — rzekł — a nie znajdę służby tu, zaciągnę się do cesarskich, albo do francuskich pułków, jeżeli oni je złożą.

Płaza w nocy pomyślał, że choćby mu przyszło córkę zostawić u ciwunowej, a samemu nocą w Krakowskie zbiedz, i na to był gotów.

— Ja z tobą — dodał Lackowicz.

—Zrana czekali Parfena do południa prawie. Nadszedł już trochę podweselony, a bardzo butny. Siadł u łóżka Płazy.

— No, a co kości twoje?

— Gorzej, niż wczora. Męczyłem się przez całą noc — rzekł Płaza.

— No, tu niema z tobą co poczynać—dodał Parfen, — dawaj mi listy, ja już będę wiedział, co z niemi robić. Jeszcze u ciebie sumienie jest, żeś ich nie zniszczył.

Oburzył się Płaza, a Kozak go po ramieniu poklepał.

— Nie sierdź się — rzekł — chytry jesteś, ale bywają gorsi od ciebie. Gdzie te listy?

Płaza dobył chustę zawiązaną z pod poduszki i pokazał ją. Par en popatrzył na pieczęcie, czy były nienaruszone i z poszanowaniem zawinął znowu. Dobył jeszcze jedną chustę własną, obmotał w nią papiery i założył za pazuchę głęboko pod koszulę.

Tymczasem Płaza, dostawszy sakiewkę, liczył na brzegu łóżka złotą i srebrną monetę, którą mu Ossoliński dał na drogę. Parfen milczał, wódkę popijając. Nie sprzeczał się o pieniądze, ani ich wymagał więcej, dumał...

— Zbyliście się ciężaru — szepnął, przerywając milczenie — zdaje się wszystko skończone... hę? Ale ja nie wiem, co na to starszyzna powie. Może ty jej byłeś potrzebny, może ty znasz nasze sekrety dnieprowe, nasze schówki i niedostępne kryjówki? Myślisz, że tobie z tem po świecie dadzą chodzić, gdyby się wojna miała

rozpocząć? Nie wiem, a jabym nigdy takiego nie żywił, coby moje życie trzymał w garści.

Wtem Płaza zaklął się, że o żadnych tajemnicach nie wiedział.

— Albom to ja do rady należał? — odparł. — Chodziłem, gdy było potrzeba i biłem się, a w koszu nie rządziłem.

— Ale tyle lat po ostrowach ty naszych pływał i chodził — mówił — z ciebie przewodnik dla naszego nieprzyjaciela byłby straszny.

— A któż tu wasz nieprzyjaciel? — zapytał Płaza.

Parfen mu nie dał mówić dłużej.

— Kto? Wy tu wszyscy nasi nieprzyjaciele, bo my naród chłopski, a wy panowie szlachta i króliki. Wy tak samo nas głaskacie i płacicie, jak i Tatarów, i tak samo użyć gotowi, gdyby się nadarzyła zręczność, w pień wysiec. Z królem to co innego. Szlachta z nim się zadziera, my jemu pomódz gotowi...

Wtem, jakby się opamiętawszy, że nadto był szczerym, dopił nagle wódki, dłonią się po ustach uderzył.

— Milczeć! — zawołał po rusku! — Tu u was w Warszawie nawet my się zarażamy gadaniną, i sami siebie zdradzamy.

Wstał Parfen, rękami jeszcze opatrując, czy zabrane listy dobrze mu do piersi przystały.

— No, batku, no batku — rzekł wesoło — bo już nie wiem, jak was teraz zwać, bogdajbyście się prędko na nogi podnieśli i wyzdrowieli. Sicz, kto to wie, gdybyście chcieli, i tuby się wami posłużyć mogła. My też panów rezydentów potrzebujemy, jak oto ci, co tu na dworze siedzą, od różnych Niemców... tylko nasz rezydent musi przestać na czosnku i gorzałce, bo my mu nie damy dużo... ale o tem gadać nie pora.

Lackowicz wtrącił, śmiejąc się, i klepiąc go po szerokich plecach·

— Lep zego rezydenta. jak wy, nie dostaną.

Parfen głową zaprzeczył.

— Nie — rzekł, — bo ja na zamek nie pójdę i rozmówić się z panem bratem nie umiem. Nim do mnie co

dojdzie, tyle gąb przeżuje, naślini, poszarpie, że już nie poznasz, co to było. Jarema—to co innego.

Nałożył kołpak na głowę.

— Zdrowi bądźcie!

— A wy, zajdźcież—bo do nas czasami — rzekł Płaza, żegnając się.

— Nie potrzeba, aby mnie ludzie u was widywali — odparł kozak,—ani to dla mnie zdrowo, ani dla was. Zechcecie co ode mnie, ja się kręcę koło gospód na tej Długiej ulicy; nadybać mnie łatwo, jam na nogach cały dzień.

Bietka, która pode drzwiami wszystkich prawie tych rozmów podsłuchiwała, niespokojną będąc o ojca, trochę się teraz o niego mniej obawiała; ale dla niej życie nowe, po długiem nawyknieniu do ruchu i zajęć u dworu, do obyczajów jego, nawet do powszednich warunków, dość wydawało się smutnem. Była tu więcej panią swego czasu i czynności, lecz nie wiedziała, jak rozporządzać niemi.

Myśli jej leciały do biednego Nietykszy; spoglądała na pierścionek, powtarzała sobie, co słyszała o starej matce, niepokoiła się tem, że jej o sobie znać nie dawał i nie powracał. Być zresztą mogło, że już się dostał na dwór księcia Albrechta, ale kanclerz należał do tych magnatów ówczesnych, co nigdy prawie nie siedzieli w miejscu. Kilka tygodni w Ołyce, potem w Wilnie, to w Krakowskiem, to w stolicy; dwór i on zimę i lato w nieustannych spędzali wędrówkach.

Mnóstwo interesów prywatnych, familijnych, urzędowych, przyjacielskich, sprawy niezliczone w sądach ks. kanclerzowi spoczywać nie dozwalały. Można się też było spodziewać go i w Warszawie.

Tęskniąc za Nietykszą, Bietka codzień się spotykała z pięknym Lackowiczem, który w początku wydał jej się rubasznym do zbytku, ale wielką służbistością powoli życzliwość pozyskał. Prawda, że rozmowy z nim prowadzić o czem innem, jak o Siczy, lub o bardzo powszednich rzeczach było trudno. Słuchał rad, mówić

nie miał co. Czasem, gdy dziecinne lata swe o głodzie i chłodzie przypominał, stawał się wymownym.

Bietka dla niego wyglądała, jak wielka pani jakaś i królowa; ale też czcił ją i miłował, jak chyba asceci Boga kochają. Nie marzyło mu się nawet, aby mógł więcej do niej się zbliżyć, choć Płaza żywił w głębi serca nadzieję, że córkę wyda za niego.

Lepszego opiekuna znaleźć dla niej nie mógł, a o kochaniu, miłości i szczególnem przywiązaniu do kogoś, obyczajem wieku, wcale wiedzieć nie chciał. Według jego teoryi — przystojny mężczyzna czemu się nie miał podobać? Ten, czy inny, byle na przyszłość dawał rękojmię uczciwego pożycia.

Stary tej swej Bietki rozmarzonej i zepsutej na dworze królewskim wcale nie rozumiał. Wiele dobrych przymiotów mieszało się w niej w całość szczególną z wadami i dziwactwami, które wpoiło ocieranie się o najbezwstydniejsze służalstwo. Miała porywy szlachetne i chętki złośliwe... mściwą była, nieufną. A to, że jej się na dworze wpośród tylu i tak rozmaitych zręcznych wsławionych intrygantów zawsze udawało wychodzić zwycięsko, wbijało ją w dumę.

Dwa razy Nietyksza za nią krew przelewał — czuła się mu wdzięczną i obowiązaną, ale matki jego nienawidziła. Czuła się coś wartą... Tylu zabiegało około niej, gdy była na dworze, iż mogła sobie zamążpójście szczęśliwe i zamożne obiecywać.

O Lackowiczu, który się jej wydawał trochę stary, a był dla niej za poślednim człowiekiem, ani pomyślała nigdy.

Ale im dłużej Litwin jej kazał czekać na siebie, tem się jej duma czuła mocniej podrażnioną.

— Słowa mu dotrzymam — mówiła sobie — ale... za krew mu płacę mojem upokorzeniem. Cały świat rozpowiada, że on mnie nie chce.

Kiedy niekiedy to panna Duret z drugą towarzyszką przychodziła do dworku na Nowe Miasto, to Bietka znudzona, sama biegła na zamek dowiadywać, co się tam dzieje.

Tam zaś to tylko było widocznem, że królowa rosła w potęgę, a król obojętniał na wszystko. Miewał napady niecierpliwości, dochodzące prawie do szaleństwa, a po nich wpadał w odrętwienie. Od śmierci syna sprawy publiczne obchodziły go tylko o tyle, o ile miłość jego własną drażniły, lub jej pochlebiały.

Pac, jak był wprzódy, pozostawał na tym upadlającym urzędzie, który mu jednał łaski pana, ale u ludzi pogardę. Tylko z obawy kłaniano mu się; przyjaciół nie miał wcale.

Królewicz Jan Kazimierz, co odrazu było przewidzianem, a nieznośnie męczyło królowę, panny jej fraucymeru prześladował miłostkami swemi, z których nie miał najmniejszej korzyści. Wzdychał do pięknej panny Duret, a że des Essarts nad fraucymerem panowała, nadskakiwał jej, co wszystko szło na marne. Obok panny Duret, tych fantazyi w postaci panien, wdów, mężatek, ex-kardynał tyle razem żywił, iż gdy mu się tu nie powodziło, miał się gdzie pocieszyć.

On i książę Karol, brat jego, były to dwa tak sprzeczne charaktery, iż z sobą w parze nigdy iść nie mogły. Biskup wrocławski siedział zamknięty, modlił się, pisał sam wszystkie rachunki domu swojego, sprowadzał drzewa do ogródka, cebule z Holandyi, nasiona, niekiedy sam kopał grządki, od ludzi stronił, czasu wiele spędzał na nabożeństwie, a na kobiety patrzeć nawet nie chciał. Nigdy się do żadnej nie zbliżył. Jedyną wadą jego charakteru było, że się czasem unosił gwałtownie, a naówczas zapominał aż do ostateczności.

Jan Kazimierz niespokojny, zgorzkniały, skwaszony, zazdrosny, kapryśny, coraz pragnący czegoś innego, był prawdziwem utrapieniem dla tych, co z nim obcować musieli. To też na zamku panowało teraz zamieszanie i prawdziwa wieża Babel. Jedna królowa powagą swoją czasami umiała powściągnąć Kazimierza, który ją szanował i był posłusznym.

Ponieważ król chorzał ciągle i nikt mu długiego życia nie obiecywał, bo najmniejsza nieostrożność mogła wywołać przesilenie choroby śmiertelne, wielcy sta-

tyści zawczasu już przebąkiwali, kto weźmie spuściznę po Władysławie.

Ale szeptano po cichu.

Stan duchowny nie był na zawadzie księciu Karolowi, bo papież, jak uwolnił Jana Kazimierza od jego ślubów, tak mógł i brata jego sekularyzować. Poza tą dynastyą, w której jeszcze jakaś kropelka krwi jagiellońskiej płynęła, nie wybiegano dalej myślami. Byli to kandydaci naturalni...

W jednej ze swych wycieczek do zamku Bietka, która tu zawsze się ożywiała, rozweselała, — spotkała w korytarzu niejakiego Tołoczkę, dworzanina kanclerza. Był to dobrze jej znany przyjaciel Nietykszy.

— A wy tu co robicie?—zapytała go.

— Listy przywiozłem do króla JMci od kanclerza — rzekł Tołoczko. — Pytałem o was, powiedzieli mi, że już zamek opuściliście.

— Wygnali mnie! — śmiejąc się, odezwało dziewczę.—Wydawałam się tak niebezpieczną...

Rozmowa w korytarzu nie była wygodną.

— Przyjdźcie do mnie, mieszkam z ojcem — odezwało się dziewczę.

Nazajutrz rano Litwin się stawił. Płazy i jego przyjaciela nie było, ale Bietka, choć sama, przyjęła go.

Nie śmiała pytać o Nietykszę, bo jej wstyd było; sam jednak Tołoczko się domyślił, że ciekawą być musiała.

— Nietykszy matka nie puszcza od siebie — rzekł z uśmiechem — gwałtem go żenić chce, ale dotąd się jej nie udało.

Bietka milczała.

— Panny wszystkie piękne, a dobiera mu majętnych — mówił otwarcie gość — ale on na żadną patrzeć nie chce.

Z rumieńcem na twarzy słuchało dziewczę, gdy Tołoczko wyliczał jej wszystkie znajome sobie na wydaniu panny, opisując, jak wyglądały.

— Jużto — rzekł — żadna tam niestraszna, krom panny Ponikwickiej, bo ta i piękna, jak anioł... choć od

was nie piękniejsza — poprawił się Toloczko — i trzy wsie ma posagu, a gotówką, mówią, kilka jeszcze tysięcy. Stara Nietykszyna jej krewną, więc ją do siebie do domu zabiera i po całych tygodniach trzyma. Choć syn na polowanie jeździ i wymyka się, przecież czasem w domu siedzieć też musi...

Puścił się tak Toloczko niepotrzebnie w opowiadanie, którego Bietka ani jednem słowem nie przerywała, ale gdy skończył, pożegnał się i odszedł, w głowie się jej zakręciło, łzy rzuciły i zemdlała.

Trwało to chwilkę tylko. Wstała mężną, a że po płaczu nigdy oczy umywać nie miała zwyczaju, gdy ojciec powrócił, zastał ją z tak zaczerwienionemi powiekami, iż natychmiast spytał niespokojny:

— Co tobie?—płakałaś?

Bietka usiłowała się uśmiechnąć.

— E! — rzekła — co za dziw, że głupia dziewczyna popłacze! Niema tam nic!

— Za czemże i za kimbyś ty miała te swoje śliczne wypłakiwać oczy?—mówił dalej Płaza, ramionami niecierpliwie poruszając, — dałabyś sobie pokój! Na niczem ci nie zbywa i nie zbędzie, a jak zechcesz zamąż iść, znajdziesz sobie...

— Ale ja zamąż iść nie myślę wcale! — przerwała gwałtownie Bietka—ani mi w głowie!

Zakręciła się i wyszła.

Tego dnia i następnego okręcała ciągle na paluszku zaręczynowy pierścionek, pytając się siebie:

— Odesłać go, czy nie?

Zdawało się jej jednak, że Toloczko mógł jeśli nie kłamać, to dokładać, a kto wie? nawet może być namówionym przez starą Nietykszynę?

Postanowiła więc czekać, gdy wtem nadeszły wypadki, które jej całkiem o Nietykszy zapomnieć kazały.

Po oddaniu listów kanclerza Kozakowi, Płaza długo w łóżku wytrzymać nie mógł. Parfena też widać nie było i wnosił stąd on i Lackowicz, że pewnie sam z niemi na Niż wyjechał, obawiając się je powierzyć komu. Nie potrzebował więc Płaza w łóżku się męczyć i ukrywać

się z sobą, bo z kanclerzem choćby się gdzie spotkał, tenby go pewnie ani przypomniał, ni poznał.

Wstawszy, on i jego towarzysz poczęli wychodzić na miasto, zbierając do dworku, co jeszcze do gospodarstwa brakowało. Stary Lasota uspokoił się co do listów zupełnie i obu im z wiernym towarzyszem zdawało się, że sprawa ubita, a na Siczy, nałajawszy im, więcej o nich myśleć nie będą.

I jednego wieczora Płaza, znudziwszy się sam jeden, bo Lackowicz aż na Skarzyszew za czemś poszedł, wymknął się z dworku, obiecując że rychło powróci.

Tymczasem dobrze zmierzchło, Lackowicz z kupią przyszedł, wieczerza była gotowa, a Płaza nie powracał.

Rzadko się to trafiało, aby się spóźnił, ale nie była to rzecz niepraktykowana, nakryto więc do stołu; czekała Bietka, od okna do okna chodząc, potem na ganek i aż do wrót, coraz bardziej niespokojna. Wreszcie i wierny towarzysz począł się troskać, co mu się stać mogło? Chwycił za kołpak i wybiegł.

Noc nadeszła. Lackowicz, nigdzie go nie napytawszy, przyszedł pewien, że doma już zastanie. Znalazł tylko Bietkę rozgorączkowaną, poruszoną, przelękłą—Płazy nie było.

Musiał mu się trafić przypadek jakiś, gdyż nigdy się tak nie zapominał i nie kazał czekać na siebie. Przyznawał towarzysz jego, że wistocie nie było to bez kozery; ale dokąd iść? gdzie pytać? jak szukać?

Całą noc paliło się światło; siedziała Bietka, popłakując, a Lackowicz chodził około dworku jak na warcie. Nadszedł ranek... Płazy nie było.

Oznajmiwszy się córce, iż idzie szukać i pytać, smutny i bardzo sam zatrwożony, Lackowicz się puścił na miasto. A że Parfen kręcił się około gospód na Długiej ulicy i tam można było najpewniej go spotkać, poszedł naprzód od jednej do drugiej wypatrując.

Kozaka nie było nigdzie, a o Płazie żadnej wiadomości.

Nie mając innej skazówki, pochodziwszy około zam-

ku, przebłądziwszy przez ulic kilka, zajrzawszy do izb pod wiechą, Lackowicz już z południa miał wrócić do dworku, gdy u bramy na Krakowskiem spotkał się z jadącym konno Parfenem.

— Stój! stój! — zawołał, podchodząc i za cugle chwytając.—Nie wiecie co o Jaremie?

Parfen ramiona do góry podniósł.

— A toż chory leży!

— Nie, wstał wczoraj — odezwał się Lackowicz,— o kiju poszedł się przejść na miasto, i niema go dotąd.

— Zachorzał pewnie gdzie — rzekł obojętnie Kozak.

— A wy skąd jedziecie?

— Ja? — odparł Parfen — ja sobie tak w pole trochę ruszył, bo mi tu było duszno w tym smrodzie.

To mówiąc, Parfen na konia cmoknął i pojechał.

Z niczem do dworku powróciwszy, Kozak i Bietki nie zastał. Ta pobiegła na zamek do Bieleckiego, o radę prosząc i o to, ażeby miejscy pachołkowie na mieście się dowiadywali. Sama nie wiedziała, co począć, straciła głowę. Lackowicz chodził, jak zbity.

Upłynęło dni dwa, trzy, nie zmieniło się nic, tylko Parfen przyszedł do dworku dowiedzieć się o Jaremę; a gdy mu powiedziano, że go nie było i słuchu o nim nie miano, zasępił się, potrząsnął głową i poszedł.

Bietce na zamku nie poszczęściło się, bo naówczas w mieście ani na dworze nie było takiego porządku i pilności, aby zagubionego człowieka inaczej, jak wypadkiem, znaleźć było można. Poruszyła ona wszystkie sprężyny, zaniepokoiła wszystkich, a skończyło się na tem, iż zniknięcie Płazy złożono na owe zaciągi cudzoziemskie, które rozłożone około Warszawy, tu jak wszędzie sobie bezkarnie pozwalały wiele.

Gdyby jednak Płaza był zabitym, znalezionoby trupa około miasta, i na tych pustych placach, na których po nocach rozbijano. W żadnej z gospód nikt go nie widział.

Było coś dziwnie tajemniczego w tem nagłem bez najmniejszego śladu zniknięciu człowieka spokojnego,

który nikomu wody nie zamącił, a powierzchownością skromną nie mógł rabusiów znęcić. Był zaś, mimo wieku, tak silny, że się dwu i trzech nie uląkł, i bez szabli swej krokiem z domu nie ruszył nigdy.

Bietka ze łzami dotarła aż do królowej, rzuciła się jej do nóg, ale Marya Ludwika nic jej poradzić nie mogła. Marszałek zaś Kazanowski, którego ciwunowa uprosiła, swoich pacholków porozsyłał, zalecił im szukać, dowiadywać się, naznaczył nawet nagrodę, ale i to nie pomogło.

Ks. Stoczek codzień na intencyę przyjaciela odprawiał nabożeństwo.

Upłynęło tak tygodni parę, a Lackowicz, który dotąd mieszkał we dworku, zmiarkował, że tu mu teraz, gdy jedno dziewczę samo zostało, nie wypada siedzieć dłużej. Związał więc mały węzełek swój i zwątpiwszy już o Płazie, myślał ruszyć do Krakowa. Bietka uprzejmą była dla niego, ale nie okazywała najmniejszej czułości, ani nawet dopominała się opieki.

Gdy jednak przyszło mu opuszczać dworek i Warszawę, poczuł taką tęsknotę i trwogę, że mu sił zabrakło.

Z dworku musiał się wynosić. Jednego więc zrana, związawszy rzeczy, poszedł do Bietki.

— Mnie tu niema co robić — rzekł po prostu, — a widzi mi się, nie mogę ja z wami tak mieszkać, ni przyjaciel, ni sługa. Zechcecie co ode mnie...

Nie dała mu dokończyć Bietka.

— Cóż wy myślicie poczynać?

— Służby sobie szukać.

Milczała, wcale go nie wstrzymując.

— Ojciec mi mówił — dodała po chwili, — że wam winien wiele. Potrzebujecie czego, mówcie mi otwarcie.

Lackowicz głową potrząsnął.

— Ojciec wasz — rzekł — dał mi już, ile potrzebowałem.

— Dopóki jesteście w Warszawie, dowiadujcie się o mnie—dokończyło dziewczę.

— No, a wy? — nieśmiało odezwał się przyjaciel— co myślicie?

— Muszę czekać, nie straciłam jeszcze nadziei — odparła po cichu Bietka—a potem—sama nie wiem.

Zostawszy z jedną sługą sama we dworku, niebardzo się czując tu bezpieczną, myślała już sierota przenieść się do Bieleckich, potem Łukasz jej nastręczył stróża, za którego ręczył—pozostała jeszcze we dworku.

Co się z Płazą stało? Biedna łamała sobie głowę, nie mogła zrozumieć, ni zgadnąć. Lackowicz nie mówił jej nic, ale się domyślał. Wejrzenie ukośne i mina Parfena, ile razy się spotkali, mówiły wiele, chociaż w rozmowie Kozak tak bolał nad losem Płazy i tak różne domysły czynił, jakby w świecie o niczem nie wiedział.

Upłynęło kilka miesięcy. Bietka już straciła wszelką nadzieję wyszukania ojca, a nawet dowiedzenia się o losie jego, gdy przybywający do Warszawy ks. Albrecht, o którym się dowiedziała, przypomniał jej Nietykszę. Sądziła, że pewnie się znajdzie w orszaku kanclerza, ale nie było go. Przyszedł tylko w kilka dni niezmiernie zakłopotany jakiś Woroszyłło, przyjaciel jego, z pozdrowieniem niby...

Na warzy jego widać było taką komizeracyę, że Bietka się już najgorszych wiadomości od Nietykszy mogła spodziewać, a nie mogąc ich doczekać, wręcz sama o niego spytała.

— E! paniusiu moja — odezwał się Woroszyłło— to bałamut... już nie myślcie o nim.

Pobladło dziewczę, ale chłodno i mężnie dodało:

— No, cóż? ożenił się z Ponikwicką?

Rzucił się aż Woroszyłło zdziwiony.

— Skądże wy o tem wiecie?—zawołał.

Zamiast odpowiedzi zobaczył tylko dwa strumienie łez.

— Nie mam co już obwijać przed wami — począł, wzdychając. — Przywiozłem list i pierścionek. Nie będę go rozgrzeszał ani tłumaczył, paniusiu moja, bo słowo dał i dotrzymać go był powinien, ale matka, jak mu się rozchorzała, jak na śmiertelnem łożu poczęła go zaklinać, że nie umrze spokojną, póki go ożenionym nie zobaczy, biedaczysko uledz musiał.

Bietka z zakąszonemi usty słuchała. Powoli zdjęła z palca pierścionek zaręczynowy, który tyle razy całowała i łzami oblewała i położyła go spokojnie dosyć przed Woroszyłłą, który naprzód dostał listu z za żupanika, a potem pudełeczka z pierścieniem. List wziąwszy w ręce, Bietka, nie. rozłamując pieczęci, w oczach Woroszyłły rzuciła do komina, na którym ogień płonął, a pierścionek swój włożyła do kieszeni.

— Tak tedy — rzekła sucho — wszystko dzięki Bogu, skończone. Zawsze to lepiej, niż w niepewności zostawać. Dziękuję wam; powiedzcie, że mu szczęścia życzę.

Zmieszany poseł, widząc, że się jej swobodnie wypłakać było potrzeba, wstał, pocałował ją w rękę i poszedł.

Gdybyśmy treść tego opowiadania czerpali z fantazyi, łacnoby było powieści dać zakończenie mniej prozaiczne, niż wistocie los zrządził. Bietka wypłakała się, ale uraza i gniew powstrzymały i osuszyły jej łzy. Opowiedziała o tem, co ją spotkało pannie Duret, która naturalnie, powtórzyła królowej. Marya Ludwika kazała Bietce przyjść do siebie. Starała się ją pocieszyć, chciała dać miejsce przy sobie, ale dziewczę podziękowało. Myśli jej trudno było odgadnąć.

Pozostała Bietka swobodną. Piękność, łaska królowej, wreszcie głuche wieści, że ojciec jej znaczny posag zostawił, zwabiały ciągle starających się, których ze wzgardą i gniewem odpychała, szydząc nielitościwie z miłośnych ich zapałów.

Upłynął tak rok i dwa, więcej, dziewczę zaczęło starzeć, a choć piękność jej zachowala się długo, charakter wielce się zmienił.

Ks. Stoczek, który często ją odwiedzał (dopóki był w Warszawie, gdyż później się stąd wyniósł), wpłynął zapewne na to, iż Bietka stała się bardzo pobożną. Spędzała zwykle znaczniejszą częśc dnia w jednym z kościołów, a potem kilka godzin u Bieleckich lub u królowej.

Pobożność ta uczyniła ją dla ludzi surową bardzo. Obawiano się jej i unikano — kobiety szczególniej.

Marya Ludwika, widząc ją ciągle z różańcem i pobożną książką w ręku (właśnie naówczas żeński klasztor zakładała) starała się bardzo namówić i wciągnąć do niego.

— Nie mam powołania — odparła otwarcie Bietka — do siedzenia w zamknięciu i klatce. Zakonnicaby ze mnie zła była, a dewotką mogę być niezgorszą od innych.

Szydziła tak czasem i sama z siebie.

O Płazie nigdy nikt żadnej nie powziął wiadomości. Przyjaciel jego, który dostał się do ks. Ostrogskich na służbę, pracował niesłychanie nad odkryciem tej tajemnicy, nie zdobył jednak nic.

Gdy później rebelia kozacka dotknęła tak okrutnie rzeczpospolitą, znikł z Warszawy i ów Parfen, który sam jeden może mógł coś wiedzieć o tem.

Skończono w kwietniu 1885
w Magdeburgu.



KONIEC.